

1.

Ngdy zanadto nie przepadał za kotami.

A teraz kobieta leżąca u jego boku mruczała niczym kotka, rozmarzona i zadowolona z siebie. Miała małe, trochę skośne oczy i wciąż lekko kołysała się w miłosnym rytmie. Gdy się przechadzała, dumnie i wysoko nosiła głowę. Gdy się kochała, wiała się konwulsyjnie, strojąc dramatyczne miny ... Kiedy szczytowała - zanosila się krzykiem, wbijając paznokcie w męski kark.

On nie ufał kotkom. Uważał je za chytne i przebiegłe bestie, gotowe w każdej chwili skoczyć do gardła.

- No i jaka bylam? - zapytała go niskim i roznamiętinionym głosem.

- Niczego sobie.

Key Tackett nie cierpiał także rozmów po kochaniu. Im mniej się wtedy gada, tym lepiej. Ona uznała jednak jego zdawkowe stwierdzenie za komplement i wysunęła się z szerokiego łóżka. Naga przeszła przez pokój do toaletki, wzięła papierosa i zapaliła go ozdobioną szlachetnymi kamykami zapalniczką.

- Chcesz jednego?

- Nie, dziękuję.

- A drinka?

- Jeśli jest coś pod ręką ...

Znudzony wpatrywał się w żyrandol pod sufitem. Uznał, że jest paskudny, całkiem w złym guście. Za wielki do tej sypialni, pretensjonalny ze swą masą szklanych sopli, rozpraszających światło żarówek. Równie irytował go różowy kolor dywanu i kryształowe karafki z barku. Nalała mu szklaneczkę burbona.

- Nie musisz się spieszyć - rzekła z uśmiechem. - Mój mąż jest za miastem, a córka też spędzi noc poza domem.

- U kolegi czy koleżanki?

- Jasne, że u koleżanki. Rany, ona ma dopiero szesnaście lat.

Key uznał za stosowne nie wspominać jej, że sama zaskarbiła sobie nie najlepszą reputację właśnie w takim wieku. Był zobojętniały i nie chciał wszczynać burdy złośliwościami.

- A więc proponuję ... żebyśmy zabawili się do rana - podała mu drinka, usiadła na łóżku i trąciła Keya biodrem.

Unióśł głowę z poduszki i jednym haustem wypił zawartość szklanki.

- Muszę wracać do domu. Jestem w mieście dopiero od ... - zerknął na zegarek

- trzech i pół godziny. Przydałoby się, żebym zajrzał w rodzinne progi.

- Przecież mówię, że oni nie wiedzą ... Nie wiedzą, że przyjechałeś.

- Zgadza się. Obiecałem sobie jednak, że jak najszybciej dotrę do domu.

Owinęła kosmyk jego ciemnych włosów wokół palca.

- Nie przypuszczałeś tylko, że wcześniej natrafisz na mnie, co? Trącił ją w ramię pustą szklanką.

- Często się tak zabawiasz?

- Czasami.

Key uśmiechnął się złośliwie.

- Kiedy twojego starego nie ma w miasteczku ... ?

- Do licha, kiedy nie mogę już znieść nudy. Mam po dziurki w nosie spokojnego życia, Bóg mi świadkiem. A nie brak w okolicy interesujących facetów.

Zerknął na jej obfite piersi.

- No chyba ... Założę się, że wyciskasz z nich ostatnie soki.

- Nieźle mnie znasz - zaśmiała się i nachyliła, by pocałować go w usta.

Odwrócił głowę.

- Wcale cię nie znam.

- To nieprawda, Key - zaprotestowała urażonym tonem. - Przecież chodziliśmy razem do szkoły.

- Chodziłem do szkoły z całą masą dzieciaków. To, że mówię im "cześć", nie oznacza jeszcze, że dobrze się z nimi znam.

- Ale całowałeś się ze mną.

- Bzdura - powiedział i dodał po chwili: - Przed twoimi drzwiami zawsze stała kolejka chłopaków, chcących wyciągnąć cię na randkę. A ja nie lubiłem stać grzecznie w kolejkach.

W jej kocich oczach pojawił się na sekundę złośliwy błysk. Tak, była jak kotka, która wysunęła pazury, by momentalnie je schować.

- Rzeczywiście, nigdy nie byliśmy na wspólnej randce - przyznała - ale pamiętam pewien piątkowy wieczór. Drużyna z naszej budy grała wtedy mecz ze szkołą z Gladewater... Wygraliście. Ty i pozostali

chłopcy zrobiliście rundę honorową wokół boiska. A ja z przyjaciółkami ... i wieloma innymi ludźmi z naszego Eden Pass ... Wszyscy wiwatowali na waszą cześć.

Trąciła palcem jego nagą pierś i dorzuciła:

- Byłeś najbardziej szalony ze wszystkich chłopaków. Choć po meczu twoja bluza zrobiła się całkiem brudna, to i tak nie ujęło ci to słodczy. Dziewczyny zgadzały się, że jesteś najprzystojniejszy. I ja też tak uważałam. Myślę, że wiedziałeś o tym.

Przerwała sądząc, iż on zechce coś na to odrzec. Key jednak patrzył na nią tylko otępiąłym wzrokiem. Pamiętał dziesiątki takich piątkowych wieczorów. Uganianie się za piłką w błocie i pomeczowe wiwaty. Blask świateł na stadionie. Fanfary orkiestry dętej. Zapach prażonej kukurydzy. Wrzeszczący ludzie na trybunach.

No i samą Jody, swoją nieszczęsną matkę, krzyczącą głośniejsze od innych. Tylko dla niego. To było tak dawno.

- Przeszedłeś obok mnie - ciągnęła - objąłeś mnie w pół, poderwałeś z ziemi, przycisnąłeś do siebie i pocałowałeś w usta. Mocno i gorąco. Jak jakiś barbarzyńca.

- Cóż ... Naprawdę tak było?

- Jasne. Zrobiło mi się wtedy mokro w majtkach.

Przyłgnęła do niego, przyciskając do jego piersi nabrzmiałe sutki.

- Tak długo czekałam, żebyś dokończył to, co wtedy zacząłeś.

- No ... Cieszę się, że mogłem ci sprawić przyjemność.

Pacnął ją w tyłek i usiadł.

- Spadam - dodał sięgając po spodnie.

- Serio wychodzisz? - spytała zaskoczona.

- Tak.

Zmarszczyła czoło i zdusiła papierosa w popielniczce.

- Sukinsyn - mruknęła.

Po chwili postanowiła jednak wykorzystać moc swych damskich wdzięków i zatrzymać go przy sobie.

Wyrwała mu z rąk spodnie i otarła się brzuchem o jego krocze.

- Późno już, Key. Wszyscy w domu twojej mamuski pewnie śpią sobie smacznie. Możesz zostać na noc u mnie.

Wsunęła dłoń między jego uda i zaczęła go pieścić, śmiało patrząc w twarz. Czekwała, aż jego męskość stwardnieje, a opór osłabnie.

- Musisz się przekonać, co serwuję swoim gościom na śniadanie.

Key uśmiechnął się krzywo.

- Zapewne masz na myśli śniadanie w łóżku?

- Jesteś diabelnie domyślny. Danie główne i przyprawy. A ponadto ...

Urwała naraz, a jej palce zacisnęły się nieco. Key lekko skrzywił się z bólu.

- Hej, ostrożnie. Nie chcesz chyba pozbawić mnie klejnotów ...

- Cicho! - syknęła. Puściła go i na czubkach palców podeszła do uchylonych drzwi sypialni.

Nagle oboje posłyszeli męski głos:

- Kwiatuszk, wróciłem!

- Cholera! - szepnęła. Odwróciła się do Keya, a na jej twarzy nie było nawet śladu uwodzicielskiego rozmarzenia. - Musisz się stąd wynosić. I to już.

Key zdążył wciągnąć spodnie i schylił się po buty.

- Kochanie! Czy jesteś na górze?

Key dosłyszał kroki na kamiennych schodkach i kolejne słowa:

- Skończyłem dzisiaj wcześniej i postanowiłem wrócić do domu, zamiast czekać do rana.

Gorączkowo popchnęła Keya ku drzwiom wiodącym na balkon. Dopiął koszulę i znalazł się na zewnątrz.

Tam dopiero zorientował się, że znalazł się w małej pułapce. Nie bardzo wiedział, co dalej. Trudno było wydostać się stąd tak, by nikt tego nie spostrzegł.

Klął pod nosem, zastanawiając się nad swoim położeniem. Cóż, u diabła, przychodziło mu już stawić czoło większym niebezpieczeństwom. Doświadczył huraganu, przeżył trzęsienie ziemi, wyliżał się z odniesionych ran. Także mąż wracający wcześniej do domu to dlań nic nowego. Musiał się stąd zabierać - i tyle.

Wszedł na powrót do sypialni, zaraz jednak stanął jak wryty. Dostrzegł wysuniętą szufladkę w nocnej szafce. Ujrzał też swoją kochankę w łóżku. Podciągnęła kołdrę pod sam podbródek i mierzyła z pistoletu wprost w niego.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?! - spytał.

Odpowiedziała szalonym piskiem. Po chwili rozległ się ogłuszający odgłos wystrzału. Uplłynęły jeszcze sekundy i z trwogą zorientował się, że oberwał. Popatrzył na krwawiący lewy bok, a potem - z niedowierzaniem - na kobietę ze spluwą w dłoni.

Zza drzwi dobiegły jego uszu krzyki:

- Kwiatuśku! Co się dzieje?!

Znowu pisk. Pisk przerażający, ścinający krew w żyłach. Ponownie wycelowano w Keya.

Uskoczył, zanim padł strzał. Spudłowała, choć początkowo nie był tego taki pewien.

Przewiesił się przez barierkę na balkonie i skoczył.

Zderzenie z pogrążoną w ciemnościach ziemią nie należało do przyjemnych.

Coś stało się z jego prawą kostką. Ból przeszył łydkę, udo, krocze i dotarł do wnętrza. Key z trudem chwycił oddech. Pozbierał się jakoś i ruszył, byle dalej od tego fatalnego domu.

*

Walenie do drzwi kuchennych wyrwało Larę ze snu.

Słuchała płyty Bettie Davis i zapadła w drzemkę. Teraz wstała, ściszyła gramofon i nasłuchiwała.

Ponownie to samo łomotanie do drzwi. Bała się trochę. Chciała wrócić na sofę i przykryć się kocem.

Ostatecznie jednak ruszyła do holu, zapalając po drodze wszystkie światła.

Przez okno dostrzegła sylwetkę mężczyzny. Ostrożnie podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer.

Twarz człowieka na zewnątrz lśniła od potu. Jego policzki i podbródek pokrywała szczecina dwudniowego zarostu. Wilgotne, ciemne kosmyki włosów przylepiły się do jego czoła. Krzaczaste brwi skrywały oczy.

- Doktorze! - Uniósł pięść i jeszcze raz huknął w drzwi. - Hej, doktorze, otwieraj! Inaczej zapaskudzę ci całe drzwi.

Otarł czoło wierzchem dłoni, zostawiając smugę czerwoną od krwi.

Lara otrząsnęła się. Wyłączyła system alarmowy i otworzyła drzwi. Przybysz, potykając się, wtoczył się bez pytania do środka.

- Długo to trwało - mruknął z wyrzutem. - Mniejsza z tym. Czy jest tu jeszcze ta butelczyna z whisky?

Podszedł do barku i otworzył go bezceremonialnie.

- Nie ma tu żadnej whisky.

Dopiero teraz, poruszony nie znanym sobie głosem, Key odwrócił się. Gapił się na Larę dobrą chwilę.

Ona natomiast patrzyła na niego. Miał w sobie coś zwierzęcego, co zarazem pociągało ją i odstręczało.

Poczuła charakterystyczną, słodkawą wóń krwi.

Cofnęła się o krok, jednak nie ze strachu. Nadal pilnie wpatrywała się w nocnego przybysza, w którego oczach kryło się szczere zdumienie.

- Kim jesteś, do cholery? Gdzie doktor? - Marszczył brwi i przyciskał dłoń do zakrwawionego boku.

- Lepiej niech pan usiądzie. Jest pan ranny.

- Cholera, paniusiu. Powiedz wreszcie, gdzie jest doktor?

- Pewnie śpi w domku nad jeziorem. Przeprowadził się tam przed paroma miesiącami, kiedy przeszedł na emeryturę.

Zmierzył ją nieprzyjaznym spojrzeniem. W końcu rzekł zde gustowany:

- No to pięknie. Cholerne szczęście - miotał przekleństwa, przeczesując dłonią włosy. Potem podszedł na miękkich nogach do kozetki.

Lara natychmiast znalazła się przy nim. Odsunąją od siebie, sam jednak położył się na leżance.

Oddychał ciężko i krzywił się z bólu.

- Czy mogę dostać trochę gorzałki? - zapytał.

- Co się panu stało?

- A co ci do tego?

- Wprowadziłam się do domu doktora Pattona i przejęłam też jego praktykę lekarską.

Spojrzał na nią niebieskimi oczami.

- Jesteś ... lekarzem?

Przytaknęła ruchem głowy i dłonią wskazała pokój, gdzie zwykle przyjmowała pacjentów.

- Niech mnie diabli - zaklął i przyjrzał jej się bacznie. - I kręcisz się po szpitalu w takim stroju? Chyba wprowadzili jakieś nowe przepisy.

Miała na sobie długą białą koszulę, a pod nią obcisłe rajstopy. Nie zważając na to, odezwała się poważnym tonem:

- Trudno, żebym po północy kręciła się po domu w fartuchu lekarskim. Proszę jednak przestać zajmować

się moim strojem. Muszę obejrzeć pańską ranę. Co takiego się właściwie stało?

- Mały wypadek.

Ostrożnie ściągnęła mu koszulę z ramion i zauważyła, że jego spodnie musiały być zapinane w pośpiechu. Następnie zajęła się krwawiącą raną.

- Ależ to postrzał!

- Skąd. Tak jak powiedziałem: drobny wypadek.

Wiedziała dobrze, że kłamie. W dodatku musiał to czynić często, gdyż łąał bez mrugnięcia okiem.

- Wypadek ... jakiego rodzaju? - zapytała.

- Nadziałem się na widelec - zakpił. - Proszę po prostu oczyścić, nałożyć bandaż i jutro będę zdrów jak ryba.

Wyprostowała się i poważnie spojrzała na jego twarz, wykrzywioną ni to szelmowskim uśmiechem, ni to grymasem bólu.

- Lubimy bujać, co? Potrafię rozpoznać ranę postrzałową - stwierdziła.

- Niewiele mogę tu wskórać. Musi się pan udać do miejscowego szpitala.

Odwróciła się od niego, podeszła do telefonu i zaczęła wybierać numer.

- Proszę leżeć spokojnie - powiedziała. - Zajmę się panem, dopóki nie przyjedzie ambulans. Postaram się zatamować krwawienie. Tak ... halo ... ! - Ktoś odezwał się w słuchawce. - Tu doktor Mallory z Eden Pass

- przedstawiła się. - Mam nagły ...

Brutalnym ruchem rozłączył rozmowę. Zaniepokojona spojrzała na niego przez ramię. - Nie pojedę do żadnego przekłętego szpitala - powiedział twardo. - 'Żadnych karettek. Rozumiesz? Zatamuj krwotok i walnij na wierzch bandaży. Proste jak parasol. Masz trochę gorzałki? - zapytał trzeci raz.

Lara uparcie zaczęła jeszcze raz wybierać numer. Wyrwał jej słuchawkę z dłoni i wściekle klnąc wyciągnął przewód z gniazdka.

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Obawiała się go. Nawet w tym małym, spokojnym na pozór miasteczku w Teksasie byli zapewne ludzie gotowi dopuścić się przestępstwa pod wpływem narkotyków. Zastanawiała się, czy ten człowiek nie jest przypadkiem uzależniony.

Musiał dostrzec jej niepokój. Uśmiechnął się ponuro i spokojnie odłożył słuchawkę na miejsce.

- Posłuchaj no - odezwał się. - Gdybym przyszedł tutaj, żeby zrobić ci krzywdę, to już zdążyłbym wysłać cię do piekła. Nie chcę po prostu, żeby zjechała się tu banda ludzi ze szpitala. Zapomnijmy o szpitalu, dobra? Zajmij się mną, a potem grzecznie się stąd zabiorę.

Mówił z wyraźnym wysiłkiem. Bładł. Z trudem wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Myśli pan, że to przejdzie panu ... tak zwyczajnie?

- Mam nadzieję.

- Boli, prawda?

- Boli - przyznał i powoli pokiwał głową. - Boli jak jasna cholera. Chcesz, żeby się wykrwawił na śmierć, czy jak?

Jeszcze przez chwilę przyglądała się jego inteligentnej twarzy. Doszła wreszcie do wniosku, że musi zrobić to, czego on się domaga. Jeśli nadal będą się droczyć, to ten człowiek rzeczywiście może stracić zbyt wiele krwi. Kazała mu się położyć i rozpiąć spodnie.

- Miałem okazję już nieraz usłyszeć ten tekst - stwierdził ze złośliwym uśmiechem, kładąc się na kozetce.

- Zapewne - odparła, nieporuszona jego dowcipem. Podeszła do kranu i umyła dłonie. - Skoro wie pan, że doktor Patton lubi whisky, to zapewne jest pan z tych stron.

- Brawo.

- Dlaczego więc nie wiedział pan, że zakończył praktykę?

- Nie było mnie tu jakiś czas.

- A wcześniej? Leczył pana?

- Jasne. Wyleczył mnie z ospy, składał mi połamane kości. Raz też dostałem paskudnego zakażenia od zardzewiałej puszki. Wyciągnął mnie i z tego, ale do tej pory mam bliznę po skaleczeniu.

- Próbował się pan tu dodzwonić?

- Do pioruna, nie - odparł, jakby jej pytanie było całkiem absurdalne. - Bywało

już wcześniej, że łomotałem w nocy do tych kuchennych drzwi i prosiłem doktora, żeby poskładał mnie do kupy. Nie był specjalnie zasadniczy ... Zaraz, co ty kombinujesz? - To środek znieczulający - wyjaśniła spokojnie, podnosząc strzykawkę. Chciała wbić mu igłę w przedramię, które przetarła wcześniej wacikiem ze spirytusem. Nim zdążyła się zorientować, chwycił ją mocno za nadgarstek.

- Masz mnie za durnia, czy co?

- Panie ...

- Jak chcesz mnie znieczulić, to przynieś mi szklaneczkę wódki. Wpakujesz mi w żyłę jakieś świństwo, uśpisz jak niemowlę, a potem weźmiesz do szpitala, no nie? Nic z tych rzeczy.

- W każdym razie mam zamiar dać znać szeryfowi. Muszę powiadomić władze, jeśli zgłosi się ktoś z postrzałem.

Usiadł z wysiłkiem. Krew znowu popłynęła z otwartej rany. Jęknął głośno. Lara szybko naciągnęła chirurgiczne rękawiczki i za pomocą gazy zaczęła tamować krwotok. Zerknął na jej dłoń.

- Boisz się, że jestem nosicielem HIV? - zapytał.

- Zawodowa ostrożność.

- Spokojna głowa. - Wyszczrzył w uśmiechu zęby. - Zawsze uważałem na te sprawy.

- Dzisiaj też? Co się właściwie stało? Oszukiwał pan podczas gry w pokera? Flirtował z nieodpowiednią kobietą? A może przypadkowo wystrzelił pistolet, kiedy go pan czyścił?

- Już mówiłem, że to ...

- Tak, pamiętam. Widelec.

Pracowała szybko i zręcznie.

- Teraz muszę oczyścić ranę - powiedziała. - To będzie bolesne. Konieczne znieczulenie.

- Wykluczone.

Uniósł się z kozetki, jakby miał zamiar wyjść. Lara przytrzymała go. Jej gumowe rękawiczki uwalane były krwią.

- Myślę o miejscowym znieczuleniu - wyjaśniła. - W porządku?

Upłynął moment, zanim przyzwalająco skinął głową. Wzięła do rąk następną strzykawkę. Igła przebiła skórę blisko rany. Oczyszczyła jej brzeg i założyła dren.

- Do cholery, co to takiego? - spytał. Był bladym i spoconym, ale nie przestawał pilnie obserwować jej dłoni.

- Dren. Odciągnie osocze i zapobiegnie infekcji. Usunę go za parę dni. Teraz przyszła pora na prowizoryczny szew i bandaż.

Lara zdjęła zakrwawione rękawiczki i wyrzuciła je do metalowego pojemnika. Potem podeszła do zlewu i starannie umyła ręce. Powiedziała mu, że może już usiąść.

Z daleka rzuciła krytycznym okiem na swoje dzieło.

- Miał pan szczęście, że ktoś nie okazał się lepszym strzelcem. Kilka centymetrów w prawo i kula przeszłaby ważne dla życia narządy.

- Albo kilkanaście centymetrów niżej i już do końca życia nie przeszyłbym żadnego dziewczęcia.

Lara spojrzała nań z politowaniem. - No właśnie. Co za fart.

Próbowała utrzymać dystans, ale gdy go bandażowała, otarła się policzkiem o jego szeroką pierś, o muskularny, opalony, porośnięty włosami tors. Owinęła białą materią płaski, twardy brzuch. Dawniej pracowała w miejskim szpitalu i zetknęła się z podobnymi typkami spod ciemnej gwiazdy. Żaden z nich jednak nie wydał jej się tak

. pociągający, przystojny i jednocześnie zabawny.

- Jasne, droga pani doktor. Mam piekielnego farta.

- Wierzę w to. Zdaje się, że jest pan człowiekiem, który prowadzi niebezpieczne życie i wychodzi z opresji dzięki sprytowi. Czy wcześniej trafiały pana kule?

- Trafiła jedna. W zeszłym roku. - Nie wiedziała, czy sobie kpi, czy mówi serio.

- Słowo daję - zapewnił unosząc dwa palce.

Zdołał wstać z leżanki i zaczął zapinać spodnie. Nie zacisnął jednak - rzecz zrozumiała - pasa.

- Ile się należy? - zapytał.

- Pięćdziesiąt dolarów za wizytę po godzinach, pięćdziesiąt za zszycie rany, dwadzieścia za zastrzyk i czterdzieści za lekarstwa.

- Lekarstwa?

Wyciągnęła z kasetki dwie opróżnione buteleczki i pokazała mu je.

- Antybiotyk i środek uśmierzający ból. Kiedy przestanie działać, czekają pana trudne chwile.

Z kieszeni obcisłych dżinsów wydobyl zwitek banknotów.

- Zaraz, policzmy... Pięćdziesiąt i pięćdziesiąt, dwadzieścia plus jeszcze czterdzieści ... To daje razem ...

- Sto sześćdziesiąt - odpowiedziała.

Uniósł brew, jakby zdziwiony jej szybkim rachunkiem.

- Zgadza się. Sto sześćdziesiąt. - Odliczył dwie setki i położył je na kozetce.

- Reszty nie trzeba - dodał.

Larę nieco zdumiał fakt, że miał przy sobie aż tyle pieniędzy. Zapłacił jej i schował do kieszeni pokaźny plik zielonych papierków.

- Dziękuję - odrzekła. - Proszę wziąć w nocy dwie z tych tabletek, a jutro w ciągu dnia jeszcze cztery. Popatrzył na buteleczkę, potem otworzył ją, wziął pigułkę i przełknął bez popijania wodą.

- Zaschło mi w gardle - wyznał. - Lufka wódeczki dobrze by mi zrobiła - dodał z nutką nadziei.

Pokręciła głową.

- Co cztery godziny tabletki, ewentualnie dwie. I popijać wyłącznie wodą

- upominała, choć wątpiła, czy potraktuje serio jej instrukcje. - Proszę się zgłosić

jutro wczesnym wieczorem. Zmienię wtedy opatrunek. - Pewnie za kolejne pięćdziesiąt dolców?

- Nie. Zostało to już wliczone do rachunku.

- Jestem wielce zobowiązany.

- Nie musi pan. Kiedy tylko pan wyjdzie, zadzwonię do szeryfa Baxtera.

Złożył ramiona na piersi i popatrzył na nią krzywo.

- Wyciągać go z łóżka w środku nocy? Co za pomysł? Znam starego Elmo Baxtera od niepamiętnych czasów. Był kumplem mojego starego. Kolegowali się jeszcze jako szczeniaki, kapujesz? A wtedy nie było tu jeszcze tak lekko ... Przynajmniej tak twierdzili. Kręciło się w tej okolicy mnóstwo podejrzanych typków. Handlowali mięchem, papierosami, bimbrem. Stary Elmo raczej nie zrobi krzywdy synowi dawnego kumpla - stwierdził i mrugnął do niej okiem.

Po chwili milczenia powiedział:

- Proszę bardzo, dzwonić sobie do niego. Kiedy tu dotrze, powita mnie jak dobrego kompana. Poklepie po plecach i powie coś w rodzaju: kopę lat...! Może zapyta, jak mi ostatnio szło.

Urwał na chwilę, czekając, jak na to zareaguje. Jej twarz nie wyrażała niczego.

Podjął więc:

- Elmo jest przepracowany i kiepsko mu płacą. Jak się dowie, o co właściwie poszło, to wścieknie się, że dla takiej bzdury ktoś zerwał go w środku nocy. Wiesz, on nie lubi ruszać się z domu ... Gdyby ktoś mu powiedział, że włamała się tu banda świrów i szuka zielonych tabletek, to zastanawiałby się pół godziny, zanim przyszedłby ci na ratunek. A poza tym - dodał konfidencjonalnym tonem - ludzie cię nie polubią, jak się okaże, że nie umiesz otrzymać tajemnicy. To ważne tutaj, w Eden Pass. Tu wszyscy się znają.

- I cenią sobie dyskrecję? - dodała Lara sucho. - Wątpię. Jestem tu niezbyt długo, ale już zdążyłam się przekonać, że okoliczni mieszkańcy lubują się w plotkach i ploteczkach. Nie ma mowy o sekretach. Ale chyba zrozumiałam, jakim człowiekiem jest szeryf Baxter. Chroni niegrzecznych chłopaków jak dobry ojczulek, co? Dam mu znać, że kogoś tu postrzelono, a on szybko zapomni o wszystkim?

- No właśnie - przyznał szczerze. - Jak ktoś strzela, to jego sprawa. Ludziska lubią załatwiać porachunki na własną rękę.

Lara westchnęła, gdyż przyszło jej do głowy, że on naj pewniej mówi prawdę.

- Chciałabym przynajmniej wiedzieć, czy miało miejsce jakieś przestępstwo.

- Przestępstwo ... ? Nie, raczej coś w rodzaju grzechu - rzekł uśmiechając się i łypiąc zabójczo oczami. - Chyba jednak nikt nie złamał prawa.

Zrzuciła wreszcie sztywną maskę i zaśmiała się. Nie wyglądał na kryminalistę - choć na grzesznika z pewnością. Facet szczególnie niebezpieczny dla naiwnych obiet - zawyrokowała w myślach.

- No ... okazuje się, że pani doktor wcale nie jest taka sztywna. Potrafi się śmiać. A jej uśmiech jest uroczy. - Ściągnął brwi i zapytał ciszej: - Czy skrywasz jeszcze coś równie ... uroczonego?

Teraz z kolei ona skrzyżowała ramiona na piersiach. Postanowiła być mniej oficjalna. - I takie teksty zapewniają ci powodzenie?

- Zawsze mi się zdawało, że gdzie chłopcy i dziewczęta, tam trzeba trochę pogadać.

- Serio?

- To oszczędność czasu i energii. Energia jest potrzebna do innych rzeczy.

- Nie śmiem nawet zapytać: do jakich?

- No, śmiało. Ja nie jestem płochliwy. A ty?

Już od dawna żaden facet tak się z nią nie przekomarzał. Ona sama też unikała flirtów. Rozbawiło ją to, ale po chwili straciła dobry humor. Przypomniała sobie to i owo z przeszłości. Uśmiech znikł z jej twarzy.

Wyprostowała się i powiedziała surowym tonem:

- Proszę nie zapomnieć swojej koszuli.

- Możesz ją wyrzucić .

. Zrobił krok w kierunku drzwi, ale naraz przystanął i skrzywił się z bólu. - Cholera! - syknął.

- Co się stało?

- Przeklęta kostka. Zwichnąłem ją, kiedy ... Niech to diabli.
Przyklęła i delikatnie odsunęła nogawkę jego spodni.

- Mój Boże! - wykrzyknęła. - Trzeba było powiedzieć wcześniej. Kostka była opuchnięta i sina.

- Przecież krwawiłem jak zarzynany wieprz. To głupstwo. Dam sobie radę.

- Nachylił się, odsunął jej dłonie i poprawił nogawkę.

- Trzeba ją przeświecić. To może być coś poważnego.

- Ale nie jest.

- To musi stwierdzić lekarz.

- Tyle razy byłem połamany, że wiem sam.

- Nie mogę brać odpowiedzialności, jeżeli ...

- Wy luzuj się, dobra? Nie mam zamiaru obarczać cię odpowiedzialnością za mnie.
Bez koszuli i butów ruszył w kierunku drzwi, którymi wcześniej wszedł.

- Może chcesz umyć ręce? - zapytała.

Zerknął na zakrzepłą na swoich dłoniach krew i pokręcił przecząco głową.

- Bywały już bardziej zapaskudzone.

Proszę bardzo, rób, co chcesz pomyślała Lara. - Dorosły człowiek, więc niech działa, jak mu się żywnie podoba. Ona uczyniła to, co do niej należało.

Pomogła mu jednak dojść do tylnego wyjścia. Podskakiwał na jednej nodze, ramieniem przytrzymując się jej szyi. Otworzyła mu drzwi i zobaczyła zaparkowany nie opodal terenowy samochód. Przednie koła znajdowały się niebezpiecznie blisko jej ulubionego zagonka petunii.

- Nie zapomnij o tabletkach - przypomniała mu. - Czy masz jakieś kule?

- Znajdą się, jak będą potrzebne.

- Będą. Przez kilka dni oszczędzaj tę kostkę. Kiedy dotrzesz do domu, przyłóż sobie okład z lodu. I pamiętaj: jutro ...

- Wczesnym wieczorem. Nie zapomnę.

Spojrzała na niego, a on przechylił głowę i zerknął na nią z ukosa. Ich wzrok spotkał się na moment. Lara czuła przez skórę ciepło jego ciała. Był muskularny i wysportowany. Nie miała wątpliwości, że prędko wróci do zdrowia. Starła się nadal patrzeć na niego tak, jak lekarz patrzy na pacjenta.

Jednak on po prostu pożerał ją teraz oczami. Wpatrywał się w jej twarz, włosy, usta.

Niskim, zachrypniętym głosem powiedział:

- Niech mnie diabli, jeszcze nigdy nie spotkałem takiej słodkiej lekareczki.

- Przesunął dłoń po jej biodrze. - I takiej zgrabnej.

- Inne nie były zgrabne?

- Nie aż tak - rzekł przyciskając ją łagodnie do siebie.

I wtedy ją pocałował. Niespodziewanie i bezczelnie przyssał się do jej ust.

Lara jęknęła zaskoczona i s"tarła się wyswobodzić. Nie wiedziała, co właściwie powinna teraz zrobić. Doszła wreszcie do wniosku, że najlepiej udawać, iż nic się nie stało. Przybrała więc chłodny i surowy ton.

- Czy chcesz, żebym cię gdzieś podwiozła? - zapytała.

Uśmiechał się od ucha do ucha i zdawało się, że wielce go bawią jej wysiłki, by ukryć okropne zmieszanie.

- Nie, dzięki - odrzekł wesoło. - Ten wóz ma automatyczną skrzynię biegów. Poradzę sobie lewą nogą.

Pospieszenie przytaknęła ruchem głowy.

- Jeśli usłyszę, że dzisiejszej nocy ktoś popełnił w okolicy jakąś zbrodnię, będę musiała powiadomić o wszystkim szeryfa Baxtera - ostrzegła.

Śmiech przebił się przez grymas bólu na jego twarzy, gdy wsiadał do wozu.

- Nie przejmuj się. Przyrzekam, że nie zrobiłem dzisiaj nic godnego potępienia. - Dłonią nakreślił krzyż na piersi. - Jeśli kłamię, to niech skonam.

Uruchomił silnik i wrzucił wsteczny bieg.

- Cześć, lekareczko.

- Proszę na siebie uważać, panie ...

- Tackett - krzyknął do niej przez uchyloną szybę. - Ale mów mi Key.

Lara skamieniała w jednej chwili. Serce, które przed minutą tłukło się w niej gorączkowo, teraz jakby zamarło. Krew odpłynęła z jej twarzy i zakręciło się jej w głowie. Zbladła, choć w nikłym blasku elektrycznego światła nie było tego widać. On dwukrotnie nacisnął klakson, pomachał jej dłonią i odjechał znikając w mroku. Odwróciła się szybko na pięcie.

Po betonowych schodkach, upstrzonych plamami krwi, weszła do środka. Ukryła twarz w wilgotnych, drżących dłoniach. Noc była ciepła, lecz ona trzęsa się cała niczym w febrze. Dostała gęziej skórki. Wyszło jej w ustach.

Key Tackett, pomyślała. - Młodszy brat Clarka. A więc w końcu wrócił do domu.

Wiedziała, że kiedyś musiało to nastąpić. Żył od dawna w jej planach, nawet o tym nie wiedząc.

Potrzebowała jego pomocy. Jak jednak miała sprawić, by uczynił to, czego chciała?

To był problem. Key Tackett miał bowiem powody, żeby jej nienawidzić.

2.

Janellen Taekett zbudził ostry dźwięk budzika. Wstała z łóżka i poszła do łazienki, by wziąć ciepły prysznic. Strumienie wody szumiały, ale ona tak już przywykła do tego odgłosu, że nie zwracała nań najmniejszej uwagi. Każdego ranka powtarzało się to samo.

Janellen spędziła w tym domu trzydzieści trzy lata życia. Nie wyobrażała sobie, by mogła mieszkać gdzie indziej. Nigdy serio nie myślała o przeprowadzce. Był to dom, który jej ojciec wybudował dla swej wybranki ponad czterdzieści lat temu. Od tamtego czasu mało się tu zmieniło. Wciąż te same stare meble i porysowany drewniany parkiet. Owe rysy nadawały domostwu swoisty charakter - niby zmarszczki na twarzy dojrzałej kobiety.

Key i Clark nie byli specjalnie przywiązani do tego miejsca. Ich siostra Janellen - owszem. Uważała, że ten dom jednoczy całą rodzinę i jest jej nieodłączną częścią. Znała na pamięć wszystkie szczegóły jego wyposażenia, od strychu do piwnicy. Znała dom tak dobrze jak własne ciało. Może nawet lepiej. O swoje ciało bowiem zbytni się nie troszczyła. Nie myślała także za wiele o życiu i nie pytała samej siebie, czy jest szczęśliwa. Akceptowała rzeczy takimi, jakie były.

Wziąwszy prysznic, ubrała się w spódnicę koloru khaki i prostą bawełnianą bluzkę.

Nie nosiła biżuterii - starczał jej tani zegarek na rękę. Jej pantofle nie były eleganckie, lecz wygodne.

Włosy czesała w bezpretensjonalny kucyk. Prawie się nie malowała. Trochę pudru na policzki, nieco tuszu na rzęsy, różowa szminka do ust - i już gotowa była powitać kolejny dzień.

Miała zwyczaj wstawać razem ze słońcem. Przechodziła przez długi korytarz do kuchni, gdzie włączała jarzeniowe światło. Nie przepadała za tym ostrym elektrycznym blaskiem, który - jej zdaniem - kłócił się z tradycyjnym wystrojem pomieszczenia.

Takie oświetlenie poleciła jednak zainstalować Jody, a od jej rozkazów nie było tu odwołań.

Janellen zaczęła przygotowywać kawę. Robiła to każdego dnia, odkąd zwolniono gosposię. Gdy skończyła piętnaście lat, oświadczyła, że niepotrzebna jej już niańka, że może sama chodzić do szkoły i sama zanosić śniadanie matce.

Obecnie pracowała tu wprawdzie gosposia, Maydale, ale zjawiała się codziennie tylko na cztery godziny. Zajmowała się sprzątnięciem i przynosiła zakupy na obiad. Poza tym domem zajmowała się Janellen. W praktyce zaczęła też kierować firmą Tackett OH and Gas Company.

Zajrzała do lodówki i wyjęła z niej świeży sok pomarańczowy. Chciała, żeby matka piła go zamiast kawy. Jady jednakże i tak stawiała na swoim. Jak zwykle.

Janellen podeszła do parapetu, by przefiltrowaną wodą podlać paprotki i begonie w doniczkach. I wtedy zauważyła samochód. Początkowo nie poznała go. Sądziła, że zaparkował go któryś z sąsiadów. W tym samym miejscu, gdzie zazwyczaj parkował Key ...

Omów nie upuściła dzbanka z wodą. Wybiegła z kuchni do holu i schodami pomknęła na górę. Na piętrze bez pukania wpadła do jednej z sypialń.

- Key! - zawołała.

- Co?

Przesunął dłonią po ciemnych włosach, przetłuszczonych i zmierzwionych, i uniósł głowę z poduszki. Zerknął na siostrę, potem jęknął, chwycił się za bok i opadł na pościel.

- Jezu! Nie musisz mnie tak straszyć. Kiedyś o mały włos nie wyprułem flaków jednemu gościowi, co niespodziewanie wyrwał mnie ze snu. Myślałem, że to włamywacz.

Nie bacząc na połajanki brata, Janellen przysiadła na jego łóżku.

- Key! Wróciłeś do domu. Kiedy przyjechałeś? Czemu nas nie zbudziłeś? Ale dobrze, że wreszcie jesteś ... Wspaniale, wspaniale.

Objęła go za szyję i pocałowała w czoło i oba policzki.

- Dobra, już dobra. Kapuję. Cieszysz się, że mnie widzisz - gderał. Po chwili jednak usiadł i uśmiechnął się.

- Czołem, siostrzyczko. - Lustrował ją przekrwionymi oczami. - Popatrzmy no tylko ... Żadnych siwych

włosów. Ciągłe masz prawie wszystkie zęby. Nie przybrałaś na dze więcej niż trzy kilo. W sumie masz się niezgorzej.

- Nie przytyłam nawet dziesięciu gramów, jeśli chcesz wiedzieć. A wyglądam tak jak zwykle. Niestety. To tobie i Clarkowi wszyscy zazdrościli urody, pamiętasz? - zapytała bez złościwości. - Ja byłam brzydkim kaczątkiem.

- No i po co trujesz takie rzeczy? Mogłabyś przynajmniej poczekać, aż się na dobre rozwidni.

- Bo to wszystko prawda. - Wzruszyła ramionami obojętnie. - Ale nie mówmy o mnie. Co się z tobą działo? Skąd się tu wzięłaś?

- Telegram, który wysłałaś na mój londyński adres, ścigał mnie po całym świecie. ręczyli mi go w Arabii Saudyjskiej. Trzy czy cztery dni spędziłem w podróży. Iero w Houston przesiadłem się na porządny samolot. Do Eden Pass dotarłem późno w noc.

- No i czemu nas nie zbudziłaś? Co to za wóz? Jak długo tu zostaniesz?

Odrzucił z czoła kosmyk włosów i skrzywił się.

- Zaraz, zaraz, po kolei. Nie wyciągałem was z łóżek, bo było późno. Bryczkę życzyłem od kumpla w Longview. Wpadnie tu za jakiś czas i weźmie ją sobie z powrotem. A .. jakie było ostatnie pytanie?

- Jak długo zamierzasz tu zostać? - powtórzyła składając dłonie. Wyglądała teraz jak dziewczynka, która szykuje się do modlitwy. - Tylko nie mów, że "parę dni". Nie mów "tydzień". Powiedz, że dłużej.

Ucisnął jej dłonie.

- Mój kontrakt z Arabami już wygaś. Właściwie nie mam teraz nic ciekawego na oku. Co będę robił...? Jeszcze nie wiem. Pożyjemy, zobaczymy, no nie?

- Jasne, Key. - Jej błękitne oczy błyszczwały. - Nie chciałam ci sprawiać swoim listem kłopotu, ale ...

- Nie sprawiłaś mi kłopotu.

- Cóż, czułam, że zawracam ci głowę. Ale nie prosiłabym cię o pomoc, gdybym nie sądziła ... Uznałam, że będzie lepiej, jak przyjedziesz.

- O co właściwie chodzi, Janellen?

- O mamę. Ona jest chora, Key.

- Znowu podskoczyło jej ciśnienie?

- Gorzej. - Janellen załamała dłonie. - Zaczyna jej szwankować pamięć. Od niedawna. Początkowo nawet tego nie zauważałam. Potem Maydalle powiedziała mi, że mama gubi rzeczy, a potem twierdzi, że ktoś je skradł. Potrafi też mówić kilka razy o tym samym.

- Ona po prostu się starzeje, Janellen. To typowe oznaki starości.

- Może tak, a może i nie. Boję się, że to coś poważniejszego. Gołym okiem widać, że z nią nie najlepiej.

- Co mówią lekarze?

- Mama nie chce słyszeć o żadnych lekarzach - powiedziała rozgoryczona Janellen. - Doktor Patton zapisał jej co prawda lekarstwa na nadciśnienie, ale to było już ponad rok temu. Mama przeklina wszystkich konowałów. Powiada, że chcą ją otruć. Zaufanie miała tylko do Pattona.

Key uśmiechnął się krzywo.

- Cała Jody. Wszystko wie najlepiej.

- Proszę cię, Key, nie kpj z niej. Pomóż jej. I pomóż mi.

Powoli potarł podbródek i odrzekł:

- Za długo się nią opiekowałaś sama. Czas dać ci trochę wytchnienia. - Zaciął wargi, a potem dorzucił: - Nie wiem tylko, czy zdołam coś wskórać.

- Uda ci się. Tylko ty i mama musicie odnosić się do siebie inaczej niż dawniej. Cmoknął z niedowierzaniem, odrzucił koc i opuścił stopy na podłogę.

- Proszę, podaj mi moje spodnie.

Janellen już miała sięgnąć po dzinsy zwisające z oparcia krzesła, kiedy nagle spostrzegła bandaż na brzuchu Keya.

- Co ci się stało?! - wykrzyknęła. - O, a twoja kostka?!

Obrzucił opuchniętą stopę nonszalanckim spojrzeniem.

- Miałem drobny problem po drodze.

- Ktoś cię zranił? Czy to coś poważnego?

- Nie. Poproszę spodnie.

Siedział na krawędzi łóżka wyciągając rękę. Janellen zauważyła, że mocno zaciska szczęki. Wzięła spodnie i pomogła mu się ubierać.

- Okropnie spuchła - powiedziała cicho, patrząc z troską na jego kostkę. - Czy możesz opierać się na tej nodze. .

- Odradzono mi - stwierdził sucho. - Podaj mi rękę.

Wstał z jej pomocą i zaczął dopinać rozporek. Gdy to robił, uśmiechnął się do niej wymownie a bezczelnie.

Janellen nie próbowała się nawet domyślać, ile kobiet zaliczyli jej bracia, a zwłaszcza Key. Zdarzało się, że czasem sama marzyła o mężczyznach, ale na narzeniach się kończyło. Key natomiast lubił kobiety i nie usiłował się z tym kryć. Nie głądało na to, by miał zamiar się ustatkować - ożenić i założyć rodzinę.

- Nieźle sobie radzisz z męskimi portkami - zaczął ją drażnić. - Widać, ostatnio miałaś okazję potrenować, co?

- Też coś!

- No więc?

- Nie! - odparła i oblała się rumieńcem. Często jej się to zdarzało przy Keyu.

- Dlaczego nie?

- Nie interesuje mnie to, i kropka. A poza tym moja twarz i figura jakoś nie rzucają mężczyzn na kolana.

- Nie jesteś taka zła - stwierdził.

- Ale z pewnością nie szalowa.

- No pewnie, bo wbiłaś sobie do głowy, żeś brzydka dziewczucha. Ubierz się czasem w coś odłotowego.

Jesteś taka ... - szukał odpowiedniego określenia - taka sztywna.

- Sztywna?

- No tak. Musisz się wyluzować. Rozumiesz, siostrzyczko? Odpuścić sobie.

Udawała obruszoną.

- Stare panny nie powinny słuchać podobnych rzeczy.

- Kto, u licha ciężkiego ... ? Stare panny? Posłuchaj mnie, Janellen. - Wycelował palcem wskazującym w czubek jej nosa. - Nie jesteś stara.

- Młoda też nie.

- O dwa lata młodsza ode mnie. Czyli masz trzydzieści cztery lata.

- Pomyliłeś się.

- W porządku, trzydzieści trzy. Świetny wiek. Cholera, Janellen, dzisiaj nawet czterdziestolatki decydują się na dziecko. Kapujesz? Czterdziestoletnie próchna!

- Te czterdziestolatki, które rodzą dzieci, nie byłyby chyba zachwycone, że ktoś określa je w ten sposób.

- Posłuchaj - nie ustępował. - Przed tobą najlepszy czas na seks.

- Key, proszę cię ...

- A wiesz dlaczego wciąż jesteś panną?

- Nie chcę wiedzieć.

- ... Bo zamykasz się w sobie i uciekasz od każdego faceta, który zerka na twój tyłek.

Janellen patrzyła nań bez słowa, wstrząśnięta jego obcesowością. W pracy miała do czynienia z mężczyznami codziennie. Gadając ze sobą kłęli jak szewcy, ale przy niej - swojej szefowej - używali grzecznego języka.

Jody zastrzeżiłaby każdego, kto śmiałyby wyrażać się wulgarnie w towarzystwie jej córki. Jednakże sama posługiwała się nader soczystymi zwrotami i uważała, że tak jest w porządku. Z drugiej strony martwiła się, że Janellen nie potrafi znaleźć sobie mężczyzny - nie chodziło nawet o narzeczonego czy kochanka, ale zwyczajnego przyjaciela. Bała się ich, choć dorastała przeciw z dwoma starszymi braćmi.

Teraz słowa Keya wstrząsnęły Janellen. O dziwo jednak, uznała je po części za komplement.

Oczywiście, Key miał inne intencje.

- Niech to grom. - Był zły na siebie i pogłaskał ją po policzku. - Przepraszam. Nie chciałem tego powiedzieć. Po prostu za poważnie wszystko bierzesz. Wyluzuj się, na Boga. Zabaw się trochę. Weź sobie wolne i jedź do Europy. Pozwól sobie na małe szaleństwo. Życie jest zbyt krótkie, żeby traktować je tak serio. Dni i lata mijają cholemie szybko.

Uśmiechnęła się i ucisnęła mu dłoń.

- Przepraszam przyjmuję. Wiem, że nie chciałeś mnie zranić ani urazić. Jednak trochę się mylisz, Key. Nie marnuję swojego życia. Potrafię się nim cieszyć. Tyle że jestem zajęta, mam dużo pracy i nie myślę o jakichś tam romantycznych sprawach. Jasne, nie mam tylu przygód co ty, ale i nie chcę mieć. Ty jesteś obieżyświatem. Ja lubię dom i spokój. Żadnych szaleństw, skandali czy czegoś w tym rodzaju.

Położyła mu rękę na ramieniu i dorzuciła:

- Nie mam zamiaru sprzeczać się z tobą. To twój pierwszy dzień w domu, odkąd Clark ... - Nie mogła dokończyć zdania. Opuściła wzrok. - Chodźmy na dół. Kawa już gotowa.

- Dobra. Muszę czegoś łyknąć, zanim stanę oko w oko ze staruszką. O której ona zwykle wstaje?

- Wcześniej - dobiegł głos od drzwi. W progu stała ich matka, Jody Tackett.

*

Bowiego Cato przebudził brutalny szturchaniec w żebra.

- Hej, ty, podnoś się - usłyszał.

Otworzył oczy i przetoczył się na plecy. Ułynęło parę chwil, zanim przypomniał sobie, gdzie jest.

Nocował na zapleczu "The Palm", drogiej knajpy przy autostradzie na rogatkach miasteczka Eden Pass.

Niedawno znalazł tu pracę jako cieć. Wstawać musiał bardzo wcześnie rano.

Zarabiał grosze, ale właściciel posesji pozwalał mu tu pracować.

- Co jest grane? - zapytał półprzytomny. Zdawało mu się, że dopiero co zasnął.

- Ruszaj tyłek. - Czubek buta ponownie trafił między jego żebra.

Bowiego koczyło, by schwycić tę nogę i powalić jej właściciela z hukiem na posadzkę. Musiał się jednak pilnować. Był na zwolnieniu warunkowym. Ciężki na nim wyrok za pobicie. Nie chciał trafić na trzy lata do puszki.

Zacisnął więc tylko zęby, usiadł i potrząsnął głową. W blasku słońca, który wpadał przez okienko, ujrzał sylwetki dwóch facetów. Stali nad nim, z kciukami zatkniętymi za pasy.

- Przykro mi, Bowie - odezwał się Hap Hollister, szef "The Palm". - Mówiłem Gusowi, że nie wychodziłeś

stąd od siódmej wieczorem, ale on gada, że musi to sprawdzić, bo kiedyś miałeś już na koncie wpadkę.

Gus i szeryf prowadzą jakiegoś śledztwo. Powiadaj, że mają cię na oku, bo jesteś jedynym podejrzanym typkiem w okolicy.

- Jedynym? - powtórzył Bowie z niedowierzaniem i wstał powoli.

- W porządku. Uśmiechnął się do szefa, a potem spojrzał na otłuszczoną, łysą głowę zastępcy szeryfa.

- O co chodzi?

- A o to, że zeszłej nocy ktoś usiłował zgwałcić i zabić panią Darcy Winston w jej własnym łóżku. W tym właśnie rzecz - stwierdził szorstko Gus i opisał szczegółowo całe zajście.

- Fatalna historia - rzekł Bowie, zerkając to na Hapa, to na zastępcę szeryfa. Oni zaś patrzyli na niego bez słowa. Bowie prawie niezauważalnie wzruszył ramionami. - Kto to taki ta pani Darcy ... Winston?

- Tak jakbyś nie wiedział - parsknął Gus.

- Bo nie wiem.

- Bowie, przecież gadałeś z nią wczoraj - przypomniał smutnym głosem Hap.

- Była tutaj. Ruda, duże cyce, miała na sobie obcisłe czerwone spodnie. I kupę biżuterii.

- Ach, racja.

Bowie nie pamiętał biżuterii, za to wspomniany biust doskonale. Ciągnęła mocne runki niczym lemoniadę i przystawiała się do wszystkich facetów wokół, nie pomijając nawet Bowiego.

- Rozmawiałem z nią - przyznał - ale nie powiedziała mi, jak się nazywa.

- Ona rzeczywiście gadała ze wszystkimi, Gus - stwierdził Hap.

- Ale tylko ten tutaj ma brudną kartotekę. I tylko on coś przeskrobał.

Bowie usiłował rozluźnić napięte mięśnie. Instynktownie wyczuwał, że mogą go akować w niezłą kabałę, z której już się nie wywinie. Czuł, że grunt usuwa mu się spod nóg.

Zerknął na zastępcę szeryfa. Gus wyglądał na opastego niezdarę, ale Bowie wiedział, że tacy ludzie są mocni jak diabli. Pozory zwykle mylą. Siłę wyczuwało się jakimś szóstym zmysłem.

Zbierał już razy od takich koleżków. Kiedyś jego owdowiała matka wyszła, wórnienie za męża - za wiecznie pijanego sukinsyna, który okładał ich oboje bez miłosierdzia. W szkole natomiast trafił na nauczyciela gimnastyki - ponurego sadystę, łukającego namiętnie słabszych chłopaków.

Bowie buntował się. Stawiał się ojczymowi i belfrowi od gimnastyki. I oznaczało to początek jego kłopotów. Wreszcie pewnego dnia wylądował na ławie oskarżonych. Powoli się nauczył, że opłaca się trzymać nerwy na wodzy.

Teraz jednak chodziło o coś innego. Chcieli go zrobić. Nie znał Darcy Winston i nie miał ochoty robić jej nic złego.

Postanowił zachować spokój. Zastępca szeryfa zmierzył go wzrokiem od stóp do czubka głowy i powiedział:

- Zrzucaj ciuchy.

- Słucham?

- Co, głuchy jesteś? Rozbieraj się.

- Gus - wtrącił się Hap - jesteś pewien, że to konieczne. Ten chłopak ...

- Nie wtrącaj się, Hap - przerwał mu zastępca szeryfa. - Mam swoje obowiązki.

Pani Winston postrzeliła włamywacza. Na jej balkonie pozostały ślady krwi. Na krzakach w ogrodzie też. -

Sięgnął do kabury przy pasie, który uciskał mu wzdęty od piwa brzuch. - Jak facet jest ranny, to wszystko jasne. No, ściągaj łachy, ptaszku.

Bowie zaczynał się wkurzać. - Odpieprz się.

Oblicze Gusa natychmiast nabiegło krwią i zrobiło się purpurowe z wściekłości.

Jego małe świńskie oczka nieomal płonęły.

Zamachnął się na Bowiego, ale ten odparował cios. Za moment Gus chciał uderzyć lewą, ale Bowie zdołał się uchylić. Hap Hollister skoczył, żeby ich rozdzielić.

- Hej, słuchajcie no, obaj! - krzyknął. - Nie chcę tu żadnej bijatyki. Wy chyba też nie szukacie kłopotów, co?

- Pogruchoczę wszystkie kości temu dupkowi.

- Nie zrobisz tego, Gus.

Gus zaczął przepychać się z Hapem, ten jednak był słusznego wzrostu i już nieraz wywalął pijaczków z baru. Rzucił mu:

- Szeryf Buxter da ci po dupie, jeżeli zrobisz coś podejrzanemu.

- Nie jestem podejrzanym! - zaprotestował krzykiem Bowie.

- Zamknij się, dzieciaku - upomniał go Hap, dalej szamocząc się z Gusem.

- Nie bądź głupi. Przeprós go.

- Gównu!

- Rób, co ci każę - wrzasnął Hap. - Nie chcę żałować, że stanąłem w twojej obronie!

Zastępca szeryfa sapał z wysiłku, a Bowie i Hap mierzyli się wściekle wzrokiem.

Wreszcie Bowie ustąpił. Nie chciał stracić roboty. Nudnej pracy, nie dającej perspektyw ... ale jedynej, jaką mu zaoferowano.

Za żadne skarby nie chciał wracać do Huntsville. Wolał już wycalować po tyłkach wszystkich spasionych gliniarzy niż trafić z powrotem do pudła.

- Dobra - powiedział. Zdjął koszulę, uniósł ramiona i odwrócił się do nich plecami. - Nie jestem ranny.

Byłem tutaj przez całą noc.

- I przynajmniej kilku świadków może to potwierdzić, Gus - dodał Hap. - Ktoś inny chciał załatwić panią Winston. Nie Bowie.

Gusowi niełatwo było przyjąć to do wiadomości, choć stawało się jasne, że się pomylił. - Ciekawe - rzekł.

- Ten typek tylko zjawia się w mieście i już mamy do czynienia z poważnym przestępstwem.

- Przypadek - stwierdził Hap.

- Może - powiedział Gus, ale nie przestawał podejrzliwie zerkać na Bowiego.

Hap postanowił spróbować czegoś innego.

- A swoją drogą ... zgadnij, kto zjawił się w miasteczku. Key Tackett!

- Nie gadaj!

Poskutkowało. Zastępca szeryfa rozluźnił się i oparł łokciem o szafkę. Jakby zapomniał o Bowiem. Ten z kolei chciał zaszyć się w śpiworze i pospać jeszcze trochę. Ziewnął przeciągle.

Gus spytał:

- Jak się ma nasz stary Key? Przytył trochę? - Roześmiał się i jowialnie poklepał swój wydatny brzuch.

- Nic z tych rzeczy. Nie złapał ani kilograma. Wygląda tak jak wtedy, kiedy grał . naszej drużynie. Babki oglądają się za nim jak diabli. Spójrzy tylko na jakąś i już ją ma. Poza tym zawsze miał gadane. Pierwszy raz przyjechał tutaj ... od czasu gdy pochowali jego brata.

Bowie nadstawił uszu. Pamiętał człowieka, o którym była właśnie mowa. Tackett :zeczywiście robił wrażenie na ludziach - i to zarówno na kobietach, jak i na facetach. Faceci chcieli być podobni do niego. Natomiast kobiety chciały być z nim. Wystarczyło, że usiadł wczoraj przy barze, i już ta ruda z wielkimi cycami zaraz się do niego przyssała. Gruchali tak oboje dobre pół godziny. Potem ona wyszła, a za nią ten Tackett.

Bowie zmarszczył czoło. Nie wierzył w zbiegi okoliczności. Póki co jednak nie ?Owiedziało o tym zastępcy szeryfa. Wiedział, że lepiej powiedzieć trzy słowa za mało : niż jedno za dużo.

- Jak zabrakło Clarka - stwierdził Gus - to stara Jody bardzo się zmieniła.

- Racja.

- Już nie jest taka jak kiedyś.

- I jakby tego było mało, zjawiła się u nas ta lekarka. Ludzie znowu zaczęli gadać to i tamto.

Gus spojrzął w bok i pokiwał głową.

- Jacy diabli przynieśli ją do Eden Pass po tym, co zaszło między nią a Clarkiem kettern? Mówię ci, Hap, ludziska dzisiaj są gównu warte. Myślą tylko o sobie. - To prawda, Gus - westchnął Hap i poklepał swego

rozmówcę po plecach.

- Wiesz co? Jak skończysz służbę, to wpadnij na piwko.

Dyplomacja Hapa wywarła na Bowie spore wrażenie. Zastępca szeryfa bez 5"erania przeszedł przez pusty bar do wyjścia. Bowie zaszył się na nowo w śpiworze wbił wzrok w sufit, pod którym pająki uwiły mnóstwo pajęczyn.

Po chwili do pomieszczenia wrócił Hap. Usiadł na pustej skrzynce po ginie, :?OCzęstował Bowiego papierosem i sam zapalił jednego. Zaciągali się w milczeniu tytoniowym dymem. W końcu Hap odezwał się:

- Może pomyślałbyś o jakiejś innej robocie?

Bowie podparł się na łokciu. Nie był specjalnie zaskoczony, ale chciał, żeby jego acja ostatecznie się wyklarowała.

- Zwalniasz mnie, Hap?

- Właściwie nie.

- Nic nie zrobiłem tamtej cizi.

- Wiem o tym.

- No więc o co chodzi? Co to zajędnia? Gadacie o niej jako jakiejś choleralnej królowej Sabie.

Hap zaśmiał się sucho.

- Dla swojego mężusia ona jest królową. Fergus Win sto n to kurator i nadzoruje tutejsze szkoły. Ma też motel na skraju miasta i ciągnie z niego ciężką forszę. Facet starszy od Darcy o jakieś dwadzieścia lat. Gębę ma jak kapeć i nie główkuje też za szybko. Ludzie gadają, że wyszła za niego dla pieniędzy. Może to i prawda. - Wzruszył ramionami. Po chwili zadumy dodał: - Ja wiem tylko tyle, że jak stary Fergus wybywa z domu, to Darcy zaraz ląduje tutaj. Gorąca osóbką, nie ma co. Miałem ją ze dwa razy, jak byłem młodszy.

Zaciągnął się dymem.

- Jeżeli jakiś złodziejasek rzeczywiście zakradł się do jej sypialni - dodał - to mogła go postrzelić za to, że jej nie zgwałcił.

Bowie zarechotał, ale już po chwili zapytał poważnie:

- Dlaczego mnie wylewasz, Hap?

- Dla twojego dobra.

- Ale przecież ...

- Spokojnie, chłopie. Muszę przyznać, że nie obijasz się w pracy. Wiesz, ja jestem czysty, ale w mojej knajpie zjawia się co noc sporo niewyraźnych typów. Zawsze się może coś zdarzyć i czasem tak jest. Posłuchaj mojej rady i znajdź sobie spokojniejsze zajęcie. Musisz unikać kłopotów. Kapujesz?

Bowie zrozumiał. Zdażył już poznać trochę życia od ciemniejszej strony. Należał chyba do gatunku urodzonych pechowców, za którymi snują się tarapaty. A doświadczony facet, taki jak Hap Hollister, nie chciał mieć pechowca w swojej knajpie. Zrezygnowany Bowie stwierdził:

- Takim jak ja trudno o dobrą robotę. Daj mi jeszcze parę dni, dobra? Hap przytaknął.

- Możesz tu koczować, zanim czegoś nie znajdziesz. Możesz też używać mojego wozu - powiedział i wstał. Papieros przylepił mu się do dolnej wargi. - Dobra, mam trochę papierkowej roboty. A ty się wyśpij. Nie zdążyłeś chyba odpocząć.

Bowie został sam. Położył się na wznak, ale nie mógł zasnąć. Praca tutaj nie była zbyt interesująca, lecz miał za to żarcie i wyrko. Pocieszał się, że sprawy przybiorą lepszy obrót. Były to jednak płonne marzenia. Wciąż jedną nogą jakby siedział w pudle. I teraz przez jakąś tam wywłokę i kurewskiego rabusia powrócił do punktu wyjścia.

Zawsze tak było.

3.

Jody Tackett i jej syn mierzyli się z daleka wzrokiem. dawna odnosili się do siebie chłodno. Key nie wierzył, by kiedykolwiek się to odmieniło. Zmusił się teraz do uśmiechu.

- Cześć, Jody - powiedział. Od lat już nie nazywał ją "mama".

- Witaj, Key - odrzekła i zerknęła srogo na Janellen. - To chyba twoja robota, co?

Key objął siostrę ramieniem .

- Nie obwiniaj jej. Sam chciałem wam zrobić niespodziankę.

Jody Tackett parsknęła. W ten sposób dawała do zrozumienia, że wyczuwa łgarstwo.

- Słyszałam, że kawa już gotowa.

- Tak, mam - przyznała gorliwie Janellen. - Przygotuję dla ciebie i Keya wspaniałe śniadanie. Trzeba

uczcić jego powrót do domu.

- Nie wiem, czy to dobra okazja - stwierdziła Jody, odwróciła się i odeszła. Key westchnął głośno. Nie spodziewał się gorącego powitania, nie oczekiwał nawet zwyczajowych uprzejmości ze strony Jody. Nie miał zwyczaju okazywać uczuć matce, ani ona jemu. Zawsze pamiętał Jody jako nieprzystępną, oschłą kobietę i nigdy nie ..zielił się z nią swoimi skrytymi myślami.

Od dawna żyli jakby obok siebie. Key potrafił zdobywać się na uprzejmość i życzył -ooie, by i ona zachowywała się wobec niego poprawnie. W rzeczywistości bywało _óżnie. Dziś znowu przyjęła go niby obcego człowieka, chociaż pozostał jej jedynym synem.

Nie potrafił jej zrozumieć.

- Bądź wyrozumiały, Key - błagała Janellen. - Ona nie czuje się dobrze.

- Zauważyłem - stwierdził marszcząc czoło. - Źle wygląda. Staro.

- Minęło już sporo czasu, ale ona jeszcze się nie otrząsnęła ... no wiesz.

- Wiem - przytaknął. - Postaram się nie działać jej na nerwy.

Zerknął na siostrę i spytał z kwaśną miną:

- Czy są w domu jakieś kule?

- Pozostała para po twoim wypadku samochodowym. - Podeszła do szafy i wyciągnęła z niej aluminiowe szczudła.

- Przy okazji - poprosił - podaj mi jeszcze jakąś koszulę. Ta, którą miałem na sobie wczoraj, nie trafiła ze mną do domu.

Zignorował jej oburzone spojrzenie i skinął podbródkiem w stronę koszul wiszących na wieszakach.

Zdjęła jedną, białą, pachnącą naftaliną. Key zarzucił koszulę na siebie, nie trudząc się jej zapinaniem.

Podparł się na kulach i skierował ku drzwiom.

- Chodźmy - rzekł.

- Chcesz? Jesteś blady jak kreda.

- Nie chcę. Ale nie chcę też, żeby Jody czekała na mnie ze śniadaniem. Wścieknie się.

Jody siedziała już w kuchni. Popijała kawę i paliła papierosa. Janellen wemknęła się cicho jak mysz i zaczęła przygotowywać jedzenie. Key usiadł przy stole naprzeciwko matki. Kule oparł o krawędź blatu.

Nie wyglądał zbyt świeżo - policzki i podbródek pokrywała mu ciemna szczecina, a włosy na głowie sterczały we wszystkie strony.

Natomiast Jody prezentowała się nader schludnie. Dbała o strój, choć od dawna nie była już atrakcyjną kobietą. Jej cerę opaliło i wysuszyło teksańskie słońce. Nie uznawała próżnego malowania się - jedynie policzki pokrywała cienka warstwa pudru. Mimo podeszłego raczej wieku często myła włosy, a następnie starannie je układała. Nie sama oczywiście - w domu zjawiała się co parę dni ekipa od pobliskiego fryzjera. Nigdy nie lakierowała też paznokci.

Drogie suknie wkładała jedynie w niedzielę do kościoła oraz w nieliczne święta.

Dziś miała na sobie zwykłą bawełnianą bluzkę i wykrochmalone, zaprasowane w kant spodnie.

Zduśliła niedopalek i oschłym tonem spytała Keya:

- W co tym razem wdepnąłeś?

Było to pytanie, lecz jednocześnie zarzut. Key miał wyczytać między słowami, że sam jest odpowiedzialny za swoje nieszczęścia. Dla Jody nie istniało pojęcie przypadku. Wina za wszystko zawsze spadała na Keya.

Gdy kiedyś zleciał z drzewa i złamał obojczyk, Jody zawyrokowała, że w pełni na to zasłużył i na drugi raz pomyśli, zanim zrobi coś równie głupiego. Innym razem dostał od kogoś w czoło kijem baseballowym podczas meczu - Jody zmyła mu głowę, że myślał o niebieskich migdałach, zamiast koncentrować się na grze. Raz znowu potracił go koń - oczywiście według Jody Key celowo go spłoszył. Kiedy poparzył się ogniami sztucznymi, Jody ... I tak było zawsze. Clarkowi wszystkie psoty uchodziły na sucho. Keyowi matka dawała w skórę.

Jednak pewnego razu rzeczywiście miała powody, żeby się wściec. Key upił się i jechał jak szalony wyboistą lokalną drogą, nie dostrzegł zakrętu i jego wóz uderzył w drzewo. Tamtego dnia skończyły się marzenia Jody, że jej młodszy syn zostanie sławnym sportowcem. Nigdy mu nie wybaczyła, że tak ją zawiódł.

Tak więc teraz Key nie oczekiwał matczynego współczucia. Ton jej głosu jednak wyraźnie go zirytował. Zacisnął zęby i półgębkiem rzucił lakoniczną odpowiedź:

- W nic. Skręciłem sobie tylko kostkę.

- A to? - spytała unosząc filiżankę z kawą i wskazując na jego bandaż.

- Pokąsał mnie rekin. - Tu uśmiechnął się do siostry i puścił do niej oko.

- Przestań ze mnie kpić! - wrzasnęła matka.

Masz ci los - pomyślał Key. Do licha, nie miał najmniejszej ochoty na kłótnię.

- Jody, naprawdę nic się nie stało. Nic takiego. Dzięki, siostrzyczko. To mi wystarczy - zwrócił się do Janellen, która postawiła przed nim gorącą kawę.

- Nie chcesz nic zjeść?

- Dziękuję, nie jestem głodny.

Ukryła rozczarowanie pod maską słabego uśmiechu. Na ten widok aż ścisnęło mu się serce. Biedna Janellen. Każdego dnia musiała znosić utyskiwanie starej. Jody potrafiła popsuć najlepszy nastrój.

Wszystko i wszystkich krytykowała, mieszała z błotem. Jak właściwie Janellen udawało się to znosić?

Czy nie miała już tego po dziurki w nosie? Czemu nie poszukała sobie jakiegoś sympatycznego koleżki i nie wyszła za niego za męża? Nie zakochała się? No i co z tego? Wszystko było lepsze od użerania się z Jody.

Musiał jednak przyznać w duchu, że Jody nie odnosiła się do Janellen tak źle jak do niego. Z Clarkiem także postępowała delikatniej, łagodniej. Key zaś miał wyjątkowy dar wkurzania matki.

Przypomniawszy sobie dzień pogrzebu Clarka. Czy coś go wtedy uderzyło? Owszem.

Jody nie uroniła nad swoim synem choćby jednej łzy.

Key zaś gorzko opłakiwał śmierć brata. Płakał też po ojcu, choć właściwie nie zdołał go zbyt dobrze poznać. Ojciec często wyjeżdżał, rzadko przesiadywał w domu. Lecz te nieliczne dni Key pamiętał jako bardzo radosne. Jego staruszek był wesołym facetem. Często śmiał się i opowiadał kawały, a swym urokiem zjednywał sobie mnóstwo przyjaciół i rozmiękczał najtwardsze serca.

Gdy ojciec zginął, Key miał ledwie dziewięć lat. Pojął - za sprawą niepojętej dziecinnej mądrości - że skończyły się dlań dni beztrioski.

Jakby czytając w jego myślach, Jody zapytała nagle:

- Wróciłeś do domu, żeby patrzeć, jak umieram, co?

Key spojrzawszy na nią twardo.

- Jeżeli tak - dodała - to czeka cię wielkie rozczarowanie. Jeszcze nie wybieram się na tamten świat.

Patrzyła wyzywająco, ale Key postanowił obrócić wszystko w żart.

- Miło mi to słyszeć, Jody, bo akurat musiałem oddać do pralni mój czarny garnitur. Wpadłem do domu, żeby zobaczyć, jak wam się wiedzie.

- Przedtem nigdy cię to nie obchodziło. Co cię tak odmieniło?

Key nie czuł się najlepiej, a gderanie matki działało mu na nerwy. Jody nie miała za grosz poczucia humoru ani optymizmu. On chciał złagodzić napięcie, choćby dlatego, że obiecał to siostrze. Jody zaś podgrzewała atmosferę.

- Urodziłem się tutaj - powiedział. - To mój dom. Czy nie jestem tu mile widziany?

- Ależ, Key, co ty wygadujesz? - pospiesznie zaprotestowała Janellen. - Mamo, wolisz kielbaski czy bekon?

- Wszystko jedno. - Jody z irytacją machnęła ręką, jakby opędzała się od muchy.

Zaciągnęła się dymem z papierosa, którego właśnie zapaliła, i spytała Keya:

- Gdzieś ty się włóczył przez ten cały czas?

- Ostatnio byłem w Arabii Saudyjskiej - odrzekł biorąc tyk kawy. Naturalnie nie wspominał, że to Janellen poprosiła go o powrót.

- Pracowałem tam jakiś czas, pilnując bandy nieokrzeszańców - ciągnął.

- Potem wygasł kontrakt i prawdę mówiąc, obmierzył mi tamtejszy upał i piasek. Możesz nie uwierzyć, ale trochę zacząłem tęsknić za Eden Pass. Ostatecznie nie byłem tu już ponad rok. Od śmierci Clarka ... Znowu sięgnął po filiżankę. Po paru chwilach uzmysłowił sobie, że Janellen wpatruje się w niego tak jakoś dziwnie. Zerknął na Jody. Jej czoło zachmurzyło się jeszcze bardziej.

Powoli odstawił kawę.

- O co chodzi?

- O nic - odpowiedziała szybko Janellen. - Chcesz jeszcze kawy?

- Tak, ale sam się obsłużę. Chyba coś się przypala - zauważył. Istotnie, znad patelni unosił się dym.

Key podniósł się z krzesła. Opierać mógł się tylko na jednej, zdrowej nodze.

Powinien teraz wziąć lekarstwo przeciwbólowe, ale zostawił je na górze, w łazience. Mimo przestróg lekarki zapił przed zaśnięciem dwie tabletki potężnym tykiem whisky. To pozwoliło mu znośnie przetrwać noc.

Teraz jednak ból powracał. Żałował, że nie miał ze sobą tej butelki koniaku, którą Janellen chowała na specjalne okazje. Wymieszałby jej zawartość z kawą i w ten sposób sprokurował swój ulubiony

medykament. Gdyby jednak uczynił to na oczach Jody, nie byłoby końca jej gderaniu. Pozostało więc robić dobrą minę do złej gry. Rwało go jednak w boku i piekła kostka. Mimowolnie skrzywił się, siadając znowu na krześle.

- Nie powiesz mi, kto cię tak urządził? - zapytała Jody.

- Nie.

- Tajemnice? Oto, czego nie cierpię.

- Mówiłem ci. To nic ważnego. Drobiazg.

- Wątpię - odpowiedziała kwaśno. - Zapewne znowu wplątałeś się w jakąś kompromitującą aferę.

- Nie przejmuj się. To ciebie nie dotyczy.

- Wszystko, co dzieje się w tym miasteczku, jest moją sprawą! Wracasz i od razu pakujesz się w tarapaty. Dlaczego nie wzięli cię do szpitala?

- Nie pójdę do szpitala. Trafiłem do doktora Pattona i zastałem tam jedną lekarzkę ... Śliczna jak obrazek.

- Wyszczrzył zęby w szelmowskim uśmiechu. - Ona się mną zajęła.

Janellen wypuściła z ręki patelnię. Początkowo Key myślał, że sparzyła się gorącym tłuszczem. Potem zauważył, że twarz Jody zmienia się jak w złej bajce. Matka po prostu kipiała z wściekłości. Znał ją aż za dobrze, by mógł się pomylić.

- Co się dzieje? Gapicie się na mnie, jakbym naszczał na czyjś grób.

- Bo zrobiłeś to. - Jody wycedziła te słowa z prawdziwą nienawiścią.

- Naszczałeś na grób swojego brata.

- O czym ty, do ciężkiej cholery, gadasz?

- Key ... - zaczęła Janellen, ale Jody natychmiast jej przerwała tłukąc pięścią w blat stołu ..

- Ta lekarka - powiedziała. - Czy wiesz, jak ona się nazywa!?

Key usiłował sobie przypomnieć. Był wczoraj w kiepskim stanie i szczegóły niewiele go obchodziły. Zapamiętał piękne oczy i włosy, długie zgrabne nogi. O dziwo, przypomniał sobie nawet zapach jej perfum i kolor lakieru do paznokci. Nie zainteresował się jednak ani imieniem, ani nazwiskiem. Tylko jakie to mogło mieć znaczenie dla Jody i Janellen? Co to je obchodziło? Wyglądało na to, że obie nie ufały niewiastom uprawiającym zawód lekarza.

Próbował rozgryźć tę zagadkę i nagle poczuł charakterystyczny, mdlący ucisk w dołku. Jezu, to niemożliwe.

Jody nadal świdrowała go złym wzrokiem. Popatrzył więc na Janellen. Siostra nerwowo obracała w dłoniach ściereczkę do naczyń. Wreszcie podniosła oczy i powiedziała bardzo cicho:

- Ona przedstawia się jako Lara Mallory, ale po mężu nosi nazwisko ...

- Porter - dokończył Key i powtórzył: - Lara Porter.

Janellen tylko przytaknęła głową.

- Chryste - szepnął i zasłonił dłonią oczy. Jeszcze raz przywołał w myślach postać poznanej kobiety.

Wyglądała niczym kociaki z okładek kolorowych magazynów dla facetów. Nigdy sam nie wpadłby na to, że spotkał Larę Porter, sekutnicę, która przyczyniła się do fatalnego końca jego ukochanego brata.

W końcu wyprostował się na krześle i bezradnie wzruszył ramionami. Po części czuł Się Willien.

- Skąd mogłem wiedzieć? Nie powiedziała mi, jak się nazywa, a ja nie zapytałem.

Widziałem ją kiedyś na zdjęciach, ale ... nie poznałem jej. Ostatecznie minęło już sporo czasu ...

Nagle poczuł do siebie niesmak za to, że usiłował się usprawiedliwiać. Wiedział, iż Jody bez względu na to, co by rzekł, i tak nigdy nie zapomni mu tej wpadki. Potrząsnął więc głową i zapytał:

- A co, u diabła, Lara Porter robi w Eden Pass?

- Mam to gdzieś - odparła opryskliwie Jody. - Jest tutaj i już. I masz się od niej trzymać z daleka, rozumiałeś? Już ja się nią zajmę. Ucieknie z tego miasta z podwiniętym ogonem i nigdy tu nie wróci! Póki co, wszyscy, którzy nie chcą wojny z Tackettami, powinni traktować ją z pogardą, na jaką ta suka zasługuje. I ty też odwracaj się na jej widok. Obym nie musiała ci tego powtarzać.

Machnęła w powietrzu dłonią z papierosem i dorzuciła:

- Pakuj sobie do łóżka wszystkie żdziry z okolicy, tak jak masz w zwyczaju, ale ją omijaj jak zarazę.

Tego już było Keyowi za wiele. Odrzekł poqniesionym głosem:

- No i czego na mnie wrzeszczysz? To nie ja z nią kombinowałem, tylko Clark. Jody powoli wstała.

Przechyliła się przez blat stołu i wbiła w syna wściekłe spojrzenie. - Jak śmiesz się tak wyrażać o swoim bracie? Nie masz choćby za grosz poczucia przyzwoitości, szacunku?

- Clark! - wrzasnął Key zrywając się z krzesła. - Mój brat miał na imię Clark! O jaki znowu szacunek chodzi? To już nie wolno mi nazywać go po imieniu?

- Chodzi o sposób, w jaki o nim mówisz, Key - wtrąciła nieśmiało Janellen.
- Nie rozumiem.
- No wiesz ... on odszedł tak niespodziewanie ... To była tragedia.
- Racja. Ale to jeszcze nie powód, by zapominać, że był człowiekiem jak wszyscy - powiedział i zwrócił się do Jody. - Ojciec widział, że ja i Clark dobrze się rozumieliśmy. Nie próbował nas rozdzielać tak jak ty. Dobra, czasem sprzeczałem się z Clarkiem, ale ostatecznie był moim bratem. Kochałem go. Czuję się fatalnie, kiedy zginął. Nie mam jednak zamiaru zapomnieć o nim, żeby ci zrobić przyjemność.
- Nigdy nie dorastałeś swemu bratu nawet do pięt.
To zabolalo go jak policzek. A więc Jody nie miała zamiaru zawrzeć z nim pokoju.
Pozostało mu tylko odplacić pięknym za nadobne.
- Gdyby był tak nieskazitelny, jak twierdzisz, to nie byłoby tej rozmowy, Jody.
Wtedy Lara Porter nic by dla nas nie znaczyła. Nie byłoby skandalu, kompromitacji. Clark stałby się pierwszym człowiekiem w naszym cholernym stanie.
- Zamknij się!
- Z przyjemnością - rzekł. Wziął kule i skierował się ku kuchennym drzwiom.
- Key, dokąd się wybierasz? - spytała przerażona Janellen.
- Mam umówioną wizytę u pani doktor.
Spojrzał na Jody ze złośliwą satysfakcją i zatrzasnął za sobą drzwi.
*

Lara niewiele spała tej nocy. Nigdy zresztą nie mogła pochwalić się mocnym snem.

Często budziła się i miewała koszmarne sny. Co było tego przyczyną? Przede wszystkim złe wspomnienia.

Nocna wizyta Keya Tacketta poważnie nią wstrząsnęła. Rano wstała z piekielnym bólem głowy. Pod oczami miała sine smugi, które puder ledwie zdołał zamaskować. Wypiła duszkiem dwie filiżanki mocnej kawy i poczuła się trochę lepiej. Myśli jej krążyły jednak nieustannie wokół nie zapowiedzianego nocnego gościa.

Nie sądziła, by jakiś mężczyzna mógł być równie atrakcyjny jak Clark Tackett; po spotkaniu z Keyem zmieniła jednak zdanie. Obaj bracia byli zabójczo przystojni, jednak każdy z nich w odmienny sposób. W Clarku pociągała kobiety jego świeżość, połączona z nienagannym sposobem zachowania. Blond włosy zawsze miał elegancko przycięte i zaczesane, ubrania odprasowane, buty czyściutkie. Był idealnym amerykańskim młodzieńcem, którego matka każdej młodej dziewczyny z radością gościłaby pod swoim dachem.

Z Keyem rzecz się miała inaczej. To typ brutala i uwodziciela, ómy barowej i namiętnego kochanka.

Z zawodu był pilotem. Ci ark twierdził, że jego brat latanie ma we krwi, że czuje maszyny i nie ufa zegarom na tablicach rozdzielczych. Mówił też, że nie ma takiego samolotu, z którym Key nie zdołałby sobie poradzić. Key wolał jednak w rzeczywistości . sportowe awionetki od odrzutowych pasażerskich kolosów.

"Musiałby przestrzegać zbyt wielu reguł i ograniczeń - mawiał Clark z przekąsem. - Key lubi grać wyłącznie na swój prywatny rachunek".

Teraz myśli Lary wciąż nie opuszczała złośliwy uśmiezek Keya. Istotnie, trudno go było sobie wyobrazić w mundurze pilota, śpiewnym głosem informującego pasażerów, że oto samolot podchodzi do lądowania.

Oczy Keya były błękitne - podobne jak Clarka. Tyle że Clark miał jasną cerę i blond włosy. Powieki Keya zdobiły długie, grube czarne rzęsy, głowę zaś porastały ciemne gęste włosy, niesfornie jak on sam. Clark golił się starannie każdego ranka. Key beztrudno nosił wielodniowy zarost, który - o dziwo - bynajmniej go nie szpecił. Przeciwnie, dodawał mu jeszcze uroku.

Clark przypominał schludne domowe zwierzątko. Key zaś nieokrzesanego dzikiego zwierza. Lara niemal słyszała ryk, dobywający się z jego gardzieli.

- Dzień dobry.

Podskoczyła, jakby ktoś przyłapał ją na czymś nieprzyzwoitym.

- Och, witaj, Nancy. Nie słyszałam, jak wchodziłaś - powiedziała oddechając z ulgą.

- No chyba. Wygląda na to, że buja pani w obłokach - stwierdziła pielęgniarka, stawiając na biurku torbę i nakładając fartuch. - Co się stało z telefonem?

- Zawadzał mi. Postanowiłam przenieść go gdzieś ...

Nie chciała jeszcze rozmawiać o wizycie, jaką złożył jej Key Tackett. W każdym razie nie z Nancy.

- Kawy? - spytała biorąc do ręki dzbanek.

- Pewnie - odrzekła pielęgniarka przynosząc filiżanki i cukier. - Czy zostały jakieś ciasteczka?

- W kredensie. Myślałam, że jesteś na diecie.

Nancy Baker pochłonęła jednym kęsem połowę ciastka i oblizała lukier z palców.

- Zrezygnowałam z diety - przyznała ze smutkiem. - Ciągle musiałam liczyć kalorie. Co to daje? Poza tym Clemowi podobam się taka, jakajestem. Mówi, że im mnie więcej, tym lepiej.

Lara uśmiechnęła się.

- Jak minął wolny dzień? - zapytała.

- Świetnie - odrzekła Nancy cmokając. - Po prostu bombowo. Mały Clem wystroił się w buty swojej siostry i dreptał w nich cały dzień. Kiedy próbowaliśmy mu je zdjąć, wrzeszczał, jakby ktoś chciał mu zrobić krzywdę. No więc zostawiliśmy go w spokoju. Mogę wytrzymać człapanie, ale wrzasku nie.

Nancy zawsze miała pod ręką zabawne opowiadki o swej rodzinie. Wciąż marudziła, że ciężko pracuje, że dzieciaki nie dają jej spokoju - a miała ich troje. Lara jednak dobrze wiedziała, że Nancy kocha męża i swoich brzdąców i nie zamieniłaby się z nikim na świecie.

Kiedy tylko Lara przybyła do miasteczka, dała do lokalnej gazety ogłoszenie, że zatrudni pielęgniarkę.

Zgłosiła się jedynie Nancy i, rzecz jasna, została przyjęta. Miała odpowiednie kwalifikacje, chociaż przez ostatnie dwa lata zajmowała się wyłącznie wychowaniem Clema juniora.

Lara lubiła ją szczerze, choć może trochę jej nawet zazdrościła. Zazdrościła domowego ciepła i tych codziennych drobnych problemów z dziećmi. Własne życie Lary było pasmem wlotów i upadków. Teraz nie miała nikogo.

- Gdyby nie Clem - powiedziała Nancy pałaszując drugie ciastko, - tobym chyba zwariowała. On jednak znajdzie na wszystko sposób. Wraca z pracy, odstawia dzieciaki do swoich rodziców i zabiera mnie na obiad. Wczoraj też zabrał mnie do drogiej restauracji, do "Dairy Queen". Było cudownie. A wieczorem mały Clem był tak zmęczony, że od razu zasnął. Schowałam te przeklęte buty, żeby sobie o nich nie przypomniał. Duży Clem znalazł jeszcze czas i poszedł do weterynarza z naszym psiakiem. Okazało się, że suczka chodzi z brzuchem. Chętnie sprezentuję więc milusiego szczeniaka ...

- Ja dziękuję - wtrąciła Lara ze śmiechem.

- No tak. - Nancy pokiwała głową i umyła ręce nad umywalką. - Lepiej sprawdzę, czy ktoś jest na dzisiaj umówiony.

Obie jednak dobrze wiedziały, że nie czeka ich zbyt wiele zajęć. Ludzie z Eden Pass rzadko zaglądali do gabinetu. Lara pracowała tu już od sześciu miesięcy, lecz z trudem wiązała koniec z końcem. Gdyby nie miała oszczędności w banku, musiałaby chyba zaprzestać praktyki.

Pieniądze nie stanowiły dla niej najważniejszej sprawy. Była dobrą lekarką i wiedziała o tym. Chciała pomagać potrzebującym i chorym ...

Nie to jednak skłoniło ją do przenosin do tego miasta.

Od dawna snuła plany, jak zbliżyć się do Keya Tacketta. Gdy nadarzyła się okazja przeprowadzki do jego rodzinnego miasteczka, nie wahała się długo. Nie zdawała sobie sprawy, że będzie musiała stawić czoło różnorodnym kłopotom.

Tutejsi mieszkańcy przyzwyczaili się do doktora Pattona i z oporami akceptowali ją jako następczynię starego lekarza. Dyplom Lary, wiszący teraz w ramach na ścianie, nie robił na nich większego wrażenia. Podobnie jak jej biblioteczka z medycznymi książkami. Patton leczył, ale był też kimś w rodzaju powiernika. Lara wciąż egzystowała w jego cieniu.

J chciała się z niego wyrwać. Planowała przemałować gabinet i wymienić staroświeckie meble na nowocześniejsze.

Trudniej jednak zmienić ludzi. Doktor Patton, zanim przeszedł na emeryturę, pracował w Eden Pass ponad czterdzieści lat i z wszystkimi był za pan brat. Gdy Lara zajęła jego miejsce, pacjenci pytali:

- A gdzie doktorek?

O to samo zapytał i zeszłej nocy Key Tackett.

Lara Mallory podejrzewała, że nigdy nie zdoła zaskarbić sobie takiego zaufania, jakim cieszył się Patton.

Po pierwsze - była kobietą. Po drugie - miała za sobą romans z Cl;lrkiem Tackettem. I wszyscy tu o tym wiedzieli. Jej przybycie wzbudziło małą sensację. Lara miała cichą nadzieję, że kiedyś jednak zapomną o wszystkim i będą ją szanować za kwalifikacje, których jej przecież nie brakło.

Nie doceniła tylko Jody Tackett i jej wpływu na tutejszych mieszkańców. Chociaż nigdy nie zetknęły się bezpośrednio, to matka Ciarka czyniła wszystko, by Larze powinęła się noga.

Pewnego popołudnia Lara próbowała porozmawiać na ten temat z Nancy.

- Chyba wiem, dlaczego ludzie z Eden Pass wolą jechać trzydzieści kilometrów do ego miasta, kiedy im coś dolega - zaczęła.

- To jasne jak słońce - odparła Nancy. - Jody Tackett powiedziała, że kto trafi do tego gabinetu, ten

znajdzie się na jej czarnej liście.

- Czy tu chodzi o Ciarka?

- No, myślę. Wszyscy tu znają całą sprawę ze szczegółami. Afera przycichła, ale ożyła na nowo, kiedy się tu pani sprowadziła. Jady się zawzięła i zamierza panią wygryźć.

- W takim razie dlaczego nadal chcesz dla mnie pracować?

Nancy westchnęła.

- Mój ojciec harował dla Tackett Oil przez dwadzieścia pięć lat. Póki firmą sterował stary Clark, wszystko szło jako tako... Ale pewnego razu miał miejsce wypadek. Ojciec zginął...

- Tak mi przykro. Czy to była wina Tackettów?

- Owszem, ale zrobili wszystko, żeby uciszyć sprawę. Matka szybko dostała pieniądze z ubezpieczenia. A jednak żaden z Tackettów nie pofatygował się na pogrzeb. Nikt nie zadzwonił z kondolencjami. Nikt nie przyszedł porozmawiać z mamą. Przyniesli jej kwiaty, ale przez posłańca. Byłam wtedy bardzo młoda, ale uważałam, że zachowali się wrednie. Tatuś pracował dla nich z oddaniem, często po godzinach. A oni się od nas odwrócili. Od tamtej pory mam złe zdanie o Tackettach. Szczególnie o Jody.

- Dlaczego tak jej nie lubisz?

- Wyszła za Clarka seniora tylko po to, żeby położyć łapę na firmie. - Nancy przysunęła się bliżej i dodała cicho: - Stary Clark dorobił się fortuny na ropie. Muszę ednak przyznać, że się nie oszczędzał. Zasuwał po nocach, sam pilnował ludzi. Jego wniacy woleli się bawić. Wydawali mnóstwo forsy. Karty, wódka, kobiety. Stary był diabelnie przystojny. Niektóre po nim płakały. Ale głowę dam, że Jody nie. Kiedy gozabrakło, miała wreszcie to, czego chciała.

- Przejęła firmę?

- Przejęła wszystko - westchnęła Nancy. - Podwinęła rękawy i zaczęła rządzić się sama. To twardy babsztyl. Nie do zdarcia. Wychowała się na farmie, w biednej :od.zinie. Farmę zresztą zniszczyło tornado. Zginęli wszyscy oprócz Jody. Przygarnęła ją jedna wdowa. Jody była pojętna i bystra. Szybko się uczyła. Skończyła jakąś dobrą szkołę gdzieś w Teksasie. I od razu znalazła robotę u starego Clarka. Przypadła mu do gustu. Była odpowiedzialna, ambitna, obrotna ... A on nie lubił trzpiotek, choćby nawet były strasznie nadziane. Skończyło się na ślubie. Nie wiem, czy to prawda, ale chodzą słuchy, że Clark potem bardzo się zmienił. Zaczął gustować w przyjęciach. I rozglądać się za innymi babkami. Może to dlatego, że Jody tak mu dopiekała? Małżeństwo jednak trwało. Tyle że jakoś nie było widać potomka. Zaczęły już krążyć sprośne plotki ... że Jody niby nie jest za piękna i stary jakoś nie ma do niej zapału. Tymczasem wszystko działa się podług jej planów. Ona chyba uważa, że uroda i mądrość to dwie cechy, które nie mogą iść ze sobą w parze.

- Czy nie buntowała się, że mąż ugania się za innymi kobietami? Nancy wzruszyła ramionami.

- Jeśli nawet, to nie pokazywała tego po sobie. Interesowała się głównie firmą. Myślę sobie, że bardziej zależało jej na jego pieniądzach niż na nim. No, ale to właśnie dzięki niej Tackett Oil przetrwała chude lata. Konkurencja odpadała, ale jej przedsiębiorstwo przynosiło coraz więcej pieniędzy. Twarda z niej kobieta.

- Właściwie co w tym złego? - zastanowiła się na głos Lara.

- Cóż, powinna pani zrozumieć jedno. - Nancy jeszcze bardziej ściszyła głos, choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ją podsłuchać. - Ona ponad wszystko kochała swojego chłopaka, Clarka. Była skryta, ale to wiedział każdy. Poza synalkiem prawie nie widziała świata. Oczekiwała od niego tak wiele, chciała, żeby został sławnym politykiem. I uważa, że to właśnie przez panią jej plany legły w gruzach.

- Ona i wszyscy inni.

Po chwili namysłu Nancy dodała:

- Niech pani ma się na baczności, doktor Mallory. Jody ma tu władzę i pieniądze. Jej nie ma co lekceważyć. Sarna jednak jestem po pani stronie.

I poklepała Larę po ramieniu.

Cóż jednak znaczyła samotna Nancy wobec większości ludzi w miasteczku?

Pacjenci nader rzadko trafiali do jej gabinetu. Niewielu odważyło się zaryzykować konflikt z Jody. Jak na ironię, jednym z tych odważnych okazał się jej własny syn.

Tyle że Key Tackett z pewnością zdołał się już połapać, jaką to gafę strzelił. Ktoś już zdążył otworzyć mu oczy.

Lara postanowiła nie zwracać uwagi na nieprzychylną atmosferę wokół swojej osoby. Przybyła do Eden Pass w konkretnym celu i nie było nim zaskarbienie sobie uznania Tackettów.

Uważała, że byli jej coś winni, i miała gdzieś, czy ją lubią, czy nie.

*

Mimo wszystko tego poranka zjawilo się parę osób. Najpierw przyszła staruszka z litanią skarg na swoje zdrowie. Lara przebadala ją i stwierdzila, że pacjentce nic nie dolega. Najwyzej samotność. Przepisala jej zestaw witamin i poradzila zapisać się do kółka przy kościele metodystów.

Następnie do gabinetu przyprowadzono trzyletniego chłopca z gorączką i bólem ucha. Lara dala mu lekarstwa i uspokoila podenerwowana matkę. I wówczas uslyszala jakies zamieszanie za drzwiami.

- Nancy, co tam się dzieje?! - krzyknela.

Drzwi otwarty się z hukiem i stanął w nich Key Tackett. Poslugiwal się kulami, ale nawet z nimi poruszal się nader sprawnie. Widać bylo, że kipi wściekłością.

Zbliżył się do niej, lecz ona nie zamierzala ustępować.

- Wizytę wyznaczylam panu na popołudnie, panie Tackett.

Matka wrzeszczącego w niebo głosu dziecka znalazła się za Larą. Do pokoju zabiegowego weszła też Nancy, gotowa stanąć w obronie pani doktor. Mimo to Lara poczula się jak zwierzę schwyttane w potrzask.

- Dlaczego nie powiedzialas mi wczoraj, kim jesteś?

Zignorowala jego pytanie i rzekla:

- Jak widać, jestem teraz bardzo zajeta. Czekaja na mnie pacjenci. Jeśli chce pan chce mna porozmawiac, to proszę najpierw powiedziec o tym rejestratorce.

- Dobrze wiesz, o czym chce z toba pogadac.

Ze skroni splynela mu kropla potu. Jego twarz pokrywala chorobliwa bladosc. Widać bylo, że walczy z bólem.

- Lepiej, żeby pan usiadł, panie Tackett. Jest pan z pewnością oslabiony, wyczerpany utrata krwi i ...

- Daruj sobie to pieprzenie! - wrzasnala ordynarnie. - Dlaczego nie powiedzialas mi w nocy, że to ty jesteś tą dziwką, która zrujnowala życie memu bratu?

4.

Te brutalne słowa zabolaly ją nkzym policzek. Po-rczula zawrót głowy i wzięła głębokii oddech. Podłoga pod stopami zakolysala się niebezpiecznie. Lara wyciągnęła ramię i oparla się o ścianę.

Nancy pospiesznie przyszła jej w sukurs.

- No i widzi pan, panie Tackett - zganila go. - Nie wolno tak wpadac i robic naglego zamieszania.

- Chętnie pogadalbym z toba, Nancy, o starych dobrych czasach, ale przyszedlem tutaj, żeby zobaczyc się z panią doktor. - Ostatnie słowa wypowiedzial z wyraźnym sarkazmem.

Lara zdolala się jakoś pozbierac. Wskazala Nancy kobietę z płaczącym dzieckiem na rękach.

- Proszę zajac się na razie panią Adams i Steve'em. Postaram się szybko załatwic swojā sprawę.

Nancy jakoś nie chciala tego uslychac, w końcu jednak zmierzwszy Keya groźnym spojrzeniem, wyprowadzila kobietę z gabinetu i głośno zamknela za soba drzwi.

Lara tymczasem wyminęła Tacketta, otworzyła drugie drzwi, wiodące do poczekalni, i zwróčila się do paru zdziwionych pacjentów:

- Poproszę o chwilkę cierpliwosci. - Starala się, by jej głos brzmial jak najspokojniej. - Mamy tu nieprzewidziane zajście. Jak państwo sami widza, pan Tackett jest ranny i potrzebuje natychmiastowej pomocy medycznej. Poradzę sobie jednak szybko z tym przypadkiem.

- Nie byłbym taki pewien.

Pacjenci doslyszeli teraz i jego głos. Spojrzeli niepewnie na Larę.

- Powtarzam: załatwie sprawę tak szybko, jak będę mogła - zapewnila ich. Następnie zwróčila się do Keya: - Proszę.

Zamknela za soba drzwi i wtędy własnii poniosla ją wściekłością.

- Jak śmiales odezwac się do mnie w ten sposób przy ludziach, przy moich pacjentach!? Moglbym wytoczyc ci proces w sądzie!

- Nie doszloby do tej sceny - stwierdzil, kiwajac głową w stronę poczekalni - gdybyś w nocy powiedziala mi, kim jesteś.

- Nie pytales o to. A sam przedstawiles się tuż przed odjazdem.

- No cóż. Już mnie znasz.

- Owszem. I nie dziwie się wcale, że należysz do rodziny Tackettów. Arogancja to chyba wasza cecha przekazywana z pokolenia na pokolenie.

- Nie chodzi o moją rodzinę. Chodzi o ciebie. Co ty własnii, do cholery, robisz naszym mieście?

- W was z y m mieście! Trochę dziwacznie to zabrzmialo w ustach człowieka, óry zwykle krąży po całym

świecie. Kiedyś Clark powiedział mi, że rzadko zaglądasz do Eden Pass. A więc niech zapytam, czemu tu jest miasto zawdzięcza ten zaszczyt, że może cię gościć?

Zdenerwował się wyraźnie i postąpił krok ku niej.

- Lepiej uważaj na słowa. Nie przyszedłem tu po to, by wymieniać z tobą kąśliwe uwagi. Nie bądź taka dowcipna i nie zmieniaj tematu.

- A jaki niby jest ten temat?

- Zapytałem cię, co, do licha ciężkiego, tutaj robisz?! - wrzasnął.

Naraz uchyliły się drzwi i ukazała się w nich głowa Nancy .

- Doktor Mallory ... Czy wzywała mnie pani?

Na twarzy Keya nie drgnął nawet jeden mięsień. Zachowywał się tak, jakby wcale nie usłyszał słów Nancy.

Lara odzyskała już całkowicie równowagę ducha. Od dawna wiedziała, że jeśli chce ;;opiąć swego celu, to pewnego dnia musi stawić czoło Keyowi. I skoro ta chwila nadeszła tak szybko, to nie można się bać, nie można uciekać.

Spojrzała na pielęgniarkę.

- Nie, Nancy. Dziękuję ci. Postaraj się trochę uspokoić czekających pacjentów. - Następnie zerknęła na wzburzone oblicze Keya i dodała: - Ja tymczasem postaram się okiełznać trochę temperament pana Tacketta.

Mina Nancy wskazywała, że pielęgniarka nie uważa tego za dobry pomysł. posłuchała jednak Lary, która teraz wskazała na krzesło.

- Proszę usiąść, panie Tackett. Poblądł pan.

- Czuję się świetnie.

- Akurat. Ledwie pan stoi na nogach.

- Powtarzam, nic mi nie jest - rzekł, znowu podnosząc głos.

- W porządku, jak pan chce. Ale ja także już coś mówiłam. Czy uprzejmie zechciałby pan nie wrzeszczeć?

Zrobił krok w jej stronę. Patrzyli sobie z bliska prosto w oczy .

- No jasne. Nie chcesz, żeby ta garstka ludzi w poczekalni usłyszała, jak to twój mąż przyłapał cię w łóżku na igraszkach z moim bratem, co? Nie przejmuj się. Oni i tak o tym wiedzą.

Zdarzało się jej już słyszeć te oskarżenia. W tym przypadku czas nie zaleczył rany. Odwróciła się do niego plecami i podeszła do okna. Zerknęła na żwirowy podjazd.

Jednej z pacjentek najwidoczniej obmierzło czekanie, gdyż wsiadała właśnie do swojego samochodu. Wyglądała jak nastolatka, którą pierwszy raz zaniósł do budki z literaturą pornograficzną. Uciekała z płonącymi policzkami. Koła jej wozu wzniosły chmurę kurzu.

Laura obserwowała tę scenę i jednocześnie myślała nad odpowiedzią. Rzekła w końcu: - Staram się jak mogę usunąć wspomnienie tego incydentu z mojej pamięci.

Próbuję o nim zapomnieć.

Odwróciła się szybko od okna. Stała teraz z dala od Keya i czuła się z tego powodu znacznie pewniej, choć nadal trochę napawał ją strachem. Przyszedł nie ogolony i wyglądał niemal na przystojnego opryszka. No i był piekielnie seksowny, co dodatkowo ją peszyło. Gdyby to okazała, dałaby dowód, że ludzie nie bez podstaw brali ją na języki.

Opuściła wzrok i dodała:

- Czy mam być z tego powodu potępiona, panie Tackett? Ta historia zdarzyła się dawno temu.

- Tak, dawno temu. Pięć lat. I co z tego? Zniszczyłaś karierę i życie memu bratu. Nigdy się z tego nie pozbierał.

- Ani ja! - zaprotestowała.

- Czyżby? - parsknął z sarkazmem. - Narobiłaś szumu wokół siebie. Zostałaś znaną femme fatale.

- Nie chciałam tego.

- Trzeba było o tym pomyśleć włączając do sypialni Clarka. Jezu - powiedział potrząsając grzywą. - Trzeba mieć trochę wycucia. Jak można puszczać w trąbę męża, który śpi w tym samym domu?

Wiedziała, że musi nad sobą panować, chociaż nie było to proste. Gdy rozpętał się skandal, nauczyła się zachowywać kamienną twarz, kiedy atakowali ją żądni sensacji reporterzy. Nauczyła się skrywać emocje.

Teraz uciekała się do tego samego. Zdradziłby ją ton głosu, więc przezornie nie odzywała się wcale.

- Tamta sprawa nie do końca jest dla mnie jasna - rzekł. - Możesz mi wytłumaczyć to i owo.

- Nie mam zamiaru z tobą dyskutować. Poza tym czekają na mnie pacjenci.

- Ja też jestem pacjentem. Zapomniałaś o tym, czy co? - Oparł jedną z kul o blat biurka i wysunął do

przodu lewą stopę. - Musisz się mną zająć.

W pogłoskach zawsze tkwi ziarno prawdy. Key nie od parady nosił miano uwodziciela. Lara nie odpowiedziała, choć musiała zapanować nad uśmiechem.

- No dalej, pani doktor. Chcę wiedzieć, jak to było. Clark urządził wtedy przyjęcie, prawda?

Lara z uporem milczała.

- Mam czas - ostrzegł ją cicho. - Przez tę cholerną kostkę nie mam nic do roboty przez cały dzień. I nigdzie się stąd nie ruszę, jeżeli nie będę chciał.

I co teraz? - zastanawiała się. Mogła zadzwonić po szeryfa i poprosić go, by usunął stąd natrętnego pacjenta. Szeryf Baxter był jednak rzeczywiście przyjacielem rodziny Tackettów. Gdyby go wezwała, mogłoby się to skończyć nowym skandalem. A dość już miała swoich problemów. Nauczyła się jednego - duma i miłość własna to sprawy drugorzędne.

- Clark zaprosił grupę ludzi z Waszyngtonu, by spędzili wolny dzień - powiedziała wreszcie. - Wśród gości znalazł się Randall. No i ja.

- Tylko że to nie był pierwszy raz, kiedy trafiłaś do domu Clarka w Wirginii, co?

- Nie.

- Znałaś to miejsce?

- Tak.

- Clark pozostawał kawalerem, a ty pracowałaś dla niego jako hostessa.

- Pomagałam mu w przygotowywaniu przyjęć.

- No i to was do siebie zbliżyło?

- Musieliśmy razem zaplanować jadalnię ...

- Och, no jasne - zakpił.

- Clark był publiczną figurą. Lubił porządek. Wszystko musiał mieć ustalone w najdrobniejszych szczegółach.

- A czy ja mówię, że nie?

Docinki Keya były równie irytujące, jak jego brutalne oskarżenia. Lara naraz zdała sobie sprawę, że zacisnęła dłoń w pięści. Usiłowała się zmusić, swobodnie oddychać. Bez powodzenia.

- Przygotowywanie wystawnych kolacji - ciągnął - i tego typu rzeczy zabierały wam pewnie mnóstwo czasu.

- Nie narzekałam. To był rodzaj odpoczynku po wyczerpującej pracy w szpitalu.

- No, myślę. A więc oboje ... ty i Clark. .. pracowaliście razem i staliście się sobie, no, bardzo bliscy.

- Tak - odpowiedziała cicho. - Twój brat był uroczym mężczyzną. Miał bogatą osobowość. Nie sądzę, bym jeszcze kiedykolwiek spotkała kogoś tak energicznego, z taką werwą. Nie pozwalał sobie choćby na chwilę lenistwa. Mówił o swoich ideałach, był bardzo ambitny i chciał lepszego jutra nie tylko dla siebie, ale i wszystkich ludzi. Wcale się nie dziwię, że trafił do Kongresu za sprawą głosów wyborców z Teksasu.

- Zaczął karierę polityka zaraz po skończeniu uczelni - rzekł Key, choć Lara dobrze o tym wiedziała. - Wysoko mierzył. Już jako młodzik chciał wejść do Izby Reprezentantów.

- Twój brat miał wielkie plany. Potrafił godzinami rozprawiać na jakiś temat. Jego entuzjazm i optymizm były zaraźliwe.

- No proszę. To brzmi jak wyznanie miłosne.

- Już mówiłam, że byliśmy sobie bardzo bliscy.

- Tylko że ty miałaś męża.

- Clark i Randall przyjaźnili się ze sobą. Właściwie to Randall poznał mnie z twoim bratem.

- Ach. - Uniósł palec wskazujący. - Małżonek przedstawia kochankę żonie. Biedaczek. Co za szmira.

Mężowie zawsze dowiadują się ostatni, że ich żony puszczają się na lewo i prawo. I zwykle z ich najlepszymi kumplami. Czy Randall nie zaczął czegoś podejrzewać, kiedy się dowiedział, że spędzisz noc w Wirginii, zamiast wracać do Waszyngtonu z pozostałymi gośćmi?

- To był pomysł Clarka. Następnego dnia miał grać z Randallem w golfa. Byłoby dziwne, żebym wracała do Waszyngtonu i rano leciała z powrotem do Wirginii. W każdym razie tak uznał Randall.

- Chyba bardzo ci to pasowało. Pozazdrościć takiego ufnego męża. Pieprzyłaś się z nim w te same dni, kiedy robiłaś go w konia?

Uderzyła go w twarz. Mocno. Odgłos policzka przestraszył ją bardziej, niż zabolą Keya. Spoliczkowała kogoś pierwszy raz w życiu. Nie sądziła, że stać ją na to.

Rodzice zawsze wbijali jej do głowy, że musi kontrolować swe emocje. Nie znosili wybuchów wściekłości, wrzasków, nieopanowanej radości. Uważali, że nie wolno zachowywać się w ten sposób, że to w bardzo złym guście. I chyba mieli rację. W każdym razie sprawdzało się to w Waszyngtonie.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób Key zdołał aż tak bardzo wyprowadzić ją z równowagi. A jednak udało mu się. Gdyby nie fakt, że piekła ją dłoń, pewnie nie wierzyłaby już teraz sama, iż dała mu po twarzy. W ułamku sekundy schwycił ją za nadgarstek i gwahownie przyciągnął do siebie. - Nie rób tego więcej - powiedział cicho, niemal nie poruszając ustami.

Jej błyszczące oczy zdawały się ciskać snopy iskier.

- A tobie nie wolno mówić do mnie w ten sposób.

- Nie? A to dlaczego?

- Nie masz prawa mnie osądzać.

- Tak ci się zdaje? Są takie kraje na świecie, gdzie nadal kamienują kobiety za niewierność małżeńską.

- Czy poczułbyś się lepiej, gdyby mnie ukamienowali? Uwierz mi, przesłama już i tak prawdziwe piekło. -

Czuła, jak krew odpływa jej z dłoni uwięzionej w uścisku. Poruszyła palcami.

- Boli - powiedziała.

Puścił ją i zrobił krok do tyłu.

Wybąkał pod nosem coś, co zabrzmiało jak słowa przeprosin. Dziwne, ale pomyślała, że szczerze mu przykro za to, co powiedział.

Po chwili Key skrzywił się i przyłożył rękę do boku.

- Czy rana daje o sobie znać? - zapytała.

- Nie, nie.

- Czegoś ci potrzeba?

- Niczego.

Powinna podbiec do niego teraz, gdyż staniał się na nogach. Nie zrobiła tego. On z pewnością nie doceniłby tego gestu. Przede wszystkim jednak nie chciała dotykać go pod żadnym pozorem. Wiedziała już, jakie wrażenie na niej wywiera jego bliskość.

Zaczęła więc rozmasowywać obolałą rękę i próbowała obrócić całą sprawę w żart.

- Zazwyczaj nie policzkuję swoich pacjentów.

Dowcip był nie całkiem na miejscu. Key nawet się nie uśmiechnął. Wbił twardy wzrok w jej twarz.

- Nie poznałem cię wczoraj - przyznał. - Kiedyś widziałem twoje zdjęcia. Teraz wyglądasz inaczej.

- Postarzałam się o pięć lat.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie w tym rzecz. Masz inne włosy.

Podświadomie dotknęła ich palcami.

- Już nie rozjaśniam. Randallowi bardziej podobały się blondynki.

- Skoro już o nim mowa ... - podjął. - Biedny Randall. Chyba czuł się jak śmieć, kiedy się o wszystkim dowiedział, co? Ciekawe, dlaczego cię nie rzucił? - vi jego głosie znowu zaczęła pobrzmiwać nuta ironii.

- Jego żona trafiła na okładki czasopism jako kochanka senatora Clarka Tacketta. Mógł sobie obejrzeć fotografie, jak umykasz z domu Clarka w samej bieliznie, i co?

- Nie musisz wspominać o tych zdjęciach. Pamiętam je doskonale.

- No i co zrobił Randall? - spytał puszczając mimo uszu jej słowa.

- Był przecież szyszką. Dyplomatą. Powinien coś powiedzieć, złożyć jakieś oświadczenie. Czy zaprzeczył wszystkiemu? Nie. Czy bronił twojego honoru? Też nie. A może potraktował cię jak niewierną sukę? Nic z tych rzeczy. Może przynajmniej stwierdził, że każdy w życiu błądzi, no i przytrafiło się to i tobie? Nie.

Zamilkł na moment, lecz po chwili podjął nieubłagane:

- Randall był cholernie spokojny. Nabrał wody w usta, a potem zabrał się razem z tobą do jakiejś bananowej republiki. Dzienniki powtarzały jego słowa: "żadnych komentarzy". - Key wzruszył ramionami.

-- No ale co właściwie może powiedzieć facet, którego żona pieprzy się tuż pod jego nosem z najlepszym kumplem, a hieny ze

zmatławców rozdmuchują całą aferę?

- Zdaje się, że nic - stwierdziła sucho. Postanowiła, że nie straci znów panowania nad sobą, choćby on starał się jak tylko mógł wyprowadzić ją z równowagi.

- Choć Randall zginął męczeńską śmiercią za swój kraj, to mimo wszystko, uważam go za tchórza.

- No cóż, to twoja opinia. Nikt cię nie pytał o zdanie. Poza tym nie mam ochoty rozmawiać z tobą o swoim byłym mężu i naszym życiu osobistym. Ale skoro mówimy o tchórzostwie, to jak można nazwać twego brata? On przecież także nie bronił mojego honoru.

Tak, Clark zachował się w tamtych okropnych dniach tak jak i Randall. Rzucił ją na pożarcie żadnym sensacji dziennikarzom. Obaj milczeli jak zakłęci, tak jakby się zmówili, a winna za wszystko spadła na nią.

- A cóż on mógł zrobić?

- Mógł. I zrobił. Jak sądzisz, za czyją sprawą wysłano Randalla na Montesangre?

- Nie zastanawiałem się nad tym.

- No to pomyśl teraz. Ten kraj to istne piekło - powiedziała z goryczą. - Bagno. Parszywa, brudna, skorumpowana mała republika. Chaos i przemoc na każdym kroku. Randall wcale nie chciał tam jechać. Nie prosił o to. To robota twojego brata. Tak właśnie uporał się ze skandalem. Wmiał śmieci pod dywan.

- Cóż w tym dziwnego? Przez ciebie wszyscy odsunęli się od niego. Jego przyjaciele okazali się kurakami na dachu. Odwrócili głowy gdy wiatr zawiął z innej strony.

- Jednak kilku ludzi w Waszyngtonie miało Clarkowi coś do zawdzięczenia. Wystarczyło parę telefonów i bardzo prędko Randall trafił do tego okropnego kraju. Clark posłał go na stracenie, z dala od cywilizowanego świata.

- Przesadzasz - stwierdził Key ruszając wprost ku niej. - Chyba chcesz zwalić winę na innych. Widać, Clarkowi niezbyt na tobie zależało i chciał się ciebie pozbyć. Chyba byłaś kiepską kochanką. Jej twarz poczerwieniała ze wzburzenia.

- Po skandalu niewiele już mnie łączyło z Clarkiem - wyjaśniła.

- Bo zrujnowałaś mu karierę. Przestał się liczyć w światku polityków. Przestali go nawet popierać ludzie z jego partii. Amerykanie to purytańska nacja. Wystarczyło, że został przyłapany w kompromitującej sytuacji z kociakiem.

- Nie jestem żadnym kociakiem!

- Mniejsza o to - stwierdził zgryźliwie. - Póki się nie zjawiłaś, mój brat piął się w górę w Waszyngtonie. Po tym nieszczęsnym zdarzeniu w Wirginii jego notowania raptownie spadły.

- Litujesz się nad biednym Clarkiem?! Chyba wiedział sam, co robi?

- Wiedział, że ryzykuje, co?

- Właśnie.

- W pewnych sytuacjach każdy facet traci czasami głowę dla ...

- Możesz nie kończyć - wtrąciła szorstko. - Myślisz, że tylko Clarkowi przyszło płacić za chwilę słabości? - spytała krzyżując wojowniczo ramiona. - Nie, mnie także. Moja kariera była dla mnie tak samo ważna, jak dla Clarka jego własna.

- Ty wyjechałaś z kraju.

- I co z tego? Nawet gdybym nie przeniosła się z Randallem na Montesangre, to nie układałoby mi się gładko. Nie zatrudniłby mnie żaden szpital w okolicach Waszyngtonu. Nie wiem, czy w końcu zaczepiłabym się gdziekolwiek, gdyby Clark nie wykupił dla mnie tego mieszkania.

- Co takiego?! - Key prawie podskoczył na swych kulach.

Lara uśmiechnęła się. Zastanawiała się, czy on rzeczywiście jest taki zaskoczony, czy tylko udaje.

- Nie wiedziałaś o tym?

Key ściągnął brwi.

- Aż trudno mi w to uwierzyć - powiedziała i dorzuciła, obserwując go pilnie:

- Clark wykupił posesję doktora Pattona, kiedy ten zakończył praktykę. Chciał, żebym zamieszkała właśnie tu. .

Mierzył ją wzrokiem dłuższą chwilę. Obawiała się spojrzeć mu prosto w oczy, ale w końcu uczyniła to.

Key był wyraźnie wzburzony.

- Kłamiesz - rzekł.

- Spytaj, kogo chcesz. To publiczna tajemnica.

- Byłem obecny przy odczytywaniu testamentu Clarka. O tobie nie było w nim nawet słowa. Inaczej z pewnością zapamiętałbym.

- Załatwił wszystko inaczej. Zapytaj swojej siostry. I matki. Zawsze chciała mnie stąd wygryźć, ale Clark zorganizował to tak, że nie mogła się do niczego przyczepić.

Powiedziawszy to wyprostowała się. Czuła, że zyskała punkt w grze z Keyem.

Dodała:

- Sama o tym nie wiedziałam ... aż do jego śmierci. Powiadomił mnie adwokat Clarka. Oniemiałam, myślałam, że to jakaś pomyłka, gdyż zerwaliśmy z Clarkiem zaraz po skandalu.

- I ja mam w to uwierzyć?

- Mało mnie obchodzi, czy uwierzysz - odparła.

- A więc tak zwyczajnie, ni z tego, ni z owego, mój brat kupił ci dom wart... no ile? Kilkaset tysięcy dolarów? - prychnął głośno. - Bzdura. Musiałaś to jakoś od niego wydusić.

- Powtarzam ci, nie kontaktowałam się z nim przez lata. Nie chciałam. Niby dlaczego miałabym spotykać się z człowiekiem, który wystawił mnie na pośmiewisko, na koniec świata, odpowiedzialny za śmierć ...

Urwała nagle.

- Twojego męża? - dpowiedział z cynicznym uśmiechem. - No proszę. Sumienie gryzie, co?

- Nie - rzuciła wściekle. - Chodzi o śmierć mojej córki.

Odwróciła głowę i zerknęła na stojące na biurku zdjęcie w ramkach. Wyciągnęła rękę, wzięła je i podsunęła mu pod sam nos.

- Oto Ashley. Moja dziecinka. Moja ukochana, śliczna córeczka. Ona także zginęła na Montesangre.

Zaraz, jak ty to ująłeś ... ? Oddała życie za swój kraj.

Oczy Lary zaszyły łzami. Widziała teraz Keya jak przez mgłę. Potem, wiedzona impulsem, przycisnęła zdjęcie dziecka do piersi.

Key zmieszał się nieco. Po dłuższej chwili odezwał się:

- Przykro mi z powodu twojego dzieciaka. Byłem wtedy we Francji i przeczytałem o wszystkim w pewnej angielskiej gazecie. Dowiedziałem się też z niej, że Clark uczestniczył w pogrzebie Portera i twojej córki.

- Owszem, Clark uczestniczył, ale mnie tam nie było. Leżałam w szpitalu w Miami, leżąc się z ran.

Odsunęła z czoła kosmyk włosów i odstawiła fotografię na biurko.

- Twój brat - dodała - nie usiłował się ze mną skontaktować i szczerze mówiąc, czułam nawet ulgę z tego powodu. Za to, że zesłał nas na Montesangre, chciałam go przekląć. Mogłabym go zabić, gdybym go wtedy spotkała.

- Ale nie byłaś na niego na tyle zła, żeby odmówić przyjęcia tego podarunku. - Key zatoczył ręką.

- Nie o to chodziło. Zrobiło się o mnie głośno. Nikt nie chciał mnie zatrudnić. Kiedy już gdzieś się zaczęłam jako doktor Lara Mallory, to ludzie szybko dowiadywali się, że to ja jestem tą sławną Larą Porter. Choć starałam się w pracy z całych sił, to za każdym razem pokazywano mi drzwi. Clark zrozumiał chyba w końcu, że uczynił mi krzywdę. Chciał doprowadzić przynajmniej do tego, bym mogła wykonywać swój zawód. Gdyby było inaczej, to pewnie nie kupiłby dla mnie tego wszystkiego. - Przekrzywiła głowę i dodała osobiwym tonem: - To jednak zagadkowe, że utonął kilka dni po tym, jak zapisał mi tę schedę po doktorze Pattonie.

Key najeżył się. Widać było, że się zirytował.

- Co, do cholery, miała znaczyć ta uwaga?

- Zapewne słyszałeś pogłoski na temat śmierci Clarka. Ludzie powiadali, że to nie był wypadek, tylko samobójstwo.

- Gówno! - powiedział wykrzywiając usta w podkowę. - Usłyszałaś to chyba od jakiegoś zasranego kretyna. Clark wziął łódź i wypłynął na jezioro powędkować. Znałem go dobrze. Nie lubił ryzyka, unikał niebezpieczeństw. Zresztą przy złej pogodzie nawet ja założyłbym kamizelkę ratunkową.

- Clark był znakomitym pływakiem. Uratowałby się nawet bez kamizelki.

- Tak jest - potwierdził sucho. - Coś musiało się stać.

- Co takiego? Nie było tamtego dnia burzy, silnik też okazał się w porządku. Łódź nie wywróciła się do góry dnem. A więc co właściwie mogło zająć?

Przygryzł wargi myśląc intensywnie, ale nie zdołał znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

- Wiem jedno - stwierdził w końcu. - Mój brat nigdy nie targnąłby się na własne życie. I jeszcze coś: nie mam pojęcia, po co cię tu ściągnął. Tajemnicę zabrał ze sobą do grobu.

- Przyczyny nie są takie ważne, co? Grunt, że jestem tutaj, prawda?

- No właśnie. Odpowiedz mi wreszcie, dlaczego chciałaś się tu przeprowadzić? Clark był ulubieńcem całego Eden Pass. A ciebie wszyscy mają za zwyczajną dziwkę, która zniszczyła mu życie. Już moja matka zadba o to, żeby o tym nie zapomniano.

Wpadła w ponury nastrój. Dziś z pewnością nie miała zamiaru zdradzać mu powodów, dla których osiadła w Eden Pass. Chciała powiedzieć mu o tym, ale przy innej okazji. Kiedy już przestaną traktować się wzajemnie jak wrogowie.

- Twoja matka? - powtórzyła. - A tak, jestem pewna, że nie ustanie w staraniach.

- Czy to miejsce - Key miał na myśli gabinet lekarski - jest warte całego tego zachodu? Uwierz, że Jody zdoła cię stąd wykurzyć.

- Chcę uprawiać swój zawód. Jestem dobrą lekarką. I mam prawo do tego, by leczyć ludzi. Obojętnie co niektórzy sądzą na ten temat.

- Nie pójdzie ci łatwo - wycedził. - Zdaje mi się, że życie w tym miasteczku szybko ci obrzydnie.

- Czy to groźba?

- Nie. To prosta konstatacja. Nikt w Eden Pass nie podskoczy Jody. Stracisz swoich nielicznych pacjentów. Możesz być tego pewna. Zbyt wiele rodzin utrzymuje się dzięki pracy dla Tackett Oil. Bedą woleli jechać pięćdziesiąt kilometrów po aspirynę niż zapukać do tych drzwi.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i dodał:

- Zabawnie będzie obserwować, jak pakujesz w pośpiechu swoje tobołki i zabierasz się stąd, gdzie pieprz rośnie. Na cześć twojego wyjazdu urządzają tu festyn z fajerwerkami. Tobie też w końcu nuda wyjdzie bokiem.

Ujął pewniej kule i pokuśtykał w stronę drzwi. Odwrócił się jeszcze na chwilę i zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem.

- Clark musiał być cholernym głupcem. Rzucić wszystko dla kobiety ... Znajduję tylko jedno sensowne wytłumaczenie. Pewnie jesteś ostra w łóżku. Czy to jednak warte innych przyjemności? Bardzo wątpię. - Obmacał wzrokiem jej biodra. - Widywałem już lepsze - stwierdził.

Na domiar wszystkiego nie zamknął nawet za sobą drzwi. Lara poczekała, aż cichnie stukanie jego kul o podłogę, a potem usiadła przy biurku. Czowała, jak drżą jej kolana. Oparła łokcie o blat i ukryła twarz w dłoniach. Jej głowa była bardzo gorąca, a oddech znacznie szybszy niż zwykle.

Podniosła wzrok i popatrzyła na fotografię Ashley. Uśmiechnęła się smutno i pogłaskała wizerunek twarzyczki dziecka. Pod palcami poczuła jednak tylko chłód grubego szkła.

Wpatrując się tak w Ashley, podjęła mocne postanowienie. Zdecydowała, że za żadne skarby, nie ugnie się przed potęgą rodu Tackettów. A potem i tak postawi na swoim.

Do gabinetu weszła Nancy.

- Doktor Mallory, czy wszystko w porządku?

- Na dziś mam już dość tego człowieka - odparła Lara siląc się na uśmiech.

- A poza tym wszystko gra.

Pielęgniarka przyniosła szklanek zimnej wody.

- Proszę to wypić - powiedziała. - Przydałoby się coś mocniejszego. Key Tackett ma wyjątkowy talent do wkurzania ludzi.

- Dziękuję. - Lara duszkiem wypila wodę. - Muszę ci coś wyznać, Nancy. On był u mnie ostatniej nocy. Zwichnął kostkę i przyszedł tu, bo myślał, że zastanie doktora Pattona.

Przezornie nie wspomniała o ranie postrzałowej. Ostatecznie sama powinna była rzecież powiadomić o tym policję.

Nancy natychmiast przysiadła obok Lary.

- Key Tackett to hulaka i rozpustnik - stwierdziła. - Pamiętam, jak dawno temu przyniósł do szkoły żywego grzechotnika i straszyl nim dziewczęta. Nie wiem, jakim cudem ten gad go nie pokasał. Widać, nie chciał się zadawać z gorszym od siebie. Przystojny facet. Dobrze o tym wie i robi z tego użytek. Te błękitne oczy i zabójczy uśmiech skołowały już niejedną. Prawdziwy Casanova. Kobiety za nim przepadają, ale ja osobiście uważam, że to straszny gnojek.

Lara uśmiechnęła się chłodno.

- Zostaw mnie teraz na parę minut, dobrze? Muszę poskładać myśli i nieco się odświeżyć. Potem zacznę przyjmować pacjentów.

- Doktor Mallory, - powiedziała dziwnym głosem Nancy - nagle okazało się, że nasi pacjenci mają jakieś bardzo ważne sprawy do załatwienia. W poczekalni nie ma żywej duszy.

I ze współczuciem popatrzyła na Larę.

5.

Janellen siedziała za swoim biurkiem w jednym z pomieszczeń budynku, gdzie mieścił się zarząd Tacket Oil and Gas Company. Ceglaną budowlę zaprojektowali, postawili i wyposażyli pracownicy przedsiębiorstwa jeszcze w czasach Clarka seniora. Jody we wnętrzach wprowadziła raczej niewiele zmian. Była konserwatystką, lubiła stare meble i sprawdzonych, doświadczonych ludzi. Młodych zatrudniała niechętnie.

Janellen również dałoby się określić mianem tradycjonalistki. Spędzała tu dużo czasu i przywykła już do staroświeckiego wystroju biura.

Patrzyła teraz na bluszcz w glinianej doniczce stojącej na blacie. Prawie całkowicie zasłaniała go góra listów, faktur i innych papierów. Janellen jednak, gdy pogrążyła się w myślach, nieodmiennie zatrzymywała wzrok na tej wątpiej roślince.

Znakomicie kierowała pracą i szczyliła się tym. Zjawiała się tu każdego ranka punktualnie o dziewiątej, przeglądała korespondencję, czytała faksy, a potem brała swój gruby notatnik. Dziś poczyniła w nim dwa zapiski: "Posłać kwiaty do kościoła na rocznicę śmierci ojca" oraz "Wybrać się do dentysty".

Następnie zaczęła dumać nad zdrowiem matki i jej niechęcią wobec Keya, odwzajemnioną zresztą. Oboje mogli nawet nie krzycheć na siebie, ale wystarczyło, by znaleźli się w tym samym pokoju, i

atmosfera zdawała się gęstnieć. Jedna iskra i kończyło się na straszliwej burzy.

Janellen usiłowała rozładowywać nastrój, ale bez specjalnego powodzenia. Jody zdążyła się już dowiedzieć za sprawą poczty pantoflowej, że Key złożył powtórny wizytę doktor Mallory, i potwornie się na niego wściekła. Zarzucała mu nieposłuszeństwo. On odparł, że nie jest już dzieckiem i sam dobrze wie, co mu wolno robić. Jody stwierdziła, że jej syn zachował się jak ostatni osioł. On na to, że brał przykład z góry - od niej.

I rozpętała się dzika kłótnia.

Potem Jody i Key nie chcieli się do siebie odzywać. Na Janellen spadł kolejny obowiązek - prowadzenia rozmowy przy stole. Bała się, że na rzucane przez nią błahie pytania odpowiadać będzie głucha cisza. Jody rzeczywiście zacięła się w sobie. Na szczęście Key przyszedł siostrze z pomocą. Zaczął opowiadać o swoich przygodach w Arabii Saudyjskiej. Jody rzekła, że jego historyjki nie są zabawne. W końcu zabrała głos, ale tylko po to, by zmieszać z błotem Larę Mallory. To ponownie wyprowadziło Keya z równowagi. Skończył jeść i bez słowa wyszedł z domu. Janellen domyślała się, że poszedł pić. Istotnie, wrócił dopiero nad ranem, hałasując przy tym strasznie i potykając się na schodach. Zapewne próbował też poderwać jakąś babkę, nikt jednak nie zamierzał zdradzić Janellen, kogóż to jej braciszek wziął teraz na celownik.

Nie tak Janellen wyobrażała sobie powrót Keya. Brat nie tylko nie uspokoił Jody, ale nawet jeszcze pogorszył jej nastrój. Dziwne. Kiedy był daleko, to Jody wyraźnie niepokoiła się o niego, bała się, że coś mu się stanie. Kryła to w sobie, ale Janellen znała ją aż za dobrze. Widziała ulgę na obliczu Jody, kiedy listonosz przynosił pocztówkę z pozdrowieniami skreślonymi ręką Keya.

A teraz, kiedy przebywał w domu, Jody nic się nie podobało. Prowokowała go, kiedy milczał. Odwracała się, gdy on chciał z nią porozmawiać. Zawsze stawała okoniem. Kaprysiła jak prawie nigdy dotąd. Wczorajszy wieczór był naprawdę parszywy. Key nieostrożnie poruszył przed matką sprawę ostatniej woli Clarka.

- Dlaczego nikt mi nie powiedział, że kupił i podarował Larze Mallory posiadłość doktora Pattona?

- Bo to nie twój interes - odcięła się Jody. Według niej nie wolno było podważać sensowności żadnej z decyzji jej ukochanego Clarka. Janellen wiedziała jednak dobrze, że podarunek, jaki uczynił pośmiertnie swej byłej kochance, był cierniem w oku Jody. Pragnęła, żeby Key nigdy się o tym nie dowiedział. Stało się jednak inaczej.

- Nie mój interes? - powtórzył zdumiony. - Czy uważasz, że powinienem się z tym pogodzić, tak zwyczajnie? Przecież to głupie.

- Nie mam pojęcia, dlaczego Clark tak postąpił! - wrzasnęła Jody. - Ale ty powinieneś okazywać więcej szacunku dla swojego zmarłego brata.

- Nie miałem na myśli jego, tylko decyzję, jaką podjął.

- Mała różnica.

Sprzeczali się tak przez dobre pół godziny. Key zirytował się bardzo, a Jody podskoczyło ciśnienie. Nikt właściwie nie wiedział, co skłoniło Clarka do uczynienia takiego gestu wobec Lary. Janellen uważała, że jej starszego brata gryzła sumienie. Czuł się winien całego skandalu. Chciał choć po części zadośćuczynić tym, którzy ucierpieli z jego powodu.

- Proszę pani...

Była tak pogrążona w myślach, że aż podskoczyła na dźwięk męskiego głosu.

W drzwiach w cieniu stał jakiś człowiek. Janellen szybko wstała i machinalnie wygładziła bluzkę.

- Tak, w czym mogę pomóc? - spytała.

- Może pani. I owszem.

Zdjął z głowy staromodny kapelusz i wszedł do gabinetu. Poruszał się na lekko ugiętych nogach. Był znacznie niższy od Keya i nie imponował muskulaturą. Należał jednak do tego charakterystycznego gatunku twardych, żyłastych, odpornych facetów. Miał na sobie nowe ubranie.

- Szukam pracy, proszę pani. Myślałem, że może macie jakieś wolne stanowisko ...

- Niestety, obecnie, nie, panie ...

- Cato. Nazywam się Bowie Cato.

- Miło pana poznać, panie Cato. Jestem Jannellen Tackett. O jakiego rodzaju zajęcie panu chodzi? Mogłabym polecić pana innym firmom wydobywającym naftę.

- Dziękuję, ale to nic nie da. Już się wypytywałem. W pani ostatnia nadzieja, mógłbym rzec. -

Uśmiechnął się na sekundę. - Zdaje się, że nikt mnie nie chce.

Pokiwała ze współczuciem głową.

- Obawiam się, że to może być prawda. W całym Teksasie kiepsko teraz z pracą, zwłaszcza w przemyśle

wydobyczym. Właściwie nie robi się nowych odwiertów. Naturalnie, nie jest jeszcze tak źle, żeby zamykać stare szyby ...

Jego piwne oczy nagle rozbłyły.

- Proszę pani, mam w tym spore doświadczenie. Robiłem już w tej branży.

- A więc zna się pan na tym?

- Ależ tak. Jestem z zachodniego Teksasu. Urodziłem się na wsi, a właściwie w bardzo małym miasteczku. Zacząłem pracować przy nafcie, jak tylko skończyłem trzynaście lat. - Urwał na chwilę, jakby chciał dać Janellen czas do namysłu. Najwidoczniej jednak nie uznała, aby petent miał wystarczające kwalifikacje. Skinął więc głową i powiedział: - No cóż, w takim razie dziękuję pani bardzo.

- Proszę zaczekać!

Janellen nieświadomie wyciągnęła ku niemu rękę. Po chwili szybko ją cofnęła jak oparzona. Oblała się rumieńcem.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Tak, proszę pani?

- Skoro już pan jest, może pan przecież wypełnić odpowiedni formularz. Jeżeli wkrótce zwolni się jakieś miejsce ... Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie chcemy na razie nikogo wyrzucać, ale co panu szkodzi wypełnić formularz i napisać podanie?

Pomyślał nad tym przez chwilę.

- Jasne, czemu nie?

Janellen usiadła przy biurku i gestem wskazała mu krzesło. W dolnej szufladzie trzymała formularze.

Wyjęła jeden egzemplarz i podała mu.

- Proszę. A tu ma pan pióro.

- Dziękuję.

- Może kawy?

- Dziękuję, ale nie.

Wziął do ręki pióro, pochylił głowę i zaczął starannie wypełniać druk.

Janellen przypatrywała mu się uważnie. Mógł być w wieku Keya, choć na jego twarzy widniało już nieco zmarszczek, a na skroniach miał kilka siwych włosów. Kapeluszczyk odcisnął charakterystyczną pręgę na jego czole.

Naraz podniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały. By ukryć zmieszanie, zapytała go: -

Co powiedziała by pan na filiżankę kawy?

Po chwili zdała sobie sprawę, że się powtórzyła.

- Przepraszam - powiedziała. - Zdaje się, że już panu proponowałam ...

- Owszem. Nie, dziękuję. Nie lubię kawy.

I zajął się na nowo wypełnianiem rubryk.

Janellen z kolei nie wiedziała, czym się zająć. Zaczęła nerwowo obracać w palcach przyciski do papierów. Żałowała, że wyłączyła radio zaraz po wiadomościach. Cisza denerwowała ją. Wiedziała, że powinna o czymś pogadać z tym człowiekiem, ale prowadzenie konwersacji nigdy nie było jej mocną stroną. I to peszyło ją jeszcze bardziej.

W końcu wypełnił papiery i podał je Janellen wraz z piórem. Rzuciła okiem na druk. Ze zdumieniem stwierdziła, że mężczyzna jest znacznie młodszy od Keya. Cato był młodszy nawet od niej - o dwa lata.

Wyglądał bardzo poważnie jak na swój wiek.

Zatrzymała wzrok na jednej z rubryk.

- Ostatnio pracował pan w "The Palm"? W tej knajpie?

- Zgadza się - odchrząknął i poruszył ramionami. - Zaczepiłem się tam tylko na pewien czas.

- Nie miałam nic złego na myśli - wyjaśniła pospiesznie. - Ktoś musi przecież pracować w takich miejscach.

Zabrzmiało to cokolwiek dwuznacznie. Przygryzła dolną wargę. Chciała jakoś naprawić gafę.

- Mój brat często tam wpada.

- A tak, pamiętam go. Ale pani nigdy nie spotkałem.

Doznała osobliwego uczucia, że ten człowiek stara się powściągnąć uśmiech. W nerwowym odruchu chwyciła za jeden z guzików przy bluzce.

- Nie ... Nigdy tam nie byłam.

- Naturalnie.

Janellen zwilżyła językiem usta.

- Popatrzmy ... - Ponownie wzięła do ręki formularz. - Wcześniej pracował pan przymusowo w stanowym

...

Aż ją zatkało. Jeszcze raz zerknęła na rubrykę. Pomyślała od razu, że to jakaś pomyłka.

- Tak jest, proszę pani - przyznał spokojnie. - Spędzałem trochę czasu w więzieniu stanowym w Huntsville. Zwolnili mnie warunkowo. I dlatego właśnie tak piekielnie potrzebuję porządnej roboty.

Zebrała się na odwagę i spojrzała mu w oczy.

- Przykro mi, że nie mogę panu nic zaproponować, panie Cato.

Skonsternowana poczuła, że naprawdę tego żałuje.

- Cóż - odpowiedział wstając. - I tak to długo potrwało.

- Nie rozumiem.

Wzruszyła ramionami.

- Ludzi po wyroku przeważnie natychmiast się wyrzuca.

Dla niej samej fakt, że ktoś siedział w więzieniu, nie miał jeszcze decydującego znaczenia, ale Jody za nic nie zatrudniłaby takiego człowieka. Janellen chciała go teraz przynajmniej trochę pocieszyć.

- Może coś pan jednak znajdzie?

- Wątpię. - Nałożył na głowę kapelusz i nasunął go na czoło. - Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas, panno Tackett.

- Do widzenia, panie Cato.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Potem zbiegł po schodach i wszedł do zaparkowanej furgonetki.

U uruchomił silnik i ruszył w kierunku "The Palm".

Wstała z krzesła i podbiegła do okna. Rozchyliła żaluzje i patrzyła za odjeżdżającym wozem. Gdy znowu podeszła do biurka, poczuła się jeszcze bardziej przygnębiona. Musiała wykonać mnóstwo papierkowej roboty, ale dzisiaj nie miała na nią najmniejszej ochoty. Zamiast tego wzięła formularz wypełniony przez Bowiego Cato i zajęła się czytaniem.

Dowiedziała się, że Bowie Cato to kawaler. Rubrykę z hasłem "rodzina" pozostawił pustą. Nagle Janellen zdała sobie sprawę, że przedwcześnie poczuła się szefową interesu. Jody nadal mocno dzierżyła wszystkie sznurki. Gdyby się dowiedziała, że były więzień pracuje dla Tackett Oil, to zapewne natychmiast wylałaby go na bruk.

Janellen spojrzała na zegar. Zmitrężyła na jałowe rozmyślenia połowę poranka.

Zniecierpliwiona wcisnęła podanie Bowiego Cato do dolnej szuflady biurka i poważnie zajęła się pracą.

*

- Nie ten krawat, Fergus. Na litość boską! - Darcy Winston aż westchnęła. - Nie widzisz, że nie pasuje do twojej koszuli?

- Przecież dobrze wiesz, koteczku - odpowiedział, lekko przy tym wzruszając ramionami - że jestem daltonistą.

- Ale ja nie. Zmień go zaraz na ten. - Wyjęła z szafy inny krawat i cisnęła nim w męża. - I pospiesz się. Mamy być atrakcją wieczoru, a przez ciebie się spóźnimy.

- Kiedyś już przyszło mi usprawiedliwiać swoje spóźnienie. Autokar wiozący emerytów z Fayetteville popsuł się. No wiesz, nie zaplanowany przystanek. Trzydziestu siedmiu ludzi. Całkiem sympatyczni. Poznałem ich wszystkich. Czytali ustępy z Biblii Meksykanom. Pomagali baptystom wygłaszać odczyty w szkołach. Podobno meksykańskie dzieciaki ...

- Chryste panie, Fergus! A co to mnie obchodzi? - przerwała mu ze złością.

- Ubieraj się szybciej, z łaski swojej. Pójdę pogonić trochę Heather. Guzdrze się dziewczyna jak ślimak!

Darcy zbiegła po schodach do sypialni swojej jedynaczki. - Heather, czy jesteś już gotowa?

Zapukała do drzwi, ale nie czekała na odpowiedź i weszła do pokoju. - Heather, odłóż tę cholerną słuchawkę i ubieraj się!

Szesnastolatka przestoniła dłonią mikrofon.

- Już się ubrałam, mamó. Chciałam tylko trochę pogadać z Tannerem.

- I wystarczy.

Darcy wyrwała córce słuchawkę, powiedziała słodko:

- Do zobaczenia, Tanner - i odłożyła ją na widelki.

- Mamó! - wykrzyknęła Heather. - Jak mogłaś?! Jesteś dla niego taka niedobra! Dlaczego to zrobiłaś?

- Bo nie chcę, żebyśmy się spóźnili.

- Jeszcze mamy trochę czasu. Do siódmej zostało pół godziny.

Darcy podeszła do toaletki córki. Poszperała wśród buteleczek i dezodorantów.

Wreszcie wybrała jeden i puściła na siebie wonną mgiełkę. Heather spytała:

- Dlaczego używasz moich perfum? Tak jakbyś nie miała całej szafki własnych.

- Za często rozmawiasz przez telefon z tym Tannerem - powiedziała Darcy ignorując pytanie córki. - Wcale nie.

- Chłopcy nie lubią łatwych dziewcząt.

- Mamo, dlaczego grzebiesz w mojej biżuterii? Nie będę potem mogła niczego znaleźć - poskarżyła się Heather i zamknęła wieczko pudełka.

Darcy brutalnie odepchnęła ją i na nowo dobrała się do błyszczących świecidełek.

- Pewnie coś tu chowasz, co? Coś przede mną ukrywasz?

- Ależ skąd.

- Może skręty z trawką ... ?

- Nie.

Darcy znalazła w obitym pluszem wnętrzu jedynie kolczyki, bransoletki, pierścionki oraz sznur pereł - podarunek od ojca.

- A widzisz? - powiedziała Heather. - Mówiłam.

- Nie wyklócaj się ze mną. - Darcy zamknęła pudełko i obrzuciła córkę krytycznym spojrzeniem. - I zmyj ten cień do powiek. Wyglądasz, jakbyś się łajdaczyła całą noc.

- Dlaczego tak mówisz?

- Darcy wcisnęła Heather w dłoń małe lusterko.

- Przejrzyj się tylko. Może rzeczywiście łajdaczysz się z Tannerem Hoskinsem? Tak często się spotykacie.

- Tanner jest dobrze wychowany.

- Akurat. Chce się do ciebie dobrać i tyle. Wszyscy faceci są tacy sami.

Nie słuchając już protestów córki, Darcy poszła na górę. Była zadowolona z siebie.

Uważała, że rodzice powinni krótko trzymać swoje dzieci. Sama kontrolowała Heather na każdym kroku.

Córka musiała opowiadać jej dokładnie o wszystkim - co robiła każdej godziny, z kim się spotkała i po co. Darcy Winston wierzyła, że w ten sposób wychowa dziecko na porządną kobietę.

W zasadzie Heather była posłuszna. W szkole miała wiele zajęć, a więc w ciągu roku raczej brakowało jej wolnego czasu. Sytuacja zmieniała się latem i wtedy matka dokładała starań, by córce wywietrzały z głowy różne fanaberie .

Darcy dobrze pamiętała swoją młodość. Znała wszystkie sztuczki, do jakich uciekały się nastolatki, by tylko wyprowadzić w pole przesadnie ufnych starsuszków. Do licha, jako dziewczyna robiła swoich starych w konia jak trzeba!

Gdyby matka lepiej jej pilnowała, to młodość Darcy pewnie nie skończyłaby się tak szybko. Nie wyszłaby za męża mając ledwie osiemnaście lat.

Ojciec porzucił matkę, gdy Darcy była jeszcze małym dzieckiem. Początkowo współczuła matce, ale wkrótce zaczęła nią pogardzać. Z czasem zbuntowała się całkowicie. Gdy była w wieku Heather, zaczęła zadawać się z różnymi typkami. Upijała się prawie każdej nocy. Facetów zmieniała jak rękawiczki.

Ukończyła wyższą szkołę dzięki swoim sprawnym ustom. Nie, na egzaminach wcale nie błyszczała, za to obciągnęła druta nauczycielowi biologii, człowiekowi o wilgotnych dłoniach, z grubymi szklami na nosie.

Kilka miesięcy później zaszła w ciążę z perkusistą zespołu country-and-westem. On jednak wyparł się wszystkiego. Udawał nawet, że jej nie zna. Właściwie Darcy nie rozpaczała specjalnie z tego powodu.

Ten gość nie stanowił dobrej partii. To, co zarobił graniem, przepijał lub wydawał na kokainę. Raz przyłapała go nawet, jak pakował sobie towar w żyłę.

Wróciła do Eden Pass. Jej przyszłość nie rysowała się zbyt różowo. Miała szczęście.

Zatrzymała się na śniadaniu w motelu "The Green Pine". Olśniła tam leciwego faceta z końskimi zębami, Fergus Winstona, nadzianego kawalera z pięknym domem. Połknął haczyk i natychmiast zaprosił ją do swojego stolika na kawę.

Darcy nie traciła czasu na przeglądanie karty dań. W ciągu kwadransa, nim zdążyli wypić kawę, podjęła decyzję swego życia. Następnego dnia pracowała już dla Fergus. A po dwóch tygodniach została jego żoną.

Fergus był święcie przekonany, że poślubił dziewczycę. Po upływie dwóch miesięcy Darcy oznajmiła, że spodziewa się dziecka. Zapomniała tylko dodać, kto był jego ojcem.

Heather przyszła na świat na kilka tygodni "przed terminem". Fergus niczego nie podejrzewał, chociaż niemowlę było wyjątkowo okazałe i dorodne jak na wcześniaka.

Jednakże mąż nie zwrócił na to uwagi. Głowę miał zaprzątniętą interesami. Stał się właścicielem motelu, w którym poznał Darcy. Ona zaś zajmowała się zabawianiem gości - zamożnych biznesmenów, jak sama twierdziła. Interes kwitł. Darcy przekonała męża, że należy zmienić wystrój wnętrza. Zwykle ulegał jej

kaprysom. Uparł się tylko przy jednym. Chciał, by goście tradycyjnie wpisywali się do księgi, choć Darcy było to strasznie nie w smak. Fergus nie dawał się wystawić do wiatru tylko w jednym przypadku - gdy chodziło o pieniądze. Trzymał na nich ciężką rączkę. I pod tym względem Darcy nic nie potrafiła wskórać przez szesnaście lat ich małżeństwa.

Fergus uważał się za najszczęśliwszego człowieka pod słońcem. Miał młodą, urodziwą żonę i udaną córkę. Był dla nich bardzo szczodry. Rozbudował domostwo w Eden Pass, meble sprowadził aż z Dallas i Houston. Kupił Darcy wspaniały wóz. Spełniał też prawie wszystkie zachcianki Heather, która nie omieszkała zresztą z tego korzystać.

Żył w błogiej nieświadomości. Tymczasem Darcy wzięła sobie pierwszego kochanka już w trzy miesiące po urodzeniu córki. W motelu poznała wtedy handlarza siodłami z El Paso, który zmierzał do Memphis. Poszli oboje do pokoju numer 203. Fergus dowiedział się potem, że odwiedziła matkę.

Choć Darcy często zdradzała męża, to jednak w pewien sposób była też do niego bardzo przywiązana. Zapewnił jej przecież odpowiednią do jej ambicji pozycję towarzyską, a także dostatnie - może nawet zbyt - życie. Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła go u boku Heather.

- Śliczna z was para - powiedziała. - Na dzisiejszym spotkaniu wszystkie oczy będą zwrócone na rodzinę Winstonów.

Fergus objął ją czule ramieniem i pocałował w czoło.

- To zaszczyt wybrać się gdzieś z najpiękniejszymi damami w Eden Pass.

Heather przewróciła oczami. Nie przepadała za takimi przemowami.

Fergus nie zdołał tego zauważyć.

- Coś jednak nie daje mi spokoju - westchnął i spojrzał na twarz swojej ukochanej małżonki. - Przebiega mnie dreszcz, kiedy sobie pomyślę, że ten łamywacz mógł ci wyrządzić krzywdę.

- Ja też dostaję gęsiej skórki, kiedy sobie to przypominam. - Darcy pogłaskała go po policzku, a potem zręcznie uwolniła się z jego objęć i powiedziała zniecierpliwiona: - Lepiej już chodźmy, bo inaczej się spóźnimy. Chociaż ... - zaśmiała się przebiegle - chyba bez nas nie złączą, prawda?

6.

Lara pragnęła wziąć udział w spotkaniu wybitniejszych osobistości miasteczka.

Chciała wiedzieć, czy naprawdę oczekuje ją wojna o przetrwanie w Eden Pass. Była tu sama i sama też musiała bronić siebie i swojej własności.

Chciała też - mimo wszystko - aktywniej działać wśród miejscowej społeczności.

Zdażyła już wykupić karnet na mecze lokalnej drużyny i przekazała nieco własnych pieniędzy fundacji, która miała zamiar poszerzyć uliczki w Eden Pass i w ten sposób ułatwić żywot kierowcom. Liczyła, że jeśli przestanie siedzieć po całych dniach w domu i zacznie spotykać się z ludźmi, to ci z czasem przywykną do niej i przestaną traktować ją podejrzliwie. Może nawet zaakceptują ją - pomimo sugestii Jody Tackett.

Chodziło także o coś bardziej osobistego. O Keya Tacketta. Nie wierzyła w przypadki. I dobrze pamiętała, że tego samego dnia, kiedy ranny szukał u niej pomocy, miało miejsce włamanie do Winstonów. Trudno jej było sobie wyobrazić, że któryś z Tackettów znajduje rozrywkę w dokonywaniu przestępstw. Jednak ten dziwny zbieg okoliczności nie dawał jej spokoju.

Zebrania tutejszej społeczności odbywały się najczęściej w auditorium miejscowej szkoły. Lara przyjechała dosyć wcześnie, ale parking był już zapchany samochodami. Gazety w Eden Pass powiadomiły wcześniej o spotkaniu i określiły je jako "niezwykle ważne". W jednym z artykułów cytowano słowa szeryfa Elmo Baxtera: "Nie powinno nikogo zabraknąć. Bezpieczeństwo obywateli Eden Pass zależy przede wszystkim od nich samych. Jak to mówią, strzeżonego Pan Bóg strzeże. Mieszkamy w spokojnym miasteczku i - póki jestem szeryfem - nie dopuszczę, by ktoś zakłócał porządek".

Ludzie odpowiedzieli na apel i zjawili się tłumnie. Lara wraz z innymi przeciskała się ku wejściu do jasno oświetlonego budynku. Gdy jednak znalazła się w środku, wszyscy zaczęli zerkać na nią podejrzliwie i szeptać na jej temat. Poczuli się zdecydowanie nieswojo.

. Starła się to jednak ukryć. Uśmiechała się i pozdrowiła tych, których znała - pana Hoskinsa ze sklepu, kobietę z poczty oraz swych nielicznych pacjentów, czyli ludzi nie baczących na pogrożki Jody Tackett. Nie wybrała miejsca gdzieś z tyłu. Śmiało ruszyła przed siebie i usiadła w jednym z pierwszych rzędów. Dostrzegła Nancy i Clema Bakerów wraz z dziećmi. Nancy dała jej znak, że trzyma dla niej krzesło obok siebie, Lara jednak pokręciła głową i została na swoim miejscu.

I dalej udawała, że wszystko jest w porządku. Czuła jednak na sobie nieprzychylny wzrok ludzi - tych, co to wzięli ją na języki. Tych, którzy lubowali się w przekazywaniu plotek i ploteczek - naturalnie szeptem,

by nie mogło tego usłyszeć potomstwo.

Oczywiście Lara nic nie mogła na to poradzić. Pozostawało jej robić dobrą minę do złej gry i udawać, że z niczego nie zdaje sobie sprawy. Mogła też siedzieć w domu, ale już wcześniej uznała, że to nie rozwiązanie na dłuższą metę. W końcu miała prawo do tego, czym cieszyli się inni. Niby czemu obawiać się plotkarzy i tchórzy, co chodzili na sznurku tej starej jędzy, Jody Tackett?

Naturalnie pani Tackett nie uważała samej siebie za kogoś niegodziwego. Właśnie pojawiła się na sali. Kroczyła dumnie pomiędzy rzędami, patrząc tylko przed siebie. Myślała chyba, że przyjazne gesty uwłaczają jej godności -lub że to jedynie zbyteczne konwenanse. Tak czy owak, nie zamieniła z nikim choćby słowa.

Zachowywała się niczym butny wódz, choć postury była znacznie skromniejszej, niż to wcześniej wyobrażała sobie Lara. Clark opisywał matkę takimi wyniosłymi słowami ... Na tej podstawie Lara doszła do wniosku, że Jody to skrzyżowanie Joan Crawford z Joanną d' Arc.

W rzeczywistości Jody była niska, przysadzista, siwowłosa. Wyglądała całkiem zwyczajnie, mimo że jej ubranie z pewnością musiało sporo kosztować. Miała też duże, męskie niemal dłonie. W ogóle było w niej coś bardzo męskiego. Na pierwszy rzut oka dało się wyczuć, że czegoś jak czegoś, ale silnej woli to Jody nie brakło z pewnością.

Ludzie, widząc ją, umilkli. Przybycie Jody oznaczało nieoficjalnie początek imprezy. Była bowiem najbardziej wpływową osobą w Eden Pass.

Każdy kij ma jednak dwa końce. Jody Tackett poważnie chorowała. I Lara, lekarka, natychmiast to dostrzegła.

Cera Jody wskazywała na jej uzależnienie od nikotyny. Głębokie cienie pod oczami, charakterystyczne zgrubienia na przegubach rąk - Lara nie miała już najmniej szych wątpliwości. Jody dokuczało serce. Za Jody postępowała kobieta mniej więcej w wieku Lary. Uśmiechała się szczerze, lecz i niepewnie. Widać, nie czuła się zbyt dobrze, gdy ludzie na nią zerkali. Lara zorientowała się w lot - to Janellen. Clark opowiadał i o niej. Raz określił swą siostrę jako "Mysz", nie mając zresztą nic złego na myśli.

"Tato przepadał za nią. Gdyby nie odszedł tak wcześnie, to Janellen miałyby normalną młodość. Matka nie poświęcała jej zbyt wiele czasu. Zajmowała się głównie pracą. No i moja siostrzyczka wyrosła na osobę cichą i nieśmiałą. Nigdy nie podnosi głosu".

Janellen miała bladą cerę. Jej usta były zbyt wąskie, a nos odrobinę za duży. Do braci upodobniały ją ciekawe, błękitne oczy, które nadawały jej przeciętnej twarzy indywidualny wyraz.

Nadto w oczywisty sposób pozostawała w cieniu matki. Ubierała się jeszcze skromniej niż Jody. Do fryzjera chadzała z rzadka i było to widać. Tak jakby celowo robiła wszystko, by nikt nie zwrócił na nią uwagi. Jakby obawiała się swojej kobiecości.

Teraz w sali zjawiał się i Key. W odróżnieniu od matki zatrzymywał się często i witał się ze znajomymi, których zapewne od dawna nie widział. Śmiał się i stroił żarty.

- Niech mnie diabli! Key Tackett! - zawołał ktoś.

- Cześć, Possum! Ty skurczybyku, jak leci?

Possum zaczął się przechwalać, że prowadzi dobrze prosperujący interes, i w tej samej chwili Key wyłowił wzrokiem Larę. Wyraźnie zacisnął szczękę. Oboje uparcie patrzyli na siebie, podczas gdy Possum, nudy safandula, ciągnął swą historię.

- Daruj, ale nie dosłyszałem ... - odezwał się Key do kumpla.

Possum oraz parę innych osób zauważyło, że Lara przykuła uwagę Tacketta.

- Nooo ... - Possuma jakby zatkało. Nie był w stanie powtórzyć pytania.

Na szczęście właśnie wtedy wyszedł na scenę dyrektor szkoły. Podeszedł do mikrofonu i coś powiedział. Mikrofon nie działał. Pomajstrowano coś przy kablach i dyrektor przemówił ponownie.

- Dziękuję wszystkim za przybycie - ryknęło ogłuszająco z głośników. Wreszcie uporano się z technicznymi problemami i dyrektor powtórzył słowa powitania. Key obiecał Possumowi, że któregoś dnia wyskoczą razem na piwo, a następnie

przyłączył się do Jody i Janellen i usiadł wraz z nimi w pierwszym rzędzie, u boku samego burmistrza.

Dyrektor wprowadził na podwyższenie Fergusa Winstona. Lara przypatrywała się im z zaciekawieniem.

Nastolatka - przedstawiona jako Heather - zdawała się umierać ze strachu. Natomiast pani Winston bynajmniej nie wyglądała na osobę na skraju załamania nerwowego, choć przeżyła ponoć napad rabunkowy. Istny okaz zdrowia, tryskający energią. Światła reflektorów nadawały jej rudym włosom barwę płomienia. Mocno trzymała pod łokieć męża.

W sumie nie przypadała Larze do gustu.

Fergus był wysoki, ale stale się garbił. Włosami z boku głowy usiłował zamaskować postępującą łysinę.

Na policzkach miał charakterystyczne dołki - cechę ludzi, którzy często się śmieją. Nie śmiał się jednak tym razem, gdy stanął przy mikrofonie i opisał przerażającą przygodę, jaka spotkała jego rodzinę. Lara przechyliła się nieco na krześle i mogła teraz widzieć sylwetkę Keya, siedzącego obok siostry. Krzywił się z niesmakiem i przesuwał palcami po podbródku. Wysunął przed siebie nogę ze zwichniętą kostką. Wyglądał na piekielnie znudzonego, niczym mały chłopiec, którego rodzice na siłę zaciągnęli do kościoła.

Lara ponownie spojrzała na scenę i stwierdziła ze zdumieniem, że nie ona jedna obserwuje Keya. Również pani Winston przypatrywała mu się bacznie. Z jej oblicza nie schodził nikły, przebiegły uśmieszek.

- Cóż, to wszystko, co miałem do powiedzenia - zakończył Winston. - Może dodam tylko jeszcze jedno: uważajcie na podejrzanych osobników, którzy kręcą się w naszych stronach, i powiadamianie szeryfa o wszystkim, co was zaniepokoi.

Rozległy się brawa i Fergus Winston oddał mikrofon szeryfowi.

Elmo Baxter poruszał się bardzo opieszale. Miał minę strudzonego życiem basseta.

- Dziękuję Fergusowi i Darcy. Nie wpadajmy jednak w panikę. Nie musicie spać z rewolwerem pod poduszką. Jak zdarzy się coś dziwnego, to natychmiast do mnie dzwońcie. My z Gusem już się tym zajmujemy, energicznie, ale i zgodnie w prawem Żadnych samosądów, słyszycie? Organizujemy komitet samoobrony, taki jakie są wielkich miastach. Oczywiście sam stanę na jego czele. Potrzebuję jednak chętnych do współpracy.

- Zgłaszam się! - obwieściła Darcy Winston donośnym głosem.

Wywołało to burzę oklasków. Fergus spojrział na żonę z podziwem i wzruszony ucisnął jej dłoń.

- I pragnę też wysunąć kandydaturę Keya Tacketta - dodała Darcy.

Key drgnął, jakby ktoś oblał go zimną wodą. Lara zobaczyła, że się skrzywił.

- Co ona, do licha, powiedziała? - odezwał się głośno.

Ludzie zaczęli się śmiać.

Key wyjaśnił:

- Przecież ja tu nawet nie mieszkam na stałe. Nie mam też zielonego pojęcia żadnych komitetach.

Rozbawiony szeryf podrapał się w ucho.

- Wstąpienie do komitetu to nie to samo, co pójście do wojska. Ludzie powinni więcej się udzielać. Mam rację, Jody?

Zapytana spojrzała na syna.

- Myślę, że powinieneś wstąpić do komitetu. Zrób coś dla innych.

- Key, zapomniałeś o nas, odkąd przestałeś grać w tutejszej drużynie - odezwał się z głębi sali Possum. - Zgódź się i nie marudź!

Ludzie zerwali się z krzesel i urządzili Keyowi spontaniczną owację. Dzieci skorzystały z zamieszania i rozbiegły się po sali. Nastolatki krzychały, niby dopingując swego ulubieńca na boisku. Niektórzy cichcem umykali z imprezy. Szeryf Baxter ujął dłoń mikrofon i krzyknął:

- Wszyscy poparli pomysł! Koniec spotkania! Możecie wracać do domów. Tylko, Boga, pamiętajcie: spieszyć trzeba się powoli!

W ogólnym zamieszaniu, jakie zapanowało, Lara zerwała się z krzesła i wspięła się na palce. Dostrzegła, jak Darcy Winston gorączkowo kiwa na Keya, nakłaniając go, by poszedł do niej na scenę. Tak, zdecydowanie wyglądała na kobietę gotową strzelić do kochanka, aby Lyko nie został przyłapaną z nim w łóżku. W jej oczach kryło się chłodne wyrachowanie.

- Przepraszam ...

Lara usłuchała i grzecznie odsunęła się na bok. Po chwili obróciła się i tuż za sobą ujrzała Janellen.

Niepewny uśmieszek na twarzy kobiety prędko zamienił się w grymas zdumienia.

- Witam, panno Tackett - zwróciła się do niej Lara.

- Ależ pani jest...

- Jestem Lara Mallory.

- No tak, ja ...

Nawet gdyby Janellen była w stanie powiedzieć teraz coś sensownego, to i tak matka aie dopuściłaby jej do głosu.

- Co tam znowu, Janellen? - rozległy się słowa Jody.

Po upływie sekundy Jody sama dostrzegła Larę. Oblicze stężało jej z wściekłości.

- W końcu się spotkałyśmy, pani Tackett - rzekła Lara wyciągając prawą dłoń. Jody zupełnie zignorowała zarówno pokojowy gest Lary, jak i słowa powitania.

Trąciła jedynie łokciem córkę.

- Idziemy, Janellen. Poczułam nagle, że brakuje tu świeżego powietrza.

I jeszcze raz obrzuciła Larę nieprzychylnym spojrzeniem. Sporo ludzi było świadkami tej sceny. Naraz Lara wyczuła wokół siebie osobiwą pustkę. Jej prawa ręka nadal wisiała w powietrzu - opamiętała się i cofnęła ją pospiesznie.

Tak jest, wszyscy odsuwali się od niej. Jak od trędowatej. Nikt na nią nawet nie patrzył. Przy wyjściu przystanęła, odwróciła głowę i zerknęła w stronę sceny. Stał tam Key z panią Winston. Lara skrzywiła się z niesmakiem i pomyślała, że oboje są siebie warci.

*

Ponieważ Darcy przywoływała go już zbyt ostentacyjnie, Key nie miał wyboru i musiał wejść do niej na podwyższenie. Gdyby z rozmysłem nie uczynił zadość jej żądaniu, wtedy ludzie z pewnością zaczęliby szemrać i plotkować.

Idąc ku scenie starał się dostrzec gdzieś w tłumie Larę Mallory. Udało mu się to. Ze zdumieniem spostrzegł, że Lara dyskutuje z jego matką.

Obserwował to drobne zajście - Jody odtrącającą rękę Lary i popychającą Janellen w stronę wyjścia. O dziwo, Lara nie straciła po tym równowagi ducha. Nie wybuchła wściekłością ani nie zalała się łzami. Po prostu odeszła z dumnie podniesioną głową.

Key w pierwszej chwili miał ochotę pobiec za nią, ale ... co miałby zrobić dalej? Zapytać, dlaczego uwiodła mu brata, skoro w Waszyngtonie aż się roiło od innych przystojniaczków, gotowych wpakować się z nią do łóżka?

Prosić ją o udzielenie wyjaśnień w związku z tajemniczą śmiercią Clarka?

A może zażądać, aby opuściła miasto przed upływem doby? Albo coś w tym rodzaju? Przecież w ten sposób sam uczyniłby z siebie ostatniego idiotę. Nie zamierzał się przed nią kompromitować. Poza tym musiał się rozmówić z Darcy. Chciał z nią wyjść aśnić pewne sprawy, zanim nie dojdzie do następnej afery. Wspiął się schodkami na estradę.

- Darcy, co ty wyprawiasz, do ciężkiej cholery?!

- Cześć, Key! - odpowiedziała. Śmiała się od ucha do ucha i pomimo jego ponurej miny zaczęła przedstawiać go rodzinie. - Czy znasz moją córkę? Heather, to pan Key Tackett.

- Witam, panie Tackett - odezwała się dziewczyna uprzejmie, ale widać było, że głowę zajęta ma innymi sprawami. - Tanner czeka na mnie - powiedziała matce. - Mogę już iść?

- Wracaj prosto do domu.

- Ale wszyscy wybierają się nad jezioro.

- O tej porze?! Nic z tego.

- Mamo! Skoro innym wolno ... Proszę.

Darcy zmierzyła Heather groźnym spojrzeniem.

- Masz być w domu przed dwunastą. Ani minuty później.

Córka zaprotestowała:

- Inni nie muszą wracać tak wcześnie.

- Albo wrócisz o przyzwoitej porze, albo nie puszczę cię wcale. Wybieraj.

Heather, rzecz jasna, skorzystała z pierwszej możliwości. Ukłoniła się na pożegnanie Keyowi i ruszyła ku przystojnemu młodzieńcowi, czekającemu na nią pod sceną.

- Key?

- Co?

Key odprowadził wzrokiem Larę i dopiero po chwili odwrócił się do Darcy.

Zorientował się, że ona także dostrzegła w tłumie młodą lekarkę.

- A więc autorka wielkiego skandalu zdecydowała się pokazać dzisiaj publicznie - stwierdziła zgryźliwie. - Czy miałeś zaszczyt zostać jej znajomym?

- Fakt, miałem. Posklejała mnie po twoim postrzale.

Key z zimną satysfakcją patrzył, jak rozkoszny uśmiech znika z oblicza Darcy.

- Poszedłeś do niej? - wykrzyknęła. - Całkiem ci odbiło? Myślałam, że trafiłeś do szpitala za miastem.

- Szukałem Pattona. Nie wiedziałem, że przeszedł na emeryturę.

- I pewnie nie wiedziałeś też, że twój brat zafundował interes swej byłej kochance?

- Nie. Nikt mi o tym nie powiedział.

Starał się mówić opanowanym tonem, ale Darcy i tak tego nie zauważyła. Jej mózg zdawał się kipieć.

- Przecież mogła o zajściu donieść szeryfowi - rzekła podenerwowana.

- I nadal może. Wątpię jednak, czy to zrobi - stwierdził i zerknął w kierunku wyjścia. - Ona ma na głowie

własne problemy. Poza tym trudno byłoby jej cokolwiek udowodnić. Kula przeszła mój bok na wylot. Pochylił się i zniżył głos, tak by nie mogli przypadkiem usłyszeć go ludzie kręcący się w pobliżu.

- Powiniennem obedrzeć cię ze skóry za to, że do mnie strzeliłaś. Mogłaś mnie zabić, ty duma suko.

- Nie mów do mnie w ten sposób - syknęła i znowu przyoblekła twarz w sztuczny uśmiech. - Gdybym nie działała szybko, to Fergus nakryłby nas golusieńkich i pieprzących się jak zające. Pewnie zastrzeliłby nas oboje, a potem sąd orzekłby, że działał w afekcie.

- Koteczku!

Obróciła się prędko na dźwięk głosu małżonka. Key kiwnął Fergusowi ręką .

- Cześć, Fergus. Kopę lat!

- Jak leci, Key?

- Nieźle, dzięki.

Dawno temu coś zaszło pomiędzy Fergusiem a Jody. Współpracowali oboje przy jakimś przedsięwzięciu. Key nie znał szczegółów i właściwie nie chciał nawet ich poznać. Przypuszczał, że Jody - zawsze złaźniona pieniędzy - pewnie wystawiła Fergusa do wiatru.

Key uważał, że problemy matki jego samego nie dotyczą. Tyle że w związku ze wspomnianą historią Fergus zawsze uważał Keya za psi pomiot, nadto potępiał jego sposób prowadzenia się. Nieraz bywało, że Key i Possum wpadali na kacu do motelu Fergusa na poranną kawę.

W każdym razie Winston nie przepadał za Keyem. Ten zaś miał to gdzieś.

- Nie jestem tylko zachwycony robotą w tym cholernym Komitecie, do którego wciągnęła mnie twoja żona. Wiesz co? - zwrócił się do Darcy. - Rezygnuję. Wypisuję się z tego.

- Nie możesz. Jeszcze nawet nie zacząłeś.

- Tym lepiej. Nie prosiłem się do tego interesu. I nie chcę być jego członkiem. Znajdź sobie kogoś innego na moje miejsce.

Błysnęła olśniewającym uśmiechem.

- Jego najwyraźniej trzeba prosić, Fergus. Kochany, idź do samochodu i podjedź nim pod wejście.

Tymczasem ja postaram się zmiękczyć nieco upór Keya.

Key obserwował Fergusa, który ruszył sztywnym krokiem, po drodze żegnając się z licznymi znajomymi.

Darcy odczekała moment i ponownie odezwała się do Keya. Rzekła przyciszonym głosem:

- Czy ty nie pojmujesz, jaka się nadarza okazja?

- Co masz na myśli, koteczku? - zapytał Key przedrzeźniając Fergusa.

- Ano to - odparła z naciskiem - że kiedy znajdziemy się razem w Komitecie, to ludzie nie będą się dziwić, widząc nas razem.

Nadal zerkał na nią tępo, więc dorzuciła, jakby zirytowana jego brakiem przenikliwości: - Będziemy mogli się spotykać o każdej porze dnia i nocy i nie wzbudzi to plotek. Odczekał moment, a potem wybuchnął śmiechem.

- A więc sądzisz, że jeszcze kiedykolwiek zaryzykuję pójście z tobą do łóżka?!

- Jego śmiech zgasł nagle. Na twarzy pojawił się natomiast grymas wściekłości.

Dorzucił: - Olewam panią, pani Winston. Mogłaś mnie zabić tą swoją piekielną pukawką. Właściwie jeszcze do końca się nie wylizałem.

Zmierzyła go mściwym wzrokiem.

- Wykpiłeś się tanio, biorąc pod uwagę, że nieźle się zabawiliśmy.

- Mylisz się, koteczku. Zachowujesz się, jakbyś miała tam złote runo.

- Zerknął wymownie na jej krocze. - Znałem i miałem lepsze niż ty. Dużo lepsze. Poza tym jeśli sądzisz, że po tym wszystkim będę się jeszcze na ciebie napalał, to jesteś strasznie głupia.

Tym razem w jej oczach ujrzął ogień. Powiedziała:

- Ja też nie będę się z tobą pieprzyć!

- No to wygląda na to, że znajdę się w mniejszości.

Darcy szalała.

- Jesteś prawdziwym sukinsynem. Zawsze nim byłeś, Keyu Tackett.

- O, tu trafiłaś w sedno - rzekł i skinął głową - jeśli brać to, co powiedziałaś, odwrotnie.

- Idź do diabła.

Wciąż kręciło się wokół sporo ludzi. Darcy nie mogła więc pozwolić sobie na więcej. Odwróciła się na pięcie i odeszła. Sucho odpowiadała tym, którzy życzyli jej dobrej nocy, kiedy zmierzała do wyjścia.

Key także zaczął się zbierać. On jednak nie spieszył się zanadto. Był rozbawiony • zły na siebie zarazem.

Darcy zasługiwała na to, by dać jej nauczkę, ale oczekiwał, że sprawi mu to większą przyjemność.

Fergus, niczym wiemy giermek, czekał na żonę przy wozie i otworzył jej drzwiczki. On wyszedł na zewnątrz i obserwował ich z daleka. Zdołał usłyszeć słowa Darcy:

- Zawieź mnie do domu, Fergus. I pospiesz się. Okropnie boli mnie głowa. Keyowi zrobiło się trochę żal Fergus, ale nie dlatego, że przespał się z jego żoną - bo to zdarzyło się przecież nie tylko jemu. Fergus niby zarabiał sporo pieniędzy, ale to jeszcze nie wszystko. Ze swoim konserwatywnym podejściem do biznesu, życia, kobiet, ze swą wynędzniałą twarzą i przygarbioną sylwetką - nie miał szans zrobienia prawdziwej kariery. W życiu są tacy, co to zbierają cudze owoce, no i tacy, co obrywają za grzechy innych. Fergus Winston należał do tej drugiej kategorii.

Key czegoś w tym wszystkim nie pojmował. Dlaczego Fergus znosił niewierność Darcy? Dlaczego pozwalał jej ciosać sobie kołki na głowie? Czemu wszystko jej wybaczył?

Miłość?

Z pewnością - pomyślał Key ironicznie. "Miłość" to ulubione słowo wszystkich poetów. Opiewali wielkie uczucie, które burzyło spokój ludzkich serc i umysłów, ale byli w błędzie. Miłość wcale nie jest taka wspaniała, nie czyni ludzi lepszymi. W każdym razie Key nie znał nikogo takiego. Poznał jedynie nieszczęśników, którym nieudane romanse dały po krzyżu.

Pamiętał, że szczerze kochał ojca i rozpacział, gdy ten zginął. Jego siostra kochała matkę tak bardzo, że do tej pory nie była w stanie się usamodzielnic. Zła miłość zgubiła też Ciarka, rujnując wcześniej jego karierę. Czy to za sprawą miłości Randall Porter nie porzucił też kiedyś swej rozpustnej małżonki?

To wszystko nie dla mnie - pomyślał Key przechodząc przez parking. Utykał jeszcze trochę. Miłość, przebaczenie, nadstawianie drugiego policzka - to dobre na kazania wygłaszane dzieciom w szkółkach niedzielnych. W prawdziwym życiu liczy się co innego. W każdym razie w jego życiu. Gdyby nawet kiedyś, w chwili słabości, zdecydował się stanąć na ślubnym kobiercu, to nigdy nie pozwoliłby swej żonie trafić w ramiona innego mężczyzny. Zabiłby oboje.

Dotarł do swego wozu i sięgnął do kieszeni po kluczyki. - Dobry wieczór, panie Tackett - usłyszał za plecami.

Obrócił się i zaskoczony stwierdził, że stoi koło niego Lara Mallory. Lekki wiatr poruszał jej włosami. Blask księżycy padał na jej twarz. Choć była ostatnią osobą, z którą chciał teraz rozmawiać, to musiał przyznać przed sobą, że wygląda wspaniale. Niczym księżniczka z jakiejś cholernej bajki.

Odezwał się lekko zirytowany. Rozmyślenia wpędziły go w kiepski nastrój.

- Śledziłaś mnie?

- Właściwie to czekałam na ciebie .

- Wzruszające. Skąd wiedziałaś, gdzie czekać?

- Widziałam już, jak jeździłeś po mieście tym wozem. Nietrudno go zapamiętać, mówiąc łagodnie.

- To bryczka po moim starym.

Lincoln miał wystającą groteskowo rurę wydechową. Liczył sobie ze dwadzieścia lat, dzięki wysiłkom tutejszych mechaników nadal jednak był na chodzie. Key lubił nim jeździć. Ten samochód przypominał mu o ojcu.

Wóz pomalowany był na rzucający się w oczy żółty kolor. Oprawka lusterka błyszczała złością. Key nazwał kiedyś ten wóz "autem dla gogusiów". Jody, choć niechętnie, to jednak musiała przyznać, że trafił tym określeniem w samo sedno.

- Nadal kulejesz - stwierdziła Lara. - Powinieneś używać kul.

- Chrzanić je. Wyglądam z nimi jak kaleka.

- Trzeba pozwolić kostce się zagoić.

- Czyżby?

- A co z twoim bokiem? Nie pokazałeś się ponownie w moim przybytku.

- Tak wypadło.

- Należy usunąć dren.

- Sam go usunąłem.

- Och, rozumiem. Mam do czynienia z mocnym gościem. No, ale przynajmniej się ogoliłeś ... Pewnie scyzorykiem, co?

Na to nie odpowiedział, czując, że pokpiwa sobie z niego.

- Czy często zmieniasz ubrania? Jeśli nie, może wdać się infekcja. Czy rana się goi?

- Już wszystko gra. Popatrz. - Uniósł łokieć i oparł go o dach samochodu. - Czy policzysz to sobie tak jak wizytę domową? Wystawisz mi rachunek?

- Tym razem nie.

- No to bombowo. Życzę dobrej nocy.

- Właściwie to ja ... - zaczęła i uczyniła krok w jego kierunku - muszę z tobą o czymś pomówić. Chciałam to zrobić tam, gdzie nie usłyszą nas inni ...

- Coś podobnego! Nie mam nastroju na wysłuchiwanie twoich zwierzeń. Dzisiaj dopadł mnie paskudny humor. Zrób mi tę przyjemność i zostaw mnie w spokoju.

Schylił się już, by usiąść za kierownicę, gdy niespodziewanie schwyciła go za ramię. - Jesteś rozgoryczony i tyle - powiedziała.

- Czy to przypadkiem nie pani Winston wpadła na pomysł, żeby upozorować włamanie i w ten sposób ukryć fakt, że zdradzała męża?

Key zdębiał, ale już po chwili odzyskał rezon. Lara patrzyła nań poważnym wzrokiem. Tak poważnym, że aż się uśmiechnął.

- Niech mnie gęś kopnie. Cudowne dziecko wyobraziło sobie, że rozwiązało zagadkę kryminalną ...

- Pan Winston zjawiał się w domu niespodziewanie, kiedy byłeś w łóżku z jego żoną, prawda?

- No i po co mnie pytasz, skoro sama wszystko wiesz?

- Uciekałeś i uszkodziłeś kostkę. A pani Winston strzeliła do ciebie, żeby zachować twarz. To scena jak z marnego filmu. Czy przypuszczałeś, że ona może cię postrzelić?

- A co cię to, do cholery, obchodzi?

- No tak, nie przypuszczałeś.

- Nie wkładaj mi w usta czegoś, czego nie powiedziałem - odrzekł nerwowo.

- Powtarzam pytanie: co cię to wszystko obchodzi? Może chorobliwie interesujesz się życiem seksualnym innych ludzi?

- Mam swoje powody - stwierdziła rozgorączkowana. - Wpadłeś do mnie zakrwawiony i w dodatku nawyzywałeś mnie od dziwek za rzeczy, które sam masz na sumieniu.

- To chyba lekka przesada.

- Tak? A na czym niby polega różnica?

- Darcy i ja nie skrzywdziliśmy nikogo.

- Nikogo?! - wykrzyknęła. - Przecież ona jest mężatką. Sam powiedziałeś, że niewierność małżeńska to najcięższy z grzechów .

- Najcięższy z grzechów popełnia ten, co daje się złapać.

- A więc dopóki jej mąż nic nie wie, to wszystko w porządku, tak?

- No dobrze. Może nie wszystko w porządku, ale nie doszło do katastrofy. Nie doszło do skandalu.

Ucierpiała jedynie para grzeszników.

- Mylisz się trochę. W całym miasteczku zapanowała panika. Zaczęło się polowanie na rabusia, który nie istnieje.

- To nie moja wina. Fergusowi odbiło, kiedy usłyszał wrzeszczącą Darcy i strzał z pistoletu. Trochę go poniosło.

- A może bajka o intruzie przypadła mu do gustu? Stłumiła jego podejrzliwość?

Key uznał, że to prawdopodobne, ale nie miał zamiaru przyznawać tego głośno.

- Nie odpowiadam za to, co dzieje się w jego głowie.

- A nie dręczy cię, że zasiałeś w mieście strach?

- Strach? - powtórzył i parsknął. - Do diabła. Ludzie uwielbiają dreszczyk strachu. To zabija nudę. Muszą się czymś zająć w sezonie ogórkowym. Szeryf Baxter powiedział mi, że wszyscy do niego wydzwaniali.

Włamywacze troję im się w oczach.

Zaśmiał się i podjął:

- Taka Winnie Fern Lewis na przykład. Mieszka w starym piętrowym domu na skraju miasta. Jako dzieciaki strasziliśmy ją wieczorami ... No więc wczoraj Elmo powiedział mi, że Winnie Fern twierdzi, iż jakiś facet podgląda ją przez okno od paru dni. Szeryf poprosił dla formalności, żeby go opisała. Ona na to, że nie może, gdyż ten gość chowa się za murkiem, gdzie "doprowadza się do szczytowania", jak się wyraziła ... Oczywiście nigdy nie było takiego świra. Ludzie wymyślają sobie podobne historyjki. Tak bywało zawsze i wszędzie.

- Krótko mówiąc, uważasz więc, że dałeś im to, czego chcieli.

- możliwe. Mieszkańcy takich miasteczek jak Eden Pass potrzebują czegoś ekscytującego, jakiejś rozrywki - powiedział i zrobił krok w jej stronę. Teraz mógł poczuć woń jej perfum. - No a ty? - spytał. - Co ty zrobisz, żeby wzbudzić trochę niezdrowych emocji? Uprzedzę cię tylko, że w Eden Pass brak przystojnych polityków, których mogłabyś uwieść.

Zadrzała ze wzburzenia. W tej samej chwili Key zrozumiał, że kłamał, mówiąc, iż nie wie, co takiego mogło w niej zaintrygować jego brata. Złość dodawała Larze Mallory uroku. Dumnie uniosła czoło ...

mogłaby teraz stać na dziobie statku prującego morskie fale.

A przy tym pozostawała delikatna. Miała takie miękkie włosy. Wiatr nieustannie zarzucał je na policzki. I takie miękkie usta.

To odkrycie zniepokoiło nieco Keya.

- Znalazłaś już sobie kolejną ofiarę? - zapytał

- Clark nie był moją ofiarą!

- Byłaś jedyną zamężną kobietą, z którą kiedykolwiek wplątał się w romans.

- A więc był bardziej wybredny od ciebie.

- Może jednak mniej.

Wściekła, odwróciła się na pięcie, zamierzając odejść. On jednak chwycił ją mocno i z powrotem przyciągnął do siebie.

- Ponieważ zaczęłaś tę rozmowę, to wysłuchasz wszystkiego do samego końca. Odrzuciła włosy z czoła i powiedziała:

- Słucham.

- Stwierdziłaś, że niesłusznie cię oskarżam.

- Owszem. Pozwoliłeś sobie na zbyt wiele. Nie wiesz nic o moim związku z Clarkiem poza tym, co wyczytałeś w jakichś brukowcach i co podpowiedział ci twój chory umysł.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jakby się spodziewał, że podobne słowa padną z jej ust. Po chwili odezwał się:

- No a ty nie masz zielonego pojęcia o moim związku z Darcy, zresztą o przygodach z innymi kobietami też. Mimo to dopadłaś mnie tutaj i zaczęłaś prawić kazania o biblijnych grzechach. Skoro ja wyciągnąłem błędne wnioski na twój temat, to i ty chyba nie powinnaś wieszać mnie bez sądu, co?

Nim zdążyła odpowiedzieć, puścił ją, wsunął się do wnętrza żółtego wozu i uruchomił silnik. Przez uchyloną szybę dorzucił:

- Jesteś nie tylko ladacznicą. Jesteś również cholerną hipokrytką.

7.

Lara jechała przed siebie bez konkretnego celu. Noc była pogodna i ciepła. Lekki wietrzyk znad oceanu unosił kurz z twardej piaszczystej ziemi, zdawałoby się, nieprzyjaznej ludziom.

Teksas.

"Teksas to nie miejsce - powtarzał jej dawno temu Cl ark. - To stan umysłu. Moda. Wielkie kapelusze i kowbojskie buty".

Lara po raz pierwszy w życiu postawiła nogę w Teksasie dopiero sześć miesięcy temu. Spodziewała się pejzaży, znanych jej z hollywoodzkich filmów - jałowych, smaganych wiatrem przestrzeni. Tak było rzeczywiście, ale jedynie w zachodniej części stanu.

Na wschodzie Teksasu dominowała zielen. Rosły tu wielkie sosny, którym natura nie mogła wybrać lepszego miejsca. Tutejsze lasy szczególnie urokliwe stawały się wiosną. Na bujnych łąkach pasły się stada bydła. Do jezior pełnych ryb wpadały rzeki i potoki zasilone wodą z topniejącego śniegu.

Było tu mnóstwo przestrzeni. Teksasńczycy, przywiązani do starej, tradycyjnej Ameryki, nigdy nie zamieniliby swojej ziemi na zatłoczone, przeludnione, poszatkwane tereny Północy.

Wciąż byli dumni ze swego stanu.

Choć dzieci uczono w szkołach szacunku dla amerykańskiej flagi, to miejscowi ludzie mawiali: "Po pierwsze Teksas, po drugie Ameryka". W ich żyłach płynęła krew bohaterów wojny secesyjnej, pogromców Indian, poszukiwaczy złota. Powtarzali sobie historie o rewolwerowcach i rzeźmieszkach, których w duchu podziwiali. Lubowali się zwłaszcza w legendach o tych naj gorszych, typach spod ciemnej gwiazdy.

Chociaż Lara początkowo nie rozumiała do końca tutejszych ludzi, to od razu przypadły jej do smaku nowe okolice. Z Eden Pass rozchodziło się promieniście kilka dróg, co z lotu ptaka musiało przypominać szprychy połączone z osią rowerowego koła. Po rozmowie z Keyem Lara wybrała pierwszą lepszą drogę i jechała nią bez celu przez jakąś godzinę. Oddaliła się znacznie od miasteczka. Choć nie wiedziała dokładnie, gdzie jest, to przecież w każdym momencie mogła zawrócić i ruszyć z powrotem do domu. Zjechała z szosy i wyłączyła silnik. Gdy uciął motor, jej uszu natychmiast doszły bezładne dźwięki wydawane przez świerszcze, cykady i żaby. Wiatr poruszał liśćmi na krzewach porastających pobocze. Oparła ramiona na kierownicy i położyła na nich głowę. Była wściekła, że tak dała się wystrychnąć na dudka Keyowi Tackettowi.

Zachowała się dokładnie tak, jak powiedział: miotała oskarżenia, nie znając faktów.

Każda z ciemnych sprawek miała swą przyczynę, działa się w konkretnych okolicznościach. A te zwykle trudne były do pojęcia dla kogoś nie zorientowanego. Tylko znając każdy szczegół wolno ferować wyroki: co było dobre, co złe, co właściwe, a co nie, kto okazał się winny, a kto usprawiedliwiony. Zapomniała o tym na chwilę i została przykładnie ukarana.

We wnętrzu wozu zrobiło jej się nagle jakoś ciasno, więc wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza. Po jednej stronie szosy rozciągała się olbrzymia łąka. Stada zwierząt wróciły już na noc do obór. Dostrzegła też kilka stalowych konstrukcji, nieprzerwanie pompujących ropę z wnętrza ziemi.

Domyśliła się, że to roponośne pola Tackettów.

Nie padało już ponad tydzień. Poboczne drogi wyschło na popiół. Opuściwszy je, zbliżyła się do drucianego płotu odgradzającego łąkę. Uniosła głowę, spojrzała na gwiazdy i jasny półksiężyc.

Co ty tutaj robisz, Laro?

To pytanie zadawała sobie ostatnimi czasy całkiem często. Jeszcze przed śmiercią Clarka wpadła pierwszy raz na pomysł, by udać się na dłużej do Teksasu. Chciała wtedy zmusić Clarka, by zadośćuczynił jej za wszystkie krzywdy, jakie ją przez niego spotkały.

Zanim jednak zrealizowała to zamierzenie, Clark zginął. Ona miała już wtedy przed sobą inny cel. I pomoc w jego osiągnięciu mógł jej zaoferować ktoś inny. Key.

Key, który nią pogardzał. Ten fakt bardzo wszystko komplikował. Jednocześnie jednakże wzmagał jej determinację. Na studiach medycznych dowiedziała się, że nim sprawy przybiorą lepszy obrót, najpierw należy dopuścić do rozwoju choroby. Lekarstwa przeciw zawierają zwykle znikomą dawkę trucizny. Gotowa była przecierpieć 'wszystko, choćby nawet najgorsze upokorzenie, byle tylko postawić na swoim. Dopiero wtedy odzyska spokój umysłu, który utraciła wraz ze śmiercią córki.

Dopiero wówczas będzie mogła zapomnieć o całej tragedii, rzucającej długi, mroczny cień na jej żywot, czy to w Eden Pass, czy też gdzie indziej.

Lata po powrocie z Montesangre, gdzie utraciła męża Randalla i córeczkę Ashley, właściwie mogła uznać za czas stracony. Nie żyła jak należy. Egzystowała jedynie. Brnęła przez kolejne dni, pogrążona w rozpacz i samotności. Pomagała jej praca, ale większość ludzi w Eden Pass omijała Larę z daleka. Była niczym parias, stanowiła obiekt niezdrowej ciekawości i kpin. Patrzenie, kicia Clarka Tacketta.

Key także nazwał ją żdziirą. Również Jody myślała o niej w podobny sposób. Tak, Lara dostrzegła niewysłowioną pogardę w jej oczach. W gruncie rzeczy tego właśnie mogła się spodziewać.

Potępiali Larę nawet jej rodzice. Nigdy nie odnosili się do niej z przesadną czułością, a po skandalu stosunki popsuły się jeszcze bardziej. Nie rozumieli zupełnie, dlaczego ich córka chce leczyć ludzi w takiej dziurze na końcu świata, jak Eden Pass - na terytorium Tackettów, rodziny swego byłego kochanka.

"Potrzebny tam lekarz - tłumaczyła im Lara, gdy wyrazili zdumienie jej decyzją". "Lekarze potrzebni są wszędzie - przekonywał ją ojciec. - Czemu wybierasz się akurat tam?"

"Ponieważ ona zawsze wpakuje się w największe kłopoty, mój drogi - odpowiedziała za nią matka cichym, lecz chłodnym głosem. - Ma zwyczaj wyprowadzania nas z równowagi".

A ojciec dorzucił:

"Unikanie kłopotów to jeszcze nie zbrodnia, Laro. Powinnaś się tego nauczyć po wszystkim, co cię spotkało".

Pewnie zamdleliby oboje, gdyby Lara zdradziła im prawdziwy cel swych prętosin o Eden Pass.

Przezornie więc zataiła go przed nimi. Broniąc się przed zarzutami, rzekła tylko:

"Wiem, że nie będzie łatwo rozpocząć tam praktykę, ale muszę skorzystać z okazji, jaka się nadarzyła".

"Zobaczysz, będziesz tego żałować. I sama poniesiesz karę za lekkomyślność.

Gdybyś słuchała matki i mnie, nie spotkałoby cię tyle niepowodzeń".

Kusiło ją, żeby mi przypomnieć, że to właśnie oni nakłaniali ją do małżeństwa z Randallem Porterem. Uczynił na nich wielkie wrażenie, choć nie zdołali go nawet zbyt dobrze poznać. No, ale miał ujmujący sposób bycia, pochodził z wielkiego miasta i obracał się w ekskluzywnych kręgach. Nadto mówił płynnie trzema językami i miał widoki na błyskotliwą karierę w Departamencie Stanu, czym zresztą lubił się chlępić.

Rodzice Lary nadal zachowywali o Randalle znakomite zdanie. Uważali, że postąpił niemal jak święty, nie rozwodząc się z nią mimo całego skandalu z senatorem Tackettem. Czy liczyło się dla nich, że Lara nie czuła się z nim szczęśliwa już na długo przedtem, nim poznała Clarka?

Odpędziła od siebie te przykre wspomnienia i wróciła do samochodu. Chwyciła już za klamkę, gdy dobiegł jej uszu osobliwy dźwięk. Uniosła głowę i dostrzegła samolot - ciemny punkt nad gasnącym horyzontem. Maszyna zbliżyła się, lecąc na małej wysokości, niebezpiecznie małej, niemal dotykając

wierzchołków drzew rosnących tu i ówdzie. Był to niewielki samolot, jednosilnikowa awionetka. Przemknął ponad łąką i przeciął szosę nie opodal miejsca, gdzie stał wóz Lary. Wstrzymała oddech, gdy doleciał do odległego o kilkaset metrów lasu. Tuż przed ciemną linią drzew pilot raptownie poderwał maszynę. Następnie kontynuował lot na mniej już ryzykownej wysokości. Lara śledziła awionetkę wzrokiem, aż ta zniknęła jej z widoku. Zastanawiała się, czy ktoś przypadkiem nie wziął się do opryskiwania pastwiska, gdy nie było już na nich krów. Nie - stwierdziła - to jakiś śmiałek zafundował sobie nocny lot. Jakiś głupiec - dodała w myślach, siadając za kierownicą i zapalając silnik. Przyszło jej zaraz do głowy, że to ją miano właśnie za skończoną idiotkę. Przybyła przecież do Eden Pass i zaczęła drażnić Tackettów. Kiedy jednak nie ma się nic do stracenia, to niby czego się bać? Czy Tackettowie mogą uczynić jej coś gorszego ponad to, co już przeszła? Kiedy tylko osiągnie swój cel, to z przyjemnością pozostawi ich samym sobie w tym teksańskim miasteczku. Na razie nie zamierzała się przejmować tym, co o niej myślano i gadano. Musiała się jednak rozmówić z Tackettami. Tylko jak? Przecież Jody nawet patrzeć na nią nie chciała. Key był porywczy i chamski. Zwróciłaby się wprost do niego tylko w ostateczności. A może Janellen? Lara wyczuła, że siostra Clarka nie jest pozbawiona dobroci. Czy przy pomocy Janellen mogłaby przebić mur obojętności i cynizmu, który wznosił wokół siebie Key? Należało spróbować. Gra była warta świeczki.

*

Janellen wściekała się na siebie. Zorientowała się, że nie wzięła notatnika, w którym zapisywała najistotniejsze sprawy do załatwienia. Jeszcze wczoraj układała sobie dokładny plan zajęć na najbliższe dni. Bardzo rzadko bywała tak roztargniona. Zdenerwowana wyszła z biura i pojechała w kierunku budynku zwanego przez robotników magazynem. Było to cokolwiek przesadne określenie. Przez lata firma rozrastała się i przybywało też rozmaitych budynków. W magazynie zwykle składowano urządzenia i materiały, lecz w gruncie rzeczy nadawał się on już do rozbioru. Była niedziela. Z tego powodu magazyn świecił pustkami. Janellen nie dostrzegła nikogo. Zaparkowała samochód przy bocznym wejściu, wiodącym do miniaturowego pomieszczenia. Znajdowały się tam: telefon, lodówka, kuchenka mikrofalowa, ekspres do kawy, tablica na drobne anonse oraz szafka opatrzone nazwiskami użytkowników. W tymże pokoju Janellen co dwa tygodnie wypłacała pensje pracownikom. Otworzyła drzwi swoim kluczem i weszła do środka. Nie rzuciła nawet okiem na wiszący na ścianie kalendarz z fotosami rozneglizowanych panienek, zignorowała też panującą tu stęchłą, tytoniową woń. Podeszła do metalowego biurka, gdzie - jak pamiętała - zostawiła notatnik. I znalazła go tam istotnie. Wcisnęła zgubę pod pachę, zamierzając wyjść, kiedy nagle usłyszała kroki w przylegającym do pomieszczenia garażu. Zdało się to trochę podejrzanę. Drzwi od garażu pozostawały zamknięte. W jego wnętrzu panował półmrok, jako że przez malutkie okienka wpadało niewiele światła. Za firmowymi ciężarówkami stała furgonetka. Jeden z zatrudnionych tu ludzi ładował do niej różne sprzęty i części maszyn. Nie robił tego bezładnie - od czasu do czasu popatrywał na trzymaną w dłoni kartkę. W końcu złożył ją, schował do kieszeni i otworzył drzwi furgonetki. Naraz stanął jak wryty, gdy zobaczył stojącą obok swego wozu Janellen.

- Panno Tackett! - krzyknął. - Nie ... nie wiedziałem, że pani tu jest.
- Co ty tu robisz w niedzielę rano, Muley?

Nawet w kiepskim świetle widać było, że poczerwieniał. Wskazał na swą czapkę z daszkiem. Widniał na niej napis "Tackett Oil" oraz logo firmy.

- No ... Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku - wyjaśnił.
- Przecież wzięłeś parę dni urlopu.
- Zgadza się, ale ... właściwie dopiero od poniedziałku ...
- Więc po co myszkujesz po ciemku? Zerknęła na bagażnik furgonu i dodała:
- Ładujesz sprzęt do swego wozu, a nie firmowego, Muley. Wiesz, jak to się nazywa? Kradzież.
- To stare graty, panno Tackett. Nikt ich nie potrzebuje .
- I postanowiłeś się nimi zająć?
- Mówiłem już, że to rupiecie. Rdzewieją tu tylko.
- Tylko że te rupiecie kupiła firma Tackett Oil. Ty nie masz prawa nimi dysponować - stwierdziła Janellen. Wyprostowała się i wzięła głęboki oddech. - Wyjmij je, proszę, ze swojego samochodu.

Zrobił, czego zażądała. Potem stanął w rozkroku i zatknął kciuki za pas. Spojrzał na nią groźnie i zapytał:

- Zamierza mi pani polecić po pensji, czy jak?

- Nie. Zwalniam cię po prostu.

Jakby go trafił grom. Wyciągnął kciuki zza paska i zacisnął dłonie w pięści. Zrobił dwa kroki w jej kierunku.

- Gówno. To Jody mnie najęła i tylko ona może mnie wylać.

- I robi to bez mrugnięcia okiem, kiedy tylko się dowie, że przyłapano cię na kradzieży. Ona, gdyby mogła, obcinałaby złodziejom ręce.

- Skąd ta pewność? Poza tym niczego nie można mi udowodnić. Powiem, że chciałem od was kupić ten cholerny sprzęt.

Ze smutkiem pokręciła głową. Czuła się trochę oszukana. Nie cierpiała niełojalności.

- Nic z tego, Muley. Wcale nie zamierzałeś tego kupować. Zakradłeś się tutaj w niedzielę rano, wiedząc, że nikogo nie spotkasz Przykro mi. Moja decyzja jest nieodwołalna. Piętnastego zgłoś się po ostatnią wypłatę.

- Ty nadziana suko - parsknął. - Dobra, pójdę sobie, ale tylko dlatego, że uważam tę firmę za kupę gówna. Wszyscy wiedzą, że Jody już ledwo zipie. Myślisz, że uda ci się zająć jej miejsce? Nikt tu nie traktuje cię poważnie. Wyśmiewają cię, wiesz o tym? Tak, chłopaki schodzą się tu po zmianie i robią sobie z ciebie jaja. No tak, pewnie chcesz przejąć stołek po mamusce, bo nie masz nic innego do roboty. Chyba się jeszcze z nikim nie pieprzyłaś, co? Robiliśmy tu zakłady, czy jakiś facet już cię przerznął. Po mojemu nie. Nawet jeżeli odziedziczysz całą forszę Tackettów, to i tak żaden palant przy zdrowych zmysłach nie wlezie na ciebie.

Janellen oblała się rumieńcem, słysząc te wulgarne słowa. Słowa, które dzwoniły jej w uszach i odbijały się echem we wnętrzu czaszki. Ugięły się pod nią nogi. Z trudem utrzymała równowagę.

- Jeśli nie wyniesiesz się stąd w ciągu dziesięciu sekund, to zadzwonię po szeryfa Baxtera i zostaniesz aresztowany!

Pokazał jej, gdzie się zgina dziób pingwina, i wszedł do swego wozu. Ruszył w stronę wjazdu, kopniakiem otworzył dużą bramę i wyjechał na zewnątrz, klnąc jeszcze głośno.

Janellen wróciła na drżących nogach do niewielkiej kanciapy dla robotników i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Usiadła na krześle przy biurku i objęła się ramionami, jakby było jej zimno. Stawiła czoło stukilogramowemu brutalowi, lecz teraz - kiedy już było po wszystkim - zaczęła się trząść i dzwonić zębami.

Zadzieranie z Muleyem było ryzykowną sprawą. Mógł przecież zrobić jej krzywdę, nawet zabić, i nikt nie podejrzewałby go o to. Ludzie pomyśleliby, że napadł na nią ten sam tajemniczy osobnik, który wcześniej włamał się do Winstonów.

Zaczęła się kiwać na krześle. Co ją napadło, żeby gadać z nim tak ostro? - zastanawiała się. Może przejęła po rodzicach odwagę, tylko dotychczas nie miała okazji zdać sobie z tego sprawy? Przyciśnięta do muru pokazała, na co ją stać.

Musiało upłynąć pół godziny, zanim się uspokoiła. Przez ten czas doszła jednak do wniosku, że postąpiła słusznie wylewając Muleya. Tyle że teraz należało powiadomić o tym Jody. Nie miała wątpliwości, że matka potwierdzi jej decyzję. Tylko bała się opowiedzieć o tym nieszczęsnym zajściu. Może najpierw powinna znaleźć zamiennika na miejsce Muleya? Trudno jednak dzisiaj o wykwalifikowanych robotników ... Bowie Cato - pomyślała.

Niespodziewanie poczuła, że jej serce zaczyna bić nieco prędeej. Myślała przez ostatnie dni o tym człowieku dosyć często, częściej niż powinna, nie całkiem zdając sobie sprawę - dlaczego. Starła się przypomnieć sobie dokładnie rys~ jego twarzy, jego piwne oczy, patrzące na świat ze smutkiem i odrobiną cymzmu.

Czy powinna do niego zadzwonić i zapytać, czy nadal zainteresowany jest tą pracą? Pewnie już wyjechał z miasta - pomyślała.

Poza tym jak można było zatrudnić człowieka z wyrokiem na karku na miejsce zwolnionego złodzieja? Jody wściekłaby się, gdyby poznała jego przeszłość. Podskoczyłoby jej ciśnienie i wszystko to byłoby winą Janellen.

Jeszcze przez moment gryzła się z myślami, ważąc wszelkie obiekcje, ale w końcu wzięła do ręki słuchawkę i wykręciła numer "The Palm".

- Dzień dobry ... - powiedziała. - Dzwonię, żeby ... Z kim rozmawiam? - zaczęła się lekko jąkać. Dopiero co odkryta odwaga uciekła gdzieś w pięty.

- O co chodzi?

- Tu Janellen Tackett. Szukam ...

- Nie ma go tu.
- Słucham?
- Nie ma pani brata. Owszem, wpadł wczoraj pod wieczór. Siedział jakieś pół godziny. Wlał w siebie trzy podwójne szkockie. Jedną po drugiej. A potem wyszedł. Mówił, że zamierza sobie polatać samolotem, - W słuchawce rozległ się chichot. - Za nic na świecie nie wsiadłbym z nim do samolotu. Miał przecież w żyłach sporo gorzałki, no i był w parszywym nastroju.
- Och, mój Boże - westchnęła. Dzisiejszego poranka wozu Keya nie było na zwykłym miejscu, ale uważała, że wstał wcześniej i gdzieś się wybrał. Do głowy jej nie przyszło, że mógł w ogóle nie wrócić do domu.
- Nazywam się Hap Hollister, panno Janellen. Jestem właścicielem "The Phalm". Czy mam przekazać jakąś wiadomość Keyowi, jeśli przyjdzie? Czy powiedzieć mu, żeby zadzwonił do domu?
- Tak, proszę. Mam nadzieję, że wszystko z nim w porządku.
- Jasne jak słońce. Wiadomo, jaki jest Key. Poradzi sobie.
- Owszem, ale tak czy owak proszę mu przekazać, że dzwoniłam.
- Ma się rozumieć. Do widzenia .
- Właściwie, panie Hollister... - dodała pospiesznie. - Zadzwoiłam z innego powodu.
- Proszę mówić - zachęcił ją, słysząc, że się zawahała. Janellen otarła spoconą dłoń o spódnicę.
- Czy nadal pracuje u pana młody człowiek o nazwisku Cato?

*

Lara pielila akurat petunie, gdy zza najbliższego rogu wyjechał niebieski wóz, podskoczył na wybojach, skręcił i zahamował raptownie na podjeździe przed jej domem. Z samochodu wyskoczył młody człowiek w samych kąpielówkach. Był wyraźnie przerażony.

- Pani doktor! Moja córeczka ... Ona ... jej ramię ... O Jezuu, proszę nam pomóc! Lara rzuciła grackę i wyskoczyła z zagonu pełnego kwiatów niczym sprinter z bloków startowych. W biegu zrzuciła z dłoni ogrodowe rękawice. W wozie siedziała kobieta i zachowywała się jeszcze bardziej histerycznie niż mężczyzna w kąpielówkach. Na rękach trzymała dziecko, które mogło mieć ze trzy lata. Lara dostrzegła plamy krwi.

- Co się stało? - spytała i delikatnie oswobodziła dziecko z ramion matki.

Zorientowała się, że krew ma kolor jasnoczerwony - nieomylny znak, że uszkodzona została tętnica.

- Przejeżdżaliśmy właśnie nad jeziorem - wyjaśnił łkając mężczyzna. - Letty siedziała z tyłu i naraz wystawiła rączkę za okno. Mijaliśmy budkę telefoniczną ... Nie przypuszczałam, że ... Och, Boże! Ramię dziewczynki wyglądało fatalnie. Lara dostrzegła, że coś się stało ze stawem barkowym dziecka, które wciąż krwawiło. Skóra dziewczynki była dosłownie sina. Letty oddychała szybko i nieregularnie. Nie reagowała na bodźce.

- Dajcie mi ręcznik!

Mężczyzna szybko wyciągnął z torby ręcznik plażowy i rzucił go Larze. Ta przycisnęła miękki materiał do otwartej rany.

- Trzymaj tak, dopóki nie wrócę - poleciła. Zapłakana matka posłusznie skinęła głową. Lara zwróciła się do ojca dziecka: - Opróżnij tył wozu.

Biegiem puściła się do gabinetu. Szukając środków znieczulających, zadzwoniła równocześnie do szpitala w Tyler.

- Tu doktor Mallory z Eden Pass. Potrzebny helikopter. Pacjentem jest dziecko w stanie szoku, poważna utrata krwi. Zmiażdżone prawe ramię. Szyja, głowa i plecy nie uszkodzone.

- Czy możecie dostać się do lądowiska w Dabbert?

- Tak.

- Oba śmigłowce już wyleciały do wezwań. Musimy skorzystać z innego środka transportu.

Lara odłożyła słuchawkę i chwyciła torbę z narzędziami lekarskimi i medykamentami. Ojciec dziewczynki zdążył już opróżnić tył wozu. Na podjeździe leżały porzucane materace plażowe, piknikowe kosze, butelki po napojach, termosy oraz stary koc.

- Pomóżcie mi przenieść ją na tył.

Lara wraz z ojcem dziecka przetransportowali ostrożnie dziewczynkę na tył auta.

Oszołomiona matka szła za nimi szlochając.

- Dajcie mi koc.

Mężczyzna natychmiast wykonał polecenie. Lara okryła szczelnie kocem ciało rannego dziecka.

- Jedźmy teraz na miejscowe lądowisko. Mam nadzieję, że wiesz jak tam trafić?

Przytaknął nerwowym skinieniem głowy.

- Poczekamy tam na śmigłowiec, który zabierze dziewczynkę do Tyler.
Zatrzasnął tylne drzwiczki i jednym susem znalazł się za kierownicą. Upłynęło ledwie pięć minut od czasu, gdy przed domem zjawił się niebieski wóz. Obecnie znajdowali się już w drodze.
Lara naturalnie nie traciła cennych sekund. Odrzuciła zakrwawiony ręcznik i przyłożyła do rany wysterylizowane kawałki gazy. Następnie obwiązała ramię dziecka bandażem. Musiała za wszelką cenę zatamować krwawienie.

Potem usiłowała wyczuć ciśnienie, przyciskając kciuk do rączki dziewczynki i szukając żyły. Mała pacjentka zaczęła wymiotować. Zobaczywszy to, matka dziecka rozpaczliwie krzyknęła. Lara rozkazała opanowanym głosem:

- Odwróćmy jej główkę na bok, żeby się nie udławiła wymiotami.

Teraz nic nie tamowało już dróg oddechowych pacjentki, ale Letty chwyciła powietrze z trudem, a jej puls był ledwo wyczuwalny.

Mężczyzna pędził jak szalony, wyprzedzając bez pardonu wszystkie wozy na swojej drodze, tłukąc pięścią w klakson i klnąc zapalczywie przez łyż. Matka Letty cały czas zanosila się głośnym szlochem. Lara wiedziała, co oboje teraz czują. Wiedziała, co to znaczy widzieć agonie własnego dziecka.

Puls słabł. Lara podjęła ryzykowną decyzję. Wsunęła stopę dziecka spod koca i nie zważając na lamentsy matki dokonała niewielkiego nacięcia przy kostce za pomocą skalpela. Po czym wprowadziła bezpośrednio do krwi lek pobudzający pracę serca.

Działała szybko, lecz bezbłędnie. Po chwili otarła rękawem krople potu z czoła.

- Bogu dzięki - powiedziała cicho, gdy spostrzegła, że zbliżają się już do lądowiska.

- Gdzie helikopter?! - wrzasnął histerycznie ojciec Letty.

- Użyj klaksonu.

Przeciągłe trąbienie wyciągnęło z blaszanego hangaru człowieka w poplamionym kombinezonie. Puścił się pędem w kierunku samochodu.

- Ty jesteś doktor Mallory? - spytał.

Ojciec dziecka wskazał kciukiem na tył wozu. Mechanik zajrzał do wnętrza.

- Pani doktor?

Lara wyskoczyła z auta i spytała:

- Czy mieliście wiadomość ze szpitala?

- Jeden z ich śmigłowców poleciał po człowieka, który miał atak serca, a drugi do karambolu na autostradzie.

- Czy powiadomili Centrum Medyczne?

- Ich helikoptery też poleciały na miejsce wypadku. Chyba jest tam niezła jatka. podobno mnóstwo ofiar...

- Ale to dziecko potrzebuje natychmiastowej pomocy!

- Och, mój Boże, moja biedna mała! - rozpaczła matka. - Ona umrze, prawda? Boże ... !

Lara spojrzała na dziewczynkę i pojęła, że z kruchego, dziecinnego ciała ucieka życie. Zakryła twarz dłońmi w pokrwawionych gumowych rękawiczkach. Przyszło jej przeżyć jeszcze raz koszmar, który od lat ją prześladował. Patrzeć, jak umiera dziecko. Wykrwawia się na śmierć. I nie można było niczego zrobić, by temu zapobiec,

Ojciec Letty nagle brutalnie potrząsnął Larą.

- I co teraz?! - zawołał. - Musisz coś zrobić! Mój dzieciak umiera! Wiedziała o tym aż za dobrze. Wiedziała również, że sama w tej sytuacji nie będzie w stanie wiele wskórać. Dziewczynce groziła jeśli nie śmierć, to przynajmniej utrata ręki, o ile natychmiast nie trafi do szpitala. Mały miejscowy szpital nie dysponował odpowiednim sprzętem. Nie poradziliby sobie z tak skomplikowanym przypadkiem.

Złamania, płytkie rany - owszem, ale coś takiego ... Zabranie tam dziewczynki mogło oznaczać marnowanie bezcennego czasu.

Naraz zwróciła się do mechanika.

- Potrafi pan pilotować? To sprawa życia i śmierci.

- Ja tylko naprawiam te graty. Nigdy nimi nie latałem. Mieszka tu jednak w okolicy pewien pilot. On poradziłby sobie ... - Gdzie on jest?

- Tam - wskazał palcem hangar. - Tylko że, zdaje się, jest w nie najlepszej formie.

- Macie jakiś samolot na chodzie? A może helikopter?

- Pewien gość, co tu lubił grywać w golfa, trzyma u nas swój helikopter. Całkiem niezły. Ten facet lata nim często do Dallas na rozgrywki. Równy z niego człek. Chyba nie będzie miał nic przeciwko temu, że wzięliście jego maszynę w takiej sytuacji ...

- Prędeży! Zróbmy coś! - błagała matka Letty.

- A ten pilot? Zna się na śmigłowcach? - wypytywała mechanika Lara.

- Tak, ale jak już mówiłem, on nie ...

Lara w tej chwili nakazała rodzicom dziecka przejąć na moment opiekę nad Letty.

Ryzykowała zostawiając pacjentkę, ale nie wierzyła, że mechanik wystarczająco energicznie nakłoni pilota do lotu. Pobiegnęła w stronę hangaru. Znajdowało się tam kilka rozebranych maszyn. Nie mogła dostrzec nikogo.

- Halo! Jest tu ktoś?

Przez uchylone drzwi wpadła do ciasnego, zadymionego pomieszczenia. W kącie dojrzała pryczę. Leżał na niej mężczyzna i głośno chrapał.

Natychmiast go poznała. To Key Tackett.

8.

Cuchnął jak gorzelnia. Lara pochyliła się i energicznie zaczęła nim potrząsać.

- Zbudź się. Musisz ze mną polecieć do Tyler. No już!

Mruknął coś pod nosem, odepchnął ją i przekręcił się na bok.

W porzewiałej warczącej lodówce Lara znalazła kilka puszek piwa, kawałek śmierdzącego sera, obraną pomarańczę i plastikowy kubek z zimną wodą. Właśnie tego szukała. Wyjęła wodę z lodówki i chlusiła ją Keyowi w twarz.

Zerwał się z wrzaskiem, wymachując pięściami.

- Co jest, do cholery?!

Gdy ujrzał Larę, początkowo nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Musisz polecieć do szpitala Matki Franciszki z ranną dziewczynką. Jej życiu zagraża niebezpieczeństwo. Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia. Czy możesz nas tam zawieźć? Dasz sobie radę?

- spytała.

- Jasne - odparł i wskoczył w buty.

Lara natychmiast wybiegła z hangaru. Natknęła się na ojca Letty.

- Znalazłaś go? - zapytał.

- Już się zbiera.

Wolała nie wdawać się w wyjaśnienia, że wyrwała pilota z pijackiego snu. Mechanik przygotowywał już helikopter do lotu.

- Jak się nazywasz? - zapytała ojca dziewczynki, gdy biegli oboje przez pas startowy.

- Jack Leonard. Moja żona ma na imię Marion. A nasza córeczka to Letty.

- Pomóż mi przenieść Letty do śmigłowca.

Nie zwlekając wynieśli ostrożnie dziewczynkę z samochodu. Marion truchtała za nimi, trzymając w górze pojemnik z glukozą. Nim dotarli do helikoptera, Key zdążył zająć miejsce za sterami.

U uruchomił też już silnik. Łopaty powoli zaczęły się obracać. Leonardowie byli na tyle zajęci córką, iż nie zwrócili uwagi na nieświeży wygląd pilota, na zarost pokrywający jego twarz. Całe szczęście, że Key założył na przekrwione oczy ciemne okulary.

Gdy wszyscy znaleźli się już w maszynie, odwrócił głowę i zapytał.

- Gotowe?

Lara skinęła głową i wzbili się w powietrze.

Panował zbyt wielki hałas, by prowadzić normalną rozmowę, do której zresztą nikt nie przejawiał specjalnej ochoty. Lara cały czas kontrolowała puls dziecka. Miała nadzieję, że Key wie, jak dolecieć do szpitala. On założył na głowę kask i mówił coś do mikrofonu. Potem obrócił się i krzyknął do Lary:

- Nawiązałem z nimi łączność! Chcą uzyskać jakieś dane o stanie pacjentki.

- Ciśnienie krwi ciągle spada. Niech postawią na nogi oddział chirurgiczny i ortopedyczny. Cały czas podaję dziecku glukozę.

- Czy zaaplikowałaś jej lek przeciw krzepnięciu krwi?

Miała wcześniej taki pomysł, ale odrzuciła go.

- Jest na to za mała. Częściowo udało mi się jednak powstrzymać krwawienie. Key przekazał przez radio te informacje. Lara tymczasem sprawdzała oddech Letty.

Dziecko było zbyt poważnie ranne, aby można sztucznie wspomóc pracę płuc.

Marion od czasu do czasu wyciągała rękę i gładziła po włosach nieprzytomną córkę.

Pulchne paluszki stópki Letty wysunęły się spod koca. Na ten widok Larze ścisnęło się serce.

Gdy wylecieli już poza granice miasta, Key odezwał się znowu:

- Oddział reanimacyjny w pogotowiu. Mamy też zgodę na lądowanie.
Naraz Letty przestała oddychać. Lara nacisnęła mocno kciukiem na punkt na szyi dziecka, nie wyczuła jednak pulsu. Jack Leonard krzyknął przerażony:
- Co się stało?! Pani doktor, co z nią jest?
- Nie czuję pulsu.
- Moje dziecko! Och, Boże, moja biedna dziecina! - Marion zawodziła histerycznie.
Lara umieściła dłonie na mostku dziecka i nacisnęła energicznie kilka razy, próbując pobudzić serce Letty do pracy.
- Letty, proszę, powalcz jeszcze trochę. Key, jak daleko do szpitala?
- Już go widzę.
Ustami wpompowała trochę powietrza przez nozdrza dziecka.
- Nie umieraj. Nie poddawaj się, Letty - szeptała gorączkowo.
- Chryste! - wrzasnął Jack. - Ona nie żyje!
- Letty! - krzyczała Marion. - Boże, nie!
Lara nie słyszała nawet tych rozpaczliwych błagań. Całą uwagę skupiła na kruchym ciałku dziecka. Nadal usiłowała przywrócić je do życia za pomocą sztucznego oddychania.
I nagle krzyknęła radośnie, wyczuwając na powrót słaby puls. Drobną pierś Letty znowu unosiła się i opadała w rytm płytkich oddechów.
- Wróciły oznaki życia!
Key tymczasem posadził helikopter na lądowisku.
Do maszyny podbiegli ludzie w białych fartuchach, pochylając głowy, gdyż łopaty wirnika jeszcze się obracały. Lara podtrzymywała rozhisteryzowaną Marion, gdy pielęgniarze wynosili dziecko z wnętrza śmigłowca. Marion chciała biec za nimi na salę operacyjną, lecz jedna z pielęgniarek stwierdziła, że to wykluczone.
- Muszę być przy córce - protestowała głośno Marion.
- Przykro mi, proszę pani, ale to niemożliwe. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.
- Dziękuję - wtrąciła się Lara. - Ja się zajmę matką pacjentki.
Wraz z Jackiem udało jej się zaprowadzić Marion do poczekalni. Mężczyzna powiedział cicho do żony:
- Muszę zadzwonić do rodziców, Marion.
- Idź - odezwała się Lara. - Zostanę z nią.
- Nie! - Marion rozpaczliwie pokręciła głową. - Chcę być przy Jacku.
Nie dała sobie tego wyperswadować. W końcu oboje udali się na poszukiwanie tomatu telefonicznego.
- Uratują dzieciaka?
Słyszając za sobą głos, Lara obróciła się raptownie. Key patrzył za Leonardami, którzy szli korytarzem.
- Kto wie? Trudna sprawa.
- O mało nie zmarła ci na rękach, prawda? - Spojrzył jej teraz w oczy.
- I walczyłaś, żeby zachować jakąś nadzieję na ratunek.
- To moja praca .
Upłynęła chwila, nim zapytał:
- A co z jej ręką?
- Nie mam pojęcia. Być może będą musieli ją amputować.
- Cholera.
Zdjął lustrzane okulary i wsadził je do kieszeni koszuli, którą zdążył przedtem zapiąć.
- Napiłbym się kawy. A ty?
- Nie, dziękuję - odpowiedziała.
- Kiedy będziesz chciała wracać do Eden Pass ...
Lara pokręciła przecząco głową .
- Zostanę tutaj razem z nimi. Przynajmniej do końca operacji. Nie krępuj się, możesz wrócić sam.
Poradzę sobie.
Spojrzał na nią spod ściągniętych brwi, potem rzekł krótko:
- Idę na kawę.
Patrzyła za nim, jak oddalał się korytarzem. Niemal już nie utykał na prawą nogę.
Gdyby nie zarośnięta twarz, nikt nie odgadłby, że jeszcze kwadrans temu ten człowiek leżał pijany w jakiejś obskurnej norze.
Udało mu się wylądować helikopterem tuż przy budynku szpitala, a to nie lada sztuczka. Był rzeczywiście znakomitym pilotem. Istotnie potrafił dolecieć wszędzie bez względu na swój stan.

Leonardowie wrócili i rozpoczęli długie czuwanie. Powrócił także Key z kawą kanapkami. Lara postanowiła przedstawić go Jackowi i Marion.

- Nie wiemy, jak ci dziękować - powiedziała do Keya Marion, ocierając łzy.

- Gdybyś nie pomógł nam dostać się tutaj, to Letty ... Och, Boże ...

Uściskał ją, by dodać jej otuchy i przynajmniej trochę rozładować ciężką atmosferę.

- Wróć za chwilę - rzekł i oddalił się bez dalszych wyjaśnień.

Czekali niecierpliwie na wieści z sali operacyjnej. Ilekroć pielęgniarka pojawiała się w poczekalni, cała trójka zamierała. Dowiadywali się jednak tylko, że chirurdzy robią co mogą, by uratować Letty.

Tego ranka panował w szpitalu spory ruch. Przywożono ludzi z karambolu. Na autostradzie zderzyło się kilka samochodów, w tym autobus wiozący wycieczkę emerytów. Personel szpitala miał pełne ręce roboty. Lara zauważyła jednak, że tutejsi lekarze są bardzo kompetentni i podchodzą do swoich obowiązków z pełnym zaangażowaniem.

Key powrócił do nich znowu po upływie godziny. Miał ze sobą wypchaną plastikową torbę. Podał ją Larze i Marion.

- Pomyślałem sobie, że powinniście się przebrać.

W torbie znajdowały się spodnie i koszulki. Ubrania kobiet zeszywniały bowiem przesiąknięte krwią Letty. Lara i Marion przeszły do toalety i przebrały się. Jack próbował zapłacić Keyowi, lecz ten nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Jesteś synem Barneya Leonarda, nie? Pracujesz w pralni swojego starego?

- Tak jest, panie Takcett. Nie wiedziałem, że pan mnie zna.

- Nie wygłupiaj się z tym panem. Na imię mam Key. Odsyłam brudne ciuchy do twojej pralni - rzekł. - Zapomnij teraz o forsie.

Jack ze wzruszeniem uściskał dłoń Keya.

Minęło znowu kilkadziesiąt minut. Do szpitala przybyli rodzice Jacka i Marion. Po cichu modlili się o życie Letty. W trakcie swej praktyki lekarskiej Lara nieraz miała okazję obserwować podobne sceny.

Współczuła ludziom, których najbardziej dotykała tragedia.

Lecz Key czuł się bardzo skrępowany. Kroczył po korytarzu w tę i z powrotem, znikając co jakiś czas. Larze często się zdawało, że wołałby wsiąść do helikoptera i odlecieć do Eden Pass, wówczas jednak Key zjawiał się znowu i pytał, czy są jakieś nowe wieści na temat stanu Letty. Lara zauważyła też, że się ogolił i przebrał w inną koszulę. Wyglądał znacznie lepiej niż rano.

Upłynęło siedem godzin od momentu, w którym Letty znalazła się w szpitalu, gdy z gabinetu zabiegowego wyszedł mężczyzna w średnim wieku i wywołał Leonardów. Ci machinalnie chwycili się za ręce, przygotowując się na najgorsze.

- Jestem doktor Rupert - przedstawił się chirurg. - Operacja się powiodła. Jeżeli nie wynikną jakieś komplikacje, dziewczynka wróci do zdrowia.

Marion upadłaby na posadzkę, gdyby Jack w porę jej nie pochwycił. Zaczęła głośno, przejmująco płakać.

- Dzięki ... dzięki - powtarzała.

- Co z ręką? - spytał Jack.

- Zdołaliśmy ją uratować, teraz jednak trudno orzec, czy będzie całkowicie sprawna. Przywróciliśmy krwiobieg w ramieniu, ale nerwy i tkanka mięśniowa zostały uszkodzone. Doktor Callahan, ortopeda, wkrótce będzie w stanie powiedzieć coś więcej na ten temat. Da też kilka wskazówek dotyczących przyszłej terapii. Najważniejsze w chwili obecnej jest to, że dziewczynka żyje.

- Kiedy będę mogła ją zobaczyć? - zapytała Marion.

- Pozostanie przez kilka dni na oddziale intensywnej terapii ... Cóż, postaramy się umożliwić widzenie w odpowiednim czasie. Damy znać. Proszę porozmawiać jeszcze z doktorem Callahanem. Zaraz tu będzie. Rodzice i dziadkowie Letty rzucili się sobie w objęcia. Wówczas chirurg zwrócił się do Keya.

- Doktor Mallory?

- To nie ja.

- Ja nazywam się Mallory. - Lara wyciągnęła rękę. - Prowadzę gabinet w Eden Pass.

- Gratuluję. Spisała się pani znakomicie. Proszę kiedyś do nas wpaść. Porozmawiamy.

- Dziękuję - rzekła Lara i uśmiechnęła się mimo zmęczenia. Ściszyła głos i zapytała: - A tak między nami lekarzami ... co z ramieniem Letty?

- Nie jestem jasnowidzem ... Może wszystko skończy się dobrze, może nie. Pacjentka jest jeszcze bardzo młoda, być może jej organizm odtworzy uszkodzoną :kankę. Miejmy taką nadzieję.

Na jego twarzy zagościł nikły uśmiech.

- Dam jednak głowę - dodał - że już nigdy nie będzie próbowała wystawić ręki za okno pędzącego

samochodu.

Potem raz jeszcze uściśniła dłoń Lary, zamienił parę słów z Leonardami i odszedł orytarzem.

Małżonkowie z wdzięcznością uściskali Larę i pobiegli do telefonu zawiadomić krewnych i przyjaciół, że najgorsze minęło.

Lara spojrzała na Keya.

- Chyba już nic tu po mnie - stwierdziła.

- Maszyna czeka, pani doktor - odrzekł.

*

Gdy znaleźli się już w powietrzu, Lara poczuła potworne zmęczenie. Minione godziny kosztowały ją wiele nerwów. Bolał ją zeszywniały kark. Usiłowała rozmasować go dłonią.

Nie wzbudzał jej zachwyty nawet fantastyczny widok z kabiny śmigłowca. Wciąż bowiem myślała o tym, że Letty Leonard otarła się o śmierć.

Zdała sobie sprawę, jak kruche jest ludzkie życie, gdy utraciła własne dziecko.

Śmierć dorosłego nie wywierała na niej takiego wrażenia jak zgon istoty, która dopiero co wkraczała w rzeczywistość. Wspomniała Ashley ... Swą wesołą i rozkoszną córeczkę ... Słońce już nigdy dla niej nie zaświeci.

Oczy Lary zaszyły łzami. Gorycz ścisnęła jej gardło. Gdyby to nie Key siedział teraz obok, z pewnością wybuchłaby głośnym płaczem.

Starła wziąć się w garść. I udało jej się zachować pozorny spokój. Śmigłowiec siadł wreszcie na lądowisku w Eden Pass. Na powitanie wybiegł ku nim mechanik.

- I co z tą małą? - zapytał, gdy Lara opuściłaabinę.

- Żyje. Uratowali jej rękę.

- Chwała Bogu. Myślałem, że już po niej. Cześć, Key. Niezła maszyna, co?

- Rewelacyjna - przyznał oddając mu kluczyki.

Lara wskazała na wóz Leonardów.

- Ktoś powinien oczyścić wnętrze tego wozu.

- Już zrobione - odrzekł mechanik. - Sciągnąłem tu chłopaka z warsztatu.

- To bardzo uprzejme z twojej strony ... Balky, prawda?

Przytaknął ruchem głowy.

- Balky Willis. Miło mi - przedstawił się i wyciągnął w stronę Lary dłoń.

Uściśniła ją.

- Doktor Lara Mallory.

- Domyśliłem się tego.

- Jestem przekonana, że Leonardowie będą ci wdzięczni. Zająłeś się ich samochodem.

- Właściwie to nie był mój pomysł. Key zadzwonił z Tyler. ..

Zaskoczona Lara spojrzała na Keya, który obojętnie wzruszył ramionami.

- Co za różnica. Chyba jednak woleliby nie oglądać krwi córeczki. Jedziemy?

- Jedziemy? - powtórzyła i dopiero wówczas zdała sobie sprawę, że nie było tu przecież jej wozu. - Och, na śmierć zapomniałam, że... ..

Wskazał jej żółtego lincolna zaparkowanego koło hangaru. Lara poprosiła Jeszcze Balky'ego, by przekazał podziękowania właścicielowi helikoptera.

- Oczywiście pokryję wszelkie ewentualne wydatki - dodała.

- Jasne - odparł mechanik i pomachał im na pożegnanie.

- Sądzę, że ty także wystawisz mi rachunek - powiedziała do Keya, kiedy doszli do jego auta. - Ciekawe, jak wysoki.

Otworzył jej drzwi.

- To zależy od usługi - odrzekł.

Nie odpowiedziała na ten żart uśmiechem, tylko wsiadła do środka. Patrzyła przez przednią szybę w jakiś odległy punkt. Gdy wyjechali na autostradę wiodącą do miasta, Key zauważył:

- Gdzie twoje poczucie humoru? Czy ty się kiedykolwiek śmiejesz?

- Owszem. Gdy słyszę coś naprawdę zabawnego.

- Och, kapuję. Nie ten poziom.

- Dowcipy na ten temat przestały mnie brać. Zbyt długo naigrywano się ze mnie.

Poruszył się na siedzeniu. Skórzane obicie fotela zaskrzyphiało.

- Tak to już bywa, kiedy ktoś wplącze się w seksualny skandal.

- Co za przenikliwość.

Rzucił na nią okiem, po czym z powrotem skierował wzrok na drogę przed sobą. Jechali dalej w milczeniu. Wóz mknął z dużą prędkością po dwupasmowej szosie.

- Jesteś głodna? - zapytał.

Gdy usłyszała te słowa, uzmysłowiła sobie, że od dawna nie miała nic w ustach.

Rano, nim wyszła do ogródka, wmusiła w siebie jogurt i dwie filiżanki czarnej kawy.

- Tak - przyznała.

- Lubisz żeberka?

- A co?

- Znam miejsce, gdzie robią świetne. Moglibyśmy tam zajrzeć.

Zerknęła na strój, który miała na sobie.

- Dzięki za ubranie, które przyniosłeś do szpitala. Myślę jednak, że w restauracji wolalabym się pokazać w czymś innym.

Zaśmiał się gardłowo.

- Wpadniemy do "Bobby'ego na Roźnie". Tam niepotrzebne drogie kiecki.

- Co za obleśna nazwa.

- Opowiem ci, skąd się wzięła. Widzisz, pewnego wieczora Bobby Sims nadepnął na odcisk facetowi występującemu na rodeo, Małemu Pete'owi Pauleyowi. Obaj poszli na tańce i pobili się tam o jedną kobietkę. Bobby mierzył półtora metra w kapeluszu. No więc potem Mały Pete zemścił się. Podpalił Bobby'emu chatę. Bobby jakoś się wykaraskał, tyle że opaliły mu się włosy na głowie. Przez pół roku chodził łysy jak koń i śmierdział spalenizną. Zaczęli go przezywać Rožen. A potem otworzył knajpę. Nie mogła nazywać się inaczej.

Lara przypuszczała, że Key wysłał sobie tę historyjkę z palca, ale dojechali na miejsce, nim zdążyła mu to powiedzieć.

- Tłoczno dzisiaj - zauważył Key.

- Przecież to spelunka z piwem! - zaprotestowała. Podjazd rozświetlała jedna stara latarnia. Tawerna zasługiwała na miano obskurnej budy. - Nie wejść tam.

- Jak to? - odwrócił się do niej. - Za podłe miejsce dla ciebie?

Znowu wpędził ją w koziego róg. Gdyby upierała się nadal, że tam nie pójdzie, naraziłaby się na śmieszność w jego oczach. Nie chciała uchodzić za hipokrytkę, zadzierającą nosa snobkę, która chce się obracać wyłącznie w wielkim świecie.

Z drugiej strony nie miała ochoty znowu paść ofiarą złośliwych języków - oto ludzie zaczną gadać, że włóczy się z Keyem Tackettem po obskurnych knajpach. O tak, wezmą ją na języki. Sprowadziła jakoby na manowce senatora Clarka Tacketta, a teraz łajdaczy się z jego młodszym braciszkiem.

Tyle że plotki to kwestia przyszłości, natomiast Key poddawał ją próbie tu i teraz.

Wysiadła więc z wozu. Uśmiechnęła się niepewnie i ruszyła u boku Keya w kierunku knajpy.

Wnętrze spelunki było równie parszywe jak jej obejście. Pod sufitem unosiła się chmura tytoniowego dymu, dodatkowo przytłumiając słabe światło. Cuchnęło tanim piwem, a z grającej w kącie szafy płynęła kiczowata muzyka. Kilka parok tańczyło na ciasnym parkiecie. Nadto znajdował się tu długi bar i parę stolików.

Gdy weszli, wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę. Kobiety utkwili wzrok w Keyu, oczy mężczyźni obmacywały Larę. Pozwoliła mu posadzić się przy jednym ze stolików.

- Pijesz piwo? - zapytał.

To było wyzwanie. Kolejny test.

- Jasne.

Uniósł dwa palce i zawołał:

- Hej, Bobby, żeberka i dwa browarki!

- Niech mnie kule biją! - odkrzyknął nagabywany. - Toż to Key Tackett we własnej osobie.

Key usiadł obok Lary i przesunął popielniczkę na środek stołu.

- Uratować życie dziecka, a potem napić się ze mną piwa ... Lubisz ostro żyć, co?

Nie oczekiwał odpowiedzi na to pytanie. Po chwili zjawił się przy nich człowiek w brudnym fartuchu i postawił na blacie talerze z mięsem i dwie podłużne butelki piwa. Poklepał Keya po plecach.

- Dawno cię tu nie było - rzekł.

Lara szybko schwyciła swoją butelkę, z której wyciekała piana. Bobby nawet tego nie zauważył. Dalej witał się z Keyem.

- Słyszałem, że właśnie wróciłeś z jednej z tych arabskich dziur. Podobno nie wolno się uganiać za tamtejszymi babkami, bo za karę mogą skrócić człowieka o kutasa. Prawda to? Ciekawe, jak taki

najarany skurwiel jak ty mógł to znieść? Właśnie się zastanawiałem, kiedy do mnie wpadniesz, dupku jeden.

- Twoja buda ma się nieźle, Bobby. Interes się kręci, co?

- Jak diabli. Dopóki ludziska żrą, chłają i pieprzą, to muszą wiedzieć, że tu znajdują to, czego im trzeba. Wszystko na miejscu. Co to za jedna? - spytał wyciągając palec w stronę Lary.

Key odpowiedział mu. Właściciel tawerny nie próbował nawet ukryć zaskoczenia.

- A więc to ty jesteś tą damulką, o której tyle się nasłuchałem - stwierdził i przyjrzał jej się dokładniej. - Wprowadziłaś się do miasta na miejsce starego Pattona, no nie?

- Zgadza się - odparła Lara i uśmiechnęła się, gdyż dostrzegła bliznę po oparzeniu na czole Bobby'ego.

- Dobrze sobie - rzekł Bobby, spoglądając to na Larę, to na Keya. - Ludziska zaczną sobie strzępić języki, jak będziecie pokazywać się razem. Jesteście już po słowie?

- Jeszcze nie - odpowiedział Key. - Byliśmy głodni i dlatego tu wpadliśmy. Dasz nam zjeść czy zamierzasz kłapać gębą przez cały wieczór?

Bobby Rozen wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Jasne, jasne. Co chcecie prócz tego ścierwa? Najlepiej, gdybyście zostawili u mnie więcej forsy. Może jeszcze piwka?

- Dobra, ale najpierw porządne żarcie.

- Robi się. Po tym mięchu też was nie skręci - stwierdził wskazując na talerze i puszczając oko do Lary. Potem pokręcił z niedowierzaniem głową i ruszył w stronę baru.

Key wziął potężny łyk piwa. Lara upiła nieco swojego.

- Latałeś ostatniej nocy? - zapytała.

Otarł szyjkę butelki wierzchem dłoni.

- Czemu pytasz?

- Tak sobie.

- Owszem. Wziąłem pipera awionetkę. Znasz taką maszynę?

Pokręciła przecząco głową, gdyż na samolotach znała się niezbyt dobrze.

- Świetna, jeśli ktoś ma ochotę się trochę przewietrzyć. Dlaczego cię to zainteresowało? - powołał pytanie.

Nie miała ochoty się przyznać, że po wczorajszej sprzeczce pod szkołą wybrała się na przejażdżkę, żeby się nieco uspokoić, i że po drodze obserwowała z zapartym tchem ryzykowne wyczyny pewnego pilota.

- Myślałam o twojej kostce - powiedziała. - Skoro wciąż lekko utykasz, to nie byłam pewna, czy poradzisz sobie za sterami samolotu albo śmigłowca.

- Noga nadal trochę mi dokucza. Jednak piekielnie ciągnęło mnie już do latania.

- A więc te parę dni to dla ciebie taka długa przerwa?

- Latanie to moja praca. Najmuję się jako pilot. Uwielbiam ryzykowną robotę. Pociąga mnie.

- A więc lubisz ryzyko?

- No, liczy się też forsa - stwierdził i uśmiechnął się szeroko. - Nie pracuję za psi grosz.

- Możesz przebierać w ofertach?

- Bardzo często. Czasami zdarzają się pracodawcy, którzy mają drogie samoloty. Ci przedstawiają swoje wymagania. Zastrzegają w kontrakcie, ile godzin musi przespać każdej doby pilot i kiedy wolno mu wypić piwo. Żądają też wypełniania tych wszystkich holernych formularzy.

Urwał na moment, by wziąć kolejny łyk.

- Ale są i inni. Ich maszyny to kupa złomu, lądowiska małe i nierówne. Tacy wymagają tylko tyle, by pilot potrafił rano otworzyć oczy.

- I przystawałeś na takie warunki?

- Jasne. Co więcej, wyciągnąłem z takich kontraktów mnóstwo pieniędzy.

Słuchała jego przechwałek, lecz zdało jej się - nie wiadomo dlaczego - że pieniądze nie znaczą dla Keya tak wiele.

- Uwielbiasz takie sytuacje, prawda?

- Bardziej lubię jedynie seks. Czasami nawet wolę pilotowanie od seksu, bo samoloty nie mówią i nie potrzebują gry wstępnej.

Nie zareagowała na zaczepkę. Key ciągnął wywód:

- Tam, w górze, wszystko jest takie jasne, przejrzyste. Żadne bzdury nie mącą człowiekowi myśli. -

Skrzywił się, jakby nie był w pełni zadowolony z wypowiedzianego właśnie zdania. Potem dorzucił: - Pod błękitnym niebem wszystko zdaje się proste.

- Ciekawe. Zawsze sądziłem, że pilotaż jest okropnie skomplikowany.

- To trzeba mieć we krwi - odparł, prawie niedostrzegalnie potrząsając głową. - Pilotem trzeba się po prostu urodzić. Pilot musi mieć jaja. Umieć szybko podejmować decyzje. Jeden błąd - rozpieprzasz się i giniesz. Proste, nie? Bez domniemywania, bez czasu na analizowanie. Liczy się jedynie refleks.

- A dzisiaj ... ?

- Nic innego. Trzeba było działać szybko. Musiałem przelecieć z wami do szpitala helikopterem. I zrobiłem to.

Lara nie wierzyła, że w rzeczywistości był taki nonszalancki. Ufała, że jemu również zależało na uratowaniu życia Letty Leonard. Nie chciał przecież, by dziewczynka umarła w drodze do szpitala. Bobby Rozen przyniósł następną kolejkę piwa. Do mięsa zaserwował przyrumienione frytki, plasterki czerwonej cebuli, kromki pszennego chleba i ostrą paprykę, którą Key przełknął natychmiast, jakby miał do czynienia z bananem. Na ten widok Larę aż zapiekło w gardle. Musiała jednak przyznać, że żeberka istotnie były bardzo smaczne. Lub takie jej się wydały - ostatecznie nie jadła od rana.

- Czy zawsze chciałeś zostać pilotem? - zapytała przełknawszy kęs wieprzowego mięsa.

- A ty? Czy zawsze chciałaś zostać lekarką?

- Chyba tak.

Uśmiechnął się złośliwie.

- Kiedy byłaś mała, bawiłaś się w doktora i spodobało się, co?

- Spodobało - odpowiedziała i odwzajemniła uśmiešek. - Widzę, że nie potrafisz się pozbyć robaczywych myśli. Moi przyjaciele z młodych lat mieli inne marzenia. Chcieli zostać nauczycielami, gwiazdoram, aktorami. A ja nie zmieniłam zainteresowań. Zawsze uwielbiałam robić zastrzyki.

- Do licha ...

- Rodzice mieli nadzieję, że wyrosnę z tego. Pomylili się.

- A więc nie życzyli sobie, żebyś studiowała medycynę?

- Skądże. Pragnęli, bym dobrze wyszła za męża, spędzała czas na przyjęciach w najlepszym wypadku organizowała zbiórki pieniędzy na cele charytatywne. O nie, nie uważam, by było w tym coś złego. Zajmuje się tym przecież mnóstwo kobiet. Ale to nie dla mnie.

- A mama i tatuś tego nie rozumieli?

- Zgadza się, nie rozumieli.

Zdziwiony trochę Key uniósł jedną brew. Lara wyjaśniła:

- Urodziłam się, kiedy byli już wiele lat po ślubie. Właściwie moje przyjście na świat stanowiło dla nich dosyć niemiłą niespodziankę. Potem jednak starali się jak mogli, by zapewnić mi dobrą przyszłość.

Niestety, nie miałam ochoty kroczyć drogą, którą dla mnie obmyślili. Nigdy mi tego nie wybaczyli. Uznali, że jestem dla nich skaramiem boskim. Czasami rzeczywiście byłam - dodała i roześmiała się cicho.

Pogrążyła się na chwilę w zadumie, po czym podjęła:

- Pewnego razu udawałam lekarkę, a moja koleżanka pacjentkę. Zajmowałam się nią tak starannie, że w końcu zjawili się po nią zaniepokojeni rodzice. Znaleźli ją w moim pokoju, całą zawiniętą w bandaże i oddychającą przez słomkę do koktajli. Cud, że się nie udusiła. Inną przyjaciółkę z dzieciństwa przygotowałam do operacji mózgu. Obciąłam jej króciutko włosy.

Key zarechotał i otarł usta serwetką.

- No, a potem ta sprawa z Molly - uzupełniła Lara.

- Co jej zrobiłaś?

- Operację

Aż zaksztusił się piwem.

- Co takiego?!

- Molly na szczęście była suczką. Ślicznym terrierem z sąsiedztwa. Często bawiłam się z nią przed domem. Molly zachorowała i ...

- Zoperowałaś ją?

- Nie. Zdechła. Jej właściciel był niepokieszony i nie zakopał jej tego samego dnia, gdy rozstała się ze światem. Zawinał ją tylko w kawał plastiku i pozostawił na noc koło garażu.

- Dobry Boże. I wzięłaś się za ścierwo?

- O tak. Zawołałam jeszcze przyjaciółkę i zrobiłam z niej pielęgniarkę. Operacji dokonaliśmy kuchennymi sztuczkami gosposi.

Zaśmiał się głucho i przesunął dłonią po podbródku.

- A myślałam, że dziewczynki bawią się lalkami Barbie - stwierdził.

- Nie widziałam w tym nic złego, bo Molly i tak nic nie mogło już zaszkodzić. Chciałam zobaczyć, co znajduje się w środku zwierzęcia, choć o anatomii nie miałam jeszcze wtedy zielonego pojęcia.

- No i ... ?

- Gdy koleżanka zobaczyła wnętrze, zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy. Zaniepokojony właściciel Molly zadzwonił po policję. Przyjechali bardzo szybko, zobaczyli, co wyprawiam, no i zaczęło się istne piekło ... Zrobił się skandal. Moi rodzice oskarżali się nawzajem o to, że wychowali nienormalne dziecko. Zaczęli szukać chorych umysłowo wśród swych przodków. Sąsiad przestał się do nich odzywać. Rodzice koleżanki zabronili jej spotykać się ze mną. Powiedzieli, że powinien zająć się mną psychiatra, zanim zrobię coś jeszcze okropniejszego. Moi staruszkowie wpadli na ten sam pomysł. Jednak po kilku tygodniach kosztownych testów psychiatra stwierdził, że jestem normalnym jedenastoletnim dzieckiem, tyle że może trochę zbyt zainteresowanym anatomią jak na swój wiek.

- Twoich starych chyba podniosła na duchu ta diagnoza?

- Niezbyt. Wciąż sądzili, że to coś dziwnego, jeśli dzieciak interesuje się medycyną. Właściwie to chyba w dalszym ciągu uważają podobnie.

Nieświadomie przesunęła palcem wzdłuż szyjki butelki.

- Moi rodzice bardzo liczą się ze zdaniem innych. Zważają na pozory - wyjaśniła.

- Nie lubią niczego, co jest choć trochę oryginalne. A przeze mnie mieli nieco problemów od momentu, w którym przyszedłam na świat, aż do ...

Spojrzała mu prosto w oczy i dokończyła:

- ... aż do tej sprawy z Clarkiem. Potępilli mnie za to, tak samo jak ty. W gruncie rzeczy poszło im jednak o rozgłos, jaki nadano owej nieszczęsnej aferze .

Dokładnie w tej samej chwili ktoś zwałił się z hukiem na ich stolik.

9.

Talerze i sztućce z brzękiem upadły na podłogę. To-warzyszył im dźwięk pękających butelek po piwie. Jedna z nich ocalała i potoczyła się pod ścianę.

Błat stołu przełamał się na pół pod ciężarem faceta, któremu z nosa sączyła się krew.

Nieborak miotał przekleństwa, starając się wstać i rzucić się na tego, który właśnie go uderzył.

- Czas się zbierać - stwierdził Key chwytając Larę za ramię. - Nie chcę, żebyś była świadkiem bójki podczas swej pierwszej wizyty u Bobby'ego.

Całe to nagłe zamieszanie sparaliżowało ją. Dwóch facetów zaczęło się okładać pięściami. Wokół zebrali się kibice, dopingując ich głośno. Przeżona patrzyła na brutalny pojedynek.

- Ależ oni zrobią sobie krzywdę! - zawołała.

Key niemal siłą wyprowadził ją za drzwi. Po drodze zdołał jeszcze wcisnąć Bobby'emu dwudziesto dolarowy banknot.

- Widzę, że u ciebie po staremu. Dzięki za gościnę - rzekł.

- Jasna sprawa. Wpadnijcie kiedyś znowu.

Bobby rzucił im jeszcze jakieś słowa na pożegnanie, ale całą uwagę skupił na bijących się młokosach, którzy na dodatek obrzucali się ordynarnymi wy-zwiskami.

- Powinnam tu zostać - upierała się Lara. - Oni mogą potrzebować pomocy medycznej.

Key obojętnie rzucił okiem na walczących, potem wyprowadził ją na zewnątrz.

- Tym chojrakom nie pomoże nic ani nikt, wierz mi. Poza tym nie lubią, jak ktoś się wtrąca w rodzinne porachunki.

- To kuzyni? - spytała zdumiona Lara.

- Szwagrowie.

Wsiedli do samochodu i wyjechali z parkingu na autostradę.

- Lem i Scoony byli kiedyś najlepszymi kumplami. Kilka lat temu Lem zaczął zerkać łakomym okiem na młodszą siostrzyczkę Scoony'ego. Wyciągnął ją na kilka randek. Nie spodobało się to Scoony'emu, który wiedział, że Lem ugania się też za innymi dziewczuchami. Scoony ostrzegł go, że jeśli siostra pójdzie z nim w tango, to powyrywa mu nogi z tyłka.

Urwał, gdyż zaczął wyprzedzać ciężarówkę. Lara zapytała niecierpliwie:

- No i co się stało?

- Lem rzeczywiście ją posunął, a Scoony rzeczywiście wyrwał mu nogi z tyłka - zarechotał Key.

- I od tamtej pory patrzę na siebie wilkiem?

- Nie od razu. Missy, to jest siostra Scoony'ego, usłyszała o całej aferze i dopadła ich obu ... zdaje się, że w "The Palm". Zrobiła się straszliwa awantura. Missy sprzedała obu chłopakom kopniaki między nogi.

Kiedy zjawił się szeryf, obaj leżeli i wyli ,trzymając się za krocze. Missy powiedziała Lemowi, że albo się z nią ożeni, albo już ona urządzi go tak, że nie ożeni się z żadną ... Cóż, Missy ma trochę niewyparzoną

gębę. W każdym razie wyszła za Lema. Urodziła mu dzieciaki i wszystko dobrze się kończyło.

- Dobrze?! - wykrzyknęła Lara. - To skąd ta granda dzisiaj?

- E, to nic takiego ... Poniosło ich i tyle. Pewnie teraz siedzą już razem i piją w najlepsze.

Lara pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Co za miejsce ... Co za ludzie. Zawsze uważałam, że te historyjki rodem z Teksasu to wierutne bzdury. Tymczasem to wszystko prawda. Pewnie ten Mały Pete Payley też naprawdę podpalił dom Bobby'ego, co?

Spojrzał na nią zaskoczony. - A sądziłaś, że kłamałem?

- Już sama nie wiem, co myśleć.

Popatrzyła na szybę, jakby ujrzała przed sobą księżycowy krajobraz. Musiała przyznać, że zaczyna jej się tu podobać. Może istotnie Eden Pass to miejsce dla niej? Czuła się tu dziwnie, jak w obcym kraju. A jednocześnie nowe otoczenie zaczęło ją fascynować.

- Tu jest tak inaczej - stwierdziła.

- Racja. W każdym razie dla ciebie to coś nowego.

Na horyzoncie zamigotały już światła miasteczka. Key dodał:

- O każdym człowieku mieszkającym w Eden Pass można by opowiadać godzinami. Mógłbym spędzić z tobą całą noc na tym i jeszcze byśmy nie skończyli.

Słyszając to, raptownie odwróciła ku niemu głowę. Nabrała przekonania, że dwuznaczność jego ostatniego zdania była zamierzona. Dorzucił ciepłym głosem:

- Ale nie sądzę, że spędzimy razem jakąś noc, co?

- Nie. Nie spędzimy.

- Ponieważ nie mamy ze sobą nic wspólnego. Zgadza się?

- Z jednym wyjątkiem. Łączy nas Clark.

Na dźwięk imienia brata Key naraz zeszytniał. Jego oczy stały się lodowate. Twarz mu stężała.

- Mnie i Clarka łączyli tylko wspólni rodzice i ten sam adres. Lubiliśmy się nawzajem. Tylko że Clark był inny. Podporządkowywał się regułom. A ja je łamałem. Podziwiałem go za to, że potrafił być przez cały czas taki dobry. Myślę z kolei, że on zazdrościł mi zdolności olewania dokładnie wszystkiego. O tak, bardzo się różniliśmy.

Tu Key wymownie popatrzył na Larę.

- Wątpię też, czy obaj spodobałoby się tej samej kobiecie - odparła chłodno.

- Słusznie. Wóz albo przewóz. Gdyby to Clark wziął cię dzisiaj na kolację, to z pewnością nie trafiłobyś do Bobby'ego. Ubrałabyś się jak na ślub i przekroczyłabyś progi najdroższej restauracji w okolicy.

Prowadziłabyś rozmowę z tutejszą śmietanką, bogaczami i politykami. Ale powiem ci jedno: ta zgraja u Bobby'ego to lepsi ludzie od tych, co to chodzą w smokingach i zadzierają nosa. Wolę wiejskich pijaczków od dystyngowanych hipokrytów.

Lara uznała, że Key pije do niej.

- Powiedz, czemu się ciągle mnie czepiasz?

Coś nieuchwytnego, więź, jaka zawiązała się między nimi podczas akcji ratowania życia Letty Leonard, zdawała się pryskać. Na jej miejsce znowu zaczynał się wkradać chłód.

Key zatrzymał raptownie swego lincolna, położył łokieć na oparciu fotela i zwrócił twarz ku Larze.

- Czemu się czepiam? Już ci mówiłem. Wszyscy wiedzą, że jesteś dziwką. Twój mąż przyłapał cię na gorącym uczynku. Ty jednak nie zdajesz sobie z tego sprawy. Udajesz, że jesteś kobietą zupełnie innego rodzaju.

- I co proponujesz w związku z tym? Chcesz mi wypalić piętno na czole?

- Jestem pewien, że wielu przyklasnęłoby temu.

- Jak śmiesz mnie osądzać? Nie znasz mnie prawie, a jeszcze mniej wiesz o związku pomiędzy twoim bratem i mną. - Chwyciła za klamkę i zapytała: - Ile ci jestem winna?

- Nic.

- Nie chcę być twoją dłużniczką.

- Mało mnie to obchodzi - stwierdził. - Zniszczyłaś życie Clarkowi. Nie może już teraz odegrać się za swoją krzywdę, ale ja mogę go zastąpić. Nie wykpisz się byle czym, zapewniam cię.

- Odwrotnie. To ja mam weksle, a ty mi zapłacisz.

- Jak to sobie wyobrażasz?

Wbiła weń twarde spojrzenie.

- Zawieszysz mnie na Montesangre.

Jego arogancki uśmiezek nagle znikł. Key ściągnął brwi, po czy, przyłożył dłoń do ucha.

- Co takiego?
- Przecież słyszałeś.
- Owszem, ale nie wierzę własnym uszom.
- No to uwierz.
- Czy słyszałaś kiedyś zwrot "za żadne skarby świata"?
- Weźmiesz mnie tam - powtórzyła i uśmiechnęła się. - Już j a się o to postaram.
- Dobra, zobaczymy - odparł i wybuchnął śmiechem. Ruszył dalej autostradą.

- Kocham cię.
- Ja też cię kocham.

Heather Winston i jej chłopak, Tanner Hoskins, leżeli na kocu pośród wysokiej rowy. W pobliżu leniwe wody jeziora pluskały o nadbrzeżne skały. Księżyc rzucał lask, srebrzysty, niesamowity. Nawet w naj gorętsze wieczory nad jeziorem panował przyjemny chłód, co sprawiło, że często przybywali tu kochankowie. Było to ulubione miejsce schadzek w okolicy. eżeli dwoje ludzi wybrało się nad tutejsze jezioro, oznaczało to, iż naprawdę mają się ku sobie.

Heather i Tanner chodzili ze sobą już od czterech miesięcy. Przedtem dziewczyna nęciła z kumplem Tannera, zerwała z nim jednak, gdy ten zaczął się uganiać za inną. Doszło do gwałtownego rozstania w pracowni chemicznej, a potem Tanner od... Towadził wzburzoną Heather do domu. Tak zaczął się ich młodzieńczy romans.

W owym dniu Tanner stanął całkowicie po jej stronie. Swego kumpla nawzywał od głupich palantów. Heather przyjrzała się lepiej Tannerowi i szybko doszła do wniosku, że to znacznie przystojniejszy chłopak od głąba, z którym chodziła dotąd, a który zrobił ją w konia.

Przyjaciółki także uznały Tannera za niezłą sztukę. Wkrótce cała szkoła wiedziała już, że Heather "jest z Tannerem". Cała burza skończyła się więc dla niej bardzo szczęśliwie.

Tanner także skakał z radości, gdyż Heather Winston była naj atrakcyjniejszą dziewczyną z młodszych klas. Gdy całowali się po raz pierwszy, mało nie ugięły się pod nim kolana. Chłopaki gadali, że Heather ma niezłą sylwetkę - taką jak jej matka, miejscowa latawica. W szatni przed gimnastyką zastanawiali się we własnym gronie, jak daleko Tanner posunął się już w swym podboju.

Sam Tanner wolał nie odpowiadać na podobne zaczepki. Kumple zapewne uznali, że dostał wszystko, co chciał. Co bardziej cyniczni twierdzili z kolei, że nie dotknął ani nie zobaczył niczego, co zakrywał kostium kąpielowy Heather. Tanner Hoskins zachowywał wyniosłe milczenie.

W istocie prawda leżała gdzieś pośrodku.

Zdarzało mu się bowiem wsuwać dłoń pod stanik Heather. Pozwoliła mu dotykać się powyżej pasa. Póki co, nie mogła zdecydować się na więcej.

A jednak byli już bliscy przekroczenia tej cienkiej czerwonej linii. Sposób, w jaki Tanner pieścił językiem jej sutki, dostarczył jej wrażeń, których wcześniej nigdy nie zaznała. Mimowolnie przesunęła dłonią wzdłuż zamka przy jego szortach.

Z gardła Tannera wyrwał się jęk.

- Proszę cię, Heather. ...

Niepewnie przycisnęła rękę do jego krocza. Przyjaciółki ostrzegały ją, że "to" czasami pęcznieje i robi się twarde. Mimo to erekcja ją zdumiała. Coś strasznie dziwnego ... i podniecającego - pomyślała. Doszła także do wniosku, iż koleżanki uznają, że coś z nią nie tak, jeśli nie pójdzie do przodu z chłopakiem.

- Tanner, czy chcesz, żebym to zrobiła?

- Och, Boże ... - jęknął i zaczął gorączkowo mocować się z rozporkiem. Potem ujął jej dłoń i wsunął sobie w spodnie. Nim zdążyła się zorientować, czuła już pulsującą i ciepłą rzecz między palcami.

Tanner mruzczał niezrozumiale, gdy ona z zaciekawieniem dotykała jego męskości.

Wiedziała, że faceci wchodzili tym organem w damskie ciała, choć nie mogła sobie wyobrazić, jak to możliwe. Jednak ekscytacja jej nie opuszczała. Przez umysł Heather zaczęły przepływać erotyczne scenki z hollywoodzkich filmów, które matka zabraniała jej oglądać.

I naraz wszystko się skończyło.

- O rany ... ! - krzyknęła. - Co to ... ? Tanner! Och, co za obrzydlistwo!

- Przepraszam ... - jęczał. - Już nie mogłem. Heather, ja ...

Zerwała się i zaczęła biec w stronę jeziora, po drodze rozpinając bluzkę. Gdy dotarła na kamienistą plażę, przyklęknęła i zanurzyła rękę w wodzie. Wzdrygnęła się - nie tyle z powodu zawieszistej substancji na jej skórze, ile fatalnego końca marzeń o miłosnym uniesieniu. To było takie pospolite, takie nieromantyczne, takie gówniarskie. Tak dalekie od scen z filmów.

Usiadła na brzegu i zaczęła się wpatrywać w wodę. Po kilku chwilach dołączył do niej Tunner. Przykucnął obok.

Przez moment się nie odzywał. W końcu powiedział głosem drżącym z podenerwowania:

- Przykro mi. Chryste, nie chciałem, żeby tak to wyszło. Czy chcesz komuś opowiedzieć ... ?

Heather zrozumiała, że naprawdę mu głupio. Pożałowała swej zbyt niecierplivej reakcji na coś, co nie było wyłącznie jego winą. Poglądziła go po włosach.

- W porządku, Tanner. Byłam zaskoczona i zachowałam się nierozważnie.

- Nie, nie. Miałaś prawo okazać rozczarowanie.

- Wcale tak nie było. Serio. Nie martw się. Nie powiem nikomu. Uważasz, że mogłabym coś takiego zrobić? Puknij się w czoło. Zapomnij o sprawie. .

- Nie mogę, Heather. Nie mogę, bo ... - Zawahał się, jakby gromadził odwagę, i wyrzucił z siebie: - Bo gdyby zaczęło się między nami tak jak trzeba, nie stałoby się to co dzisiaj.

Heather raz jeszcze spojrzała na błyszczącą w księżycowej poświacie taflę wody.

Tanner nigdy dotąd nie powiedział jej, że chce pójść na całość. Chciał - wiedziała to. Lecz nie rzekł tego wprost. Gdyby zażądał otwarcie, musiałyby podjąć decyzję. A zawsze bała się podejmowania decyzji.

- Nie wściekaj się - poprosił - tylko mnie wysłuchaj. Proszę ... Kocham cię, Heather. Jesteś najładniejszą, najśłodszą, najmądrzejszą dziewczyną, jaką spotkałem . Wiesz, strasznie chciałbym poznać cię jeszcze lepiej. No wiesz, tak do końca ... - dodał cicho.

Te słowa wstrząsnęły nią, ale w zaskakująco przyjemny sposób. Poczuła, że robi jej się wilgotno.

- Ładnie to powiedziałeś, Tanner.

- Nie posuwam ci komplementów. Naprawdę tak uważam.

- Wiem o tym.

- Popatrz tylko. - Wskazał ręką zaparkowane samochody. - Wszyscy tutaj to robią.

- Wiem.

- No więc, czy myślisz ... To znaczy, czy nie chcesz tego?

Spojrzała w jego rozpalone oczy. Czy chciała? Może. Nie kochała go namiętnie. Nie wyobrażała sobie, że spędzi resztę życia z Tannerem Hoskinsem, synem sklepikarza. Nie marzyła o tym, że będą razem mieć dzieci, że razem się zestarzeją. A jednak bardzo go lubiła i wiedziała, że on szaleje na jej punkcie.

Powiedziała mu w końcu, że chce. Ośmielony przysunął się bliżej .

- Nie bój się. Niczego nie złapiesz. Nie jesteśmy obcy sobie ludźmi. Daję ci też słowo, że nie zajdziesz w ciążę.

Rozbawiona tymi gorliwymi zapewnieniami, ucisnęła jego dłoń.

- Nie obawiam się. Wierzę, że pomyślałbyś o zabezpieczeniu.

- To co nas powstrzymuje? Twój starzy?

Spowaźniała nagle.

- Tatuś chyba by cię zastrzelił, gdyby usłyszał, o czym gadamy. A matka ... - westchnęła. - Ona sądzi, że już mamy to za sobą .

I tu był pies pogrzebany. Chodziło o matkę, Heather nie chciała, by matka wyrobiła obie o niej jeszcze gorsze zdanie.

Stosunki z ojcem były mniej więcej normalne. Stary Winston kochał córkę. Był z niej niezwykle dumny, szczylił się nią. Oddałby za nią życie. A ona zdawała sobie z tego sprawę.

Z matką rzecz miała się trochę inaczej. Darcy była porywcza i trochę nieobliczalna. ~ie tak dawała się kochać jak ojciec. Fergus pozostawał stały w uczuciach, a matka była zmienna niczym jesienna pogoda. Heather pamiętała, jak Darcy stroiła ją i zabierała ze sobą do miasta. Paradowała z nią po sklepach i główną ulicą Eden Pass. Obnosiła ją jak maskotkę. O tak, Darcy ubóstwiała pokazywać się publicznie z córeczką.

Ale gdy wracały do domu, wszystko nagle się zmieniało. Niktło gdzieś okazywane

Heather uwielbienie. Zamiast tego zaczynały się połajanki.

Ćwicz na pianinie, Heather. Niczego nie osiągniesz, jeżeli nie będziesz ćwiczyła . Nie garb się, Heather.

Ludzie pomyślą, że brak ci dumy.

Heather, nie obgryzaj paznokci. To paskudny zwyczaj. Zobacz, jak wyglądają twoje ręce. Umyj buzię,

Heather. Masz brudne policzki.

Heather, uprawiaj więcej sportu, bo następnym razem nie wybiorą cię na najładniejszą dziewczynę w szkole.

Heather podejrzewała, że Darcy mówiąc to wszystko miała na uwadze przede wszystkim własne korzyści. Matczyzna miłość Darcy zatruta była oczywiście zazdrością. Heather nie mogła się temu nadziwić.

Matki nie powinny okazywać zazdrości własnym dzieciom. Skąd to się wszystko brało?

Z czasem nieporozumienia między Darcy a Heather zdarzały się coraz częściej.

Darcy wyobrażała sobie, że córka zaczyna robić użytek ze swojej kobiecości. Oskarżała ją o niestworzone rzeczy i wierzyła we wszystkie plotki.

Co za bzdury - myślała przygnębiona Heather.

To przecież jej matka miała wiele na sumieniu, jeśli chodzi o seks. Wszyscy szeptali właśnie na temat Darcy, nawet dzieciaki w szkole, choć odbywało się to za plecami Heather. Ją bowiem lubili prawie wszyscy.

Plotki jednak siłą rzeczy doszły i jej uszu. Usiłowała je ignorować. Czasem przychodziło to z trudem, zwłaszcza w domu, gdy Darcy wywoływała kolejną awanturę. Heather często miała ochotę zamknąć matce usta, powtarzając jej, co takiego wygadują ludzie w miasteczku. Żal jej jednak było ojca. Nie chciała go ranić. Czy choćby tylko wprawić w zakłopotanie.

Tak więc, gdy Darcy wypytywała o Tannera i stopień zażyłości córki z chłopakiem, Heather zaciągała się w sobie i milczała ponuro.

A przecież pozwoliła Tannerowi jedynie na pieszczoty. Czy to coś nagannego?

Nie chciała stać się taka jak jej matka. Czuła budzącą się namietność, ale nie zamierzała dopuścić do tego, by seks zapanował nad jej życiem. Bała się, że ludzie zaczną wytykać ją palcami i szeptać:

"Patrzcie, taka córeczka jak i mamusia, obie dają na lewo i prawo". I nie chciała wreszcie krzywdzić Fergusa, tak jak czyniła to Darcy.

Tanner siedział teraz cicho u jej boku, cierpliwie czekając na odpowiedź.

- Czuję to samo, co ty, Tanner. Szczerze - odezwała się w końcu. - Może nie aż tak mocno ... Ale uwielbiam cię na tyle, żeby pójść z tobą do łóżka - dodała CIszeJ.

- Kiedy? - zapytał zmienionym głosem.

- Gdy uznamy, że przyszedł na to czas, i będziemy w odpowiednim nastroju. W porządku? Proszę cię, nie próbuj niczego wymusić.

Tanner zdołał ukryć rozczarowanie. Uśmiechnął się słabo i pocałował ją czule w policzek.

- Lepiej zabiorę cię do domu, zanim zrobi się późno. Twoja matka rozpęta piekło, jak spóźnimy się o parę minut.

Dotarli do domu Winstonów na czas. Mimo to Darcy już na nich czekała przed frontowymi drzwiami.

Tannera obrzuciła nieprzychylnym spojrzeniem, a dla córki miała długą przemowę o tym, że należy dbać o dobre imię rodziny.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

Bowie Cato i Janellen Tackett stanęli twarzą w twarz w obskurnym biurze przy magazynach. On zdumiony zauważył, że ona tym razem nie próbuje unikać jego wzroku. Podczas ich pierwszego spotkania zdał sobie sprawę, że Janellen jest niemal wysoka jak on sam. Wyglądała wtedy na taką drobną, kruchą niemal osóbkę, gdy siedziała za wielkim biurkiem. No i była wówczas piekielnie zdenerwowana.

Teraz on poczuł się troszkę nieswojo w jej obecności. Pragnął wyłożyć szybko sprawę, powiedzieć amen i pożegnać się.

- Przepraszam, że nie było mnie w "The Palm", gdy pani tam zadzwoniła. Hap ... to jest pan Hollister, przekazał mi wiadomość, że mam tu przyjść. Czy zjawiłem się w odpowiednim momencie?

- O tak. To miło ze strony pana Hollistera, że nie zapomniał.

- On jest wobec mnie bardzo uczciwy.

- Cóż, dziękuję, że pan przyszedł. Proszę usiąść.

Wskazała mu metalowe krzesło. Usiadł na nim, a ona zajęła swoje miejsce przy biurku i wyglądała machinalnie spódnice. Zrobiła to z dużym wdziękiem, chociaż może nie zdawała sobie z tego sprawy. Gdy jednak poczuła na sobie jego wzrok, zaczęła poruszać się niespokojnie i czynić nieco sztuczne gesty. Gdyby przypadkiem krzyknął, pewnie zemdlałaby z przerażenia.

Nie wiedział, dlaczego raptem zrobiła się taka niespokojna. Przecież to on miał teraz prawo się denerwować. Potrzebował jej pomocy. Jego przyszłość zależała od jej dobrej woli.

- Ja .. , - zaczęła niezręcznie i odchrząknęła. - Zwolniło się miejsce w naszej firmie.

- Tak, proszę pani.

Jej błękitne oczy na chwilę jeszcze bardziej się rozszerzyły.

- To wie pan o tym?

- No, słyszałem ... Podobno wylaliście jednego faceta. Podobno próbował coś ukraść.

- Ależ on rzeczywiście kradł! - wykrzyknęła i nagle przeraził ją ton własnego głosu. Zamarła. Bowie uznał, że teraz jego ruch. Szansa na zapisanie paru punktów na swe konto.

- Nie wątpię w to, pani Tackett. Nie wygląda pani na osobę, która rzuca bezpodstawne oskarżenia. Bowie słyszał jak gość, którego zwali Muley, wściekał się, że "ta chuda żdzira od Tackettów" wylała go z roboty. Te wulgarne słowa zdały się Bowiemu bardzo niestosowne. Sam zapamiętał przecież Janellen jako miłą, cichą kobietę o znakomitych manierach.

Zaczął tu i ówdzie dyskretnie wypytywać o Tackettów. Chciał wiedzieć o nich coś więcej. Usłyszał, że są uczciwi. Wymagali ciężkiej pracy, ale dobrze za nią płacili. Panna Tackett nie wahała się swym najlepszym ludziom wypłacać czasem premii. Najwyraźniej Muley to nie tylko złodziej, ale i łgarz.

- Ten Muley ma niewyparzoną gębę, panno Tackett - stwierdził. - Mam gdzieś to, co on gada. Zastanawiam się tylko, po co tracimy pani cenny czas na rozmowę o takim typie.

- Chcę, żeby zajął pan jego miejsce.

Serce zabiło mu szybciej, ale na twarzy nie drgnął ani jeden muskuł. Szedł tu z nadzieją, że dostanie pracę, ale poznał dobrze kaprysy losu. Dali mu marchewkę, a gdzie kij?

- To brzmi fantastycznie. Kiedy zaczynam?

Bawiła się guzikiem swej bluzki.

- To znaczy ... - dorzuciła szybko - przyjmujemy pana na próbę, żeby zobaczyć ... żeby przekonać się, jak da pan sobie radę.

Otóż i kij - pomyślał. - Dobrze, proszę pani.

- To rodzinny interes, panie Cato. Czuję się odpowiedzialna za to, by chronić ...

- Czy obawia się mnie pani, panno Tackett?

- Czy się obawiam? Nie - skłamała, śmiejąc się przy tym nerwowo. - Na litość boską, nie. Po prostu może się panu nie spodobać praca w Tackett Oil. Znajdzie pan u nas stałe zatrudnienie, kiedy tylko zostaną załatwione niezbędne formalności dotyczące pańskiego ... - Poruszyła się niespokojnie na krześle i dorzuciła: -Jeżeli po pewnym czasie okaże się, że obie strony są zadowolone, damy panu stałą pracę. I co pan na to? - zapytała.

Bowie również poruszył się na siedzeniu i wbił wzrok w kapelusz, który obracał na kolanach. Gdyby ktoś inny chciał zatrudnić go na próbę, powiedziałaby: "Pieprz się" i wyszedł. W tym wypadku gotów był jednakże pohamować złe odruchy.

- Czy wszyscy nowo zatrudnieni muszą u was przejść ten ... no ... okres próbny? Zwilżyła usta językiem i na nowo zaczęła skubać guziki przy bluzce.

- Nie, panie Cato. Ale jest pan pierwszą osobą, która stara się tu o pracę w trakcie zwolnienia warunkowego. Odpowiadam za naszych ludzi i nie chcę popełnić błędu.

- Nie popełnia go pani.

- Jestem o tym przekonana. Gdyby było inaczej, nie wezwałabym pana na rozmowę.

- Można zajrzeć do moich akt na policji. Odkąd wyszedłem z więzienia, nie dopuściłem się niczego złego.

- Już to sprawdziłam. - Spojrzała mu w oczy i oblała się rumieńcem.

- Musiałam to zrobić. Chciałam wiedzieć, co ... O co pana obwinili.

- No i?

- Dowiedziałam się, że chodziło o pobicie.

Spojrzał w bok i przygryzł dolną wargę. Znowu nabrał ochoty, by wstać i wyjść.

Czuł, że zapłacił za swoje i nie musi się już nikomu tłumaczyć. Nie uważał, iż winien się przed kimkolwiek usprawiedliwiać.

Dziwne jednak - pragnął też jednocześnie, żeby Janellen Tackett pojęła, jaki był motyw czynu, którego się dopuścił. Pragnął tego, choć nie miał pojęcia dlaczego. Może dlatego, że patrzyła na niego jak na normalnego człowieka, a nie jak na kryminalistę.

- To była wina pewnego łajdaka - zaczął.

- Jak to?

Wyprostował się, gotów wyjawić wszystko, co chciała usłyszeć.

- Wynajmowałem u niego ką. Mieszkał z żoną. To mieszkanie było straszną dziurą, ale na nic lepszego nie było mnie wtedy stać. A ona ... to jest jego żona ... była dobrą kobietą. Brzydką jak noc, ale miała za to dobre serce. Rozumie pani?

Skinęła wolno głową.

- Pomagała mi trochę. Przyszywała guziki i robiła takie tam rzeczy ... Czasem przynosiła mi jedzenie, mięso, ciasto ... Powiadała, że kawalerowie kiepsko się odżywiają za dużo piją. Pewnego dnia

zobaczyłem ją na schodach. Miała podbite oko. Chciała to przede mną ukryć, ale ślepy by zobaczył. Wiedziałem, że facet ją dopadł. Wiele razy słyszałem, jak się na nią wydierał, ale nie podejrzewałem, że ją tłucze ... Poszedłem do niego i powiedziałem, że jak brakuje mu boksu, to może spróbować się ze mną. On na to, żebym pilnował swojego nosa. Minęło kilka tygodni i sprął ją znowu. Chciałem dać mu dobrą nauczkę, ale ona zaczęła błagać, żebym nie robił mu krzywdy.

Pokręcił głową i podjął opowieść:

- Proszę to sobie wyobrazić. W każdym razie ostrzegłem go, że jak nie da jej spokoju, to go zabiję. Myślałem, że wziął to sobie do serca, bo upłynęło dalszych parę :aiesięcy i nic się nie działo. Wreszcie jednej nocy obudził mnie diabelny hałas. Błagała, bzyczała, prosiła go o litość. Pobiegłem do nich i kopniakiem otworzyłem drzwi. Tłukł Ją po prostu o ścianę i okładał biedaczkę grubym pasem. Pamiętam tylko, że w jednej -hwili znalazłem się przy nim. Tak, dałem mu popalić. A mało go nie zabiłem. Na szczęście dla niego ktoś zadzwonił po policję. Gdyby nie to, zrobiłbym z niego krwawą miazgę.

Urwał i dodał po namyśle:

- Całe życie miałem do czynienia z takimi łobuzami. Chciałbym, żeby to sic; skończyło.

Zamilkł i spojrzął na swe dłonie.

- Na procesie ten łajdak płakał i klął się na Boga. Przysięgał, że nigdy nie podniesie na żonę ręki. Adwokat poradził mi, żebym powiedział przed sądem, że nic nie pamiętam i nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię. Kazali mi jednak przysięgać na Biblię, że będę zeznawał tylko prawdę. Stwierdziłem więc uczciwie, że chciałem zabić tego sukinsyna. Powiedziałem, że należy zabić wszystkich facetów, którzy znęcają się nad bezbronnymi żonami. I nadal tak uważam. Tak więc trafiłem do pudła - zakończył i wzruszył ramionami.

Zapadła minuta milczenia. Potem J anellen wstała i podeszła do metalowego schowka.

Wyjęła z niego kilka druków.

- Chciałabym, żebyś to wypełnił.

Spojrzał na nią.

- To znaczy, że jestem przyjęty?

- Tak - przyznała i powiedziała mu, ile będzie zarabiał. - Po wysłuchaniu pańskiej opowieści - dodała - doszłam do wniosku, że zbyteczny będzie okres próbny. To był głupi pomysł.

- Nic podobnego, panno Tackett. W dzisiejszych czasach należy zachowywać ostrożność.

Uśmiechnął się rozbrajająco. Zawahała się, a potem położyła przed nim formularze.

- Ten dotyczy podatków, a ten ubezpieczeń. Formalności, ale niestety niezbędne.

- Nie mam nic przeciwko wypełnianiu papierów, jeżeli oznacza to dla mnie pracę.

Stała nad nim i zaczęła mu objaśniać, co należy wpisać w kolejnych rubrykach.

Usiłował się skupić, ale nie było to łatwe. Czuł zapach jej perfum. Całkiem odmienny niż te, którymi skrapiały się dziwki, jakie dotąd poznał.

Jej zapach przywiódł mu na myśl drogie mydło i białą, jedwabną pościel. Zerknął na jej dłonie - szczupłe, delikatne, blade. Długim palcem wskazała mu miejsce na podpis.

Kątem oka mógł dostrzec jej profil. Nie była może piękna, ale także nie była brzydka. Miała gładką skórę i prostą, praktyczną fryzurę. Jej twarz nie zdradzała wcale zimnego wyrachowania, które uznał już za cechę typową dla wszystkich kobiet. Miast tego była szczerą i uprzejmą, co bardzo go ujęło. Podobał mu się również jej głos. Ciepły, łagodny, jakby stworzony do śpiewania kołysanek.

A jej oczy ... Do licha - pomyślał - dla takich oczu mógłby nawet dać się zabić. Nie miał pojęcia, czemu Muley i inni faceci przezywali ją "szczapą". No tak, brakło jej tych charakterystycznych damskich krągłości. Miała wąskie biodra, prostą talię i niewielkie piersi. Zatrzymał wzrok na guzikach, którymi tak lubiła się bawić, i stwierdził, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby pobawić się nimi samemu. Usłyszał kiedyś, że kobiety o drobnych piersiach mają bardzo czułe sutki.

Odgonił od siebie erotyczne urojenia. Co się dzieje? - pytał sam siebie. Dlaczego rozmyśla o piersiach panny Janellen? To przecież wykształcona, ułożona dama. Gdyby umiała czytać w moich myślach, pewnie odesłałaby mnie na powrót za kratki.

- Dziękuję, panno Tackett. Chyba dam już sobie radę - rzekł i pochylił się nad papierami.

Gdy skończył, podał je Janellen i wstał.

- Proszę bardzo. Kiedy mam zacząć?

- Choćby jutro.

- Świetnie. Do kogo mam się zgłosić.

Wymieniła nazwisko majstra i dorzuciła:

- To doświadczony pracownik. Zajmie się panem.

- Czy on wie, że miałem przerwę w życiu?
- Uznałam, że powinnam mu o tym powiedzieć, ale to wyrozumiały człowiek. Nie będzie sprawiał panu trudności z tego powodu. Polubi go pan. Spotka go pan tu rano i pojedziecie razem do szybów. Będzie pan naturalnie korzystał z firmowej ciężarówki. Rozumiem, że ma pan prawo jazdy?
- Tak jest.
- A gdyby trzeba było skontaktować się z panem po godzinach ... ?
- To może być problem. Nie mam na razie stałego miejsca zamieszkania. Hap pozwala mi spać u siebie na zapleczu, ale to nie potrwa w nieskończoność.
Otworzyła szufladę i wyjęła z niej książeczkę czekową.
- Proszę poszukać jakiegoś mieszkania z telefonem. Oto zaliczka - wypisała czek, wydała go z książeczki i podała Bowie.
Dała mu trzysta dolarów, ot tak, po prostu! Nie wiedział, czy skakać z radości, czy się obrazić.
- Nie przyjmuję zapomóg - stwierdził.
- To nie zapomoga, panie Cato. To zaliczka. Przez pół roku będę panu odliczała z pensji po pięćdziesiąt dolarów. Zgadza się pan?
Rzadko spotykał się w życiu z uprzejmością i zaufaniem. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Z Hapem rozmawiał o pieniądzach z kobietą, która na dodatek patrzyła na niego wielkimi, błękitnymi oczami .
- Zgadzam się - rzekł wreszcie, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to oschle.
- Bardzo dobrze.
Wstała, uśmiechnęła się i wyciągnęła ku niemu rękę. Bowie zawahał się przez moment. Miał ochotę otrzeć dłonie o nogawki spodni, nim podejmie kruchą prawicę Janellen. W końcu wymienili pospieszny uścisk. Zapadła niezręczna cisza, a następnie oboje przemówili niemal jednocześnie.
- Chyba że ...
- Aż do ...
- Proszę mówić - rzekła.
- Nie, pani pierwsza.
- Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli będzie pan miał jakieś problemy, proszę informować o tym na bieżąco.
- A ja chciałem rzec, że nie wiodło mi się aż do dzisiaj. Cieszę się, że dostałem tę robotę. Dziękuję, panno Tackett.
- Nie ma za co, panie Cato.
Włożył kapelusz i ruszył do drzwi. Po chwili jednak zatrzymał się i ponownie się dwrócił.
- Czy wszystkich swoich pracowników woła pani po nazwisku?
Pytanie jakby wyrwało ją z zadumy. Nic nie odpowiedziała, tylko energicznie pokręciła głową.
- No to proszę mówić na mnie Bowie, dobrze? Przełknęła ślinę.
- W porządku.
- Naturalnie nie mam nic wspólnego z Davidem Bowiem, tą gwiazdą rocka.
- Naturalnie.
Poczuł nagle, że nie powinien był wyskakiwać z tak głupią uwagą. Nasunął rondo kapelusza na czoło i wyszedł.

10.

- Czy nie przysmażyłam zbyt mięsa, Key?

Pytanie Janellen wyrwało go z głębokiego zamyślenia. Wyprostował się na krześle, spojrzął przez stół na siostrę i uśmiechnął się.

- Skąd, pyszne jak zwykle. Tylko nie jestem dziś zbyt głodny.
- Zawsze tak jest, kiedy opijesz się whisky - zauważyła Jody.
- Łyknałem tylko jednego drinka przed kolacją. Tak samo jak ty.
- Tylko że ja na tym poprzestanę. A ty pójdiesz i uchłasz się jak zwykle.
- A skąd ty wiesz, co ja będę dzisiaj porabiać? Poza tym myślałem, że wcale się tym nie interesujesz.
- Proszę was - odezwała się Janellen, zasłaniając uszy dłońmi. - Przestańcie na siebie wrzeszczeć. Czy nie moglibyście w spokoju zjeść cbociaż jednego posiłku?

Key wiedział, że z powodu jego kłótni z Jody, Janellen cierpi najbardziej. Odrzekł więc: - Przepraszam, siostrzyczko, przygotowałaś świetne jedzenie. Nie zamierzałem popsuć ci kolacji.

- Nie chodzi o jedzenie. Mam na myśli was dwoje. Mamo, twoja twarz zrobiła się czerwona jak burak. Wzięłaś dzisiaj lekarstwa?

- Jasne, że tak. Nie jestem przecież dzieckiem.

- Jeżeli chodzi o branie lekarstw, to czasami zachowujesz się jak małe dziecko - upomniała ją Janellen. - A nam, swoim dzieciom, nigdy nie pozwalałaś krzyczeć przy stole.

Jody odsunęła od siebie talerz i zapaliła papierosa.

- Wasz ojciec na to nie pozwalał. Wrzaski źle wpływały na jego trawienie. Janellen uśmiechnęła się na wspomnienie ojca. Pamiętała go jak przez mgłę.

- Pamiętasz to, Key? - zapytała.

- On był taki zasadniczy - odparł zerkając na siostrę. - Wiesz, czasem mi go przypominasz.

- Serio? - poczuła, jak rumieniec oblewa jej policzki.

- Owszem. Masz jego oczy. Prawda, Jody?

- Zdaje się, że tak.

To była rzecz godna uwagi. Zwykle Jody nie przytakiwała Keyowi. Odezwał się po chwili:

- Kiedyś nie znośiłem, gdy ludzie zwracali się do mnie i Clarka słowami: "Chłopaki, macie piękne oczy. Zupełnie jak wasz tatuś".

- Czemu tego nie lubiłeś? - zainteresowała się Janellen.

- Sam nie wiem. Może dlatego, że czułem się wtedy jak dziewczynka. Chłopcy nie lubią słyszeć, że mają coś "pięknego".

- Odwrotnie niż twój ojciec - wtrąciła oschle Jody. - Uwielbiał, gdy ludzie mu schlebiali. Zwłaszcza kobiety.

- Mamo, musiałaś być strasznie dumna z tak przystojnego męża - stwierdziła naiwnie Janellen.

Jody strząsnęła popiół z papierosa do popielniczki.

- O tak, wasz ojciec potrafił być uroczy. - Jej twarz nagle zmiękła. - W dniu kiedy przyszedł na świat Clark, kupił mi sześć tuzinów żółych róż. Nakrzyczałam na niego, że nie powinien tak szastać pieniędzmi, ale on rzekł, iż nie co dzień mężczyzna staje się ojcem.

- A kiedy urodził się Key ... ? Co się wtedy stało?

- Już nie przyniósł mi kwiatów.

Zapadła przynębiająca cisza, którą wreszcie przerwał Key:

- Może tata nie chciał, żebyś jeszcze raz zmyła mu głowę za rozrzutność. Może wyrzuciłabyś te kwiaty?

Na to pospiesznie zareagowała Janellen:

- Key, mama już wyjaśniła, dlaczego nie lubi kwiatów. Ma alergię na pyłek.

- Chyba że tak.

Ani przez chwilę nie wierzył w tę bajeczkę o alergii. Kilka dni temu usiłował na próżno zawrzeć rozejm z Jody. Kupił dla niej bukiet. Janellen zaniósła kwiaty do sypialni Jody i postawiła je wazonie na komódce.

Następnego dnia Key zauważył swój podarunek w śmietniku za kuchennymi drzwiami. Oczywiście rozszłościł się i zażądał od Jody wyjaśnień.

Spokojnym, zimnym tonem odpowiedziała, że cierpi na katar sienny. Nawet mu za nie nie podziękowała.

Nie liczył na podziękowania. Mógł się bez nich obyć. Zdenerwowała go jedynie tym, że uznała go za kompletnego głupca. Uważała, że połknie takie wyssane z palca na poczekaniu wyjaśnienia. Nie zamierzał dać jej satysfakcji okazując wzburzenie. Nonszalanckim gestem wziął nieszczęsny bukiet i wyrzucił go z powrotem na śmieci.

Teraz milczenie przerwała Jody.

- Jak sobie radzi ten nowy? - spytała córkę.

Janellen o mało nie upuściła filiżanki z kawą. Z trudem opanowała drżenie rąk.

- Całkiem ... całkiem nieźle. Sądzę, że będzie dobrze pracował.

- Nie widziałam jego referencji.

- Przepraszam. Zapomniałam przynieść je do domu. Majster twierdzi jednak, że on radzi sobie bez zarzutu. Jest staranny i nigdy się nie spóźnia. Poznał się już z innymi robotnikami. Nie sprawia kłopotów i nie skarży się.

- Nadal nie pojmuję, dlaczego zwolniono Muleya bez mojej wiedzy.

Janellen opowiedziała wcześniej Keyowi o aferze z Muleyem i poprosiła go, by nie wspominał o tym Jody. Obawiała się, że matka, gdy się dowie, iż jeden z jej ludzi okazał się zwyczajnym złodziejem, dostanie ataku szału. Key uważał tak samo.

Wiedział również, że Bowie Cato opuścił niedawno mury więzienia. Key zdążył poznać go w "The Palm". Usłyszał o nim to i owo od Hapa.

Key nie należał do ludzi, którzy z góry spisują na straty byłych penitencjariuszy.

Sam spędził kilka dni - dawno temu - w areszcie we Włoszech. Nie chwalił się tym naturalnie i postanowił na przyszłość unikać kłopotów. Na własnej skórze poznał gorzki smak nocy za kratkami.

Poglądy Jody nie były tak liberalne. Nie wybaczała ludziom błędów życiowych. Nie ucieszyłaby się, gdyby się dowiedziała, że ma na swej liście płac faceta z zabazgraną przeszłością - a więc im mniej wiedziała o przygodach Cato, tym lepiej dla wszystkich. Muley został wylany, a Janellen znalazła dobrego zastępcę. I na tym winna zakończyć się sprawa. Jody jednak zdołała jakoś wyczuć, że coś tu brzydko pachnie. Już parę razy wypytywała o Bowiego.

Key przyoblekał twarz w kamienną maskę i miał nadzieję, że Janellen uczyni to samo. Ona nie potrafiła jednak oszukiwać. Pod twardym spojrzeniem matki topniała jak wosk. Zaczęła nerwowo podzwaniać sztukcami.

- Ten Cato chyba stąd nie pochodzi?

- Nie, mamó. Wychował się w zachodnim Teksasie.

- A co z jego rodzicami?

- Zdaje się, że nie żyją.

- Czy on jest żonaty?

- To kawaler.

Jody wypuściła nosem chmurę papierosowego dymu, nie przestając świdrować córki oczami. Po chwili ciszy, która zdawała się wiecznością, Janellen niespokojnie zerknęła na Keya. Szukała pomocy.

- Key poznał go. Cato jest w porządku, prawda, Key?

Cholera! - zaklął w duchu. Nie miał ochoty wplątywać się w tę historię. Ale teraz nie miał już wyjścia.

- Owszem. Sympatyczny gość.

- Po świecie chodzi wielu sympatycznych gości. Tylko że to nie znaczy, że znają się na wydobywaniu ropy.

Janellen wzdrygnęła się.

- Bowie zna się na tym, mamó. Miał z tym do czynienia od dzieciństwa. Key zdecydował się przyjść w sukurs siostrze.

- Cato dobrze pracuje. Janellen jest z niego zadowolona. Czego można jeszcze chcieć? Rzecz jasna, Key dobrze wiedział, czego najbardziej chce jego matka. Pragnęła być

znowu młoda, zdrowa i silna. Chciała trzymać firmę twardą ręką i miała Janellen za złe, że ta zatrudniła kogoś bez jej zgody. Czepiałaby się nawet, gdyby Janellen najęła Supermana.

- Facet pracuje już od ... od kiedy, Janellen? Od dwóch tygodni? - podjął Key.

- Zgadza się.

- I póki co, wszystko gra. Mnie się zdaje - dodał - że Janellen podjęła mądrą decyzję.

Jody zwróciła się do niego pogardliwie:

- Ty nie masz nic do gadania w sprawach Tackett Oil.

- Nie mówię o firmie - odparł spokojnie. - Tylko o faciecie, który sprawdził się w pracy. Cato to szczerzy człowiek, patrzący ludziom prosto w oczy. Widziałem go w knajpie Hapa. Tyrał jak dziki osioł. Ciuchy miał mokre od potu.

Jody z irytacją wbiła wzrok w sufit.

- Dobrze by było, gdybyś sam wyciągnął z tego nauczkę. Facetowi korona z głowy nie spadnie, jak się spoci i pobrudzi trochę przy pracy.

- Ależ Key pracował, mamó. Naprawił nam bramę.

- To drobiazg. Mówię o prawdziwej, cholernie ciężkiej robocie.

- Naturalnie na twoich polach naftowych. - Key usiłował trzymać w ryzach temperament, ale jego głos zaczynał zdradzać podenerwowanie.

- Chyba nie umarłbyś od tego, co?

- Nie. Tylko że to twoje zajęcie, a nie moje.
- Ach, więc dlatego nie chciałeś się zająć rodzinnym interesem. Bo byłabym twoją zwierchniczką? Nie lubisz pracować dla kobiet.

Key potrząsnął głową i zaśmiał się ponuro.

- Mylisz się, Jody. Nie chciałem w to wchodzić, ponieważ wcale mnie to nie interesuje.

- Dlaczego?

Jody nigdy nie wystarczały zdawkowe odpowiedzi. Key zawsze musiał się przed nią usprawiedliwiać, tłumaczyć, wyjaśniać swe zdanie, jeśli było odmienne od opinii Jody. Wcale się nie dziwił, że jego ojciec zaczął się oglądać za innymi kobietami. Z Jody zawsze trzeba było prowadzić wojnę. A mężczyźni zwykle szukali w rodzinnych domach spokoju.

Starając się panować nad sobą, odpowiedział:

- Może gdybyśmy zaczęli poszukiwać nowych złóż ropy, zmieniałbym zdanie.

- Lubisz wyzwania, czyż nie tak?

- W każdym razie nie cierpię nudy i rutyny.

- No to żałuj, że nie urodziłeś się kilkadziesiąt lat wcześniej. Tu, w Teksasie, roito się wtedy od szulerów, dewiantów i dziwek. Wszyscy oni żyli z dnia na dzień. Lubili grać o wysokie stawki. Nie myśleli o przyszłości. Nie troszczyli się o nią. Taki właśnie żywot uwielbiasz i ty, co? Ubóstwiasz pływać w bajorze pełnym krokodyli. Jesteś taki sam, jak twój ojciec.

Key zacisnął szczęki.

- Myśl sobie co chcesz, Jody. Ja jednak nie mam zamiaru marnować najlepszych lat na pompowanie śmierdzącej ropy - powiedział, tłukąc przy tym dłonią w blat stołu.

- Key! - Janellen jęknęła żałośnie.

Oboje jednak nie zwrócili na nią uwagi. Twarz Jody stała się purpurowa.

- Dzięki tej śmierdzącej ropie możesz próżnować jak wieprz w gnoju! Dzięki niej masz co zjeść i gdzie spać, masz co na siebie włożyć. Dzięki niej zdobyłeś wykształcenie!

Key wstał.

- I jestem za to wdzięczny. Czy mam zostać robotem, żeby spłacić twą rodzicielską troskę? A gdybyście oboje z ojcem byli hydraulikami? Czy też przez całe życie musiałbym naprawiać ciekące krany? Skoro Clark mógł robić inne rzeczy, to ja chyba też, co?

- Clark miał inne plany.

- A skąd to wiesz? Co wiedziałaś o jego ambicjach? A może chodzi ci o plany, które sama dla niego nakreśliłaś?

Teraz również Jody podniosła się z krzesła.

- Przed nim kariera stała otworem. I wspiałby się na sam szczyt, gdyby nie ta żdzira, z którą włóczysz się po okolicy.

- Mamo, przecież to był wypadek - wtrąciła Janellen. - Ta dziewczynka umarłaby, gdyby w pobliżu nie znalazł się Key.

Dramatyczną historię Letty Leonard opisała na pierwszej stronie lokalna gazeta. - Dzięki, Janellen - odezwał się Key - ale nie musisz mnie bronić. Walczyłbym o życie psa, a co dopiero małego dziecka. Jody interesował jednak tylko jeden aspekt całej sprawy.

- Kazałam ci trzymać się z daleka od Lary Porter.

- Na litość boską, przecież chodziło o dzieciaka, a nie o nią!

- I pewnie myślałeś też o tym dziecku, kiedy zabrałeś ją na kolację?

Troszkę zaskoczony faktem, że dowiedziała się o jego wizycie w knajpie Bobby'ego, Key wzruszył ramionami.

- Nie jadłem wtedy przez cały dzień. Byłem cholernie głodny. Nic innego mnie nie obchodziło.

Jody wbiła weń nienawistne spojrzenie.

- Powtarzam ci ostatni raz. Zapomnij o jej istnieniu. Upijaj się i łajdacz z jakąś inną.

- Dzięki serdeczne za upomnienie. Zaraz wezmę się do dzieła.

Podszedł do kredensu, nalał sobie szklaneczkę whisky i wychylił ją w ułamku sekundy.

Jody parsknęła z niesmakiem na ten widok i krocząc dumnie, opuściła pomieszczenie.

- Dlaczego nie możecie ze sobą normalnie porozmawiać?

Key zwrócił się ku siostrze, mając na końcu języka jakąś zjadliwą odpowiedź.

Powstrzymała go jednak żałosna mina Janellen.

- To Jody zaczęła kłótnię. Nie ja.

- Przecież znasz ją. Wiesz, jaka ona bywa.

Roześmiał się na to ironicznie.

- Dziękuję, że nie wydałaś sekretu o panu Cato - dodała. - Mama nie chciałaby u siebie byłego więźnia, nawet gdyby okazał się wzorowym pracownikiem.

Key uniósł brew.

- Wzorowym pracownikiem? Chyba za wcześnie na takie pochwały?

- Nie mam na myśli konkretnie pana Cato - rzekła, pragnąc natychmiast zmienić temat. - Naprawdę zaprosiłaś ją na kolację?

- Kogo? Larę Mallory? Jezu, i co z tego? Wpadłem z nią po prostu do Bobby'ego. Była ze mną, bo odwoziłem ją z lądowiska do miasta. I to wszystko. Czy to jakaś zbrodnia?

- Dzwoniła do mnie.

Z niedowierzaniem potrząsnął głową. Sądził, że to żart.

- Co takiego?

- Zadzwoiła do mnie w zeszłym tygodniu. Zupełnie niespodziewanie. Byłam wtedy w pracy. Bardzo uprzejmie się przedstawiła. I zaproponowała mi wspólny lunch.

Wybuchnął śmiechem.

- Zaprosiła cię na lunch? - Wciąż wydawało mu się to absurdalne.

- Zdziwiłam się strasznie. Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć.

- Ale w końcu chyba coś odpowiedziałaś.

- Odmówiłam oczywiście.

- Dlaczego?

- Ależ, Key! Ta kobieta zniszczyła Clarkowi życie .

- Wiesz co, Janellen? - powiedział kwaśno. - Właściwie nie wiem, czy to ona wciągnęła go do łóżka, czy może było na odwrót. A może po prostu obojgu zebrało się jednocześnie na baraszkowanie.

- Nie rozumiem, jak możesz sobie z tego stroić żarty - stwierdziła ze złością.

- Po czyjej jesteś stronie?

- Po naszej. Wiesz przecież.

Spojrzał w bok, obracając w dłoni pustą szklankę.

- Mimo wszystko - dodał, - szkoda, że nie przyjąłś jej zaproszenia. Możliwe, że w ten sposób dowiedziałbym się, co ona knuje .

- A sądzisz, że coś w ogóle knuje?

Zastanawiał się nad tym przez moment. Lara Mallory zyskała znacznie w jego oczach w dniu, kiedy uratowała życie dziecku Leonardów. Walczyła o Letty z takim poświęceniem. Lekarze, których dotąd poznał, byli jakby bardziej cyniczni.

Mimo to nie zapominał, że to właśnie Lara odegrała kluczową rolę w skandalu kompromitującym Clarka. I nie przeniosłaby się przecież do Eden Pass o tak sobie. Najwyraźniej czegoś chciała. Przypomniał sobie ich rozmowę w samochodzie.

Zawieziesz mnie na Montesangre.

Wówczas nie potraktował tych słów poważnie. Przecież jeszcze wcześniej wyklinała to państwo. Nie dałaby się tam zaciągnąć końmi.

A więc co tu było grane? Czy próbowała mu zamieszać w głowie? Zmusić go do myślenia o sobie?

- Nie zatelefonowałyby do ciebie bez celu - powiedział do Janellen zirytowany .

- O co mogło jej chodzić?

- A kto to, u diabła, wie? Pewnie próbowała wyciągnąć od ciebie jakieś informacje o dzieciństwie Clarka.

Albo powiedzieć, że już nie chce tej wojny z nami. Wszyscy tutaj bardzo cię szanują. Być może uznała, że gdy ludzie zobaczą was razem w mieście, to zaczną się wreszcie zgłaszać do jej gabinetu. Jeżeli zadzwoni następnym razem ...

- Jeśli zadzwoni...

- Przypuszczam, że tak. To uparta suka. No więc następnym razem odpowiedz: tak. Lunch z nią może się okazać ciekawy.

- Mama się wścieknie.

- Nie musi o tym wiedzieć ..

- W końcu i tak się dowie, zobaczysz.

- No to co? Jesteś dorosła. Możesz decydować za siebie. Nawet gdyby nie spodobało się to Jody.

Położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała z niepokojem:

- Proszę cię Key, pogódź się z nią dla naszego wspólnego dobra.

- Postaram się, Janellen. Cały czas się staram. To Jody przez cały czas pragnie wojny.

- Mylisz się. Ona po prostu nie potrafi ustępować. Jest stara i troszkę zdziwaczała. No i samotna. Czuję się źle i ... pewnie obawia się śmierci.

Mógł temu wszystkiemu przytaknąć, tyle że nie było to rozwiązanie problemu.

- Powiedz, co ja właściwie powinienem zrobić? Staralem się być grzeczny, miły i uprzejmy. Kupiłem j jej nawet kwiaty. Wszystko na nic - powiedział z goryczą. - Czy mam za każdym razem padać jej do nóg i bić pokłony?

- Nie proszę cię o to. Ona po prostu nie chce, żebyś był wobec niej nieszczerzy.

Staraj się powściągnąć złośliwość w stosunku do niej. Kiedy dzisiaj zaczęła mówić o pracy, mogłeś stwierdzić, że nie migasz się od roboty. Zarabiasz przecież na siebie. - Ale nie chciałem się przed nią chwalić. Poza tym ona ma gdzieś, czym ja się właściwie zajmuję. Uważa, że latanie to moje hobby. Nawet gdybym został pilotem wojskowym, nie wywarłoby to na niej wrażenia.

Odstawił szkło na tacę i dodał przygnębiony:

- Jody zwyczajnie nie chce mnie tutaj widzieć. Wolałaby, żebym czym prędzej wyjechał.

- Nie mów w ten sposób, proszę cię. I nie wyjeżdżaj, nim nie ułoży się między wami. Ona nie otrząsnęła się jeszcze po śmierci Clarka. A ponieważ nie chce się przyznać, że cierpi, wyładowuje złe emocje na tobie.

- Zawsze jej ciążyłem. Nie lubiła mnie od dnia, w którym przyszedłem na świat, a ojciec zapomniał przysłać jej żółte róże.

- Tatuś uraził ją wtedy, Key. Kochała go, a on ją uraził.

- Kochała go? - powtórzył i roześmiał się gorzko.

Janellen spojrzała na niego poważnie. Dostrzegł w jej oczach zdumienie.

- Oczywiście, że go kochała. I to bardzo. Nie zdawałeś sobie z tego sprawy?

Nim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił dzwonek u drzwi.

- Poprawi się między wami - zapewniła. - Zobaczysz. Ja otworzę.

Nie podzielał optymizmu siostry. Postanowił zaaplikować sobie jeszcze jedną szklaneczkę alkoholu.

Przełknął ją jednym haustem. Poczł pieczenie w żołądku. Whisky nie służyła mu już tak, jak to niegdyś bywało.

W ogóle sporo rzeczy w jego życiu się zmieniło. Na gorsze. Gdy uwodził kobiety, zaczynał myśleć o kłopotach z tym związanych. Wszystko powoli traciło dawny urok. Nie miał pojęcia dlaczego.

Fizycznie doszedł już do siebie po postrzale i zwichnięciu kostki. Noga co rano dokuczała mu jeszcze od czasu do czasu, ale po ranie w boku pozostała jedynie blizna.

Co się z nim właściwie dzieło?

Miał zbyt dużo wolnego czasu. Gryzł się z myślami. Całymi dniami starał się :ozwikłać zagadkę tajemniczej śmierci Clarka. Chciał poznać fakty, a przy tym obawiał się, że dowie się czegoś, o czym nie pragnął usłyszeć. Ciekawi ludzie muszą być gotowi na przykre niespodzianki. Może lepiej pozostać w błogiej nieświadomości? - powiedział sobie.

Dzięki Bogu, mógł nadal latać. Nie przewiózł Letty Leonard do szpitala, by zapewnić sobie rozgłos, mimo to od tamtego wydarzenia telefon nie przestawał dzwonić. Otrzymał parę intratnych propozycji. Choć pieniądze nie były mu specjalnie potrzebne, to lubił przebierać w ofertach. Potrzebował przede wszystkim swobody. A naj swobodniejszy czuł się zawsze za sterami samolotu.

Jeśli chciał odnaleźć spokój umysłu, to winien zmienić dom, miasto, stan. Pragnął znaleźć się w miejscu całkiem odmiennym od Eden Pass, gdzieś, gdzie ludzie mówili innym językiem, gdzie posilali się innym jedzeniem. W miejscu zamieszkanym przez połączność, która nigdy nawet nie słyszała o klanie Tackettów.

Przemierzył dotychczas nieomal połowę świata i wszędzie wiedziano, że był bratem Clarka Tacketta, amerykańskiego senatora. I z tego właśnie powodu zdejmowano przed nim czapki. Wciąż słyszał to samo:

"Tackett? Czy jesteś krewnym tego senatora z Teksasu? Jego młodszym bratem? O, to wspaniale!"

Wszyscy natychmiast zaczęli porównywać go do Clarka.

"Key jest prawie tak wysoki jak Clark".

"Key lubi szybką jazdę. Zupełnie jak jego brat".

"Key nie zachowuje się tak wytwornie jak Clark".

"Key nie daje napiwków, a Clark zawsze to robił".

W rzeczywistości Key był wyższy od Clarka i mocniej zbudowany. Ustępował mu jednak wyraźnie pod paroma innymi względami. Mimo to nigdy nie był wobec brata zawistny. Nie chciał się stać kimś takim jak Clark, jego gorszą kopią. Ludzie sugerowali zaś, że powinien wzorować się na nim, kroczyć jego śladem.

A Jody mówiła mu to wprost.

Key jako dziecko szybko zauważył, że matka lubi go mniej niżli starszego brata. Dla Clarka zawsze potrafiła znaleźć czułe słowa, dla Keya ty lko upomnienia i połajanki. Key dostawał tańsze prezenty, a rysunki, które przynosił ze szkoły, zawsze trafiały na dno matczynej szuflady. Za to nieudolne bazgroły Clarka zdobyły komódkę Jody.

Gdy Key trochę podrośł, Jody zaczęła odnosić się do niego jeszcze chłodniej.

Wkroczył w trudny wiek i zaczął się buntować. Nie rozumiał, czemu matka tak uparcie faworyzowała Clarka. Naturalnie stało się to przyczyną konfliktów. Tak, trudny charakter Key odziedziczył właśnie po Jody .

Kiedy wkroczył w dorosłość, to wreszcie zaakceptował fakt, że matka go nie kocha.

Uważał, iż ona wręcz go nie lubi. Nigdy nie lubiła i nigdy nie polubi. Pogodził się z tym jakoś. Przestał szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się działo. Właściwie miał to gdzieś. Po prostu tak było i koniec. To Clarka przyłapano w sypialni z mężatką. Cięgi od Jody zbierał zaś Key - za to, że się "łajdaczył".

Przed paroma laty doszedł do ostatecznego wniosku, że próby zdobycia zaufania matki - nie wspominając nawet o miłości - to zwykła strata sił i czasu. Stwierdził, że najlepiej będzie dla wszystkich, jak machnie na to ręką.

Okazało się, że i to nie załatwiało sprawy.

Znalazł się znowu w rodzinnym domu i ponownie musiał stawić czoło demonom z przeszłości.

Zagadkowa śmierć brata. Obsesje i wymagania Jody. Wiele razy miał już ochotę spakować się i ruszyć w siną dal, ale głęboki smutek na twarzy siostry zatrzymywał go na miejscu i przepelniał poczuciem winy.

Janellen z pewnością miała rację. Jody się bała. Starzała się i powoli traciła kontrolę nad tą częścią świata, który zdawał się jej własnością. Sumienie nie pozwalało Keyowi pozostawić matki na głowie biednej Janellen. Fakt, że Jody miewała zaniki pamięci, wynikał zapewne nie tylko z jej podeszłego wieku. Gdyby stało się najgorsze, nie darowałby sobie, że uciekł i zaszył się w jakimś zakątku tysiące kilometrów stąd. Bez względu na wszystko Jody wciąż pozostawała jego matką. Póki co, nie mógł opuścić Eden Pass.

- Key?

Niepewny głos siostry wytrącił go z zadumy. Odwrócił się do Janellen.

- Co takiego?

- Ktoś przyszedł się z tobą zobaczyć.

Zauważył, że Janellen jakoś dziwnie na niego patrzy.

- Kto taki? Czego on chce?

- Nie on, tylko ona. To dziewczyna.

11.

L ara wyprostowała się i roztarła zeszywniałą szyję.

Rozluźniła się nieco i założyła z powrotem na nos okulary, których używała do czytania .

Obiad jadła oglądając popołudniowe wiadomości. Potem wyłączyła telewizor, gdyż nie było żadnego ciekawego programu. Książka także okazała się nieco nużąca. Wymyślona przez autora akcja była dla niej powikłana w sztuczny sposób. Bohater powieści borykał się z problemami, które wydać się musiały błahe przy jej własnych kłopotach.

Zastanawiała się przez chwilę, co robić, a następnie wzięła się za wertowanie kartoteki pacjentów.

Medycyna dostarczała jej zawsze niezawodnej rozrywki.

Studenci na jej roku bez przerwy uskarżali się, że mają zbyt wiele nauki. Dla Lary natomiast zdobywanie wiedzy było samą przyjemnością. Godzinami przesiadywała w uczelnianej bibliotece. Pochłaniała nowe informacje niczym żarłok kolejne ciasteczka.

Na uczelni nikt nie utyskiwał tak jak jej rodzice. Nikt nie usiłował jej wmawiać, że studiowanie anatomii nie przystoi młodej, dobrze wychowanej dziewczynie, że powinna zająć się czymś bardziej odpowiednim. Egzaminy końcowe zdała celująco i rozpoczęła następnie praktykę w szpitalu.

Lekarze podziwiali jej wiedzę i zdolności, ona jednak największą satysfakcję czerpała z faktu powrotu do zdrowia pacjentów. Zwykle "dziękuję" z ust pacjenta znaczyło dla niej więcej od wszystkich pochwał, jakich wysłuchiwała od przełożonych.

Niestety, tu - w Eden Pass - pacjenci nader rzadko prosili ją o pomoc. I dlatego właśnie Lara czasem zabijała wolne chwile przeglądaniem kartotek.

Nagle usłyszała za oknem warkot motoru samochodowego. Wstała szczerze zadowolona. Odłożyła na

stolik książkę i wyszła z pokoju. Doznała przy tym osobliwego uczucia. Przypomniała sobie mianowicie tę noc, kiedy pierwszy raz stanął na jej progu Key.. Noc, kiedy krwawił i domagał się od niej pomocy. Gdy więc teraz otworzyła drzwi, nie była tak bardzo zaskoczona widząc go ponownie. Tyle że tym razem nie przybył sam.

U jego boku stała młoda dziewczyna. Zdziwiona Lara spojrzała na Keya.

- Już po godzinach. Ciągłe wydajesz się o tym zapominać. Albo celowo to lekceważysz. Co się stało?

- Czy możemy wejść?

Najwyraźniej nie miał nastroju na przekomarzenie się. Patrzył spod ściągniętych brwi i zaciskał wargi.

Gdyby przyszedł sam, Lara prawdopodobnie zatrzaskałaby mu drzwi przed nosem. Właściwie miała ochotę to uczynić, ale przyjrzała się bliżej dziewczynie i dostrzegła, że ta płacze. Biedaczka miała zaczerwieniony nos i powieki i kurczowo ścisnęła w dłoni papierową chusteczkę.

Przy tym nie wyglądała na chorą. Cóż mogło dolegać tej nastolatce? Dziewczynie o krzepkiej budowie, rozwiniętych piersiach i mocnych biodrach. Lara przyjrzała się jej ładnej buzi, prostym, ciemnym, długim włosom. W piwnych oczach dziewczęcia dostrzegła jednak niewysłowioną rozpacz. Nie mogła odprawić jej z kwitkiem.

Ustała na bok i gestem zaprosiła ich do środka.

- W czym mogę ci pomóc? - zapytała. Dziewczyna milczała. Miał nie odezwać się Key:

- To Helen Berry. Ma poważny problem.

- Czy jesteś chora?

Helen błagalnie spojrzała na Keya, a potem odrzekła:

- Nie w tym rzecz.

- Nie będę mogła ci pomóc, dopóki się nie dowiem, o co chodzi. Jeżeli zależy ci na rutynowej kontroli stanu zdrowia, to zgłoś się jutro z samego rana.

- Nie! - krzyknęła dziewczyna - To znaczy ... Nie chcę, żeby ktoś się dowiedział...

- Musisz zbadać Helen.

Lara spojrzała na Keya.

- Zbadać? Przecież ona nie jest chora ...

- Mówię o badaniu ginekologicznym.

Lara nie spuszczała z niego wzroku. Milcząco domagała się dalszych wyjaśnień. On jednak zamilkł już na dobre. Dziewczyna nerwowo przygryzała dolną wargę.

- Helen - zaczęła łagodnie Lara - czy zostałaś zgwałcona?

- Nie - stanowczo pokręciła głową. - Nic z tych rzeczy.

Lara poczuła, że jej ulżyło.

- Poczekam na zewnątrz - odezwał się Key i skierował kroki na korytarz.

Po jego wyjściu zapanowało przygnębiające milczenie. Lara starała się uspokoić oddech. Uśmiechnęła się do Helen Berry, by dodać jej odwagi. i powiedziała:

- Tędy, proszę.

Skierowała ją do gabinetu i wskazała kozetkę.

- Czy mam się rozebrać?

- Jeszcze nie - odparła Lara. - Najpierw muszę uzyskać więcej informacji. Poza tym nie ma tu teraz pielęgniarki, która zwykle mi pomaga. Potrzebuję asysty przy tego rodzaju badaniach.

Wprowadziła taką zasadę dla dobra pacjentek. Małomiasteczkowe społeczeństwo zwykle kojarzyło ginekologię z czymś piekielnie obsceniczym. A za Larą ciągle przecież snuł się śwąd dawnego skandalu. Musiała postępować przezornie.

Oczy Helen znowu napełniły się łzami.

- Musi mnie pani zbadać. Muszę wiedzieć. Muszę się dowiedzieć teraz, żeby zdecydować, co robić dalej.

Była najwyraźniej wstrząśnięta. Wysmarkała nos w mokrą chusteczkę. Drżały jej ręce.

- Helen - Lara odezwała się cicho, lecz stanowczo - zanim zaczniemy, powinnaś mi coś powiedzieć ...

Wzięła kartę i pióro i zapytała jeszcze raz o nazwisko. Te formalności ogły w zasadzie poczekać, ale Lara chciała dać trochę czasu dziewczynie, by ta przyszła do siebie. Wypełniając rubryki Lara dowiedziała się, że Helen mieszka w pobliskiej wsi, ma osiemnaście lat i w maju ukończyła szkołę. Jej ojciec pracował w firmie telekomunikacyjnej, a matka była gospodynią domową. Miała dwie młodsze siostry i brata. Rodzina nie była obciążona chorobami dziedzicznymi.

- A teraz powiedz - rzekła Lara odsuwając na bok kartę - dlaczego pan Tackett przywiózł cię tutaj.

- Poprosiłam go o to. Musiałam.

Helen znowu zacisnęła usta. Po jej pulchnych policzkach spływały rzęsiste łzy. Lara doszła do wniosku,

że wie już, w czym problem. Postanowiła zapytać wprost:

- Czy sądzisz, że jesteś w ciąży?
- O Jezu! Jestem tak głupia!

Powiedziawszy to Helen podciągnęła kolana pod brodę i zaczęła histerycznie szlochać. Lara usiadła obok niej i ujęła jej dłoń.

- Helen, opanuj się. Jeszcze nic nie wiemy na pewno. Może nie ma powodu do rozpacz. Może to fałszywy alarm.

Starła się sama zachować spokój, ale nagle zdjęła ją ochota, by wziąć dubeltówkę, wyjść na korytarz i odstrzelić Tackettowi jądra. Co innego zadawać się z takimi latawicami jak Darcy Winston, a co innego uwodzić nastolatki.

Pogłaskała Helen po włosach.

- Kiedy miałaś ostatnią miesiączkę?
- Przed sześcioma tygodniami.
- To jeszcze nie tak dawno. Wcale nie musisz być w ciąży.

Helen pokręciła głową.

- Ja to czuję. Okres nigdy mi się nie spóźniał.

Lara pomyślała, że tysiące przyczyn wywołuje zanik miesiączkowania, a ciąża to tylko jedna z nich. Zdołała się jednak przekonać, że pacjenci uważają, iż sami wszystko wiedzą najlepiej. Zresztą Helen istotnie mogła się nie mylić.

- Czy miałaś stosunek seksualny?
- Tak.

- I nie używaś środków antykoncepcyjnych?

Lara nie mogła się nadziwić takiej lekkomyślności. Przecież prezerwatywy były nie drogie i wszędzie niemal dostępne, a to wystarczająca ochrona przed ciążą czy chorobami wenerycznymi. Starsi ludzie w Eden Pass wzdraliby się przed podjęciem publicznej debaty na ten ważny temat. Uznaliby zapewne, że to "nieprzyzwoite". To zdanie podzieliliby też tutejsi duchowni. A jednak biorąc pod uwagę wirus HIV, w grę wchodziło poważne ryzyko. Nastolatki powinny wiedzieć, na co się narażają.

- Czy powiększyły ci się piersi?
- Trochę. Poza tym kupiłam w aptece tester ciążowy ...
- No i ... ?
- Sama już nie wiem.

- Testy, o których wspomniałaś, bywają zawodne. Idź teraz do łazienki i oddaj próbkę moczu. Przez noc zrobię analizę. Rano wszystko będzie jasne.

- Dobrze. Ale i tak wiem, że jestem w ciąży.

- Miałaś już przedtem takie kłopoty?

- Nie. Ale ja to po prostu wiem. On mnie zabije.

Udała się do toalety. Lara pomyślała o Keyu Tacketcie, który pewnie siedział sobie teraz spokojnie w poczekalni. Chciała pójść do niego i powiedzieć, co o nim myśli. Nim to jednak zdołała uczynić, do gabinetu wróciła pacjentka.

- Zostawiłam próbkę na zbiorniku - rzekła Helen.
- Doskonale. A teraz się połóż i postaraj się odprężyć.

Helen jednakże nie potrafiła się uspokoić. Jeszcze raz dała upust swym obawom. Lara zbadała ją i powiedziała, że objawy wskazują na ciążę. Dziewczyna zalała się łzami.

- Wiedziałam to. Wiedziałam - szlochała.

Lara objęła ją ramionami i trzymała tak, aż szloch Helen przeszedł w ciche łkanie.

- Dopóki nie będziemy miały ostatecznych wyników, nie mogę dać ci środka uspokajającego. Czy chcesz się czegoś napić?

- O tak. Poproszę o colę.

Lara wyszła po napój. Gdy wróciła, Helen płakała jeszcze, ale zdołała się nieco się pozbierać. Łapczywie wysączyła colę.

- Helen, czy małżeństwo z ojcem dziecka nie wchodzi w grę?
- Nie. On wcale nie chce

Lara poczuła przeszywający ją dreszcz wzburzenia.

- Rozumiem - powiedziała. - A twoi rodzice? Pomogą ci?

- Kochają mnie - rzekła przez łzy Helen. - I nie wyrzucą mnie z domu. Ale tatuś jest taki religijny, a mama ... O Boże, oboje spalą się ze wstydu.

- Czy chcesz urodzić to dziecko?

- Nie wiem ...

- Ktoś mógłby je zaadoptować.

Helen pokręciła głową.

- On mi nie pozwoli. Poza tym, jeżeli już miałabym dziecko, to nigdy bym go nie oddała.

- A myślałaś o zabiegu?

- Pewnie to jedyne wyjście - pociągnęła nosem. - Tylko że ... Tylko że ja go kocham. Nie chcę zabić jego dziecka.

- Nie musisz się decydować w tej chwili - powiedziała cicho Lara i pogładziła dłoń dziewczyny.

- A gdybym się zdecydowała ... to czy zrobi to pani tak, żeby nikt się o tym nie dowiedział?

- Przykro mi, Helen. Nie dokonuję aborcji.

- Jak to?

Lara przeżyła śmierć własnego dziecka. Nie usunęłaby żadnej ciąży, chyba że wymagałoby tego zdrowie matki.

- Przyjęłam taką zasadę - stwierdziła. - Jeżeli jednak uznasz, że to jedyne wyjście, skontaktuję cię z kim trzeba.

Helen pokiwała głową, ale Lara nie była pewna, czy do dziewczyny wszystko dotarło. Podenerwowanie odebrało nastolatce jasność myśli. Lara wstała i powiedziała, że wróci za kilka minut.

- Tymczasem poleż tu spokojnie.

Wyszła na korytarz z zaciśniętymi pięściami. Otworzyła drzwi do poczekalni i zapaliła górne światło. Key odpoczywał tam, rozłożony błogo na kanapie. Zamrugał powiekami, gdyż jarzeniowy blask oślepił go na moment, i podniósł się powoli.

- Dlaczego przyprowadziłeś ją do mnie? - spytała ze złością Lara.

- Sądziłem, że brakuje ci klientów.

- Co za zapobiegliwość! - stwierdziła oschle. - Wolałabym się jednak nie mieszać w twoje brudne sprawy. Skrzyżował ramiona na piersi.

- Z tonu twojego głosu wnioskuję, że Helen miała rację. Czy rzeczywiście jest w ciąży?

- Na to wygląda.

Wbił wzrok w podłogę i zaklął dosadnie pod nosem.

- Widzę, że nie uradowała cię ta wiadomość.

Spojrzał na Larę.

- Racja, pani doktor. Jestem wściekły.

- Powinieneś o tym pomyśleć, zanim poszedłeś do łóżka z taką zieloną dziewczyną jak Helen. Nie słyszałeś nigdy o antykoncepcji? Myślałam, że taki światowy facet jak ty ma zawsze kieszeń wypchaną prezerwatywami. A może uważasz, że takie głupstwa ciebie nie dotyczą?

- Zaraz, zaraz. Czy ty ... ?

- Clark opowiadał mi trochę o tobie i twojej złej reputacji. Sądziłam, że przesadzał, ale najwyraźniej mówił prawdę. Masz w tej okolicy tuziny kochanek, co? Kolejne zdobycze wpisujesz na swoją długą listę. -

Patrzyła na niego z pogardą.

Po chwili dodała zgryźliwie:

- W końcu zaczęłaś uganiać się za podlotkami. Co ci odbiło? Chcesz się cały czas sprawdzać? Uważasz, że się starzejesz? A może odgrywasz się za swoją trudną młodość?

- O co ci chodzi? - spytał cicho, przytykając oczy. - Jesteś zazdrosna? Wyprostowała się, słysząc cyniczną nutkę w jego głosie. Chłodnym tonem wyjaśniła:

- Helen myśli poważnie o zabiegu. Zanim podejmie ostateczną decyzję, będę się nią zajmowała. I nie życzę sobie, byś ją tu przywoził.

- Ona już tu więcej nie przyjdzie. A od ciebie chcieliśmy oboje usłyszeć tylko "tak" albo "nie". - Ze złością sięgnął do kieszeni po portfel i zaczął przeliczać pieniądze. - Ile się należy?

- Nie chcę pieniędzy, tylko coś w zamian.

- Co na przykład? Poczekaj, niech no zgadnę ... Chcesz, żebym zabrał Cię samolotem do Timbaktu?

Zastanawiała się, czy on czyni aluzję do ich ostatniej rozmowy, czy też zwyczajnie sobie kpi.

Zdecydowała, że zignoruje przynętę.

- Chcę, żebyś obiecał

- Nie składam obietnic kobietom. Nie wspomniał ci o tym Ci ark, gdy rozwodził się na temat mojego życia seksualnego?

Starła się nie okazać irytacji.

- Masz się tu więcej nie zwać ze swoimi prywatnymi kłopotami. Już drugi raz oczekujesz ode mnie, że wyciągnę cię za uszy z bagna. Dosyć tego. Musisz sam brać odpowiedzialność za swoje miłosne przygody.

- Skończyłaś?

- Tak jest.

Zbliżył się do niej, patrząc groźnie spode łba. Poczowała ciepło jego ciała i jego oddech na swojej twarzy. Napięcie doszło zenitu. Jedna iskra spowodowałaby wybuch.

- Zabawne - syknął. - A ja myślałem, że miłosne przygody to właśnie twoja specjalność.

Mierzyli się przez chwilę wściekłym wzrokiem. Nie wytrzymała jednak tego i cofnęła się o kilka kroków. Odwróciła się do niego plecami i powiedziała:

- Chciałam trochę uspokoić Helen, ale ona wciąż jest wzburzona. Jeśli masz choć odrobinę wycucia, postaraj się być dla niej dzisiaj miły. Nie obwiniaj jej o nic. Ona potrzebuje obecnie cierpliwości i wyrozumiałości.

- Cóż, to nie będzie trudne. Jak już pewnie zauważyłaś, jestem chodzącym aniołem. Lara obrzuciła go nieprzychylnym spojrzeniem i opuściła poczekalnię. Nim weszła do gabinetu, zapukała do drzwi. Helen leżała na plecach, gapiąc się uparcie w sufit. Już nie płakała. Lara uśmiechnęła się do niej. Miała nadzieję, że ten uśmiech nie wyglądał sztucznie.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Chyba już lepiej.

- To dobrze. Key czeka na ciebie.

Pomogła Helen podnieść się z kozetki i odprowadziła ją na korytarz. Key stał tam też przy drzwiach, jakby gotowy do raptownej ucieczki. Lara pomyślała, że szkoda, iż w kimś tak przystojnym siedzi taki obłudny diabeł.

Spod rozchełstanej koszuli wizerowały czarne włosy na szerokiej piersi. Ciasne dżinsy opinały szczupłe biodra i uda. Clark nigdy nie ubierał się w ten sposób, zawsze nosił garnitur. Nigdy nie zdarzyło jej się widzieć Clarka w kowbojskich butach.

Uwodziciel - pomyślała Lara ze złością o Keyu.

Był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, nic więc dziwnego, że kobiety nie opierały mu się zbyt. W ostatnich tygodniach uwiódł Darcy Winston, no i tę nieszczęsną nastolatkę. Ile jeszcze oprócz nich? Przygodę z Darcy można było mu darować, ale bałamucenie niewinnych dziewczyn to już coś odpychającego. Lara - z nie do końca jasnych dla siebie przyczyn - poczuła, że zawiodła się na tym ::złowieku.

Teraz przytulił do siebie Helen, a ona przywarła do jego piersi niby jagnię do matki.

Szeptał coś do ucha dziewczynie - słowa, których Lara nie mogła dosłyszeć. Helen znowu zaczęła łkać i kiwała głową, posłusznie mu przytakując.

Wreszcie otworzył jej drzwi i powiedział:

- Kochanie, poczekaj na mnie w samochodzie. Zaraz do ciebie przyjdę.

Helen, nim wyszła, podziękowała jeszcze Larze. Key odczekał moment, a potem zwrócił się do Lary:

- Ja się nią zajmę. Nie będzie potrzebowała twojej opieki.

Lara wiedziała, iż w ten sposób traci pacjentkę, ale zdała sobie sprawę, że to cena za umoralniający wykład, jaki wygłosiła Keyowi. Wolała już się nie odzywać, by nie dowiedzieć czegoś, czego mogłaby następnie żałować. Skinęła tylko głową. Chciała zostać sama.

Lecz Key miał jeszcze jednego asa w rękawie .

- Kiedy tu jechałem, usłyszałem coś przez radio. Może cię to zainteresuje. Dzisiaj, późnym popołudniem, zmarła Letty Leonard.

*

Nie tylko Key dowiedział się o śmierci dziecka. Wiadomość dotarła także do Jady. Eden Pass znajdowało się mniej więcej w połowie drogi między Dallas i Shreveport w Luizjanie. W miasteczku Tackettów można więc było odbierać program licznych stacji telewizyjnych i radiowych. Jady zwykle słuchała rozgłośni z Tyler. Znała zresztą osobiście szefostwo tamtejszej stacji. Konserwatystka z natury, nie zamierzała na stare lata zmieniać dotychczasowych upodobań.

Tego popołudnia Jody czuła się wyjątkowo zmęczona. Kolejna kłótnia z Keyem kosztowała ją mnóstwo energii. Nie cierpiała rozmów o zmarłym małżonku. Przygnębiały ją i wprawiały w fatalny nastrój, mimo iż od jego zgonu minęło już ponad dwadzieścia lat.

Po kłótni z synem poszła z jadalni wprost do swego pokoju. Początkowo oglądała telewizję, a potem włączyła radio. Była już w łóżku i prawie zapadła w drzemkę, gdy nagle usłyszała wiadomość o Letty

Leonard.

Natychmiast nastawiła odbiornik głośniej. Spiker opisał pokrótce tragiczne zajście, jakie spotkało dziewczynkę. Dodał, że specjaliści starali się uczynić wszystko co możliwe, by ocalić ranne dziecko. Niestety, wdała się infekcja, której nie przezwyciężył osłabiony organizm Letty. Stanowiło to potworny cios dla rodziców dziewczynki, którzy wierzyli, że Letty wyzdrowieje. Cała informacja trwała ledwie kilkanaście sekund.

Jody wyłączyła radio i wstała z łóżka. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się nim głęboko i zaczęła przechadzać się po pokoju

W przekazie nie wspomniano choćby słowem o Larze Mallory ani o Keyu. Jody znowu poczuła, że nerwy odmawiają jej posłuszeństwa.

Przecież powtarzała Keyowi, że ma się trzymać z dala od tej lekarki. Nie tylko jej nie usłuchał, ale nawet celowo zrobił jej na złość. Jody nie miała zamiaru dopuścić, by Lara Porter wyrosła na lokalną bohaterkę. Teraz jednak dowiedziała się o śmierci dziecka. Nie знаła się wprawdzie na medycynie, ale domyślała się, że infekcji nie spowodowała indolencja Lary Mallory Porter.

Myślała nadal o tym, gdy do pokoju weszła Janellen, by życzyć jej dobrej nocy. Nie przyjęła jej z uśmiechem. Nigdy nie znosiła okazywania ciepłych uczuć. Uważała, iż to w złym guście; że to strata czasu.

Wciąż jednak pamiętała dobrze, jak to mąż przyniósł jej róże, gdy wydała na świat Clarka. Powinna była o tym zapomnieć, kiedy tylko kwiaty przekwitły. Czemu nie potrafiła odegnać od siebie tego wspomnienia? - Dobrej nocy, mamo. Postaraj się trochę odpocząć. Nie pal już dzisiaj. Papierosy ci szkodzą.

Jednakże gdy tylko Janellen wyszła, Jody zapaliła następnego papierosa. Nikotyna pomagała jej myśleć. Często siedziała po ciemku, paląc papierosa za papierosem. Kryła się z tym przed troskliwą córką, Janellen. Co się właściwie działo z jej córką? - zastanawiała się Jody. Ostatnio była jakaś rozkojarzona, zamyślona, wpatrzona bez celu w okno, z osobliwym wyrazem twarzy. Głupstwa wyprowadzały ją z równowagi, co wcześniej się nie zdarzało. Coś ją odmieniło. Może miała kłopoty z hormonami? Zachowanie córki nie irytowało jednak Jody tak bardzo jak wysoki Keya. Był nieznośny już od dzieciństwa. Nawet poród Keya nie odbył się bez problemów - wydawała go na świat w bólach dwadzieścia sześć godzin.

Gdy wreszcie rozległ się jego pierwszy krzyk, w szpitalu zjawił się mąż Jody. Jego ubranie pachniało damskimi perfumami. Jody wściekła się na niego. I pozostał w jej umyśle uraz. Nigdy nie pokochała Keya tak bardzo jak Clarka.

Pragnęła, by Key stał się repliką starszego brata, obaj chłopcy różnili się jednak od siebie. Ciark spełniał życzenia matki, oczekując w zamian aprobaty. Jody stanowiła dla niego najwyższy autorytet.

Key zaś bez przerwy czynił jej na złość. Stał się zaczepny i zawzięty. Uwielbiał wyprowadzać ją z równowagi. Nie został sławnym sportowcem, choć miał ku temu wszelkie warunki. Wolął ryzykować życie niż wypełnić zadania, jakie przed nim stawiała.

W głębi duszy czuła też złość, że samodzielnie, bez jej udziału i pomocy, osiągał w życiu sukcesy.

W gruncie rzeczy - pomyślała Jody - to bardzo dobrze, że został pilotem.

Przynajmniej często przebywał poza domem. Wiedziała - mimo iż Janellen zaprzeczała temu - że wrócił obecnie do Eden Pass, aby być świadkiem jej śmierci. To doprowadzało ją do szału. Udawał troskliwego synalka. Skoro zawsze wszystko miał gdzieś, to powinno tak pozostać. Po co się zgrywać? Jody wiedziała, że i Key, i Janellen uważają, iż ich matka stoi już nad grobem. Widziała to w ich oczach. Nie miała ochoty dawać im tej satysfakcji!

Zaśmiała się złośliwie w ciemności i zaniósła się suchym kaszlem. Przez całe życie zaskakiwała ludzi, zwłaszcza tych, którzy źle jej życzyli. Jody Tackett nie dawała się podejść. Fergus Winston mógł o tym zaświadczyć.

I znowu wybuchnęła śmiechem, który przeszedł w głośny kaszel. Pomyślała, że 'estety nie wynaleziono jeszcze patentu na nieśmiertelność. Nie cierpiała bezradności.

Zakłęła szpetnie pod nosem. Nie była gotowa stawić czoła śmierci. Pozostało jej jeszcze coś do zrobienia. Przede wszystkim musiała doprowadzić do tego, by ta dziwka Porter opuściła na zawsze Eden Pass. Pomyślała, że Clarkowi chyba odbiło, kiedy kupił dla swej kochanki tutejszą praktykę. Na litość boską, o co mu chodziło?

Jody uważała, że póki Lara Mallory Porter pozostaje w Eden Pass, stanowi zagrożenie dla całej rodziny Tackettów. Nie rozumiała, dlaczego Lara się tu przeniósła. Czuła jednak wyraźnie, że chodziło jej o coś więcej niżli tylko

przyjęcie kosztownego podarunku od Clarka. Przecież mogła sprzedać gabinet i wynieść się do innego

miasta, gdzie zarobiłaby znacznie więcej. A więc nie bez powodu trzymała się tak kurczowo Eden Pass, miejsca, którym rządzą Tackettowie. Jody doszła do przekonania, że Lara zastawiła jakąś zmyślną pułapkę na matkę i rodzeństwo Clarka .

Jody Tackett wyrosła w nędzy, ale wyszła za mąż za naj bogatszego mężczyznę w okolicy. W końcu stanęła na czele prężnej firmy, stała się osobą, której wszyscy tu się bali. I nie osiągnęła tego wszystkiego za sprawą głębokich kontemplacji. Działała - szybko i bezwzględnie, nie pozostawiając szans konkurentom, niczym pies myśliwski. Nie jak ratlerek, który najpierw ujada, zanim weźmie się do kłosa.

Sen nadal nie przychodził. Jody długo jeszcze paliła i dumiała. Nim skończyła ostatniego papierosa, wiedziała już, jaki będzie jej następny ruch.

Darcy opuściła szybę w drzwiach samochodu. Wiatr rozwiął jej włosy, lecz oczyścił je także z odoru tytoniowego dymu, jakim przesiąkły w barze. Nie chciała, by Fergus nabrał jakichś podejrzeń. Gdy była jeszcze młoda, matka nie pozwalała jej palić. Wymykała się wtedy wieczorami, odbijając to sobie z nawiązką. Od tamtej pory nocne wypadki weszły jej w krew.

Była teraz wściekła na Keya Tacketta. Uważała, że potraktował ją fatalnie.

Świadomość tego nie dawała jej spokoju, psuła każdą rozrywkę. Postanowiła, iż nie zajmie się żadnym innym facetem, póki nie odplaci Keyowi za jego bezczelność.

Jej obojętność nie wywarła na nim naj mniejszego wrażenia. O dziwo, przestał też zaglądać do miejscowych knajp. Ludzie powiadali wprawdzie, że ostatnio znowu zajął się lataniem, ale przecież nie mógł tego robić każdego wieczora. Jak spędzał wolny czas? Czym się wtedy zajmował?

Czyżby wziął na kiel jakąś inną kobietę? Uszu Darcy nie doszły na ten temat ploteczki. Jeśli ktoś mógł tu wchodzić w grę, to jedynie ...

Darcy podskoczyła na siedzeniu jak oparzona.

- Przecież to niemożliwe - powiedziała do siebie na głos.

Key Tackett i doktor Mallory? Wyczytała gdzieś, że razem polecili z rannym dzieckiem do Tyler, ale ... Tyle że ta pani doktor cieszyła się opinią modliszki. Zabawiała się niegdyś z kochankiem przed nosem swego małżonka. Darcy doszła do wniosku, że sama nie miała na koncie podobnego wyczynu. Choć może, raz czy dwa ...

Wiedziała, iż niektórzy faceci lubią takie ostre kobiety - ryzyko i pikantne sytuacje.

James Bond nie uganiał się za cnotkami.

Zacisnęła mocniej palce na kierownicy. Darcy powiedziała sobie, że jeśli Key Tackett rzeczywiście ma potajemny romans z kochanką swego zmarłego brata, to wszyscy w Eden Pass dowiedzą się o tym. Stanie się publicznym pośmiewiskiem. I dobrze tak lajdakowi.

Plotki winny jednakże kryć w sobie choć ziarno prawdy. Darcy zastanawiała się, jak się przekonać, czy Key istotnie przespał się z Larą Mallory. Nie знаła jej nawet. Ta kobieta ostrożnie dobierała sobie znajomych. Nie była w ciemną bita.

A więc jak ją podejść? Sprawa nie przedstawiała się prosto, ale Darcy była przekonana, że znajdzie jakiś sposób.

Dojechała do domu i weszła na palcach do środka, nie chcąc budzić Fergusa i Heather śpiących na górze. Było już późno. Nie cierpiała leżeć w jednym łóżku z mężem i unikała tego jak się tylko dało. Minęła uchylone drzwi do saloniku i ze zdumieniem przekonała się, że telewizor był włączony. Cofnęła się i weszła do pogrążonego w mroku pokoju. I naraz zorientowała się, że ktoś siedzi na kanapie. Z czyjegoś gardła wyrwał się okrzyk. Na dywanie leżały porozrzucane części garderoby.

Darcy natychmiast zapaliła światło, odwróciła się i groźnym tonem zadała pytanie, na które właściwie znała już odpowiedź:

- Co tu się, do cholery, dzieje?!

12.

Pastor odmówił oklicznośdową modlitwę i polecił duszę Letty Bogu. Płacz klęczącej Marion Leonard odbijał się echem od cmentarnych drzew - żalony i pełen rozpacz. Jack Leonard milczał, lecz i po jego pobladłych policzkach spływały łzy. Objął ramieniem żonę, odciągając ją od trumienki, która na zawsze spoczęła w poświęconej ziemi.

Lara stała na skraju gromadki żałobników. Zmówiła cicho modlitwę i odwróciła się, nie chcąc dłużej patrzeć na tę dramatyczną scenę. I naraz flesz aparatu fotograficznego błysnął jej prosto w oczy. Instynktownie zasłoniła twarz ramieniem. Reporterzy atakowali ją jednak ze wszystkich stron .

- Pani Porter, czy nie boi się pani, że państwo Leonard mogą wytoczyć pani proces?

- Co takiego?

Ktoś przystawił jej do ust mikrofon. Lara odepchnęła go na bok.

- Nie wiem, o czym mówicie. Poza tym nazywam się Mallory.

Dziennikarze twardo stali na jej drodze. Skręciła w lewo, lecz gromada reporterów natychmiast za nią podążyła. Połyszała terkot kamer telewizyjnych. Nie ustawał też trzask dziennikarskich aparatów. Pięć lat temu znalazła się w podobnej sytuacji ..

Co oni tu robią? - dziwiła się. Czego od niej chcą? Czuła, że dawny koszmar powrócił.

- Proszę pozwolić mi przejść.

Zerknęła do tyłu i spostrzegła, że reporterzy wymieniają między sobą gorączkowe uwagi. Wbrew własnej woli ponownie stała się gwiazdą żenującego spektaklu.

- Pani Porter. ..

- Nazywam się Mallory - powtórzyła z naciskiem. - Lara Mallory.

- Była jednak pani żoną zmarłego ambasadora, Randalla Portera.

Pobiegła przez trawnik ku żwirowej ścieżce. Stamtąd mogła już dostrzec swój wóz, zaparkowany obok karawanu.

- Jest pani tą samą Larą Porter, która była kochanką senatora Tacketta, prawda?

- Odsuńcie się, proszę. - Sięgnęła do kieszeni po kluczyki. - Zostawcie mnie w spokoju!

- Dlaczego przybyła pani do Eden Pass, pani Porter?

- Czy to prawda, że senator Tackett ściągnął tu panią przed swoją śmiercią?

- Czy byliście wtedy jeszcze kochankami?

- Co pani wie na temat okoliczności jego zgonu, pani Porter? Czy to naprawdę było samobójstwo?

- Czy dziewczynka Leonardów zmarła, gdyż nie udzieliła jej pani właściwej pomocy? Przywykła w przeszłości do natarczywych, chamskich nagabywań reporterów.

Wiedziała, że najlepiej puszczać je mimo uszu. Ostatnie z tych pytań wytrąciło ją jednak z równowagi.

- Słucham? - Spojrzała w oczy młodej dziennikarce, która zapytała ją właśnie o Letty. - Co pani powiedziała?

- Czy to z powodu pani zaniedbania wdała się infekcja, która spowodowała śmierć dziecka?

- Nie!

- Przecież udzielała jej pani pierwszej pomocy.

- Zgadza się. I zrobiłam wszystko, by ocalić jej życie.

- Jednak Leonardowie są najwyraźniej innego zdania, skoro chcą pozwać panią przed sąd.

Gdyby nie doświadczenie nabyte w podobnych sytuacjach, Lara zapewne straciłaby panowanie nad sobą. Teraz jednak spojrzała jedynie chłodno na reporterkę, nie zdradzając uczuć, jakie nią targały. Z kamienną twarzą odpowiedziała:

- Uczyniłam wszystko dla uratowania Letty Leonard. Jej rodzice z pewnością są tego świadomi. Nie dostałam żadnego wezwania do sądu, jak do tej pory. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Naturalnie hieny prasowe nie przyjęły do wiadomości ostatniego zdania. Nawet kiedy odjeżdżała już samochodem, dziennikarze wciąż biegli za nią, wykrzykując pytania i wyciągając mikrofony. Lara mocno uchwyciła spoconymi dłońmi kierownicę i patrząc wprost przed siebie nacisnęła pedał gazu.

Był gorący poranek. Upał nie dał jej się jednak we znaki aż do momentu, kiedy obstarpił ją natarczywi reporterzy, wywlekając sprawy z przeszłości. Obecnie całe ubranie przylegało wilgotne do skóry, dokuczał jej ból głowy, a serce biło niepokojąco szybko. Poczula mdłości.

Co wywołało to nagłe zainteresowanie mediów jej osobą? Wcześniej prasa jakoś nie zwróciła uwagi na jej przeprowadzkę do Eden Pass. Przez rok żyła we względnym spokoju. Przecież codziennie wybuchały jakieś skandale, dowiadywano się o rozmaitych aferach. Wydawało się, że historia Lary Porter i senatora Tacketta poszła w zapomnienie.

Aż do dzisiejszego poranka. Wraz ze śmiercią Letty Leonard powrócił dawny koszmar. Znowu oczy wszystkich skierowały się na nią.

Wypadek Letty był zdarzeniem o lokalnym rozgłosie. Najwyraźniej ktoś dopomógł skojarzyć learkę z Eden Pass z Larą Porter, kochanką senatora Tacketta.

Gdyby tylko mogła, uczyniłaby wszystko, by jej nazwisko nie trafiło więcej na stronie gazet. Było to jednak marzenie ściętej głowy. Pisano o niej ponownie i znowu jako o kobiecie winnej nieszczęścia.

Dotychczas nie zdarzyło się, żeby ktokolwiek podważał jej kwalifikacje zawodowe. Uszczerbku doznawała jedynie osobista reputacja Lary. A teraz, jeżeli nawet Leonardowie tylko grozili pozwaniem jej przed sąd, musiała się liczyć z nieprzyjemnościami. Wystarczy, że któryś z jej byłych pacjentów dostanie

kataru... a stanie się to pożywką dla nowych szemranych wieści . Małomiasteczkowa społeczność zwykle stawia znak równości między podejrzanym i winnym.

Kariera zawodowa - jedyne, co jej pozostało - stanie więc pod znakiem zapytania.

Być może dojdzie do naj gorszego: zmuszą ją do zaprzestania praktyki.

Tak, ktoś niewątpliwie podszeptał dziennikarzom, że doktor Mallory to nikt inny, tylko ta sławna ladaczniczka - Lara Porter.

Tak jak się obawiała, następna grupa reporterów czekała już na nią na parkingu koło kliniki. Gdy wysiadła z wozu, natychmiast rzucili się w jej kierunku. Przepchnęła się przez tłumek ku drzwiom, które Nancy trzymała dla niej uchylone.

- Co się dzieje, u licha? - zapytała pielęgniarka, zamykając za Larą drzwi.

- Rozeszła się pogłoska, że Leonardowie chcą mi wytoczyć proces.

- Czy oni zwariowali?

- Z pewnością. Z rozpaczy.

- Ci ludzie - Nancy miała teraz na myśli reporterów kłębiących się na zewnątrz, - o ile w ogóle można ich nazwać ludźmi ... Otóż zwalili się tu przed godziną i zaczęli łomotać do drzwi. Nie wiedziałam, o co chodzi. Telefon dzwoni bez przerwy.

Jakby na potwierdzenie tych słów odezwał się znowu.

- Nie odbieraj.

- Co mam zrobić, doktor Mallory?

- Wezwij szeryfa Baxtera i poproś go, żeby usunął stąd tych dziennikarzy.

- Czy będzie mógł to uczynić?

- Może nakazać im opuścić teren, który jest moją własnością. Niech sobie sterczą na ulicy. Przez następnych kilka dni będzie tu coś w rodzaju oblężenia. Może powinnaś wziąć tydzień urlopu?

- Mowy nie ma. Nie zostawię pani samej.

Lara zdjęła żakiet. Nancy dostrzegła plamy potu na jej ubraniu.

- Nigdy dotąd nie widziałam, żeby się pani pocila ...

- To z nerwów. Dopadli mnie na cmentarzu.

- Hieny ... szakale.

- Zdecyduj się. Hieny czy szakale? - Mimo wszystko poczucie humoru dopisywało jeszcze Larze.

- Co za różnica? Padlinożercy. Może powinnam zadzwonić po Clema. Przyszedłby ze strzelbą i rozgonił całe towarzystwo.

- Dzięki, ale nie rób tego. Wiesz, jak po czymś takim obsmarowaliby mnie w gazetach? - spytała Lara i wyraźnie posmutniała. - Dla nich przestałam już być małomiasteczkową lekarką i na powrót zostałam Larą Porter, mężatką, kochanką Clarka Tacketta.

- Ohyda i łajdactwo z ich strony. Tak mi przykro.

- Będę potrzebowała teraz przyjaciół. - Lara westchnęła z konsternacją.

- Właściwie nie ukrywałam się przed nikim, ale nie chciałam, by powszechnie było wiadomo, gdzie przebywam. Ktoś mi się przysłużył. Nie wierzę w przypadki.

- Coś mi się zdaje, że ktoś z klanu Tackettów puścił farbę.

Lara zerknęła bystro na pielęgniarkę.

- Czyżby Key?

Nancy pokręciła głową.

- To nie w jego stylu. Prędzej już pani starsza. Stopniowo ludzie zaczynają panią akceptować, a ona nie może tego znieść. Jody pewnie usłyszała o śmierci tego dziecka, wiedziała, że pani udzieliła mu pierwszej pomocy, i skorzystała z okazji, żeby puścić trochę smrodu.

- Mogła to zrobić zaraz po tym, jak sprowadziłam się do miasteczka.

- Wyszłoby na jaw, że to Clark ściągnął tu panią. A Jody ubóstwiała swego starszego syna. Nie chciała działać przeciw niemu. Teraz jednak Clark zniknął już ze sceny.

Słowa Nancy brzmiały sensownie i przekonująco. Lara ruszyła w stronę gabinetu zabiegowego.

- Wątpię, czy zjawią się tu dzisiaj jacyś pacjenci, ale zawołaj mnie w razie czego - powiedziała.

Zaciągnęła na oknach zasłony, nie chcąc patrzeć na trawnik zdeптany butami dziennikarzy. Potem usiadła przy biurku. Od tamtej historii w Wirginii Lara bardzo się zmieniła. Dojrzała i stała się mocniejsza. Teraz nie miała zamiaru skapitulować bez walki. Sięgnęła po słuchawkę i wybrała numer.

*

- Panno Janellen?

- Bowie! Co ty tu robisz?

Siedziała przy kuchennym stole, gapiąc się na słuchawkę telefonu, którą przed chwileczką odłożyła. Bowie wsunął głowę przez uchylone drzwi. Gestem zaprosiła go do środka.

- Zdaje się, że zawsze zjawiam się w najmniej odpowiedniej chwili. Nie chciałem przeszkadzać. - Wszedł rozglądając się niepewnie na boki. - Pokojowa kazała mi wejść od kuchni. Jeśli nie w porę ...

- Nic się nie stało. Po prostu zaskoczył mnie twój widok tutaj.

- Najpierw poszedłem do biura, potem do magazynu. Tam powiedzieli mi, że dzisiaj skończyła pani wcześniej.

- Matka się czuła źle, zanim wyszłam do pracy. Martwiłam się o nią.

Jak zwykle w obecności Bowiego plątał jej się język. Wskazała mu jedno z krzesel.

- Usiądź. Właśnie miałam zrobić sobie herbaty. Życzysz sobie?

- Herbaty? - Spojrzał podejrzliwie na czajnik, z którego buchała para. - Gorącej? Na dworze jest piekielny skwar.

- Wiem o tym, ale ... Och, po prostu lubię herbatę - wyjaśniła wzruszając przy tym ramionami. - Herbata wyszczupla.

- Mogę w to uwierzyć na słowo.

- W takim razie może czegoś innego? Lemoniady? Piwa? Key zawsze trzyma piwo w lodówce.

- Nie, dziękuję. Poza tym nie mogę usiąść. Jestem brudny.

Dla niej wyglądał cudownie. Nie zauważyła nawet, że jego koszula i spodnie uwalane były smarem, póki nie zwrócił jej na to uwagi. Kapelusz Bowiego był szary od kurzu. Brudne, rękawice robocze zatknął za pas.

- Nie bądź niemądry - powiedziała Janellen. - Mama zawsze kazała pracować mpim braciom podczas wakacji. Przychodzili do domu brudni i cuchnący ... To znaczy, nie chciałam robić żadnej aluzji... - wyjaśniła pośpiesznie. - Po prostu ta kuchnia to miejsce, gdzie można odpocząć po pracy.

Zdała sobie sprawę, że wygaduje straszne głupstwa, i ugryzła się w język.

- Z pewnością przyszedłeś o czymś ze mną porozmawiać, więc usiądź, proszę.

Po chwili wahania przysiadł na brzegu krzesła.

- Chcesz się czegoś napić? - powtórzyła.

- Chyba lemoniady - odpowiedział i odchrząknął.

Wypił jednym duszkiem i zauważył:

- Kiedy przyszedłem, była pani zamyślona.

- Miałam właśnie bardzo dziwny telefon - odrzekła ogólnikowo, nie wiedząc, czy powinna rozmawiać z nim na ten temat.

Patrzył na nią cierpliwie. Stwierdziła wreszcie, że ulży sobie i dzieląc się z kimś obliwymi nowinami.

- Czy słyszałeś historię o tej dziewczynce z Eden Pass, która została ranna w wypadku?

- Podobno umarła?

- Tak. Dzisiaj odbył się jej pogrzeb. Co za tragedia. - Urwała na moment i dodała: - Otóż lekarka, która opatrzyła jej ranę i zabrała do Tyler. ..

- Doktor Mallory? - wtrącił.

- Owszem. No więc ona ... Ona przed chwilą tu dzwoniła. Ona kiedyś była ... To znaczy, mój starszy brat...

- Wiem .

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, rada, że nie musi wdawać się w szczegóły.

- To rozumiesz pewnie, jak my się czujemy, mając ją tu, pod samym nosem, w Eden Pass.

- Jak to?

Nie spodziewała się takiego pytania i przez chwilę nie potrafiła znaleźć słów.

- Ponieważ z jej osobą związane są wspomnienia bardzo dla nas przykre ...

- Ach, tak.

Wyglądało na to, że nie jest do końca przekonany. Poczuli się więc w obowiązku dorzucić:

- Lara Porter zniszczyła karierę Clarka. Był znanym politykiem.

Bowie przechylił na bok głowę i podrapał się po karku. Zmrużył jedno oko i powiedział:

- Ona nie wygląda na czarownicę. Nie wyobrażam sobie, by mogła do czegoś zmusić pana Tacketta.

Czyżby rozebrała go do naga i na siłę wciągnęła do łóżka?

Janellen nieraz nad tym rozmyślała i doszła do podobnych wniosków, tyle że chowała je dla siebie.

Gdyby podzieliła się nimi z Jody, pewnie musiałyby poszukać sobie innego dachu nad głową.

Teraz roztropnie uznała, że należy zmienić temat rozmowy.

- W jakiś sposób dzienniki dowiedziały się, że Lara Porter mieszka w Eden Pass i podpisuje się

nazwiskiem Mallory. Zdaje się, że reporterzy poznali ją dzisiaj na pogrzebie. Musiała wezwać szeryfa, gdyż oblegali jej dom.

Bowie cmoknął z niesmakiem.

- Wyobrażam sobie, że zachowywali się paskudnie.

- Chyba tak. Zjechała się ich cała chmara. Podobno Leonardowie to jest rodzice tej biednej dziewczynki, chcą pozwać Larę Mallory Porter do sądu - rzekła Bowie i zaczerpnęła powietrza, nim dodała: - Otóż Lara Porter uważa, że to wszystko sprawka mojej matki.

- A czy to prawda?

- No ... naturalnie, że nie.

- Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

Odruchowo dotknęła czubkami palców ust a potem guzików przy bluzce. Wreszcie położyła dłoń na blacie stołu, blisko filiżanki z herbatą.

- Bo właściwie do końca sama nie jestem przekonana - przyznała. - Doktor Mallory zadzwoniła, żeby porozmawiać z moją matką. Maydale ... to znaczy służąca, odpowiedziała, że mama odpoczywa. Wtedy ta lekarka uparła się, by zawołać kogokolwiek z rodziny. - Zaczęła obracać w dłoniach solniczkę. - Szkoda, że nie było Keya. On jest niezły, kiedy trzeba się komuś postawić. Już wiedziałyby, co jej odpowiedzieć.

- A co pani odpowiedziała?

- Odrzekłam, że jej obecne kłopoty z pewnością nie wynikły za sprawą mojej rodziny.

- I uwierzyła w to? - spytał sceptycznie.

- Stwierdziła, że wie, iż ja nie mogłabym być taka złośliwa, nie ma natomiast pewności co do mej matki i brata. - Janellen ściszyła głos i dodała: - Nie mieści mi się w głowie, że oni mogliby się zdobyć na coś podobnego.

Popatrzyła przez moment w okno, a potem znowu zwróciła się do swego gościa: -

Przepraszam, Bowie. Nie miałam zamiaru zabierać ci czasu opowieściami o rodzinnych kłopotach. Co cię tu do mnie sprowadza?

Wzruszył ramionami.

- Nic takiego. Właściwie wcale nie chciałem zawracać pani tym głowy - powiedział bawiąc się kapeluszem. - Czy nie zauważyła pani niczego dziwnego przy szybie numer siedem?

- Nie. A powinnam?

- Pewnie nie, ale coś nie daje mi spokoju. Ten szyb dobywa jakoś mało gazu i ropy. Przynajmniej moim zdaniem.

- Tak to już jest. Raz trafi się na bogate złoża, a raz na gorsze.

- No tak, wiem. Trochę zależy od doświadczenia, a trochę od szczęścia. Zupełnie jak z kobietami.

Oboje pochylili się jednocześnie, by podnieść łyżeczkę, która spadła ze stołu.

Janellen obląła się rumieńcem, ale nie przerwała rozmowy. Chodziło przecież o sprawy zawodowe.

- Jakie mamy tam dzienne wydobywanie?

- Dwieście tysięcy metrów sześciennych. Uważam, że powinno być wyższe.

- Zakładamy, że cztero- czy pięcioprocentowy uszczerbek to jeszcze nic takiego, Bowie. Nawet dochodzący do dziesięciu procent.

Potał czoło i stwierdził stanowczo:

- Ale straty są znacznie większe. I to na najbardziej roponośnym polu.

- Skąd o tym wiesz?

- Przeglądałem dokumentację.

Poczuła, że rozpiera ją duma. Zatrudniła człowieka, który robił więcej, niż odeń wymagano. Miała więc rację dając mu pracę.

- Nie wiem, co ci odpowiedzieć, Bowie. Szyb sódmy wydobywa mniej więcej tyle, ile zakładano.

- Wcześniej wspominałem o tym majstrowi, ale on tylko machnął ręką. Firma ma straty i nikt nie wie dlaczego.

- Tak, tak ... - powiedziała cicho, wpatrując się w swoją filiżankę. Po dłuższej chwili milczenia uniosła głowę. - No właśnie ... Nie mogę się skupić. Cały czas myślę o rodzinie tamtej dziewczynki. Jej ojciec prał nasze ubrania w swojej pralni. Sympatyczny, miły człowiek. Wiem, co czuje ... Czułam się tak samo, kiedy utonął Clark. Myślałam wtedy, że matka nie przeżyje utraty syna ...

- Nie mam dziecka, ale gdybym miał, to nie wiem, czy zniósłbym jego śmierć. Janellen spojrzała na niego uważniej. Powiedział, że nie ma dziecka. Zastanawiała się jednak, czy może ma za sobą małżeństwo.

Miała ochotę wypytać go o tysiące rzeczy bardziej osobistej natury. Ciekawiło ją też, gdzie tak dobrze

zdołał poznać ludzi. Posiadał osobliwą umiejętność przenikania wzrokiem pod maski. Trudno było przed nim cokolwiek ukryć.

Miał wyczułone instynkty. Spytała go więc:

- Bowie, czy sądzisz, że doktor Mallory dopuściła się czegoś, co spowodowało śmierć dziewczynki?
- Nie wiem zbyt wiele na temat medycyny. W każdym razie lekarze dotąd nie znają dobrego leku na przeziębienie ani na kaca.

Uśmiechnęła się.

- Widziałam Larę Mallory tylko raz - rzekła. - Sprawiała na mnie wrażenie osoby ... niezwykle zrównoważonej.

Pomyślała ze smutkiem, że sama trochę zazdrości tego opanowania kochance swego zmarłego brata. Nie dziwiła się właściwie Clarkowi, że zaryzykował karierę dla Lary Porter. I nie chodziło tu wyłącznie o jej urodę. W oczach Lary kryła się także inteligencja, współczucie i pewność siebie.

Janellen wyobrażała ją sobie zupełnie inaczej - jako wyzywającego kociaka, rzucającego na mężczyzn tajemniczy urok, zniewalającego ich jednym spojrzeniem. Okazało się, że tak nie było.

- Nie wierzę, że ona winna jest jakiegoś zaniedbania - rzekła Janellen zaskakująco stanowczo. - Wiem, powinnam jej nienawidzić, ale ...

- A kto tak powiedział?

- Moja matka.

- Czy zawsze pani słucha we wszystkim matki? A może czasem nie zgadza się z nią pani?

- Rzadko - przyznała niczym małe dziecko. Pomyślała, że Bowie straci dla niej resztkę szacunku.

Telefon od Lary Mallory bardzo wytrącił ją z równowagi. Nie potrafiła tego ukryć.

Oparła łokieć na stole i podparła podbródek dłonią.

- Och, Boże - westchnęła. - I po co Clark wdał się z nią w romans? Gdyby nie to, zostałby wybitnym politykiem, tak jak chciała tego mama. Żyłby nadal. Mama byłaby szczęśliwa. A ja ...

Ugryzła się w język. Nie chciała przyznawać, że gdyby sprawy potoczyły się inaczej, to ona sama nie musiałaby teraz walczyć o zgodę w rodzinie. Poza tym czy tak łatwo patrzeć na szczęście innych, gdy samemu cierpi się samotność? Wiedziała, że nie.

Wspomniała tamten późny wieczór, gdy zapukała do drzwi zapłakana dziewczyna, pytając o Keya. Odtąd on i Jody już się nie kłócili - ale dlatego, że po prostu wzajemnie się unikali. Key na pytania matki odpowiadał monosylabami. Zajmował się Bóg wie czym - pewnie sprawami, o których Janellen wolała nawet nie myśleć. Snuł się po domu z ponurą miną. Czuł się w nim źle i uciekał, kiedy tylko miał okazję. Jakby mało było trosk ... Teraz doszła jeszcze sprawa tej Lary Mallory. Łzy pociekły po policzkach Janellen, nim zdała sobie sprawę z tego, że płacze.

- Hej, co się stało?

Poczuła na twarzy opuszki jego palców. Uniosła wzrok i spojrzała na Bowiego, zdumiona bezgranicznie. On nawet się nie poruszył. Patrzył na jej dłoń, to znów prosto w oczy. Ona zaś siedziała jak skamieniała, lecz w ciele poczuła ogień - coś, czego jeszcze nigdy dotąd nie zdarzyło jej się zaznać. Chciała przycisnąć dłonie do piersi, by stłumić niespodziewaną falę podniecenia.

Straciła rachubę czasu. Nie wiedziała, jak długo patrzyli tak sobie w oczy.

Zniewoliło ją smutne spojrzenie Bowiego, ciepło jego dłoni wilgotnych od jej łez. Naraz ciszę przerwał odgłos nadjeżdżającego samochodu Keya.

Janellen natychmiast zerwała się z krzesła i odwróciła się ku drzwiom, by powitać brata.

- Cześć, Key! - zawołała głosem nienaturalnie wysokim i drżącym - Co tu robisz?

- Myślałem, że nadal tu mieszkam.

Key obrzucił oboje ciekawym spojrzeniem. Janellen miała nadzieję, że Bowie lepiej od niej skrywa swe uczucia. Jej twarz bowiem płonęła. Serce waliło jak szalone, a krew pulsowała w żyłach.

Key wyjął piwo z lodówki.

- Witaj, Bowie - powiedział. - Chcesz piwa?

- Nie, dziękuję.

Janellen wyjaśniła:

- Już mu proponowałam, ale wolał lemoniadę.

- Właśnie wpadłem do panny Janellen, żeby

- Bowie uważa, że szyb numer siedem dobywa za mało ropy

- Może się mylę, ale ...

- Uznał, że powinniśmy wiedzieć, na wypadek gdyby ...

- No więc powiedziałem o tym pannie Janellen i ...

- ... no i akurat o tym rozmawialiśmy - dokończyła pośpiesznie.

- Rozumiem - stwierdził rozbawiony Key otwierając piwo. Wziął solidny łyk.

- Cóż, najwyraźniej przeszkodziłem wam w tej ... konferencji.

- Nie, skądże znowu - Bowie chwycił kapelusz, jakby stanowił on dowód przestępstwa. - Właśnie miałem wyjść.

- Tak jest. Bowie chciał się ze mną pożegnać, kiedy przyjechałeś. Ja ... Odprowadzę go do wyjścia. Unikając wzroku obu mężczyzn, podbiegła do drzwi i otworzyła je szeroko przed Bowiem. Bała się spojrzeć na niego nawet wtedy, gdy ją mijał.

- Dziękuję za informację, Bowie - powiedziała tylko. Założył kapelusz i odrzekł:

- Pomyślałem, że warto się tym zainteresować. Chodzi przecież o wasze pieniądze.

- Zajmę się tym.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - odezwał się nagle Key.

Na dźwięk jego głosu Janellen obróciła się raptownie. Key stał w nonszalanckiej pozie i popijał piwo.

- Co nie jest dobrym pomysłem? - zapytała.

- A to, żebyś sama sprawdzała, jak pracują szyby.

- Czemu?

- O Tackettach piszą dzisiaj w gazetach.

- No i co z tego?

- Ano to, że dziennikarze zaczną biegać po Eden Pass jak mrówki po piknikowym cieście. Jak nie wyciągną nic ode mnie ... a nie wyciągną, to zaczną cisnąć ciebie. Bowie, pilnuj jej, dobra? - zwrócił się do przybysza. - Jeśli ona wybierze się na pola naftowe, to idź razem z nią.

Bowie zerknął zmieszany na Janellen.

- Bez obrazy panie Tackett, ale to panna Janellen tu szefuje.

- Szefuje czy nie, zrób mi tę przysługę. Proszę cię o to jako jej brat.

I znowu oczy Bowiego powędrowały ku Janellen. Wyglądała jak ktoś, kto stoi na rozżarzonych węglach.

- Dobrze, panie Tackett - powiedział w końcu.

- Mów mi Key.

- Oczywiście. Cóż, żegnam się.

Pospieszył do ciężarówki i odjechał. Wyglądał na ocalałego z pogromu. Janellen zwróciła się do brata:

- Nie potrzebuję opiekuna!

- Mylisz się - odparł nieporuszony. - Ja się nie nadaję do tej roli. Mogłbym uszkodzić jakiegoś nadgorliwego pismaka i gazety znowu miałyby o czym pisać.

Miała -mu za złe, że wydał polecenie jej pracownikowi, w dodatku w taki sposób, jakby ona sama nie potrafiła zadbać o swoje sprawy. Po części miał jednak rację. Czasem brakło jej refleksu w dramatycznych sytuacjach. Kiedyś, przed laty, wróciła zapłakana z randki. Key o mało nie udusił jej chłopaka - Bogu ducha winnego, gdyż Janellen wzruszył wtedy do łez obejrzany w kinie film.

Wiedziała, że zależy mu na niej. Uspokoila się więc nieco.

- Co za okropny dzień - stwierdziła. - Niedawno zadzwoniła tu Lara Mallory. Chciała rozmawiać z mamą. Doktor Mallory sądzi, że mama przekazała mediom wieść o tym, że była kochanka Clarka mieszka obecnie w Eden Pass.

Key roztarł dłonią kark.

- A niech to ...

- Jesteś zaskoczony?

- Nie. Dziwi mnie tylko jedno: fakt, że ja i ta lekarka zaczynamy myśleć podobnie. Mnie też się zdawało, że Jody maczała w tym palce. Dziennikarze nie wiedzieli, iż to właśnie sławna dawniej Lara Porter uratowała życie dziewczynce Leonardów. Ktoś wyraźnie otworzył im oczy. - Wymownie spojrzął w sufit. Na piętrze znajdował się pokój Jody. - Przebiegła suka.

- Nie mów w ten sposób o matce!

- To miał być komplement. Nie można odmówić jej chytryści.

Wzburzona Janellen rzekła:

- Key, byłeś przecież przy tym. Widziałeś wszystko. Czy doktor Mallory popełniła jakiś błąd? Czy Leonardowie mają podstawy, żeby wytoczyć jej proces?

- Pilotowałem helikopter, ale wydawało mi się, że ona robiła wszystko, by uratować dziecko. Śmierć dziewczynki nie nastąpiła z jej winy. Tragiczne przypadki zdarzają się zawsze i wszędzie. Poza tym ... Leonardowie nie wyglądali mi na mściwych. Są dobrymi chrześcijanami.

- A więc dziwi cię, że szukają kozła ofiarnego, winnego śmierci ich dziecka?

- Właśnie. Nie wiem, kto rozpuścił te pogłoski o procesie: Jody czy ktoś inny. Lara idealnie nadaje się na ofiarę ...

Zobaczył zdziwienie w oczach Janellen i spytał:

- O co chodzi?

- Powiedziałeś o niej: Lara. Dziwnie to zabrzmiało.

Zawahał się, po czym stwierdził nerwowo:

- To przecież jej imię, no nie?

Janellen przełknęła ten banał, ponieważ dręczyło ją wiele innych spraw.

- Ona była wściekła, Key. Kazała powtórzyć mamie i tobie, że nie da się wywieźć na taczkach z miasteczka tak jak kiedyś. Co ona miała na myśli?

- Chyba fakt, że wysłano ją z Randallem Porterem na Montesangre - zmarszczył czoło. - Wbiła sobie do głowy, że to była sprawka Clarka. Wiesz, niby synekura, a w rzeczywistości rodzaj zesłania.

- Wierzysz jej? - Janellen nie była w stanie ukryć zdumienia. - Czy Clark mógł obyć się na taką podłość?

- Podłość to mocne słowo, ale nasz starszy braciszek znakomicie wywijał się z wszelkich kłopotów.

- A tego kłopotu nie umiał pozbyć się do końca, prawda?

- Prawda - przyznał wolno Key. - Lara to chodzący wyrzut sumienia.

- A więc popierasz to, co mama uczyniła? Jeśli to rzeczywiście jej robotą ...

- Nie. Chciałbym, żeby Lara Mallory wyniosła się z Eden Pass, ale nie zamierzam jej do tego zmuszać.

Myślę, że w końcu sama wpadnie na to, iż nie ma tu dla niej miejsca. No, ale znasz Jody. - Jeszcze raz zerknął w górę. - Ona nie pozwala toczyć się rzeczom ich naturalnym trybem. Jeżeli coś dzieje się wbrew jej planom, zaczyna odgrywać Boga.

- Proszę, nie krytykuj jej, Key. Ona jest chora. Czy nie mógłbyś namówić jej na wizytę u lekarza?

Wybuchnął śmiechem.

- Myślisz, że to coś da? Dobra, spróbuję. Rzeczywiście powinna przejść gruntowne badania ... Obawiam się jednak, że prędzej posłucha ciebie niż mnie, siostrzyczko.

Ucisnął Janellen, a potem ruszył ku schodom, z piwem w dłoni.

- Wychodzisz, Key?

- Kiedy tylko wezmę prysznic.

- Spotkasz się z Helen Berry?

Stanął jak wryty i odwrócił głowę.

- A dlaczego pytasz?

Janellen dostrzegła, że spał się w sobie. Wyglądał teraz dosyć groźnie. Nic dziwnego, że ludzie czasem się go bali.

- Helen chodziła z Jimmym Bradleyem. Ludzie mówią, że ... - urwała i zwilżyła językiem wargi że ostatnio z nim zerwała. Zupełnie niespodziewanie.

- No więc ... ?

- Och, Key - jęknęła. Zebrała się na odwagę i zapytała: - Dlaczego? Dlaczego mając wokół tyle kobiet, wybrałeś akurat ją? Helen jest od ciebie dwa razy młodsza.

- Uważaj, Janellen. Jak zaczniesz grzebać w moich prywatnych sprawach, to ja zacznę grzebać w twoich.

- Przestąpił z nogi na nogę i ściszył głos do teatralnego szeptu. - Na przykład mógłbym zapytać, co cię łączy z Bowieem Cato.

Poczuła skurcz w żołądku.

- Zupełnie nic!

- Tak? To skąd te dziecinne wyjaśnienia, którymi zasypaliście mnie, kiedy wszedłem do kuchni?

Zachowywałem się tak samo, gdy tatuś Drendy Larson przyłapał mnie ze swoją córeczką w stodole.

- Bowie to mój pracownik. Rozmawialiśmy o problemach firmy.

- No dobra, powiedzmy, że uwierzę - odrzekł Key i uśmiechnął się wyrozumiale. - Jeśli uwierzysz, że ja i Drenda Larson szukaliśmy wtedy igły w słomie.

*

Złe przeczucia Lary sprawdziły się.

Przez tydzień po pogrzebie Letty Leonard dziennikarze nie dawali jej spokoju. Tyle że nikt nie zaczepiał jej w okolicach domu. Szeryf Baxter wypełnił swoją powinność i dopilnował, by reporterzy nie stąpali po gruncie należącym do Lary. Czowała się trochę jak w więzieniu. Cały czas mogła dostrzec za oknem gromadkę ludzi z aparatami fotograficznymi, którzy czatowali na nią na ulicy.

Stopniowo jednakże informacje na jej temat, odgrzebane historie o jej romansie z Clarkiem Tackettern, senatorem ze stanu Teksas, zajmowały na antenie coraz mniej czasu, schodząc na dalszy plan.

Rozgłośnię znalazły sobie ciekawsze tematy.

Flesze reporterskich aparatów oświetlały też Leonardów, ci jednak rezolutnie wynajęli sobie adwokata, który rozmawiał w ich imieniu: młodego absolwenta wydziału prawnego. Ten nie dawał się podejść sprytnym dziennikarzom. Powtarzał uparcie, że jego klienci nie mają zamiaru wypowiadać się publicznie na temat okoliczności śmierci córki.

Lara nie przestawała rozmyślać o tamtym feralnym dniu, kiedy lecieli z Letty do Tyler. Zastanawiała się, czy mogła gdzieś popełnić błąd w sztuce. W końcu utwierdziła się w przekonaniu, że każdy doświadczony lekarz na jej miejscu działałby tak samo. Dla spokoju sumienia zadzwoniła nawet do doktora, który przyjął ranną Letty w szpitalu w Tyler. Zapewnił ją o swym poparciu i obiecał, że jeśli dojdzie do procesu, to będzie na . nim zeznawał na jej korzyść.

Dni mijały, a adwokat Leonardów jakoś nie kontaktował się z Larą. Zaczęła przypuszczać, że cały proces to zwyczajna plotka. Kto ją mógł rozpuścić? Jedyne Tackettowie. Wydzwaniła do nich, lecz ci nie chcieli z nią nawet rozmawiać. To tylko pogłębiało jej frustrację. Jody Tackett była albo rzeczywiście zbyt chora, by podejść do telefonu, albo też celowo dawała odczuć swą wyższość.

Larze przyszło przekazywać uwagi Janellen bądź gospodyni Tackettów. Z Keyem nie miała okazji rozmawiać od dnia, gdy zjawił się u niej z Helen Berry. Pewnie uważał że Lara stroi sobie żarty mówiąc, że chce wrócić na Montesangre. Ona jednak nie zmieniała postanowienia ani na jotę. Tyle że chwilowo przyszło jej rozwiązywać inne, bieżące problemy.

Tego ranka obudziła się, jak zwykle ostrożnie wyjrzała przez okno. Dziennikarze wykruszyli się - w nocy odjechał ostatni wóz transmisyjny. Narobili jej jednak złej sławy i w gabinecie nie zjawił się żaden pacjent. Trudno było w tej sytuacji patrzeć optymistycznie w przyszłość. Lara i Nancy udawały, że się czymś zajmują, porządkowały po raz kolejny papiery i recepty, ale nie można było tego nazwać inaczej, jak zabijaniem wolnego czasu.

Wczesnym popołudniem Lara straciła w końcu cierpliwość. Wyszła z gabinetu, by powiedzieć Nancy, że może dziś wcześniej iść do domu. O dziwo, Nancy rozmawiała z kimś w poczekalni.

- Chciałabym natychmiast widzieć się z panią doktor. Wiem, nie zgłosiłam wizyty, ale jakoś nie widzę, żebyście tu miały nadmiar pacjentów.

Lara poznała ten ostry, protekcyjny głos. Głos, który mógł należeć jedynie do Darcy Winstan.

13.

- W czym mogę pomóc?

Gdy Lara przemówiła, Darcy zwróciła się w jej stronę. Nie wyglądała tak imponująco jak na podium w auli szkolnej. Miała zmarszczki koło oczu i bruzdy na czole. Widać było, że znała się wybornie na makijażu, ale nic nie mogło ukryć charakterystycznego zgorzknienia. Nocne życie także odcisnęło swoje piętno.

Lara starała się jednak nie mieć uprzedzeń. Słyszała to i owo o Darcy Winston, teraz jednak uprzejmie uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę i powiedziała:

- Witam panią, pani Winston. Jestem Lara Mallory.

Darcy uniosła jedną z wyregulowanych brwi i obrzuciła Larę ciekawskim spojrzeniem. Pewnie zastanawiała się, ile wie o niej ta "przybłąda".

Lara zwróciła się do dziewczyny stojącej obok matki:

- A ty masz na imię Heather, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Miło cię poznać, Heather.

- Dziękuję•

- Przyszłam tutaj z powodu Heather - wyjaśniła Darcy.

- Ach, tak? W czym tkwi problem?

- Chciałabym, żeby przepisała jej pani pigułki antykoncepcyjne.

- Mamo!

Dziewczyna była wyraźnie przerażona, co wcale nie dziwiło Lary. Niestety, zgodnie z jej oczekiwaniami Darcy nie grzeszyła subtelnnością. Chcąc przynajmniej trochę uspokoić zmieszaną Heather, Lara zapytała:

- Nancy, który gabinet mamy wolny?

Pielęgniarka krzywo spojrzała na Darcy i odpowiedziała:

- Trzeci.

- Dziękuję. Proszę bardzo, Heather. - Lara z uśmiechem otworzyła drzwi przed dziewczyną. Darcy bez pytania ruszyła do gabinetu.

- Pani Winston, proszę poczekać tutaj. Nancy założy Heather kartę i będzie potrzebowała od pani pewnych informacji. Czy chce pani może czegoś do picia?

- To moja córka. - Ton głosu Darcy wskazywał na to, że przywykła do wydawania poleceń i zawsze stawiała na swoim.

- Lecz jesteśmy w mojej klinice - Lara dotrzymywała jej kroku - a Heather będzie moją pacjentką, więc przysługuje jej dyskrecja.

Zamknęła Darcy drzwi przed nosem. Następnie poleciła Nancy, by zmierzyła Heather ciśnienie krwi oraz zważyła ją i zmierzyła.

Na korytarzu jednak coś się działo. Nancy wróciła tam, a po chwili wetknęła głowę o gabinetu i zapytała prawie szeptem:

- Co mam zrobić z tą bestią?

- Uspokój ją jakoś.

Pielęgniarka przytaknęła głową na znak, że sobie poradzi. Tymczasem Lara podeszła do skulonej na kozetce Heather i zapytała:

- Jak się czujesz?

- W porządku. Tylko nie lubię tego aparatu do mierzenia ciśnienia.

- Ja też nie.

- Boję się też igieł i strzykawek.

- Nikt za nimi nie przepada.

- Nawet pani? Przecież pani jest lekarką.

- Ale także normalnym człowiekiem.

Dziewczyna uśmiechnęła się, swobodniejsza już nieco.

- Śpiewasz w szkolnym chórze?

- Skąd pani wie?

- Widziałam cię na zdjęciu - powiedziała Lara, sprawdzając uszy pacjentki.

- Zaczynamy próby w przyszłym tygodniu.

- Tak szybko? Powiedz: a! - Lara zajrzała do gardła Heather. - Przecież pozostał jeszcze miesiąc do rozpoczęcia zajęć.

- Aaaaa ... Tak, ale chcemy być w dobrej formie. W ubiegłym roku nasza szkoła wygrała kilka konkursów.

- Oddychaj ... Nie oddychaj ... Nie czujesz bólu w oskrzelach?

- Nie, proszę pani .

- Dobrze. Uważaj na gardło. Daj mi znać, gdyby cię bolało. Jeśli ktoś chce śpiewać, musi chronić swoje gardło i struny głosowe.

- Jasne.

Lara przyłożyła stetoskop do lewej piersi dziewczyny. Heather cicho jęknęła.

- Słuchawka jest zimna, wiem. - Lara uśmiechnęła się przepraszająco. Potem osłuchiwała serce i płuca Heather. W końcu odłożyła przyrząd i stanęła przed pacjentką. - Czy okres masz regularnie?

- Tak.

- Bolesny?

- Tylko pierwszego, czasem drugiego dnia. Później już nie.

- Miewasz skurcze?

- Tak. Dostyc nieprzyjemne.

- Bierzesz coś na nie?

- Czasem asirynę albo coś w tym rodzaju.

- Pomaga?

- Da się przeżyć - odparła Heather ze słabym uśmiechem.

Lara ułożyła ją na fotelu i wezwała Nancy do pomocy przy badaniu ginekologicznym.

- To jest strasznie nieprzyjemne - powiedziała Heather.

- Tak, wiem. Rozluźnij się, o ile to będzie możliwe.

- Jasne - odparła Heather uśmiechając się sarkastycznie. Lara zaś wzięła wziernik.

Kiedy skończyła, kazała Heather się ubrać. Poczekała na nią w pokoju obok.

Dziewczyna zjawiała się tam po paru minutach. Lara wskazała jej miejsce na sofie i sama przysiadła obok. Pragnęła wytworzyć mniej krępujący nastrój.

- Czemu chcesz brać tabletki antykoncepcyjne, Heather?

- To ona mi kazała.
- Kto? Twoja matka?
- Boi się, że zajdę w ciążę.
- A czy to możliwe?
Heather zawahała się.
- No ... chyba tak. To znaczy ... Chciałam powiedzieć, że mam chłopaka ... I my ...
No, wie pani.
- Nie chcę być wścibska - rzekła łagodnie Lara. - I nikogo nie osądzam. Jestem lekarzem i muszę zdecydować, co będzie najlepsze dla mojej pacjentki. I dlatego właśnie pytam. - Odczekała moment i spytała: - Czy miałaś stosunek płciowy?
Heather spojrzała na swe zaciśnięte dłonie, a następnie za zamknięte drzwi.
- Jeszcze nie, ale ona ... to jest matka, sądzi, że już to zrobiliśmy. Powiedziałam jej, że to nieprawda, ale nie uwierzyła mi.
Skoro tylko przebrnęła przez trudny początek, zaczęła wyrzucać z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego.
- Przyłapała mnie i Tannera, jak zabawialiśmy się w salonie. Właściwie to nic złego nie robiliśmy ... To znaczy, rozebrałam się do pasa, Tanner też zdjął koszulę, ale ona zachowała się tak, jakby zobaczyła nas zupełnie nagich, jakbyśmy naprawdę to robili ...
Naraz spojrzała na Larę.
- O Jezuu, nie chciałam ... przepraszam. Nie miałam zamiaru czynić aluzji do pani i senatora Tacketta.
- W porządku - uspokoiła ją Lara. - Rozmawiamy o tobie, a nie o mnie. No więc, gdy twoja mama zobaczyła cię razem z Tannerem, doszła do błędnego wniosku, tak?
- Szczerze mówiąc, zachowała się nawet jak ostatnia idiotka - powiedziała Heather przewracając oczami.
- Zaczęła wrzeszczeć tak głośno, że obudziła tatę. Tatuś zbiegł po schodach z pistoletem w rękę, bo myślał, że znowu ktoś się włamał. To było straszne. Tanner ciągle im powtarzał, że nic mi nie zrobił, ale mama wyrzuciła go z domu i zabroniła się z nim spotykać. Założyła mi szlaban. Zabrała kluczyki od samochodu i telefon z mojego pokoju.
Odgarnęła z czoła gęste włosy. Jej oczy zaczęły błyszczeć od łez.
- Równie dobrze mogłabym wylądować gdzieś na Syberii. To okropne! A przecież nic nie zrobiłam! Ona patrzy na mnie jakbym była ... no, wie pani, dziwką. Tatuś jest bardziej wyrozumiały, ale matka nie zapomina ani nie wybacza tak łatwo. Przysięgałam jej tysiące razy, że nadal jestem dziewicą. Bo właściwie to prawda. Tanner dotykał tam alcem, ale nie ...
Lara tylko pokiwała głową na znak, że rozumiała.
- Jednak mama w to nie wierzy. Dzisiaj powiedziała, że przyjdzie tu ze mną i że ;:nam brać pigułki, czy to mi się będzie podobało, czy nie. Powiedziała też, że jak mam zamiar się puszczać, to moja sprawa, ale ona zna ciekawsze zajęcia od niańczenia wnuka.
Lara szczerze współczuła dziewczynie. Sama w młodości zetknęła się z podobną sytuacją. Rodzice dawali jej do zrozumienia: rób co chcesz, tylko nas w to nie wplątuj. Heather usiłowała stłumić płacz.
Pociągnęła nosem. Lara podała jej karton z chusteczkami.
- Tęsknię za Tannerem - stwierdziła Heather. - On mnie kocha. Naprawdę. A ja kocham jego.
- Jestem tego pewna.
- On jest dla mnie taki słodki. Inny niż matka. Jej nigdy nie można zadowolić.
Lara odczekała chwilę, aż Heather wydmuchała nos, po czym rzekła:
- Nie ma problemu. Mogę ci przepisać tabletki. Wydajesz się okazem zdrowia.
- Zacznę od nich tyć, prawda?
Lara uśmiechnęła się.
- Czasem pojawia się taki efekt uboczny, ale ty, taka młoda i energiczna dziewczyna, nie powinnaś mieć z tym kłopotów. - Popatrzyła Heather w twarz i dodała: - Tyle że na podjęcie takiego kroku należy także przygotować się psychicznie. Czy jesteś pewna, że naprawdę tego chcesz, Heather?
Dziewczyna ponownie z niepokojem zerknęła na zamknięte drzwi.
- Tak. Tanner obiecał, że sam też się zabezpieczy. Jeżeli i ja będę na pigułkach, to nie będę się bała wpadki.
- Pamiętaj tylko, że te pigułki nie chronią cię przed chorobami wenerycznymi. Nalegaj, by twój chłopiec używał prezerwatywy. I powtarzaj przyjaciółom i przyjaciółkom, żeby robili to samo.
Wypisała receptę, a potem wyszła z Heather do poczekalni. Tam Darcy niecierpliwie przewracała kartki kolorowego magazynu. Na widok córki natychmiast odrzuciła go na stolik.

- No i...? - zapytała.
- Dałam Heather receptę na doustne tabletki antykoncepcyjne. Niech zgłosi się za pół roku na kontrolę. Naturalnie, jeżeli zjawią się jakieś skutki uboczne albo wystąpią dolegliwości, powinna powiadomić mnie o tym niezwłocznie.
- Strasznie długo to trwało.
- Lara nie miała zamiaru się tłumaczyć.
- Pani córka to urocza młoda osoba. Świetnie mi się z nią rozmawiało. Wpadłam na pomysł, by wygłosić w szkołach cykl odczytów. Czy pan Winston, jako szef tutejszego komitetu rodzicielskiego, wyrazi na to zgodę?
- Niech go pani sama zapyta.
- Dobrze - odparła grzecznie Lara, puszczając mimo uszu złośliwy ton Darcy.
- Skontaktuję się z nim zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego.
- Ile mam zapłacić za wizytę?
- Nancy się tym zajmie - powiedziała Lara i zwróciła się do pacjentki:
- Powodzenia w chórze. Przyjdę kiedyś na wasz występ.
- Dziękuję, doktor Mallory. - Heather Win sto n uśmiechnęła się i dodała: - To jednak dziwne uczucie zwracać się do pani per doktor.

*

Darcy odezwała się do córki dopiero po dobrych kilku minutach.

- Cóż, zauważyłam, że nieźle się pokumałyście.

- Ona jest bardzo miła.

Darcy parsknęła.

- Clark Tackett też tak uważał i zobacz, jak skończył. Ta kobieta to zwykły śmieć. I sprawia ludziom same kłopoty.

Heather nie odpowiedziała. Odwróciła głowę i wyglądała przez okno. Krytycyzm Darcy wynikał głównie z zazdrości. Nie przypuszczała, że Lara Mallory okaże się tak uroczą osobą - kobietą opanowaną i z klasą, wykształconą i dobrze wychowaną. Lara wyglądała tak schludnie i czysto, że Darcy na jej widok miała od razu ochotę wziąć kąpiel. Dawna kochanka senatora Tacketta była wiotka jak trzcina. Pewno na biodrach nie miała ani grama zbędnego tłuszczu. Jej głowę zdobiły gęste i zdrowe włosy, podkreślające biel cery. Istotnie, inne kobiety mogły pozazdrościć Larze urody.

Ale co mógł widzieć w niej taki facet, jak Key Tackett? Lara nie miała typowo kobiecej figury ani uwodzicielskich oczu. A może jej spojrzenie zmieniało się, gdy była z kochankiem?

Darcy już przed tygodniem zdecydowała się złożyć wizytę Larze Mallory. Musiała jednak poczekać z tym kilka dni. Heather i Tanner dostarczyli jej powodu, ale potem nastąpiło całe to zamieszanie związane ze śmiercią dziecka Leonardów. Ludzie znowu zaczęli podejrzliwie zerkać na Larę Mallory. Darcy doszła do wniosku, że lepiej przeczekać, aż ucichnie wrzawa. Chciała poznać lekarkę i przyjrzeć się jej, ale nie tak, by dowiedziało się o tym całe miasto. Nie chciała uchodzić za ciekawską.

Zastanawiała się teraz, czy Lara Mallory rzeczywiście jest nową wybranką Keya.

Wizyta w klinice właściwie nie dała jej odpowiedzi na to pytanie. Lara zdawała się za chłodna jak na gust Keya, lecz to mogło być złudzenie. Każdego mężczyznę pociąga co innego - pomyślała.

Jej córce wyraźnie spodobała się ta kobieta, która być może zarzuciła sieci na Keya Tacketta. Darcy czuła się tak, jakby ktoś chciał odebrać jej mężczyznę, choć przecież Key nie był jej własnością. Poderwał ją kiedyś w barze i poszli razem do łóżka, ale Darcy święcie wierzyła, że stanowi to jedynie wstęp do gorącego romansu. Uważała, że Lara Mallory stanęła jej na drodze do szczęścia i rozkoszy.

- Cały czas gadałyście o mnie? - zapytała Darcy podejrzliwie. - Założę się, że wieszaliście na mnie psy.

- Wcale nie.

- Co jej o mnie powiedziałaś?

- Nic właściwie. Ogólniki.

- No to dlaczego siedziałyście tam tak cholemię długo?

Heather westchnęła z rezygnacją.

- Rozmawialiśmy o chórze, moich okresach, Tannerze i rozpoczynaniu życia erotycznego.

- I co ona ci nagadała o życiu erotycznym?

- Powiedziała, że nie chce nikogo osądzać.

- No to przynajmniej nie jest hipokrytką. Zgodzisz się ze mną, co?

- Chyba tak.

- Myślałam, że ona wygłosiła ci kazanie o szkodliwości brania pigułek w twoim wieku.

- Nie - odparła Heather znużonym głosem. - Mówiła tylko o prezerwatywach.
 - Prezerwatywach?
 - No tak. Mamo, czy będę mogła znowu korzystać z telefonu?
 - Chwileczkę. Co powiedziała ci na temat prezerwatywy?
- Heather spojrzała na matkę z ukosa, a potem wyrecytowała:
- To, że chronią przed chorobami wenerycznymi i że młodzi ludzie powinni ich używać, kiedy idą razem do łóżka.
 - Stwierdziła, że trzeba mieć gumkę pod ręką, bo randka może się skończyć w łóżku?
 - Coś w tym rodzaju - powiedziała Heather, niepewnie wzruszając ramionami.
 - Mamo, proszę, oddaj mi telefon. I kluczyki od samochodu, dobrze?
- W tej samej chwili w głowie Darcy zrodził się kolejny pomysł. Wydał jej się przebiegły i godny wprowadzenia w życie. Uśmiechnęła się do siebie, czując się naraz młodsza o parę lat. Poklepała Heather po kolanie.
- Jasne moja słodka. Dostaniesz je, jak tylko wrócimy do domu. Po drodze zatrzymamy się i kupimy ciastko dla tatusia. Byłam dla was obojga przykra w tym tygodniu i chcę wam to wynagrodzić.

*

Bowie Cato skręcił z autostrady na lokalną drogę, która przebiegała obok motelu "The Green Pine". Dostrzegł przed budynkiem cadillaca Darcy.

- Czy to wóz pani Winston? - zapytał.
 - Tak - odrzekła Janellen. - Znasz ją?
 - Widziałem raz czy dwa. A kto jest z nią?
 - Córnka. Heather. Ulubienica tutejszej szkoły.
 - Ładna - stwierdził prostolinijnie Bowie, zerkając raz jeszcze na dwie kobiety wchodzące do motelu.
 - O, tak. Ona pracuje trochę w motelu ojca. Najczęściej w weekendy. Czasami widuję ją tu w niedziele. Heather jest wyjątkowo miła. Wszyscy za nią przepadają.
- Bowie zastanawiał się, czy "wszyscy przepadają" za Heather w tym samym sensie, w jakim "przepadają" za jej matką. Widział Darcy Winston w akcji w "The Palm" tamtej nocy, kiedy do miasteczka powrócił Key Tackett. Innym razem grała tam w bilard z trzema Shrinerami, którzy puścili się w kurs po knajpach bez swoich żon.

Darcy była żdziwą i wszyscy o tym wiedzieli. Tak jak wszyscy wiedzieli, że Janellen Tackett to prawdziwa dama. I dlatego ludzie tak dziwnie zerkali na Bowiego u jej boku. Ciekawi byli co panna Janellen robi razem z takim wyrzutkiem i oberwańcem, jak Bowie Cato.

Sam się temu dziwił. Nie wiedział, czy dziękować Keyowi za to, że polecił mu czuwać nad Janellen, czy też przeklinać go za to. Z jednej strony cieszył się, gdyż dostał szansę, o jakiej normalnie nie mógłby nawet marzyć - towarzyszenia kobiecie z wyższych sfer. Z drugiej zaczynało go niepokoić, że bardzo polubił przebywanie z Janellen.

Miał teraz powód, by spotkać się z nią codziennie. Wiedział też jednak, że szczęście nigdy nie trwa wiecznie. Czekał tylko, aż stanie się coś złego i położy kres radosnym chwilom. Ta świadomość straszliwie go irytowała. Teraz czuł się jak w bajce. Tyle że nie wierzył w bajki. Uważał, iż wymyślono je dla dzieci i naiwnych głupców. Sam z całą pewnością wyrósł już z wieku dziecięcego, ale zarazem zaczynał podejrzewać, że stracił głowę i zachowuje się jak kretyn.

Pozwolił unieść się fali.

Nie mógł się przeciwstawić. Korzystał z każdej sposobności spotkania z Janellen.

Dzisiaj uczynił podobnie. Gdy się dowiedział, iż wybiera się ona obejrzeć siódmy szyb, natychmiast wskoczył do ciężarówki i popędził na złamanie karku, by jeszcze zastać ją w biurze.

Natknął się na nią, kiedy wychodziła. Przypomniał słowa Keya, który nie chciał, by jego siostra pozostawała bez opieki. Dodał także, że ciężarówką łatwiej dostać się na pola naftowe niż jej samochodem. Skinęła na to tylko głową i wsiadła do szoferki.

Nie wyglądała jednak na zachwyconą.

Była rozzłoszczona niczym osa. Ledwie uraczyła go spojrzeniem. Pewnie wstydziła się pokazywać publicznie z wypuszczonym z więzienia kryminalistą. Na dobrą sprawę wcale go to nie dziwiło.

- Odtąd droga jest bardzo wyboista - ostrzegł.

- Wiem - odparła sucho. - Jeździłam tędy tysiące razy.

Zakręcił kierownicą i objechał szerokim łukiem motel "The Green Pine". Kiedyś miał okazję usłyszeć historię o tym, jak to Jody Tackett zrobiła w konia właściciela posesji, Fergus Winstona.

Fergus przybył do Eden Pass jako młodzieniec. W kieszeni miał pieniądze odziedziczone w spadku, a

głowę pełną marzeń. Kupił tu skrawek piaszczystej ziemi. Miejsce to jednak miało swe zalety: znajdowało się w pobliżu autostrady i krążyły słuchy, że okolica spływa ropą.

Poznał Jody, która wówczas pracowała dla starego Tacketta i zdobyła już sobie pewne poważanie.

Obiecała Fergusowi, że geologowie z firmy sprawdzą, czy pod jego terenem płynie ropa. Po paru tygodniach oznajmiła mu ze smutkiem, iż nie wykryto na jego działce nawet śladu ropy.

W owym czasie Fergus podkochiwał się trochę w Jody. Uwierzył w jej opinię, ale przezornie postanowił zlecić tę samą robotę także innym ludziom. Ci również poinformowali go, iż znaleźli jedynie olbrzymie ropuchy pod kamieniami.

Naturalnie Fergus był tym faktem wielce rozczarowany. Stwierdził, że w takim razie nie może liczyć na zrobienie kariery w przemyśle wydobywczym. Pomyślał o turystyce i hotelarstwie. I wtedy zgłosiła się doń - wciąż udająca przyjaciółkę - Jody i powiedziała mu, że spółka Tackett Oil odkupi od niego jałową działkę za pieniądze, które można odpisać od podatków. Wszyscy będą zadowoleni - powiedziała - a Fergus za otrzymane wynagrodzenie zdoła wybudować motel.

W rzeczywistości teren Fergus'a był istną żyłą złota - znajdował się tuż nad bogatym złożem ropy.

Wiedziała o tym Jody, tak jak i geologowie, którym dobrze zapłaciła za kłamstwo sprzedane Fergusowi.

Nie wysechł jeszcze atrament na podpisach pod umową sprzedaży działki firmie, kiedy Tackett Oil zaczęła wiercenia. Niebawem zaszokowany Fergus ujrzął szyb na swym dawnym terytorium. Zaczął głośno oskarżać Jody i wszystkich Tackettów o złodziejstwo. Nie zdecydował się jednakże wstąpić na drogę sądową. Ludzie uznali więc, że rzeczywistą przyczyną wściekłości Fergus'a był fakt, iż Jody odrzuciła jego konkury i wybrała Clarka.

Fergus postawił motel i zaczął czerpać z niego całkiem niezłe pieniądze. Nie miał jednak szans dorównania w bogactwie Jody Tackett. I od tej pory nosił z tego powodu żal w sercu.

Bowie zatrzymał ciężarówkę przed ogrodzeniem, za którym znajdował się szyb.

Chciał pomóc wysiąść Janellen, ta jednak poradziła sobie sama i zeskoczyła na ziemię, nim Bowie znalazł się przy niej. Podbiegł więc do furtki i otworzył ją swoim kluczem.

Pompa szybu pracowała z hałasem. Bowie kontrolował to miejsce każdego dnia, z wyjątkiem sobót i niedziel. Był tu już dzisiaj wcześniej. Janellen nie zainteresowała się pracą urządzeń, skupiając uwagę na wykresach poziomu wydobycia, temperatury ropy i gazu i innych danych.

Zabrało jej to kwadrans. Po jego upływie Bowie Cato czuł się jak skończony dureń.

Wyglądało na to, że szyb numer siedem pracuje całkiem normalnie. Wskazywały na to wszelkie pomiary.

- Chyba myśli sobie pani, że mi odbiło - wymamrotał.

- Bynajmniej, Bowie. Po prostu rozwiataś swoje wątpliwości. Lepiej gdybyś umieścił urządzenia pomiarowe bliżej szybu.

Odniosł niejasne wrażenie, że Janellen naigrawa się z niego.

- Dobrze - powiedział po namyśle i podrapał się w czoło.

Ruszyli z powrotem w stronę furtki. Gdy znaleźli się na zewnątrz, Bowie zamknął ją za sobą. Zapytał:

- Czy opowie pani o tym swej mamie?

- Nie.

- Czy to nie było ważne?

Znalazła się przy drzwiach do szoferki. Odwróciła twarz ku Bowiemu i osłoniła dłonią oczy przed słońcem.

- Wolalabym, żebyś nie zadawał mi takich pytań, Bowie. W tych dniach nie chciałabym niepokoić mamy.

Martwię się o nią.

- Pięknie pani wygląda, panno Janellen.

- Słucham?! - spytała zdumiona. Nadal trzymała dłoń nad oczami.

Do licha - pomyślał - ale mi się wyrwało. Z niemądrą miną podrapał się po karku.

Nie miał zamiaru tego mówić. Słowa same wyskoczyły mu z gardła. A teraz musiał się jakoś wytłumaczyć.

- Po prostu ... Ach ... Zdziwiło mnie, jak ślicznie pani teraz wygląda. W tym słońcu i wietrze, który rozwiewa pani włosy.

Nie dodał, że przyjrzał się też całej jej figurze. Janellen wydała mu się niezwykle zgrabna. Naraz w jej oczach pojawiły się łzy, bynajmniej nie wywołane ostrymi promieniami słońca.

- Och! - załkała. - Och, Boże!

Jej zaskakująca reakcja zdumiała go i zaniepokoiła. Nie pojął przyczyny tej nagłej rozpaczki. Nerwowo otarł wilgotne dłonie o nogawki spodni.

- Panno Janellen, proszę się nie denerwować. - Pospiesznie rozejrzał się wokół, mając nadzieję, że nikt na nich nie patrzy. - Kiedy mówiłem, że ... nie miałem na myśli nic niegrzecznego. Proszę się nie

obawiać. Chciałem tylko ...

- To, że miałeś mnie pilnować, nie oznacza jeszcze, iż musisz mnie zasypywać fałszywymi komplementami.

Bowie ściągnął brwi i przechylił głowę, sądząc, że się przesłyszał.

- Proszę? - spytał.

- Nie potrzebuję jego opieki. Ani twojej.

- Jego ... ? Czy mówi pani o swoim bracie Keyu?

- Oczywiście, że o Keyu - odrzekła zirytowana. - Odkąd poprosił cię, żebyś miał mnie na oku, wszędzie się na ciebie natykam.

- Cóż, przepraszam ... ale obiecałem to Keyowi, a ja zwykle dotrzymuję obietnic. Zamierzałem opiekować się panią, dopóki on nie każe mi przestać.

- J a rozkazuję ci przestać. Natychmiast. Wszyscy reporterzy wyjechali już z Eden Pass. Nie wygadam się już przed nimi, więc nie ma powodu, żebyś się o mnie troszczył.

- To nie był dla mnie żaden kłopot przywieźć panią tutaj, panno Janellen.

- Mogłam przyjechać sama! Od dawna mam prawo jazdy.

- Oczywiście, proszę pani. Wiem, ale ...

- I sama potrafię odczytywać pomiary. Bez niczyjej asysty.

- Jestem tego pewien.

- I nie potrzebujesz wciskać mi tych wyspanych z palca komplementów ...

- Ależ ja powiedziałem szczerze!

- ... żeby potem śmiać się w kulak.

- Śmiać się?

- Wiem, co mężczyźni o mnie myślą. Uważają, że jestem oschłą starą panną. Muley powiedział mi, że wszyscy śmieją się ze mnie za moimi plecami. Chcesz tylko przypodobać się mojemu bratu ...

- Zaraz, zaraz - przerwał jej ze złością. - Nikomu się nie podlizuję. Jasne? ~ I proszę przestać wspominać o swoim braciszku, bo on nie ma nic wspólnego z tym, co powiedziałem. Mam gdzieś to, co myślą sobie inni faceci. Sam wiem swoje. A jak ktoś ma inne zdanie, to ja go pieprzę. Powiedziałem, że wygląda pani ślicznie, bo naprawdę tak uważam. Mój Boże! Większość kobiet odrzekłaby pewnie teraz: "Dziękuję, Bowie. to miło z twojej strony ..." albo coś w tym rodzaju-stwierdził. -Ale nie pani. O, nie. Pani zawsze szuka jakiejś ukrytej myśli w najprostszym zdaniu.

Jego słowa rozbrzmiały w powietrzu, zanim wiatr uniósł je ze sobą.

Po chwili Bowie poczuł się jednak zakłopotany. Na chwilę puściły mu nerwy, gacił panowanie nad sobą, a przecież obiecywał sobie, że przy niej nigdy do tego nie dojdzie. Nie ugryzł się w odpowiednim momencie w język. Przestraszył się nie a żarty, że Janellen wyrzuci go z pracy. I - co gorsza - będzie miała ku temu powód.

Patrzyła na niego bez słowa szeroko otwartymi oczami. Łzy wielkie jak grochy spływały po jej policzkach. Przebiegł ją nagły dreszcz. Szybko zaczerpnęła powietrza, odsłaniając na sekundę zęby.

Bowie przełknął ślinę.

Skoro ma zostać powieszony za niewinność, to i tak nie ma wiele do stracenia - pomyślawszy to nachylił się i pocałował ją w policzek. Sądził, że Janellen zacznie zaraz krzyczeć; że wezmą go za tyłek i wpakują z powrotem do więziennej celi.

Pospieszenie utworzył przed nią szoferki i pomógł jej wsiąść. Sam po chwili znalazł się za kierownicą, uruchomił silnik, wrzucił pierwszy bieg i ruszył ciężarówką po wypalanej słońcem, wyboistej ziemi.

Wracali w milczeniu. Gdy dotarli do biura firmy, wyłączył motor wozu. Przejmująca isza stała się dlań niemal bolesna.

Janellen była prawdopodobnie zbyt przygnębiona, by powiedzieć cokolwiek, więc to on musiał wziąć na siebie ten obowiązek. Kilka chwil patrzył przez zakurzoną przednią szybę, zanim się odezwał:

- Odstawię wóz do magazynu, a potem zwrócę kluczyki. Może pani przygotować wymówienie.

Nie spojrzał na nią. Nie chciał widzieć jej nadasanej twarzy. W końcu Janellen zapytała go słabym głosem:

- Odchodzisz z Tackett Oil?

Raptownie odwrócił się w jej stronę.

- Chcesz to zrobić? - spytała.

- A czy pani chce, żebym odszedł?

Pokręciła przecząco głową i powiedziała niemal bezgłośnie:

- Nie.

Bał się poruszyć, uczynić jakiś niezgrabny ruch.

- To, co mówiłem, panno Janellen ... - zaczął i urwał. - Nie powinienem się tak wystawiać w pani obecności.

- Wychowywałam się z braćmi, Bowie. Znam wiele brzydkich słów. I wiem, co znaczą.

Uśmiechnęła się pod nosem, on jednak pozostał poważny.

- To, że ... pocałowałam panią ... Wiem, można mnie za to wylać. Chciałem tylko powiedzieć, że zwyczajnie straciłem głowę.

- Rozumiem - odezwała się i po chwili pełnej napięcia ciszy dodała: - A więc to był tylko odruch z twojej strony?

Wyraz jej oczu zmusił go do powiedzenia prawdy.

- Nie, nie tylko. Nie wiem, co mnie tknęło. Chociaż właściwie już wcześniej chciałem to zrobić.

- Ja także ...

Niemal nie wierzył własnym uszom, choć patrzył w jej twarz i widział dokładnie ruch jej warg. Nie śnił - nie musiał się szczytać, by się o tym przekonać.

Poruszył się nieznacznie. Ona odruchowo przechyliła głowę. Uplłynęło ledwie kilka sekund od jej cichego wyznania, kiedy znalazła się w jego ramionach. Złączyli się w namiętnym pocałunku.

Janellen pragnęła tego, lecz była onieśmielona, a Bowie nie miał wielkiego doświadczenia w całowaniu.

Nigdy dotąd nie chodził z dziewczyną, a dziwki, które znał, zwykle unikały pocałunków. Uczyli się więc teraz nawzajem. Gdy czubki ich języków się zetknęły się, oboje jęknęli cicho, przejęci nowym, rozkosznym doznaniem.

Może jej usta rzeczywiście były słodkie, a może wydały mu się takie dlatego, iż po raz pierwszy spotkał kogoś, komu na nim zależało?

Dotknął dłonią jej talii. Ciało Janellen przeszył kolejny dreszcz. Boże - pomyślał - jakie to cudowne.

Pragnął muskać jej piersi. Lecz naturalnie nie zdobył się na to.

Po długiej chwili wyprostowała się na siedzeniu i popatrzyła nań błyszczącymi oczyma. Czują się zmieszana. Jej policzki płonęły. Oddychała znacznie szybciej niż zwykle. Zaciśnęła wargi, a potem niespodziewanie zaśmiała się cicho.

- Lepiej już pójde. Jeżeli spóźnię się na kolację, to Key z pewnością zacznie mnie szukać.

Oparł się o kierownicę.

- Jasne.

- Do zobaczenia jutro.

- Wczesnym rankiem - odparł z uśmiechem, choć członek w jego spodniach pulsował jak oszalały.

Otworzyła drzwi, lecz nim wysiadła, odwróciła się jeszcze do niego i powiedziała jednym tchem:

- Kocham cię, Bowie.

Pobiegła do swego auta, wsiadła i odjechała. Bowie wpatrywał się w chmurę pyłu wzniesioną przez koła.

Potem rozsiadł się na siedzeniu, przebiegając wzrokiem wzorki, jakie brud ułożył na szybie ciężarówki.

Czuł, że nogi chwilowo odmówiły mu posłuszeństwa. Nadal dudniło mu w uszach echo jej pożegnalnych słów.

Pomyślał, że wyjaśnienie może być tylko jedno. Janellen Tackett odbiło. Okazała się całkiem szalona.

Nikt bowiem dotąd nie kochał Bowiego Cato.

14.

- Nie śpisz?

- Już nie. - Budzik Lary wskazywał drugą w nocy. - Kto mówi?

- Key Tackett.

Jęknęła i zaczęła wyplątywać się z ciepłej pościeli. Słuchawka niemal wypadła jej z dłoni.

- Czy to następne z twoich nagłych wezwań?

- Tak.

Wyczuła dziwne napięcie w jego głosie. Otrząsnęła się już na dobre ze snu i spytała:

- O co chodzi tym razem?

- Czy wiesz, którądy przebiega autostrada stanowa, którą wszyscy nazywają "drogą starego Ballarda"?

- Mniej więcej.

- Pojeżdż dwie mile na południe. Tam zobaczysz boczną dróżkę, przy której stoi młyn. Nie sposób go nie zauważyć. Dalej, po jakichś stu metrach, napotkasz domek. Zaparkowałem przed nim swojego lincolna.

Weź ze sobą sprzęt.

- Jaki sprzęt?
- Medyczny. I pospiesz się.
- Ale ...

Połączenie zostało przerwane. Cóż, taką miała profesję - musiała spieszyć do każdego wypadku. Natychmiast ubrała się i wskoczyła za kierownicę swego wozu. Dopiero na ciemnej, opustoszałej szosie mogła nieco pozbierać myśli. Przemknęło jej przez głowę, że skoro Tackettowice chcą się jej pozbyć, to może zastawili jakąś perfidną pułapkę w środku nocy.

Miała przy sobie torbę z medykamentami i przyborami do udzielania pierwszej pomocy. Wiedziała, że trochę ryzykuje wybierając się na odludzie pod osłoną ciemności, lecz nie mogła odmówić przyjęcia wezwania. Nadto coś w głosie Keya przekonało ją, że nie zerwała się z łóżka na próżno.

Przemknęła obok wiatraka i z trudem dostrzegła ścieżynkę, o której wspomniał Key.

Zahamowała i zakręciła ostro. Po paru chwilach ujrzała farmę, a przed nią żółtego lincolna Keya. Prędko wyskoczyła ze swego wozu.

Usłyszała ujadające psy.

*

Key spostrzegł ją przez okno. Otworzył frontowe drzwi. Niestety, zapomniał o psach myśliwskich, które wybiegły z legowisk i otoczyły Larę, szczekając i warcząc.

Uciekła z powrotem do samochodu, usiłując się przed nimi skryć. Key zagwizdał głośno i szczekanie natychmiast umilkło. Psy podkuliły ogony i wycofały się ku swym budom.

- O rany! Myślałam już, że rozszarpia mnie na strzępy.

- Zapomniałem o nich. Pospiesz się - powiedział.

Lara niepewnie postawiła stopę na ziemi. Gdzieś z boku znowu rozległo się warczenie, ale natychmiast umilkło, gdy Key syknął. Ruszyli w stronę ganku.

- Czyj to dom? Gdzie ja właściwie jestem? - spytała.

- Helen straciła dziecko.

Lara stanęła jak wryta i spojrzała groźnie na Keya. Ponaglił ją ruchem głowy, wskazując wewnątrz domostwa. W środku, w elektrycznym świetle, zobaczył, że Lara nie ma na twarzy makijażu. Nie zdążyła nawet przyczesać włosów. Wyglądała mniej więcej podobnie, kiedy ujrzał ją pierwszy raz. Prawie nic o sobie wtedy nie wiedzieli, jednak zdążyli wymienić kilka przyjaznych uśmiechów. Dzisiaj nie było czasu na konwenanse. Key zauważył, że Lara kipi z wściekłości. Wyglądała, jakby miała ochotę opluć go z pogardą.

- Gdzie ona jest?

- Tam.

- Kiedy zaczęła krwawić?

- Cholera, omal nie wykrwawiła się na śmierć, zanim tu przyjechałem.

Poprowadził ją wąskim, długim korytarzem. Na ścianach wisiało mnóstwo rodzinnych fotografii. Niektóre zdążyły nieco pożółknąć. Na jednej z nich Lara spostrzegła Helen w szkolnej czapeczce na głowie.

Key ustąpił na bok przed drzwiami do sypialni. Lara wkroczyła więc pierwsza.

Helen leżała w łóżku, przytulała pluszowego misia i cicho płakała.

- Helen? Lekarka już przyjechała - odezwał się Key. Podeszedł do łóżka i ujął dłoń dziewczyny. Dłoń błądą i chłodną. Trzymał ją w swoich rękach, jakby pragnął przywrócić dawne ciepło.

Nie wiedział, co straszniejsze - czy to obecne ponure zobojętnienie Helen, czy histeria w jakiej pograżyła się wcześniej. Zadzwoiła po niego do "The Palm".

"Kobieta do ciebie - stwierdził Hap podając mu słuchawkę. - Podobno dowiedziała się od twojej siostry, że można cię tu znaleźć. Zdaje się, że jest mocno zdenerwowana" .

Było to delikatnie powiedziane. W barze panował szum, ale i tak wyczuł dziwne przerażenie w jej głosie. Gdy dotarł na farmę Berrych, ujrzał ją na łóżku w wielkiej kałuży ciemnej krwi. Natychmiast zadzwonił po Larę Mallory.

- Witaj, Helen - powiedziała teraz lekarka, pochylając się i delikatnie dotykając dłonią czoła dziewczyny. - Wszystko będzie dobrze. Zajmę się tym, zgoda?

Helen nie kupiła tych ciepłych słówek. Stwierdziła tylko z goryczą:

- Straciłam dziecko.

- Jesteś tego pewna?

Helen pokiwała głową i rozejrzała się po pokoju. Lara podążyła oczami za jej wzrokiem i zobaczyła prześcieradła, które Key zdjął z łóżka i rzucił w kąt. Spojrzała mu twarz.

- Zostawisz nas same?

Uściskał czule Helen i powiedział:

- Trzymaj się, kochana. Będę w sąsiednim pokoju. Zawołaj, jeżeli będziesz mnie potrzebować.
- Dzięki, Key.

Wyszedł w końcu. Gdy zamknął za sobą drzwi, Lara zmierzyła Helen ciśnienie.

Tymczasem Key usadowił się w jadalni przy szerokim oknie. Widział w oddali światła miasta, a na niebie jaśniejące gwiazdy. Zawsze zdumiewała go ich nieprzeliczona mnogość. Uwielbiał latać nocą samolotem. Dopiero wówczas docierała w pełni do jego świadomości potęga nieskończoności.

Teraz ponad wszystko znów zapragnął wzbić się w powietrze.

Z budy wylaźł pies. Upił trochę wody z miski, pomachał ogonem i wrócił do legowiska, ziewając przy tym przeciągle. Odezwął się nocny ptak. Nic poza jego śpiewem nie mąciło przejmującej ciszy.

Key zastanawiał się, co się dzieje w sypialni. Jak długo pozostanie tam Lara Mallory? Czas dłużył się niemiłosiernie. Wreszcie otworzyły się drzwi. Natychmiast odwrócił się od okna. Lara miała na rękach chirurgiczne rękawiczki. Niosła zakrwawione prześcieradła.

- Ich widok ją drażni. Trzeba je zamoczyć - wyjaśniła.

Zaprowadził ją na ganek, gdzie znajdował się pojemny zlew. Wrzuciła do niego pościel i odkręciła zimną wodę.

- Widzę, że świetnie znasz ten dom - stwierdziła.
- Ojciec Helen jest znanym w całym Teksasie myśliwym. Jeszcze jako dzieciak chodziłem z nim na łowy.
- I dlatego psy tak się ciebie słuchają?
- Tak. Tu właśnie się myliłmy po oprawieniu upolowanej zwierzyny.

Woda w zlewie nabrała różowej barwy. Nigdy nie odstraszał go widok krwi. Widywał w życiu koszarne wypadki - rany postrzałowe, płonących żywcem ludzi, raz nawet egzekucję muzułmanek przyłapanych na zdradzie. W przeciwieństwie do wielu innych nie dostawał mdłości będąc świadkiem okrucieństwa.

Tym razem rzeczy miały się jednak inaczej. Przysłonił dłonią usta i odwrócił się od zlewu.

Nie zapytał o nic, ale Lara przejrzała jego myśli.

- Poroniła - wyjaśniła krótko.

Pokiwał głową.

- Gdzie jej rodzice?
- Pojechali z młodszymi dziećkami do obserwatorium astronomicznego - odparł patrząc, jak Lara ściąga gumowe rękawiczki. - Helen źle się czuła i wymówiła się od tej wyprawy. Całe szczęście. Jeszcze nie powiedziała im o ciąży. Gdyby nie została w domu, w łóżku, to ... O Jezu - dodał ponuro - boję się nawet o tym myśleć.
- No tak, niewielu ludzi dowiedziało się o sprawie. Tym lepiej dla ciebie, co? Jedną rzecz masz z głowy, prawda?

Zacisnął zęby, ale nie odpowiedział na tę zaczepkę. Po chwili Lara oznajmiła:

- Dałam Helen zastrzyk i środek uspokajający. Może uda się jej zasnąć. Ranopowinna zjawić się w mojej klinice.

- Dobrze. Jej starzy wracają dopiero jutro wieczorem.

- Helen winna pozostać przez kilka dni w łóżku i odpocząć. Niech im powie, że cierpi na bolesne skurcze.

To prawda, niestety. - Po znaczącej pauzie dorzucił - Stanowczo odradzałabym jej także stosunki płciowe przez następne parę tygodni. Będziesz zmuszony zabawić się z jakąś inną.

Wbił w nią wściekły wzrok. Spytał z sarkazmem:

- Masz konkretne propozycje?

Patrzyli sobie wyzywająco w oczy, gdy nagle rozległo się wycie psa. Trzasnęły drzwiczki samochodu.

Postyszeli czyjeś kroki na ganku.

- Helen? Key obszedł Larę i ruszył do jadalni. Zobaczył tam Jimmy'ego Bradleya rozglądającego się gorączkowo.

- Key? - wykrzyknął zdziwiony. - Co ty tu porabiasz? Pojechałem z chłopakami do Longview, żeby trochę zaszaleć. Kiedy wróciłem do domu, brat powiedział mi, że dzwoniłeś. Kazał mi brać dupę w troki i walić tutaj. Co jest grane? Gdzie Helen?

- W swojej sypialni.

Jimmy zauważył teraz Larę. Obrzucił ją zdumionym spojrzeniem, następnie znowu wrócił się do Keya:

- Co tu się dzieje?
 - To jest doktor Mallory.
 - Lekarka? Przyjechała do Helen? - spytał z rosnącym zaniepokojeniem.
- Key położył dłoń na ramieniu młodego człowieka.

- Ona poroniła w nocy, Jimmy.
- Poro ... - Przełknął głośno, przeniósł wzrok na Larę, potem z powrotem Keya. - Jezus Maria! - Rzucił się do sypialni i zawołał: - Helen!
- Jimmy, to ty? Och, Jimmy ... ! Key zerknął na Larę, która ze zdumienia otworzyła usta.
- Nie chciałbym cię rozczarować - rzekł sucho - ale to dziecko nie było moje, Helen zwróciła się do mnie o pomoc, bo wiedziała, że może mi ufać.
Jeszcze przez moment świdrował ją oczami, po czym szybko się odwrócił i podążył za Jimmym do sypialni. Chłopak siedział tam na brzegu łóżka i obejmował Helen.
Gładził dłonią jej włosy. Oboje płakali.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś, Helen? Dlaczego?
- Bałam się, że porzucisz szkołę. Nie chciałam, żebyś to robił dla mnie i dziecka.
- Kochanie, to niczego by nie zmieniło. W college'u jest wielu żonatych i dzieciatych chłopaków. Powinnaś była mi powiedzieć. A tak sama musiałaś przechodzić przez to piekło.
- Pomógł mi Key. - Pociągnęła głośno nosem. - Wiedziała, że go lubisz, i właśnie jego spytałam, co robić. Nakłaniał mnie, żebym ci powiedziała, ale obiecał też, że dotrzyma tajemnicy.
- To już nieaktualne, Helen - odezwał się od progu Key. - Doszedłem do wniosku, że Jimmy powinien się dowiedzieć, i zadzwoniłem po niego wieczorem.
- I dobrze, że to zrobiłeś - stwierdził pospiesznie chłopak.
- Chyba tak. Miałaś rację - przytaknęła cicho Helen, tuląc się do niego. - Tak bardzo mi cię brakowało, Jimmy.
- Mnie ciebie też. Kiedy zerwałaś ze mną, szalałem przez kilka dni. Potem jakoś się pozbierałem. Nie miałem jednak pojęcia, dlaczego tak nagle przestałaś mnie kochać.
- Wcale nie przestałam. I nigdy nie przestanę. Kocham cię tak bardzo, że nie chciałam być dla ciebie ciężarem. Utrudniać ci życiowego startu.
- Tak jakbyś mogła stanowić dla mnie ciężar. Jesteś połową mnie, Helen. Nie wiedziałaś o tym? - Jimmy pochylił się i złożył pocałunek na jej ustach. Potem cofnął głowę i szepnął: - Przykro mi z powodu naszego dziecka.
Helen na nowo zaczęła płakać. Key doszedł do wniosku, że najwyższa pora pozostawić młodych kochanków samym sobie. Wycofał się z sypialni, lecz po drodze potknął się o czarną torbę Lary.
- Zanim jej starzy wrócą do domu, zajmij się tym, co zostawiliśmy na ganku - rzekł Jimmy'emu. - A jutro rano zabierz Helen do doktor Mallory. Nikt więcej się o tym nie dowie.
Młodzieniec pokiwał głową.
- Dzięki, Key. Jesteś niesamowity.
Key pokiwał dłonią Helen i w końcu na dobre opuścił pokój.
Został Łarę w jadalni. Siedziała na kanapie ze skrzyżowanymi ramionami. Spojrzała na niego zimno.
- Mogłeś mi powiedzieć.
- I zepsuć ci zabawę. Pomyśl o tych godzinach rozkoszy, jakie upłynęły ci na pogardzaniu mną.
- Przepraszam.
Nagle poczuł się bardzo strudzony. Nie miał ochoty na kolejną kłótnię. Gdy byli razem, zawsze skakali sobie do oczu. Dziś uznał, iż powinien sobie odpuścić.
- Dobra. Zapomnijmy o tym.
Podał jej torbę. Wstała i wzięła ją. Wydała jej się potwornie ciężka. Prawie upuściła ją na podłogę.
- Wszystko w porządku? - spytał. - Nie wyglądasz najlepiej. Jesteś błąda.
- Dziwisz się? Wyrwałeś mnie z głębokiego snu. Nie miałam czasu się przypudrować - zakpiła i ruszyła ku wyjściu. - Czy mogłabym się stąd cało wydostać? Myślę o tej sforcie wściekłych psów.
Wyszli z domu razem. Psy natychmiast się przebudziły, ale Key rozkazał im pozostać na miejscach. Lara znalazła się za kierownicą samochodu. Zmęczona oparła na niej czoło.
- Jesteś pewna, że nic ci nie dolega?
- Chciałabym tylko odpocząć.
Zamknęła drzwi, a on odsunął się od jej wozu. Patrzył, jak odjeżdża. Nie stracił jej z oczu, nawet gdy wsiadł do swego lincolna. Jechał wolno, jak ktoś, kto dopiero wczoraj uzyskał prawo jazdy.
Dojechawszy do skrzyżowania zaczął się zastanawiać, czy nie wrócić do "The Palm". Było już późno. Siedzieli tam pewnie teraz tylko ululani na amen klienci. Na podryw jakoś nie miał ochoty. Bał się jednak wracać do domu. Czuł się tam niczym w klatce.
Tyne światła auta Lary zniknęły za zakrętem.
- Do diabła - zaklął i zakręcił kierownicą lincolna.

Miała trochę racji pomyślał. Rzeczywiście wyciągnął ją z łóżka w środku nocy.
W zamian mógł przynajmniej dopilnować, by bezpiecznie wrócić do domu.

*

Lara nie zauważyła jego przednich reflektorów we wstecznym lusterku. Pojawienie się więc lincolna na podjeździe przed kliniką stanowiło dla niej raczej niemiłą niespodziankę.

- O co znowu chodzi?! - krzyknęła. Key dogonił ją na schodkach. - Czego jeszcze chcesz? - spytała. - Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

Jej głos zaczął drżeć. Skoro słyszała to ona sama, to on z pewnością również.

Z trudem hamowała łzy. Odwróciła się do Keya plecami, by wsadzić klucz do zamka. Nie od razu się to udało, gdyż trzęsły jej się ręce.

- Pozwól, że ja to zrobię - zaproponował Key.

- Odejdź!

Odebrał jej klucz i bez trudu otworzył drzwi. Natychmiast zaczął bzyczeć alarm.

- Jaki jest kod? - zapytał.

Chciała mu powiedzieć, żeby poszedł sobie do diabła, albo siłą go stąd wyrzucić, ale brakło jej na to sił.

- Cztery, zero, cztery, pięć.

Wybrał wymienione cyfry i bzyczenie ustało.

- Fatalnie, że poznałeś ten kod - powiedziała. - Zmienię go jutro.

- Gdzie masz ekspres do kawy?

- W kuchni. Czemu pytasz?

- Bo fatalnie wyglądasz, zupełnie jakbyś zaraz miała zemdleć. Filiżanka mocnej czarnej kawy dobrze ci zrobi.

- Wiesz, co zrobi mi dobrze? Jak natychmiast sobie pójdziesz. Zostaw mnie w spokoju. Czy możesz to zrobić? Bardzo cię proszę. To takie proste! Po prostu idź stąd!

Nie chciała okazywać przed nim słabości, ale na ostatnich dwóch słowach głos jej się załamał. Dłonią wskazała mu drzwi, lecz w tej samej chwili ugięły się pod nią kolana i wybuchła szlochem. Opadła na stojący w pobliżu fotel. Zaczęły jej się trząść ramiona. Nie potrafiła dłużej tłumić płaczu.

Ukryła twarz w dłoniach i dała upust dręczącej ją rozpacz. Zapomniała na chwilę o dumie. Żal, gorzki i smutek wzięły górę nad opanowaniem i nie dawały się okiełznać.

Na szczęście Key nie usiłował pocieszać jej banałami ani zadawać zbędnych pytań. Światło pozostawało zgaszone. Lara płakała tak długo, aż rozboleła ją głowa. Nawet wtedy jednak nie oderwała rąk od załanej łzami twarzy. Wciąż wstrząsały nią dreszcze.

Wreszcie podniosła wzrok. Spodziewała się ujrzeć Keya nad sobą, w pozie triumfatora. Ze zdziwieniem spostrzegła, że jest w holu sama. Słabe światło dochodziło jedynie z kuchni. Wstała, odgarnęła z czoła włosy i ruszyła w tamtą stronę.

Key siedział przy stoliku i popijał parującą kawę. Znalazł też jej butelkę brandy.

Stała otwarta na szafce. Lara czuła woń alkoholu wymieszaną z aromatem kawy.

Gdy tylko spostrzegł, że weszła, kiwnął głową w stronę dzbanka z kawą.

- Chcesz, żebym ci nalał?

- Dziękuję, sama to zrobię - odparła zachrypniętym od płaczu głosem. Irytował ją fakt, że on najwyraźniej czuł się u niej jak u siebie w domu. Siedział tu w kuchni i rządził się niczym kwoka. Nie kto inny, tylko Key Tackett, jej zaprzysięgły wróg, proponował Larze jej własną kawę.

- Czujesz się lepiej?

Doszukiwała się w tych słowach ironii, lecz jego głos zabrzmiał najzupełniej poważnie. Skinęła potakująco głową, wzięła filiżankę i usiadła przy kuchennym stole. Kawa była naprawdę mocna.

- Teraz możesz już iść - powiedziała. - Poradzę sobie sama.

Puścił jej słowa mimo uszu, wstał i ściągnął z szafki butelkę brandy. Następnie znowu usiadł przy stole. Dolał nieco alkoholu do jej kawy.

Nie spuszczał wzroku z Lary. Ponownie ujął filiżankę w mocne, opalone dłonie.

Jego oczy wydały się przez moment Larze oczyma hipnotyzera.

- Czemu płakałaś?

Zaczesała włosy za ucho.

- To chyba nie twoja sprawa, prawda?

Pokiwał smutno głową i zaklął szeptem. Przyjrzała się poskręcany włosom na jego głowie. Rzadko je przycinał i równie rzadko rozczesywał. Pewnie każdy fryzjer miałby kłopoty z ułożeniem z nich jakiejś przyzwoitej fryzury.

Key spojrzał na nią ze złością.

- Nie dajesz mi szansy, abym się zachowywał jak sympatyczny facet, co?

- Nie jesteś sympatycznym facetem.

- A może próbuję się zmienić?

Spojrzała na niego kpiąco, co tylko spotęgowało jego irytację.

- Oszczędź sobie tych powłóczyстых spojrzeń, w porządku? Przynajmniej na mnie nie patrz w ten sposób. Czyżbyś zapomniała, jak się nazywam? Zgoda?

Tym razem to ona opuściła wzrok. Uznał to za zgodę i powiedział:

- Dzięki za to, co dziś zrobiłaś. Sam nie poradziłbym sobie za żadne skarby świata. To było straszne, a ty zachowałaś się jak profesjonalistka. Byłaś ... fantastyczna.

I raz jeszcze Lara zaczęła dopatrywać się ironii. Raz jeszcze bez powodzenia..

Wiedziała, że te słowa niełatwo przeszły Keyowi przez gardło. Zachowała się ordynarnie, gdyby nie przyjęła tego komplementu.

- Dziękuję - rzekła, a po chwili dorzuciła ze śmiechem: - Gdy ratuję komuś życie, wtedy daję z siebie wszystko. Dopiero potem puszczają mi nerwy.

Upłynęło nieco czasu, nim Key odezwał się ponownie. Spytał cichym, ciepłym głosem:

- Dlaczego płakałaś, Laro?

Poruszył ją nie tylko ton, ale i fakt, że zwrócił się do niej po imieniu. Wciąż się wahała, czy otworzyć przed nim serce. Choć właściwie czy to ma teraz wielkie znaczenie? - pomyślała. Przecież był świadkiem jej załamania.

Piekło ją w gardle. Odchrząknęła nim odpowiedziała.

- Myślałam o swojej córce.

- Domyślałem się tego. Mów dalej.

Odrzuciła w tył głowę.

- Gdy w grę wchodzi życie dzieci, to ... to często zawodzą mnie nerwy. Przypominam sobie o śmierci Ashley. To prawdziwy koszmar - dodała i wytarła nos w papierową chusteczkę. - Ostatnio zdarzyło się to dwa razy - kontynuowała.. - Najpierw z Letty Leonard. Teraz z Helen ... Poczulałam się strasznie.

Ujęła filiżankę z kawą. Nadal drżały jej dłonie. Odrobina alkoholu okazała się trafionym pomysłem.

Poczulała łagodne ciepło w przełyku i żołądku.

- Opowiedz mi o niej.

- O kim? O Ashley?

- Śliczne imię.

- Ona też była urocza. Wiem, każda matka mówi tak o swoim dziecku, ale Ashley naprawdę była bardzo ładna. Jasne włoski, niebieskie oczka, wyglądała jak aniołek. Miała okrągłą buzię i różowe policzki. To było takie dobre dziecko. Posłuszne. Prawie nie płakała, nawet jako niemowlę. I cudownie się uśmiechała. Przyznawali to nawet obcy ludzie. Po prostu ... promieniała - stwierdziła zamyślona. - Wszyscy uśmiechali się na jej widok. Wszystko wokół niej zdawało się jaśniejsze. Była słońcem w moim życiu.

Jej kawa ostygła. Objęła filiżankę dłońmi, jakby w ten sposób chciała zatrzymać w płynie resztkę ciepła.

- Kiedy przyszła na świat, byłam nieskończenie szczęśliwa. Randall poświęcił swój czas pracy.

Montesangre to okropny kraj. Nienawidziłam go. Nienawidziłam tamtejszego klimatu, tamtejszych ludzi.

Żyliśmy tam jak na wygnaniu. Był to fatalny okres w moim życiu. Myślałam, że gorzej już nie może się zdarzyć. Sądziłam tak do czasu, kiedy straciłam córkę. Wtedy zaczął się prawdziwy koszmar.

Urwała na chwilę, znowu czuła napływającą falę rozpacz. Z trudem przełknęła ślinę i przyłożyła dłoń do ust. Wtedy podjęła opowieść:

- Z Ashley dawało się wytrzymać nawet w tak parszywym miejscu. Karmienie jej sprawiało mi ogromną radość ...- Przyłożyła ręce do piersi, lecz zaraz spojrzała na Keya i opanowała się.

Siedział bez ruchu. Patrzył tylko i słuchał.

- No i umarła - dokończyła.

- Nie umarła. Została zamordowana.

Lara wzięła jeszcze jeden łyk zupełnie zimnej już teraz kawy. Odstawiła filiżankę na bok.

- Owszem. To różnica, prawda?

- Zasadnicza.

Oczekiwała, że Key powie coś jeszcze. On jednak uparcie milczał.

- I co? - zapytała. - Chcesz, żebym opowiedziała ci wszystko ze szczegółami?

- Czy chcesz? Nie, myślę, że to właśnie ty tego potrzebujesz.

Miała ochotę go zgromić, powiedzieć, by poszedł do diabła, słowa jednak więzły jej gardle. Nie starczyłoby ich na kłótnię. Ponadto on mógł mieć rację. Może rzeczywiście powinna się przed kimś wygadać.

- Jechaliśmy na przyjęcie - zaczęła. - Jeden z miejscowych bogaczy wydał ał urodzinowy na cześć swego dziecka. Nie miałam zbytnej ochoty w nim uczestniczyć, ale wiedziałam, że moja nieobecność zostanie potraktowana jako nieprzychylny gest. Gdybyś wiedział, jak się zachowują bogaci Montesangryjczycy, to pewnie sam wstąpiłbyś w szeregi rebeliantów. W każdym razie Randall nalegał i w końcu dałam za wygraną. Zdecydowałam się z nim pojechać. Wystroiłam Ashley w nową sukienkę. Żółtą. Było jej cudnie w tym kolorze. Na czubku głowy związałam jej wstążeczkę.

Mówiąc to dotknęła swoich włosów.

- Randall polecił zawieźć nas komuś z personelu ambasady - ciągnęła. - Sądził, że zrobi to dobre wrażenie. Sam zajął miejsce obok kierowcy. Ashley i ja siedziałyśmy z tyłu. Bawiłyśmy się w koci-koci-łapci. Ashley śmiała się i piszczała. Była taka radosna ...

Lara nie była w stanie kontynuować opowieści. Zamknęła oczy i ukryła twarz w dłoniach. Trwało to dłuższą chwilę. Potem wzięła się w garść i podjęła:

- Zatrzymaliśmy się na światłach przed skrzyżowaniem. Nagle wokół samochodu spostrzegłam gromadkę zamaskowanych, uzbrojonych partyzantów. Początkowo nie wiedziałam, co się dzieje. Wszystko stało się tak szybko. Nasz kierowca upadł bezwładnie na kierownicę. Strzelono mu z bliska prosto w głowę. Inny pocisk roztrzaskał przednią szybę i zranił Randalla. Kolejny ugodził Ashley. O tu ...

Dotknęła boku szyi.

- Jej krew bryznęła na moją twarz i piersi. Krzyknęłam i przykryłam ją własnym ciałem. I wtedy właśnie dostałam postrzał w bark. Prawie tego nie odczułam.

Urwała i zerknęła gdzieś w bok. Wiedziała, że spowiedzi bywają bolesne.

- Ludzie na ulicy podnieśli wrzask. Rzucili się do ucieczki, szukali jakiegokolwiek schronienia. Niewiele im jednak groziło. Rebelianci polowali na nas. Wywlekli ze środka Randalla. Krzyczał z bólu i przerażenia. Któryś z napastników uderzył go chyba pistoletem w skroń. Randall stracił wtedy przytomność, a oni zaciągnęli go do stojącej w pobliżu ciężarówki. Właściwie przeczytałam o tym w gazetach, już po jego śmierci. Wtedy cały mój umysł zajmowała tylko jedna myśl: że moje dziecko umiera. Wiedziałam to, lecz nie potrafiłam się z tym pogodzić. Krzyczałam, z rany ciekła mi krew. Próbowałam jakoś zatamować krwotok. Potem zjawili się inni ludzie w mundurach. Dostałam ataku hysterii. Siłą odebrali mi Ashley i przenieśli mnie do ambulansu. Więcej nie pamiętam. Gdy się przebudziłam, byłam już w szpitalu w Miami.

Nie zdawała sobie sprawy, że po policzkach ściekają jej łzy.

- Zasadzka, w którą wpadliśmy, zbiegła się z wybuchem rewolucji. Rebelianci zaatakowali także pałac, gdzie odbywało się przyjęcie. Urządzili tam krwawą łaźnię. Przeżyło ją ledwie kilkoro ludzi. Gdybyśmy dotarli na przyjęcie, zginęlibyśmy z pewnością. Nie wiem do dziś, dlaczego postanowili zaatakować nas oddzielnie, po drodze. Po tym, co się przytrafiło Randallowi, Stany Zjednoczone zamknęły swą ambasadę na Montesangre i natychmiast zerwały stosunki dyplomatyczne z nowymi władzami tego kraju. Rebelianci rozstrzelali Randalla i odesłali jego zwłoki do Stanów. Był to raczej pogardliwy niż humanitarny gest, ponieważ do tej makabrycznej przesyłki dołączyli też zdjęcia wykonane podczas egzekucji. Nie przestali jednak szczątków Ashley ani nawet fotografii jej ciała lub trumienki. Żadnego świadectwa zgonu. Niczego. Zignorowali wszelkie żądania Waszyngtonu w tej kwestii. W końcu Biały Dom machnął ręką. Wciąż wysyłałam petycje do prezydenta, ale otrzymywałam odpowiedź, że sprawa została zamknięta ... O Boże

- ponownie zasłoniła dłońmi twarz - moje dziecko ciągle tam jest. Nie widziałam po tamtych wypadkach jej ślicznej buzi. Nie pocałowałam jej nawet na pożegnanie. Leży gdzieś tam w tej okrutnej ziemi. To jest...

- Już dobrze, Laro. - Key momentalnie znalazł się przy jej krześle i zaczął ją gładzić po włosach. - Ty niczemu nie byłaś winna. Wiem, to straszny koszmar, ale Ashley przynajmniej nie cierpiała...

- Tak, cierpiałam tylko ja i Bogu dzięki za to. Tylko że ten ból był nie do zniesienia. Nie mogę się z niego otrząsnąć ... To takie okrutne. Chcę odzyskać swoje dziecko!

- Przestań już. Nie rań samej siebie. Objął ją ramieniem i pomógł wstać.

Instynktownie chwyciła palcami materiał koszuli Keya i przytuliła twarz do jego piersi.

- Nigdy tego nie zapomnę. To jak okropny film, z którego usunięto niektóre ujęcia.

Tak, tak, z pewnością działy się ważne rzeczy, o których nie mam pojęcia. Czasem, gdy zamykam oczy, widzę jak przez mgłę pewne obrazy, które natychmiast gdzieś znikają. Zupełnie jakbym sama odpychała je od siebie. Jakbym się ich bała ...

- Ciii... już w porządku. Wszystko się skończyło i jesteś bezpieczna.

Szeptał jej te słowa we włosy, a potem musnął ustami jej brwi. Lara rozkoszowała się chwilą. Pomyślała, jak dobrze znaleźć się w trudnym momencie w ramionach kogoś silniejszego. Nikomu dotąd nie mogła zwierzyć się ze swoich smutków. Nie mogła powiedzieć tego wszystkiego rodzicom, którzy obwiniali ją za każde z nieszczęść, w tym także za śmierć Ashley. Przyjaciele opuścili Larę, gdy gazety nazwały ją kochanką senatora Clarka. Przez lata sama dźwigała to brzemię. I naraz ktoś podał jej pomocną dłoń. Choć przez chwilę była w stanie odczuwać z tego powodu ulgę.

Key ujął palcami jej podbródek, nachylił głowę i dotknął ustami jej warg.

- Nie płacz już, Laro - wyszeptał i ponownie musnął jej usta. - Nie płacz.

A potem pocałował ją gorąco i namiętnie.

Lara przymknęła ociężałe powieki. W jej ciele rozpętała się burza. Podała się temu świadomie. Jej wyobraźnię wypełniły miłosne obrazy. Obudziło się w niej pierwotne JOżądanie, o którego istnieniu niemal zapomniała.

Instynktownie objęła go mocniej ramionami i w kobiecym geście przywarła do Keya biodrami.

Posłyszała jego ciche słowa, które dobiegały jakby z zaświatów, lecz nie pojmowała ich znaczenia.

Poczuła jego dłonie na swych plecach, pośladkach, biodrach. Przyciągał ją ku sobie bliżej. Jeszcze bliżej.

Nagle coś ją tknęło i wyrwało ze świata gorących marzeń do zimnej rzeczywistości.

Odsunęła się raptownie od Keya i odwróciła doń tyłem. Czuliła, że nogi mogą odmówić jej posłuszeństwa, więc oparła się o szafkę. Wzięła kilka głębokich oddechów, na próżno usiłując stłumić pożądanie wstrząsające jej ciałem.

- Zabierz mnie tam - powiedziała .

Nie odezwał się .

Zwróciła się ku niemu twarzą.

- Weź mnie tam - powtórzyła. - Muszę się dowiedzieć, co się stało z moim dzieckiem. Muszę zobaczyć świadectwo jej zgonu i dotknąć ziemi, w której ją pogrzebano. Mieć coś po niej ...

Nadal patrzył na nią bez wyrazu.

- Muszę ją pożegnać ... Po to właśnie urządzi się pogrzeby. Do licha! Powiedz coś wreszcie.

- Nie kłamałaś. Ty naprawdę zamierzasz tam powrócić.

- Tak. A ty mnie tam zawieszysz .

Złożył ramiona na piersi.

- Czemu miałbym robić coś tak głupiego?

- Bo jesteś bystry i wiesz, że mam rację. To Clark posłał Randalla na Montesangre. Tchórzostwo i machinacje polityczne twego brata doprowadziły do śmierci mojego dziecka.

- Dyskusyjny pogląd - odparł. - A więc postanowiłaś wzmocnić swe racje dodatkowym argumentem: oczarować mnie pocałunkiem, tak?

Oblała się rumieńcem.

- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

Parsknął ironicznie.

- Wiesz co? Jesteś taka, jak przypuszczałem. Właściwie to nawet przeszłaś moje oczekiwania. Uważałaś pewnie, że wystarczy jeden całus i będę gotowy na każde twoje zawołanie?

Obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem i ruszył ku drzwiom.

- Poszukaj sobie innego frajera. Nie mam ochoty na wakacje w jakimś gównianym kraju, w którym w dodatku trwa wojna. I z całą pewnością nie interesuje mnie pieprzenie dawnych panierek Clarka.

*

Był wściekły. Pędził do domu jak szalony swym ekscentrycznym lincolnem, którego stary silnik ryczał jak stado bawołów. Po raz kolejny Key rozgniewał się na Larę.

Tyle że tym razem zły był również na siebie. Nigdy nie miał zwyczaju analizować swych zachowań lub za nie przeproszać. Teraz zżerało go jednak poczucie winy, gdyż pragnął kochanki swego zmarłego brata. Gdyby znalazł się z nią sam na sam w jakichś innych okolicznościach, to pewnie odruchowo wyskoczyłby z butów i ze spodni.

Jezu - pomyślał. Chyba trzeba nie mieć za grosz charakteru, by lecieć na babsko, które przyczyniło się do upadku Clarka. Jody miała najwyraźniej rację. Kto lepiej zna dziecko niż własna matka? Sam był zepsuty do szpiku kości, tak jak jego staruszek. Uganiał się jak wariat za kieckami. Jeszcze teraz czuł na języku smak ust Lary Mallory.

Kiedy dorastał, wszystkie rzeczy dzielił z Clarkiem. Nosili te same swetry, używali tych samych wód kolońskich, kopali tę samą piłkę. Ale nigdy im się nie zdarzyło mieć wspólnej kobiety: małolaty ze szkoły czy dziwki.

To milczące porozumienie przetrwało wiele lat. Nie rywalizowali ze sobą na tym polu. Zdawało się, że pod tym względem mieli całkiem odmienne gusta. Key nigdy nie przymierzał się do dziewczyn, które wcześniej umawiały się z Clarkiem, jego brat zaś postępował tak samo. I dlatego właśnie nagłe pragnienie zdobycia Lary Mallory tak go zdumiewało i irytowało jednocześnie. Naruszało jedną z niewielu zasad, których przestrzegał.

Pożądanie kobiety, która splamiła reputację Clarka, która zrujnowała jego karierę, wydawało mu się rzeczą grzeszną. Nie tyle jednak to powodowało jego złość, ile własna głupota.

Właśnie. Zachował się jak jakiś cholerny romantyk, kiedy opowiedziała mu swą łzawą historyjkę. Zrobił jej kawę. A potem posunął się dalej i wziął ją w ramiona. Pocałował ją.

- Cholera! - zaklął i wyrznął pięścią w kierownicę.

Pomyślał, że ona pewnie wciąż się śmieje, świadoma pożądania, jakie w nim wzbudziła. Kobiety zwykle nie pozwalają się tak całować, jeżeli nie są pewne męskiej reakcji. No tak, wybrała właściwy moment na to, by wspomnieć o wyprawie na Montesangre. Chyba pomyślała, że już owinęła go sobie wokół palca i Key poleci z nią choćby na Marsa, jeśli go o to poprosi.

Wymyśl coś innego, lekareczko - pomyślał uśmiechając się pod nosem. Przepadał za kobietami, ale nie tracił głowy nawet w chwilach najwyższych uniesień.

Z drugiej strony, kiedy odchodził, nie sprawiała wrażenia wyrachowanej. Wydawała się wręcz zawstydzona, zmieszana, upokorzona nawet. Mówiąc szczerze, historia śmierci jej córki naprawdę była wzruszająca. Nadal nie ufał Larze, ale zapewne cierpiała szczerze opowiadając o zabójstwie Ashley. Śmierć dziecka wstrząsnęła nią i Lara do końca jeszcze nie otrząsnęła się z szoku.

Przypomniał sobie jej słowa - o tym, z jaką radością karmiła córeczkę, jak ludzie uśmiechali się na widok Ashley.

Pewnie uwielbiała swe dziecko. I jego utratę przeżyła jeszcze boleśniej niż brutalną ~gzekucję Randalla Portera. No tak, jeśli wziąć się pod uwagę cały skandal, w który zamieszany był Clark, to małżeństwo Portera i Lary zapewne nie opierało się już wtedy na mocnych podstawach. Sama przyznała, że czuła się piekielnie nieszczęśliwa na .. 1ontesangre. Sytuację poprawiły dopiero narodziny córki. Przyjście na świat Ashley stanowiło chyba dla Lary pociechę, znak odnowionej łaski Bożej. Utraciwszy Clarka, .?rzelała całą miłość i troskę na dziecko.

Naraz Key zdjął stopę z pedału. Lincoln zaczął stopniowo zwalniać. Key spojrzął na wschód, gdzie powoli rąbek nieba rozjaśniały pierwsze promienie słońca .

W głowie brzmiały mu wciąż słowa Lary. Odbijały się echem po jego czaszce:

Ashley miała jasne włoski i niebieskie oczka.

Wszyscy uśmiechali się na jej widok.

Key nie musiał długo grzebać w pamięci, by przypomnieć sobie, kogo opisywano w podobny sposób.

Jego własnego brata, Clarka Tacketta.

- Sukinsyn - szepnął hamując raptownie i zdejmując dłóilie z kierownicy. Ukochana córeczka Lary Mallory, Ashley, była dzieckiem Clarka.

15

Ollie Hoskins przyszedł do pracy i zaraz wziął się ścieranie kurzu z półki, na której stały puszkki z fasolą i wieprzowiną, marynow papryką i tuńczykiem. W supermarkecie zajmował jedno z kierowniczych stanowisk i mógł zlecić to zajęcie któremuś z pracujących tu chłopaków - a jednak uwielbiał robić to sam. Wprost przepadał za prostymi czynnościami, przy których mógł myśleć o czymś zupełnie innym.

Przez piętnaście lat służył w marynarce wojennej, a potem postanowił rozejrzeć za innym zajęciem.

Długie miesiące na morzu dawały mu się coraz bardziej we znakiPoza tym nie pragnął wcale awansu na oficera. Uważał, że lepiej wypełniać rozkazy je wydawać.

Pewnej wiosny dostał przepustkę i spędził ją w Galveston. Tam poznał na p młodą kobietę, zakochał się w niej i już po miesiącu był jej mężem. To ona właśnie przekonała go ostatecznie do wystąpienia z marynarki i przeprowadzki do rodzinnego miasteczka - Eden Pass.

Ollie dotąd nie wiedział, czy żałować tego kroku, czy nie. I teraz też o tym myślał przebiegając wzrokiem półki zastawione mąką, cukrem, przyprawami i proszkami pieczenia. Rodzina jego żony nie przyjęła go z otwartymi ramionami. Ollie pochodził przecież "z Północy" , a jego teściowie tradycyjnie nie przepadałi za Jankesami. Nie ~przynajmniej emigrantem, więc jakoś go tolerowali.

Minęło dwadzieścia lat i przez cały ten czas nie zdołał przełamać niechęci rodzi żony. A czy ją samą kochał jeszcze? Chyba już nie. Proza życia zdeptała wąły miłości. Jedynie Tanner, ich chłopak, wiązał ich ze sobą.

Matka Tannera demonstracyjnie okazywała uczucia synowi. Zajmowała się niczym małym, nieporadnym dzieckiem. Była dumna, że Tanner chodzi z Heather Winston. Fakt, że jej syn był chłopakiem najładniejszej dziewczyny w okolicy naprawdę ją radował.

Ollie nie miał nic przeciwko Heather. Uważał ją za miłą, grzeczną i ładną osobę. Chciał po prostu, by Tanner nie zabrnął za daleko. Wolałby mieć pewność, iż jego syn nie zmarnuje swojej przyszłości - zostając zbyt wcześnie tatusiem.

Często spoglądał na Tannera i zastanawiał się, jakim cudem on sam i jego niezgrabna żona spłodzili takiego przystojnego i zwinnego chłopaka. Tanner był wyrostowany - wprost stworzony do kariery sportowca. Wszyscy krewni podziwiali go i zapewniali o swej sympatii - zapominając jakby, że Tanner zawdzięcza życie krzywoniemu Olliemu.

Ollie nie miał zwyczaju przejmować się bzdurami. Tanner był jego synem. Trzymał niego kciuki na każdym meczu szkolnej drużyny. Tanner wybijał się z każdym miesiącem na lokalną gwiazdę.

Ollie brał się właśnie do odkurzania pudełek z kawą i herbatą, kartonów z ciastkami puszek z napojami, gdy zobaczył dwie kobiety wchodzące do sklepu. Młodsza pchała wózek na zakupy, a starsza czytała coś z kartki.

- Dzień dobry, panno Janellen. Witam, pani Tackett - powiedział uprzejmie. - Jak się panie dziś miewają? - W jego, mimo tylu lat spędzonych w Eden Pass, wciąż pobrzmiwał północny akcent.

- Dzień dobry, panie Hoskins - odpowiedziała mu Janellen.

- Ollie, powiedz rzeźnikowi, żeby wybrał nam trzy porządne steki. Tylko ładne, z tłuszczu. Ostatnim razem wyjątkowo się nie popisał.

- Przepraszam panią najmocniej, pani Tackett. Postaram się, by tym razem wszystko było w jak najlepszym porządku.

Pomyśleć, że o ile od Janellen zawsze można było spodziewać się uśmiechu, o tyle Jody Tackett najczęściej pluła żółcią. - Miło panie widzieć - skłamał.

- Czyżby?

Nie miał nic złego na myśli. Ale Jody wszystko brała do siebie i doszukiwała się podtekstów. Poczut nagle, że krawat zaczyna uwierać go w szyję.

- Słyszałem, że nie czuła się pani dobrze ostatnimi dniami. No ale to pewnie zwykłe plotki.

- Czuję się znakomicie. Jak sam widzisz.

- Już dawno nie robiłam zakupów z mamą. - Janellen starała się trochę rozładować napiętą atmosferę. - Chyba możemy obsłużyć się same.

- Bardzo mi miło. Porozmawiam z rzeźnikiem na temat tych steków.

Odłożył pierzastą szczotkę, odwrócił się i ruszył przed siebie. Naraz wpadł na inny wózek.

- Doktor Mallory! - zawołał.

- Witam, panie Hoskins .. Jak się pan ma?

- Świetnie ...

Boże, miej mnie w opiece - pomyślał. Jody Tackett i Lara Mallory zaraz staną oko w oko. Nie miał ochoty być świadkiem tej sceny.

- Czy zwróciła pani uwagę na te arbuzy, doktor Mallory? - spytał. - Przywieziono je rano z południowego Teksasu.

- Obawiam się, że nie kupię całego arbuza. Nie zjem go sama.

- Pokroję jedną sztukę i sprzedam pani część.

- Nie, dziękuję. Wolę inne owoce.

Uśmiechnęła się promiennie i serce Olliego na chwilę szybciej zabiło. Wbrew temu, co powiada się na temat marynarzy, on sam nigdy nie uganiał się za spódniczkami. Musiał jednak przyznać, że doktor Mallory to piękna kobieta. Faceci z pewnością oglądali się za nią. Pewnie nie bez kozery szeptano o niej w Eden Pass: kusicielka.

Olliemu nie pasowała na ładacznicy. Była sympatyczna, lecz nie próbowała się zalecać. Może po prostu nie wpadł jej w oko, ale kokietki zwykle zaczepiały wszystkich mężczyzn. Choćby matka Heather. Miał nadzieję, że dziewczyna Tannera nie wdała się w Darcy. Tanner to dobry chłopak, ale pewnie nie potrafiłby opierać się zbyt długo damskim wdziękom. A to mogło pociągnąć za sobą kłopoty.

- Proszę mi powiedzieć, w czym mógłbym pomóc, pani Mallory.

- Dziękuję, panie Hoskins.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób zapobiec nadciągającej katastrofie. Zastanawiał się, czy powinien powiedzieć Larze, że tylko wysokie stoisko odgradza ją od Jody Tackett. Miał nadzieję, że Lara nie

zechce nagle kupić kawy albo herbaty. Lecz ona pchnęła swój wózek w kierunku naj gorszym z możliwych. Modlił się w duchu, by nie przypadła mu w udziale rola arbitra i rozjemcy, gdy obie kobiety skoczą sobie do oczu.

I stało się. Przez kilka chwil panowała zagadkowa cisza, a potem Ollie usłyszał głos Lary:

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, doktor Mallory - odpowiedziała Janellen nieco onieśmielona.

- Miło mi, że czuje się pani już lepiej, pani Tackett - Lara zwróciła się uprzejmie do Jody. Nie słysząc odpowiedzi, dodała: - Kilka razy dzwoniłam do pani. Miałam nadzieję, że porozmawiamy.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia - odparła zjadliwie Jody Tackett.

- Chodźmy, Janellen.

- Proszę mi wybaczyć, pani Tackett, ale jestem innego zdania. Chciałabym porozmawiać na temat Ciarka.

- Idź do diabła.

- Mamo!

- Milcz, Janellen! Idziemy.

- Ależ proszę, pani Tackett... Pani Tackett?

Uprzejmy ton głosu Lary przeszedł w zdumienie, a potem dał się w nim słysze najwyższy niepokój.

- Mamo! - krzyknęła Janellen.

Ollie Hoskins wyczuł, że dzieje się coś złego. Ruszył pędem w kierunku kobiet strącając przypadkowo z półki kilka kostek masła. Po chwili ujrzał Jody Tackett wiszącą bezwładnie na swym wózku. Rozpaczliwie usiłowała zachować równowagę. Wózek potoczył się jednak naprzód i Jody zvaliła się na półkę zastawioną puszkami z herbatą "Lipton' ". Na posadzkę upadło też parę szklanych dzbanków, roztrzaskując się z brzękiem. Jody osunęła się na podłogę.

Janellen natychmiast przyklękła obok niej.

- Mamo! Mamo! - wołała rozpaczliwie.

Lara Mallory nie traciła ani chwili. Znalazła się przy Jody, nim Ollie zdążył mrugnąć okiem.

- Dzwonić po pogotowie! - krzyknęła do niego. - Potrzebna tu karetka. Zareagował natychmiast, jak podkomendny, który otrzymuje do spełnienia arcyważny rozkaz. Odwrócił się i pobiegł do telefonu. Na miejsce wypadku zbiegł się natomiast tłumek ciekawskich, zaalarmowanych krzykami Janellen. Ollie wrócił po minucie zlecił ludziom cofnąć się nieco, tak by doktor Mallory miała łatwiejszy dostęp do pani Tackett.

- Proszę przytrzymać jej ramię. Mogła zostać złamana kość. Janellen z trudem wzięła się w garść i uczyniła to, co kazała jej Lara. Ta zaś otworzyła swą torbę i wyjęła z niej dziwny niewielki przedmiot, który następnie wcisnęła Jody w usta.

- Już w porządku - powiedziała do Janellen. - Teraz nie udławi się swoim językiem. Może swobodnie oddychać.

- Ale ona zaczyna sinieć!

- Tlen dociera już do płuc. Proszę nadal przytrzymywać jej ramię. Panie Hoskins, wezwał pan ambulans?

- Tak jest, proszę pani - odrzekł bezzwłocznie Ollie. - Czy mam zrobić coś jeszcze?

- Niech pan odnajdzie mego brata - odezwała się Janellen. - I ściągnie go tutaj. W kącikach ust Jody pojawiła się spieniona ślina. Nadal drżały jej nogi. Janellen z całej siły ścisnęła jej rękę. Oddech Jody był jednak niepokojąco nierówny. Ollie zastanowił oczyścić miejsce z gapiów.

- Ludzie, odejdźcie stąd!

Naturalnie nikt się nawet nie poruszył. Ollie musiał więc przeciskać się przez tłum, by ponownie dotrzeć do telefonu. Wiedząc, że Key Tackett jest pilotem, zadzwonił najpierw na miejscowe lotnisko. Nie złapał tam Keya, lecz Balky Willis podał mu numer przenośnego telefonu Tacketta.

- Wziął go ze sobą. Był tu jeszcze przed kwadransem.

Po upływie dwudziestu sekund w słuchawce rozległ się głos Keya:

- Słucham.

- Pan Tackett? - spytał nerwowo Ollie. Nigdy nie miał osobiście do czynienia z Keyem, ale słyszał opowieści tych nieszczęśników, którym się to przytrafiło. Nawet jego krewni, wojowniczy jak jelenie na rykowisku, mówili o młodym Tacketcie z respektem i uznaniem.

- Tu Ollie Hoskins z ...

- Czołem, Ollie. Widziałem na meczu twojego synalka. Rośnie z niego świetny gracz.

- Dziękuję. Panie Tackett, pańska matka upadła i...

- Upadła?
- Właśnie. Pańska siostra i ...
- Czy wszystko z nią w porządku?
- Niestety nie. Wezwaliśmy karetkę pogotowia.
- Już do was jadę.

Ollie odłożył słuchawkę i podążył z powrotem. Nie mógł pokonać gęstniejącego tłumu.

- Przepraszam. Pozwólcie mi przejść. Proszę się odsunąć - mówił ostrym, wojskowym tonem. Wkrótce stanął tuż za plecami Lary Mallory.

- Czy ona miała zawał? - Janellen zapytała Larę z obawą w głosie.
- Być może. Testy to wykażą. Czy wcześniej zdarzyło się coś podobnego?
- Nie.

Lary nachyliła się ku Jody i powiedziała:

- Pani Tackett, karetka już w drodze. Proszę być dobrej myśli.
- Jody wreszcie złapała w miarę równy oddech. Nogi przestały jej drżeć. Spojrzała na lewo i prawo, jakby chciała połapać się w sytuacji. Lara wyciągnęła z jej ust plastikowy ochraniacz. Zobaczyła na nim ślady po mocno zacisniętych zębach. Chusteczką otarła ślinę z podbródka Jody.
- Miała pani atak, ale najgorsze już minęło.
- Mamo! Jak się czujesz? - zapytała Janellen zaciskając dłonie.
- Będzie oszłamiona jeszcze przez kilka minut - wyjaśniła Lara. - Potem to minie.
- Przepuście mnie! I na co się tak gapicie? Nie macie nic lepszego do roboty? Zabierajcie się stąd, do jasnej cholery!

Gromada gapiów natychmiast rozstała się przed Keyem. Ollie zwrócił się doń: - Musiał być pan gdzieś w pobliżu, skoro zjawił się tak szybko.

- Dzięki, że zadzwoniłeś, Ollie. Wyrzuć stąd tych ludzi, dobra?
- Tak jest. - Ollie o mało mu nie zasalutował. - W porządku, słyszeliście wszyscy, co powiedział pan Tackett. Rozejdźcie się.
- Key! Bogu dzięki! - zawołała Janellen. - Mama miała atak.
- Jody? - Key odezwał się do matki.
- Nie pozwalajcie jej mnie dotykać.

Przyklęknął przy Jody i spojrzał na Larę z niepokojem.

- Co jej się stało?
- Tak jak mówiła twoja siostra: miała atak. Dostyc ciężki, ale mogło skończyć się gorzej.
- Wezwali dla ciebie ambulans, Jody - powiedział cichym, pewnym głosem.
- Zaraz tu będzie. Trzymaj się.
- Weźcie ją ode mnie. Nie chcę, żeby mnie dotykała.
- Mówiła ochryłym głosem, lecz wszyscy ją zrozumieli.
- Doktor Mallory uratowała ci życie, mamo - stwierdziła łagodnie Janellen. Jody starała się usiąść, ale bez powodzenia. Wbiła w Larę mordercze spojrzenie.
- Było bardziej wymowne niż najgorsze nawet słowa.

Key odwrócił głowę w kierunku Lary.

- Odejdź - powiedział. - Ona nie chce cię widzieć. Pogarszasz tylko sytuację.
- Key, gdyby nie ... - zaprotestowała Janellen.
- Ależ ... - zaczęła także Lara.
- Słyszałaś, co ci powiedziałem - warknął. - Zejdz jej z oczu.

Patrzyli na siebie wrogo przez chwilę, która Olliemu zdała się wiecznością. W końcu doktor Mallory wstała.

Była najwyraźniej wstrząśnięta. Drżał jej głos:

- Twoja matka jest ciężko chora i wymaga opieki medycznej.
- Jednak to nie ty się nią zajmiesz.

Ollie drgnął, choć przecież te słowa, wypowiedziane mrozącym krew w żyłach "nnem, nie zostały skierowane do niego.

- Dziękuję pani, doktor Mallory - powiedziała cicho Janellen. - Zaopiekujemy się teraz mamą sami.
- A więc tak po prostu odrzucili jej pomoc. Odwróciła się od Tackettów i ruszyła ku wyjściu. Gapie rozstąpili się przed nią, jak wcześniej przed Keyem. Nie wróciła już po swój wózek z zakupami.
- Ollie długo patrzył za nią. Czuł, że nabiera do niej coraz większego szacunku. Była kobietą z klasą. Odchodziła z dumnie uniesioną głową. Nie spieszyły jej ciekawe spojrzenia gapiów. Postanowił, że osobiście dostarczy jej zakupy, kiedy tylko skończy się całe to zamieszanie.

Po chwili dało się słyszeć wycie syreny. Do sklepu wbiegli sanitariusze. Przenieśli panią Tackett na noszach do oczekującego na zewnątrz ambulansu. Karetka na sygnale ruszyła następnie do szpitala, a jej śladami podążył żółty lincoln z Keyem i Janellen środkiem.

Zaczęło się porządkowanie porzucanych towarów. Puszki z herbatą trafiły z powrotem na właściwe półki. Klienci półgłosem zaczęli wymieniać między sobą uwagi na temat wypadku, którego byli świadkami, i informować o zdarzeniu nowo przybyłych. Rozmawiano głównie o stanie zdrowia Jody Tackett.

Niektórzy twierdzili, że to twarda kobieta i z pewnością dożyje setki. Inni upierali się, iż Jody już stoi nad grobem. Zastanawiali się głośno nad przyszłością Tackett Oil- czy Key zdecyduje się pozostać w Eden Pass po ewentualnej śmierci matki, czy może to Janellen weźmie na siebie obowiązki związane z prowadzeniem interesu? Każdy miał odmienną opinię na ten temat.

Zawodowi plotkarze zajęli się tego dnia głównie osobą Lary Mallory i nienawiścią, jaką w stosunku do niej żywiła Jody. Przypomniano sobie na nowo o romansie lekarki z senatorem Clarkiem Tackettem.

Ollie pogardzał złośliwymi językami. Uważał prywatnie, że Larze Mallory nie podziękowano jak trzeba za to, co dzisiaj zrobiła. Mogła przecież stać z boku i obserwować, jak stara nieprzejednana Jody Tackett dusi się własnym językiem.

Sama Lara zaś podziękowała mu wylewnie, kiedy tego popołudnia przyniósł jej do domu zakupy. Była szczerze wzruszona. Zapropnowała mu w zamian za fatywę zimnego drinka. Być może dawniej istotnie się łajdaczyła - pomyślał

*

- Uwierzyć w to? Jody zwała się na podłogę w sklepie, toczyła pianę z ust, rzucała nogami jak w padaczkę ... Miała jednak dosyć siły, żeby pogonić stamtąd Larę Mallory.

Gospodyni Winstonów przygotowała na obiad kurczaka z sałatką. Darcy jednak więcej gadała, niż jadła. Za to Fergus pochłaniał drób niemal w kompletnym milczeniu.

Heather raczej nie przepadała za mięsem, a sałatka wyglądała dla niej, jak potrawa, którą już raz próbował strawić. Babrała więc tylko widelcem po talerzu i udawała, że je. Przyjmowała już pigułki antykoncepcyjne i poważnie się obawiała się, że za tydzień. Przeliczyła więc w głowie każdą potrawę na kalorie.

Nadto nie podobało jej się, że matka z takim upodobaniem plotkuje o nieszczęściu, które przytrafiło się Jody Tackett. To odebrało jej resztki apetytu. Darcy z niesmacznym entuzjazmem rozwodziła się nad szczegółami wypadku. Nawet tymi, o których wypadało wspominać.

- Złała się w gacie. Jody Tackett złała się w gacie. Słyszycie? - zachichota Darcy. - Niebyłe, jak to mówią.

- Raczej "niebawale", Darcy - poprawił Fergus. - Poza tym nie należy o takich rzeczach rozwodzić się przy stole.

Heather wzięła do ręki szklanekę z mrożoną herbatą.

- Tato Tannera powiedział, że doktor Mallory uratowała Jody Tackett życie. Na miejscu pozwoliłabym zdechnąć tej starej suchotnicy.

Darcy uderzyła widelcem w talerz.

- Oto jak się wyraża dobrze wychowana młoda dziewczyna! Te twoje ciągłe pochwały pod adresem Lary Mallory robią się denerwujące, Heather.

- Wcale jej nie wychwalam. Myślę sobie tylko, jaka głupia jest ta Jody Tackett - skoro odepchnęła od siebie lekarkę. Chyba kiedy ktoś tonie, to chwytą się na brzytwy, no nie? Gdy grozi śmierć wtedy lekarz, którego się nie lubi, jest lepszy żaden, prawda?

- Nie w przypadku Jody Tackett - odezwał się Fergus. - Ta kobieta ma serce twardsze niż granit.

Osobiście przyznam ci rację, Heather. Pozwoliłabym jej wyzionąć ducha.

- Jak zwykle zmawiacie się oboje przeciwko mnie. - Darcy zezłoszczona odsunęła od siebie talerz.

- Czyżby? - zapytał Fergus, lekko poirytowany. - Nic podobnego. Nikt tu nie zmawiał. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Przyśniło mi się - zadrwiła Darcy. - Zwyczajnie nie mogę już patrzeć, jak Lara Mallory staje się bohaterką w oczach Heather.

- Czy mogę już iść? - zapytała dziewczyna znudzonym głosem.

- Nie możesz! Prawie nie tknęłaś jedzenia.

- Bo nie jestem głodna. Poza tym kurczak jest strasznie tłusty.

- Na twoim miejscu cieszyłabym się, że ktoś gotuje dla mnie obiady. Gdy sama byłam w twoim wieku, nie miałam tak dobrze!

- Och, mamo, proszę cię ... - jęknęła Heather i pomyślała, że znowu będzie zmuszona wysłuchać łzawej historii o trudnym dzieciństwie matki.

- Jeśli nie jest głodna, to niech nie je - stwierdził Fergus.
 - Jasne. Na wszystko jej pozwalasz.
 - Dzięki, tatusiu. Zjemy coś z Tannerem później.
 - Znowu wychodzisz wieczorem z Tannerem? - zainteresował się Fergus.
 - No pewnie. - Heather spojrzała na matkę i uśmiechnęła się ch
 - Jesteśmy już oficjalnie razem.
 - Razem?
 - Chodzą ze sobą - wyjaśniła niecierpliwie Darcy, wpatrując się przenikliwie w córkę. - Nie powiem, bym była tym zachwycona.
- Heather wytrzymała spojrzenie matki i wzięła łyk herbaty. Pigułki antykoncepcyjne . łyły pomysłem Darcy, ale wyszły na korzyść dziewczynie. Mogła teraz przypominać matce, że randki z Tannerem z pewnością nie będą mieć żadnych złych konsekwencji.
- Tymczasem Darcy nie chciała dyskutować na ten temat w obecności Fergus. On sam nie miał przecież większego pojęcia o antykoncepcji i pewnie doznałby szoku, gdyby się dowiedział o wizycie Heather u doktor Manory. Fergus był tradycjonalistą i uważał, że na seks przychodzi czas dopiero po ślubie. Heather z przyjemnością patrzyła na bezsilną wściekłość matki. Dawała jej do zrozumienia, że już wie, na czym polega miłość fizyczna. W rzeczywistości nie pozwoliła jeszcze Tannerowi na wszystko. Nie dlatego, że go nie kochała lub że bała się nie chcianej ciąży. Nie lękała się już także rodziców. Powód był inny: nie chciała stać się repliką swej matki.
- Tanner nadal pozostawał wyrozumiały i słodki. Od tamtej nocy nad jeziorem, gdy przytrafiło mu się niepowodzenie, nie naciskał jej ani nie próbował do niczego zmusić. Cieszył się pieścizotami, na jakie mu zezwalała, i nie prosił o więcej.
- Heather pozostawała ciągle aniołkiem Fergus. Pragnęła, by ten stan trwał jak najdłużej. Związek z matką bowiem bardzo się popsuł ostatnimi czasy. Stały się po przeciwnych stronach barykady.
- Nie miałem pojęcia, że uczyniłaś sobie idola z doktor Manory, Heather - stwierdził Fergus i łyżeczką zamieszał kawę. - Nie przypuszczałem nawet, że ją znasz.
 - Matka zabrała mnie do niej. Nie powiedziała ci?
 - Na kontrolę - wyjaśniła pospiesznie Darcy. - Powinna przejść ogólne badania, zanim zacznie się szkoła. Pomyślałam sobie, że nie ma sensu jeździć za miasto do innego lekarza z powodu tego dawnego skandalu ... romansu pani Manory z Clarkiem Tackettem. Kto by się tym przejmował? To przecież stara historia. Poza tym każdy wróg Jody Tackett to twój przyjaciel, prawda?
 - Muszę przyznać, że doktor Manory wykazała sporo tupetu sprowadzając się do Eden Pass. Ona wali prosto z mostu. Podoba mi się to - rzekł Fergus.
 - Rozmawiałaś z nią? Kiedy? - dopytywała się Darcy.
 - Wczoraj. Chce wystąpić w szkole z odczytem na temat higieny życia seksualnego. Sądzę, że ten pomysł jest nieco zbyt radykalny jak na Eden Pass, ale obiecałem, że jej argumenty zostaną wysłuchane na spotkaniu rady szkolnej w przyszłym tygodniu .
- Przez kilka chwil Darcy patrzyła na niego bez słowa.
- Masz rację, Fergus. Ona ma tupet. Przyłapano ją na zdradzie małżeńskiej. I ma jeszcze czelność występować z wykładami na temat...
 - Podkreśliła, że nie będzie mówić o moralnym aspekcie zagadnienia. Pragnie jedynie ostrzec młodzież przed chorobami przenoszonymi drogą płciową.
 - Ciekawe, co na to powiedzą tutejsi duchowni. I nie myśl, że problem chorób wenerycznych da się oddzielić od moralności. Ona powiedziała Heather, że zawsze powinna mieć pod ręką prezerwatywę.
 - Wcale nie tak! - zaprotestowała córka.
 - Dosłownie. Nim się zorientujemy, dzieciaki zaczną przynosić do szkoły gumki i odstawiać szybkie numerki na przerwach.
 - Darcy, bardzo cię proszę! - warknął Fergus. - Heather nie powinna tego słuchać.
 - Fergus, obudź się i przejrzyj na oczy. Dzisiaj małolaty wiedzą wszystko o tych rzeczach. Jak Lara Mallory zapali dla nich zielone światło, to zaczną się pieprzyć jak zające!
- Fergus wzdrygnął się.
- Ależ ona nie będzie zachęcać młodzieży do uprawiania seksu. Opowie im tylko o możliwych konsekwencjach.
 - O rany boskie! Widzę, że całkiem zamieszała ci w głowie. Powiem ci, do czego zmierza Lara Mallory. Pragnie, by młode dziewczęta w okolicy zachodziły w ciążę. Wtedy zrobi się ruch w jej gabinecie.
 - Mamo, chyba żartujesz.

- Zamknij się, Heather! Rozmawiam teraz z twoim ojcem.
- Ale przekręcasz słowa doktor Mallory. To nieuczciwe.
- Siedź cicho i nie wtrącaj się, kiedy dyskutują dorośli.

W owej chwili Heather poczuła, że nienawidzi swej matki i że pragnie udowodnić jej hipokryzję. Kochała jednakże ojca i dlatego milczała. Darcy zdawała sobie z tego sprawę i nie omieszkała wykorzystać sposobności. Teraz to właśnie ona uśmiechała się chytrze. Heather wstała od stołu i bez słowa wybiegła z jadalni.

Usłyszała jeszcze za sobą głos matki:

- Proszę bardzo, Fergus. Zrób to, co życzy sobie doktor Mallory. Niech wygłasza swoje wykłady. Posiedzę sobie na nich z boku i będę się śmiała do rozpuku.

*

- Sądziłam, że ... Chyba nie powinnam była przychodzić.

Janellen stała na progu kliniki Lary Mallory wielce zmieszana. Wcale nie zdziwiłaby się, gdyby Lara zatrzasnęła jej drzwi przed nosem. Nie potępiłaby jej też za to.

- Miło mi, że pani przyszła, panno Tackett. Proszę wejść.

Janellen wkroczyła do przyciemnionego przedpokoju i rozejrzała się wokół.

- Już późno. Nie chciałam przeszkadzać ...

- Nic nie szkodzi. Jak się czuje pani matka?

- Kiepsko. I o tym właśnie pragnęłabym z panią porozmawiać.

Lara zaprosiła ją gestem do swego mieszkania.

- Właśnie piłam wino. Czy życzy sobie pani kieliszek?

W saloniku panował przytulny nastrój. Palily się świece, a na dywanie leżały porzucane kolorowe czasopisma. W telewizji nadawano jakiś stary film - czarnobiał

- Uwielbiam stare filmy - rzekła Lara uśmiechając się nieznacznie. - Może dlatego, że przeważnie miewają pomyślnie zakończenia.

Wyłączyła odbiornik za pomocą pilota i powiedziała:

- Mam tylko francuskie wino. Może być?

- Wolalabym coś bez alkoholu.

- Cołę?

- Znakomicie.

Lara poszła do kuchni, a Janellen nadal stała na środku pokoju, zupełnie jakby zapuściła korzenie.

Wtargnęła do wrogiego obozu, który - o dziwo - okazał się zgoła przyjemnym miejscem. Dwie ze ścian saloniku zabudowane były regałami, na których stały książki - głównie publikacje z zakresu medycyny, ale również nieco klasyki literackiej i trochę kieszonkowych romansów. Nad kominkiem za czasów poprzedniego właściciela wisiała wypchana jelenia głowa. Teraz miejsce to zajmowała rycina Andrew Wyetha. Na stoliku przy sofie stała fotografia dziewczynki oprawiona w ramki.

- To moja córka.

Janellen drgnęła na dźwięk głosu Lary, która wróciła ze szklanką lodowatego napoju w dłoni.

- Miała na imię Ashley. Zginęła na Montesangre.

- Tak, wiem. Bardzo mi przykro. Była bardzo ładnym dzieckiem.

Lara przytaknęła ruchem głowy.

- Zostały mi po niej tylko dwa zdjęcia. To i drugie w gabinecie. Żałuję bardzo, że nie mam więcej pamiątek po Ashley. Nawet jej pluszowego misia. Nawet jej sukienki do chrztu - powiedziała ze smutkiem. Nagle jej głos nieco się ożywił. - Proszę usiąść, panno Tackett.

Janellen usiadła sztywno na sofie. Lara zajęła wygodny fotel. Pod stopami miała

teraz chodniczek z baraniej skóry. Sięgnęła po kieliszek wina, stojący na brzegu stołu. - Czy pani matka jest w szpitalu?

Janellen pokręciła głową.

- Nie? - zdziwiła się Lara. Nie takiej odpowiedzi się spodziewała. - Uważam, że powinna spędzić w szpitalu przynajmniej jedną noc.

- Tak, ja też tak sądzę ... - Janellen lży cisnęły się do oczu. Chwyciła papierową chusteczkę. - Przyszłam tu, ponieważ ... Ponieważ chciałam wysłuchać pani opinii. Była pani świadkiem ataku, jaki przeszła moja matka. Chciałabym posłuchać zdania profesjonalisty.

- Lecz pani matka z pewnością nie.

- Przepraszam za jej zachowanie w stosunku do pani, doktor Mallory - rzekła pospiesznie Janellen. - I jeśli wyrzuci mnie pani ze swojego mieszkania, nie będę się dziwiła.

- Czemu miałabym to zrobić? Nie odpowiada pani za słowa i czyny matki.
- W takim razie proszę zapoznać mnie ze swą opinią na temat jej choroby.
- Właściwie powinnam najpierw dokładnie przebadać pacjentkę, a dopiero potem stawiać diagnozę. To nieetyczne ...
- Proszę - przerwała Janellen. - Muszę z kimś o tym porozmawiać.
- A pani brat?
- Jest zdenerwowany.
- Pani również.
- No tak, ale kiedy Key się denerwuje albo złości, to ... -Janellen opuściła wzrok.
- Powiedzmy, że nie mogę z nim porozmawiać. Doktor Mallory, proszę podzielić się ze mną swoim zdaniem.
- I wydać opinię wyłącznie na podstawie tego, co widziałam? Janellen pokiwała głową.
- I uwzględni pani fakt, że mogę się mylić? Janellen ponownie przytaknęła.
- Lara upiła nieco wina. Spojrzała na fotografię córki i westchnęła. Zwróciła się do Janellen.
- Jak przyjęto pani matkę w szpitalu okręgowym?
- Przebadali ją, ale za nic nie chciała u nich zostać.
- To bardzo nierozsądne. Czy postawili diagnozę?
- Lekarz powiedział, że przeszła atak serca.
- Domyślam się. Przepisali jakieś lekarstwa?
- Owszem. Dostała leki na obniżenie ciśnienia. Czy pani również zaleciłaby to samo?
- Tak. Czy wykonali EKG?
- Nie. Chcieli to zrobić, ale matka pragnęła jak najprędzej opuścić szpital.
- A prześwietlenie mózgu?
- N a to zgodziła się, ale dopiero wtedy, gdy Key zaczął na nią wrzeszczeć. Lekarze nie zauważyli poważnych zmian. Nie jestem pewna, co to właściwie może oznaczać. - Znaczy to, że mózg pani matki nie doznał znaczącego uszczerbku w wyniku czasowego ustania krwobiegów. I bardzo dobrze. Jednak mogły zajść jakieś niezauważalne zmiany. Czy kazali przejść w najbliższych dniach jakieś inne badania czy testy?
- Mówiąc szczerze, nie wiem. Lekarze mówili tak szybko, a mama wciąż się skarżyła ... Nie chciała słyszeć o niczym podobnym.
- Czy prędko odzyskała pełne czucie w kończynach? A koordynację ruchów i mowy?
- Kiedy wróciliśmy do domu, to wszystko po dawnemu wydawało się w porządku.
- Pacjenci, którzy tak szybko dochodzą do siebie, najczęściej lekceważą swą chorobę - stwierdziła Lara. - Czy pani matce zdarzają się zaniki pamięci? A może czasem widzi niewyraźnie?
- Janellen postanowiła wyznać Larze prawdę.
- Nigdy się do tego nie przyznała, ale owszem. Próbowałam ją przekonać, żeby poszła z tym do lekarza, lecz nie zgodziła się. Myślę, że mama boi się tego, co mogłaby usłyszeć.
- Wszelkie diagnozy należy wystawiać dopiero po gruntownych badaniach - rzekła Lara - ale uważam, że mamy tu do czynienia z przypadkiem niedokrwienia mózgu. Krew nie dociera wtedy do wszystkich komórek ... To coś w rodzaju chwilowych przerw w dostawie prądu. Ta część mózgu, do której nie dotarł świeży tlen, przestaje działać. I skutkiem tego właśnie jawi się amnezja, niewyraźne widzenie, trudności w wysławianiu się, zawroty głowy ... i tym podobne symptomy, sygnały ostrzegawcze. Jeśli pacjent nie podda się leczeniu, grozi mu ciężki zawał lub wylew krwi do mózgu. Dzisiejszy wypadek był właśnie takim bardzo poważnym ostrzeżeniem. Czy pani matka ma wysokie ciśnienie krwi?
- Bardzo wysokie. Bierze na to lekarstwa.
- A czy pali?
- Trzy paczki dziennie.
- Powinna natychmiast rzucić papierosy.
- Janellen uśmiechnęła się smutno.
- Nie zrobiłaby tego nigdy w życiu.
- Proszę ją nakłaniać do właściwego odżywiania i kontrolowania poziomu cholesterolu. Potrzebny jej także ruch, proste ćwiczenia na świeżym powietrzu. I niech regularnie bierze lekarstwa. To wszystko może odwlec groźbę śmiertelnego ataku, ale nie ma żadnej gwarancji...
- Czy to nie do wyleczenia?
- Niektórym pacjentom można odblokować arterie za pomocą zabiegu chirurgicznego. Niezbyt skomplikowanego, nawiasem mówiąc. Niestety, przedtem należy poddać chorego wszelkim i

badaniom. Pani matka musi się na to zgodzić .

Twarz Janellen wyrażała głęboką rozpacz. Lara pochyliła się i uściśnęła dłoń córki Jody Tackett .

- Przykro mi. Proszę też pamiętać, że mogę się mylić.

- Wątpię, by się pani myliła, doktor Mallory. Mniej więcej o tym samym wspominali lekarze na pogotowiu.

Dziękuję, że porozmawiała pani o tym ze mną. I dziękuję też za colę. - Janellen odstawiła szklankę na stolik i wstała, zbierając się do wyjścia.

- Nie wiem, czy mogłybyśmy zostać przyjaciółkami, ale pragnęłabym, by zapanowały między nami bardziej serdeczne stosunki. Proszę mówić na mnie Lara.

Janellen uśmiechnęła się, lecz się nie odezwała. Obie doszły do frontowych drzwi i tam ze zdumieniem przekonały się, że na dworze pada. Pogoda jest zwykle idealnym tematem do niezobowiązującej rozmowy. Wymieniły więc kilka banalnych zdań i w końcu Janellen uściśnęła dłoń Lary.

- Miałaś prawo być dla mnie niemiła, Laro. Dziękuję, że mnie przyjąłś .

- A ja dziękuję za to, że zaufałaś mojej opinii. Mam nadzieję, że kiedy wpadniesz tu następnym razem, to już nie z tak przykrego powodu.

- Następnym razem? A więc chcesz, żebym cię jeszcze odwiedziła?

- Naturalnie. Jak tylko będziesz miała ochotę .

- To bardzo miłe ... Laro. Rozumiem już, dlaczego tak zauroczyłaś mego brata.

Lara odgarnęła z czoła włosy i zaśmiała się gorzko.

- Mylisz się. Key wcale mnie nie lubi.

Twarz Janellen wyrażała zdumienie.

- Key? - powtórzyła. - Ależ ja miałam na myśli Clarka.

16.

Bowie podniósł kołnierz swej dżinsowej kurtki i przylgnął do ściany domu. Łało jak z cebra. Przemókł do suchej nitki.

Właściwie nie potrafił sobie samemu odpowiedzieć na pytanie, co robił teraz - w nocy i w deszczu - pod domostwem Tackettów. Winien raczej oglądać telewizję. Zamieszkał w przyczepie. Nie było tam specjalnych wygod, ale przynajmniej nie przeciekał dach.

Nogi same poniosły go w to miejsce. Zdrowie Jody Tackett nie było jego sprawą.

Domownicy z pewnością nie okazaliby zachwyty, gdyby wizytę złożył im taki wyrzutek jak on. Rozglądał się wokół, ale nie dostrzegł ani żółtego lincolna należącego do Keya, ani też wozu Janellen. On sam firmowy samochód, którego używał, zaparkował w osłoniętym miejscu za garażem. Na podjeździe stało jedynie auto gospodyni.

Nie chciał, by ta go zobaczyła. Co mógłby jej powiedzieć? Pewnie tylko prawdę - że niepokoi się o pannę Janellen, o to, czy nieszczęście, jakie spotkało jej matkę wstrząsnęło nią bardzo. Niestety, gospodyni spytałaby go pewnie wtedy, co go to obchodzi, zrzuciła ze schodów i zadzwoniła po gliniarzy.

Tak więc czaił się w cieniu, smagany strugami deszczu. Mimo wszystko nie miał zamiaru ruszyć się stąd, póki nie zobaczy, że z panną Janellen Tackett wszystko w porządku.

Nie widział jej od tamtego popołudnia, kiedy się całowali i kiedy niespodzianie oświadczyła mu, że go kocha. Oczywiście nie wziął tych słów poważnie. Pewnie doznała chwilowego oszołomienia, udaru słonecznego czy czegoś w tym rodzaju. Potem z pewnością żałowała, że powiedziała to.

W ciągu następnych dni celowo unikał Janellen, chcąc oszczędzić jej zmięszania i przykrości. Był przekonany ponadto, że również ona unika go z tych samych powodów.

Pomyślał jednak w końcu, że prędzej czy później przyjdzie im się spotkać, więc mogłoby się to stać dzisiaj, gdy głowę Janellen zaprzętają istotniejsze sprawy niż on sam. Bowie Cato. Nie mógł pomóc jej matce, mógł pocieszyć ją samą, zapewnić, że nie będzie powtarzał nikomu tego, co powiedziała mu w tej chwili niepojętej słabości.

Naraz dostrzegł światła samochodu na przeciwległym skraju podjazdu. Poczuł dziwny skurcz w żołądku.

Przywarł jeszcze mocniej do ściany. Słyszał plotki, że Key woził ze sobą pistolet. Wolał się nie przekonywać na własnej skórze, ile było w tym ?rawdy. Gdyby Key dostrzegł obcego w pobliżu swego domu, mógłby najpierw strzelać, a dopiero potem zadawać pytania.

Wkrótce Bowie rozpoznał auto - należało do Janellen. Zgasiła silnik, wysiadła z wozu i zgięta w strugach deszczu pobiegła ku kuchennym drzwiom. Były zamknięte. Zaczęła w pośpiechu szukać klucza, kiedy Bowie cicho zawołał ją po imieniu.

Odwróciła się wystraszona. Krople deszczu spływały po jej bladej twarzy.

- Bowie! Co ty tutaj robisz?

- Czy dobrze się pani czuje?

- Ja tak, ale ty jesteś całkiem przemoknięty. Od jak dawna tu stoisz? Wejdz do środka.

- Nie, pójdę już lepiej do domu.

Domyślał się, że musi teraz żałośnie wyglądać. Całe ubranie stało się ciężkie od wody.

- Chciałem się tylko przekonać, czy wszystko z panią w porządku po tym, co się stało rano. Powiadali, że pani Jody Tackett ma się kiepsko.

- To prawda, niestety. - Przekręciła klucz, otworzyła drzwi i gestem zaprosiła go do wnętrza.

Niepewnie postąpił naprzód, lecz zatrzymał się tuż za progiem.

- Zdejmij kurtkę - powiedziała. - I buty. Są całkiem mokre.

- Nie chcę robić bałaganu.

- Pozwól, że sprawdzę tylko, co z mamą, i odeślę Maydale. Potem wrócę i napijemy się kawy. - Wyszła z kuchni, lecz w drzwiach odwróciła się jeszcze i poprosiła: - Nie odchodź.

Serce Bowiego waliło tak prędko, że z trudem łapał oddech. Był zdziwiony, że na niego nie nawrzeszczała. To dobry znak. A teraz prosiła go, prawie błagała, żeby został.

- Jasne, proszę pani.

Zdjął kapelusz i wilgotną kurtkę i zawiesił je na kołku koło drzwi. Z trudem ściągnął ze stóp buty i postawił je obok pary należącej zapewne do Keya. Skarpetki były trochę wilgotne, ale z ugiłą skonstatował, że nie ma w nich dziur.

Stąpił na czubkach palców po winylowej posadzce. Wyjrzał przez szybę, którą wciąż tłukły krople deszczu. Po paru chwilach usłyszał rozmowę przed frontowym wejściem, następnie spostrzegł Maydale biegnącą do swego samochodu, usiłującą ochronić fryzurę za pomocą plastikowej torby.

Minęło jeszcze kilka chwil i usłyszał kroki Janellen. Odwrócił się i zapytał: - Jak tam pani mama?

- Śpi.

- A więc czuje się już lepiej?

- Niezupełnie. Ona nie chce przestrzegać rad lekarzy. Jest uparta i lekceważy ich ostrzeżenia. Nie wierzy, że jej stan jest aż tak poważny.

- Ludzie nazywają ją twardą damą.

- To bardzo delikatne określenie.

- Może nie jest z nią aż tak źle, jak mówią lekarze?

- Może ...

- Oni czasami przesadzają ... Zależy im na pacjentach. Zarabiają wtedy więcej. Uśmiechnęła się w charakterystyczny sposób, dając do zrozumienia, że nie podziela tej teorii.

- Cóż - rzekła - obiecałam ci kawę.

- Nie chcę pani sprawiać kłopotu.

- A ja zrobię ci kawę z przyjemnością. Sama też się napiję. I tak pewnie nie będę wiele spała dzisiejszej nocy.

Zauważył, że Janellen stąpa ciężko i mówi słabym, zmęczonym głosem. Kuchnia nadal pozostawała spowita w półmroku. Żadne z nich nie odważyło się zapalić światła. Ona zapewne dlatego, by nie dostrzegł łez w jej oczach. Dostrzegł je i tak.

Omali nie upuściła dzbanka z kawą, nim postawiła go na szafce. Trzęsły jej się ręce, więc rozlanie napoju do filiżanek stało się nie lada sztuką. Nieco ciemnego płynu spłynęło na serwetkę.

- Och, mój Boże. Ależ robię nieporządek - powiedziała i przygryzła zębami dolną wargę. Bowie czuł się wyjątkowo niezręcznie.

- Proszę usiąść, panno Janellen. Może ja zrobię kawę.

- Właściwie to chciałabym, żebyś ... - Słowa nie mogły przejść jej przez gardło. - Chciałabym ...

- Słucham.

Odwróciła się i popatrzyła na niego.

- Jeżeli nie proszę o zbyt wiele, Bowie.

- Śmiało.

Pisnęła tylko i straciła równowagę. Zdażył chwycić ją, zanim upadła. Objął mocno ramionami i przytulił. Była taka drobna. Obawiał się, że jeśli uściśnie ją zbyt czule, to zrobi jej krzywdę. Ona jednak ufnie położyła policzek na jego ramieniu.

- Bowie, co ja pocznę, jak mama umrze? No co?

- Będzie pani żyła, i tyle.

- Ale co to za życie?

- To już zależy od pani.

Pociągnęła nosem.

- Nie rozumiesz. Z mojej rodziny żyją jeszcze tylko Key i mama. Nie chciałabym ich stracić. Kiedy mama umrze, Key przejmie interes, a ja zostanę sama i niepotrzebna.

- Z pewnością da sobie pani radę, panno Janellen.

- Chyba nie.

- Dlaczego pani tak mówi?

- Bo nigdy nie byłam samodzielna. W rodzinie zawsze liczyłam się najmniej. Mówiono o mnie: siostra Clarka i Keya. Córnka Jody. Chociaż od paru lat pracuję ciężko dla naszej firmy, to i tak wszyscy uważają, że jestem marionetką w rękach mamy. I zdaje się, że mają rację. Ona zawsze mówi mi, co mam robić, a ja jej słucham. Częściowo dlatego, że mama jest bardzo doświadczona, ale dlatego też, że nie potrafię się jej przeciwstawić. Co się stanie, gdy ona odejdzie? Kim wtedy będę? Właściwie kim jestem teraz? Potrzęsnała nią lekko.

- Jest pani sobą, ot co. I to wystarczy. Jest pani silniejsza, niż się pani wydaje, kiedy przyjdzie czas wziąć sprawę we własne ręce, poradzi sobie pani.

- Boję się, Bowie.

- Czego?

- Chyba najbardziej niepowodzenia. Tego, że nie spełnię oczekiwań. - Zaśmiała się smutno. - A właściwie jeszcze bardziej obawiam się, że dam się ponieść złudzeniom i wyląduję twardo na ziemi.

- Na pewno tak nie będzie - powiedział z naciskiem, kręcąc głową. - Wie pani swoje. Ludzie w firmie przyzwyczaili się już, że to pani wydaje polecenia. No i jest pani ardo inteligentna. Zawsze myślałem, że jestem sprytny, ale to tylko takie uliczne ::waniactwo. Przy pani czuję się, Bóg mi świadkiem, jak ostatni głab.

- Wcale nie jesteś głupi, Bowie. Przeciwnie, jesteś bystry. Nikt prócz ciebie nie zauważył, że dzieje się coś niedobrego z siódmym szybem.

- Okazało się jednak, że się myliłam.

- Ale pomysł zainstalowania dodatkowego urządzenia pomiarowego był znakomity.

Tak, rzeczywiście zasugerował coś podobnego. Wcale jednak nie rozpieła go z tego powodu duma. Właściwie było mu wręcz głupio, że narobił tyle hałasu wokół sprawy, którą kierownictwo firmy potraktowało jak drobnostkę.

Czuł dłoń Janellen na swych plecach i przez to nie potrafił myśleć jasno o niczym innym. W końcu powiedział:

- Przykro mi z powodu pani matki, panno Janellen, bo wiem, ile ona dla pani maczy. Mam nadzieję, że pani Jody pożyje jeszcze wiele lat. Ale tak czy owak pani ama powinna wziąć się w garść. Wydostać się z cienia ... Jest pani taka mądra, że nikt nie może pani do niczego zmuszać.

- Jesteś dla mnie taki dobry, Bowie - szepnęła.

- Ach, co też ... !

- To prawda! Naprawdę tak uważam. Jesteś dla mnie bardzo dobry. Nie zwracasz uwagi na moje słabości. Potrafisz mnie zrozumieć. Znasz moje możliwości, może nawet je przeceniasz. Może i jestem inteligentna, ale nie tak bardzo, jak ci się zdaje. Jestem też zamknięta w sobie, milczkowata, brak mi wiary w siebie. No i nie jestem zbyt piękna. Nie tak urodziwa jak moi bracia.

- Nie jest pani piękna? - powtórzył zdumiony Bowie. Uznawał Janellen za osobę niepospolitej urody. - Jest pani najładniejszą osobą, jaką w życiu widziałem, panno Janellen.

Pokiwała głową nieco zmieszana.

- Proszę, nie mów mi takich rzeczy. Już kiedyś wyjaśniałam ci dlaczego.

Odchrząknęła i rzekł:

- Muszę przyznać, że nie wziąłem tego poważnie .

- Nie?

- Nie.

- Och - jęknęła, krzywiąc się jakby z bólu. Potem znowu spojrzała mu w oczy. - Jak to?

Przestąpił z nogi na nogę.

- Cóż ... Uważałem, że myśli pani zupełnie inaczej. Zwilżyła językiem wargi i nabrała powietrza w płuca. - Zapewniam cię, że mówiłam to, co myślałam, Bowie.

- Naprawdę?

- Daję słowo. A jeśli... och ... Jeżeli kiedyś jeszcze będziesz miał ochotę mnie pocałować, to wiedz, że nie będę się opierała.

Bowiemu omal nie zakręciło się w głowie. Serce waliło mu tak mocno i szybko, że prawie boleśnie. Zaszło mu w gardle, ale zdołał zapewnić:

- Chcę panią całować, panno Janellen. Pragnę tego jak niczego na tym świecie. Wsunął palce w jej włosy. Ich usta zbliżyły się do siebie. Tym razem wiedzieli już.

jak zabrać się do dzieła. Całowali się tak długo, że obojgu zabrakło tchu.

Wbiła mu palce w kark, a on całował jej szyję.

- Nie przypuszczałam, że to takie cudowne, Bowie.

- Ani ja. Aż do teraz.

Całowali się znowu. Tak gorączkowo, aż obrzmiały im wargi.

Pragnął znaleźć się między jej udami, choć czynił co tylko mógł, by nie dać tego po sobie poznać. Ona jednak wiedzona kobiecym instynktem napierała biodrami na jego twarde krocze. Kontakt ciał, nawet przez ubranie, był dla obojga wprost wstrząsający. W takich okolicznościach nawet święty porzuciłby celibat - a przecież Bowie dobrze wiedział, że jemu samemu daleko do świętości.

Wsunął dłoń pod jej spódnicę, ujmując pośladek Janellen. Przyłgął sobą do jej łona. odruchowo, spontanicznie. Gdyby pomyślał o konsekwencjach, nigdy nie zdobyłby się na to. Janellen jęknęła z podniecenia i ten odgłos sprowadził go z powrotem do rzeczywistości. Czuł się zawstydzony i zniesmaczony samym sobą.

Puścił ją w tej samej chwili. Odszedł bez słowa, chwytając po drodze swoje buty, kapelusz i kurtkę. Nie minęło piętnaście sekund, jak znalazł się za drzwiami.

Dobiegł do ciężarówki stojącej koło garażu i wtedy właśnie mrok nocy rozświetlik błyskawica - piorun spadający z nieba na ziemię, napełniający powietrze hukami i ozonem.

Bowie pomyślał, że to sam Bóg chciał mu w ten sposób okazać swój gniew. A może nawet od razu zabrać go do siebie. O mały włos tak właśnie by się stało.

*

Huknęło tak strasznie, że aż zatrzęsły się za barem szklanki i butelki z alkoholem. - Zdaje się, że kroi się niezła burza - zauważył Hap Hollister, nalewając Keyowi następnego drinka.

- Niech to szlag. Przez tę pogodę straciłem dziś w nocy robotę.

- No, Key, nie wiedziałem, że coś może cię powstrzymać przed lataniem.

- Nie coś, tylko ktoś. Żona nafiara, którą miałem wraz z jej mężem odtransportować do domu, stwierdziła, że nie ma zamiaru zginąć w wypadku lotniczym.

Hap pokiwał tylko głową i poszedł obsłużyć innych klientów. Zeszło się ich do "The Palm" sporo - najwyraźniej zbiegli się ci wszyscy, którzy znaleźli się w okolicy i obawiali się, że burza złapie ich na dworze. Niektórzy grali teraz w bilard, popijaniem umilając sobie oczekiwanie na swoją kolej. Inni wlepiali wzrok w ekran telewizyjny, oglądając rozgrywki ligi koszykarskiej. Jeszcze inni siedzieli przy .. olikach i rozmawiali.

Tylko Key pił samotnie przy końcu baru. Przygarbione plecy i nachmurzona twarz wskazywały dobitnie, że jest w nie najlepszym nastroju. Wiadomość o zajściu w supermarket rozeszła się po całym miasteczku. Pewnie z tego powodu nikt nie próbował zakłócać Keyowi spokoju.

Sącząc kolejnego drinka, Key istotnie myślał o Jody. Nie współczuł jej jednak.

W rzeczywistości był na nią wściekły. Jody zachowywała się w szpitalu wprost fatalnie. Potem, gdy znalazła się już w domu, nie było lepiej. Uskarżała się na wszystko i wszystkich, nie mając przy tym zamiaru zastosować się do zaleceń lekarzy i rad własnych dzieci.

- Wynajmę dla ciebie pielęgniarkę, Jody - powiedział, gdy Janellen udało się nakłonić matkę do pozostania w łóżku. - Janellen pracuje przecież w biurze firmy, aja sporo latam. Maydale to świetna gosposia, ale nie możemy liczyć, że nie wpadnie w panikę, jeśli powtórzy się dzisiejsza historia.

Powinnaś mieć stałą opiekę.

- Masz rację, Key! - zakrzyknęła Janellen. - Nie sądzisz, że to dobry pomysł, mam?

Jody nawet nie spojrzała na Janellen, na Keya dmuchnęła zaś dymem z papierosa. - A więc chcesz zatrudnić dla mnie pielęgniarkę?

- Będzie ci pomagała .

- Stokrotne dzięki, ale poradzę sobie sama. Nie mam zamiaru znosić kogoś, kto będzie wtykał nos w moje rzeczy i mówił, co mam robić.

- Dzwoniłem do najlepszej agencji w Dallas - wyjaśnił cierpliwie. - Przyślą tu osobę na poziomie.

Powiedziałem im, o jakiego rodzaju zajęcie chodzi. Wyjaśniłem, że nie jesteś inwalidką i że należy uszanować twoją prywatność. Obiecali przysłać jutro pielęgniarkę ze znakomitymi referencjami .

Jody ściągnęła brwi.

- Odwołaj ją. Kto ci dał, do cholery, prawo podejmowania decyzji dotyczących mojej osoby?
- Mamo, Key chce dla ciebie jak najlepiej.
- Zaraz mu powiem, co jest dla mnie najlepsze. Otóż chcę, żeby się ode mnie odczepił. I ty także - dodała, ze złością biorąc sweter, który Janellen usłuźnie jej podawała. - Wynoście się z mojego pokoju. I to zaraz .

Key i Janellen posłuchali, gdyż obawiali się, że Jody może dostać kolejnego ataku. A jednak nadal się o nią martwił. Ścisnęło go w żołądku, gdy widział ją leżącą bez przytomności w sklepie, rzucającą nogami, odartą ze zwykłej godności. Jak można było jednak okazywać współczucie komuś tak złośliwemu jak jego matka, która na uprzejme słowa odpowiadała kpina?

Cóż, ostatecznie mógł znieść gadanie Jody. Znosił je przecież całe życie. Ale tym razem chodziło o jej zagrożone zdrowie. Matka nie przyjmowała do wiadomości, że jej stan jest naprawdę bardzo poważny. Jeśli nie będzie stosować się do zaleceń lekarzy, to może w każdej chwili umrzeć. Tylko głupiec zachowywałby się tak beztrosko w obliczu niebezpieczeństwa.

Teraz Key uśmiechnął się krzywo pod nosem. Przypomniawszy sobie, że w jego przypadku lekarstwem na zgryzoty było latanie. Niestety, strachliwa klientka pomieszała mu szyki.

On sam uwielbiał ryzyko - a było nim na pewno pilotowanie samolotu podczas burzy. W przypadku Jody nie wchodziło w grę ryzyko, lecz czyste szaleństwo. To tak, jakby słyszała zagadkowe tykanie i zlekceważyła ostrzeżenie, że w pokoju znajduje się bomba zegarowa.

Lekarz w szpitalu otwarcie powiedział jemu i Janellen, że Jody znajduje się w dosyć opłakanym stanie. Key chętnie sprawdziłby tę opinię. Był ciekaw, co na temat zdrowia Jody miałyby do powiedzenia na przykład Lara Mallory.

- Cholera - zaklął pod nosem i dał znać Rapowi, że ma ochotę na następną kolejkę. Poprzysiągł sobie wcześniej, że nie będzie rozmyślał o Larze Mallory. Jednakże oszołomiony gorzałką umysł niechętnie słuchał rozkazów. Chciał czy nie, nie potrafił odgonić od siebie erotycznych wizji z Larą w roli głównej. Zastanawiał się, czy to jego brat zrobił jej dziecko. Czy wiedział o tym jej mąż.

A sam Clark? Czy śmierć tego dziecka miała związek z samobójstwem Clarka?

A jeżeli istotnie tak było, to czy nie powinien w imię pamięci brata wyruszyć jednak na Montesangre?

Nie, do diabła - pomyślał. To nie jego sprawa. Nikt nie wyznaczył go do pełnienia roli powiernika Clarka. Lara musi sama uporać się z tym problemem. On nie miał ochoty brudzić sobie rąk.

Im dłużej jednak to rozważał, tym bardziej dochodził do przekonania, że Ashley jego bratanica. Nie sposób było o tym zapomnieć. Przyszło mu też do głowy, że śmierć córki musiała stanowić dla Lary potworny cios. To zdumiewające, że przeszła coś takiego i nie dostała pomieszenia zmysłów.

Jeszcze przed paroma tygodniami wyśmiałyby każdego, kto oświadczyłby mu, że pomyśli ze współczuciem o Larze Mallory. Przyszło mu jednak poznać i inne szczegóły z jej przeszłości. I jak zareagował? Pocieszał ją. Całował nawet.

Zirykowany wlał w siebie cały alkohol ze szklanki. Potem zaczął się bawić przesuwaniem monety po blacie baru.

Owszem, całował się z nią. I to bynajmniej nie tak, jak całują się grzeczni chłopcy z wstydliwymi dziewczynkami. Całował kochankę swego brata i - na dobrą sprawę - osobę należącą do jego rodziny. Oskarżyła go, że wykorzystał chwilę jej słabości, myliła się jednak. Zrobił to całkiem spontanicznie, zapominając na chwilę, że ma przed sobą rozpustną uwodzicielkę, która zmarnowała życie Clarkowi. Gdy znalazła się w jego ramionach, zapragnął jej tak, jakby była kobietą jego życia. Złamał przykazania.. które sam sobie ustanowił. Zapomniał, z kim ma do czynienia.

- Nie masz nic lepszego do roboty od bawienia się dychą? Może, na przykład, postawiłbyś damie drinka? Wyrwany z zamyślenia Key spojrzał w bok. Obok siedziała na stołku Darcy Winston i przypatrywała mu się uważnie

- Skąd się tu wzięłaś?

- Schroniłam się przed deszczem. No to jak będzie z tym drinkiem? Dostanę go czy nie?

Podszedł do nich Hap. Key bez entuzjazmu skinął głową i Darcy zamówiła wódkę z tonikiem. Sam Key nie chciał już więcej pić.

- Każesz mi pić samej? To bezczelność z twojej strony. - Darcy wykrzywiła usta w podkowę .

- Teraz taka moda. Na picie w pojedynkę. Złapałaś aluzję? Darcy wzięła do ust koktajl, który przygotował dla niej Hap. - Martwisz się o swoją matkę? - zapytała .

- Trochę•

- Strasznie mi przykro, Key.

Wątpił w to. Darcy obchodziły wyłącznie jej własne sprawy. Mimo tego podziękował skinieniem głowy.

- I co jeszcze ci leży na wątrobie?

- Nic.

- Kłamca. Jesteś przygnębiony. Czy to ma coś wspólnego z faktem, że Helen Berry wróciła do Jimmy'ego Bradleya? Podobno są w sobie zakochani jak nigdy dotąd.

Opuścił głowę tak, że niemal dotknął podbródkiem piersi. Nieporozumienie było tak absurdalne, iż zarechotał głośno.

- Co w tym takiego zabawnego?

- To miasteczko jest zabawne. Na drugiej półkuli może wybuchnąć następna wojna światowa, na ziemię spaść grad komet, a ludzie tutaj dalej będą się zastanawiać, kto się z kim pieprzy.

- A ty? Z kim się obecnie pieprzysz?

- To mój interes.

- Łajdak.

Spojrzała nań z taką odrazą, że ponownie się zaśmiał.

- Wystroiłaś się jak na podryw, Darcy - stwierdził, zerkając na jej pantofle na wysokim obcasie i różową jedwabną sukienkę, której kolor bardzo nie pasował do jej rudych włosów. Pod obcisłą kiecką odznaczał się stanik, podtrzymujący obfity biust. Darcy kokieteryjnie założyła nogę na nogę i odstłoniła kolano. Ten widok działał na mężczyzn.

- Właśnie byłam w drodze na spotkanie Towarzystwa Bibliotekarskiego - powiedziała mu.

- Tu? W Eden Pass? Myślałam, że nie mamy nawet zwyczajnej biblioteki.

- Bynajmniej. A miejscowy oddział towarzystwa liczy czterdziestu dwóch członków.

- Żartujesz? A ilu z nich potrafi czytać?

- Bardzo dowcipne. - Dopiła wódkę i postawiła szklanekę na kontuarze. - Dzięki za drinka. Zadzwoń do mnie, jak będziesz miał lepszy humor. Dzisiaj ciężko się z tobą dogadać.

- Co takiego powiedziałaś, że się odczepiła? - spytał Hap, gdy Darcy odeszła.

Sięgnął po jej szklanekę i zanurzył w misce z wodą.

- Czy to ważne? - odparł Key znużonym głosem.

Wciąż padało, Key jednak kroczył w kierunku swego wozu jakby nigdy nic. Głowę miał zajęętą tyloma sprawami, że na pogodę nie zwracał już większej uwagi.

Wsiadł do lincolna. Umieścił kluczyki w stacyjce, gdy wtem ją zauważył.

Przechyliła się nad obitym skórą siedzeniem i wsunęła Keyowi rękę między uda.

- Wiem, co ci dolega.

- Nie masz najmniejszego pojęcia, Darcy.

- Jestem ekspertem od tych spraw, wiesz przecież. Mam szósty zmysł. Mogę powiedzieć, czego potrzeba mężczyźnie. Wystarczy, że rzucę na niego okiem.

- Serio?

- Serio. Kiedy facet tego pragnie, to wydziela inny zapach. Tak samo się dzieje z kobietami.

- Gdyby to była prawda, to biegłaby teraz za tobą zgraja napalonych facetów.

Uznała to za komplement i dotknęła jego krocza.

- Chcesz mnie, Key. Wiem, że tak jest. Jesteś po prostu uparty i nie możesz się zmusić, by przeprosić mnie za tamte okropne słowa, którymi uraczyłeś mnie na zebraniu w szkole.

Zaczęła go głaskać. Musiał przyznać, że Darcy zna się na rzeczy.

- To głupie - ciągnęła. - Żadne z nas nie chce pierwsze wyciągnąć ręki na zgodę. Czy mamy dalej tak cierpieć z powodu zranionej dumy, co?

Rozpinała mu dżinsy. Key pozwalał jej na to, zadowolając się rolą biernego obserwatora.

Wyjęła go ze spodni i zaczęła masować dłońmi. Key poczuł, że mu staje.

- Och, kochany - powiedziała z westchnieniem. - Wiedziałam, że trzeba ci tylko czarodziejskiego dotyku Darcy.

Uśmiechnęła się do niego zalotnie, a potem pochyliła głowę. Z wprawą pracowała językiem. Lizła go i ssła na przemian. Obciągała wargami z wyczuciem.

Key odchylił głowę i zamknął oczy. Nie pożałował Darcy i dziwił się, że jego ciało reaguje na przekór jego woli. Z drugiej strony, czy to takie dziwne? - zastanawiał się Sypiał już z kobietami, których imion nawet nie zdążył poznać. Tyle ich było ... Rozum nie miał większego znaczenia w łóżku.

W usta nie pozwoliłby się Darcy pocałować. To byłoby zbyt intymne. A ona nic innego nie znaczyła. Nawet jej nie lubił.

Wciąż pamiętał smak warg Lary. I póki co, nie zamierzał go zapomnieć Wspomnienie pocałunku z Larą chował głęboko w umyśle i pilnował, by się nie ulotniło Tak, po części zachowywał się jak zbereżny

starzec, który rozpamiętuje dawne podboje miłosne. Potem zdawał sobie sprawę z własnej śmieszności i usilnie odganiał od siebie obraz Lary i smak jej ust.

To groteskowe - pomyślał Key - jak bardzo wyobraźnia wypaczała rzeczywiśń kształty rzeczy.

A teraz postanowił zwyczajnie się odprężyć i pozwolić swemu ciału na odrobinę beztroskiej rozkoszy. Nie dotknął Darcy, nawet gdy dochodził. Zaciśnął dłonie na kierownicy tak mocno, że jego palce stały się niemal białe. Gdy było już po wszystkim, prędko zapiął spodnie.

Darcy usiadła i wyciągnęła z torebki papierową chusteczkę, po czym otarła sobie usta.

- Wiesz, skąd wiemy, że Bóg to mężczyzna? - zapytała.

Key nie odpowiedział. Słyszał już ten dowcip.

- Bo gdyby Bóg był kobietą, nasienie smakowałoby jak czekolada - dokończyła Darcy.

- Świetne - ponuro stwierdził Key.

Albo nie wyczuła ironicznej nuty w jego głosie, albo celowo ją zignorowała. oześmiała się i przywarła biustem do jego ramienia.

- Dokąd jedziemy? - spytała. - A może zrobimy to tu, na tylnym siedzeniu? Szkoda, że nie produkują takich wielkich samochodów. Kiedyś odwaliłam niezły numer w ...

- Dobrej nocy, Darcy. Wracam do domu.

- Co ty gadasz?! Jeszcze nie skończyliśmy.

- Ja już skończyłem.

- Chcesz mi powiedzieć, że ...

- Zrobiłaś to z własnej woli. Nie prosiłem cię - przypomniał jej cicho. - A teraz może byś tak uprzejmie wyniosła swój tyłek z mojego wozu. Jadę do domu.

Naplula mu w twarz.

Błyskawicznym ruchem chwycił ją za włosy i pociągnął mocno.

- Nie zabiłem cię za to, że do mnie strzelałaś, ale nie znaczy to, że nie mógłbym tego zrobić .

17

Darcy wiedziała, że Key nie żartuje. Znana g w okolicy z gorącej krwi. Jednakże ona też słynęła z wojowniczej natury. Nie miała zamiaru skapitulować bez walki.

- Puść mnie, ty sukinyń!

Zwolnił uścisk i wycedził:

- Wynoś się.

- Dobra. Ale wpierv powiem ci, co o tobie myślę. Jesteś ohydny. Rzygać mi się chce na twój widok.

- Skoro już to ustaliliśmy, to jazda z mojego wozu.

- Jesteś pieprzony. To nie ta gruba dziewczucha od Berrych zamąciła ci w głowie tylko Lara Mallory.

Key wbił w nią wściekle spojrzenie. Wyczuła, że trąciła właściwą strun. Postanowiła pójść za ciosem.

- Czy nie czujesz się jak kretyń, uganiając się za dziwką swego starszego braciszka? - zapytała śmiejąc się pogardliwie.

- Zamknij się Darcy.

- Sławna pani doktor owinęła sobie wielkiego Keya Tacketta wokół małego palca. Nie pamiętasz, jak skończył twój brat, czy co?

Wiedziała, że powinna przestać go drażnić, ale naigranie z Keya sprawiało jej wielką przyjemność.

Potrafiła manipulować wszystkimi mężczyznami, jakich napotkała na swej drodze. Z wyjątkiem Keya. I ten właśnie wyjątek od dawna nie dawał jej spokoju.

- Przeleciałaś ją już, Key? - spytała przysuwając doń twarz. - Czy kiedy miała orgazm, wykrzykiwała moje imię, czy też utraconego na zawsze Clarka? Który z was okazał się lepszym kochankiem? Może właśnie to cię w niej pociąga? Chcesz się przekonać, że w tych sprawach nie jesteś gorszy do Clarka?

Key w ułamku sekundy wysiadł z wozu. Obszedł lincolna, otworzył drzwi i wywłócił Darcy na zewnątrz. Jej różowa sukienka zaczęła moknąć na deszczu, a pantofle ugrzęzły w błocie.

Zlekceważył jej wrzaski i przekleństwa, wsiał znowu do samochodu i uruchomił silnik. Darcy chwyciła się klamki i nie chciała jej puścić.

- Dokąd się wybierasz, Key? Do kochanki brata? Staniesz się pośmiewiskiem, kiedy ludzie się o tym dowiedzą. A dowiedzą się na pewno. Już ja o to zadbam. Nie dosyć, że to dziwka, to jeszcze nałożnica Clarka ...

- Dziwki przynajmniej biorą za to pieniądze, Darcy. A ty dajesz się za darmo.

Wrzucił wsteczny bieg. Błoto spod kół chlapnęło na pantofle i drogie pończochy Darcy. Wyzwała go od najgorszych, patrząc za odjeżdżającym lincolnem. Potem, moknąc w strugach deszczu, postanowiła się

odegrać na Keyu. Dać mu zasłużoną naukę. Postanowiła trafić go w najczulsze miejsce. Wiedziała, że najpierw musi poczekać, aż sama ochłonie z wściekłości. Potem podejdzie do sprawy z wyrachowaniem. Nim dowłokła się do swego samochodu, powiedziała sobie: Nikt nie będzie bezkarnie traktował pani Winston tak, jak miał czelność uczynić to Key.

*

- Dziękuję, panowie - tymi słowami Lara zakończyła swoje wystąpienie przed członkami rady szkolnej. - Mam nadzieję, że uważnie rozważycie moje propozycje dotyczące edukacji seksualnej młodzieży. Jeśli coś było niejasne, proszę się nie wahać zadawać pytania.

- Muszę przyznać, że słuchałem z wielkim zainteresowaniem - powiedział Fergus Winston. - Temat jest jednak bardzo drażliwy. Stoi przed nami mnóstwo problemów. Może upłynąć tydzień lub dwa, nim podejmiemy ostateczną decyzję.

- Rozumiem. Dziękuję, że wolno mi było ...

Urwała słysząc odgłos otwieranych drzwi. Oczy obecnych skierowały się ku wejściu. Towarzyszył temu stłumiony odgłos zdumienia. Lara odwróciła się i ujrzała Darcy Winston. Obok niej do sali wkroczyła Jody Tackett.

Darcy po prostu kipiała z wściekłości. Jej oczy ciskały gromy, a Lara stanowiła ich cel. Jody nie zniżyła się do tego, by zaszczyścić spojrzeniem Larę Mallory.

Członkowie rady w jednej chwili poderwali się z miejsc. Odezwiał się jednak tylko Fergus. Zwrócił się do małżonki, chociaż wszyscy patrzyli na Jody Tackett.

- Co tu robisz, Darcy? To zamknięte posiedzenie.

- Już nie - wyjaśniła mu mocnym głosem Jody, która wciąż jeszcze nie powróciła do zdrowia.

- Pani Tackett bardzo chciała tutaj przyjść - stwierdziła Darcy. Fergus w końcu oderwał zatrwożony wzrok od Jody i spojrzał na żonę.

- Przepraszam, Fergus - ciągnęła Darcy. - Wiem, że prosiłem mnie, bym nie rozgłaszała, co będzie przedmiotem dyskusji na posiedzeniu rady, ale czułam, że muszę coś zrobić w tej sprawie.

Lara podniosła się z krzesła i powiedziała:

- Pani Winston, myślałam, że wszystkich obowiązują te same zasady. Jeśli chce pani coś zakomunikować radzie, powinna pani najpierw złożyć stosowne podanie. Tak jak ja to uczyniłam. A może się mylę? Może ktoś tu cieszy się przywilejami? - spytała i spojrzała wprost na Fergususa.

On z kolei patrzył na Jody niby na jadowitego węża. Gotów był chyba udusić żonę to, że ściągnęła w to miejsce tutejszą królową nafty, z którą miał zadawnione porachunki.

- Doktor Mallory ma rację - rzekł wreszcie. - Jeżeli ty lub pani Tackett maci zamiar złożyć jakieś oficjalne oświadczenie, to musicie dopełnić pewnych formalności. Nie wolno ci wpadać tu w ten sposób i zakłócać przebiegu obrad.

- W zasadzie tak - stwierdziła Darcy - ale ...

- Powiem za siebie. - Zniecierpliwiona Jody podeszła do stołu konferencyjnego. Najpierw spojrzała przenikliwie w oczy kolejno wszystkim członkom rady, a potem wycodziła: - Czy wam wszystkim do reszty podobiało?

Ludzie za stołem opuścili wzrok. Nikt się nie odzywał. W końcu Fergus zaproponował Jody krzesło.

- Raczej postoję - powiedziała.

- Jak pani uważa.

Wyczuwało się między nimi charakterystyczne napłęcle. Pozostali wyglądali na zmieszanych i starali się patrzeć w bok. Niezręczność sytuacji nie powstrzymała jednak Lary.

- Panie Winston - powiedziała. - Nalegam na to, by spotkanie było kontynuowane.

Słowa te obecni puścili mimo uszu.

Jody zwróciła się do wielbego Massey, miejscowego pastora:

- Nie pojmuję, pastorze. Wygłasza pan kazania każdej niedzieli. A jednak chęć żeby nasze dzieci uczonego seksu? - Zachnęła się ze wzgardą i niedowierzaniem - Muszę się dobrze zastanowić, czy nadal wspierać finansowo pański przybytek.

Pastor uśmiechnął się słabo.

- Jeszcze nie podjęliśmy decyzji. Zwyczajnie wysłuchaliśmy sugestii doktor Mallory. I nie ma mowy o propagowaniu grzechu czy rozpusty.

- Tak? - spytała Jody i zerknęła na Darcy. - Powiedz mi to, co powiedziałaś mnie.

Darcy wystąpiła na środek sali. Napiętym głosem oznajmiła:

- Parę tygodni temu zaprowadziłam Heather na kontrolę lekarską. Potem córka wyznała mi, że doktor Mallory namawiała ją do zabierania prezerwatywy na randki.

- Nieprawda! - wykrzyknęła Lara. - Ostrzegałam jedynie Heather przed chorobami wenerycznymi. Chyba ktoś tu zrozumiał mnie na opak. Albo Heather źle zapamiętała to, co powiedziałam, albo też pani Winston celowo przekręca moje słowa dla własnych celów.

- Nie robię nic podobnego - odparła Darcy. Następnie zwróciła się do rady.

- Co więcej, kazała Heather powtórzyć to przyjaciółkom. Nie chcę sobie wyobrazać, co teraz zaczną się dzieć w naszej szkole. Wiecie sami, jakie są dzieciaki. Powiedzieć im, że mają chodzić na randki z prezerwatywami, to tak jakby dać im licencję na ... No, wiadomo o czym myślę.

Tu Darcy skromnie spuściła oczęta.

Lara pragnęła wyjaśnić nieporozumienie, powiedzieć, że Darcy przywiodła do swą do niej córkę, gdyż chciała, aby Heather zaczęła brać pigułki antykoncepcyjne. Nie wolno jej było jednak naruszyć tajemnicy lekarskiej. Darcy zdawała sobie z tego sprawę i uśmiechała się pod nosem.

- Ostrzegłam Heather, że w dzisiejszych czasach częste zmiany partnerów seksualnych pociągają za sobą znaczne ryzyko - przyznała Lara. - I poprosiłam, by poinformowała o tym swe przyjaciółki.

Bynajmniej nie namawiałam jej do rozwiązłości.

- Mimo że coś niecoś wie pani na ten temat...?

- Darcy, proszę cię - powiedział Fergus i jęknął cicho. - Zachowaj dla siebie osobiste uwagi. Obecnie mamy na względzie dobro naszej młodzieży.

- Amen - dodał wielebny. - Nie jestem pewien, czy należy tak otwarcie dyskutować o tych sprawach. Młodzież wystawiona jest na różne pokusy i musi stawić im czoło. Nastolatkom brakuje doświadczenia. Powinniśmy zadbać, by wyrosli z nich silni, zdrowi ludzie, nie zaś siał zamęt w ich głowach.

- Pastorze, kazania proszę wygłaszać podczas niedzielnych mszy - rzekła Jody.

- Mimo wszystko cieszę się, że mogę liczyć w tej sprawie na poparcie wielebnego.

Wpatrywała się po kolei we wszystkich obecnych - z jednym wyjątkiem. Zdawała się zupełnie nie dostrzegać Lary.

- Mam nadzieję, że wszyscy doszłicie do tych samych wniosków. Jeżeli nie, będę zmuszona zmienić swe plany.

- Jakie plany? - zapytał jeden z członków rady.

- Mój syn Clark zawsze ciepło wspominał dni spędzone w szkole w Eden Pass i często powtarzał, że dzięki wychowaniu, jakie w niej otrzymał, mógł rozpocząć karierę polityczną. Chciałby pewnie, aby ta szkoła nosiła jego imię ... Myślałam o tym, by zafundować jej wielką tablicę elektroniczną. Służyłaby wybornie drużynie koszykarskiej. Zazdrościłyby jej nam nawet okoliczne uczelnie, co?

Lara opuściła głowę. Niemał słyszała odgłos gwoździ wbijanych gwoździ w trumnę, w której miano pogrzebać jej pomysł.

Jody odczekała chwilę, aby wszyscy mogli docenić jej wielkoduszność, a następnie podjęła:

- Urodziłam się w Eden Pass i spędziłam tu całe swoje życie. Ukończyłam tutejszą szkołę, podobnie jak moje dzieci. I zawsze twierdziłam, że szkoła ta zalicza się do najlepszych w całym stanie.

Pochyliła się nad stołem i zaczęła tłuc pięściami w blat.

- Posłuchajcie: zmienię tę opinię w ciągu minuty, jeżeli pozwolicie tej kobiecie na publiczne wystąpienia. Jak można było w ogóle wpaść na taki pomysł? Słyszała o niej cały kraj. I wy chcecie, aby taka osoba miała wpływ na wasze dzieci?

Twarz Jody przybrała purpurową barwę. Słysząc było, że oddycha z wysiłkiem.

- Ja nie pozwoliłabym się jej nawet tknąć. I nie rzucam słów na wiatr - dodała. - Mogliście się już o tym przekonać.

- Wyłożyła pani swoje zdanie, pani Tackett - odezwała się Lara. Obawiała się, że Jody może dostać następnego ataku. Nie chciała, by obwiniano później za to właśnie ją. - Wierzę, że ma mi pani za złe próby uratowania pani. Nie zamierzam z panią walczyć, to poniżej mojej godności. Ponadto i tak wiem, że nie mogłabym wygrać. Nie stać by mnie było na przekupienie rady wspianą tablicą świetlną.

- Chwileczkę - zaprotestował jeden z ludzi za stołem. - Wypraszamy sobie takie uwagi.

Lara zignorowała go.

- Przede wszystkim jednak - dorzuciła - postanowiłam ustąpić, gdyż gdyby wybuchł między nami spór, mogłoby się to odbić fatalnie na pani zdrowiu.

Jody spojrzała na Larę po raz pierwszy od chwili, gdy weszła na salę.

- Cóż, myli się pani. Nie umrę, póki nie wyrzucę pani z tego miasta. Z mojego miasta. Miasta Clarka. Nie spocznę, dopóki nie wyniesie się pani stąd. Dopiero wtedy tutejsze powietrze znów zaczną się nadawać do oddychania.

Lara spokojnie zebrała kartki, którymi posłużyła się podczas wystąpienia, i włożyła je do czarnej teczki,

którą następnie wsunęła pod pachę.

- Dziękuję, panowie, za wysłuchanie tego, co miałam do powiedzenia. Jeśli nie dostanę konkretnej odpowiedzi, uznam, że moje propozycje zostały odrzucone.

Żaden z członków zgromadzenia nie miał teraz odwagi spojrzeć Larze w oczy.

Uśmiechnęła się kwaśno, odwróciła się i skierowała ku drzwiom.

Darcy podążyła za nią.

Opuściwszy budynek, Lara zatrzymała się.

- Wiem - zapytała - dlaczego Jody Tackett mnie nienawidzi. Ale pani? Co ja takiego pani zrobiłam?

- Może uważam, że ludzie nie powinni pchać się tam, gdzie ich nie chcą. Niepowinna była pani przyjeżdżać do Eden Pass. To nie jest miejsce dla pani. I nigdy nie będzie

- Dlaczego to panią tak dręczy? Czy stanowię dla pani zagrożenie, pani Winston.

Darcy zachnęła się pogardliwie.

- Tak ... teraz już rozumiem - dodała Lara. - Z jakiego powodu boi się mnie pani. Czyżby dlatego, że spotkałam się parę razy z Keyem Tackettem? - zastanawiała się. Wolała nie odpowiadać sobie na to pytanie.

- Proszę mi wierzyć, pani Winston, że niczego pani nie zazdroścę.

Darcy obliznęła się niczym kotka nad spodkiem pełnym śmietany.

- Nawet córki?

Larze aż zakręciło się w głowie. Nie mogła pojąć okrucieństwa tej kobiety.

- Nie doceniałam pani - powiedziała. - Jest pani nie tylko złośliwa i samolubna ale i odrażająca.

- Coś pani powiem, cholerna doktor Mallory. Gdy o coś walczę, to nie znac litości. Nie mam skrupułów i dlatego jestem niebezpieczna. Proszę to sobie dobrze zapamiętać, póki nie opuści pani tego miasta.

Lara pokręciła przecząco głową.

- Nie wyjadę stąd. Możecie sobie strzepić na mnie języki, straszyć i grozić. Nie zmusicie mnie do niczego.

Darcy odsłoniła zęby w złośliwym uśmiechu.

- Ano, zobaczymy. To dopiero będzie zabawa.

Zachichotała, odwróciła się i ponownie weszła do budynku szkoły. Jej donośno śmiech odbijał się echem w przestronnym holu.

*

Darcy wytarła nos w chusteczkę z wyszytym monogramem.

- Nie możesz się na mnie złościć, Fergus. Nie wytrzymam tego.

Nim wróciła do domu, odwoziła najpierw Jody Tackett. Fergus czekał na nią.

Czasem złościł się na innych ludzi, nigdy dotąd jednak nie zdarzyło mu się podnieść głosu na nią. Darcy poczuła niepokój. Dotychczas Fergus był dla niej opoką. Mogła liczyć na jego wyrozumiałość, gdy sprawy źle się układały,

- Proszę, nie krzycz już na mnie - błagała.

- Przepraszam cię. Nie chciałem się unieść.

Darcy otarła rozmazany przez łzy tusz do rzęs.

- I co ja ci takiego zrobiłam?

- Nie mam zamiaru się powtarzać, Darcy.

- Doktor Mallory postawiła cię w niezręcznej sytuacji. Jesteś przewodniczącym rady szkolnej, więc musiałeś być dla niej uprzejmy i dać jej możliwość wypowiedzenia się, tak?

- Tak - potwierdził Fergus zmęczonym głosem.

- Ale przecież wiedziałam, że nie masz ochoty organizować w szkole zajęć z wychowania seksualnego.

Wyobrażasz sobie rozdawanie prezerwatyw dzieciom? W tym naszej córce? Próbowałam ci tylko pomóc wyplątać się z trudnego położenia.

- Mieszając w to Jody Tackett? Jezu Chryste. - Przesunął dłonią po swych rzednących włosach. - Czy niczego się nie dowiedziałaś przez te wszystkie lata? Nie chcę mieć z Jody nic wspólnego. Nie chcę, by wykladała pieniądze na szkołę. Nie mam ochoty uzależnić się od niej.

- Wiem, Fergus. Wiem - rzekła uspokajającym tonem - ale w pewnych sytuacjach należy chwycić się radykalnych środków.

- Za żadne skarby świata nie poprosiłbym o pomoc Jody Tackett. Kiedyś jej zaufałem, a ona mnie ośmieszyła, wystawiła do wiatru. Ludzie pamiętają to do tej pory.

- Przecież już się z ciebie nie śmieją.

- A wiesz dlaczego? Ponieważ sam zapracowałem na swój sukces. Moje nazwisko coś znaczy w tym miasteczku. Jody Tackett zaś to ...

- Uspokój się już. Postawiłeś się jej.
- To nie wystarczy. Nigdy nie zdołam jej odplacić.
Darcy westchnęła.
- Fergus, to stara historia. Ostatecznie ty byłeś górą. Jody jest stara.
- Tylko o kilka lat starsza ode mnie.
- W porównaniu z tobą jest emerytką. A poza tym choruje. Wszystkiemu winna ta doktor Mallory.
- To, co mówiła pani Mallory, miało sporo sensu.
Darcy powstrzymała się przed poczynieniem wulgarniej uwagi. Zamiast tego rzekła chłodnym tonem:
- Domyślam się. To przebiegła kobieta. Ma na swoim koncie paru dyplomatów. A ja - tu Darcy znów pociągnęła nosem - jestem tylko głupią kurą domową. Skąd mogłam wiedzieć ... ?
- Och, kochanie, tak mi przykro.
Fergus przysiadł na krawędzi łóżka i uściśnął lekko dłoń żony. Przez lata nabrała przekonania, że Darcy w istocie wpadła w kompleksy z powodu braku formalnego wykształcenia. Gdy miała kłopoty, uciekała się do podobnej wymówki.
- Wcale nie sugerowałem, że doktor Mallory jest mądrzejsza od ciebie-powiedział Fergus.
Po policzku Darcy pociekła pojedyncza łza.
- Ale tak jest - rzekła. - Ona umie kierować ludźmi. Pewnie dlatego, że obracała się w kręgach polityków. Zobacz jak namieszała w głowie naszej Heather. A teraz bierzesz jej stronę.
- Ależ skąd, kwiatuśku. Wcale nie. Mam ci za złe jedynie to, że wciągnęłaś w to Jody Tackett.
- Nie zrobiłam tego, by cię wspomóc. - Poglaskała go po twarzy. - Bóg mi świadkiem, że nie po to do niej poszłam.
- A więc dlaczego?
- Ponieważ chciałam usadzić doktor Mallory. A kto mógł mnie wesprzeć lepiej od jej zaprzysięgłego wroga? Nie rozumiesz, Fergus? Jody odwaliała za ciebie brudną robotę, a ty jako przewodniczący masz już w ręku powód, by odrzucić ultranowoczesny pomysł pani doktor.
Fergus zamyślił się głęboko. Zmarszczył czoło i ściągnął brwi.
- O tym nie pomyślałem - przyznał.
Darcy spojrzała na niego ukradkiem.
- Czy uważasz, że doktor Mallory jest ładna? - spytała.
- Czy jest ładna? No ... chyba tak.
- Ładniejsza ode mnie.
- Nie, mój kwiatku - powiedział gładząc jej rude włosy. - Nie ma kobiety piękniejszej od ciebie.
- A ja jestem twoja, Fergus. - Przytuliła się do niego i wyszeptwała: - Jesteś naj cudowniejszym mężem na świecie. Czy nie uważasz, że byłoby wspaniale: gdybyśmy teraz zaczęli się kochać? - zapytała i dotknęła jego szyi.
- Teraz? Za dnia?
- Wiem, Fergus, że to nieprzyzwoite, ale kocham cię tak mocno ... Nie mogę już dłużej czekać.
- Ale Heather może ...
- Poszła na próbę chóru. Kochanie, proszę cię ... Nakrzyczałeś na mnie, byłeś taki męski, że ... zrobiło mi się gorąco ... i mokro ... tam, no wiesz ...
Fergus przełknął ślinę i wybąkał:
- Ja ... Nie miałem pojęcia, że ...
- Dotknij mnie. - Skierowała jego dłoń pod swoją spódnicę i jęknęła głośno, gdy musnął wnętrze jej ud. - Och, mój Boże! - szepnęła.
Minęło jeszcze parę chwil i Fergus już na dobre zapomniał o kłótni. Darcy uciekła się do pocałunków i pieszczot, by raz jeszcze postawić na swoim.

*

Dopiero po dwóch tygodniach Lara przekonała się, że Darcy Winston i Jody Tackett rzeczywiście mogą jej zaszkodzić. Pacjenci coraz rzadziej zaczęli odwiedzać gabinet, a w końcu w ogóle przestali przychodzić.

Nancy każdego dnia stawiała się w pracy, lecz musiała spędzać godziny na wyszukiwaniu jakichś zajęć. Lara skracała sobie poranki przeglądaniem czasopism medycznych. Wmawiała sobie, że w ten sposób nie marnuje czasu, że ma możliwość zapoznania się z naj nowszymi odkryciami i teoriami. Wolałaby jednak miast tego widzieć w swej poczekalni kolejkę pacjentów.

Młody prawnik, wynajęty przez Jacka i Marion Leonardów, jakoś nie dawał o sobie znać. Nie przychodziło pod adres Lary zawiadomienie o rozprawie. Zdawała sobie sprawę, że proces byłby ostatnim gwoździem

do trumny. Jej reputacja została , ostatecznie zrujnowana, sama zaś pewnie nie wytrzymałaby tego wszystkiego nerwowo.

Wciąż miała nadzieję, że Leonardowie się rozmyślą.

Rada szkolna również nie usiłowała się z nią kontaktować. Darcy prowadziła ożywioną kampanię przeciwko "demoralizującym" projektom Lary Mallory. Kierownictwo szkoły każdego dnia zasypywane było dosłownie listami od rodziców, którzy wyrażali oburzenie pomysłem wprowadzenia zajęć z wychowania seksualnego. Konkluzja brzmiała dobitnie: społeczność Eden Pass nie życzy sobie podobnych nowinek czy eksperymentów.

Ludzie na ulicach odwracali się od Lary bądź udawali, że jej nie widzą. Ci bardziej zacietrzewieni wytykali ją palcami, spluwając ze wzgardą na chodnik.

Czuła się niczym wyrzutek. Była w Eden Pass czarną owcą. Gdyby nie doświadczyła szykan na własnej skórze, nie uwierzyłaby, że coś takiego jest możliwe w dzisiejszej Ameryce. Zaczęła podejrzewać, że przepowiednia Jody w końcu się spełni - Lara Mallory zostanie zmuszona do opuszczenia miasteczka. Wiedziała jednak jeszcze jedno: nie stanie się tak, dopóki nie osiągnie swego celu. Tackettowie uczynili z niej pariasa. Przez nich nie mogła wykonywać zawodu . W głębi serca pragnęła tylko, by Key spełnił jej prośbę. By zabrał ją na Montesangre.

I to jak najszybciej.

18.

- Czy on tu jest?

Przed hangarem stał żółty wóz Keya.

- Nie, pani doktor, nie ma go tutaj - odpowiedział usłużnie Balky. - Ale zdaję się, że wróci dzisiaj po południu. Chyba że coś by mu wypadło. Z Keyem to nigdy nic nie wiadomo.

- Czy mogę na niego trochę poczekać?

- Jasne. Tylko po co marnować czas?

- Mimo wszystko zaczekam.

Mechanik pokręcił głową, dając do zrozumienia, że nie sposób pojąć ludzi, choćby nawet pozjadało się wszystkie rozumy. Silniki były o wiele mniej skomplikowane. Mrucząc pod nosem, wrócił do samolotu, który naprawiał przed przybyciem Lary.

Wolała zostać przed hangarem. Wewnątrz powietrze cuchnęło smarem i paliwem. Minęło może pół godziny, gdy usłyszała odległy z początku warkot silnika, a potem migające światła pozycyjne. Niebo było tego dnia bezchmurne, słońce chyliło się ku zachodowi. Niegdyś Key tłumaczył jej, z jakiego powodu tak bardzo lubi latać. Obecnie Lara, wpatrzona w czyste sklepienie nad głową, doszła do wniosku, że go rozumie

Wylądował miękko i kołował w kierunku hangaru. Kiedy łopaty obu silników przestały się obracać, Key wyskoczył z kabiny. Dostrzegł Larę natychmiast, lecz nie dawał po sobie nic poznać - zaskoczenia, zadowolenia, rozczarowania ani też złości. Nie potrafiła odgadnąć, w jakim znajdował się nastroju. Podszedł ku niej, uginając kolana i chyląc głowę.

- Na Hawajach pełno pięknych dziewcząt. Naprawdę się tam odprężyłem- stwierdził, odślaniając w uśmiechu białe zęby. - Otóż to, odprężyłem się.

- Rozumiem - odparła sucho.

- No to bystra z ciebie kobiątka. Tak jak przypuszczałem, nawiasem mówiąc.

Ruszył w stronę hangaru, a ona pomknęła jego śladem.

- I co chcesz teraz robić? - zapytała. - Skończyłeś już pracę, prawda?

- Oddać kluczyki Balky'emu i pójść sobie.

- To wszystko?

- Aha, najpierw muszę odebrać swoją forszę.

- Kogo dzisiaj odwoziłeś?

- Hodowcę bydła z Arkansas. Wziąłem go rano z Texarkany. Przez prawie cały dzień wyklócał się o cenę z tamtejszymi ranczerami i ich przedstawicielem, niejakim Andersonem. To właśnie jego samolot.

- Bardzo ładny - stwierdziła, zerkając do tyłu na maszynę.

- Wart prawie sto tysięcy doków.

Wszedł do hangaru uśmiechnięty.

- Cześć, Balkey! - zawołał i oddał mechanikowi kluczyki.

- Miałeś jakieś kłopoty? - spytał Balky.

- Najmniejszych. Gdzie moje pieniądze?

Balky wytarł dłonie w ścierkę i udał się do ciasnego pomieszczenia, w którym Lara zastała śpiącego Keya tamtego poranka, kiedy zdarzył się wypadek z Letty Leonard. Teraz Balky zapalił lampę i wyciągnął z szuflady biurka białą kopertę. Następnie wręczył ją Keyowi.

- Dzięki.

- Drobiazg .

Balky zostawił ich samych. Key otworzył kopertę, przeliczył banknoty i wsadził je o kieszeni koszuli.

- Zapłacił ci gotówką? - zainteresowała się Lara.

- Zgadza się.

- A rachunek? Poświadczenie transakcji?

- Zawarłem ze swoim klientem umowę ustną. Po co bawić się w papierkową robotę?

- A co z podatkami?

- Płacę je regularnie.

- Czyżby?

- Owszem. Do trzystu metrów latam na własne ryzyko.

- I zawsze trzymasz się tej wysokości?

Temat rozmowy najwyraźniej go nudził.

- Jesteś zainteresowana szczegółami pilotażu? Mam licencję pilota. Biorę sporą forszę, ale to, co robię, robię dobrze.

- Rzeczywiście. Szczegóły pilotażu niezbyt mnie obchodzą.

- A więc wpadłaś tu ot tak sobie?

- Nie. Chciałam z tobą porozmawiać.

- Słucham cię.

Wyjął z lodówki piwo, zdjął kapsel, odchylił głowę i pociągnął solidnie.

- Przyszłam tu jako klientka.

Odjął butelkę od ust i przyjrzał się Larze z zainteresowaniem.

- Wiem już, że nie chodzi o naukę latania. Podejrzewam też, iż nie chodzi tym razem o odwiezienie kogoś do szpitala . - Nie.

Wpatrywał się w nią w milczeniu przez kolejną dłuższą chwilę, w końcu spytał:

- Chcesz piwo?

- Nie, dziękuję. Wziął następny łyk.

- No więc ... ? Umieram z ciekawości.

- Chcę, żebyś zawiózł mnie na Montesangre.

Spokojnie dopił piwo i z precyzją koszykarza wrzucił pustą butelkę do kubła śmieci. Rozsiadł się na krześle, a stopy naoparł na blacie biurka.

Lara stała nadal. Właściwie nie miałyby nawet gdzie usiąść, jeśli nie liczyć zapyziałej leżanki.

- Już mnie o to prosiłaś. Odpowiedziałem: nie. Czy masz problemy ze słuchem albo pamięcią?

- Ja nie żartuję.

- Och, nie żartujesz - rzekł przedrzeźniając ją. - W takim razie przepraszam. Tak ... No cóż ... Potrafisz skakać ze spadochronem?

Złożyła ramiona.

- Oczywiście, że nie.

- Mam nadzieję, że nie proponujesz mi lądowania w jakiejś bananowej republi - Bo gdyby tak było, to uznałbym, że kompletnie ci odbiło.

- Mówię poważnie.

- Ja też. A jak tam twój hiszpański? Może powinnaś się podszkolić? Czy wiesz znaczy "montesangre"?

- Owszem. "Krwawa góra". I przekonałam się na własnej skórze, że ten kraj spłynął krwią. Straciłam tam córkę.

Zdjął stopy z biurka.

- No to po co, do cholery, chcesz tam wracać?

- Wiesz dlaczego. Od dawna pragnęłam tam wrócić. Od chwili gdy odzyskałam przytomność w szpitalu w Miami. Legalnie nie mogłam jednak się tam dostać.

- I życzysz sobie, żebym ja przetransportował cię nielegalnie?

- Powiedzmy.

- Słyszałem, że strzelają tam do ludzi jak do kaczek.

- W pełni zdaję sobie z tego sprawę.

- I mimo to nadal się tam pchasz?
- Muszę•
- Ale ja nie muszę.
- Nie, nie musisz. Twierdziłeś jednak, że lubisz ryzyko. Pomyślałam, iż uznasz tę wyprawę za podniecającą przygodę.
- Coś podobnego! Można mi zarzucić to i owo, ale z pewnością nie jestem idiotą. Jak chcesz dostać tam kulkę, to proszę bardzo ... Twoja sprawa. Mnie jeszcze życie miłe. Możesz wykreślić mnie ze swoich planów.
- Wysłuchaj mnie, Key.
- Nie mam ochoty.
- Jesteś mi coś winien.
- Już to mówiłaś. Nie zgadzam się.
- Od dnia, w którym twoja matka dostała ataku, żaden pacjent nie zapukał do moich drzwi. Jody odrzuciła moją pomoc. A ty odniosłeś się do mnie opryskliwie przy cizjach.
- Nie było wtedy czasu na wymianę uprzejmości. Moja matka była bliska śmierci.
- No właśnie. I zaraz rozeszła się pogłoska, że pani Tackett woli umrzeć niż skorzystać z mojej pomocy. Ostatni pacjenci, których miałam, zniknęli. Miesiące ciężkiej pracy poszły na marne. I to za sprawą kilku złośliwych słów. Od tamtej pory znalazłam się w tragicznej sytuacji.
- Wzruszasz mnie, doprawdy.
Wzięła głęboki oddech, by ostudzić nieco targające nią wzburzenie.
- Chciałam przeprowadzić zajęcia z wychowania seksualnego w tutejszej szkole. Przyniosłyby one korzyść wszystkim młodym ludziom w miasteczku.
- A tak, czytałem o tym w gazecie.
- Tylko że z pewnością zapomnieli tam napisać, że Jody przekupiła kierownictwo szkoły, byle tylko storpedować mój pomysł.
- Zawsze znajdziesz winnych, co?
- Twoja matka jest w tym znacznie lepsza. Zniszczyła mnie, a ostatni cios zadała twoja kochanka, Darcy.
- Wiesz co, z twoją głową chyba coś nie w porządku. Cierpisz na jakieś kompleksy.
Puściła tę uwagę mimo uszu.
- Musiałam oficjalnie przerwać praktykę lekarską. Dzisiaj zwolniłam Nancy. Tak więc doczekałeś się wszystkiego, na czym ci zależało. Dopiąłeś swego. Twoja rodzina zniszczyła moją karierę zawodową. Nie mam perspektyw, przynajmniej tu, w Eden Pass.
- Przykro mi, ale nie czuję się twym dłużnikiem.
- Zamknęłam gabinet, lecz nie oznacza to, że zamierzam opuścić miasteczko.
- Wyciągnęła z rękawa ostatniego asa i rzuciła go na stół. - Twoja matka się zaklinała, że skompromitowana wyjadę z Eden Pass. Wątpię w to. Zostanę tu, dopóki wystarczy oszczędności. A odłożyłam nieco dolarów. Przeżyję za nie dobre kilka lat.
- Bzdura. Nie zrezygnujesz z praktyki. Za bardzo kochasz tę pracę.
- Poświęcę się.
- Na złość nam?
- Właśnie. Jednakże jestem gotowa się potargować. Oszczędzę twej rodzinie dalszych kłopotów, jeśli przetransportujesz mnie na Montesangre. Kiedy tylko stamtąd wrócimy, natychmiast wyniosę się z miasteczka. Wierz mi, nie uczynię tego z żalem. Jestem już zmęczona tymi wszystkimi plotkami i wytykaniem mnie palcami na ulicach. I powiem ci coś jeszcze - dodała nachylając się nad biurkiem. - Uważam, że to właśnie mieszkańcy Eden Pass całkiem się ośmieszyli. Okazali się małostkowymi hipokrytami. I tchórzami. Ulękli się starej, zgorzkniałej kobiety ... Key, zabierz mnie na Montesangre, to zostawię was samych w tym waszym miasteczku. Eden Pass to zbyt prowincjonalna miejscina jak dla mnie.
Milczał przez kilka chwil. Wreszcie rozłożył ręce i zapytał:
- Czy to wszystko?
Przytaknęła.
- To dobrze - stwierdził wstając. - Bo muszę już iść. Jestem głodny jak wilt. a Janelen czeka na mnie z kolacją.
Lara chwyciła go za rękaw.
- Nie kpj sobie ze mnie, ty sukinsynu! Przez ciebie nie mogę pracować, ale ni pozwolę ci sobą pomiatać. Wywrał się jej szarpnięciem.

- Posłuchaj - powiedział - mam gdzieś plotki. To, co robi matka, jest wyłącznie jej sprawą. Nie chcę się mieszać w jej gierki. Przypuszczam, że jesteś zdolną lekarką, ale nie dbam o to, czy będziesz leczyła tutejszych ludzi, czy też nie. A Darcy Winston nie jest moją kochanką. Jeżeli chcesz znaleźć się w tamtym gównianym kraju, to proszę bardzo. Ale na mnie nie licz.

- W gównianym kraju ... ! Jakim prawem udzielasz mi lekcji? Sam robisz rzeczy niezgodne z przepisami - stwierdziła z pasją, czyniąc aluzję do jego pracy na czarno.

- Chwileczkę, jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Po prostu nie mam ochoty pożegnać się z życiem. A przede wszystkim nie ufam ci. Tracisz tylko czas ...

- A gdyby się okazało się, że Ashley nadal żyje?

Nie odpowiadał. Wpatrywał się w nią tylko przenikliwie.

- Hm ... Wybacz mi, Key. - W drzwiach stanął Balky i niepewnie łyptał na Tacketta. - Zbieram się do domu. Zamkniesz hangar?

- Jasne, Balky. Dobrej nocy.

- Nawzajem.

Przez moment milczeli, nasłuchując kroków odchodzącego mechanika. Jego niespodziewane wejście złagodziło nieco napięcie. Key odwrócił się tyłem do Lary i przeczesał palcami włosy.

- Czy jest taka możliwość? - zapytał.

- Pewnie minimalna. Sęć jednak w tym, że n i e w i e m. Gdzieś w moim mózgu czai się fanatyczna myśl, iż moja córeczka jakimś cudem ocalała. Nie odesłano do Stanów jej ciała. No tak, jestem lekarką i nie powinnam wierzyć w cuda. Ashley zapewne zginęła i została pochowana. W miejscu mi nie znanym. To nie daje mi spokoju. Chciałabym przynajmniej odnaleźć jej szczątki i pozwolić im spocząć w amerykańskiej ziemi.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Nadal jednak się nie odzywał.

- Muszę to zrobić - rzekła z naciskiem. - Muszę zabrać stamtąd córkę i przywieźć ją do domu. Sama nie potrafię się dostać do tamtego przeklętego kraju. Amerykanie nie mają tam wstępu. Gdybym się starała uczynić to legalnie, natychmiast zostałabym wydalona.

- Na to wygląda.

- Z całą pewnością. Kontaktowałam, się z ludźmi, którzy pozostawili na Montesangre znajomych i nie mają żadnych wieści o ich losie. Wszystkie ich starania spełzły na niczym. Odmówiono im wiz. Tych, którzy zaryzykowali podróż uwięziono, a potem wysiedlono. Kilku ponoć ledwo uszło z życiem. Potrafię to sobie wyobrazić.

- I dlatego właśnie nie wybieram się tam - stwierdził Key.

- Tylko ty możesz zawieźć mnie na Montesangre i zabrać z powrotem. Clark wiele razy powtarzał, że jesteś doskonałym pilotem. Mówił, że udało ci się pokonywać największe trudności, że wprost uwielbiasz ryzyko. Im większe, tym bardziej cię pociąga. - Urwała, by zaczerpnąć tchu. - Załóżmy, że się zgodzisz. Zdobyłbyś wtedy samolot?

- To tylko teoretyczne założenie.

- Jasne. Załatwiłbyś samolot?

Myślał nad tym około minuty.

- Znam pewnego faceta, który swego czasu poprosił mnie, abym rozbił mu samolot. Dostałby wtedy pieniądze z firmy ubezpieczeniowej. Tonął po uszy w długach. Zaproponował mi trzydzieści procent udziału. Jeśli przeżyję, naturalnie.

- Potrafisz tego dokonać. Celowo rozbić maszynę i wyjść cało?

- Cóż ... Czemu nie? - powiedział i uśmiechnął się na sekundę. - Jego oferta wydała mi się kusząca.

Chodziło o kupę forsy. Uznałem jednak, że nie będę się narażał. - Czy ten człowiek nadal znajduje się w tarapatach finansowych?

- Podobno.

- I wciąż ma ten samolot?

- Tak słyszałem.

- Więc pewnie poszedłby na taki układ. Dostałby pieniądze za swój samolot.

I jeszcze trochę ode mnie, gdyby udało nam się wrócić. Ile chciałby za wynajęcie maszyny?

- To piękne cacko. Cessna 310. Nawet nie taka stara. Biorąc pod uwagę

okoliczności... powiedzmy, jakieś dwadzieścia tysięcy.

- Dwadzieścia tysięcy? - powtórzyła cicho. - Tak wiele?

- Nie wliczając w to mojej gaży.

- Twojej gaży?

- Jeżeli mam wystawić tyłek na celownik automatów jakichś oberwańców, to chcę za to dostać godziwą zapłatę.

Wyraz jego twarzy wskazywał, że zamierza obstawić swoje życie i zdrowie wysoko. Tak wysoko, iż Lary nie będzie stać na grę.

- Ile, Key?

- Sto tysięcy - odrzekł. Widząc jej przerażoną minę, dodał: - Płatne z góry.

- Jeśli ci zapłacę, to zostanę bez jednego centa.

Wzruszył ramionami.

- Tak bywa. Poza tym mam nadzieję, że nie będziemy musieli ryzykować. Nie cierpię szukania igły w stogu siana.

Ruszył usiłując ją wyminąć. Stała mu na drodze, położyła dłonie na jego ramionach. - Wiem, że nie zachowywałbyś się tak, gdybyś nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mnie to drażni.

- Niby jak się zachowuję?

- Jak najemny wojownik. Patrzysz na mnie z góry i rozmawiasz z łaski. Niech cię licho! Nie pozwolę ci z tego żartować. Wiesz przecież, jakie to dla mnie istotne.

Odepchnął ją tak, że oparła się plecami o ścianę.

- No, powiedz, jak ważne.

- Nadzwyczaj. Czy sądzisz, że w innym wypadku prosiłabym Tacketta ... gokolwiek z Tackettów ... o przysługę?

Stała tuż przed nią. Bliskość jego ciała była podniecająca. Tak jak wyraz jego oczu.

Nie dawała jednak poznać tego po sobie. Wyzywająco uniosła podbródek, wbijając w Keya twarde spojrzenie.

- Mogłabyś nawet posunąć się dalej, prawda, Laro? Powiedzieć, że jestem twoją ostatnią deską ratunku?

- Z twojego właśnie powodu przybyłam do Eden Pass.

To stwierdzenie zrobiło na nim spore wrażenie. Tak jak się tego spodziewała.

- Clark dał mi szansę podjęcia na nowo praktyki lekarskiej, lecz nie przyjechałabym tu, gdyby nie ty. Pragnęłam poznać jego szalonego brata, który potrafi "dolecieć wszędzie i w każdych okolicznościach". Wiedziałam, że zwykle przebywasz poza miasteczkiem, ale wiedziałam też, że prędzej czy później się spotkamy. Postanowiłam cię skłonić, byś zabrał mnie na Mon-tesangre. W ten czy inny sposób. Tak, w pewnym sensie jesteś moją ostatnią nadzieją.

W milczeniu wysłuchał tego zdumiewającego wyznania. Prędko jednak odzyskał rezon. Uśmiechnął się od ucha do ucha i zapytał: - A więc chcesz usłyszeć moją cenę?

- Już ją wymieniłeś. Sto tysięcy dolarów.

Uniósł dłoń i delikatnie pogłaskał jej policzek.

- ... które wolałbym odebrać w naturze. Pieprząc się z tobą.

Chciała odruchowo uderzyć go w twarz, lecz zamiast tego chwyciła jego nadgarstek, zaciskając na nim palce.

- Powinnaś była wiedzieć, że powiesz coś obrzydliwego - stwierdziła.

- Próbowałam odwołać się do twojej uczciwości, nie masz jej jednak nawet za grosz.

Czujesz się odpowiedzialny wyłącznie za siebie.

- Trafiła pani w sedno, pani doktor - wyszeptał. - Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak to cudownie nie mieć żadnych zobowiązań.

- Twierdzisz, że nie masz zobowiązań? Twój brat ponosi częściową odpowiedzialność za śmierć Ashley. Wszyscy mamy na koncie jakieś grzechy, lecz moja córeczka była zupełnie niewinna. I gdyby Clark nie postąpił jak tchórz ...

Westchnęła i opuściła rękę.

- Duma przestaje się dla mnie liczyć, jeśli w grę wchodzi Ashley. Wiem, nie będę już słyszała jej szczebiotu, gam wygrywanych przez nią na pianinie, śmiechu i płaczu. Pragnę tylko jednego: by spoczęła na zawsze w amerykańskiej ziemi. Jeżeli mogłabym to osiągnąć śpiąc z tobą, to gotowa jestem ci ulec.

Spojrzał na nią chłodno i cynicznie. Cofnął się powoli, krok po kroku. Wydawało się, że trwa to bardzo długo.

- Sama stwierdziłaś, że nie wiem, co to przyzwoitość. Może pomógłbym przejść przez ulicę ślepej staruszce, ale to wszystko, na co mnie stać. Jestem inny od swojego brata. Niech wszystkie dobre uczynki zostaną zapisane na jego konto. Dziwię się tylko, w jaki sposób udało ci się go uwieść.

Zatrzymał się jeszcze przy wyjściu i rzucił przez ramię:

- Bądź taka uprzejma i pozamykaj za sobą drzwi.

*

- Spóźniłeś się.

- Wiem.

- Nie czekałyśmy z kolacją.

- I tak nie jestem głodny.

Key i Jody jak zwykle opryskliwie wymienili zdania. Podszedł do kredensu i nalał sobie mocnego drinka.

- Jest fasola i szynka, Key - powiedziała Janellen. - Przecież przepadasz za fasolą. Proszę, usiądź, zaraz ci podgrzeję.

- Owszem, usiądę, ale nie chce mi się jeść .

Był w parszywym nastroju od chwili, gdy Lara Mallory poprosiła go o pomoc w odnalezieniu szczątków swej córki na Montesangre. Dziewczynki, w której żyłach płynęła prawdopodobnie krew Tackettów.

Zastanawiał się, czy Clarka tak bardzo gryzło sumienie, że w końcu targnął się na własne życie. Key słyszał wcześniej pogłoski, że jego brat popełnił samobójstwo. Zaprzeczał im gorliwie, lecz obecnie stwierdził, że mogło kryć się w nich ziarno prawdy.

Podszedł do stołu ze szklaneczką w dłoni. Wypił drinka jednym haustem i po chwili nalał sobie następnego, ignorując karcące spojrzenie Jody.

- Jak ci minął dzień, Jody? Czujesz się lepiej?

- Nic mi nie jest. I nigdy nie było. Miałam chwilę słabości a ludzie zaraz zrobili z tego nie wiadomo co.

Nie chciał wszczynać kolejnej kłótni. Od dnia, kiedy miała atak, starał się jej nie prowokować.

Nadal uważał, że wynajęcie pielęgniarki jest dobrym pomysłem, ale nie poruszał tego tematu. Starał się nie odpowiadać szorstko na jej zaczepki, choć nie zawsze mu się udawało. Wiedział, że Jody była gburowata głównie dlatego, że się bała. Pomyślał, iż na jej miejscu sam mógł zachowywać się podobnie.

- A co u ciebie, Janellen? - zapytał. - Zdarzyło się dziś coś ciekawego?

- Nie. Ale czym ty się zajmowałeś?

Opowiedział o wyprawie samolotem i o ranczerach.

- Anderson dobrze mi zapłacił. To była lekka robota. Chociaż nudna jak jasna cholera.

- To dla ciebie najważniejsze, co? - wtrąciła Jody. - Robić wszystko, byle się nie nudzić.

Key uniósł szklaneczkę z whisky i skinął ponuro głową.

- Zupełnie jak twój ojciec. - Jody żachnęła się z pogardą. - Obaj zawsze szukaliście guza.

- Co w tym złego?

- Mialiśmy na deser budyń, Key. Chcesz trochę? - spytała Janellen.

- Powiem ci, co w tym złego - rzekła Jody do Keya, przerywając córcę, która rozpaczliwie usiłowała zapobiec kłótni. - Jesteś jak gówniarz, żyjesz w nierealnym świecie. Czy nie czas, żebyś wydorósł i zajął się czymś poważnym?

- Mamo, Key pracuje dla różnych firm. Rozpyła nad lasem środki owadobójcze. Czy ratowanie drzew to nie jest poważne zajęcie?

Jody jakby nie usłyszała słów Janellen. Cały czas patrzyła na Keya.

- Życie nie składa się z samych przygód. Trzeba ciężko pracować ... w deszczu i słońcu, w niedzielę i święta, czy się ma na to ochotę czy nie.

- To nie żadne życie, tylko harówka - stwierdził.

- Chciałbyś się tylko bawić.

- Właśnie. Szukam rozrywki.

- Jak twój ojciec?

- Tak. On w domu nie potrafił jej znaleźć - rzucił. Kontrolował nerwy ostatkiem sił. - Szukał wytchnienia gdzie indziej. Poza domem. W innych łózkach, z obcymi kobietami.

Jody poderwała się raptownie z fotela.

- Wypraszam sobie, byś mówił w ten sposób przy moim stole! Key także wstał.

- A ja nie chcę, żebyś wieszala psy na moim ojcu.

- Ojcu? - powtórzyła z goryczą. - Jaki tam był z niego ojciec. Zniknął na całe miesiące.

Owszem, pamiętał to. Pamiętał, że jako mały chłopiec tęsknie patrzył za odjeżdżającym samochodem ojca i wiedział, iż miną długie tygodnie, nim ujrzy go ponownie.

Key zacisnął szczęki. Zapragnął dopiec Jody.

- Uciekał od ciebie, a nie od nas, dzieciaków.

- Key! - zaprotestowała Janellen.

Tym razem nie zwrócił uwagi na upomnienie siostry. Ostatecznie stracił cierpliwość i nie potrafił pohamować wzburzenia.

- Nigdy nie zwróciłaś się do mnie ciepłym słowem! - krzychał na Jody. - Czy tatę traktowałeś inaczej? Czy tak samo jak mnie wciąż go pouczałaś i strofowałaś? Nie myślałaś o nim, tylko o tej przeklętej nafcie i pieniądzech. Czy pocieszałaś go kiedykolwiek, gdy był przygnębiony? Czy czasem przytuliłaś go do piersi? O nie. zawsze byłaś twarda jak skała.

- Key! - wrzasnęła Janellen. - Mamo, usiądź! Wy oboje ...

- Twój ojciec nie potrzebował mojej miłości. Brał ją od dziwek po całym świecie. I wcale się z tym nie krył. Był z jakąś żdziwą tamtego dnia, gdy się urodziłeś! - rzuciła Jody oddychając z trudem. - Jedyną korzyścią był fakt, że splodził twego brata.

- Ach, świętoszek Clark! - parsknął Key. - Może nie był taki święty, jak ci się wydaje. Rozmawiałem o nim z jego byłą kochanką. Wygląda na to, że Clark wysłał ją do pewnego parszywego kraju po to, żeby tam ktoś ją sprzątnął. Poprosiła mnie, żebym pomógł jej odszukać szczątki jej dziecka. I co wy na to?

- Chyba nie myślisz o tym poważnie? - Janellen popatrzyła na niego ze strachem.

- Dlaczego nie? Pieniądze nie śmierdzą.

- Ależ tam ciągle trwają walki. Ludzie giną każdego dnia.

Chociaż skierował odpowiedź ku Janellen, to nie spuszczał wzroku z Jody.

- Lara Mallory uważa, że my, Tackettowie, jesteście jej coś dłużni. Obiecała, że jeśli spełnię jej prośbę, to wyjedzie z Eden Pass i nigdy tu nie powróci.

- Masz jej odmówić, rozumiesz? - powiedziała Jody głosem podminowanym nienawiścią.

- Nawet gdyby to oznaczało, że się jej nie pozbędziemy?

- Nie ufaj jej. Z pewnością złamię dane słowo. Nie wolno ci się tam z nią udawać pod żadnym pozorem.

Przyłożyła otwartą dłoń do serca.

- Matko, twoja troskliwość mnie wzrusza - zadrwił.

- Mam w nosie, co się z tobą stanie. Chcę tylko ocalić reputację Clarka. Jeżeli wyruszysz gdzieś razem z tą dziwką, to okażesz się skończonym głupcem. Wtedy niech cię diabli...!

Janellen zakryła usta dłonią i usiadła na krześle.

- No, śmiało, powiedz to wreszcie, Jody! - wrzeszczał Key. - Straciłaś Clarka, to równie dobrze możesz pozbyć się mnie, co?

Jody schwyła paczkę papierosów i zapalniczkę, odwróciła się i wyszła z jadalni. Jeszcze długo trzymał zaciśnięte dłonie na oparciu krzesła. Był napięty do granic wytrzymałości. Zdawało się, że zaraz poderwie mebel z podłogi i ciśnie nim w okno.

Prawie zapomniał o obecności Janellen. Usłyszał jej głos:

- Powiedziałeś straszną rzecz ... Mama była zbyt wzburzona, żeby z tobą rozmawiać.

Popatrzył na nią tępym wzrokiem. Rozluźnił wreszcie mięśnie ramion i puścił dębową poręcz. Wolno ruszył w stronę drzwi.

- Mylisz się, Janellen. Nie odpowiedziała mi, bo wiedziała, że mówię prawdę.

*

Lampka na nocnym stoliku rozbłysła nagle. Lara przebudziła się natychmiast i usiadła na łóżku. Czowała, że serce podchodzi jej do gardła.

- Wszedłem tylnymi drzwiami - wyjaśnił Key. - Zapomniałaś zmienić szyfr przy zamku.

Wpatrywał się łakomie w jej nagie piersi. Lara, nadal lekko oszołomiona, nie sięgała po koc. Dopiero po dłuższej chwili wzięła szlafrok i zarzuciła go na siebie.

- Musimy pogadać - stwierdził.

Z trudem dostrzegła zarys sylwetki Keya w półmroku sypialni. Usiadła na brzegu łóżka. Key podszedł bliżej, przygryzł dolną wargę. Naraz przystanął i spojrzał Larze w oczy.

- Możemy nie znaleźć miejsca do lądowania. Pomyślałaś o tym?

Potrząsnęła głową.

- Nie ... To znaczy tak.

Wzięła głębszy oddech i odgarnęła włosy z twarzy. Wyjaśniła:

- Powiedziałam: nie, bo rzeczywiście nie będzie gdzie wylądować. A potem: tak, bo wiele myślałam na ten temat.

- No i?

- Mam mapę, na której zaznaczone są prywatne lądowiska.

- Lotniczą?

- Nie sądzę. Zdaje się, że to zwykła mapa.

- Lepszy rydz niż nic - stwierdził. - Jak ją zdobyłaś?

- Ktoś mi ją przysłał.
- Ktoś godny zaufania?
- Ksiądz. Ojciec Geraldo. Zaprzyjaźniłam się z nim podczas pobytu na Montesangre Randall uczynił go oficjalnym kapelanem ambasady.
- Myślałam, że rebelianci rozstrzelali wszystkich duchownych.
- Wielu rzeczywiście zginęło. On jakoś zdołał przetrwać.
Key zamyślił się i usiadł na krześle blisko Lary. Niemał dotykał nogami jej bosych stóp - Niewykluczone, że ten twój ksiądz gra na dwie strony.
- Owszem - potwierdziła Lara i uśmiechnęła się słabo. - Podobno spowiada partyzantów.
- Spryciarz.
- Tylko w ten sposób może nadal służyć Bogu.
- Powiedziałbym, że bardziej zależy mu na swojej skórze.
- Możliwe - przyznała niepewnie Lara. - Ale nie mam powodu, by mu nie ufać. Tak czy owak to jedyny człowiek, na którego możemy liczyć.
Key westchnął.
- W porządku. Zostawmy to i przejdźmy do punktu drugiego. Czy oni na tej wyspie mają radary?
- Pewnie tak, ale chyba dosyć prymitywne. Technologicznie pozostają zacofani. w stosunku do cywilizacji świata o całe dziesięciolecia.
- Jak daleko od Ciudad Central znajduje się to lądowisko?
- Kilkadziesiąt kilometrów. Może sześćdziesiąt - sprecyzowała.
Gwizdnął przeciągle.
- Całkiem blisko. I jak ja mam uniknąć radarów?
- Musi być jakiś sposób. Przemysłowcy kokainy robią to bez przerwy.
Spojrzał na nią ostro.
- Nigdy nie parałam się takimi sprawami.
- Nie miałam zamiaru sugerować, że ...
- Już ja wiem swoje - przerwał jej, a potem niecierpliwie wzruszył ramionami::.
- Pieprzyć to. Wierz sobie, w co chcesz.
Wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju. Larze cisnęły się na usta setki pytań, ale nie śmiała ich teraz zadawać. Najbardziej ciekawiło ją, dlaczego w końcu zmienił zdanie. Patrzyła, jak Key nie strudzenie przemierza sypialnię, niczym zwierzę uwięzione w klatce.
- Jeśli nie wykryją nas radarami, jeśli to lądowisko rzeczywiście się tam znajduje
- Tak?
- To co zrobimy potem?
- Zabierze nas stamtąd ojciec Geraldo.
- Mów dalej .
- Działa tam pewna podziemna organizacja ... To właśnie dzięki niej dostałam tę mapę. Czekałam na nią bardzo długo. Korzystając z tego kanału, mogę powiadomić ojca Geraldo o miejscu spotkania.
- I zabierze to następnego pół roku?
- Nie. Znacznie mniej.
- Jesteś pewna, że on zechce nam pomóc?
- Jestem tego pewna bardziej niż siebie.
Patrzyli sobie przenikliwie w oczy. Pierwszy przerwał milczenie Key.
- Czy ten ksiądz mówi po angielsku?
- Naprawdę nazywa się Gerald Mallone. To Amerykanin.
Key zaklął.
- Wiesz, co to oznacza? Pewnie śledzą każdy jego krok.
- Wątpię. On przesiąkł już tamtejszymi obyczajami. Jest teraz bardziej Latynosem niż potomkiem irlandzkich emigrantów. Poza tym w pełni zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża. Mieszka tam od dawna i wie, jak unikać pułapek. Sprawdzi, że na lądowisku nie będzie rebeliantów. Dowiedziałam się, że to miejsce znajduje się blisko wybrzeża i otoczone jest górami.
- Jezus Maria! Mam lecieć w nocy, nad otwartym morzem, unikać radarów i jeszcze posadzić całą maszynę na jakimś kawałku polanki pośród dżungli i górskich szczytów.
Zobaczył, że Lara chce coś powiedzieć, i powstrzymał ją ruchem dłoni.
- Wiem, wiem. Przemysłowcy pokonują takie przeszkody. I bez wątplenia używają tego samego lądowiska. Ponownie zaczęła spacerować po pokoju. Lara nie wytrącała go z zamyślenia.

- Dobra - stwierdził w końcu. - Powiedzmy, że zdołamy cało wylądować i rebelianci nie zastrzelą nas na miejscu. Powiedzmy też, że spotkamy tego podejrzanego księdza. Dokąd on nas zabierze?

- Do Ciudad Central.

Przesunął dłonią po policzku.

- Obawiałem się, że to właśnie usłyszę.

- Prawdopodobnie właśnie tam pochowano moją córkę.

Spojrzał na jej jasne włosy.

- Jesteś blondynką. Będziesz się tam wyróżniała jak niedźwiedź polarny na Saharze. Nie sądzisz, że ktoś może zwrócić na ciebie uwagę, kiedy udasz się na cmentarz z łopata i zaczniesz kopać?

Westchnęła głośno.

- Przepraszam - rzekł. - Wiem, że to nie pora na żarty.

Usiadł znowu na krześle i dodał uprzejmie:

- Bardzo wątpię, czy uda się tego dokonać, Laro. Wiesz, na jakim cmentarzu mogli pochować twoje dziecko?

- Nie.

- A ten ojciec ... jak mu tam?

Pokręciła głową.

- Podobno stara się to ustalić. Przez ostatnie lata zniszczono wiele dokumentów i ksiąg. Mam nadzieję, że nim tam dotrzemy, Geraldo czegoś się dowie. - Uśmiechnęła się i dodała: - To wszystko.

- Czy sami możemy zdobyć jakieś informacje?

- Zajmę się tym w Ciudad Central.

- Chryste. Chyba nie wiesz, o czym mówisz.

- To nie takie beznadziejne, jak się zdaje - rzekła. Pragnęła, by zabrzmiało to przekonująco. - Znam pewnego Montesangryjczyka, który pracował w naszej ambasadzie, bardzo zdolnego młodzieńca. Był zatrudniony na etacie urzędnika, ale Randall dawał mu też do tłumaczenia poufne dokumenty. Randall słabo znał hiszpański. Ten człowiek ma na imię Emilio. Jest bystry i dyskretny. Jeśli go odnajdę, to wiem, że mi pomoże.

- Jeśli go odnajdziesz?

- Mógł nie przeżyć rewolty. Jego nazwiska nie wymieniono na liście zabitych i zaginionych pracowników ambasady, ale to jeszcze niczego nie dowodzi. Jeżeli nie zginął, to pewnie gdzieś się ukrywa. Rebelianci uznali za zdrajców wszystkich, którzy pracowali w ambasadzie amerykańskiej.

- No więc nie żyje lub też nie sposób do niego dotrzeć. Założmy, że gryzie już piach. Co wtedy?

- Wtedy będę zdana tylko na siebie.

- Podejmiesz takie ryzyko?

- Zrobię wszystko dla Ashley.

- Rozumiem - rzekł. - Zapewne gotowa jesteś nawet poświęcić mnie.

Zerknął na jej udo, które wysunęło się spod szlafroka. Lara milczała. Siedziała bez ruchu.

Key naraz wstał.

- Skontaktuj się z ludźmi z tamtejszego podziemia. Zbierz wszelkie możliwe informacje. Niczego nie lekceważ. Nie ufaj swej pamięci, rób notatki. Muszę o wszystkim wiedzieć. Dokładnie wszystko o Montesangre. O której wschodzi tan.; słońce i o której zachodzi, jaki panuje tam klimat, w jakim stanie znajdują się drogi, każdy szczegół ... Pozwól, że ja ocenię, co jest ważne, a co nie. W dramatycznychokolicznościach ludziom przydają się bardzo dziwne wiadomości. To sprawa życia i śmierci... Nie weźmiemy ciężkich bagaży. Ty zabierz jedynie podręczną torbę. Niczego cennego, żadnych pamiątek czy amuletów. Pamiętaj, że jeśli nam się uda, będziemy wracać z urną. Całą resztę zapewne trzeba będzie porzucić. Masz jakieś pytania

- Co z samolotem?

- Zajmę się tym. Bronią też.

- Bronią?

- Chyba nie sądzisz, że wystarczy nam scyzoryk? Potrafisz strzelać?

- Mogę się nauczyć.

- Zaczniemy lekcje, jak tylko załatwię splawy. Zapłacę za nie z własnej kieszeni, ale potem dopiszę wydatek do twojego rachunku.

- Naturalnie.

- Jeden warunek: nie pytaj mnie więcej o samolot i broń. Lepiej, żebyś na ten temat wiedziała jak najmniej.

- A gdy spyta cię o to ktoś inny?
- To skłamię. Z premedytacją. Kiedy chcesz wyruszyć na Montesangre?
- Kiedy tylko będziesz miał samolot.
- W porządku. Pozostaniemy w kontakcie.

Lara wstała.

- Dzięki, Key. Nie wiesz nawet, jak bardzo ci jestem wdzięczna .

Popatrzył jej w oczy i spytał z całą powagą:

- Rozumiem, że jeśli chodzi o forsę, to nasza umowa stoi?

Starła się wmówić sobie, że nie działa na nią jego spojrzenie. Czowała jednak, jak drżą jej kolana. Z jego ciemnych oczu emanował ognisty blask i seks.

Opuściła wzrok i rozwiązała pasek. Poły szlafroka rozchyliły się na boki. Po chwili zsunęła delikatną tkaninę z ramion. Szlafrok spadł na dywan.

Stała przed Keyem zupełnie naga.

Zapadła duszna, pełna napięcia cisza. Nie patrzyła na niego, ale czuła, że oczy Keya przemykają po jej ciele. Poczwała gorąco. I wilgoć między nogami. Brodawki jej piersi naprężyły się. Słyszała dudnienie swego serca. Cała zaczęła drżeć z ekscytującego niepokoju.

- Spójrz na mnie - usłyszała nagle. Uniosła głowę.

- Powiedz moje imię.

- Key - wyszeptała, a potem powtórzyła głośniej:- Key.

Dotknął palcami jej szyi i pochylił się nieco. Pocałował ją w usta namiętnie, trochę brutalnie. Wniknął językiem między jej rozchylone wargi... Zdawało się, że szuka czegoś, czego nie mógł dotąd znaleźć.

Może czegoś równie silnego jak jego pożądanie.

I naraz wszystko się skończyło równie niespodziewanie, jak się zaczęło.

- Wezmę teraz dziesięć tysięcy - powiedział ze zdumiewającym opanowaniem.

- Zastanowimy się, ile mi jesteś winna, kiedy stamtąd wrócimy. Jeśli wrócimy - dokończył i odwrócił się.

Podniosła szybko szlafrok i zarzuciła na siebie.

- Key?

Zatrzymał się przed drzwiami i - po długim wahaniu - obrócił głowę.

- Wiem, dlaczego muszę się tam udać, ale ty ... ? - zapytała drżącym głosem. - Czemu się zdecydowałeś? Co masz do zyskania?

- Nic poza forsą. Sedno w tym, że tak jak ty, nie mam nic, absolutnie nic do stracenia.

19.

- Kochałaś mojego bmta?

Pytanie zaskoczyło ją.

Lara miała zamknięte oczy, ale nie spała. Była zbyt zdenerwowana, by się zdrzemnąć. Powieki opadały jej ze zmęczenia. W dniach poprzedzających wyjazd nie była w stanie mocno spać.

Już od pół godziny nie zamieniła z Keyem ani słowa. W kabinie słychać było tylko warkot silników.

Wylecieli z Brownsville w Teksasie późnym popołudniem. Cztery godziny potem ujrzeli na horyzoncie nierówne tereny środkowego Meksyku.

Minęli półwysep Jukatan i Key wziął kurs na Ocean Spokojny. Stały ląd zniknął u horyzontem, zanim dotarli do Montesangre. Na niebie pojawił się cienki sierp księżyca. Key wyłączył światła pozycyjne na skrzydłach samolotu. Nieprzeniknione ciemności rozjaśniał jedynie nikły blask tablicy rozdzielczej.

Lara wyczuła, że Key robi się spięty. Szykował się do trudnego lądowania. Nie chciała go rozczarować.

Opuścili Eden Pass w południe i polecili do Brownsville. Tam zjedli obiad. Lara nie miała apetytu, lecz Key nalegał, żeby coś przełknęła.

"Dużo czasu może upłynąć, zanim znowu coś przekąsimy" - powiedział. Uzupełnili zapas paliwa. Lara nie wiedziała, do kogo należy samolot - Cessna 31C - ale wcześniej uzgodnili, że nie będzie o to pytać.

Przed wyjazdem Key usunął kilka foteli i zostawił tylko dwa. Pewnie po to, aby zrobić więcej miejsca na urnę z prochami. Zainstalował także w samolocie radiostację.

"Za pomocą tego sprytnego cacka mogę ustalić położenie i długość pasa startowego" - wyjaśnił.

Do Lary należało zdobycie potrzebnych informacji. W końcu uzyskała je, lecz nim to się stało, przeżyli kilka dni pełnych niepokoju.

"Do diabła, nie możemy lecieć w czasie pełni - denerwował się Key. - Jeżeli ten twój ksiądz nie odezwie się do dwudziestego piątego, będziemy musieli czekać następny miesiąc".

Mogliby czekać, ale podświadomie chcieli, by wszystko odbyło się jak najszybciej.

Dłuższe zwlekanie wykończyłoby ich psychicznie. Na szczęście ksiądz z Montesangre nawiązał z nimi kontakt radiowy i podał współrzędne, których Key potrzebował.

Spakowali zapas ubrań i przyborów toaletowych. Lekarska torba Lary pękała w szwach. Key zabrał też aparat fotograficzny i kilka filmów. Gdyby ktoś ich wypytywał, dokąd się wybierają, udawaliby, że jadą do Chichen Itza fotografować piramidy prekolumbijskich Indian. Key zapewniał jednak, iż nikt nie będzie im zawracał głowy.

W zamaskowanym schowku w skrzydle ukrył strzelbę. Wziął też dwa pistolety. Lara wystraszyła się, gdy dotarło do niej, że mają broń.

- Ten jest dla ciebie - powiedział Key wręczając jej spluwę.

- Ledwo mogę go unieść.

- Poradzisz sobie, jak będziesz musiała. Trzymaj go obiema rękami, kiedy będziesz strzelać.

- Randall chciał nauczyć mnie posługiwania się bronią, gdy przenosiliśmy się na Montesangre, ale nie miałam na to ochoty.

- To Magnum 357. Nie trzeba być wyborowym strzelcem, żeby z niego walić. Po prostu skieruj lufę w odpowiednią stronę i naciśnij spust. Pamiętaj, że to ostra zabawka ... Rozwala wszystko, w co trafi.

Lara wdrygnęła się. Nie zwracając na to uwagi, Key objaśnił jej krótko, jak ładować broń.

Teraz już byli gotowi na wszystko. Zbliżyli się do celu. Lara wiedziała, że podjęli wielkie ryzyko, lecz Key wydawał się całkowicie opanowany.

Zastanawiała się, czy jego niespodziewane pytanie o jej uczucia do Clarka było tylko próbą rozładowania napięcia, które ich zżerało.

Odwróciła się i spojrzała na Keya. Na twarzy miał tygodniowy zarost.

- To dla niepoznaki - powiedział, czując na sobie jej wzrok. Musiała jednak przyznać, że broda dodawała mu uroku.

- Czy kochałam Clarka? - zadała sobie pytanie. Odwróciła z powrotem głowę i zapatrzyła się w nieprzenikloną ciemność na zewnątrz. Starła się nie myśleć, że samolot może w każdej chwili nawalić i spaść w odmęty oceanu. Z przerażeniem wyobrażała sobie rozpościerające się w dole głębiny Pacyfiku. Zawsze sądziła, że zasady aerodynamiki przeczą logice. A samolot wydawał się tak mały i kruchy wobec potęgi ciemności.

- Owszem, kochałam go - oznajmiła nagle, nie przestając patrzeć prosto przed siebie.

Key spojrział zdziwiony.

- To dlatego jego zdrada tak mnie przygniotła. Rzucił mnie lwom na pożarcie i spokojnie zajął się swoją kampanią wyborczą. Nie sądziłam, że Clark może okazać się takim łajdakiem i tchórzem.

- Ale chyba nie brakło mu odwagi, gdy brał cię do łóżka, kiedy twój mąż spał w pokoju obok? - zauważył Key. - A może to była tylko zwykła głupota? Czasami trudno odróżnić prawdziwego chojraka od kretyna. Po co się w to wszystko pchałaś?

- Miłość łączy rozum. Czasami pod jej wpływem robimy szalone rzeczy. Tamten weekend ... był taki dziwny ...

Lara patrzyła z uporem na swoje zacisnięte dłonie.

- Pragnienie miłości pozbawia człowieka przytomności umysłu - westchnęła i uniosła głowę. - Szkoda, że nie zorientowałam się wcześniej. Byłam jak ślepa. Zmierzałam ku katastrofie ... na własne życzenie!

- Chcesz powiedzieć, że byłaś tak napalona, że straciłaś głowę?

- Czy to coś złego? Pewnie cię dziwi, że mężatka mogła tak zwiariować na punkcie jakiegoś faceta. Ale przecież to stara historia. Dlaczego nie chcesz dać temu spokoju?

- Bo gdyby nie udało nam się wydostać z tej cholernej bananowej republiki, to wolałbym zginąć za jakąś szlachetną sprawę. Chciałbym wierzyć, że byłaś kimś wyjątkowym dla mojego brata i nie traktowałaś go tylko jako zabawki.

Lara już miała mu powiedzieć, żeby się odwalił. Jej los był jednak teraz w jego rękach. Bez Keya miała niewielkie szanse na przeżycie tej wyprawy. Czy to się jej podobało, czy nie, płynęli na jednej tratwie.

Czuła, że nie powinni się sprzeczać.

- Kochałam Clarka mimo wszystko - powiedziała. - Wierzyłam, że nie jestem mu obojętna. I tyle.

- Czy to on był ojcem Ashley?

Lara zaniemówiła. Nigdy nie wspominała, że Clark był ojcem jej córki. A nikt do tej pory jakoś się tym nie interesował. Naraz uświadomiła sobie, że nie powinna się dziwić, iż Key o to pyta. Zawsze zadawał zaskakujące pytania.

- Nie mogę ci powiedzieć - odparła.

- To znaczy, że nie wiesz. Pieprzyłaś się z nimi dwoma w tym samym czasie?

- Umówiliśmy się - powiedziała z naciskiem - dowiesz się później.
- Dzisiaj czy później, co to za różnica?
- To ty zapytałeś, kto jest ojcem Ashley. Więc powiedz, jakie ma to dla ciebie znaczenie.
- Rozumiem. Pewnie sądzisz, że zdobyłbym się na większy wysiłek, gdybyśmy szukali szczątków córki Tacketta. - Key pokiwał głową. - Myślisz o mnie gorzej, niż mi się zdawało. Kim dla ciebie jestem? Zwierakiem, czy jak?
Lara nie chciała tracić nerwów na jałową kłótnię.
- Key, posłuchaj, zdarzało się, że patrzyliśmy na siebie ze złością. Obrzucaliśmy się błotem. Ale gdybym ci nie ufała, nie prosiłabym, żebyś mi pomógł.
- Nie miałaś innego wyjścia.
- Mogłam kogoś wynająć.
- Nie byłabyś w stanie sobie na to pozwolić.
- Może i nie, ale na pewno nie zniechęciłabym się brakiem forsy. Zdobyłabym ją w końcu, nawet gdybym miała czekać na spadek.
- Ale czułaś, że my, Tackettowie, jesteśmy ci coś dłużni?
- Niezupełnie. - Lara zawahała się przez chwilę. - To prawda, że pojechałam do Eden Pass specjalnie po to, by cię zmusić, żebyś przywiózł mnie tutaj. Ale nie byłam do końca przekonana, czy postąpiłam słusznie.
Patrzyli sobie w oczy przez chwilę. Wreszcie Lara odwróciła wzrok.
- Obiecuję ci, że w drodze powrotnej, kiedy będzie już po wszystkim, powiem ci to, co -chcesz wiedzieć. Do tego czasu nie nadeptujemy sobie nawzajem na odciski.
Key zamilkł na długo.
- Nieważne - powiedział wreszcie zmienionym, głębokim głosem. - Już za późno, by się wycofać.
- Jak to?
- Jeżeli wkrótce nie dolecimy do wybrzeża i nie znajdziemy miejsca do lądowania, skończy się nam paliwo i pożegnamy się z życiem. Może w takim razie spróbujesz się trochę przespać?
- Czy to miał być żart?
Key uśmiechnął się.
- Owszem.
- Kiepski.
Lara na próżno szukała wzrokiem łądu na horyzoncie. Awionetka przedzierała się przez egipskie ciemności. Key poruszył drążkiem sterowym. Zaczęli wytracać wysokość.
- Co robisz?
- Chcę zejść na tysiąc pięćset metrów, na wypadek gdyby ich radar okazał się sprytniejszy, niż myślimy. Jesteś pewna, że ten ksiądz tam będzie?
- Pewna? Nie. Nie dałabym głowy.
Key już nieraz dopytywał się o to. Lara starała się nie myśleć, co by się stało, gdyby ksiądz nie dotrzymał słowa.
- Ufam, że czeka na nas - powiedziała. - Kiedy usłyszysz samolot, zapali pochodnie na lądowisku.
- Pewnie jakieś puszki po zupie pomidorowej wypełnione naftą - rzekł Key szyderczo.
- Jakoś sobie poradzi.
- Wiatr dochodzi do ośmiu metrów na sekundę .
- Czy to źle?
- Wolałbym, żeby trochę mniej dmuchało. Na wybrzeżu często występują zmienne wiatry. Ciekawe, jak daleko jest dżungla?
- Czy to ważne?
- O tej porze nocy nad dżunglą unosi się mgła. Możemy nie zauważyć nie tylko pochodni, ale nawet gór. Chyba że na nie wpadniemy. Wtedy mamy szansę przyjrzeć się im z bardzo bliska.
Lara zaczęła pocić się dłonie.
- Nie możesz myśleć o czymś weselszym?
- Owszem, mogę.
- Spróbuj.
- Myślę, że jak umrę, Janellen stanie się dwa razy bogatsza.
- Sądziłam, że jesteś odważniejszym pilotem - powiedziała rozdrażniona Lara.
- Podniebnym królem lat dziewięćdziesiątych. Powiedziałaś, że możesz latać na wszystkim, zawsze i wszędzie .

Key nie słuchał.

- Mamy brzeg - oznajmił patrząc na tablicę rozdzielczą. - Zaczynj rozglądać się za światłami. - Dlaczego ja?

- Bo ja będę próbował nie wpaść na te cholerne góry. To trudne. Ale przynajmniej nie ma mgły.

Na horyzoncie pojawił się niewyraźny zarys skalistego brzegu. Tysiące lat temu górzysty kawałek lądu oderwał się od Ameryki Środkowej i podryfował przez Pacyfik. To właśnie Montesangre. Z geologicznego punktu widzenia wyspa była całkiem młoda. Erozja nie zdążyła zmienić skalistych pagórków w piaszczystą plażę.

Z tego, między innymi powodu kraj nie cieszył się wzięciem wśród turystów w odróżnieniu od innych, korzystnie położonych państw Ameryki Środkowej, których gospodarka rozwijała się głównie dzięki inwestorom z Ameryki Północnej i Europy. Sytuacja ekonomiczna Montesangre było przyczyną niespokojnej sytuacji wewnętrznej tego żałosnego kraju.

Z lotu ptaka pasmo górskie przypominało literę "C" i biegło wzdłuż wybrzeża.

Stolica, Ciudad Central, mieściła się w dolinie otoczonej skałami. Dziewięćdziesiąt pięć procent ludności państewka mieszkało w tym właśnie mieście lub wioskach rozrzucony wokół.

Za osadami rozciągała się gęsta dżungla, zamieszkała jedynie przez dzikie zwierzęta i parę indiańskich szczepów, które wiodły takie życie jak ich przodkowie przed wiekami, z daleka od cywilizacji.

Wcześniej Lara przelatywała nad Montesangre tylko raz. Wywieziono ją z tego kraju ranną i nieprzytomną.

Teraz im wyraźniej dostrzegała brzeg wyspy, tym większy ogarniał ją strach. Przypomniła sobie, jak bardzo była nieszczęśliwa, gdy przyjechał tutaj z Randallem. Jedynie świadomość, że nosi w sobie dziecko, podtrzymywała ją na duchu i tylko ze względu na Ashley zdecydowała się tu powrócić.

- Zobacz, czy nikt za nami nie leci - zażartował Key. - Ja nie mogę się teraz rozglądać.

- Nikt prócz księdza przecież nie wie ...

- Mam nadzieję. Rzuć okiem na wszelki wypadek. Nie chcę, żeby jakiś uzbrojony helikopter siedział nam na ogonie.

Lara zerknęła na Keya. Temperatura w kabinie była całkiem normalna, lecz po jego nie ogolonych policzkach spływały strużki potu.

- Lepiej, żebyśmy wkrótce wylądowali - stwierdził - kończy się to cholerne paliwo. Gdzie, do diabła, są pochodnie?

Lara przyglęła do szyby i rozpaczliwie obserwowała wybrzeże. Widziała tylko wąską linię brzegową. Tuż za nią rosły drzewa, a dalej rozciągały się posępne wzgórza.

Co się stanie, jeśli nie spotkają ojca Geraldo? - zastanawiała się. Może torturowali go, aż wyjawiał tajemnicę? A jeżeli rebelianci dowiedzieli się, że usiłuje się dostać na wyspę żona byłego ambasadora Stanów Zjednoczonych? W niebezpieczeństwie znajdzie się wówczas nie tylko jej życie. Keya również. Nikt nie będzie mógł im pomóc. Znajdą się na łasce tych strasznych ludzi w zielonych mundurach. Przyszło jej na myśl, że może lepiej zginąć od razu.

- Cholera! - zaklął Key.

- Co się stało?

- Muszę zwiększyć wysokość. Trzymaj się. - Przesunął drążek sterowniczy samolot zaczął się wznosić pod ostrym kątem. Lara spojrzała w dół. Z trudem ominęli wierzchołek góry. Key wykonał kolejny manewr i leciał teraz tuż nad porośniętym drzewami zboczem.

- Laro, gdzie jest ten przeklęty ksiądz?

- Nie mam pojęcia - odparła i przygryzła wargi. Mimo to wierzyła, że w końcu go znajdą.

- Widzisz coś?

- Nie.

- Zaraz! Chyba coś jest...

- Gdzie?

- Tam ...

Key wykonał jeszcze jeden niebezpieczny zakręt. Żołądek Lary skurczył się ze strachu. Zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, zobaczyła trzy niewielkie jasne punkty błyskające w dole przed nimi. Czwarty zapalił się po chwili.

- To on! - wykrzyknęła. - Mówiłam ci, że ...

- Trzymaj się. Lądujemy.

Key zmniejszył prędkość. Zaczęli zbliżać się do ziemi. Samolot usiadł ciężko na nierównym terenie. Key z całej siły nacisnął hamulec. Krótkie lądowisko celowo umieszczone było na pochyłej powierzchni, aby skrócić dobieg maszyny. Mimo to Larze wydawało się, że samolot nigdy się nie zatrzyma. Stanęli

wreszcie tuż przed ścianą lasu i odetchnęli z ulgą.

Key wyłączył silniki. Położył rękę na kolanie Lary.

- Wszystko w porządku?

- Tak - odparła zbierając się do wyjścia.

- Zaczekaj - powstrzymał ją. Siedział nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w ciemność wokół kabiny. -

Chcę najpierw wiedzieć, kto nas powitał.

Zamilkli. Pochodnie za nimi, po trzy z każdej strony pasa, gasły jedna po drugiej. Key wciąż trzymał prawą dłoń na kolanie Lary. Lewą wyciągnął spod siedzenia spluwę - dziewięciomilimetrową berettę, i wprawnym ruchem wprowadził nabój do komory. Broń była teraz gotowa do strzału.

- Key!

- To może być pułapka. Nie zamierzam odwalić kity, nie próbując nawet się bronić.

- Ale ...

Key przytknął palec do ust. Po chwili Lara usłyszała warkot silnika. Spojrzała do tyłu i zobaczyła jeepa wyłaniającego się powoli z mroku. Podjechał do nich i zatrzymał się. Kierowca wysiadł i ruszył w kierunku samolotu.

Key skierował lufę beretty na poruszającą się niewyraźną sylwetkę.

- To ojciec Geraldo - powiedziała Lara z ulgą. - Jest sam.

- Mam nadzieję, do diabła.

Lara otworzyła drzwiczki i zeskoczyła na ziemię.

- Ojciec Geraldo! Dzięki Bogu, że tu jesteś.

Ksiądz wyciągnął do niej rękę.

- Jak dobrze znowu panią widzieć, pani Porter.

Uścisnął serdecznie dłoń Lary.

- Wygląda ksiądz wspaniale.

- Pani też.

- Czy wiadomo, gdzie pochowali moją córkę?

- Niestety, tego jeszcze nie wiem. Próbowałem się dowiedzieć, ale się nie udało. Bardzo mi przykro.

Wieści nie brzmiały zachęcająco, ale Lara nie była zbyt zaskoczona.

- Spodziewałam się, że okaże się to trudne - powiedziała, gdy Key schodził po skrzydło samolotu. - To jest Key Tackett.

- Dzięki za przysłanie współrzędnych - powiedział Key. - Bez nich nigdy byśmy się tu nie znaleźli.

- Cieszę się, że wam się przydały.

- Jesteś pewien, że nikt cię nie śledził? - Key lubił zwracać się wprost do wszystkich, nawet do duchownych

. - Prawie.

Key zmarszczył czoło.

- W takim razie ściągnijmy to pudło z widoku, zanim ktoś się tu zjawi.

- Zapewniam - rzekł ksiądz - że póki co, jesteśmy bezpieczni.

- Lepiej nie ryzykować.

- Rewolta spowodowała, że handel narkotykami znacznie się zmniejszył. Nie używają tego lądowiska od dłuższego czasu. Wziąłem ze sobą maczetę i kiedy na was czekałem, wyciąłem kryjówkę w zaroślach. -

Wskazał na zwartą ścianę lasu.

- Zobaczmy - zaproponował Key.

Usunęli jeszcze kilka krzaków i wspólnymi siłami ściągnęli awionetkę z lądowiska.

Key zabrał strzelbę i parę innych potrzebnych rzeczy, które przywieźli ze sobą. Potem ukryli samolot w dżungli.

- Rzadko tutaj ktoś bywa - powiedział ksiądz do Keya, który sprawdzał ze wszystkich stron, czy samolot jest dobrze zamaskowany. - Trudno będzie go dostrzec nawet przy dziennym świetle.

Ksiądz chwycił torbę Lary, aparat fotograficzny i skierował się do jeepa. Zarzucając własny bagaż i strzelbę na ramię, Key powiedział do Lary ścisłym głosem:

- Nie zauważyłaś, że ksiądz cuchnie jak gorzelnia?

- Pewnie odprawiał mszę i pił mszalne wino.

- Akurat! To jamajski rum. Rzygałem tym wiele razy i dobrze wiem, jak śmierdzi.

- W takim razie nie powinieneś osądzać tego człowieka.

- Nie obchodzi mnie, jak dużo chla, póki można mu ufać.

Doszli do jeepa, zanim Lara zdążyła odpowiedzieć. Ojciec Geraldo, energiczny czterdziestolatek, pomógł

Keyowi zapakować rzeczy.

- Może pojedziesz z tyłu? - zwrócił się do Keya. - Pani Porter będzie wygodniej na przednim siedzeniu.
- Dobra - zgodził się Key i zwinnie wskoczył do środka. - Będę zerkał, czy nikt za nami nie jedzie.
- To jest myśl - książd pochwalił go z uśmiechem. - Żyjemy przecież niebezpiecznych czasach.
- Pogadamy kiedyś o tym przy kielichu. Teraz będzie lepiej, jak zabierzemy się stąd szybko.

Książd nie zwrócił uwagi na przytyk Keya. Pomógł Larze wsiąść do samochodu, a sam usadowił się za kierownicą.

- Najlepiej będzie dojechać do miasta bez świateł. W nocy drogi są czasami kontrolowane.

- Przez kogo? - zainteresował się Key.

- To zależy.

- Jaka jest sytuacja polityczna? - spytała Lara.

- Zmienna.

- Nieźle - mruknął Key.

- Stary reżim chce wrócić do żłobu. Prezydent Escavez wciąż się ukrywa, ale krążą pogłoski, że próbuje zebrać wojsko i odzyskać władzę.

- Rebelianci nie oddadzą jej bez walki - stwierdziła Lara.

- Jasne - zgodził się książd - ale nie przejmują się specjalnie Escavezem. Ten staruch wciąż się ludzi, że ludzie go popierają. Niestety, bardzo się myli. Nikt nie chce, aby terror powrócił. Prezydent nie stanowi większego zagrożenia. Rebelianci mają poważniejsze problemy na głowie.

- Jakież? - zapytał Key. Spociał się podczas wycinania krzewów i przesuwania samolotu. Zdjął koszulkę i wytarł twarz i szyję. Lara mu pozazdrościła. Bluzka mokra od potu przylgnęła jej do skóry.

- Zasadniczą sprawą jest brak forszy - odparł książd - i zapału. Ludzie są rozczarowani. Kiedy pożyje się parę lat w wojskowych obozach w dżungli, rewolucja przestaje wydawać się tak wspaniała jak na początku. Ludzie są zmęczeni walką, ale boją się wrócić do domu. Są głodni, chorzy i tęsknią za rodzinami. Niektórzy nie widzieli swoich bliskich od dnia obalenia rządu. Ukrywają się w dżungli i wychodzą tylko by siać spustoszenie w okolicznych wioskach i kraść jedzenie. Kłóć się także między sobą. Po zamordowaniu Jorge Pereza Martinezza ...

- Nie słyszeliśmy o tym w Stanach - wtrąciła Lara zdziwiona. Perez był generałem armii Escaveza. Dokonał przewrotu wojskowego. Rebelianci widzieli w nim wybawcę uciskanego narodu.

- Parę lat temu został zabity przez jednego ze swoich ludzi - powiedział książd.

- Przez wiele miesięcy żarli się o to, kto ma zostać dowódcą. Najpierw był jakiś porucznik, potem jeszcze ktoś, ale żaden z nich nie zdobył poparcia rebeliantów. Podzielili się na wiele frakcji. W rezultacie kontrrewolucjoniści, w tym także Escavez, zaczęli dochodzić do głosu. Potem jeden z protegowanych Pereza próbował stanąć na czele rebelianckiej armii. W ciągu ostatnich paru miesięcy zdobył poparcie główni: dlatego, że ludzie się boją. Jest bezwzględny i robi wszystko, żeby wzmocnić swoją pozycję. Nazywają go El Corazón del Diablo, czyli Diabelskie Serce. - Książd zerknął na Larę i dodał: - Szczerze nienawidzi Amerykanów.

Nic więcej nie trzeba było mówić. Lara spojrzała do tyłu na Keya. Przyglądał się jej intensywnie.

- Nie jest gorzej, niż myśleliśmy - powiedziała.

- Lepiej też nie.

- Wziąłem trochę ubrań - powiedział ojciec Geraldo, wskazując na tobolek leżący u stóp Lary. - Załóżcie je, zanim dojedziemy do miasta.

Jechali wyboistą, pełną kurzu drogą, która wila się pośród dżungli i wydawało się, że prowadzi donikąd. Za każdym razem, kiedy skrzeczał jakiś nocny ptak, Larę przeszywał dreszcz. Założyła na głowę grubą szal, taki jaki miały w zwyczaju nosić na Montesangre starsze kobiety. Młodsze, które walczyły ramię w ramię z mężczyznami, dawno zerwały z tradycją.

W tobołku z ubraniami Lara znalazła także luźną, wzorzystą suknię. Założyła ją i przewiązała w talii szarfą.

Dla Keya książd przygotował płócienną tunikę, chłopskie spodnie i słomiany kapelusz. Gdy Key się przebierał, jeep wjechał na wzgórze, z którego rozciągał się widok na Ciudad Central, stolicę państewka. Lara poczuła naraz strach i obrzydzenie. Gdyby mogła, chętnie wróciłaby do samolotu. Jednak gdzieś tam, pośród tych ulic, pochowana została jej córka.

Jakby wyczuwając rozterki Lary, ojciec Geraldo zjechał na pobocze i zatrzymał się

- To, co zamierzacie zrobić, jest bardzo niebezpieczne. Jeszcze czas, żeby się rozmyślić.

- Chcę odnaleźć córkę - odrzekła Lara.

Ojciec Geraldo uruchomił silnik i włączył światła. Ruszyli dalej. Zaraz za wąskim poboczem rozciągała się

przepaść. Lara zastanawiała się, ile rumu wypił ksiądz. Za każdym razem, gdy zbliżali się do krawędzi szosy, ścisnęła nerwowo brzeg fotela.

Czyhało jednak na nich inne niebezpieczeństwo. Gdy minęli zakręt, oślepiły ich jasne światła. Usłyszeli wrzask:

- Alto! Stać!

Otoczyła ich grupa partyzantów z karabinami gotowymi do strzału.

20.

Jody zapukała do sypialni Janellen .

- Czy to ty, mamó? - usłyszała.

Otworzyła drzwi i zatrzymała się w progu. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz była w pokoju córki. Niektóre meble wydawały się nieznanymi. Rozpoznała jednak łóżko z wiśniowego drewna z baldachimem, komodę i toaletkę. Należały do Janellen od wielu, wielu lat.

Zasłony i tapety były nowe, w każdym razie tak wyglądały. Wzorzyste, zbyt wyzywające jak na gust Jody.

Wydawało jej się, że pozwoliła kiedyś Janellen zmienić apety, ale nie mogła sobie przypomnieć kiedy.

Pięć lat temu? A może wczoraj?

Córka siedziała w wygodnym fotelu obitym kwiecistym materiałem. Nogi opierała o otomanę. Na kolanach trzymała otwartą książkę. Niewielka lampa rzucała z boku przyćmione światło. Janellen wydawała się dziś niemal ładna .

Jody uświadomiła sobie kiedyś - gdy Janellen była jeszcze dzieckiem - że jej córka nie wyrośnie na oszałamiającą piękność. Nie rozpacziała z tego powodu. Robiła natomiast wszystko co możliwe, by Janellen nie karmiła się zbyt szkodliwymi złudzeniami. Nigdy nie ubierała jej w ładne rzeczy i czesała ją w możliwie najmniej gustowny sposób.

Wierzyła święcie, że jeśli pozbawi córkę wszelkich cech kobiecości, będzie to najlepsza, co dla niej zrobi. Pragnienie podobania się mężczyznom było słabością kobiety. Jody chciała uchronić Janellen przed zgubą.

Dziewczynka posłusznie dostosowała się do wymagań matki. Wyrosła na inteligentną kobietę, której nie pociągały romanse. Była zbyt rozsądna, by się zakochać. Brak urody zaoszczędził jej spotkań z lekkoduchami, przebiegłymi łowcami fortun i mężczyznami w ogóle. Jody uważała, że córka znalazła się w bardzo korzystnej sytuacji.

Było tylko jedno "ale". Janellen miała oczy Tackettów. J e g o oczy. Nie żył już od lat, lecz dzieci, które po sobie zostawił, zawsze wprawiały Jody w zakłopotanie. Czuła się tak, jakby był tutaj w pokoju i spoglądał na nią oczami córki.

- Mamó, co się stało? Źle się czujesz? - spytała Janellen.

- Och, nie. Wszystko w porządku.

Nigdy aż tak nie szukała towarzystwa córki, a zwłaszcza o tej porze. Zbliżała się północ. Jody poszła do sypialni już kilka godzin temu, ale nie mogła zasnąć. Paliła jednego papierosa za drugim i spacerowała po pokoju. Czuła się zmęczona, lecz natłó -myśli nie pozwalał się jej odprężyć.

Zawsze cierpiała na bezsenność. W młodości zamartwiała się kiepską sytuacją finansową swojej rodziny i w nocy przewracała się z boku na bok. Leżąc z otwartymi oczami pomiędzy chrapiącym rodzeństwem, obmyślała sposoby wyrwania się z nędzy.

Tornado, które zburzyło dom i zabiło jej rodzinę wydało jej się wybawieniem. Zaczęła pracować dla firmy Tacket Oil. Zbyt przejęta pracą, nadal nie mogła dobrze spać. Później przez parę lat spędzała noce spacerując po pustej sypialni i wyobrażając sobie męża z innymi kobietami.

Odsunęła na bok gorzkie wspomnienia i spytała:

- Gdzie jest twój brat?

- Key?

Jody spojrzała na córkę chłodno.

- No jasne, że Key.

- Wyjechał z miasta.

Janellen chyba zbyt wzięła sobie do serca lekcje matki. Zachowywała się ulegle. robiła to, czego od niej oczekiwano, nigdy się nie buntowała, nie złościła. Czasa Jody nie mogła znieść jej słodkiego wyrazu twarzy. I tym razem miała ochotę nią potrząsnąć.

- Nie ma go w kraju, prawda? - powiedziała. - Zabrał ze sobą tę dziwkę tylko to, by mi pokazać, że ma gdzieś moje uczucia.

- Tak, wybrał się na Montesangre z doktor Mallory, ale nie dlatego ...

- Kiedy?

- Dzisiaj. Mieli wyruszyć wieczorem. Powiedział, że zadzwoni, jeśli będzie mógł.

Jody stała sztywno. Gdyby nie długi rękaw szlafroka Janellen zobaczyłaby, jak mocno matka zaciska dłoń na błyszczącej klamce.

- Przekłety głupiec. - Jody wydeła pogardliwie usta. - Taki sam jak twój ojciec. Nie przepuści okazji, aby iść do łóżka z jakąś babą. Obojętnie, kim ona jest i ile by go kosztowało.

- Key pojechał, ponieważ pani Mallory chce przywieźć stamtąd zwłoki swojej córki.

Ta uwaga zrobiła na Jody wrażenie.

- Kiedy wrócą?

- Key nie wiedział. - Oczywiście Janellen wypełniły się łzami. - Zostawił listy. Miałam je otworzyć, gdyby Key nie ... gdyby oni nie ... wydostali się stamtąd.

Jeśli Jody nie trzymałaby się tak mocno klamki, pewnie upadłaby z nadmiaru emocji. Postanowiła opuścić pokój, zanim zrobi coś głupiego.

Bez słowa wyszła na korytarz i stanowczym ruchem zamknęła drzwi. Dopiero teraz mogła dać upust wściekłości. Ramiona opadły jej bezwładnie. Pochyliła głowę i przycisnęła pięści do ust, aby stłumić jęk. Wróciła do sypialni pełna lęku. Samotność doskwierała jej jak nigdy dotąd.

*

Key wsunął rękę między przednie siedzenia i podał Larze magnum.

- Weź to - szepnął - i strzelaj, jeśli cię zmuszą.

Lara nie protestowała. Partyzanci otoczyli ich ze wszystkich stron. Patrzyli groźnie.

Ukryła broń pośród szerokich fałdów sukni.

- Dobry wieczór, senores - powiedział uprzejmie ojciec Geraldo do grupy uzbrojonych żołnierzy.

Key doliczył się ich dwunastu. Przypuszczał, że trzy razy więcej ukrywa się, zaroślach. Nie lubił takich niespodzianek.

- Kim jesteście? - spytał człowiek w zielonkawym mundurze. Ton jego głosu, rzmiał wyzywająco, a oczy patrzyły wrogo i podejrzliwie.

Ksiądz przedstawił się. Partyzant splunął na drogę. Niewzruszony ojciec Geraldo powiedział płynnie po hiszpańsku:

- Znasz mnie przecież, Ricardo Gonzales Vela. Odprawiałem mszę żałobną za :woją matkę•

- To było wiele lat temu - warknął partyzant. - Kiedy jeszcze wierzyliśmy w takie bzdury.

- Nie wierzysz już w Boga?

- Gdzie podział się Bóg, kiedy kobiety i dzieci błagające o chleb zamordowano z rozkazu Escaveza?

Księdzu odechciało się dalszych wywodów teologicznych. Tym bardziej że artyzanci sięgnęli po swoje karabiny.

Młody rebeliant przeniósł wściekły wzrok na Larę. Siedziała ze spuszczoną głową, y nie mógł dojrzeć jej twarzy.

- Co to za kobieta? - spytał Ricardo wskazując na nią lufą karabinu. - A ten z tyłu?

- Mieszkają w małej osadzie u podnóża gór. Jej męża zabili kontrrewolucjoniści, gdy bronił wioski, a ona jest w ciąży. To jej szwagier. - Ksiądz wskazał kciukiem na Keya, który siedział z tyłu zgarbiony i udawał, że zupełnie nic go nie obchodzi. - Ma zterech synów. Nie jest w stanie wykarmić innych krewnych.

Postanowiłem wziąć tę kobietę do miasta na służbę do probostwa. I dać jej jedzenie i mieszkanie, dopóki sama sobie czegoś nie znajdzie.

Jeden z partyzantów zrobił wulgarną uwagę na temat służby, jaką Lara miałaby pełnić dla księdza. Key rozumiał trochę hiszpański. Nie łapał znaczenia wszystkich słów, ale ostatnie zdanie zrozumiał.

Ricardo uśmiechnął się szeroko, słysząc słony dowcip towarzysza, po czym nagle spoważniał. Spojrzał podejrzliwie na Keya.

- Wyglądasz na silnego. Dlaczego nie walczysz? Armia El Corazón potrzebuje żołnierzy.

Key zamarł, lecz udawał, że nie rozumiał pytania. Na szczęście wtrącił się ojciec Geraldo.

Przywołał Ricarda bliżej. Partyzant podszedł ostrożnie, pobrzękując złowieszczo metalowym ekwipunkiem. Key usłyszał trzask kilku karabinowych zamków. Zastanawiał się, czy sam nie powinien odbezpieczyć broni, którą skrywał w rękawie chłopskiej bluzy.

Ojciec Geraldo pukając się wskazującym palcem w czoło, szepnął Ricardowi:

- Jest nienormalny. Potrafi doić kozy i sadzić fasolę, ale do niczego innego się nie nadaje.

- Przecież sami powiedzieliście, że ma czterech synów - zdziwił się Ricardo.

- Bo to prawda. Biedak nie wie, skąd się biorą dzieci ...

Partyzanci ryknęli śmiechem. Ricarda opuściły wątpliwości.

- Kiedy wróci do domu? - zapytał.

- Za parę dni.

Ricardo łypnął okiem.

- Może powinniśmy złożyć wizytę w tamtej wiosce, zanim wróci? Może jego żona czuje się samotna? Wszyscy się roześmieli. Także ojciec Geraldo.

- Obawiam się, że nie będzie zbyt chętna, przyjacielu. Cieszyła się, że spędzi kilka spokojnych nocy.

Ricardo machnął ręką w stronę szosy.

- Nie zatrzymamy was. Pewnie nie możesz się doczekać, kiedy wdowa zajmie się swoimi obowiązkami na plebanii.

- Dziękuję, panowie - ksiądz pożegnał rechoczących żołnierzy. - Niech Bóg błogosławi was i waszego wodza.

Wrzucił pierwszy bieg i ruszył. Key powoli zaczął rozluźniać mięśnie. Jeep przejechał zaledwie parę metrów, kiedy Ricardo znowu kazał się im zatrzymać.

- Co się stało, towarzyszu? - spytał ojciec Geraldo.

- Dziś wieczorem dostrzeżono samolot lecący nisko nad górami od strony wybrzeża. Widzieliście go?

- Nie - odparł ksiądz - ale słyszałem warkot silnika. Jakaś godzinę temu. O, tam - wskazał na góry, trochę w bok od miejsca, gdzie ukryli awionetkę. - Pewnie dostarczyli wam broń i żywność, co?

- A owszem - odparł Ricardo, udając, podobnie jak ksiądz, że wierzy w to, co mówi. - Oddziałom El Corazón niczego nie brakuje, zwłaszcza odwagi. Będziemy walczyć nawet gołymi rękami, do samej śmierci.

Ojciec Geraldo zasalutował i zdjął nogę z hamulca. Jeep ruszył dalej. Dopiero gdy zniknął za zakrętem, cała trójka odetchnęła z ulgą.

- Świetna robota, ojczu - pochwalił Key. - Sam nie potrafiłbym łgać bardziej przekonywająco.

- Na szczęście nie po raz pierwszy łamię boskie przykazania, aby ocalić czyjeś życie. Mam wprawę.

- Laro, wszystko gra?

Skinęła owiniętą szalem głową.

- Czy to możliwe, że ktoś jeszcze nas zatrzyma? - spytała.

- Prawdopodobnie nie, ale gdyby tak się stało, opowiemy tę samą historię. Proszę trzymać spuszczoną głowę i udawać osobę w żałobie.

- Nie muszę udawać - odparła Lara.

Key z tyłu przypomniał jej, żeby trzymała broń gotową do strzału. Przytaknęła milczeniu.

Jeszcze niedawno Ciudad Central liczyło wielu mieszkańców. Key wątpił, czy zhociaż połowa ludności pozostała teraz w mieście. Ciemne ulice i domy wydawały się opuszczone. Tak mogło wyglądać śpiące miasto w środku nocy. Jednak Ciudad Central nie było pogrążone we śnie - było martwe.

Budynki, niegdyś tętniące życiem, nosiły ślady przebytych walk. Niemal wszystkie okna zabito deskami. W pozostałych było ciemno. Stratowane trawniki znajdowały się w oplakanyam stanie. Winorośli i chwasty rozrastały się dziko. Dżungla powoli odzyskiwała tereny, które należały do niej dawno temu, zanim pojawił się człowiek.

Na murach, płotach i we wszelkich możliwych miejscach widniały napisy popierające jedną lub drugą juntę. Zwaśnione strony łączyły tylko jedno - nienawiść do Stanów Zjednoczonych. Plakaty ukazywały prezydenta USA w najbardziej odrażający i poniżający sposób. Na każdym kroku bezczeszczono amerykańską flagę. Key był w wielu krajach wrogo nastawionych do Waszyngtonu, lecz nigdy nie spotkał się z tak silną antypatią.

- Och, mój Boże! - wykrzyknęła Lara.

Key odwrócił głowę. Ujrzał ciało kobiety. Biedaczkę powiesili na ulicznej latarni.

W miejscu jej ust widniała czarna jama, w której roiło się od much.

- To robota El Corazón - wyjaśnił ksiądz przerażonym pasażerem, gdy przejeżdżali pod kołyszącym się ciałem. - Kobiety na Montesangre sądzi się tak samo jak żołnierzy. Nie odbywają służby wojskowej ze względu na płęć. Jednak gdy zostaną przyłapane na wrogiej działalności, ponoszą równie surową karę jak mężczyźni.

- Co ona zrobiła? - zapytała Lara słabym głosem.

- Była szpiegiem Escaveza. Ucieli jej język i udusiła się własną krwią. Potem powiesili jej ciało w tym ruchliwym miejscu jako ostrzeżenie dla każdego, kto spiskowałby przeciw El Corazónowi.

Key zdał sobie sprawę, jak wielkie ojciec Geraldo podjął ryzyko, aby im pomóc, i przestał się dziwić, że człowiek ten zagląda do butelki.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił ksiądz, zatrzymując jeepa na otoczonym ;nurem podwórku. - Zobacz

pani, jak bardzo się tu zmieniło. Niektórzy ludzie ciągle jeszcze wierzą w Boga, lecz boją się do tego przyznać. Czasami odprawiam mszę, ale przeważnie modłę się samotnie.

Key wysiadł z samochodu i rozejrzał się. Podwórze otoczone było z trzech stron kamiennym murem porośniętym tropikalnym bluszczem. W czwartej ze ścian znajdował się sklepiony łukowato wjazd.

- Jeszcze trzy lata temu była tam piękna, misternie zrobiona żelazna brama.

Zabrali ją rebelianci.

- Przypomina mi to naszą wojnę domową. Armia konfederacka robiła kule armatnie z żelaznych płytów.

Co zrobili z tej bramy?

- Dzidy. Ucieli głowy oficerom armii Escaveza, nabili je na dzidy i zostawili na placu miejskim, aż zgniły.

To było wkrótce po tym, jak pani Porter stąd wyjechała.

Twarz Lary pozostała niewzruszona.

- Może wejdziemy do środka - powiedziała niskim głosem. - Zapomniałam, jak bardzo dokuczliwe są tutaj komary.

Key podziwiał jej hart ducha. Gdy wnosili bagaże do budynku probostwa, zdał sobie sprawę, że przecież

Lara doświadczyła już wcześniej tych wszystkich okropieństw na własnej skórze.

Jedna ze ścian otaczających podwórze przylegała do niewielkiego kościoła, zbudowanego w typowo hiszpańskim stylu. Górowała nad nim wieża pozbawiona dzwonu.

Obok mieściła się szkółka, do której nikt już teraz nie przychodził - jak to ze smutkiem stwierdził ojciec Geraldo.

- Chciałem uczyć religii, ale przywódcy junty zamierzali wpoić dzieciom przemoc i rozbudzić w nich chęć odwetu, a to sprzeczne z naukami Chrystusa. Zakonnice były pełne poświęcenia, ale obawiały się o swoje życie. Rodzice woleli trzymać dzieci w domu. W końcu nikt już nie przychodził. Zamknąłem więc szkołę i postarałem się, by katechetki wróciły do Stanów. Zamordowano tak wielu duchownych, że wszyscy wpadli w panikę. Przez jakiś czas w opuszczonej szkole mieścił się sierociniec dla dzieci, które straciły rodziców podczas wojny. Pewnego dnia przyjechali ciężarówką żołnierze i odebrali mi te sieroty. Nigdy się nie dowiedziałem, dokąd je wywieźli.

Ojciec Geraldo wskazał ręką otwarte, masywne drzwi.

- Mieszkam tutaj.

Probostwo wydało się Keyowi wyjątkowo przygnębiające, ale szybko przywykł do widoku nieba w miejscu sufitu. Dom księdza składał się z wielu małych pokoi z wąskimi oknami i niskim, dziurawym stropem. Key musiał schylać głowę, aby przejść przez drzwi. Jego ramiona niemal dotykały ścian, gdy szedł przez mroczne korytarze. Parę razy potknął się o nierówności na kamiennej podłodze.

- Przykro mi - powiedział ksiądz, widząc, jak Key obija się o ściany. - Probostwo zostało zbudowane wiele lat temu dla europejskich mnichów o wiele mniejszych od ciebie.

- Nic dziwnego, że modlili się przez cały czas. Nie mieli miejsca na nic innego.

Ojciec Geraldo poprowadził gości korytarzem.

- Mam w kuchni coś do jedzenia. Pewnie ucieszy was wiadomość, że jadalnię remontowano w latach pięćdziesiątych.

Jak na współczesne amerykańskie standardy, kuchnia okazała się przestarzała, ale i tak wyglądała o niebo lepiej niż pozostałe pomieszczenia. Usiedli przy okrągłym stole. Ojciec Geraldo podał owoce, ser, chleb i pokrojoną w plasterki szynkę z puszki, którą przysłali mu krewni ze Stanów. Key i Lara bez wahania rzucili się na jedzenie.

- Woda była odkażona, ale przegotuję ją dla pewności - powiedział ksiądz, wyjmując dzbanek z lodówki.

Włożył plasterki cytryny do szklanek i postawił na stole butelkę jamajskiego rumu.

Jak tylko Key poczęstował się trunkiem, ojciec Geraldo nalał sobie pokąźną szklaneczkę.

- Pomaga mi zasnąć - wytłumaczył bez przekonania.

Lara poczekała cierpliwie, aż skończą posiłek, zanim spytała o grób swojej córki.

- Gdzie zaczniemy szukać?

Ojciec Geraldo spojrział na Larę niespokojnym wzrokiem.

- Myślałem, że macie jakiś plan. Wszystkie moje poszukiwania spęły na niczym. To wcale nie znaczy, że nikt o niczym nie wie. Po prostu każdy trzyma język za zębami.

- Wychodzi na jedno - powiedział Key.

- Niestety tak.

Lara nie wyglądała na zniechęconą.

- Chciałabym dostać się do ambasady amerykańskiej - oznajmiła.

- Nikogo tam nie ma. Została splądrowana i teraz stoi pusta.

- Czy pamięta ksiądz asystenta i tłumacza mego męża, Emilio Sancheza Perona?
- Jak przez mgłę - odparł ksiądz i napełnił rumem pustą szklankę. Według rachunku Keya trzecią. - O ile sobie przypominam, to cichy, wrażliwy młody człowiek w okularach, wątej budowy.
- Tak, to Emilio. Czy ksiądz go widział lub o nim słyszał?
- Wydaje mi się, że zginął podczas ataku na ambasadę.
- Nie widziałam jego nazwiska na liście ofiar.
- To pewnie przeoczenie.
- Może - odparła Lara - ale wciąż mam nadzieję, że on żyje. Większość czasu po pracy spędzał w bibliotece ambasady. Czy coś z niej ocalało?
Ojciec Geraldo wzruszył ramionami.
- Rebelianci nie mają czasu na czytanie - powiedział z wymuszonym uśmiechem.
- Ale nie sądzę, żeby biblioteka jeszcze istniała. Słyszałem, że zniszczyli cały budynek.
Twarz Lary wyraźnie posmutniała.
- A co z aktem zgonu Ashley? - spytał Key. - Czy jakiś lekarz podpisał go, zanim ją pochowali.
- Możliwe - przyznał ksiądz. - Jeżeli ten papier nie zginął, jeśli zanotowano gdzieś nazwisko lekarza i uda nam się go znaleźć, może się dowiemy, gdzie pogrzebali dziewczynkę.
Lara westchnęła.
- Beznadziejna sprawa, co?
- Dzisiaj ci się tak wydaje. - Key pomógł jej wstać z krzesła. - Jesteś zmęczona. Gdzie będziesz spała?
- Najpierw chciałabym się wykąpać. Czy można?
- Oczywiście - odparł ojciec Geraldo i wskazał na wąski korytarz. - Tamtędy.
Gdy Lara myła się w niewielkiej łazience, Key nalał księdzu i sobie następną kolejkę.
- Jeżeli masz tutaj tyle trudności, dlaczego nie wrócisz do domu? - spytał. - Uzyskanie odwołania nie sprawiłoby chyba trudności. Zabito już wielu misjonarzy.
- Ślubowałem Bogu - odparł ksiądz. - Może moja praca nie przynosi zbyt wielkiego pożytku, ale wątpię, czy gdzie indziej byłoby inaczej.
Podniósł szklankę z rumem i wziął spory łyk. Wiedział, że w Stanach władze kościelne wystąpiłyby go natychmiast na odwyk. Pobyt na targanej wojną Montesangre był pokutą, jaką zadał sam sobie za swoją słabość.
- Możesz zginąć, jeśli tutaj zostaniesz.
- Dobrze o tym wiem, ale wolę skończyć jako męczennik niż ktoś, kto nie dotrzymał słowa.
- Rzadko rozmyślam o śmierci - powiedział Key. Ojciec Geraldo spojrział na niego z zainteresowaniem.
- Jesteś katolikiem?
Key wzdrygnął się. W Eden Pass nie było nawet kościoła rzymskokatolickiego.
Kilka rodzin dojeżdżało na msze trzydzieści kilometrów. Ledwo tych ludzi tolerowano. Protestanci patrzyli na nich krzywo. W rodzinnym mieście Keya większość mieszkańców mniemała, że jeśli ktoś rodzi się w Ameryce, automatycznie trafia potem do nieba.
- Wychowali mnie metodyści - podjął Key. - Robili co mogli. Byłem dopustem bożym każdego nauczyciela niedzielnej szkółki, który miał mnie w swojej klasie. Rozwiewałem wszelkie wątpliwości na temat istnienia diabła. Byłem namacalnym dowodem na to, że Lucyfer żyje i ma się dobrze. Jeżeli chodzi o rozwijanie cnoty i sprawiedliwości, to mój przypadek jest beznadziejny.
- Nie wierzę - odparł ojciec Geraldo, spoglądając na swoją szklankę. - Może nie jestem takim księdzem jak trzeba, ale nie zapomniałem wszystkiego, czego mnie uczono. Wciąż potrafię spojrzeć w ludzkie serce i ocenić czyjś charakter. Skoro przywiozłeś tutaj panią Porter, musisz być odważny i pełen współczucia. Zwłaszcza biorąc pod uwagę jej związek z twoim bratem.
Key wysłuchał słów księdza z milczeniem. Potem spojrział na niego twardo. Słyszał szum wody w łazience.
- Skoro jesteś takim znawcą charakterów, powiedz mi, czy żołnierz, któremu nawciskałeś tyle bzdur, nabrał się na nie.
Woda w łazience ucichła.
Ksiądz przechylił szklankę i wypił do dna.
- Nie - powiedział krótko.
Spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Wróciła Lara, staniając się ze zmęczenia.
- Idziemy spać - powiedział Key i wstał od stołu.
Ojciec Geraldo poprowadził ich przez labirynt korytarzy. Wchodząc do jednego z pomieszczeń, uśmiechnął się pocieszająco do Lary i wskazał na okno.
- Wychodzi na podwórze. Proszę tylko nie zapomnieć o moskitierze.

Lara zdawała się nie zauważać, że łóżko stojące pod krucyfiksem było przeraźliwie wąskie, a pokój oświetlała jedynie słaba żarówka zwisająca z sufitu. Było duszno i gorąco. W ścianie tkwiły trzy kołki na ubrania.

- Bardzo dziękuję, ojcze Geraldo. Strasznie ryzykujesz pomagając nam. Nigdy ci tego nie zapomnę.
- Choć tyle mogę zrobić. Chciałbym się jakoś odwdziżyć za dawne datki.
- Zawsze podziwiałam to, co ksiądz robi - odparła Lara.

Geraldo uśmiechnął się.

- Pamiętam, kiedy urodziła się Ashley. Tego dnia miałem akurat wizytę w szpitalu. Chciałem wtedy osobiście powinszować ...

- Przypominam sobie. Bardzo się ucieszyłam, gdy ksiądz mnie odwiedził.

- Wtedy po raz pierwszy widziałem, jak się pani uśmiecha. I miała pani ku temu powody. Ashley była ślicznym dzieckiem.

- Dziękuję•

Ksiądz ujął dłoń Lary. Ucisnął ją przelotnie, życzył dobrej nocy i opuścił pokój.

Lara poczuła głęboki smutek. Wspomnienia o córce przybiły ją. Key chciał dodać jej otuchy. Brakło mu jednak słów. Spytał tylko:

- Gdzie masz broń?

- Włożyłam do futerału od aparatu.

Na jednym z kołków wisiała torba. Key wyciągnął z niej duży rewolwer i podał Larze. - Weź go i nie rozstawaj się z nim.

- Czy ojciec Geraldo powiedział ci coś, o czym nie wiem? Grozi nam niebezpieczeństwo?

- Musimy być przygotowani na wszystko. Mamy teraz chwilę spokoju. Spróbuj się przespać - rzekł wskazując na łóżko. - Jutro czeka nas ciężki dzień. Pojedziemy do budynku ambasady.

Spojrzała mu w oczy. Poczuli się trochę nieswojo.

- Key, powiedz mi prawdę - powiedziała cicho. - Nie traktuj mnie jak dziecka. Myślisz, że szukamy na próżno, prawda?

Rzeczywiście tak uważał, ale nie miał serca powiedzieć tego Larze. Ojciec Geraldo potwierdził jego przypuszczenia. Żołnierze pozwolili im wjechać do miasta nie dlatego, że uwierzyli w bajeczkę o biednej wdowie i nienormalnym szwagrze.

Key sądził, że dobrze będzie, jeśli w ogóle uda im się cało wyjść z tej sprawy.

Szczerze wątpił, czy odnajdą szczątki Ashley.

Nie miał odwagi tego powiedzieć, ale też nie mógł karmić Lary jakimś banalnym głupstwem.

- Odpocznij trochę - rzekł. - Ja też spróbuję.

Jednak zamiast pójść do łóżka, wrócił do kuchni, aby dotrzymać towarzystwa ojcu Geraldo. Wyszedł stamtąd, gdy ksiądz padł w końcu na stół, upojony rumem, i zasnął chrapiąc głośno. Key znalazł łóżko w małym pokoiku niedaleko prowizorycznej sypialni Lary. Rozebrał się i położył na szorstkim, płóciennym prześcieradle.

Spał mocniej, niż mu się wydawało. Przebudził się nagle, gdy poczuł czyjś dotyk na ramieniu. Odruchowo sięgnął po pistolet i usiadł.

Przy łóżku stała Lara, ubrana i uczesana. Wylot lufy niemal dotykał jej twarzy.

- O Jezu! - wykrzyknął Key. - O mało cię nie zabiłem!

Błada Lara drżała.

- Przepraszam, że cię przestraszyłam. Wołałam cię parę razy. W końcu podeszłam ... i dotknęłam cię ... Spoglądali sobie w oczy. Trudno było oddychać ciężkim, wilgotnym powietrzem.

Lara z wysiłkiem łapała oddech.

Key w nocy zrzucił z siebie prześcieradło. Krople potu spływały z jego owłosionej piersi na brzuch i zbierały się wokół pępka.

- Jest siódma - głos Lary doleciał jakby z daleka. - Zrobiłam kawę.

- Odwróciła się i wyszła .

Key odłożył broń i zakrył twarz dłońmi. Przesunął nimi po nie ogolonych policzkach. Poranne erekcje nie były dla niego niczym niezwykłym, lecz ta była wyjątkowo silna.

Ubierając się patrzył w otwarte drzwi, przez które Lara wyszła parę minut wcześniej w wielkim pośpiechu.

*

- Racja. Nic tu nie ma.

Lara odepchnęła pantoflem kawałek tynku, który spadł z sufitu. Rozbity kryształowy. żyrandol leżał na mozaikowej podłodze. Wełniane dywany zniknęły. Regały był; zniszczone, a po samych książkach

zostały stopy popiołu.

Flaga, która niegdyś stała w rogu, była rozerwana na strzępy. Na ścianach pokrytych boazerią powypisywano różne epitety pod adresem Stanów Zjednoczonych. Porozbijano okna. Sufit był postrzelany. Wywieziono wszystkie meble. W gruzach wiły sobie teraz gniazda szczyry.

- Przykro mi, pani Parker.

- Spodziewałam się tego - odparła Lara, patrząc na stojącego obok ojca Geraldo.

Wyglądał mizernie. Miał ziemistą cerę i przekrwione oczy. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że ledwo mógł wypić kawę, którą Lara rano zaparzyła. Udawała, że patrzy w drugą stronę, gdy dolewał rumu do filiżanki.

- Ksiądz przecież ostrzegał mnie, że mogę zastać ruiny.

- Czy chciałaby pani jeszcze coś tutaj zobaczyć?

- Gabinet Randalla, jeśli można.

- Musimy się pospieszyć - powiedział Key.

Stał blisko, oparty o ścianę. Mógł spoglądać stąd na ulicę, samemu pozostając w ukryciu. Podobnie jak Lara, miał na sobie to samo ubranie, które dostał wczoraj ksiądz. Zaparkowali jeepa na jednej z bocznych ulic. Szczerze wątpili, czy ich przebranie może zmylić kogokolwiek, kto przyjrzy im się z bliska. Key miał ze sobą strzelbę. Pistolet schował za paskiem spodni. Od chwili gdy weszli do budynku, Key był bardziej zainteresowany tym, co się dzieje na ulicy, niż wewnątrz. Odwrócił głowę do okna.

- Ten sam jeep przejechał tędy trzy razy. Siedziało w nim dwóch żołnierzy. Mieli sztandar El Corazón. Źle mi to pachnie.

- Pospieszymy się - obiecała Lara, przedzierając się z księdzem przez gruz w stronę wyjścia z biblioteki. Key podążył za nimi, lecz w drodze do gabinetu ambasadora zerkał raz po raz do tyłu.

- Zaczekaj - szepnął, gdy Lara położyła rękę na klamce. Cofnęła dłoń. - Odsuńcie się.

Lara i ksiądz przywarli do ściany. Key podszedł ostrożnie do drzwi i otworzył je lufą karabinu. Zajrzał do środka.

- To były jedyne zamknięte drzwi w całym budynku. Obawiałem się pułapki.

Lara ominęła Keya i weszła do gabinetu. Skradziono stąd większość eleganckich mebli. Biurko, które pozostało, było tak zniszczone, że ledwo się trzymało. Błat pocięto nożem, podobnie jak skórzane obicie krzesła. Roztrzaskano barek. Szkło z rozbitych karafek i kieliszków leżało pod ścianą.

Ojciec Geraldo westchnął ciężko.

- Wygląda na to, że gabinet pani męża ucierpiał tak samo jak inne pomieszczenia - rzekł i ruszył do wyjścia, lecz Lara złapała go za rękaw.

- Proszę poczekać. Może jednak coś tu znajdziemy.

Podeszła do kredensu, który wyglądał jako tako. Otworzyła jedne z drzwiczek i wykrzyknęła:

- Patrzcie! Tutaj są jakieś papiery. - Wzięła i przejrzała kartki. - Pisane po hiszpańsku. Wyglądają najakieś dokumenty.

Ojciec Geraldo zerknął Larze przez ramię.

- To umowa handlowa. - Przeczytał jeszcze parę linijek. - Dotyczy wymiany cukru na broń. Ale data jest bardzo dawna. Nie sądzę, żeby nas to interesowało.

Lara sięgnęła głębiej do kredensu i wyciągnęła stamtąd okulary.

- Czyje to? - spytała.

- Wyglądają jak ...

- ... okulary Emilia - dokończyła drżącym głosem. - Wciąż mam przecucie, że on żyje.

Key zrobił nagle krok do przodu i zakrył jej usta ręką. Księdzu także nakazał gestem milczenie. Wskazał podbródkiem w kierunku drzwi.

- Ktoś tam jest - szepnął.

Ruchem ręki poleciał Larze, by przykucnęła za kredensem. Potrząsnęła głową i ruszyła ku drzwiom. Key chwycił koniec jej sukni i mocno pociągnął do siebie. Lara rzuciła wściekle spojrzenie. Nie przejął się tym. Posłusznie schowała się za kredensem. Ksiądz przycisnął się obok.

Naraz Lara także usłyszała cichy głos kroków. Key podszedł na palcach do wyjścia.

Jego karabin stał oparty o biurko. Wyciągnął więc zza paska pistolet i trzymał go przed sobą, tak jakby naprawdę miał zamiar go użyć.

A może wystraszyli Emilio? - pomyślała Lara. Może usłyszał, jak wchodzili, i obawiając się o swoje życie, ukrył się w innym pokoju. Był taki młody i przywiązany do Randalla. Całkiem prawdopodobne, że wie, gdzie pochowali Ashley. Key bywał porywczy. Mógł zabić Emilia, gdy ten tylko pojawi się w drzwiach.

Lara wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Kroki się zbliżały. Słychać było wyraźnie, że ktoś stara się podchodzić jak najciszej i od czasu do czasu przystaje. W końcu zrobiło się całkiem cicho. Lara nie

wiedziała, czy to złudzenie. Wydawało jej się, że ktoś stoi tuż za drzwiami, które Key..miał właśnie zamiar pchnąć lufą pistoletu.

Patrzyła przerażona, jak Key kieruje broń w stronę wyjścia. Drzwi skrzypnęły.

Lara wyskoczyła z ukrycia i krzyknęła:

- Emilio, uważaj!

21.

Wstraszony krzykiem Lary, Key odwrócił się szybko i ruchem ręki powalił ją na ziemię. Potem, słysząc jakiś ruch na korytarz, wyskoczył z pokoju i wystrzelił trzy razy.

Huk rozszedł się echem po całym budynku. Oszołomiona Lara poczuła na ustach krew. Usiadła i przestraszona spojrzała w kierunku drzwi. Na progu leżał martwy koziół.

- Cholera! - Key poderwał Larę z ziemi i mocno nią potrząsnął. - Co ty sobie, do diabła, myślisz? -

Popchnął ją do wyjścia. - Spieprzajmy stąd. Chodź, Geraldo. Za chwilę będzie tutaj pełno żołnierzy.

Wychodząc niepewnym krokiem, Lara o mało co nie wdepnęła w kałużę krwi.

Przeszli korytarzem i wrócili do głównego holu na parterze. Key prowadził Larę przed sobą. Czowała, jak puchną jej wargi.

Gdy doszli do tylnych drzwi, Key się zatrzymał. Ostrożnie wytknął głowę na zewnątrz i rozejrzał się po okolicy. Lara zerknęła na ojca Geraldo. Oddychał ciężko, oparty o framugę drzwi. Wydobył z kieszeni chusteczkę i podał jej. Przytknęła miękki materiał do ust, zostawiając na nim czerwone plamy.

- Idziemy - powiedział Key - ale trzymajcie nisko głowy i w razie niebezpieczeństwa natychmiast się kryjcie. Na dachach mogą być snajperzy.

Chwytał Larę za rękę i rzucili się w kierunku jeepa. Wepchnął ją na przednie siedzenie, a sam usiadł za kierownicą. Książd nie miał nic przeciwko temu. W gramolił się na tył. Jeep ruszył z piskiem opon w kierunku najbliższej alei.

Key omijał główne ulice. Jechał z zawrotną prędkością, objeżdżając stosy śmieci i zwały gruzu.

- Zraniłem cię? - spytał zerkając na Larę.

- Pewnie. Uderzyłeś mnie ... - powiedziała z wyrzutem.

- Gdybyś posadziła tyłek tam, gdzie ci kazałem, nie zrobiłbym tego - odparł i skręcił, by nie wpaść na dziecko jadące na rowerze.

- Na Boga, co ci strzeliło do głowy? Wystawiłaś się prosto na cel. Nie miałem czasu poprosić cię uprzejmie, żebyś przykucnęła. Uderzyłem cię, by ocalić ci życie.

- Obroniłeś mnie przed kozłem?

- Nie wiedziałem, że tam będzie, i ty też nie mogłaś przewidzieć.

- Myślałam, że to Emilio.

- A gdyby nawet? Sądziłaś, że mnie zabije?

- Nie, nie chciałam, żebyś ty go zabił.

- Chyba mam oczy?

- Naprawdę?

Key zatrzymał samochód tak raptownie, że Lara omal nie uderzyła w przednią szybę.

- Owszem, tak. I ty bardziej niż ktokolwiek powinnaś o tym wiedzieć. - Patrzył na nią nieruchomo kilka sekund. W końcu Lara odwróciła głowę.

Key zwrócił się do księdza:

- A co ty o tym wszystkim myślisz?

Ojciec Geraldo oderwał butelkę od ust i otarł je wierzchem dłoni. - Niedobrze, że musieliśmy zostawić to biedne zwierzę.

Key popatrzył spode łba, lecz głupia uwaga duchownego tak rozbawiła Larę, że wybuchnęła głośnym śmiechem. Ojciec Geraldo jej zawtórował. W końcu i Key się rozluźnił.

- Do diabła. - Westchnął, odrzucił głowę do tyłu i spojrzał na skrawek błękitnego nieba ponad budynkami, między którymi się zatrzymali. - Pieprzony koziół!

Gdy zamilkł, odwrócił się do Lary i dotknął jej warg. Zrobiło mu się przykro, gdy zobaczył plamę świeżej krwi.

- To był odruch - powiedział. - Nie chciałem cię skrzywdzić.

- Nic się nie stało - odparła i dotknęła skaleczenia językiem. Poczuła nie tylko krew, lecz także słonawy smak potu, który zostawiła dłoń Keya. - Nie chcę teraz zaprzestać poszukiwań - powiedziała.

- Teraz?

- To niesamowite, że kredens nie został zniszczony. Może to przypadek, a może Emilio jednak żyje, był niedawno w gabinecie i zostawił tam swoje okulary? Jestem przekonana, że należały do niego.
- W każdym razie Emilio dzisiaj nie wróci. Nawet jeśli ukrywa się gdzieś w okolicy, z pewnością nieźle go wystraszyliśmy.

Lara pomyślała, że Key ma chyba rację. Emilio był najpewniejszym źródłem informacji, oczywiście jeśli żył i udałoby się go odnaleźć. Lara chciała wrócić do ambasady później, z Keyem i ojcem Geraldo lub bez nich, i zostać tam nawet przez całą noc, żeby w końcu odszukać Emilia. Key miałby zapewne wiele zastrzeżeń do tego pomysłu, postanowiła więc na razie nic nie mówić.

Póki co, spytała ojca Geraldo:

- Czy śmierć Ashley została odnotowana w jakichś aktach?
- Możliwe. Przed rewoltą ten naród próbował się cywilizować. Jeżeli dokumentów nie zniszczono, powinny się znajdować w rejestrze w ratuszu.
- Co trzeba zrobić, żeby się do nich dostać?
- To nie takie proste ... Ale możemy spróbować.
- A co będzie, jeśli zobaczą, czego szukamy?

Ksiądz zamyślił się na chwilę.

- Powiem im, że szukamy noty o kimś o nazwisku Portaes. Jeśli świadectwa zgonów odnotowywano alfabetycznie, nazwisko Porter powinno być w księdze na tej samej stronie.
- Księdze? - zdziwił się Key. - Nie macie tutaj komputerów?
- Nie - odparł ojciec Geraldo uśmiechając się błogo, rozgrzany rumem.

*

Najprościej było spasować. Po incydencie w zdewastowanej ambasadzie prawie stracili wiarę, że cokolwiek im się uda.

Key i Lara siedzieli w jeepie zaparkowanym na jednej z bocznych ulic nieopodal gmachu sądu. Od pół godziny czekali na ojca Geraldo. W końcu wrócił. Szedł lekkim krokiem i uśmiechał się wesoło.

- Bóg o nas nie zapomniał - powiedział wsiadając do wozu.

Chociaż księdza nie było zaledwie trzydzieści minut, Larze wydawało się to wiecznością. Obawiała się, że ojciec Geraldo nie znajdzie żadnych dokumentów i niczego nowego się nie dowiedzą. Ze słomianym kapeluszem zsuniętym na czoło Key. udając, że drzemie, pilnie rozglądał się wokół. Bał się, że mogą zwrócić na siebie uwagę.

Mimo iż w Ciudad Central nadal trwały starcia, ludzie starali się prowadzić zwyczajne życie. Ulicami jeździły zatłoczone autobusy, samochody, przemykali rowerzyści. Nie brakło i pieszych. Wydawało się jednak, że całe to zamieszanie pozbawione jest sensu.

Ludzie zachowywali się jakoś dziwnie. Nie gromadzili się na rogach ulic czy przec sklepami, aby poplotkować. Bali się, że wzbudzi to podejrzenia żołnierzy przejeżdżających wojskowymi samochodami. Matki trzymały przezornie pociechy blisko siebie. Sprzedawcy obsługiwali klientów, nie wdając się w zbyt długie rozmowy.

Na widok ojca Geraldo Lara i Key ożywili się.

- Dowiedział się ksiądz, gdzie pochowali Ashley? - spytała Lara niecierpliwie.

- Nie, ale znalazłem akt zgonu. Podpisał go doktor Tomas Soto Quinones.

- Jedźmy więc do niego - ponagliła Keya Lara.

- Chwileczkę - powstrzymał ją i zwrócił się do ojca Geraldo: - Po czyjej stronie jest ten Soto?

- To nieważne - przerwała Lara.

- Pewnie, że ważne, do cholery - zdenerwował się Key.

- Jest lekarzem tak jak ja - odparła Lara. - To ważniejsze niż poglądy polityczne. Wyświadczy mi przysługę jak lekarz lekarzowi.

- Albo i nie - odrzekł rozdrażniony Key. - Może okazać się szwagrem El Corazón lub szpiegiem Escaveza. Jeśli pojedziemy do niego i powiemy coś nie tak trzeba, spieprzymy wszystko.

- Proszę mi pozwolić coś powiedzieć - rzekł ojciec Geraldo pojednawczo.

- Wiele razy spotykałem doktora Soto. Nigdy nie słyszałem, żeby opowiadał się zza którąś z frakcji. Leczy rannych bez względu na to, kim są.

- No widzisz - wtrąciła Lara. - Czy możemy tam jechać?

Key zignorował jej słowa.

- Nawet jeśli taki z niego dobry gość - powiedział - to zaryzykuje wiele dzielając nam pomocy. Może nie chce wogóle rozmawiać. Gorzej, jeśli naśle na nas oddziały El Corazón.

- Chciałabym jednak spróbować - oznajmiła odważnie Lara.

- Tutaj nie chodzi tylko o ciebie.
- Jeśli nie pójdziesz ze mną, wybiorę się do niego sama.
Key przeszył ją wzrokiem i zwrócił się do ojca Geraldo:

- A co podpowiada twoje przeczucie?

Książd spojrział niepewnie.

- Nie wiem, czy zgodzi się nam pomóc - powiedział w końcu - ale myślę, że nas nie zdradzi i zachowa wszystko w sekrecie.

- Niech więc będzie, jak chcecie - powiedział Key spokojnie - ale zrobimy to tak, jak wam powiem ...

*

Lara i Key siedzieli w gabinecie w zatłoczonym szpitalu, podczas gdy ojciec Geraldo udał się na poszukiwanie doktora. Key zaciągnął zasłony, by chronić się przed gorącymi promieniami popołudniowego słońca, lecz i tak w pomieszczeniu bez klimatyzacji było bardzo duszno. Stanik Lary przylgnał do wilgotnej skóry. Key co chwilę ocierał rękawem spocone czoło. Na jego koszuli pojawiły się mokre plamy. Siedzieli w milczeniu, nie chcąc tracić sił na rozmowę.

Obawiali się także, że ich głosy mogą sprowadzić do gabinetu doktora kogoś z personelu. Nie chcieli się narażać na niepotrzebne niebezpieczeństwo.

Czekanie ciągnęło się w nieskończoność. Lara złożyła ręce na biurku i oparła o nie czoło. Siedzieli już tutaj ponad dwie godziny. Dlaczego tak długo? - zastanawiała się. Wyobrażnia podsuwała jej różne odpowiedzi: Może zostali rozpoznani i wezwano oddziały wojskowe, które właśnie otoczyły szpital? Key pewnie miał rację - doktor Soto okazał się szpiegiem. Przejrzał zamiary ojca Geraldo i torturował go, aż wyciągnął z niego wszystko ...

Nagle usłyszała zbliżające się głosy. Ktoś rozmawiał po hiszpańsku. Lara wyprostowała się. Key stanął za drzwiami i gestem nakazał, by zachowała milczenie.

Serce biło jej mocno. Strużki potu spływały między piersiami. Gałka u drzwi przekręciła się i do gabinetu wszedł doktor Tomas Soto Quinones wraz z księdzem. Lekarz zapalił światło.

- To był zwyczajny poród, ale czasami zabiera to trochę ... - przerwał, gdy zobaczył Larę. Uniósł zdziwiony brwi.

- Proszę mi wybaczyć, doktorze - rzekł po hiszpańsku ojciec Geraldo, rzekraczając próg. - Nie wyjawilem całej prawdy. Chociaż naprawdę chciałbym kiedyś porozmawiać z panem o zupie dla głodujących.

Key zamknął drzwi i stanął przed osłupiałym lekarzem.

Ojciec Geraldo przeprosił Keya i Larę, że musieli tak długo czekać.

- Obiecał, że spotka się ze mną zaraz, jak tylko pacjentka urodzi dziecko. Niestety poród nieco się przedłużył.

- Jesteście Amerykanami? - spytał doktor po angielsku. - Jak się wam udało przekroczyć granicę? Proszę mi powiedzieć, o co tutaj chodzi. - Spojrział niespokojnie na srogą twarz Keya i pistolet zatknięty za pasem. Potem wlepił oczy w księdza i Larę, która stała przy biurku. - Kim pani jest? - zapytał.

- Nazywam się Lara Mallory - odparła. Warga nie krwawiła już od paru godzin, lecz trochę spuchła. - Trzy lata temu mieszkałam na Montesangre razem z mężem, ambasadorem Randallem Porterem.

- Ach, tak, wiem - rzekł pan Soto. - Widziałem wasze zdjęcie w gazetach. Pani męża porwano i rozstrzelano. Co za straszna tragedia.

- Tak, to prawda.

- Lekarze bardzo ubolewali nad śmiercią ambasadora. Odkąd zawieszono stosunki dyplomatyczne ze Stanami Zjednoczonymi, trudno nam zdobyć leki i przybory medyczne.

- Sama jestem lekarzem i dobrze rozumiem wasze kłopoty. - Lara postąpił w jego stronę. - Doktorze Soto, dopilnuję osobiście, aby dostarczono wam wszystkiego, czego potrzebujecie, jeśli tylko raz pan mi pomoże.

Doktor Soto zerknął przez ramię na Keya, rzucił zaciekawione spojrzenie na księdza i zwrócił się do Lary:

- W czym mam pani pomóc?

- W odnalezieniu grobu mojej córki.

Na twarzy Soto zagościło zdumienie.

- Moja córka zginęła podczas strzelaniny. Pochowano ją gdzieś tutaj. Rząd USA i władze Montesangre zignorowały moje kilkakrotne prośby, aby ekshumować jej zwłoki i przesłać do Stanów. Dlatego postanowiłam zrobić to sama. Nie wiem tylko, gdzie Ashley została pochowana.

Gdzieś w końcu korytarza zaskrzypiały czyjeś buty i koła metalowego wózka..

Rozwożono obiad. Pobrząkiwały naczynia i sztucce. W gabinecie zapanowało milczenie.

W końcu doktor odchrząknął i rzekł:

- Szczerze pani współczuję. To godne podziwu, iż podjęła się pani tak trudnego zadania, ale nie potrafię pomóc. Skąd miałbym wiedzieć, gdzie pochowano pani córkę? - Podpisał pan jej akt zgonu. - Lara podeszła bliżej. Key poruszył się, lecz powstrzymała go wzrokiem. - Czy pamięta pan starcia pod ambasadą?

- Naturalnie.

- Ashley Ann Porter. Zginęła czwartego marca tamtego roku, na parę godzin przedoficjalnym ogłoszeniem wybuchu rewolucji.

- Pamiętam dokładnie, kiedy zabito pani córkę i aresztowano męża. Pani też była wtedy ranna.

- W takim razie z pewnością pamięta pan akt zgonu Ashley. Co się potem stało z ciałem?

Na czole lekarza pojawiły się krople potu. Był silnym, dobrze zbudowanym :nęczyzną, niższym od Lary. Miał kanciastą twarz z szerokim, płaskim nosem, ..skazującym na domieszkę krwi indiańskiej. Jego ręce wydawały się zbyt wielkie i niezdarne, by przeprowadzić operację, chociaż ojciec Geraldo twierdził, że Soto był cenionym chirurgiem .

- Bardzo mi przykro - odparł. - Ale nie przypominam sobie, abym podpisywał takidokument.

- Przecież musi pan pamiętać - nalegała Lara.

- Proszę mnie zrozumieć - powiedział doktor pospiesznie. - Dni, które nastąpiły po zajęciu ambasady, były najbardziej krwawe w całej historii tego kraju. Zginęły wtedy setki ludzi. Nasz prezydent i jego rodzina ledwo uszli z życiem . Wszyscy, którzy dla niego pracowali, zostali publicznie rozstrzelani. Ulice spływały krwią•

Lara, leżąc w szpitalnym łóżku w Miami, czytała wtedy doniesienia prasowe. Wiedziała dobrze, że doktor Soto wcale nie przesadza opisując tamten koszmar. Key odezwał się:

- Nie zapamiętał pan ciała, białej dziewczynki, leżącej pośród tylu innych ciał?

Doktor Soto pokręcił przecząco łysą głową.

- Niestety nie, senor. Wiem, że to was dziwi.

Lara kilka razy odetchnęła głęboko, aby się uspokoić, i wyciągnęła do lekarza rękę.

- Dziękuję, doktorze Soto. Przepraszam, że pana niepokoiiliśmy.

- Proszę zachować ostrożność. Pani mąż nie wzbudził sympatii rebeliantów, którzy teraz są u władzy.

- Mój mąż reprezentował Stany Zjednoczone, a rebelianci zwrócili swą nienawiść na tych, których popierał prezydent Escavez. Randall wykonywał tylko swoją pracę.

- Rozumiem - powiedział cicho pan Soto. - Niemniej jednak sądzę, że ci, których torturowali ludzie Escaveza, mieli prawo mieć swoje zdanie .

- Czy możemy panu zaufać? Potrafi pan trzymać język za zębami? - spytał Key szorstko.

- Oczywiście. Na pewno was nie zdradzę.

- Jeśli pan to zrobi, z pewnością tego pożałuje.

Ojciec Geraldo stanął między nimi.

~ Może pozwolimy już doktorowi Soto wrócić do swoich obowiązków.

- Tak - zgodziła się Lara. - Nie ma potrzeby dłużej zawracać panu głowy. Ojciec Geraldo dał doktorowi swoje błogosławieństwo i poprosił o wybaczenie.

Lekarz zapewnił go, że nic się nie stało i doskonale rozumie ich sytuację. Gdy Lara zwróciła się w kierunku drzwi, położył jej rękę na ramieniu.

- Bardzo mi przykro, seniora Porter. Żałuję, że nie mogłem w niczym pomóc. Buena suerte.

- Muchas gracias. Dziękuję bardzo.

Lara z powrotem owinęła głowę szalem i wyszła za ojcem Geraldo z gabinetu doktora. Za nią podążył Key. Ksiądz poprowadził ich przez boczne skrzydło szpitala - nieczynne, ponieważ wciąż zmieniający się rząd nie był w stanie go finansować.

Duchowny znał doskonale rozkłady korytarzy. Przez wiele lat odwiedzał tutaj chorych parafian.

Wyszli, przez nikogo nie zauważeni. Lara stwierdziła ze zdumieniem, że kiedy siedzieli w budynku, na zewnątrz zapadła zupełna ciemność. Nie obchodziło jej jednak. czy jest dzień, czy noc. Ledwie powłóczyła nogami. Gdyby nie Key, który ją prowadził. pewnie zatrzymałaby się i usiadła na ziemi.

Z odnalezieniem aktu zgonu Ashley wiązała duże nadzieje. Jednak spotkanie z doktorem Soto zawiodło wszelkie oczekiwania. Czuła się zdruzgotana i całkiem bez sił. Wciąż miała zamiar wrócić do ambasady i spróbować odnaleźć Emilia Sanchez Peróna. Jednak najpierw musiała odpocząć. Wiedziała, że jeśli prześpi się kilka godzin. zacznie myśleć jaśniej.

Pocieszała się w ten sposób, wlokąc się z trudem do samochodu. Nie sądziła. że zostawili go tak daleko.

Okazało się jednak, że Key zaciągnął ich na tyły szpitala.

Ojciec Geraldo chciał coś powiedzieć, lecz Key przyłożył palec do ust.

- Co się stało? - spytał ksiądz szeptem.
- Przecież nie musimy się tak kryć - wróciła Lara. - Nikt nas nie zauważył.
Key przywołał ojca Geraldo bliżej.
- O której ten Soto wychodzi ze szpitala? - zapytał.
- Nie mam pojęcia. Dlaczego cię to interesuje?
- Nasz doktor kłamie.
- Ale przecież znam go ...
- Zaufaj mi, ojciec - przerwał Key. - Być może potrafisz poznać świętego, ale jaznam się na grzesznikach.
Ten facet łągał. - Skąd wiesz? - dopytywała się Lara.
- Nie wiem na pewno, ale muszę to sprawdzić. Powiedział, że nie pamięta twej córki. To bzdura - oznajmił.
- O śmierci twojego męża i Ashley pisały gazety całym świecie. Byłem wtedy w Czadzie i czytałem o tym na pierwszych stronach. Od napadu na ambasadę zaczęła się rewolucja, prawda? Setki przeszły wtedy przez miejską kostnicę. Ten Soto siedział pewnie pośród stosów trupów i miał pełne ręce roboty, ale niemożliwe, by nie pamiętał, że podpisywał akt zgonu córki ambasadora USA zabitej podczas strzelaniny. Nie ma mowy.
Lara poczuła nagle, że instynktownie zaczyna wierzyć Keyowi. To, co mówił, mi sens. Z nie ogoloną brodą wyglądał jak szaleniec, jak człowiek, który uwielbia ryzyko i rozkoszuje się nim. Jego niebieskie, błyszczące oczy poruszały się szybko, obserwował okoliczne budynki. Był czujny jak dzikie zwierzę. Jego głos brzmiał pewnie, zniewalająco i przekonywająco.
- Co zrobimy? - spytała Lara.
Key przestał się rozglądać i spojrzał jej prosto w oczy.
- Zaczekamy.

*

Słyszając dźwięk odbezpieczanej broni, doktor Soto zatrzymał się nagle. Key przystawił mu do skroni lufę pistoletu, lewą ręką wykręcił doktorowi ramię do tyłu i przycisnął je do łopatek.

- Jeśli piśniesz, możesz się pożegnać z życiem - syknął cicho. - Idziemy.
Doktor nie stawiał oporu. Ruszyli w kierunku jeepa, który wyjechał właśnie z zaciemnionej alei. Za kierownicą siedział ojciec Geraldo, wystraszony i jednocześnie podekscytowany. Lara przykucnęła na krawędzi tylnego siedzenia i patrzyła na Keya prowadzącego zakładnika.

- Laro, zrewiduj go - polecił Key.
Zeskoczyła na ziemię i obmacała ubranie doktora.
- Nie jestem uzbrojony - powiedział lekarz z godnością.
- Za to jesteś niezłym kłamcą - rzekł Key.

Lara kiwnęła głową na znak, że Soto istotnie nie ukrywa broni. Wsiadła z powrotem do wozu. Na rozkaz Keya lekarz posłusznie zajął przednie siedzenie. Key usiadł koło Lary i ponownie przystawił lufę pistoletu do głowy pojmanego. Ojciec Geraldo włączył silnik i samochód ruszył.

- Dokąd mnie zabieracie? Na Boga, proszę ... Nie wiem, po co to robicie. Czego ode mnie chcecie?
- Prawdy - powiedziała Lara pochylając się do przodu. - Wiesz więcej o śmierci mojej córki, niż nam powiedziałeś, czyż nie tak?

Key trącił doktora lufą pistoletu.
- Nie! - zaprotestował Soto piskliwym głosem. - Przysięgam, że nic nie wiem. Bóg mi świadkiem .
- Uważaj - ostrzegł Key. - Jest tutaj jeden bliski znajomy Pana Boga, wszystko mu wyśpiewa.
- Nie potrafię wam pomóc - zaskamlał doktor.
- Nie możesz czy nie chcesz? - spytała Lara .
- Nie potrafię .
- To nieprawdopodobne. Ukrywasz coś.
- Błagam panią, pani Porter ...
- No, odpowiedz - przerwała mu twardo.

Ojciec Geraldo jechał wzdłuż rzeki wyboistą drogą, która prowadziła do położonej na uboczu polany. W początkowym odcinku rzeka była porywistym górskim strumieniem o kryształowo czystej wodzie, lecz po ominięciu dżungli i stolicy kraju stawała się rynsztokiem pełnym ścieków i odpadków i taka wpadała do oceanu. Ksiądz zatrzymał jeepa. Nie wyłączył jednak silnika.

- Czy miałeś dyżur w szpitalu tego dnia, gdy nasz samochód wpadł w zasadzkę? - dopytywała się Lara.
- Tak - odparł bojaźliwe doktor po chwili wahania.
- Czy widziałeś moją córkę?
- Tak. Była ciężko ranna.

Lara przełknęła ślinę, przypominając sobie fontannę krwi tryskającą z postrzelonej szyi Ashley. Z pewnością została przerwana tętnica. Lara zamknęła oczy, aby odegnąć od siebie wspomnienia. Na rozpacz pozwoli sobie później. Teraz nie pora na to.

- Co się stało z ciałem dziecka?

- Ojcie - Soto zwrócił się płaczącym głosem do księdza - błagam, pomóż mi. Mam rodzinę. Przysięgam, że żał mi pani Porter, ale boję się, że mnie zabiją.

- I słusznie - warknął Key. - Nie ma tutaj El Corazón, ale za to jestem ja. Nie przebyliśmy setek mil po to, żeby się z tobą cackać. Powiedz jej, co chce wiedzieć, albo pozbędziemy się siebie. Rozumiesz?

Lara nie pochwałała zachowania Keya. Umówili się, że będzie się uciekał do drastycznych metod tylko wtedy, gdy inne środki zawiodą.

- Ojcie! -lamentował Soto załamującym się głosem, raz po raz zerkając lękliwie na ciemną, brudną rzekę płynącą w dół. - Proszę!

Ojciec Geraldo przeżegnał się, pochylił głowę i zaczął się cicho modlić. Okazał się świetnym aktorem.

- Mam dosyć twojego biadolonia - powiedział Key do doktora. Zeskoczył na ziemię i kazał mu wysiąść z samochodu.

- Cmentarz del Sagrado Corazón - wybełkotał nagle Soto.

- Na Boga! Tam ją pochowali? - wykrzyknęła Lara.

- Tak - wydusił doktor. Staniał się na nogach. Wyglądał jak balon, z którego uszło powietrze. - W pierwszych dniach walki grzebali tam większość ofiar. Zawieźcie mnie tam, to wam pokażę miejsce pochówku.

Ojciec Geraldo przestał się modlić i przekręcił klucz w stacyjce. Key wskoczył z powrotem do środka.

- Nie radzę ci wciskać nam bzdur - ostrzegł doktora.

- Mówię prawdę, senior. Przysięgam na głowy moich dzieci.

Cmentarz znajdował się po drugiej stronie miasta. Ksiądz jechał okrężną drogą.

Zawracał parę razy, żeby się upewnić, czy nikt za nimi nie jedzie. Aby uniknąć punktów kontrolnych i patroli wojskowych. przejeżdżał przez zaciemnione, niemal opustoszałe ulice, gdzie tylko podwórkowe koty ośmiały się wychodzić z kryjówek.

Gdy dotarli na miejsce, Lara trzęsa się ze zdenerwowania.

- Brama zamknięta - zauważyła.

- Ale mur jest niski. Chodźmy -powiedział Key i pierwszy wysiadł z samochodu. Wyprowadził doktora. - Trzymaj ręce na karku. Jeśli je opuścisz, będę strzelał.

- Nie możesz przecież mnie zabić. Kto wam wtedy wskaże drogę do grobu?

Key wzruszył ramionami. Uśmiechnął się szeroko, ukazując białe zęby.

- Nie powiedziałem, że cię zabiję. Ale mogę postrzelić. Na przykład w rękę. Nie będziesz mógł nawet założyć komuś bandaży, nie mówiąc już o przeprowadzaniu operacji. - Po chwili spoważniał. - No, jazda. Bez trudu przedostali się na drugą stronę kamiennego muru. Soto wskazał drogę i wszyscy ruszyli za nim. Posługiwanie się latarkami mogło się okazać ryzykowne. Naniebie nie było księżycy, posuwali się więc niemal po omacku po nierównym gruncie, ostrożnie omijając groby.

Cmentarz leżał na uboczu. W dół panorama miasta, z drugiej strony wznosiły się góry. Zaniedbane groby zapadały się w głąb podłoża. Lara z bólem serca myślała o córce pochowanej w tym odludnym miejscu, porośniętym chwastami i zamieszkanym przez gady pełzające cicho w zaroślach.

Ashley, już niedługo cię stąd zabiorę - pomyślała Lara. Dotarli do wzniesienia, za którym znajdował się wielki dół.

Tam Soto się zatrzymał się. Powoli, aby nie sprowokować Keya, odwrócił się do Lary. Zaskoczył ją upiorny wyraz jego twarzy. Po chwili uświadomiła sobie, że Soto płacze. Łzy spływały mu po policzkach.

- Nie chciałem o tym mówić, ale sama pani chciała - zaczął. - Byłoby o wiele lepiej, gdybyście nie zmusili mnie, żebym tu przyjechał. Czemu nie zapomniała pani o wszystkim, co się wydarzyło na Montesangre i nie została w domu?

- Co ty gadasz? - spytał Key.

Lara, bardziej zciekawiona niż przerażona, podeszła do skraju przepaści i spojrzała w dół. Wgłębienie miało około dwudziestu metrów średnicy i przypominało krater po meteorycie, miejscami porośnięty krzakami.

Odwróciła się do ojca Geraldo. Zerkał na płytkie wgłębienie w ziemi. Zgarbił się, a ręce bezwładnie zwiślały mu wzdłuż boków. W jednej dłoni trzymał butelkę, ale sprawiał wrażenie, jakby o niej zapomniał. Widok dołu wprawił go w odrętwienie.

Key także tam patrzył. Nagle odwrócił się. Rzucił pistolet na ziemię i chwycił doktora za poły płóciennej marynarki.

- Powiesz nam, czy ... ?

- Tak, tak - odparł doktor i pochylił nisko głowę. - Dwieście albo trzysta. Kto to zliczy?

- Co? O czym on mówi? - spytała Lara, czując rosnący niepokój. - Dwieście albo trzysta? Czego ... ? Nagle zrozumiała. Krew odpłynęła jej z twarzy. Stała z otwartymi ustami, nie mogąc zaczerpnąć powietrza.

Key puścił doktora i zbliżył się do Lary.

- Co ci jest?

Martwą ciszę cmentarza przeszył przeraźliwy dźwięk. Z początku Lara nie zdawała sobie sprawy, że to ona sama krzyczy. Rozłożyła ramiona i rzuciła się ku krawędzi urwiska. Osunęłaby się w dół, gdyby nie chwycił jej Key. Odciągnął ją, ale wyrwała mu się gorączkowo. Jakby postradała zmysły.

Wreszcie uwolniła się z jego uścisku i znowu zaczęła pełznąć w kierunku krawędzi leja, wbijając paznokcie w ziemię, wrywając kępy trawy i jęcząc żałośnie.

- Nie! O Boże, nie! Kochana Ashley! Błagam, nie!

Doktor Soto bał się coś o dniu, w którym polecono kopać zbiorowe mogiły. Używano do tego wielkich buldożerów. Właściciele domów pogrzebowych nie radzili sobie z nawałem pracy. Gdy kostnica wypełniła się po brzegi, trupy wywożono, gdzie tylko się dało. Setki ludzi umierały na ulicach. Ich ciała leżały tam tak długo, aż zaczęły się rozkładać. Groziło to zarazą. Zdarzały się przypadki tyfusu i innych chorób zakaźnych. Przywódcy rebelii radzili sobie z tym problemem, zapominając o wszelkich sentymentach.

- Laro, przestań. - Key chwycił ją za ramiona i próbował podnieść, ale kurczowo wbiła palce w zarośla i nie pozwoliła się ruszyć.

- Tak mi przykro - powtarzał Soto.

Nagle Lara zrozumiała, dlaczego doktor nie chciał od razu wyjawić jej prawdy o zbiorowych mogiłach. Bał się - ale nie El Corazón, lecz jej samej.

- Zostaw mnie! - wrzasnęła.

Gdy Key jeszcze raz spróbował odciągnąć ją od skraju, rzuciła się na niego jak oszalała. Jęknął z bólu, ocierając krew z rozdrapanego czoła, ale zdwoiło to tylko jego wysiłki, by przywrócić Larę do rzeczywistości.

- Pani Porter - powiedział spokojnie ojciec Geraldo, przykucnąwszy obok. - Bóg w swojej nieskończonej mądrości ...

- Nie! - krzyknęła. - Nie mów mi o Bogu!

- Kto to zrobił? - spytał Key, rzucając gniewne spojrzenie na Soto i nie przestając mocować się z Larą. - Kto kazał wrzucić ciała dzieci do zbiorowych grobów? Na Boga. czy wy jesteście barbarzyńcami? Chcę znać nazwisko. Kto wydał ten rozkaz? Dorwę tego skurwiela.

- Niestety, señor, to niemożliwe. Wszystko ... - Nagle Soto złapał się za serce. padł na kolana i przewrócił się na ziemię.

Ojciec Geraldo kończył właśnie odmawiać modlitwę za dusze zmarłych, gdy naraz upadł twarzą wprost w błotnistą ziemię tuż obok Lary.

Oszołomiona patrzyła na plamę krwi wokół jego głowy.

- Chryste!

Key sięgnął po pistolet, ale nie zdążył. Dostał kopniaka między żebra i z jękiem zgiął się wpół.

Lara ze zgrozą patrzyła na galaretowatą masę, która jeszcze niedawno była głowa ojca Geraldo.

Błyskawicznie skoczyła na nogi, szczękając zębami.

- Buenas noches, senora - usłyszała. - Spotykamy się znowu.

Stał przed nią Ricardo - przywódca grupy partyzantów, którego spotkali w drodze do Ciudad Central.

*

Gdy wojskowa ciężarówka podskoczyła na wyboju na drodze, Lara uderzyła głową o żelazne pręty.

Jechali tak już od paru godzin.

Zanim uprzytomniła sobie na cmentarzu, że zostali otoczeni przez uzbrojonych ludzi, związano jej mocno ręce z tyłu. Nadal pozostawała skępowana. Nie mogła utrzymać równowagi w kołyszącym się samochodzie. Wiele razy rzucało ją to na jedną, to na drugą stronę. Całe jej ciało pokryło się siniakami. Ale wciąż żyła.

Ojciec Geraldo zginął. Soto także. Na szczęście ocalał Key. Dzięki Bogu! Wyrzucił z siebie całą litanię przekleństw, gdy żołnierze wywlekali ich z cmentarza i siłą zaciągali do ciężarówki.

Paru facetów dobrało się do ich rzeczy pozostawionych w jeepie. Jeden majstrował przy aparacie i torbie

z filmami. Key krzyknął do niego:

- Zabieraj swoje parszywe łapy!

Podobnie jak Lara miał związane ręce, ale wyrwał się do przodu i kopnął torbę tak, że wyleciała z rąk żołnierza. Wściekły rebeliant bez namysłu uderzył Keya w skroń kolbą pistoletu. Ten zachwiał się, upadł na kolana, ale bynajmniej się nie przeląkł. Podniósł ociekającą krwią głowę, spojrzał na żołnierza i powiedział:

- Cholerny idioto!

Partyzant znał może trochę angielski, w każdym razie wziął te słowa za obelgę i gwałtownie postąpił w stronę Keya. Jednak zanim zdążył wziąć odwet, Ricardo rozkazał mu zabrać pojmanych do ciężarówka. Żołnierze zastanawiali się przez chwilę, czy zarekwirować jeepa, czy też zostawić go przy cmentarnej bramie. Wreszcie Ricardo zdecydował, że jeden z jego ludzi pojedzie nim za ciężarówką.

Wepchnęli Larę i Keya na platformę. Wrzucili także do środka ich rzeczy - futerał z aparatem i lekarską torbę. Potem wsiedli sami i opuścili brezentową plandekę. Było zupełnie ciemno, mimo to zawiązali pojmanym oczy. Oczywiście, z Keyem nie poszło im łatwo. Trzech ludzi musiało go trzymać, żeby pozwolił sobie owinąć kawałek brudnego bandaża wokół głowy.

Lara wiedziała, że opór jest daremny. Spojrzała jednak z głęboką pogardą na człowieka, który zamierzał przewiązać jej oczy.

Droga była koszmarna. Nie domyśli żołnierze śmierdzeli jak stado świń. Larze chciało się pić, ale wiedziała, że żadne jej prośby o wodę nie zostaną wysłuchane. Miała poobijane pośladki, ręce i nogi.

Sznur, którym ją związano, zaczął wrzynać się w nadgarstki.

Zastanawiała się, dokąd ich wiozą. Jak długo jeszcze mieli jechać? Co się stanie, kiedy dotrą na miejsce?

Wiedziała, że nikt nie odpowie na te pytania. Key tylko raz próbował porozumieć się z nią i został srogo ukarany.

- Lara? - spytał ochrypłym głosem. - Nic ci nie jest?

- Key?

- Dzięki Bogu - odetchnął. - Nachyl się tutaj i ...

Usłyszała uderzenie, jęk i od tej chwili Key już się nie odezwał.

Próbowała wyobrazić sobie, że znajdują się całkiem gdzie indziej. Ale za każdym razem, ,gdy przywoływała wizję słońca zachodzącego na pustyni, morskich fal czy dryfujących chmur, przypominała sobie zbiorowy grób, w którym na zawsze pogrzebano jej córkę.

Nie widziała szans wypłatania się z tej obłądnej sytuacji. Przyszło jej do głowy, żeby spróbować ucieczki i zginać od kul karabinów rebeliantów. Ojciec Geraldo i Soto nie poczuli przecież nawet bólu. Zginęli natychmiast. Może śmierć nie jest aż taka straszna. Co trzymało ją jeszcze przy życiu?

Może chciała poznać tych, którzy byli odpowiedzialni za tę zbrodnię. Pogrzebanie córki ambasadora USA w tak poniżający sposób gwałciło wszelkie ludzkie prawa. Lara powiedziała sobie, że jeśli przeżyje, postara się, by świat dowiedział się o tej hańbie.

Wiele razy miała do czynienia ze śmiertelnie chorymi pacjentami. Aż do dzisiejszej nocy nie pojmowała ich niezwykłej woli życia. Uparcie chwytała się brzytwy, choć wiedzieli, że sytuacja jest beznadziejna. Lara często się zastanawiała, dlaczego ludzie usilnie odsuwają od siebie myśli o śmierci i nie chcą jej zaakceptować. Teraz wreszcie zrozumiała: nadzieja na ocalenie nie opuszcza człowieka nawet w skrajnych sytuacjach.

Instynkt samozachowawczy był silniejszy, niż podejrzewała. Potrafił zachować przy życiu nawet kogoś, czyj umysł dał już za wygraną. Gdyby było inaczej, Lara umarłaby w chwili, gdy ujrzała zbiorową mogiłę i dowiedziała się, że pochowano tam jej małą dziewczynkę. Chęć przetrwania podtrzymywała ją na duchu przez całą noc.

Musiała się zdrzemnąć, ocknęła się bowiem dopiero, kiedy ciężarówka się zatrzymała i wokół rozległy się jakieś głosy. Lara poczuła swąd dymu i gotującego się jedzenia.

- Koniec podróży? - zapytał Key z kpina w głosie.

Ktoś postawił Larę na nogi i wyciągnął z ciężarówka. Wszystkie członki miała zesztyniałe i obolałe.

Potykała się, gdy ją prowadzili, ale świeże powietrze podziało ją kojąco. Oddychała głęboko i czuła, jak krew powoli zaczyna dopływać do zdrętwiałych kończyn.

Nagle ktoś zdjął jej z oczu opaskę. Zobaczyła Ricarda stojącego obok i uśmiechającego się od ucha do ucha.

- Dzień dobry - powiedział. Lara odsunęła się, czując jego odrażający oddech.

- El Corazón nie może się doczekać, kiedy pozna swoich gości.

Lara zdziwiła się słysząc, że Ricardo mówi po angielsku.

- Ja także mam mu dużo do powiedzenia - odparła. Partyzant roześmiał się.
- Lubię kobiety z poczuciem humoru.
- Ja nie żartuję.

- Ależ tak, sefiora. To był świetny dowcip.

Nagle obok Ricarda pojawiła się kobieta ubrana w brudne, sfatygowane spodnie i poplamioną potem bluzkę. Pocałowali się namiętnie. Ricardo bez żenady pieścił jej piersi.

- Chodź do środka - odezwała się do niego. - Przygotowałam dla ciebie jedzenie.

- Gdzie jest El Corazon?

- Czeka u siebie.

Wciąż się obejmując, para ruszyła do zdewastowanej chaty, weszła na ganek po kilku zdezelowanych schodkach i zniknęła w sieni za zasłoną. Innych żołnierzy tilie powitały kobiety z obozu. Z wielkiego garnka wiszącego nad ogniskiem nalewały jedzenie i podawały mężczyznom parujące miski. Wszyscy pili świeżą kawę z metalowych kubków. Lara umierała z pragnienia. Jej wargi spuchły i zaschły.

Dwóch facetów z półautomatyczną bronią pilnowało więźniów. Gdy Lara zobaczyła Keya po raz pierwszy po wyjściu z ciężarówki, zaparło jej dech. Siedział na ziemi blisko niej, lecz straż nie pozwalała im rozmawiać. Rana na jego skroni nieco przyschła. Mimo to wyglądała okropnie. Nic jednak nie wskazywało na to, by pozwolono jej skorzystać z podręcznego sprzętu medycznego.

Key miał oczy podkrążone ze zmęczenia. Lara domyślała, się, że sama pewnie wygląda podobnie.

Ubrania ich obojga były brudne i przepocone. Wstawał dopiero ranek, słońce nie świeciło jeszcze zbyt mocno. Gęsta mgła unosiła się nad otaczającą polaną dżunglą.

Key wpatrywał się w Larę. Nie musiała porozumiewać się z nim wzrokiem, by zdać sobie sprawę, że znaleźli się w matni. Gdy Key wreszcie przyciągnął jej uwagę, wskazał oczami na futerał od aparatu.

Jeden z żołnierzy wyciągnął go wraz z innymi bagażami i porzucił na ziemi.

Lara spojrzała pytająco. Wiedziała, że Key chce jej coś przekazać, ale nie pojęła, co ma na myśli.

Poruszył bezgłośnie ustami: magnum.

Obrzuciła futerał przelotnym spojrzeniem. Gdy z powrotem utkwiała oczy w Keyu, niemal niepostrzeżenie przytaknęła głową.

- Senor, senora - usłyszeli Ricarda, który wynurzył się z sieni i oparł o słup podpierający słomiany dach. - Macie szczęście. El Corazón porozmawia z wami teraz.

Pełna szacunku cisza zaległa w obozie. Jedzący posiłek żołnierze odłożyli łyżki.

Oczy wszystkich zwróciły się na drzwi chaty. Ucihły nawet dzieci biegające wokół i bawiące się w wojnę.

Zamilkły kobiety rozbawione opowieściami partyzantów. Uwaga wszystkich skupiła się na ganku.

Odsunięto zasłonę. W drzwiach pojawił się mężczyzna. Lara padła na kolana. Zdumiona zawołała:

- Emilio!

Lecz dalsze słowa uwięzły jej w gardle.

22.

- Przepraszam, panno Janellen.

Słyszając głos Bowiego omal nie wyskoczyła ze skóry, ale nie dała tego po sobie poznać. Majestatycznym ruchem podniosła głowę.

- Witam, panie Cato - powiedziała. - Co mogę dla pana zrobić?

Stał w drzwiach łączących magazyn z niewielkim biurem położonym na tyłach.

W brzydkim, bezsensownie zaprojektowanym budynku panowała cisza. Oprócz ich dwojga nikogo tu nie było.

Gdy Bowie wszedł do środka, Janellen poczuła woń świeżego, jesiennego wiatru.

Włosy Bowiego przylegały do czaszki przygniecione kapeluszem, którego brzeg ścisnął teraz nerwowo w dłoni. Wargi miał spieczone. Janellen przyglądała mu się, ukrywając zainteresowanie.

- Zastanawiałem się właśnie, czy miała pani jakieś wiadomości od brata i pani Mallory - powiedział.

- Nie - odparła dręczona wyrzutami sumienia. Czowała się winna, że roman-suje z Bowiem, gdy życiu Lary i Keya zagraża niebezpieczeństwo. Brat obiecał, że zadzwoni do domu, jeśli będzie mógł, ale od trzech dni nie dawał znaku życia. Janellen okropnie się niepokoiła, jej matka także, chociaż nie przyznawała się do tego. Jody wychodziła z sypialni jedynie na posiłki, ale i tak odzywała się tylko półgębkiem.

- To niedobrze - odparł Bowie. - Miałem nadzieję, że są już w drodze powrotnej.

Zamilkł i skubał dalej rondo kapelusza.

- Czy coś jeszcze? - spytała Janellen.

- Tak. Chodzi o mój czek. Nie było go dzisiaj w skrzynce, ani w zeszłym tygodniu. Nie zawracałbym pani

tym głowy, ale jutro muszę zapłacić czynsz.

Janellen wiedziała doskonale, że Bowie mówi prawdę. Spojrzała na pustą przegródkę z jego nazwiskiem.

- Mój Boże! Przepraszam za przeoczenie. Pewnie zostawiłam ten czek w sejfie.

Sejf był tak wielki, że z łatwością pomieściłby trzy fortepiany. Zajmował cały róg zagraconego pokoju.

Czarne metalowe drzwiczki pokryte były wymyślnymi połączanymi ozdóbkami. Skarbiec pochodził jeszcze z czasów, kiedy dziadek płacił swoim ludziom w gotówce.

Przechodząc przez pokój, Janellen czuła na sobie spojrzenie Bowiego. Onieśmiało ją to. Na szczęście, dobrze znała szyfr. Otworzyła drzwiczki i wyciągnęła czek z szuflady, do której celowo schowała go dzisiaj rano. Bowie nie spotkał się z nią od tamtej nocy, gdy obejmowali się w kuchni. Użyła więc fortelu, by znowu się z nim zobaczyć.

W czasie burzy wolał stać na ulewnym deszczu, niż grzać się w ciepłe jej ramion.

Może Bowie był zaskoczony jej gorącymi pocałunkami, zdumiony zbyt gwałtowną reakcją na jego pieszczoty, lecz Janellen nie zamierzała pozwolić, aby ignorował ją i udawał, że nic między nimi nie zaszło.

- Oto czek. - Podając papier uważała, by nie dotknąć jego dłoni. - Przepraszam, że o nim zapomniałam.

Wróciła na swoje miejsce przy biurku i ponownie się zajęła papierkową robotą.

Serce biło jej tak mocno i głośno, że bez trudu mogła policzyć uderzenia. Teraz już wszystko zależało od Bowiego. Następne chwile miały przynieść rozstrzygnięcie. Jeśli odwróci się i wyjdzie bez słowa, złamie jej serce. Janellen udawała obojętność tylko po to, by ukryć desperację.

Mijały sekundy. Dwadzieścia. Trzydzieści.

Bowie zaszurał stopami. Janellen czekała, robiąc jakieś notatki czerwonym długopisem na fakturze, podczas gdy cała jej przyszłość zawisała na włosku, a ją samą sparaliżował strach.

- Czemu przestała pani mówić do mnie po imieniu? - zapytał nagle Bowie. Janellen uniosła głowę, udając zdziwienie, że on jeszcze tu jest. Wydawało się, iż rozmyśla nad odpowiedzią.

- Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie - odparła wreszcie .

- Dlaczego?

- Jeśli dwoje ludzi zwraca się do siebie po imieniu, oznacza, że są przyjaciółmi. A przyjaciele nie unikają się nawzajem. Dzwonią do siebie, odwiedzają się, spędzają razem czas. Pozdrawiają się, kiedy się mijają, i nie odwracają głowy udając, że się nie widzą.

To ostatnie dotyczyło poprzedniego dnia. Bowie umyślnie nie zwrócił na nią uwagi, gdy spotkali się przypadkowo na mieście.

- Teraz już wiem, o co chodzi...

- Nawet ludzie, którzy kiedyś byli przyjaciółmi, nie udają, że się nie znają. - Głos Janellen zaczął drżeć.

Nienawidziła siebie za to. Przysięgała sobie kiedyś, że nigdy się nie rozklei przy Bowie. - Przyjaciele nie zachowują się tak, jakby nigdy nie byli ... przyjaciółmi. Jakby nigdy ... Och!

Do oczu Janellen napłynęły łzy. Odwróciła się zawstydzona i sięgnęła po chusteczkę.

- Nie potrafię - powiedziała ponuro, wycierając nos - nie umiem grać jak inne kobiety. Specjalnie schowałam czek. Wiem, że to głupie i naiwne, ale wiedziałam, że po niego przyjdiesz. Nie miałam innego sposobu, aby ściągnąć cię tutaj.

Odwróciła się od niego wiedząc, że wygląda okropnie. Nie potrafiła płakać jak aktorki na filmach. Białka jej oczu i nos stawały się czerwone, a cała twarz pokrywała się plamami.

- Przepraszam, Bowie. Wiem, że to musi być dla ciebie strasznie krępujące. Idź, jeśli chcesz. Nie musisz tu stać. Wszystko ze mną w porządku. Naprawdę.

Jednak Bowie się nie poruszył. Od paru minut czuł się tak samo niezręcznie jak ona. - Prawdę mówiąc, to mi głupio, że doprowadziłem do takiej sytuacji.

Janellen pomyślała, że skoro już zrobiła z siebie idiotkę, nie ma nic więcej do stracenia i równie dobrze może zapytać wprost:

- Dlaczego mnie unikasz?

- Bo nie sądziłem, że będziesz chciała zobaczyć się ze mną po ... - Bowie przerwał i odwrócił głowę.

Jednak gdy natknął się wzrokiem na zmysłową nagą piękność na kalendarzu ściennym, natychmiast spojrzał z powrotem na Janellen. - Myślałem, że nie będziesz chciała mnie widzieć po tym, co ci zrobiłem. Nie okazałem ci żadnego szacunku, a przecież tak bardzo cię szanuję.

Janellen zaczerwieniła się, przypominając sobie, jak Bowie wsunął jej rękę pod spódnicę i ścisnął jej pośladki. Była zszokowana, ale także zaintrygowana.

- Ja zachowałam się wtedy podobnie, prawda? - powiedziała niezbyt głośno.

- Ale myślę, że odzyskaliśmy wzajemny szacunek. Możemy zaprzyjaźnić się teraz naprawdę. Miałeś

ochotę ... no, wiesz ... pieprzyć się ze mną?

Kapelusz Bowiego wylądował na biurku. Sam Bowie opadł na krzesło, oparł łokieć na fakturach i objął rękami głowę. Wydał policzki i wypuścił głośno powietrze.

- Wiem, że jest takie słowo - powiedziała Janellen nieśmiało. - Key często go używał, kiedy mówił ... o tym.

- Tak, z pewnością to mocne określenie. Wiadomo, o co chodzi.

- W takim razie ... czy się myliłam?

Bowie rozmasował sobie kark. Po chwili, która Janellen wydała się wiecznością, uniósł głowę.

- W gruncie rzeczy ... Gdybym właśnie tego chciał, zrobilibyśmy to na podłodze w kuchni. Ale zbyt zależy mi na tobie, aby postępować z tobą, jakbyś była dziwką za dziesięć dolarów. Widzisz ... ty masz klasę, a ja jestem śmieciem i nic już tego nie zmienię.

- Nie jesteś śmieciem.

- W porównaniu z tobą tak. Poza tym siedziałem ...

- Skazali cię niesłusznie. Moim zdaniem nie ty zasłużyłeś na więzienie, ale ten, kto cię zaatakował.

Bowie uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Niestety, sędzia był innego zdania - powiedział ironicznie i nagle spoważniał.

- Ludzie w Eden Pass także. Jak myślisz, jak by zareagowali, gdybyś ujęła się za mną?

- Nic mnie to nie obchodzi.

Janellen obeszła biurko, przykucnęła naprzeciw krzesła, na którym siedział Bowie, i z ufnością położyła mu dłonie na udach.

- Przez całe życie - rzekła - dostosowywałam się do wymagań innych ludzi. Robiłam wszystko, czego ode mnie oczekiwano, i unikałam tego, co mogłoby wywołać czyjeś niezadowolenie. Ale całkiem niedawno Key otworzył mi oczy. Zrozumiałam, że marnuję najlepsze lata. Nie zdawałam sobie sprawy, że trafił w sedno, dopóki mnie nie pocałował. Wtedy po raz pierwszy w życiu poczułam się wolna. Nie chcę na starość odkryć, że straciłam to, co w życiu najlepsze. Przez trzydzieści trzy lata byłam dobrze ułożoną panną i szczerze mam już tego dosyć. Przy tobie odżyłam.

Zamilkła na chwilę.

- To co, że ludzie będą gadać? - podjęła. - Przez wiele lat patrzyli na mnie z politowaniem. Na brzydką starą pannę. Wolę dezaprobatę niż litość. - Odetchnęła głęboko i dodała: - Jeżeli mnie lubisz chociaż trochę, nie odwracaj się ode mnie.

- Jeśli cię lubię choć trochę ... - powtórzył uśmiechając się. Podniósł Janellen i posadził sobie na kolanach. - Uwielbiam cię tak bardzo, że aż serce mnie boli za każdym razem, kiedy o tobie myślę.

Wziął jej dłoń i gładził delikatnie, jakby bał się uszkodzić kruche kostki.

__ Janellen, ludziom nie spodoba się, kiedy zobaczą, że jesteśmy parą. Ja nie mam nic do stracenia ... żadnych pieniędzy, nazwiska, rodziny, przyjaciół ... Ale ty?

Janellen położyła palec na jego ustach.

- Nie mów tak, Bowie.

- Posłuchaj mnie, nie chcę cię skrzywdzić. Nie mogę nawet spokojnie o tym myśleć.

Ich twarze dotykały się niemal. Jego oczy patrzyły przenikliwie. Janellen wiedziała, że Bowie ma już na myśli co innego. Bał się zadać jej fizyczny ból.

- Chcę, żeby mnie bolało - szepnęła. - Chcę tego teraz.

Przytuliła się do niego lekko. Jęknęła, gdy czule ją objął. Oparła głowę na jego ramieniu, poddając się namiętym pocałunkom. Całowali się długo ...

Bowie gładził palcami jej policzek i szyję. Gdy dotknął jej piersi, a potem ujął ją całą dłonią, Janellen wyszeptala jego imię.

- Przysięgałem sobie, że tego nie zrobię - powiedział nagle. Janellen otworzyła oczy i wyprostowała się .

- O czym ty mówisz, Bowie?

- Że nie będę się z tobą pieprzyć - wyjaśnił. Widząc konsternację w oczach Janellen, dodał szybko:

- Chcę się z tobą kochać tak, jak trzeba, na łóżku z ładnie pachnącym prześcieradłem. W miejscu, które jest czyste i ciebie warto.

Janellen rozluźniła się i uśmiechnęła nieznacznie.

- To nie ma dla mnie znaczenia, Bowie - powiedziała.

- Ale dla mnie ma. Wciąż myślę, że nie zasłużyłem na ciebie. Nie chcę traktować cię, jakbyś była zwyczajną dziewczyną.

Janellen drżała zawiedziona, że Bowie przestał ją pieścić.

- Na pewno jesteś dziewczyną - powiedział i spojrzał jej w oczy.

Skinęła głową.

- Nie wiem dlaczego, ale cieszę się, że nie ubiegł mnie żaden facet. To dla mnie wielki zaszczyt. Chciałbym, żeby dla mnie to było też jak pierwszy raz. I w pewnym sensie tak będzie.

Janellen zaśmiała się i potarła palcami jego ramię. Bowie pocałował ją mocno, wnikając głęboko językiem do jej ust.

- Nie wiem, dokąd moglibyśmy pójść - powiedział po chwili niskim głosem.

- Może do twojej przyczepy - zaproponowała żywo. - Przyjdę tam dzisiaj po kolacji.

- To dobre miejsce dla mnie, ale nie dla ciebie.

- Bowie!

Uparcie pokręcił głową.

- To musi być coś specjalnego. Kiedy tylko coś znajdę, zaraz dam ci znać.

- Ale kiedy to będzie?

- Jeszcze nie wiem. - Jego oczy płonęły z pożądania. - Tak szybko, jak to możliwe.

- Do tego czasu możesz przychodzić do mnie każdej nocy, kiedy tylko mama położy się spać.

- Nigdy nie będę robił tego w domu twojej matki.

- Chodziło mi tylko o to, żebyśmy byli razem. Nie musimy tam ze sobą spać. Nie mogę zostawić mamy samej. Maydale nabrałaby podejrzeń, gdybym codziennie prosiła ją, żeby została do późna. Nie znalazłabym tylu wymówek. Jeżeli chcemy się spotykać, musisz przychodzić do mnie.

Bowie ściągnął brwi.

- Janellen, to igranie z ogniem. Jeśli na to pójdziemy, zdarzy się coś strasznego.

- Nic podobnego!

- Twoja matka może nas przyłapać ...

Bowie miał rację. Ale nawet obawa przed matką nie powstrzymałaby Janellen przed spotkaniem z nim.

- Będziemy bardzo uważać, dopóki nie poczujemy się gotowi, aby powiedzieć jej o wszystkim - odparła Janellen i uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Chciałabym oznajmić o tym całemu światu.

- Na twoim miejscu poczekałbym jeszcze trochę - odparł studząc jej zapal

- Wcześniej czy później coś może się zepsuć. Tak się zdarza.

- Z nami będzie inaczej.

- Janellen - Bowie dotknął jej szyi i zajrzał głęboko w oczy - czy jesteś tego pewna? Absolutnie pewna? Jeżeli o mnie chodzi... traktuję to cholemię poważnie.

- Życie bez ciebie byłoby piekłem. Kocham cię.

- Ja też cię kocham. Uwierzysz mi lub nie, ale nigdy jeszcze nikomu tego nie powiedziałem.

Pocałowali się znowu. Janellen błagała Bowiego tak długo, że w końcu obiecał przyjść do niej o północy.

*

Heather Winston w ogóle nie interesowała wojna secesyjna. Odłożyła na bok podręcznik historii Ameryki i oddała się rozmyśleniom o Tannerze Hoskinsie.

Miała dyżur w recepcji motelu "The Green Pine". Pracowała tam we wszystkie dni: tygodnia oprócz weekendów od siódmej do dziesiątej wieczorem. Nie było to ciężkie zajęcie. Heather mogła pozwolić sobie na odrabianie lekcji lub uczenie się do egzaminów. Rzadziej jednak widywała się z Tannerem. Oboje mieli sporo różnych zajęć. Spotykali się przeważnie w weekendy.

Heather wcale się to nie podobało, ale nie skarżyła się tak bardzo jak Tanner.

- Ostatnio twoja matka trzyma cię tak krótko - mówił. - Prawie nigdy ze mną nie wychodzisz.

Heather obawiała się, że Tannera szybko zmęczy taka sytuacja i poszuka sobie towarzystwa dziewczyny, która ma więcej swobody i może czasami nie wrócić do domu. Pewnego ranka przyłapała go, jak flirtował w szatni z Mimsy Parker. Wszyscy ich tam widzieli. Tego dnia, nim skończyły się zajęcia, cała szkoła już wiedziała, że Heather idzie w odstawkę.

Nie mogła na to pozwolić.

Tanner został ostatnio wybrany do samorządu uczniowskiego. W zeszły piątek strzelił podczas meczu dwie bramki. Był w tym roku najpopularniejszym chłopakiem w szkole. Heather nie zamierzała oddać go Mimsy Parker.

Kiedy obmyślała różne sposoby, jak zatrzymać Tannera przy sobie, przez drzwi wszedł mężczyzna, zdjął kapelusz i rozejrzał się.

- Dobry wieczór. W czym mogę panu pomóc? - spytała Heather.

- Witam, panno Winston.

- Pan mnie zna?

- Widziałem panią z rodzicami. Jestem Bowie Cato.

Heather nazwisko to obilo się kiedyś o uszy. Wiedziała, że Cato siedział w więzieniu, a teraz pracował u Tackettów. Poczula nagle strach. Może Bowie przyszedł ją obrabować? Przyglądał się jej w dziwny sposób. Siedziała sama w recepcji. Kelnerka i kucharz zatrudniony na pół etatu obsługiwali restaurację, ale pewnie nie poradziłby nic, gdyby Bowie Cato miał zamiar zrobić Heather coś złego.

- Może moja prośba wyda się dziwna ... - powiedział. - Przyjeżdżają do mnie krewni, ale moja przyczepa nie jest wystarczająco duża, żeby ich pomieścić. Szukam dla nich jakiegoś miejsca. Na noc lub dwie.

- Chętnie zarezerwuję pokój, panie Cato. Czy oni przyjeżdżają na najbliższy weekend?

- Nie, nie potrzebuję rezerwacji. To znaczy ... Nie wiem dokładnie, kiedy się tu zjawią. Jeszcze mi tego nie powiedzieli.

- Aha - odparła zakłopotana.

Bowie wyglądał całkiem nieszkodliwie. Chyba nie miał ze sobą broni. Ale przecież mógł ukryć pistolet w dzinsowej kurtce. Póki co, jej nie groził. Może dlatego, że przestraszył się czegoś.

- Kiedy będzie znał pan datę ich przyjazdu, niech pan zadzwoni i zarezerwuje pokój. O tej porze roku nie ma tłoku.

- Dobrze. - Bowie jakby się wahał, czy już odejść. Spojrzał niepewnie na broszury i mapę stanu zawieszoną na stoleżu stojącym na kantorku. - Właściwie ... zastanawiam się, czy mógłbym obejrzeć pokój. Jakiś najładniejszy ... Moi krewni są dosyć wybredni - dodał szybko.

Heather roześmiała się.

- Chce pan zobaczyć, czy nasze pokoje są wystarczająco eleganckie dla pańskich krewnych?

- Nie chciałem nikogo urazić, panno Winston - Bowie rozłożył ręce. Wyglądał tak rozbrajająco, że Heather natychmiast przestała się go bać - Ale oni tacy Obiecałem im, że zobaczą, jakie są warunki w motelu, i powiem im, zanim przyjadą.

Heather wstała i podeszła do szafki z kluczami.

- Najładniejszy jest apartament dla nowożeńców.

- To brzmi zachęcająco.

Heather postawiła na kantorze tabliczkę z napisem: "Wracam za chwilę" i uśmiechając się pod nosem, poprowadziła Bowiego w stronę szerokich szklanych drzwi. Pomyślała że prędzej wyrosną jej skrzydła, niż Bowiego odwiedzą jacyś krewni. Z pewnością planował schadzkę z jakąś swoją przyjaciółką. Ujęło ją, że Bowie tak się stara.

- Apartament znajduje się niedaleko basenu - oznajmiła, gdy szli korytarzem.

- Trochę teraz za zimno na pływanie.

- Ogrzewamy basen przez cały rok.

- Naprawdę? - Bowie spojrzał na wodę z powątpiewaniem.

- Oczywiście. Basen to duma mojego ojca. Matka namówiła go, żeby gozbudował, gdy powstało to nowe skrzydło. Ojciec wpadł na pomysł z ogrzewanie Apartament dla nowożeńców zaprojektowała moja mama. Może nie jest tak elegancko jak podobne w hotelach w Dallas czy Houston, ale wygląda całkiem przyjemnie. To tu .

Heather otworzyła drzwi, stanęła z boku i wpuściła Bowiego do środka. Przystanął na chwilę w progu.

- Jeżeli nie ma pani ochoty wejść ze mną, panno Winston, to chyba mogę rozejrzeć się sam.

Oczy Bowiego patrzyły tak pokornie i szczerze, że Heather weszłaby z nim nawet w ciemny zaułek, mając diamentową kulię na szyi.

- Pan pierwszy, panie Cato - powiedziała.

Apartament urządzono w kolorach zielonym i brzoskwiniowym. Składał się z pokoju i sypialni z podwójnym łóżkiem. Przy wielkiej wannie zamontowane urządzenia do masażu wodnego. Reszta wyglądała jak w każdym podobnym motelu Heather nie miałaby ochoty spędzić tutaj nocy poślubnej, ale sądziła, że prowincjuszom z Eden Pass apartament może się wydać luksusowy.

Bowie z rezerwą wysłuchał, jak Heather zachwalała uroki pokoju.

- Dokąd prowadzą te drzwi? - spytał wskazując na wyjście w jednej ze ścian sypialni.

- Na parking. Jeśli ktoś chce wynająć tylko sypialnię, wtedy zamykamy wejście do salonu.

- Rozumiem. To znaczy, że można wejść do sypialni prosto z parkingu, omijając recepcję i korytarz wokół basenu?

- Oczywiście - odparła Heather powstrzymując uśmiech. Więc pan Cato ma jakiś sekretny romans. - W sypialni stoi telewizor i magnetowid. Można przynieść własne filmy.

- Och, wątpię, czy będziemy oglądać ...

Bowie przerwał, gdy uświadomił sobie, że mówi o sobie. Zaczerwienił się po uszy i z trudem przełknął ślinę. Heather uśmiechnęła się, dając mu do zrozumienia, że nie zdradzi jego tajemnicy.

- Podobnie jak lekarze i prawnicy, pracownicy hoteli są bardzo dyskretni - zapewniała.
- No tak. Myślę, że zobaczyłem już wszystko, co chciałem. Dziękuję bardzo. Czy mogę wyjść przez te drzwi? - Podszedł do wyjścia prowadzącego bezpośrednio na parkingu.
- Zamknę za panem. Czy mam zrobić rezerwację? - spytała Heather.
- Nie, dziękuję, nie dzisiaj. Zawiadomię panią; kiedy będę znał datę. Dobrze?
- Oczywiście.

Wciąż onieśmielony Bowie założył kapelusz i pokiwał jej na pożegnanie. Heather zamknęła numer i wróciła do recepcji. Wyglądało na to, że nie zajął tam nikt podczas jej nieobecności. Nadal jednak nie mogła się skupić na wojnie secesyjnej. Jej myśli wciąż krążyły wokół Tannera. Powiedział jej, że dziś wieczorem będzie się uczył w domu. Czy przypadkiem nie kłamał?

Pod wpływem impulsu wykręciła numer jego telefonu. Gdy słuchawkę podniósł ojciec Tannera, spytała, czy może rozmawiać ze swoim przyjacielem, i poczuła wielką ulgę, gdy Ollie powiedział jej, że zaraz go zawiadomi.

- Cześć, to ja - oznajmiła. - Co porabiasz?
- Uczę się historii.
- Ja też, ale ciężko mi idzie. - Heather skręcała w palcach kabel od telefonu.
- Przepraszam, że nakrzyczałam na ciebie po lekcjach.
- Nic nie szkodzi - odparł bez przekonania.
- Wszyscy mówili, że ...
- Nie wierz we wszystko, co usłyszysz.

Odpowiedź wydała się Heather zbyt wymijająca. Dlaczego nie zaprzeczył plotkom i nie zapewnił jej, że Mimsy Parker go nie obchodzi? Tracę go - pomyślała przerażona. Wiedziała, że nie może na to pozwolić.

- Tanner, czy mógłbyś odwieźć mnie do domu o dziesiątej, kiedy skończę pracę? Proszę. Chciałabym się z tobą zobaczyć.
- Nie masz samochodu?
- Powiem starym, że mój nie chciał zapalić ... dlatego zadzwoniłam, po ciebie.
- Dobra, przyjdę.
- Świetnie. - Heather zerknęła na zegarek. - A więc zobaczymy się za pół godziny. Chyba że chcesz przyść zaraz i posiedzieć tu ze mną, zanim przyjdzie recepcjonista na nocny dyżur.
- Będę o dziesiątej.

Rozdrażniona Heather odłożyła słuchawkę. Ostatnie trzydzieści minut swojej zmiany poświęciła na staranne poprawienie makijażu. Odbicie w lustrze potwierdziło jej przypuszczenia. Może i Mimsy Parker miała piersi wielkości melonów, za to Heather mogła poszczycić się najładniejszymi włosami, oczami, olśniewającym uśmiechem i ciuchami z najlepszych sklepów. Jej biust też nie był najgorszy. Piersi Mimsy za parę lat z pewnością obwisną.

Heather poczuła się pewniej. Tanner bez wątplenia wciąż do niej należał. Chciała się tylko o tym upewnić.

Pryszczaty facet, który dyżurował w nocy, przyszedł parę minut wcześniej. Kiedy samochód Tannera zatrzymał się przed głównym wejściem, Heather udawała, że zajęta jest jeszcze jakimiś papierami na ladzie i rozmową z recepcjonistą. Kazała czekać na siebie całe pięć minut i dopiero wtedy wyszła z hotelu.

- Co za głupek! - wykrzyknęła zirytowana, wsiadając do samochodu. - Naprawdę! Ten facet ciężko myśli.
- Cześć - wychyliła się i pocałowała Tannera w policzek.
- Cześć - odparł.

Heather zachowywała się tak, jakby nigdy się nie posprzeczali, jakby Mimsy Parker w ogóle nie istniała. Paplała bez przerwy o szkole, nauczycielach i innych mało istotnych sprawach.

- Mam dostać jakiś nowy ciuch na zakończenie semestru. W sobotę pojadę z matką na zakupy do Tylera. Jeśli nic tam nie znajdziemy, wybierzemy się do Dallas w następny weekend. Masz szczęście, że nie musisz się martwić, w co się ubierzesz. Możesz założyć swój strój sportowy.

Heather przypomniała mu w ten sposób, że wybrano ją królową balu semestralnego.

Tanner powinien pisać z zachwytem, że będzie mógł jej towarzyszyć.

- Bardzo mi się podobaasz w zabłoconym stroju piłkarskim. I kiedy zdejmujesz kask i masz takie spocone włosy. Wyglądasz wtedy bardzo pociągająco. Robi mi się gorąco, kiedy o tym myślę.

Niby niechcący położyła rękę na udzie Tannera. Poczuła jego natychmiastową reakcję. Co za idiotka ze mnie - pomyślała - przecież seks to potęga. Matka Heather doskonale umiała to wykorzystać - szeptała tylko coś do ucha Fergusowi i patrzyła na niego uwodzicielsko, a potem mogła dostać od niego wszystko,

czego jej dusza zapragnęła.

Heather gardziła gierkami matki do czasu, gdy stała się wystarczająco dorosła, aby przejrzeć ich istotę. Może przyszła pora, aby się zmienić? Czuła, że robi wielkie wrażenie na facetach.

Na co w takim razie czekała? - zaczęła się zastanawiać. Dlaczego nie spróbować?

Teraz, kiedy nadarzyła się okazja. Każda kobieta zrobiłaby to na jej miejscu. Na przykład matka. Albo ta żdzira, Mimsy Parker. Jeśli Heather chciała zatrzymać przy sobie Tannera ...

- Stańmy tutaj - powiedziała nagle. Znajdowali się o przecnicę od jej domu.

- Chciałam chwilę z tobą pogadać.

Tanner zaparkował przy chodniku, wyłączył silnik i zgasił światła.

- O czym? - spytał.

Heather miała ochotę ztrzeć z jego twarzy wymuszony, ironiczny uśmiezek.

Zamiast tego uśmiechnęła się czarująco i przyłgnęła do niego.

- Właściwie nie chodzi mi o rozmowę.

Przywarła wargami do jego ust, szukając języka.

Tanner stracił na moment kontrolę, lecz szybko ją odzyskał. Po kilku pocałunkach poczuł erekcję.

Heather masowała go po udzie, przesuując rękę w górę i w dół. Sięgnął pod jej sweter i objął piersi.

- Co cię napadło? - spytał, z trudem łapiąc oddech i rozpinając jej stanik.

Mimsy Parker - odpowiedziała - w myślach Heather.

- Po prostu bardzo cię kocham - wyszeptwała.

Kiedy dotykał delikatnie jej sutek, objęła jego głowę i przyciągnęła do siebie.

- Tanner, posłuchaj, mam genialny pomysł.

Przedstawiając mu swój plan, wsunęła rękę w jego spodnie.

- Czy to nie brzmi wspaniale?

- Tak - odparł. - O Jezu ... Zaczekaj. Mam przy sobie prezerwatywę. Chcesz, żebym ...

- Nie, nie trzeba ...

- Szybciej, maleńka. O, tak. .. tak.

- Tanner, dotknij mnie ...

Heather rozchyliła uda i poprowadziła jego dłoń.

Skończyło się na wzajemnych pieszczotach. Potem Tanner podrzucił ją do domu.

Jego oczy wciąż płonęły, a twarz pokrywał rumieniec. Czuł się wdzięczny i na nowo oczarowany.

Heather odzyskała pewność siebie. Wchodząc po schodach pomyślała, że Mimsy Parker nie ma najmniejszych szans, by odebrać jej chłopaka.

W duchu dziękowała Bowiemu Cato, że podsunął jej tak doskonały pomysł. Znowu ona i Tanner stanowili parę.

23.

El Corazen del Diablo łaskawie uśmiechnął się do swoich więźniów. Zerknął na Keya, a następnie spoglądał dłużej na Larę. Ta osunęła się na kolana.

Po chwili podniosła się.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała. - Emilio ...

- Nie nazywam się już Emilio Sanchez Perón - warknął, a promienny uśmiech zniknął z jego twarzy. -

Przestałem być naiwnym idealistą, jak tylko rozpoczęła się rewolucja. Mam Stany Zjednoczone w głębokiej pogardzie.

Słowa młodego dowódcy nie spodobały się Keyowi. Jednak zrobił na nim wrażenie sposób, w jaki Emilio się wypowiadał. Mówił płynnie po angielsku, bez śladu hiszpańskiego akcentu. Nie używał tylko skrótów.

Brudna zasłona w drzwiach, na tle której stał Emilio, uwydatniała jego schludny wygląd. Był starannie ogolony i nieskazitelnie czysty. Czarne włosy miał gładko zaczesane i związane z tyłu w kucyk. Na nosie - okulary oprawione w cienkie, złote ramki. Wystające kości policzkowe i wąskie usta podkreślały zacięty wyraz twarzy.

Key miał do czynienia z różnymi podejrzanymi facetami na całym świecie. Nie mógł jednak sobie przypomnieć nikogo, kto wyglądałby bardziej przerażająco od Emili Sancheza. El Corazón był drobnej budowy, lecz jego lodowate spojrzenie świadczyło o niezwykłym okrucieństwie. Miał oczy węża.

- Jeżeli tak bardzo nienawidzisz Stanów Zjednoczonych, dlaczego pracowałeś w ambasadzie z moim mężem? - spytała Lara.

- Mogłem w ten sposób zdobyć wiele potrzebnych informacji

- Mówiąc innymi słowy, szpiegowałeś?

Emilio uśmiechnął się szeroko.

- Zawsze uważałem, że jesteś inteligentniejsza od swojego męża.
- Jak długo byłeś szpiegiem?
- Od samego początku.
- Ty łajdaku!

Partyzanci rozumiejący nieco angielski zaczęli szeptać między sobą. Uśmiech znowu zniknął z twarzy El Corazón.

- Już raz ledwo uszłaś z życiem - powiedział. - Po co tu wróciłaś?
- Przyjechałam, żeby odnaleźć zwłoki mojej córki. Chciałam zabrać je do Stanów.
- Przybyłaś na próżno.
- Teraz to wiem. Nienawidzę tych, którzy pochowali ją w tym ohydny dole. - W kąciakach oczu Lary zebrały się łzy, lecz nie była tego świadoma. - Niech Bóg was pokara.
- Nie uda ci się wezwać tutaj Boga. Od dawna już nie wysłuchuje próśb ludzi z Montesangre. Przestaliśmy w niego wierzyć.
- To dlatego bez żadnych skrupułów zabiliście ojca Geraldo?
- Tego pijaka? - spytał Emilio ponuro. Ricardo roześmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip. - Przeszłaś być potrzebna. Stał się tylko jeszcze jedną gębą do wyżywienia w głodującym kraju.
- A doktor Soto? Przecież mieliście z niego pożytek.

- Wysługiwał się także Escavezowi.

- Soto był lekarzem. Leczył ludzi bez względu na ich poglądy polityczne.

- To świadczyło o jego głupocie - odparł chłodno El Corazón. - Żyjąc na Montesangre trzeba dobrze wiedzieć, po czyjej stronie jest stronica. A przy okazji - powiedział zwracając się do Keya - zastanawiam się, jakie są twoje poglądy, Tackett. Żyjesz tylko dzięki mojej ciekawości.

- Moje życie to otwarta księga - odparł Key.

Strzegący go żołnierze pozwolili mu wstać. Poczul ostry ból w żebrach. Pewnie kilka z nich zostało złamanych podczas bitki na cmentarzu. Z głową było jeszcze gorzej. Rana już nieco przyschła, lecz cała czaszka pulsowała. Wysychający pot pozostawił słony osad wzmagający ból. Na domiar wszystkiego Key umierał z głodu.

- Pomagasz dziwce, która zrujnowała karierę polityczną twojego brata - powiedział Sanchez. - To dziwne. Co cię skłoniło do ryzykowania dla niej życia?

- Nie chodzi o nią, tylko o jej córkę. Wydaje mi się, że była dzieckiem mojego brata.

- Naprawdę? - El Corazón wyciągnął białą złożoną chusteczkę z tylnej kieszeni spodni i wytarł czoło. Też cierpiał z powodu upału.

Key pocieszył się, że nie on jeden znosi tu niewygodę. To podniosło go nieco na duchu.

- Teraz, kiedy wiem, co się stało z ciałem Ashley, całkowicie zgadzam się z opinią Lary o waszym kraju - oznajmił.

- To znaczy? - spytał Sanchez, starannie chowając chusteczkę do kieszeni.

- Montesangre to jeden wielki sracz, a El Corazón del Diablo to kawał gnojka.

Ricardo błyskawicznie wyciągnął pistolet z kabury i wymierzył lufę w Keya.

Sanchez leniwie podniósł rękę. Ricardo opuścił broń, ale wciąż patrzył na Keya zabójczym wzrokiem.

- Jesteś albo bardzo głupi, albo odważny - powiedział Emilio. - Wolę wierzyć, że nie brak ci odwagi.

Żaden tchórz nie ośmieliłby się przylecieć samolotem do mojego kraju bez pozwolenia. - Uśmiechnął się przeciągle. - Ale mimo twojego sprytu i bajek, jakich ksiądz nawciskał moim ludziom, kiedy zatrzymali was na drodze, dobrze wiemy, gdzie wylądowaliście i ukryliście samolot. Sam go nie widziałem, ale Ricardo powiedział mi, że to niezła maszyna. Dobrze wyposażona. Przyda nam się w dalszych walkach. Dziękuję, że nas wspomogłeś.

Key spojrzął na Larę. Gdy ich oczy się spotkały, wzruszył tylko bezradnie ramionami. Nie mógł się bronić. Nawet gdyby się dobrał do broni schowanej w futerale, partyzanci zdążyliby go zastrzelić. Potem zabiliby również Larę, a jej śmierć nie byłaby pewnie taka szybka i bezbolesna.

- Rozwiążcie im ręce.

Key otrząsnął się z czarnych myśli, słysząc rozkaz El Corazón. Ricardo wyraził swoje obiekcje, ale dowódca zgasił go szybko:

- Nie jesteśmy dzikusami. Dajcie im wodę i coś do jedzenia.

Ricardo przekazał rozkaz swoim podkomendnym. Partyzanci, brutalnie popychając Larę i Keya, posadzili ich na ziemi. Nadgarstki Keya były starte do krwi. Dłonie Lary wyglądały jak otwarta rana i mocno krwawiły.

Przyniesiono im gliniane miski z ryżem i fasolą. Potrawa zawierała też odrobinki mięsa niewiadomego pochodzenia. Key pomyślał, że lepiej nie wiedzieć dokładnie, co to jest. Młody chłopiec o ciele zwinnym i prężnym jak łodyga tropikalnego bluszczu przyniósł dzbanek z wodą. Key zaczął łapczywie pić. Gdy odstawił naczynie, zauważył, że Lara rzuciła porcję swojego jedzenia na ziemię i wylała wodę, którą jej podano.

- To bardzo dziecinne - powiedział El Corazón. Ktoś przyniósł mu krzesło.

Usiadł w cieniu werandy, dwie dziewczyny wachlowały go.

- Dziwi mnie, że zachowujesz się tak demonstracyjnie. Pamiętam cię jako kobietę, która okazuje niewiele emocji.

- Nigdy nie zaakceptuję waszej jałmużny po tym, co zrobiliście ojcu Gerald i doktorowi Soto.

- Jak sobie życzysz.

I znowu Lara spojrzała na Keya. Wzruszył ponownie ramionami, widząc, że teżuchwały gest nie znajdzie uznania w jej oczach. Należało się posilić, jeżeli chce zachować choć nikłą nadzieję na odzyskanie wolności.

Key nie miał tak sztywnych zasad jak Lara. Był o wiele bardziej praktyczny.

Współczuł jej. Chwilę potem jednak miał ochotę ją rozszarpać za to, że zmarnow wodę i jedzenie, których tak rozpaczliwie potrzebowała.

Na znak Sancheza kilku partyzantów wstało i zniknęło za chatą. Key dokoń , jedzenie i wypił resztkę wody. Żołnierze wrócili, prowadząc ze sobą mężczyznę i kobietę. Oboje mieli ręce związane za plecami.

Byli potwornie brudni. Cuchnęli potem i ekskrementami. Key poczuł mdłości. Mężczyzna miał rany na głowie. Zakrzepła krew posklejała mu włosy. Rysy twarzy zostały tak zniekształcone przez opuchlizny, sińce i skaleczenia, że nawet najbliższa rodzina miałaby kłopot z rozpoznaniem go.

Kobieta wyglądała jeszcze gorzej. Paru żołnierzy z obozu zaczęło gwiz -i wykrzykiwać hiszpańskie obelgi. Kobieta najwyraźniej została potraktowana wyjątkowo brutalnie. Znajdowała się na skraju obłędu. Patrzyła tępo przed siebie. Sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, co się wokół dzieje.

Sanchez wstał z krzesła stojącego w cieniu i podszedł do krawędzi werandy. Spojrzył ponad głowami ślaniającej się pary na Larę i Keya.

- Oboje zaniedbali obowiązki podczas pełnienia warty. Pieprzyli się. Z powodu ich głupoty oddziały Escaveza najechały na jeden z naszych obozów. Pokonaliśmy je w walce, ale zdążyły zabić dwóch moich żołnierzy.

- Por favor - wymamrotał mężczyzna spuchniętymi, bezbarwnymi wargami.

- El Corazón, lo siento mucho. Lo siento.

Kilka razy jeszcze powtórzył słowa przeprosin. Powiedział, że kobieta była jego narzeczoną. Kochali się od dziecka. Bardzo żałował, że naraził życie swoich towarzyszy.

- To dziwka - oznajmił spokojnie Sanchez. - Ostatniej nocy pieprzyła się z pięćdziesięcioma.

Mężczyzna zaszlochał. Błagał o litość. Przysięgał na grób matki i ojca, że nigdy już nie złamie rozkazu.

Padł na kolana i zaczął się czołgać. Zatrzymał się przed czubkami wypucowanych butów Sancheza i zebrał o łaskę.

- A więc przyznajesz, że twoja kobieta doprowadziła do śmierci dwóch towarzyszy?

Jesteś słabym, głupim rozpustnikiem. A ona jest kurwą, która pójdzie z każdym.

- Si, si. - Oskarżony gwałownie pokiwał głową. - To wszystko moja wina.

- Wyzwolenie Montesangre jest najważniejszą sprawą. Wszyscy musimy się poświęcić.

- Tak, tak, El Corazón.

- Mógłbym cię wykastrować.

Wypowiedziana spokojnym głosem groźba sparaliżowała mężczyznę. Rozpaczliwie zaczął błagać o litość. Mówił tak szybko po hiszpańsku, że Key ledwie go rozumiał.

- No, dobrze, dobrze - powiedział Sanchez - nie zrobię tego. Mężczyzna odetchnął z ulgą i zaczął dziękować ze łzami w oczach.

- Ale taka niedbałość musi zostać ukarana.

Mówiąc to Sanchez wyciągnął rękę jak chirurg po skalpel. Ricardo podał mu pistolet. El Corazón pochylił się do przodu, przytknął lufę do czoła mężczyzny i nacisnął spust.

Kobieta drgnęła odruchowo słysząc nagły wystrzał, ale wydawało się, że nie dostrzega rozpryskującego się mózgu i krwi swojego nieszczęsnego kochanka. Na znak El Corazón, Ricardo zszedł z ganku i podszedł do niej. Pociągnął ją za długie włosy i jednym zgrabnym ruchem podciął jej nożem gardło.

Upadła obok zwłok mężczyzny.

Key spojrzył na Larę. Siedziała nieruchomo i milczała. Podziwiał jej zimną krew.

Wiedział, że to przedstawienie było specjalnie dla nich. Jednak Lara, podobnie jak Key, nie dała El Corazonowi satysfakcji i nie okazała strachu.

Mogę być następny - pomyślał Key - ale ten cholerny łajdak nie zobaczy, jak błagam na kolanach o litość. Po obozie przeszedł pomruk. Nikt się nie poruszył. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby na coś czekali. Odciągnięto na bok dwa zmasakrowane ciała. Key poczuł, że na nim i Larze skupia się teraz cała uwaga. Egzekucje wrogów i zdrajców, podobne do tej, którą dzisiaj widzieli, były prawdopodobnie na porządku dziennym. Wzmacniały dyscyplinę i stanowiły przestrożę przed nieposłuszeństwem. Mieszkańcy obozu, nawet dzieci, przyzwyczaili się do tego. Amerykańscy więźniowie jednak byli czymś szczególnym i wzbudzali powszechne zaciekawienie.

Pierwsza odezwała się Lara:

- Emilio Sanchez Perón, byłeś inteligentnym młodym człowiekiem. - Jej głos brzmiał cicho, lecz docierał do wszystkich w obozie. - Mogłeś zostać wspaniałym przywódcą, który wydobyłby Montesangre z nędzy i zacofania. Zamiast tego cofnąłeś się w rozwoju, stałeś się tchórzliwym, samolubnym gnojkiem. Mówiłeś o wyzwoleniu z ucisku - mówiła dalej, obrzucając stojących dookoła ludzi pogardliwym wzrokiem - a przecież ci ludzie są najbardziej zniewoleni na całej Montesangre. Nie jesteś przywódcą, ale tyranem. Któregoś dnia twoi poddani będą mieli tego dosyć i nie okażą ci żadnej litości. Marnie skończysz. Tych, którzy znali angielski, zdumiała zuchwałość Lary. Pozostali wpatrywali się w twarz El Corazón. Stała się coraz bardziej purpurowa. Oczy błyszczały złowrogo.

- Nie jestem tchórzem - powiedział twardo. - Zabiłem generała Pereza, ponieważ stał się za miękki.

- Do licha! - mruknął pod nosem Key. Sanchez był uzurpatorem, o którym wspominał ojciec Geraldo. Zabił swojego dowódcę, aby przejąć władzę nad siłami rebeliantów.

- Tak - mówił dalej. - Widzę, że jesteś zdziwiona. Chcę, żebyście wiedzieli jak wielka jest moja determinacja, aby zostać jedynym przywódcą tego kraju. Zrobię wszystko, aby osiągnąć cel, chociaż czasami nie jest to zbyt przyjemne. - Spojrzał w dół na świeżo rozlaną krew, wysychającą w słońcu.

- Zwłaszcza gdy zabijasz swoich ludzi, patrząc im prosto w oczy - powiedziała Lara.

- Owszem - odparł i uśmiechnął się zadowolony z siebie. - Zwłaszcza wtedy. Co się tyczy zaś pułapki, w którą wpadł ambasador Porter ...

Lara drgnęła i pobladła. Nawet jej usta zrobiły się białe.

- A więc ty to zrobiłeś?

- Obmyśliłem tę akcję na rozkaz generała pereza. Znałem dobrze rozkład dnia ambasadora. Miałaś nie uczestniczyć w tym przyjęciu urodzinowym. Klóciłście się o to z ambasadorem. Nalegał, żebyś z nim poszła. Trzeba było postawić na swoim. To na niego polowaliśmy, nie na ciebie. Gdybyś została w ambasadzie, prawdopodobnie mógłbym wyciągnąć cię na zewnątrz, zanim nastąpił atak. Ale tak się nie stało. Było już za późno, żeby wszystko odwołać.

- Ashley ... - Key odgadł z ruchu warg, że Lara bezgłośnie wypowiada imię swojego dziecka. - Ashley ... - powtórzyła głośnie i nagle wrzasnęła: - Zabiłeś moją córkę!

- Nic podobnego - odparł Sanchez. - Stała się przypadkową ofiarą. W rzeczywistości nawet ją lubiłem. Nonszalancja, z jaką Emilio wypowiedział te słowa, doprowadziła Larę do szału.

Zerwała się nagle i zaczęła wymachiwać rękami jak obłąkana. Pilnujący jej strażnicy spodziewali się, że rzuci się na Sancheza. Nie brali pod uwagę innego obrotu wypadków.

Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, wyciągnęła magnum z torby porzuconej w piachu i wycelowała go w Sancheza. W okamgnieniu ponad dwadzieścia karabinów skierowało się w jej stronę.

- Nie! - krzyknął Key .

Zerwał się na nogi, rzucił ku Larze i powalił ją na ziemię. Omal nie stracił przytomności, gdy poczuł przeszywający ból w żebrach. Chciał jednak powstrzymać Larę przed szaleńczym czynem. Sanchez był ich jedyną nadzieją na ocalenie. Co za ironia losu. Jeśli Lara go zabije, oni także stracą życie. A tymczasem nadal tliła się nadzieja, że jakoś wydostaną się z Montesangre.

Lara walczyła z nim jak lew.

- Zostaw mnie! - krzyczała. - Zabiję go!

Podbiegło do nich kilku z żołnierzy. Odciągnęli Keya. Dziwił się, że nie zaczęli do nich strzelać. Po chwili zobaczył El Corazón i zdał sobie sprawę, że Sanchez prawdopodobnie ma na sobie kamizelkę kuloodporną. Wódz rebeliantów panował nad sytuacją.

- Zostawcie ją - powiedział.

Na dźwięk jego głosu partyzanci puścili Larę i odsunęli się na bok. Podniosła się szybko i wycelowała rewolwer zdumiewająco pewnym ruchem w Sancheza.

- Laro, nie! - syknął Key. Wyrwał się swoim strażnikom, lecz na próżno. - Na miłość boską, nie rób tego!

- Ona mnie nie zabije, Tackett - powiedział Sanchez z oczami utkwionymi w Larze.
- Nie doceniasz mnie, Emilio. W tej chwili jestem zdolna do wszystkiego. To twoja wina, że moje dziecko nie żyje. Zabiję cię. Nie obchodzi mnie, co twoja banda zrobi ze mną potem.
- Nie naciśniesz spustu. Nie stać cię na to. Jesteś lekarką, kimś, kto poprzysiągł ratować życie, a nie je odbierać. Nie możesz mnie zabić. To sprzeczne ze wszystkim, w co Wierzysz.

Ty cwany sukinsynu pomyślał Key. Sanchez był bohaterem dla swoich żołnierzy.

Narosła wokół jego osoby legenda, a ten mały łajdak dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Ryzykował, bo przecież Lara mogła pociągnąć za spust, ale uważał, że to niemożliwe. Zdążył poznać ją dobrze podczas wielu lat pracy w ambasadzie. Wiedział, jak bardzo poświęcała się leczeniu chorych. Wiedział też, że taka kobieta nie jest w stanie nikogo zabić.

- Ty gnoju! - wykrzyknęła. Łzy spływały po jej wykrzywionej twarzy, pozostawiając za sobą brudne smugi.

- To przez ciebie moje dziecko nie żyje! - Ale nie możesz mnie zabić.

- Wrzucili jej małe ciało do zbiorowego grobu i zasypali błotem ... Nienawidzę cię.

- Jeśli tak mnie nie znosisz, naciśnij spust - szydził. - Oko za oko. Masz okazję się zemścić.

Wcześniej Key nie chciał, by Lara zrobiła głupstwo. Gdyby strzeliła, zapłaciliby za to życiem. Po chwili jednak doszedł do wniosku, że tak czy owak pisana jest im śmierć. Niechże przynajmniej Sanchez podzieli ich los.

- No, Laro! - wykrzyknął Key. - Wypal mu prosto w parszywą gębę.

Lara zaczęła się okropnie trząść. Nawet gdyby strzeliła, pocisk minąłby pewnie cel.

Sanchez postąpił naprzód.

- Nie ruszaj się! - wrzasnęła. - Zabiję cię.

- Bzdura.

- Zrobię to. - Jej głos się załamywał.

- Niemożliwe.

Pewnym ruchem Sanchez wyciągnął rękę i chwycił rewolwer. Lara zakryła twarz dłońmi i zaczęła łkać.

Emilio, z lodowatym uśmiechem, przyłożył lufę magnum do czubka jej pochylonej głowy.

Key zamarł z przerażenia.

- Twoje uczucia są wzruszające, Tackett - rzekł Sanchez widząc jego reakcję. - Obawiam się, że ten przesadny szacunek dla ludzkiego życia przyczyni się w końcu do upadku Ameryki. Jesteście typowymi burżujami. Zależy ci na tym, aby ocalić życie dziwki twojego brata?

- Jeśli ją zabijesz, zginiesz - ostrzegł Key przez zaciśnięte zęby.

- Twoja groźba brzmi śmiesznie - odparł spokojnie Sanchez.

- Wrócę nawet z piekła, żeby cię dorwać.

Naraz Key wyrwał się żołnierzom. Kopnął jednego w kolano, gruchocząc mu staw.

Drugiego wyrznął w brzuch. Partyzant zgiał się wpół i upadł obok swojego towarzysza. Key wyrwał się do przodu, lecz znieruchomiał przerażony, widząc, jak Sanchez naciska spust.

Dopiero po chwili Key zdał sobie sprawę, że broń była nie załadowana. Poczował, jak miękną mu kolana.

Osunął się na piach.

Sanchez śmiał się rozbawiony.

- Nie jestem głupcem, Tackett. Wyciągnięto naboje z rewolweru, gdy tylko znaleziono go w futerale.

Straszni z was amatorzy.

Wrzucił broń z powrotem do torby, potem znowu wyciągnął chusteczkę z kieszeni i wytarł ręce.

- Jak miło, że dostarczyliście nam tak świetnej rozrywki.

- Ty pieprzony sukinsynu! - Key poderwał się na nogi i podbiegł do Lary. Nikt nie próbował go zatrzymać.

Potraktował to wręcz jako obelgę. Najwyraźniej nikt się go tu nie obawiał.

Jak bardzo się mylili.

Zdarzyło mu się już wpadać w furję. Brał udział w bijatykach, rozwałkał meble. Ale nigdy jeszcze nie miał ochoty wysłać kogoś na tamten świat.

Aż do tej chwili.

Gdyby tylko mógł, rozerwałby Sancheza gołymi rękami. Miał ochotę zatopić zęb. w jego gardle, poczuć w ustach smak jego krwi. Było to dzikie, zwierzęce uczucie. Nigdy nie sądził, że może czegoś podobnego doświadczyć. Przerażała go intensywność tych doznań.

- Dlaczego po prostu nie zabijesz nas i nie skończysz z tym wszystkim? - zapytał.

- Nie mam zamiaru was zabijać.

- Chcesz nas tutaj trzymać w nieskończoność? Po co? Żeby każdego ranka robić sobie z nas przedstawienie?

Sanchez uśmiechnął się.

- To kusząca perspektywa, ale nie mogę być tak samolubny. W rzeczywistości zamierzam was uwolnić. Wróćcie do Ciudad Central i dostaniecie pokój w najlepszym hotelu. Jutro w południe polecicie samolotem do Bogoty. Stamtąd udacie się, dokąd zechcecie.

Key zerknął na niego podejrzliwie.

- I co dalej?

- Postaram się, aby media dowiedziały się o waszej nielegalnej wizycie na Montesangre. Kiedy dotrzecie do Stanów Zjednoczonych, przekazecie waszym władzom wiadomość ode mnie.

- Wiadomość? - powtórzyła Lara. Przestała płakać. Key objął ją ramieniem.

- Powiecie światu, że nic nie powstrzyma mnie przed objęciem rządów w tym kraju. Prezydent Escavez nie ma ani wystarczającej siły wojskowej ani odwagi, ani też poparcia społecznego, aby mnie pokonać. Jego władza należy do przeszłości. Za parę miesięcy jego słabnące oddziały zostaną całkowicie rozgromione. Pod koniec roku zamierzam powołać rząd w Ciudad Central.

- Skąd wiesz, że Stany Zjednoczone w ogóle obchodzi ten kraj i twój zasrany rząd? Sanchez odstąpił swoje małe, ostre zęby w szyderczym uśmiechu.

- Moi rodacy bardzo potrzebują żywności i lekarstw. Chciałbym na nowo nawiązać stosunki dyplomatyczne ze Stanami.

- Pewnie, że chciałbyś. Ale to marzenie ściętej głowy.

- Mógłbym zwrócić się z tą prośbą do kilku krajów Ameryki Południowej. Poszukują terenów, przez które mogłyby przerzucać narkotyki na północ. Policja na Montesangre torpedowała ich kombinacje, ale nadeszły ciężkie czasy.

- Chcesz powiedzieć, że teraz wszystkie środki są dozwolone, czy tak? Sanchez znowu wyszczerzył zęby.

- Musicie wziąć pod uwagę całą sytuację. Montesangre leży między Ameryką Południową a Stanami Zjednoczonymi, a handlarze chętnie dobrze zapłacą za udogodnienia.

Key pomyślał, że lądowisko, na którym zakończyli swój lot, zbudowano specjalnie dla partyzantów.

Wyznał kiedyś Larze, że nigdy nie próbował brać narkotyków. Mówił wtedy prawdę. Choć czasem trochę go ciągnęło ... jak wszystko, co zakazane.

Jednak myśl o popieraniu łobuzów, którzy za pomocą narkotyków wciągali młode dziewczyny i chłopców w prostytucję, klóciła się z jego zasadami. Wbrew temu, co większość ludzi o nim sądziła, nie był całkowicie pozbawiony sumienia.

- Skąd pewność, że ktokolwiek posłucha mnie lub Lary? - spytał.

- Wasza wizyta na Montesangre zostanie dokładnie zrelacjonowana w mediach. Nawet jeśli władze będą kręcić głową na wasze poczynania, wszyscy będą chwalić was za odwagę. Opinia publiczna stanie po waszej stronie. Oczy wszystkich zwrócą się na was. - Jeśli nadarzy się okazja, przekażę twoją wiadomość - zgodził się Key.

- To jeszcze nie wszystko, Tackett. Musisz dać mi swoje słowo.

Key nie miał najmniejszego zamiaru mieszać się w politykę Montesangre, nawet na odległość. Wolałby zapomnieć o tym cholernym kraju, gdy tylko wraz z Larą wydobędzie się stąd cało. Ale póki co, mógł obiecać Sanchezowi wszystko, czego tamten sobie życzył.

- Dobra. Masz moje słowo.

- Emilio, będziesz się smażył w piekle - odezwała się Lara po raz pierwszy od dłuższego czasu.

- Znowu te brednie - odparł kpiąco.

- O, nie, piekło istnieje. Byłam tam. Tego dnia, gdy porwano mojego męża i zabito moją córkę, a także ostatniej nocy, kiedy zobaczyłam, gdzie została pochowana.

- Rewolucja wymaga ofiar.

- Rewolucja - parsknęła Lara. - Co za bzdura! To nie jest żadna rewolucja, lecz terroryzm. A ty nie jesteś żołnierzem, ale bandytą. Nie masz za grosz honoru.

Wśród Montesangryjczyków honor był świętością. Key bał się, że Lara przeciągnęła strunę znieważając Sancheza w obecności zgrai jego zwolenników. Wstrzymał oddech sądząc, że El Corazón cofnie swoją obietnicę. Wódz jednak stanowczo rozkazał, by zabrano ich z powrotem do Ciudad Central.

Key nie zamierzał zwlekać. Wskoczył na ciężarówkę i pomógł wsiąść Larze. Tym razem nie związano im rąk. Partyzanci wrzucili za nimi futerał z aparatem, torbę z ubraniami i podróżną apteczkę Lary. Dwóch żołnierzy przysiadło na brzegach odkrytej platformy.

Key usiadł i oparł się o burtę ciężarówka. Przywołał do siebie Larę.

- A co z resztą? - spytał szeptem. - Czyżby Sanchez wysłał tylko dwóch ludzi do pilnowania nas?

- Na to wygląda.

Silnik zawył. Ruszyli. Patrzyli na oddalający się obóz. Emilio Sanchez Perón - przerażający El Corazón del Diablo - siedział na ganku zniszczonej chaty i rozmawiał ze swoimi podkomendnymi, podczas gdy dwie powabne młode dziewczyny zaczęły wachlować go na nowo.

- Drań - syknęła wściekła Lara. - Myśli, że już mu nie zagrażamy.

Key ujął Larę za podbródek i odwrócił jej twarz w swoją stronę.

- A jak jest naprawdę?

Zamyśliła się i wolno potrząsnęła głową. Łzy zaczęły spływać jej po policzkach.

Nic mu nie zrobimy. Nawet gdybym była w stanie go zabić, to i tak nie przywróciłoby to życia ojcu Geraldo, doktorowi Soto, Randallowi czy Ashley.

Key otarł łzę z jej warg.

- Nie, nie przywróciłoby.

- Zostałabym morderczynią, gdybym zastrzeliła Sancheza.

- Laro, nie miałem jeszcze okazji powiedzieć ci, jak bardzo mi przykro..., że odkryliśmy ostatniej nocy ...

Lara kiwnęła tylko głową ze zrozumieniem. Nie miała siły mówić. Ogarnęło ją śmiertelne zmęczenie.

Zamknęła oczy i oparła się o burtę ciężarówki. Zaczęła wolnie oddychać i niemal natychmiast zasnęła. Jeden ze strażników podszedł, by zawiązać im opaski na oczach.

- Odwal się, kolego - powiedział Key. - Idziemy spać. Nie mamy ochoty oglądać waszych gównianych krajobrazów.

Partyzant zamienił parę słów ze swoim towarzyszem. Tamten wzruszył obojętnie ramionami. Schowali opaski, przykucnęli i zapalili papierosa.

Mimo bólu w żebrach Key objął Larę ramieniem, by nie obijała sobie głowy o żelazne pręty ciężarówki, i ułożył się obok. Lara odwróciła się i przylgnęła do jego ramienia.

Jeden z żołnierzy zrobił wulgarną uwagę, widząc jak opiera udo o biodro Keya.

Drugi roześmiał się, łypiąc na leżącą parę.

Key, zanim zasnął, pokazał im gestem, gdzie ich ma.

24.

O zachodzie słońca zajęchali do hotele. Kiedyś był bardzo wytworny, lecz - jak wszystko w Ciudad Central - ucierpiał z powodu wojny. Lara niegdyś chodziła na przyjęcia i bankiety, które urządzano w tutejszej sali balowej. Teraz obsługa hotelu zachowywała się grubiańsko, przypominając nieokrzesanych żołdaków.

Po wielu męczących godzinach spędzonych w trzęsącej się ciężarówce Lara poczuła wielką ulgę. Nie zwracała uwagi na warunki panujące w hotelu. Bez żadnych formalności zostali zaprowadzeni do pokojów na drugim piętrze.

Korytarze świeciły pustkami. Na piętrze, na którym się znaleźli, panowała zupełna cisza. Lara przypuszczała, że ta część budynku została przeznaczona dla specjalnych gości - prawdopodobnie wszyscy tutejsi penitencjariusze znajdowali się pod specjalnym nadzorem.

- Senora Porter - portier wręczył Larze, a potem Keyowi klucze do pokojów.

- Mam nadzieję, że będzie państwu wygodnie.

Biorąc pod uwagę okoliczności, jego gościnność była groteskowa. Ukłonił się, po czym wraz z dwoma żołnierzami odszedł w stronę windy, do której wsiadł sam. Rebelianci stanęli przy schodach. Zapasowych wyjść po obu stronach korytarza także pilnowała straż.

Lara otworzyła drzwi do swojego pokoju. Key wszedł za nią. Pomieszczenie było czyste, lecz duszne.

Przez otwarte drzwi Lara zobaczyła różowe kafelki w łazience i plastikową zasłonę prysznica w nieokreślonym kolorze. Postawiła torbę na podłodze i zatrzymała się na środku pokoju, zbyt przygnębiona, by zrobić następny krok.

Key przystanął obok. Przyjrzała mu się uważnie. Był sponiewierany i zmęczony.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć rany na jego skroni, lecz po chwili opuściła ją.

Key cicho wymówił jej imię. Przyglądali się sobie nawzajem.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak - głos Lary brzmiał ochryple.

Sanchez, zabójca Ashley, nie okazał skruchy. Pozostał bezwzględny szydercą.

Wspomnienia spowodowały, że oczy Lary wypełniły się łzami. Pochyliła się ku Keyowi i potrząsając smutno głową powiedziała:

- Nie, nic nie jest w porządku. Moje dziecko nie żyje. Straciłam je na zawsze.

Objął ją opiekuńczym gestem.

- Cicho ... nie płacz. Sanchez już nigdy cię nie skrzywdzi. Jesteśmy bezpieczni. Lara nagle mocno zapragnęła w to uwierzyć.

Przygłęła do piersi Keya i wbiła się w nią palcami. Rozpaczliwie chciała go dotykać i czuć jego dotyk. Key pragnął tego samego.

Unióśł dłonią jej głowę i nachylił się. Tłumione dotąd pożądanie doszło do głosu.

Zaczęli się gorączkowo całować.

Ciało Lary naprężyło się. Objęła rękami szyję Keya. On niecierpliwie zaczął rozpinać guziki jej bluzki. Odknął jej stanik i objął piersi. Silnymi palcami pieścił jej ciało.

Lara wciąż powtarzała jego imię - raz brzmiało ono jak pytanie, innym razem jak modlitwa.

Key pochylał głowę i wziął w usta jeden z jej sutków. Poddała się całkowicie pieszczotom.

Potem wyprostował się i spojrzął na Larę płonącymi, błękitnymi oczami. Ściągnął brwi nad prostym, wąskim nosem. Jego usta tworzyły czerwoną linię na zarośniętej twarzy.

Lara pragnęła Keya jak jeszcze nikogo przedtem. Broniła się jednak przed jego namiętnością.

- Nie chcę być jedną z kobiet Keya Tacketta - powiedziała.

- Owszem, chcesz. Dzisiaj na pewno tego chcesz.

Zaniósł ją do łóżka i położył na poduszkach. Nie pomylił się - przytuliła się do niego mocno, gdy ułożył się obok. Jego usta były słone od potu i lekko spierzchnięte, lecz Lara nie mogła się nimi nasycić.

Key ściągnął z niej bluzkę i stanik i pieścił jej piersi. Drażnił lekko sutki palcami, aż stały się twarde i tak czułe, że najdelikatniejsze dotknięcie powodowało, że Lara prężyła się jak kot.

Nie zrobiła nic, aby powstrzymać Keya, gdy rozpinał, a potem zdejmował jej spodnie i majtki. Pomogła mu się rozebrać.

Wszedł w nią.

A ona go przyjęła.

Był niewiarygodnie twardy. Ona zaś wilgotna i gorąca. Key podniósł głowę i patrzył na jej rozpaloną twarz. Czowała ciepło na policzkach, słyszała swój krótki, nierówny oddech. Wpatrywał się w jej oczy, gdy wchodził w nią głębiej. Lara przygryzła dolną wargę, aby nie krzyczeć.

Na twarzy Keya pojawił się grymas rozkoszy.

- O Chryste. Fantastycznie! - powiedział.

Zaczął się znów poruszać. Lara uniosła biodra, by wszedł w nią jeszcze głębiej. Traciła niemal oddech.

Drżała z podniecenia.

Czekał na nią. Kiedy przeżywała orgazm, zanurzył palce w jej włosach i obejmując jej głowę, pocałował ją w usta.

Krzyczała długo i głośno. Key nie mógł już dłużej czekać. Osiągnął szczyt i przygryzł skórę na jej szyi.

Wiele minut leżeli potem w ciszy i bezruchu.

*

W końcu wstali z łóżka i przenieśli się do pokoju Keya. Ich brudne ubrania i zabłocone buty leżały w nieładzie w sypialni Lary. Ignorując ciekawe spojrzenia strażników przeszli przez korytarz. Numer Keya wyglądał podobnie jak ten Lary, tylko kafelki w łazience były turkusowe, a zasłonę prysznicza zdobił barwny wzorek.

Zdjęli ubrania i poszli wziąć prysznic. Miast ciepłego tuszu popłynął letni rdzawy strumień. Dostrzegli maleńkie kawałki mydła zapakowane w zielony celofan. Zużyli aż trzy, by zmyć z siebie brud.

Woda stawała się coraz chłodniejsza. Lara obejrzała ranę na skroni Keya i powiedziała, że należy ją zszyc.

- Nie - odparł. - Nie umrę od tego.

Dotknęła jego obolałych żeber. Któreś z nich mogło zostać złamane. Key nie chciał nawet słyszeć o bandażu.

- Nie znoszę bandaży. Czuję się w nich jak zmumifikowany faraon.

Przeczesał palcami włosy na piersi Keya, Lara powiedziała, że jest niemądry.

Ujęła w dłoń jego genitalia.

Key czule całował bliźnię na jej ramieniu. Dziwił się, czemu próbowała ją ukrywać.

- To niewielka blizna w porównaniu z moją - powiedział.
Pokazał jej dużą czerwoną szramę biegnącą od kolana lewej nogi aż po pachwinę. Lara przejechała po niej palcami.

- Co ci się stało? - spytała.
Key opowiedział jej o wypadku samochodowym, z którego wyszedł z roztrzaskaną kołczyzną. To zaprzepaściło jego sportową karierę.

- Czy byłeś bardzo rozczarowany? Czy pragnąłeś zostać sportowcem?
- Jody tego chciała. Znowu darłem z nią koty. Ale po wypadku ... - Key potrząsnął głową. - Wolałbym nie rozmawiać o Jody.

Key dotykał Lary i poddawał się jej pieszczotom. Był czuły i zmysłowy bardziej, niż się spodziewała. Pomyślała, że pewnie to wszystko jej się śni. Anijej były mąż, ani Clark nie działali na nią w ten sposób. Kiedy wreszcie wyszli z łazienki i wyjmowali z torby czyste ubrania, ktoś zapukał do drzwi.

- Czego? - spytał Key szorstko.
- Tengo la comida para ustedes.
Zaciekawiony Key otworzył drzwi. Ujrzał żołnierza trzymającego zastawioną tacę.
- Gracias - odparł Key. Wziął tacę z jedzeniem, zatrzasnął żołnierzowi drzwi przed nosem i zamknął je na łańcuch.

Postawił posiłek na stole.

- To chyba lepsze zarcie niż te pomyje w obozie Sancheza.
- Może zatrute? - Lara podeszła do stolika, rozczesując szczotką mokre włosy
- Wątpię. Gdyby Sanchez chciał nas zabić, nie uczyniłby tego w tak subtelny sposób. Zrobiłby z tego widowisko.

Na tacy znajdowały się owoce i różne gatunki sera, zimny pieczony kurczak i woda w butelkach. Key podniósł widelec z talerza i bez większego namysłu wbił go w mięsiste udko.

- Zastanawiam się, dlaczego nas uwolnił - powiedział.
- Rzeczywiście, to dziwne - odrzekła Lara obierając pomarańczę.
- Cholemie. Wszystkiego mogłem się spodziewać, ale nie tego. - Key zatoczył widelcem koło. - Może nie jest to "La Plaza", ale zawsze lepsze niż bambusowa chata z glinianym klepiskiem.
Przeżuł dokładnie kawałek mięsa.

- Niewiarygodne. Darował nam życie po to, żebyśmy przekazali jego wiadomość do Stanów. To nieprawdopodobne. Gdyby chciał zakomunikować coś naszym władzom, posłużyłby się kimś bardziej wpływowym niż my. - Key odłożył na bok kostkę kurczaka i otworzył butelkę z wodą. - Laro, dlaczego on nas nie zabił?
Odsunęła od ust pomarańczę, jakby straciła apetyt.

- Nie wiem.
Podeszła do okna, odchyliła zasłony i wyjrzała na ulicę.
- Pomarańcze dobrze ci zrobią. Nie jadłaś cały dzień.
Spojrzała niechętnie na stół.
- Nie chcę od Sancheza niczego.
- Nie wygłupiaj się. Powinnaś coś zjeść.
- Naprawdę nie jestem głodna, Key. - W głosie Lary zabrzmiało zniecierpliwienie. - Próbuję uporządkować sprawę.
- Jakie sprawy?
- Wszystko, co wydarzyło się tutaj trzy lata temu. Z Randallem i Ashley. Gdybym myślała tylko o tym zbiorowym grobie, w którym została pochowana, oszalałabym. - Zaciśnęła dłoń na zasłonie. - Dlatego przywołuję wspomnienia z czasów, gdy Ashley jeszcze żyła. Chcę zapamiętać ją jako szczęśliwą, pogodną dziewczynkę. Dała mi tyle radości. Zachrypnięty głos Lary zaczął drżeć. Przerwała na chwilę, by zebrać się w sobie. - Straciłam córkę, ale przechowuję w sercu wspomnienia o niej. Jej duch wciąż żyje. Dlatego myślę, że wcale nie przyjechaliśmy tu na próżno.
- Musiałaś tu wrócić, aby uświadomić sobie wszystko - rzekł Key. Lara skinęła głową.
- Tak. Tamten epizod, który zaczął się od skandalu, zalegał mi w głowie stanowczo zbyt długo. Miałam do wszystkich pretensję, że kojarzą mnie z sensacyjnymi artykułami w szmatławych gazetach, ale sama byłam temu winna. Nie mogę wciąż uważać siebie za ofiarę. Czas zacząć nowe życie.
- W Eden Pass?
- Tam nic mi nie wychodziło - odparła zwracając się twarzą do Keya.
- To my, Tackettowie, sprawiliśmy ci cholemie dużo kłopotów.

Lara nagle odwróciła wzrok.

- Key, dlaczego to wydarzyło się między nami? - spytała.

- Co? Masz na myśli kłótnie czy to drugie?

- To drugie.

Key wziął głęboki oddech. Nie odzywał się przez parę chwil. W końcu rzekł: - Ty jesteś lekarką. Pewnie masz jakąś teorię.

Lara lekko wzruszyła ramionami.

- Ludzie, którzy wyszli cało z jakiegoś niebezpieczeństwa - zaczęła powoli - często potem mają ochotę na seks. - Uniosła jedną brew, jakby nie była

do końca pewna tego, co mówi. - To pewnie można jakoś wytłumaczyć. Seks wyzwala emocje, jest afirmacją życia. Znałam ludzi, którzy wyznali mi ze wstydem, że kiedyś kochali się zaraz po powrocie z pogrzebu. Z niezwykłą pasją. Ludzie czują strach przed śmiercią. Seks oznacza życie, przetrwanie. Po ciężkich doświadczeniach ostatnich dni daliśmy w łóżku upust naszym tłumionym emocjom. Stanowimy klasyczny przykład pewnego zjawiska psychologicznego.

Key uprzejmie wysłuchał słów Lary. Potem podszedł do niej tak blisko, że musiała przekrzywić głowę, aby spojrzeć mu w twarz.

- Bzdury - powiedział. - Kochaliśmy się, ponieważ tego chcieliśmy. - Pocałował ją. - Po co się usprawiedliwiać?

Ubrania, które założyli na siebie tak niedawno, zrzucili po drodze do łóżka. Key usiadł i przyciągnął Larę do siebie. Uniósł jej pierś do swoich ust i drażnił sutek językiem.

Lara zamknęła oczy i wzdychała lekko. Zanurzyła palce w jego włosach, pozwalając mu poruszać głowę, gdy całował jej piersi, a potem brzuch. Broda Keya lekko laskotała jej skórę i podniecała ją.

Key położył ręce na jej pośladkach i przycisnął ją do siebie. Całował jej pępek i delikatną skórę na brzuchu.

Potem położył Larę na plecach na łóżku i zanurzył głowę między jej uda. Całował ją zmysłowo. Jego usta lekko ją ssaly, a język uczył rzeczy, jakich nigdy nie znała. T jakby przeniknął jej myśli. Wiedział dokładnie, gdzie jej dotykać i jak, kiedy się wycofać i kiedy pieścić ją koniuszkiem języka.

Czuła się zaspokojona, nim położył się na niej.

Była spocona i odurzona tym, co przeżyła. Jednak jej rozchylone usta ożyły na nową za sprawą gorączkowych pocałunków Keya. Kiedy wszedł w nią, wszystko zaczęło się od początku.

*

Key delikatnie przejechał palcami po szramie na ramieniu Lary.

- To musiało boleć, prawda?

- Tak, bardzo. Przez jakiś czas lekarze sądzili, że będę miała wyjątkowe szczęście, jeśli choć częściowo odzyskam władzę w ramieniu.

- O ile cię znam, chciałaś udowodnić, że się mylili.

- Gdy rana się zagoiła, przez wiele miesięcy chodziłam na terapię.

Przyglądał się jej przez chwilę.

- Laro, powinnaś przestać winić się za to, że nie zginęłaś razem ze swoją rodziną.

- Myślisz, że to robię?

Lara podparła się na łokciu i patrzyła na jego smukłe nagie ciało. Oprócz blizny na nodze miał także liczne szramy na piersi.

- A co z tobą? Jesteś lekkomyślny. Sam narażasz się na niebezpieczeństwa. Za co chcesz siebie ukarać?

- Mówiłem o czym innym - odparł. - Ja po prostu lubię ryzyko. To wszystko .

Lara spojrzała na niego z powątpiewaniem. Dostrzegła jeszcze jedną bliznę, biegnącą od żeber po prawą pachę.

- Od walki na noże - wyjaśnił widząc jej zdumione spojrzenie.

- Czyżbyś przegrał?

- Przeciwnie. Okazałem się lepszy.

- A to? - pokazała inną zaleconą ranę.

- Wypadek w samolocie. Wyszedłem cało, ale kawałek kadłuba poszarpał mi rękę.

Larę zdumiewała jego nonszalancja.

- Czy prócz dzisiejszego dnia otarłeś się kiedyś o śmierć?

- Raz.

- Opowiedz mi o tym.

- Dostałem kulkę. Tutaj. - Pokazał bliznę na boku, którą Lara opatrzyła podczas ich pierwszego spotkania. - Wykrwawiłem się prawie na śmierć.
Śmiejąc się Lara odrzuciła włosy za ramię.
- To było większe niż skaleczenie, ale nie wyglądało na śmiertelną ranę.
- Wiem, ale nie o to mi chodzi - odparł. - Wyobraź sobie, przywlokłem się do doktora Pattona, ale zamiast niego spotkałem tam kobietę.
Lara czuła się jak zahipnotyzowana, patrząc w jego oczy i słuchając zniewalającego głosu.
- I wtedy twoje życie znalazło się w niebezpieczeństwie? - spytała .
- Odwróciłem się, spojrzałem na nią i pomyślałem: Cholera, Tackett, już po tobie.
Lara z trudem przełknęła ślinę.
- Key, jesteśmy dorośli. Za starzy na odgrywanie szopki. Nie oczekuję od ciebie czerwonych serc i kwiatów. Nie musisz udawać ...
Key położył palec wskazujący na jej ustach.
- Nie mówię tego po to, żeby zaciągnąć cię do łóżka. Już w nim jesteśmy i już się z tobą przespałem. Mówię prawdę i wiesz o tym równie dobrze jak ja. Jesteśmy tutaj razem, ponieważ pragnęliśmy tego od samego początku. Oboje wiedzieliśmy, że to tylko kwestia czasu.
Wyciągnął rękę i pogłaskał Larę po policzku .
- Miałem na ciebie ochotę już w chwili, gdy zobaczyliśmy się pierwszy raz.
- Aż do czasu, kiedy dowiedziałeś się, kim jestem ... ?
- Chciałem przespać się z tobą mimo wszystko. - Key przyciągnął ją do siebie. - I niech mnie diabli, wciąż tego chcę.

*

Wyciągnął rękę w stronę Lary, gdy wstała z łóżka i zaczęła zbierać swoje ubrania.
- Dokąd idziesz? - spytał zaspanym głosem.
- Do mojego pokoju.
- Po co?
- Wziąć kąpiel.
- Tutaj też jest wanna.
- Ale zużyliśmy całe mydło. Poza tym chcę spakować swoje rzeczy, żebym była gotowa, gdy przyjdą zabrać nas na lotnisko - odparła Lara ubierając się pośpiesznie.
- Która godzina?
- Dziewiąta.
- Dziewiąta! Spalimy tak długo? - Key usiadł i przeczesał palcami zmierzwiłone włosy.
- Nie musisz wstawać. Mamy jeszcze sporo czasu do południa.
- Wstanę. Dobrze będzie, jeśli ta banda łajdaków nie wymyśli żadnego powodu, by opóźnić nasz wyjazd. Wezmę prysznic i zobaczę, czy nie mogliby przynieść trochę kawy. - Spakuję się do tego czasu. - Lara uśmiechnęła się, sprawdziła, czy ma klucze do swojego pokoju, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Key jednak wcale nie zwał się natychmiast z łóżka. Położył się z powrotem na plecach i zapatrzył się w sufit. Ostatniej nocy Lara wyznała mu coś bardzo osobistego. Nie był tak bezpośredni jak ona i nie zwierzył się ze swoich rozterek.
Aby uspokoić sumienie, Lara wymyśliła jakąś psychologiczną teorię na wyjaśnienie faktu, że poszła z nim do łóżka. Key wątpił jednak, czy naprawdę w to wierzyła. Jego zdaniem pożądanie nie potrzebowało analiz czy logicznych usprawiedliwień. Rodziło się spontanicznie.
Zastanawiał się, co właściwie czuje do Lary.
Z żadną kobietą do tej pory nie doznał takiej rozkoszy. Z Larą pasowali do siebie idealnie. Mieli podobny temperament. Po tym, co wyczytał o niej w gazetach, nie spodziewał się, że będzie miała tak swobodne podejście do seksu. Na wspomnienie ich miłosnej nocy poczuł ciepło w łędźwiach. Kochali się długo, lecz wciąż czuł się niezaspokojony. Pragnął jej coraz bardziej.
To także dziwiło go i niepokoiło. Zwykle uwodzenie kobiety sprawiało mu największą przyjemność. Gdy już ją zdobył, jej urok szybko zniknął. Lara zaś stała się jeszcze bardziej intrygująca. Miał ochotę poznać jej zagadkowe myśli i uczucia. Porównywał często kobiety do żyletek. Gdy się stępiły, wyrzucał je i zastępował nowymi. Lecz Larę chciał wciąż mieć przy sobie.
Nie była wcale taka skora do spełniania jego zachcianek.
No właśnie. Teraz doszedł do sedna swoich obaw. Lara nie należała do niego.
W dodatku gdyby sprawy potoczyły się inaczej, wciąż mogłaby pozostawać związaną z jego bratem. Clark miał ją pierwszy.

Ta myśl nie dawała Keyowi spokoju. Sprawiała, że poprzednia noc nie przyniosła mu pełnej satysfakcji. Musiał niechcący zdradzić się ze swoimi obawami. A może to Lara okazała się wyjątkowo spostrzegawcza?

Poruszyła tę sprawę, gdy kończyli kolację poprzedniej nocy i postanowili spróbować się przespać. Leżała odwrócona plecami i opierała policzek na złożonych dłoniach. Key bawił się kosmykiem włosów Lary, zazdroszcząc jej błogiego snu. Bardzo się zdziwił, gdy usłyszał nagle cichy głos:

- Wiem o czym myślisz.

Przysunął kolana do jej ud.

- Naprawdę? To powiedz, mądralo.

- O Clarku.

Uśmiech zamarł na ustach Keya, a jego palce znieruchomiały.

- Co o nim myślę?

- Zastanawiasz się, czy porównuję was ze sobą i jak wypadasz w moich oczach.

- Czyżby?

Lara odwróciła głowę i spojrzała na Keya przez ramię.

- Mam rację, prawda? O tym właśnie myślałeś?

- Może.

Potrząsnęła lekko głową, uśmiechając się smutno.

- Ty i Clark ... jesteście zupełnie inni. Równie atrakcyjni, charyzmatyczni i pewni siebie, ale bardzo się różnicie. Kochałam twojego brata i wierzyłam, że on mnie kocha - powiedziała i ściszyła głos do szeptu. -

Ale nigdy nie przeżyłam takiej nocy - odwróciła się i znowu oparła głowę na rękach. Key myślał, że Lara już się nie odezwie. Po chwili powtórzyła jednak: - Nigdy.

Leżał dłuższą chwilę zżerany zazdrością, rozpaczliwie pragnąc w to uwierzyć.

Szybko jednak pożądanie zwyciężyło zawiść.

Przysunął się nagle do Lary. Objął ją ramieniem i mocno przyciągnął do siebie, a jej pośladki przylgnęły do jego brzucha. Wszedł w nią zdecydowanie. Ugryzł ją lekko w kark i trzymał zęby zacisnięte na jej skórze niczym dziki zwierzę posiadający samicę.

Lara poddała mu się ulegle. Była niezwykle podniecona. Wystarczyło, że przyłożył otwartą dłoń do jej łona, a wewnętrzne części jej ciała objęły go magicznie i zaczęły pracować, pozbawiając Keya nasienia i zarazem wątpliwości.

Dużo czasu upłynęło, zanim zaczęli znowu oddychać normalnie. Ich ciała lśniły od potu. Gdy Key w końcu z niej wyszedł, odwróciła się do niego i zaczęła całować jego pierś rozchylonymi ustami.

- Ani odrobiny wstydu - powiedziała.

- Nigdy nie mówiłem, że jestem inny.

- Nie mówię o tobie, tylko o sobie.

Key zasnął trzymając Larę w ramionach. Czuł się dobrze wiedząc, że miłość dostarczyła im obojgu radości.

Teraz jednak nastał dzień i wątpliwości Keya powróciły jak mgła towarzysząca wschodom słońca. Znowu myślał o tym, co mówiła Lara. Przypomniawszy sobie jej śmiałe pieszczoty. Z pewnością nie mogło być jej lepiej z jego bratem.

Czy kiedykolwiek lubieżnie dosiadała Clarka, a potem wyczerpana opadała na jego pierś?

Pięści Keya zacisnęły się.

Czy doprowadzała Clarka do orgazmu swoimi zręcznymi dłońmi? Key zaklął szpetnie.

Czy pozwalała jego bratu, by całował ją między rozchylonymi udami ... ? Krew zawrzała w żyłach Keya.

Szybko wstał i założył spodnie. Po chwili ciszę poranka przerwał łoskot. Key, chcąc otworzyć drzwi do łazienki, zrobił to nieco zbyt energicznie i wyrwał je z zawiasów.

*

- Buenos dias - powiedziała Lara do strażników, opuściwszy pokój Keya. Nie zrażona ich złośliwymi spojrzeniami, podążyła korytarzem, weszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi na zamek.

Na dywanie pozostały błotniste ślady po butach, Key żartował, że wbrew temu co się mówi o Teksańczykach, pierwszy raz zdarzyło mu się kochać w butach.

Lara starała sobie przypomnieć, czy Key na pewno powiedział: "kochać się", czy użył zupełnie innego wyrażenia.

Otrząsnęła się z gnębiących ją myśli. Miała już dosyć rozterek. Wczoraj doszła do całkiem pozytywnych wniosków. Jej nowe życie zaczęło się w ramionach Keya. To, z nim przeżyła, podzielała oczyszczając na jej psychikę. Nie miała ochoty tego nazywać. Jej nastrój i

ciało mówiły same za siebie. Czowała się wspaniale. Niech więc się dzieje, co chce.

Wzięła torbę i poszła do łazienki. Gdy zobaczyła swoje odbicie w lustrze nad umywalką, roześmiała się w głos. Nie miała makijażu i chociaż jej włosy wyglądały czysto, widać było, że zostały umyte zwykłym mydłem.

Jej twarz i szyję pokrywał rumieniec. Odpięła kilka górnych guzików bluzki.

Spojrzała na swoje piersi i - tak jak przypuszczała - zobaczyła, że całe są podrapane. Pomyślała, że zanim znowu pójdzie z Keyem do łóżka, namówi go, żeby się ogo. Tylko czy będą jeszcze kiedyś ze sobą spali?

Ze zdumieniem stwierdziła, że ma na to wielką ochotę. Uśmiechając się odsunęła zasłonę prysznicy i sięgnęła do kurka. Jej wrzask odbił się echem od różowych kafelków.

W wannie leżał pobity i zakrwawiony, lecz z całą pewnością żywy Randall Port. Jej mąż.

25.

- Wglądasz uroczo - rzekł były ambasador Stanów Zjednoczonych na Montesangre, gdy jego żona podeszła do stolika. - Chociaż bardziej mi się podobałaś, gdy rozjaśniałaś włosy. Kiedy przestałaś to robić?

- Gdy dochodziłam do siebie w Miami. To były dla mnie ciężkie miesiące. Kolor włosów stał się wtedy nieistotny.

Lara zerknęła na Keya. Wstał, gdy podeszła, następnie osunął się na wyściełane pluszem krzesło. Opart jedną nogę na kolanie drugiej i szybko poruszał stopą w górę i w dół. Jednocześnie dotykał długimi palcami swoich warg. Ktoś inny mógłby pomyśleć, że postawa Keya wyraża obojętność, lecz Lara czuła, że jest on okropnie wzburzony.

Randall, nawet jeśli to zauważył, nie dał nic po sobie poznać.

- Kochanie, napijesz się czegoś? - spytał Larę podchodząc do barku. - Za parę minut musimy zejść na dół.

- Nie, dziękuję. Nie mam ochoty. Nie sądzę też, bym musiała brać udział w tej konferencji prasowej.

- Jesteś moją żoną. Twoje miejsce jest przy mnie. - Randall nalał sobie drinka. - Panie Tackett, może szklaneczkę?

Key pokręcił przecząco głową.

Randall usiadł ponownie na sofie w apartamencie hotelu "Houston". Było tu znacznie wygodniej niż w ruderach Montesangre. Nie brakowało nawet kolorowych kwiatów. Ich słodki zapach przyprawiał Larę o ból głowy. Jak bardzo obłudni musieli być ci ludzie, którzy przysłali jej kwiaty z pozdrowieniami. Te same osoby - politycy i inne ważne figury - które pięć lat temu nie chciały widywać się z Randallem i jego niewierną żoną; które zesłały ich oboje na Montesangre, by pozbyć się z Waszyngtonu niewygodnej pary. Randall właściwie wciąż pozostawał ambasadorem Stanów Zjednoczonych. Gdy rozgłosnie z Kolumbii powiadomiły media o jego niebywałym "zmarłychwstaniu", wszystkie gazety na świecie zaczęły o nim pisać. Powrót Randalla do życia narobił wielkiego zamieszania, a reporterzy zupełnie oszaleli.

W Bogocie wyleczono go z ran, które okazały się raczej powierzchowne. Key dał się uprosić, by zrobiono mu prześwietlenie żeber. Trzy zostały złamane, ale nie naruszyły na szczęście żadnych narządów wewnętrznych.

Gorzej miała się Lara. Zalecono jej spożywanie gorących posiłków i odpoczynku. Jadła i spała, lecz wciąż wyglądała na wstrząśniętą. Poruszała się ociężale i mówiła z wysiłkiem. Powrót Randalla całkowicie wytrącił ją z równowagi.

Neiman Marcus wspaniałomyślnie zaofiarował pomoc przed jej pierwszym publicznym wystąpieniem po powrocie do Stanów. Jego sklep przysłał Larze jedwabny kostium, pasujące do niego pantofle, odpowiednie dodatki oraz biżuterię. Salon kosmetyczny znajdujący się w hotelu skierował swoich pracowników do apartamentu Lary, by ułożyli jej fryzurę, zrobili makijaż i pomalowali paznokcie.

Wydawało się, że Lara może wziąć udział w konferencji prasowej u boku męża. Spotkanie z dziennikarzami winno rozpocząć się za pół godziny w największej sali hotelu.

Lara czuła się tak, jakby miała stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

Nie myliła się tak bardzo. Zbyt zdenerwowana, by usiedzieć na miejscu, snuła się po pokoju, okrążając meble zastawione bukietami kwiatów.

- Randall, czy wiesz, jakie sprawy będą wyciągać? - spytała.

- Twój romans z Clarkiem - odparł spokojnie.

Lara poinformowała go o śmierci Clarka, lecz Randall wiedział o tym już wcześniej.

Docierały do niego wiadomości ze świata, z kolei o Montesangre cywilizowane kraje z wolna zapominały.
- Obawiam się, że to nieuniknione, Laro - mówił dalej Randall. - Spróbuję przeszkodzić zbyt natrętnym pytaniom, opowiadając o tym, co działo się ze mną przez ostatnie trzy lata.

- Nie wyglądasz na człowieka, który przeżył ciężkie więzienie - zauważył Key, nadal poruszając nerwowo stopą i bębniąc palcami. - Jesteś w niezłej formie, opalony i dobrze odżywiony.

Lara także zwróciła uwagę na świetną kondycję Randalla. Prezentował się nawet lepiej niż wtedy, gdy go poznała siedem lat temu. Wyglądał raczej tak, jakby spędził parę miesięcy na Hawajach, a nie trzy lata w obskurnym więzieniu.

Poprawił kanty nowych spodni od garnituru, który także dostał w prezencie od Neimana.

- Z wyjątkiem kilku pierwszych miesięcy traktowano mnie całkiem dobrze - odparł. - Na początku rebelianci znęcali się nade mną niemiłosiernie. Przez parę tygodni regularnie bili mnie łańcuchami.

Myślałem, że mnie zatłuką - Randall wypił resztkę trunku i spojrzął na zegarek. Widząc, że mają jeszcze parę minut, podjął opowieść: - Pewnego dnia zaciągnęli mnie do kwatery generała perez. Nie mogłem chodzić i wlekli mnie jak worek kartofli. Perez był bardzo z siebie zadowolony. Pokazał mi fotografie przedstawiające moją upozorowaną śmierć. Rozstrzelali jakiegoś człowieka, Bóg wie kogo, wpakowali mu tyle kul w głowę, że trudno go było rozpoznać.

Lara otuliła się ramionami. W pokoju zrobiło się chłodno. Randall spędził tyle czasu w upale tropików, że teraz włączał klimatyzację do oporu.

- Możecie sobie wyobrazić, jak strasznie się poczułem widząc te zdjęcia. Pokazali mi także amerykańskie gazety donoszące o mojej śmierci, z fotografiami z pogrzebu. Myślałem o tym, jakie piekło wtedy przeżywałaś. - Randall spojrzął na Larę ze współczuciem. - Dziękowałem Bogu, że ocalałaś. Wiedziałem jednak, że umierałaś z rozpacz, gdy dowiedziałaś się, w jak okrutny sposób mnie zamordowano. Największą torturą była świadomość, że nikt nie przybędzie, aby mnie uwolnić. Wszyscy pogodzili się z faktem, że nie żyję.

- Czy powiedzieli ci o śmierci Ashley?

- Nie od razu. Dowiedziałem się o tym dopiero po pewnym czasie. Jediną pociechę stanowiła wieść, że tobie udało się przeżyć. Gdyby nie ojciec Geraldo ...

- Kto? Ten ksiądz?

- Oczywiście. Wsadził cię do ostatniego amerykańskiego samolotu, jaki opuszczał Montesangre.

Myślałem, że o tym wiedziałaś.

- Nie - odparła cichym głosem. - Szkoda, że nie zdążyłam mu podziękować.

- To był akt niesłychanej odwagi - rzekł Randall. - Emilio żywił urazę do ojca Geraldo za to, że ten ułatwił ci ucieczkę. Pewnie dlatego kazał go zamordować.

Key zaklął pod nosem.

- Jak miło z twojej strony, że jej to mówisz - zakpił.

- Lara jest realistką. Prawda, kochanie? - zwrócił się do żony. - Niemniej jednak szkoda mi księdza, a także doktora Soto.

- Nigdy nie daruję sobie, że wciągnęłam ich w tę sprawę - powiedziała z bólem.

- Zawsze będę ich miała na sumieniu.

- Nie musisz się obwiniać - rzekł Key z naciskiem. - Oni i tak zostaliby zlikwidowani. Wynikało to ze słów Sancheza.

Lara spojrzała na Keya z wdzięcznością. Przynajmniej trochę ją pocieszył.

- Laro, okazałaś się niewiarygodnie odważna, decydując się na powrót na Montesangre - powiedział Randall. - Gdybyś tego nie zrobiła, nadal byłbym zakładnikiem.

Key wstał. Zgolił już brodę, lecz włosy wciąż miał przydługie, co nadawało mu wyglądu dzikiego zwierzęcia. Nie żywił najmniejszej ochoty odgrywać bohatera. Odmówił przyjęcia nowych ubrań ofiarowanych przez sklep Neimana. Sam kupił sobie dzinsy, sportową kurtkę i kowbojskie buty.

- Nic z tego nie kapuję - powiedział. - Przybyliśmy z Larą na Montesangre potajemnie, a trzy doby później twoi oprawcy postanowili cię uwolnić. - Key rozłożył ręce. - Dlaczego? Co jedno ma wspólnego z drugim? Randall uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Z pewnością miał pan okazję poznać tych ludzi, panie Tackett.

- Owszem, miałem. Ale ta historia to kupa gówna.

Randall zmarszczył czoło.

- Ocaliliście mi życie. Dlatego daruję panu wulgarne słowa. Całkiem zbyteczne.

- Nie musisz okazywać mi żadnych względów - odparł Key.

Randall, udając, że nie dostrzeża Keya, zwrócił się do Lary:

- Emilio lubił gry. Pamiętasz turnieje szachowe, jakie urządzał w ambasadzie?
- To była tylko rozrywka.
- Tak, ale nie jestem pewien, czy Emilio potrafi rozróżnić grę od prawdziwego życia, w którym posługuje się żywymi istotami jak pionkami. Przecież urządził sobie widowisko waszym kosztem.
- Owszem - wtrącił Key. - Dobrze, że o tym wspomniałeś, ponieważ przyszło mi coś do głowy. Powiedziałaś, że byłeś w chacie, kiedy to wszystko się działo, prawda?
Randall skinął głową.
- Byłem związany i zakneblowany. Nie mogłem dać znaku.
- Kiedy się dowiedziałeś, że jestem w Montesangre? - spytała Lara.
- Następnego ranka po waszym przybyciu. Wiedziałem, że na coś się zanosi, bo moi strażnicy zaczęli zachowywać się agresywnie i nie patrzyli mi w oczy. Przez te parę lat odnosiliśmy się do siebie niemal z szacunkiem. Nagle stali się surowi i milczący. Ricardo zatrzymał waszego jeepa na drodze i już po paru godzinach wpadli na to, kim była owa "wdowa". Nie bardzo jednak wiedzieli, kogo udawał jej nienormalny "szwagier". - Randall rzucił spojrzenie na Keya. - Lecz gdy Emilio dowiedział się o Larze, zaraz wszystko skojarzył. Wiedział o jej ... związku z Clarkiem. Im więcej weszliście, tym bardziej sytuacja stawała się napięta. Przywieziono mnie do obozu na dzień przed waszym przybyciem. Emilio groził, że zabije was na moich oczach. Pobito mnie, ale niezbyt groźnie. Sanchez chciał, abym zachował przytomność do następnego ranka. Kiedy wyjechaliście z obozu, znowu mnie maltretowali, a potem przewieźli do Ciudad Central. Znalazłem się tam może godzinę przed wami, ale spędziłem noc pod strażą w ciężarówce. O świcie zaniesiono mnie prawie nieprzytomnego do hotelu. Obudził mnie twój krzyk, Laro, gdy znalazłaś mnie w wannie. Byłem tak samo zszokowany jak ty, gdy przekonałem się, że wciąż żyję.
Randall wstał i narzucił na siebie płaszcz.
- Czas już iść - rzekł.
- Wciąż nie pojmuję zamiarów Emilia - odparła Lara nie ruszając się z miejsca.
- Porozmawiamy o tym później.
- Nie, Randall, porozmawiamy teraz. Jeśli chcesz, żebym spotkała się z dziennikarzami, muszę mieć pełne rozeznanie w sytuacji. Spytają mnie o El Corazón del Diablo. Chętnie opowiem im o wrażliwym młodzieńcu, który pracował jako tłumacz w naszej ambasadzie, a potem stał się okrutnym mordercą. Ale nie mogę wyjaśnić nic więcej, skoro ciągle nie rozumiem, co się działo w głowie Emilia. Dlaczego pozwolił nam wyjechać? Dlaczego więził cię przez trzy lata i nagle postanowił uwolnić?
Randall zacisnął zęby, najwyraźniej zniecierpliwiony słowami Lary. Postanowił ją rozbawić.
- Miałem trzy lata na przemyślenie, dlaczego upozorowano moją śmierć. Wydaje mi się, że chcieli w ten sposób ukarać Amerykanów za wtrącanie się w wewnętrzne sprawy Montesangre.
- Dlaczego nie zabili cię naprawdę? - zapytał Key.
- Myślę, że chcieli mieć asa w rękawie. Gdyby Stany postanowiły wysłać komandosów na Montesangre, tak jak niegdyś do Panamy, posłużyliby się mną jako zakładnikiem.
- W takim razie dlaczego uwolnili cię teraz?
- To proste, Laro. Są głodni. Montesangre niemal wszystko importuje. Po wprowadzeniu embarga ich zapasy szybko się wyczerpały. Prawdę mówiąc, dziwię się, że wytrzymali tak długo. Zapewne nie doszłoby do tego, gdyby Perez wciąż był ich przywódcą. Upadliby bez kogoś tak bezlitosnego jak Emilio. On zrobił z siebie boga.
- A kim ty jesteś? Szefem jego fan klubu? - spytał Key uszczypliwie.
- Nic podobnego - odparł chłodno Randall. - Więził mnie przez trzy lata. Jednak widziałem, jak cierpią mieszkańcy wyspy. Współczułem im i chciałem im pomóc. Mimo swojego okrucieństwa Sanchez miał szansę zaprowadzić w kraju porządek, nakarmić głodujących i skończyć z całym tym bałaganem. I odkładając na bok swoje osobiste urazy, muszę przyznać, że podziwiam jego wytrwałość. Jest niezwykle zdeterminowany i cierpliwy. Wiedział, że nasza historia przyciągnie uwagę ludzi w Ameryce. Wyraził w ten sposób gotowość do podjęcia na nowo stosunków dyplomatycznych z Waszyngtonem.
- Taką właśnie wiadomość miałem przekazać - zauważył Key. Randall roześmiał się tak, jakby kpił z naiwności Tacketta.
- Sanchez dobrze wiedział, że Waszyngton poważniej potraktuje mnie niż jakiegoś kowboja.
- Nie jestem kowbojem.
- Ależ oczywiście, że jesteś. - Randall wymownie i z pogardą spojrzął na dżinsy i buty Keya. - Tyle że nie jeździsz konno, lecz lataasz samolotem. Poza tym masz opinię włóczęgi. Nawet brat tak o tobie myślał - dodał bez zbytej kurtuazji.
Key zrobił krok w stronę Randalla, lecz Lara stanęła między nimi. Ze złością zwróciła się do męża.

- To niemożliwe. Clark bardzo kochał Keya.

Randall uśmiechnął się i odparł spokojnie:

- Tak, ty z pewnością najlepiej wiesz, kogo Clark kochał. No, a teraz naprawdę musimy już iść.

Lara, udając, że nie zauważyła wyciągniętej ręki Randalla, sztywnym krokiem podeszła do drzwi. Key nie ruszył się z miejsca, odwróciła się więc do niego .

- Idziesz?

- Nie - odparł.

Poczuła narastającą panikę. Jedyne obecność Keya mogła dodać jej odwagi podczas konferencji. Jego twarz pozostawała zimna. Wiedziała, że wszelkie nalegania zawiodą. Podjęła rozpaczliwą próbę.

- Czekają na ciebie.

- Na próżno - odrzekł. - Gazety piszą, że poleciałem z tobą na Montesangre, żeby go uwolnić. - Wskazał głową na Randalla. - Ale ja wybrałem się tam w innym celu i nie zamierzam się teraz zgrywać.

- Wszyscy pomyślą, że się boisz, Tackett.

Key zerknął na Randalla .

- Niech sobie myślą co chcą. Nie zamierzam pozwalać się fotografować tej bandzie sępów. Możecie powtórzyć im to, co przed chwilą powiedziałem. - Spojrzał jeszcze raz na Larę i dodał: - Ty także wcale nie musisz tam iść. Nikt nie może cię zmusić.

Lara z trudem opierała się magnetycznej sile Keya. Miała tyle rzeczy do powiedzenia, wyjaśnienia cisnęły jej się na usta, lecz by nie komplikować bardziej sytuacji, milczała.

Naturalnie cieszyła się, że Randall nie został bestialsko zamordowany i wydostał się w końcu z tamtego piekła. Niemniej jednak wrócił do jej życia w najgorszej chwili. Zyskał wolność, lecz jej niewola właśnie się zaczynała.

Łzy napłynęły do oczu Lary. Jedna z nich spłynęła po policzku. Key chciał coś powiedzieć, ale szybko się rozmyślił. Patrzyła na niego z rozpaczą.

- No, no - rzekł Randall i lekko zakasłał. - Wygląda na to, że zmartwychwstałem w niewłaściwej chwili.

Nie wiedział, że wypowiedział właśnie nagłos najskrytsze myśli Lary. Odwróciła się szybko od Keya.

- Tak jak mówiłeś, Randall, jesteśmy spóźnieni. Musimy się pośpieszyć. Wyciągnął rękę, aby ją powstrzymać.

- Poczekają na nas - powiedział. - Musimy jeszcze coś wyjaśnić.

- Co takiego?

- Zawsze mnie okłamywałaś, Laro. Z uwagi na szok jaki przeżyłaś, nie domagałem się przez kilka ostatnich nocy swoich praw małżeńskich. Nie bez powodu. Z pewnością zastałbym drzwi twojej sypialni zamknięte na klucz.

Rzuciła mu piorunujące spojrzenie, lecz nie odezwała się. Randall położył palec na ustach i popatrzył ironicznie na Keya.

- On jest zupełnie inny niż Clark. Dziwię się, że ci się podoba. Nie potrafi zachowywać się tak jak jego starszy brat. Chociaż ma pewnie zwierzęcy temperament i takiej kobiecie jak ty może się wydać atrakcyjny.

- Nie jestem głuchy ani ślepy, ty sukinsynu - warknął Key. - Jeśli masz coś do powiedzenia na mój temat, powiedz to wprost do mnie.

- Dobrze - odparł uprzejmie Randall. - Czy nie czułeś się głupio pieprząc się z kobietą, która była kochanką twojego brata?

Nawet Lara nie mogła powstrzymać Keya. Odsunął ją na bok i chwycił Randalla za gardło.

- Key, nie! - krzyknęła próbując oderwać palce Keya od szyi swojego męża.

Nawet nie drgnęły. Przycisnął Randalla do drzwi. Ów, rozpaczliwie próbując się wyswobodzić, wbił paznokcie w dłoń Keya, lecz ten tylko wzmocnił uścisk.

- Proszę. Key! - błagała Lara. - Nie psuj wszystkiego! Nie pakuj mnie w kolejny skandal!

Do Keya powoli docierały jej słowa. Zamrugał szybko powiekami, jakby chciał otrząsnąć się z wściekłości, i rozluźnił uścisk. Puścił Randalla, patrząc na niego z wielką pogardą.

Ambasador doszedł do siebie, z godnością poprawił płaszcz i krawat.

- Dobrze, że kowboje nie noszą już przy sobie broni - powiedział. - Byłbym teraz martwy.

Key wciąż oddychał ciężko, kipiąc z wściekłości.

- Jeśli jeszcze raz powiesz coś takiego o mnie i o Larze, zabiję cię - ostrzeał

- Co za rycerskość - rzekł Randall ponuro i zwrócił się do Lary: - Czy teraz możemy wreszcie iść?

Key położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie musisz go słuchać - powiedział potrząsając nią lekko - jeśli nie chcesz.

- Chcę - odparła cicho, lecz stanowczo.

Key spojrział z niedowierzaniem. Potem jego zaskoczenie przerodziło się we wściekłość. Lara patrzyła, jak napinają się mięśnie jego twarzy. Wiedziała, że Key nie zrozumie jej decyzji. Nie potrafiła mu jej wyjaśnić. Nie miała innego wyjścia, jak pogodzić się z losem.

Key puścił Larę, odwrócił się na pięcie, otworzył drzwi i wyszedł. Z żalem w oczach patrzyła, jak odchodził.

- Myślałem, że wszystko idzie dobrze, ale po całej tej rozmowie muszę się czegoś napić. - Randall zdjął marynarkę, ostrożnie położył ją na oparciu krzesła i podszedł do barku. - Chcesz czegoś, kochanie?

- Nie, dziękuję.

Dolał wody sodowej do whisky i oblizał usta ze smakiem po pierwszym łyku. - To jedna z rzeczy, za którymi tęskniłem w niewoli - powiedział. Usiadł na sofie

i trzymając szklankę w jednej ręce, drugą rozwiązał sznurówki.

- Jesteś zmartwiona, Laro. Co się stało?

- Jeszcze pytasz? - Spojrzała na męża wymownie. - Nie znoszę być wystawiana na pokaz i mam do ciebie żal, że zmusiłeś mnie do spowiedzi przed tłumem ludzi. - Mogłaś pomyśleć o konsekwencjach, zanim namówiłaś Keya Tacketta, żeby zawiózł cię na Montesangre.

- Nim go o to poprosiłam, próbowałam wielu innych sposobów. On był moją ostatnią nadzieją. Mówiłam ci już, po co się tam udałam.

- Tak, gazety pisały o tym. Dzisiaj bardzo przekonująco opisywałaś ten zbiorowy grób. Wybiorą cię pewnie na matkę roku. - Randall pociągnął następny łyk. - Naprawdę nie wiem, dlaczego jesteś taka niezadowolona.

- Bo zmuszanie mnie do opowiadania o tamtym cmentarzu jest okrucieństwem. Ci reporterzy to stado hien. Udają zainteresowanie naszą podróżą, spotkaniem z El Corazónem i twoim uwolnieniem. Ale tak naprawdę szukają skandalu: "Pani Porter, dlaczego wybrała się pani z bratem senatora Tacketta? Czy Key Tackett nie czuje się dotknięty wiedząc, że przyczyniła się pani do upadku senatora Tacketta? Czy senator popełnił samobójstwo? Jak się pani czuła, gdy zobaczyła pani swojego męża żywego?" - Lara szydziła, naśladując natarczywe głosy dziennikarzy. - Co byś na to odpowiedział?

- Dostyc wyczerpujące pytania - odparł Randall, stawiając szklankę na stoliku.

- Powiedz, co właściwie myślisz o moim zmartwychwstaniu, Laro Porter?

Lara unikała jego badawczego spojrzenia.

- Wolę, jak mówi się do mnie: Laro Mallory. Nazwisko Porter źle mi się kojarzy.

- Na przykład z faktem, że jesteś mężatką - podchwycił Randall, uśmiechając się fałszywie. - Nie jesteś zbyt szczęśliwa, prawda, Laro? Trochę nie w porę się zakochałaś. I to w dodatku w bracie Clarka. -

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośnie. - Co za niesłychany zbieg okoliczności.

Lara nie zaprzeczyła jego słowom ani też ich nie potwierdziła. Jej związek z Keyem, którego sama nie chciała określać, nie miał nic wspólnego z Randalle. Z wyjątkiem niestety tego, że wciąż była żoną Portera. Nie czuła uczuciowej więzi z mężem od tamtego fatalnego weekendu w Wirginii.

Randall wychylił szklankę do dna.

- Robi się późno - powiedział. - Musimy odpocząć. Samolot do Waszyngtonu mamy jutro o dziesiątej rano.

- Ja nie jadę - oznajmiła Lara.

Randall schylił się, aby wziąć swoje pantofle. Wyprostował się teraz powoli.

- Nie pleć bzdur. Przecież wszystko już umówione.

- To odwołaj. Nigdzie nie pojedę.

- Prezydent ma nas przyjąć w Białym Domu. - Twarz Randalla poczerwieniała.

- Powiedz mu, że bardzo żałuję, ale nie mogę się z nim spotkać.

Lara ruszyła w stronę sypialni. Jej mąż zerwał się z sofy i chwycił ją za rękę.

- Pojedziesz tam ze mną i nie będziesz mnie odstępować na krok.

- Nie, Randall, nie pojedę - oświadczyła Lara wrywając rękę. - A z drugiej strony dziwię się, że chcesz dzielić się zaszczytami, które cię spotykają. Gdy wyjeżdżałeś z Waszyngtonu, byłeś zdradzonym mężem, z którego wszyscy się naśmiewali. A teraz powracasz jako bohater. Prawdopodobnie zaproszą cię do telewizji. Namówią, abyś napisał książkę, może nawet zrobią o tobie film. Odzyskasz poważanie. Nawet prezydent będzie zasięgał twojej opinii. Dlaczego chcesz zabrać mnie ze sobą? Wszyscy kojarzą mnie z najgorszym okresem twojej kariery.

- Żeby zrobić dobre wrażenie - odparł uśmiechając się chłodno. - Wciąż jesteś moją żoną. Zamierzam

przymknąć oko na twój romans z Keyem Tackettem. Ostatecznie myślałaś przecież, że nie żyję.

- Nie musisz prawić mi kazań i udawać wspaniałomyślnego męża, który znowu wybacza swojej niewiernej żonie - rzekła Lara nie kryjąc niesmaku.
- Zachowałeś się tak, gdy moje zdjęcia z Clarkiem przedostały się do gazet. Nikomu nie wpadłoby do głowy, że zdradzałeś mnie niemal od dnia naszego ślubu.
- Nigdy nie złapałaś mnie na gorącym uczynku - odparł słodkim głosem.
- To tylko twoje podejrzenia.
- Przypuszczam, że i na Montesangre nie żyłeś w celibacie. Jeśli byłeś w zażyłych stosunkach ze swoimi strażnikami, z pewnością umożliwiali ci kontakty z kobietami..
- Bardzo bystra uwaga, Laro. W istocie byłem związany z pewną pięćdziesięcioletnią, drobną i delikatną istotą o hebanowych oczach. Chętnie zaspokajała wszystkie moje zachcianki. Z trudem dostosowywała się do warunków wojenny chociaż była oddana sprawie i swojemu kuzynowi, Emilio Sanchezowi. Gdy ten odkrył że dziewczyna jest moją kochanką, kazał ją zamordować. Chyba czuł się zazdrosny. W dzieciństwie oboje byli bardzo ze sobą związani. A może obawiał się także, że oddanie dla mnie przewróci jej w głowie. W każdym razie postanowił przerwać nasz związek.

Lara poczuła mdłości słuchając tej historii. Zirykował ją zwłaszcza nonszalancki ton Randalla.

- Powinnaś być rozwieszona z tobą, zanim wyjechalibyśmy na Montesangre - stwierdziła.
- Możliwe - odparł.
- Ale byłaś wtedy w ciąży. To komplikowało sprawę.
- Groziłeś, że zabierzesz mi dziecko, jeśli nie zostanę z tobą.
- Mogłem ci je odebrać. Byłaś niewierną żoną, niezbyt nadawałaś się na matkę. Jaki sąd na świecie przyznałby opiekę nad dzieckiem kobiecie, która łądaczyła się z Clarkiem Tackettem?

To samo pytanie zadał jej pięć lat wcześniej. Lara wiedziała, że nie rzuciła słów na wiatr. Mogła uprzeć się przy rozwodzie, nie wyjechać z Randallem ze Stanów i walczyć wszelkimi środkami o prawo legalnej opieki nad dzieckiem. Odwoływałyby się do Sądu Najwyższego. Ashley w najważniejszym okresie swojego dzieciństwa byłaby traktowana bardziej jak przedmiot niż ludzka istota. Nie miałyby warunków ku temu, by wyrosnąć na pogodną, spokojną dziewczynę. Lara chciała jej oszczędzić problemów.

- Twoje obelgi nie ranią mnie, Randall, ponieważ cię nie kocham. A ty nie kochasz mnie. Po co to dalej ciągnąć?
- Zachowanie pozorów jest bardzo ważne w mojej pracy - powiedział z wymuszoną cierpliwością.
- Jesteś moją ozdobą, Laro. Zawsze byłaś. Większość żon spełnia taką rolę. Im są elegantsze i ładniejsze, tym lepiej. Lecz wszystkie i tak niewiele znaczą.

Lara odwróciła się z obrzydzeniem.

- No tak, oburzyło cię to - powiedział Randall protekcyjnym tonem, który zirykował Larę jeszcze bardziej. Uśmiechnął się.
- Nawet ładnie wyglądasz, jak się złościsz, ale jestem już tym zmęczony. Nie czas teraz na dyskusje. Pojedziesz ze mną do Waszyngtonu i będziesz stała u mego boku cichutka jak myszka. Tak jak wtedy, gdy wybrałaś się ze mną na Montesangre i wypełniałaś posłusznie wszystkie obowiązki żony dyplomaty.
- Nigdzie nie pojedę, do diabła - sprzeciwiła się stanowczo i odważnie.
- Przeżyłaś ciężkie chwile i do tej pory traktowałam cię wyrozumiale. Ale trzy lata więzienia nie zmieniły cię ani na jotę. Nadal jesteś samolubny i manipulujesz ludźmi. Może nawet bardziej, bo czujesz, że świat jest ci coś winien za to, co przecierpiałeś. Cieszę się, że żyjesz, ale nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Nie myśl, że uda ci się mnie przekonać. Wszystko skończone, i to już od dawna. Pojechałam z tobą na Montesangre tylko ze względu na Ashley. Zgodziłam się zostać tam przez prawie dwa lata tylko ze względu na naszą córeczkę. I tak w końcu ją utraciłam - powiedziała rozgoryczonym głosem.
- Teraz, kiedy Ashley nie żyje, nie boję się twoich szantaży. Nie masz nade mną żadnej władzy, ponieważ straciłam już wszystko, co było dla mnie cenne.
- A co z Tackettem numer dwa?
- Nie jesteś w stanie niczego mu zrobić.
- Czyżby? - rzekł lodowato Randall.
- Coś mi się zdaje, że on bardzo poważał swego brata. Nie zapominaj o tym, Laro.

Groźba była bardzo subtelna, ale całkiem realna. Lara przybrała obojętną minę, żeby Randall nie spostrzegł jej zaniepokojenia.

- Nie możesz mu niczego powiedzieć.

Randall roześmiał się.

- Tak jak przypuszczałam. On o niczym nie wie. To wciąż jest naszą małą tajemnicą.

Lara przyglądała mu się przez chwilę i parsknęła:

- Tym razem przesadziłeś - ruszyła w stronę sypialni, ale zatrzymała się przy drzwiach.
- Nie obchodzi mnie, co robisz, dopóki trzymasz się z dala ode mnie. Jedź sobie do Waszyngtonu. Udzielaj wywiadów.

Spotkaj się z prezydentem i wydawaj przyjęcia. Rób, co tylko chcesz. Tym razem naprawdę chcę się z tobą rozwieść. Natychmiast. Od dzisiaj zwracaj się do mnie: Mallory. Nie mam ochoty używać twojego nazwiska.

Weszła do sypialni i trzasnęła drzwiami.

26.

Janellen osłoniła oczy przed słońcem i niecierpliwie wypatrywała samochodu Keya. Spostrzegła go, gdy zjeżdżał z szosy.

- Mamo, Key już jest! - zawołała.

Zadzwoił z lotniska, aby dać im znać, że właśnie przyleciał i niedługo zjawi się w domu. Dzień wcześniej zatelefonował z Houston.

- Wracam - oznajmił. - Zarznijcie tłustego cielaka.

Janellen nie miała zamiaru potraktować poważnie jego polecenia, ale powiedziała Maydale, aby przygotowała na obiad coś specjalnego. Key żył i miał się dobrze! Wracał zdrowy do domu!

Zeskoczyła ze schodów i wybiegła na ścieżkę wprost przed nadjeżdżającego lincolna, który zahamował raptownie. Oparła ręce na masce i uśmiechnęła się do wysiadającego Keya. Potem padła mu w ramiona.

- Witaj! Uważaj na moje żebra. - Key przytulił siostrę, a potem odsunął ją na długość ramienia. - Do licha, czy ja dobrze widzę? Wyglądasz prześlicznie!

- Ależ skąd - odparła nieśmiało.

- Wiem, co mówię. Coś się w tobie zmieniło.

- Obcięłam włosy. To wszystko. Gdy siedziałam pod suszarką u fryzjera, ktoś akurat włączył telewizor. Podawali wiadomości. Kiedy usłyszałam, że ty, doktor Mallory i jej mąż opuściliście Montesangre i wracacie do domu przez Kolumbię, omal nie spadłam z fotela.

Key przestał się uśmiechać.

- Tak, dużo się wydarzyło w ostatnim tygodniu - rzekł i uszczypnął lekko Janellen w policzek. - Podoba mi się twoja nowa fryzura.

- Mama jej nie znosi. Powiedziała, że jest zbyt wyzywająca dla kobiety w moim wieku. Czy ty też tak sądzisz? - spytała z obawą.

- Myślę, że wyglądasz teraz cholernie pociągająco.

- Dziękuję bardzo - roześmiała się i zamrugła powiekami.

- No, no, ale zrobiła się z ciebie kokietka. - Key położył ręce na biodrach, przekrzywił głowę i przyjrzał się siostrze uważnie. - Czy dzieje się coś, o czym jeszcze nie wiem?

- Nie - odparła szybko i zdecydowanie. Spasowała i Key zorientował się od razu, że Janellen kłamie.

- Pewnie Cato wciąż się koło ciebie kręci? - zgadł.

Janellen starała się powstrzymać uśmiech. Lecz ogarniała ją radość, gdy tylko pomyślała o Bowiem.

Przypomniała sobie, jak pieścili się w salonie ostatniej nocy, szeptem rozmawiając o swym romansie i planach na przyszłość. Janellen widziała wszystko w różowych barwach. Bowie obawiał się trudności.

Kochali się jednak szczerze. Zaczęli spędzać ze sobą cały wolny czas. Janellen nigdy w życiu nie czuła się taka szczęśliwa. Promieniowała radością. Jej spostrzegawczy brat od razu to zauważył. Roześmiał się szeroko.

- Mam nadzieję, że Bowie dobrze cię traktuje. Jeśli dowiem się, że tak nie jest, dorwę go i rzucę psom na pożarcie. Możesz mu o tym powiedzieć.

- Nigdy! - odparła. - To nie wypada kobiecie.

Uśmiechnęła się pod nosem, przypominając sobie obcesowe słowa, jakich użyła, by przyciągnąć uwagę Bowiego. Nie żałowała tego. Podziała.

Chwyła Keya za rękę i pociągnęła w stronę domu.

- Pewnie jesteś zmęczony. Kazałam Maydale zmienić pościel na świeżą. Możesz zaraz po obiedzie wziąć gorącą kąpiel i położyć się.

Gdy Key zatrzymał się nagle, Janellen uniósł głowę. Na ganku stała Jody i patrzyła na nich. Wyglądała zupełnie dobrze. Najwidoczniej lekarze przesadzili jak zwykle - Jody dochodziła do siebie mimo ich czarnych prognoz.

W ciągu ostatnich paru dni jej stan wyraźnie się poprawił. Sama oznajmiła, że czuje się lepiej i ma więcej energii. Była ożywiona i nie ociągała się z braniem lekarstw. Zaczęła nawet znów palić. Wczoraj miała tyle siły, że wybrała się do sklepu z kosmetykami.

Janellen pomyślała, że matkę postawiła na nogi wieść, iż Key opuścił Montesangre.

Jody często kłóciła się z synem, ale mimo to byli ze sobą mocno związani.

- Cześć, Jody - powiedział Key ostrożnie i z rezerwą. Pamiętał cierpkie uwagi matki, którymi uraczyła go przed wyjazdem. Ona z pewnością także nie zapomniała o tamtej rozmowie. Zaciśnęła wąskie usta, jakby chciała zdławić nieprzyjemne wspomnienia.

- Widzę, że wracasz cały i zdrowy.
- Prawie.

Janellen spoglądała to na matkę, to na brata, pragnąc rozpaczliwie rozładować sytuację.

- Wejdzmy do środka i napijmy się czegoś przed obiadem.

Jody zaprowadziła ich do salonu. Podziękowała za drinka i zapaliła papierosa.

- Słyszałam, że armia rebeliancka zabrała twój samolot - rzekła i wypuściła smugę dymu prosto w sufit.
- To prawda - odparł Key, biorąc od siostry szklanekę z whisky. - Ale to nic nie szkodzi. Facet, który go nam wynajął, spodziewał się, że możemy mieć wypadek, i ubezpieczył się. Potrzebował forsę bardziej niż samolotu.

- Tak myślałam. Zawsze zadawałeś się z jakimiś podejrzanymi typami.

- Przypomniało mi się coś - wtrąciła Janellen, starając się nie dopuścić do kłótni. - Darcy Winston była u fryzjera tego dnia, gdy robiłam trwałą. Mówiła bez przerwy o swojej córce Heather. O tym, że Heather ciągle zadaje się z Tannerem Hoskinsem. Powiedziała, że jak kiedyś przydybie ich w krzakach, to obleje oboje zimną wodą.

Key roześmiał się. Janellen spojrzała na niego z zakłopotaniem.

- Wszyscy się śmiali, gdy Darcy o tym mówiła. Dlaczego? Nic z tego nie rozumiem.

- Och, na miłość boską, Janellen - powiedziała zniecierpliwiona Jody.

- Co?

- Nic takiego - wtrącił Key. - Mów dalej. Co jeszcze opowiadała pani Winston?

- Kiedy podawali wiadomości o tobie i doktor Mallory, odsunęła wszystkich na bok i wlepiła oczy w telewizor. Gdy powiedzieli, że pan Porter wcale nie zginął, odegrała straszną komedię.

- Co zrobiła? - spytał Key i spoważniał.

- Śmiała się jak szalona. Nikt inny nie uważał, że to śmieszne. A ona rechotała jak żaba.

- To porywczą baba - rzekła Jody strzepując popiół do popielniczki. - Fergus myślał, że gdy ożeni się z bidulką, to ta od razu będzie go szanować. Pomylił się oczywiście. Ta ździra nawet w eleganckich ciuchach wciąż jest śmieciem. Fergus zawsze był idiotą.

Maydale podała obiad: ulubione kurczaki Keya i pieczoną wołowinę z warzywami.

Na deser przyniosła dwa rodzaje ciasta - brzoskwiniowe i orzechowe - a także domowe lody waniliowe.

Janellen spodziewała się, że Key pochłonie z apetytem wszystkie dania, jakie kazała dla niego przygotować, lecz on ledwo co skubnął. Uśmiechał się, kiedy z nią rozmawiał, i odpowiadał na wszystkie pytania, ale robił to bez większego entuzjazmu. Zachowywał się grzecznie wobec Jody i nie prowokował jej do kłótni. Jak na człowieka, który uszedł z życiem z rąk rebeliantów, był dziwnie przygaszony. Gdy zapadała cisza, patrzył zamyślony w przestrzeń i zdawało się, że z trudem powraca myślami do rzeczywistości, kiedy podejmowano rozmowę.

Po posiłku Jody poszła na górę oglądać telewizję w swojej sypialni. Zanim opuściła pokój, spojrzała na syna i powiedziała:

- Cieszę się, że z tobą wszystko w porządku. Key patrzył na nią, gdy otwierała drzwi.

- Ona mówi prawdę - rzekła cicho Janellen po wyjściu matki. - Myślę, że nawet martwiła się o ciebie bardziej niż ja. Aja przecież szalałam z niepokoju. Odetchnęła tego dnia, gdy dowiedzieliśmy się, że żyjesz i jesteś w drodze do domu.

- Rzeczywiście wygląda lepiej niż wtedy, kiedy wyjeżdżałem.

- No widzisz! - wykrzyknęła Janellen. - Ja też to zauważyłam. Myślę, że dochodzi do siebie.

Key wyciągnął rękę i pogłaskał policzek siostry. Uśmiechnęła się jakoś smutno. - Coś jeszcze chciałam ci powiedzieć, Key. O mamie. Wczoraj, kiedy wróciłam z pracy, nie mogłam jej znaleźć. Szukałam po całym domu. Wiesz, gdzie była? W pokoju Clarka. Przeglądała jego rzeczy.

Key ożywił się nagle.

- O ile wiem, Jody nie wchodziła do jego sypialni od chwili, kiedy braliśmy stamtąd garnitur przed pogrzebem. Po co poszła tam teraz? Czy po to, by grzebać w jego papierach?

Janellen skinęła głową.

- Tak. Przeglądała jakieś dokumenty, kalendarze, notatki, które robił, jak był senatorem. I płakała. Na jego pogrzebie nie uroniła nawet tzy.

- Pamiętam.

Janellen nagle stwierdziła zaskoczona, że Key wygląda tak jak w dniu, gdy stał nad grobem brata. Z pozoru zachowywał się normalnie, lecz coś się w nim zmieniło. Miał zagubione i ponure spojrzenie, jakby stało się coś strasznego.

Po pogrzebie brata Janellen była zbyt pogrążona w rozpacz, aby dyskutować z Keyem. A nawet gdyby próbowała go wciągnąć w rozmowę, prawdopodobnie by milczał. Zresztą ona sama nie miała wtedy ochoty na kontaktowanie się z kimkolwiek.

- Przeczytałam książkę o ludziach, którzy utracili swoich bliskich - powiedziała kładąc rękę na ramieniu brata. - Pomogła mi pozbierać się po śmierci Clarka. Autor, psycholog, twierdzi, że smutek może nadejść z opóźnieniem. Czasami ludzie bronią się przed nim przez całe lata. W końcu pewnego dnia dopada ich i poddają się całkowicie rozpacz. Czy myślisz, że tak właśnie jest z mamą?

Wciąż pogrążony w myślach Key nie odezwał się ani słowem.

- Myślę, że coś w niej pękło - mówiła dalej Janellen. - Może Jody wzięła się w końcu w garść po utracie Clarka. Doszła do ładu ze swoimi uczuciami i nie wpada już tak łatwo w złość. Przy obiedzie całkiem miło wam się rozmawiało. Czy zauważyłeś, jak mama się zmieniła?

Key uśmiechnął się trochę sztucznie.

- Jesteś wieczną optymistką, siostrzyczko.

- Nie śmieję się ze mnie - odparła urażona.

- Niczego takiego nie robię, Janellen. Potraktuj to raczej jako komplement. Gdyby każdy był taki otwarty jak ty, świat wyglądałby inaczej.

Pociągnął kosmyk włosów Janellen, lecz jego twarz pozostała chmurna.

- Kto wie, co skłoniło Jody do przeglądania rzeczy Clarka? - powiedział. - To może znaczyć wszystko i nic. Nie oczekuj od niej zbyt wiele. Ludzie nie zmieniają się tak szybko i radykalnie. Niekiedy w ogóle się nie zmieniają. Jesteś teraz zakochana. Czujesz się szczęśliwa i chcesz, żeby wszyscy dzielili twoją radość.

Janellen położyła głowę na piersi Keya i przytuliła się do niego mocno.

- To prawda, Key. Nigdy w życiu nie było mi tak dobrze.

- To widać. Cholernie się z tego cieszę.

- Ale czuję się winna.

Key odsunął ją od siebie.

- Przestań - powiedział stanowczo. - Ciesz się tym, co masz. Rozkoszuj się każdą chwilą. Zasłużyłaś na to. Przez tyle lat cierpliwie podporządkowywałaś się Jody i innym. Do diabła, Janellen, nie żałuj niczego. Obiecuj mi, że nie będziesz czuć się winna.

Zdumiona gwałtownością słów Keya, skinęła głową.

- W porządku, obiecuję.

Pocałował ją w czoło i znowu odsunął od siebie.

- Muszę iść - powiedział.

- Dokąd? Myślałam, że zostaniesz w domu na noc i trochę odpoczniesz.

- Nie jestem zmęczony - odparł, wyciągając kluczyki od samochodu z kieszeni dżinsów. - Mam wiele spraw do załatwienia.

- Co takiego? - wykrzyknęła Janellen. Key spojrzął na nią wymownie i skierował się do drzwi. - Hej, zaczekaj! Idziesz pić?

- Żeby się rozruszać.

- A potem kobiety?

- Jasne.

Janellen zagroziła mu drogę i zmusiła, by spojrzął jej w oczy.

- Nie pytałam cię, bo uważałam, że to twoja prywatna sprawa.

- Nie pytałaś mnie o co?

- O Larę Mallory .

- A o co chodzi?

- No widzisz, pomyślałam, że mógłbyś ...

- ... zająć miejsce Clarka w jej łóżku?

- Dlaczego tak brzydko się wyrażasz?

- Bo tak to widzę.

- Key!

- Muszę już iść. Nie zatrzymuj mnie.

*

Lara zerknęła najpierw zza firanki, żeby zobaczyć, kto dzwoni, po czym pospiesznie otworzyła drzwi.
- Janellen! - wykrzyknęła. - Tak się cieszę, że cię widzę. Wejdz. Wprowadziła nieoczekiwanego gościa do pokoju.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Zawsze wpadam bez zapowiedzi - stwierdziła Janellen.

- I tak nie mogłabyś się dodzwonić. Wyłączyłam telefon. Niektórzy dziennikarze nie rozumieją słowa "nie".

- Telefonują też do Keya.

Słyszając jego imię Lara poczuła się tak, jakby ktoś wbił jej strzałę prosto w serce.

Próbując zignorować ból, zdjęła stertę książek z krzesła.

- Usiądź, proszę. Napijesz się czegoś? Nie bardzo wiem, co jest w barku ...

- Nie, dziękuję - Janellen rozejrzała się wśród rzeczy porzucanych po pokoju.

- Co robisz?

- Pakuję się - odparła Lara z niewyraźnym uśmiechem, przysiadając na jednym z pudeł. Powolnym ruchem odgarnęła włosy do tyłu. Od chwili powrotu do domu nawet naj mniejszy wysiłek kosztował ją masę energii .

- Po co?

- Wyjeżdżam z Eden Pass.

Janellen była prawdopodobnie jedyną osobą w mieście, którą zmartwiła ta wiadomość. Na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie i obawa.

- Dlaczego?

- To chyba oczywiste - odparła Lara, nie ukrywając rozgoryczenia. - Tu nic się nie dzieje po mojej myśli.

Cl ark popełnił błąd zostawiając mnie tutaj. A ja źle zrobiłam zgadzając się na to.

W oczach Janellen pojawiły się łzy.

- Ludzie w tym mieście są tacy głupi - wydusiła. - Jesteś najlepszą lekarką, jaka kiedykolwiek tu pracowała.

- Opinia ludzi o mnie nie ma nic wspólnego z moimi zawodowymi kwalifikacjami. Wszyscy ulegli presji. Nie musiała wspominać, że to Jody Tackett sprawiła, iż mieszkańcy miasteczka zaczęli jej unikać.

Janellen doskonale o tym wiedziała. - Przykro mi - odparła ze skrucą.

- Wiem, co czujesz - rzekła Lara i obie uśmiechnęły się do siebie. Gdyby okoliczności były inne, z pewnością zostałyby najlepszymi przyjaciółkami.

- Jak się miewa twoja matka? Czy lekarstwa jej pomogły?

Janellen odpowiedziała, że Jody wraca do zdrowia. Lara nie lubiła rozwiewać złudzeń, ale wiedziała, że jako lekarka winna być szczerą.

- Cieszę się, że Jody czuje się lepiej, lecz wciąż musi uważać. Powinna brać lekarstwa, dopóki lekarz nie zmieni zaleceń. Dobrze by było, gdyby co jakiś czas robiła badania okresowe.

- Nie wydaje mi się, żeby mama się zgodziła. Ale postaram się nakłonić ją do tego. Rozmawiały jeszcze przez parę minut. Potem Janellen wstała. Przy drzwiach zatrzymała się.

- Widziałam twojego męża dziś rano w telewizji. Pokazywali jego spotkanie z prezydentem.

- Ja też to oglądałam.

- Reporter pytał go, dlaczego nie przyjechałaś z nim. Twój mąż odparł, że jesteś tak wstrząśnięta wydarzeniami na Montesangre, iż potrzebny ci odpoczynek.

Larę bolało, że Randall rozsiewał błędne informacje. W Houston przedstawiła mu jasno swoje racje i zamknęła się w sypialni. Randall sam pojechał na lotnisko i wszedł do samolotu lecącego do Waszyngtonu. Nie pożegnali się nawet.

Wyjaśnił jej nieobecność w ten sposób, by nie zaszkodzić sobie. Lara nie mogła nic na to poradzić. Nie miała najmniejszej ochoty na dalsze dyskusje z Randalle. Sprawa nie była tego warta. Mogła spotkać się z nim jedynie w sądzie na sprawie rozwodowej, a i tak wynająłaby wtedy adwokata, który wypowiadałby się w jej imieniu.

- To musiało być ... - zaczęła Janellen i przerwała. - Nie mogę sobie wyobrazić, jak się czułaś, gdy odkryłaś, że twój mąż żyje.

- Tak. Trudno to sobie wyobrazić.

Lara przypomniała sobie Randalla leżącego w wannie; swój krzyk, który odbił się echem od ścian wyłożonych błyszczącymi kafelkami. Potem trzask łamanego drewna, gdy Key wyważył drzwi. Poczula, jak obejmują ją ramionami, i oparła głowę na jego piersi. Nie była pewna, czy Randall żyje, czy tylko jej się tak wydawało.

Jednak on szybko odzyskał przytomność.

Od tamtej pory Key nie dotknął Lary. Nawet przypadkowo.
Nie potrafiła opisać szoku, jaki przeżyła po ponownym spotkaniu z mężem.
Powiedziała tylko:

- Byłam wstrząśnięta, gdy zobaczyłam go żywego.

- To zrozumiałe, ale nie wyglądasz na wytrąconą z równowagi. Dlaczego nie pojechałaś z nim do Waszyngtonu? - Janellen zorientowała się nagle, że wtyka nos w nie swoje sprawy. - Przepraszam, Laro. Nie powinnam zadawać takich pytań. - Nic nie szkodzi. Nic dziwnego, że cię to interesuje. Wyobraź sobie, że po prostu sama postanowiłam nie jechać z Randallem. Polityka to jego dziedzina, nie moja. Randall może wykorzystać swoją popularność jak tylko chce. Mnie to zupełnie nie pociąga.

- Podobnie jak Keya.

Lara znowu poczuła ukłucie w sercu.

- Sprawiał wrażenie, jakby zupełnie nie pasowało mu, że znalazł się nagle w świetle reflektorów. - Na twarzy Janellen pojawił się niepokój. - Znowu chce wyjechać. Na Alaskę. Powiedział mi o tym dziś rano. Zaproponowano mu pracę przy budowie rurociągu .

Lara nieznacznie pokiwała głową .

- Mówił, że zarobi nieźle pieniądze - podjęła Janellen. - A przy okazji chciałby zmienić otoczenie.

Powiedziałam mu, że dopiero co wrócił do kraju, ale on stwierdził, że Ameryka Środkowa się nie liczy.

Wolałabym, żeby nie wyjeżdżał. Ale teraz, gdy mama poczuła się lepiej, pewnie już nic go nie zatrzyma.

- Możliwe - odparła Lara bezbarwnym głosem.

- Tak się o niego martwię - mówiła dalej Janellen. - Z początku myślałam, że Key jest zwyczajnie zmęczony ... Tylko że on dotąd nie otrząsnął się z przygnębienia.

Lara poderwała się nagle.

- Czy Key jest chory?

- Nie, ale dziwnie się zachowuje. Ma smutne oczy. Nie krzyczy, kiedy się denerwuje. To do niego niepodobne.

- Rzeczywiście.

- Wygląda tak, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z kontaktu, do którego był podłączony .

Lara nie znajdowała odpowiedzi.

- Chciałam, żebyś o tym wiedziała - zakończyła zakłopotana Janellen. Wahała się jeszcze przez chwilę, jakby chciała coś dodać. Lara zastanawiała się, czy Janellen domyśla się, że coś łączyło ją z Keyem. - Kiedy wyjeżdżasz z miasta?

- Jeszcze nie wiem. Muszę najpierw wszystko spakować i skontaktować się z pośrednikiem w sprawie sprzedaży domu. - Przeprowadzisz się do Waszyngtonu?

- Nie - odparła Lara ostro i dodała łagodniejszym głosem: - Nie mam jeszcze konkretnych planów.

- Chcesz wyjechać i nie wiesz dokąd?

- Właśnie - odparła Lara uśmiechając się słabo.

*

Janellen wytrzeszczyła oczy ze zdumienia, lecz grzeczność nie pozwalała jej męczyć Lary kolejnymi pytaniami.

- Daj mi znać, kiedy będziesz znała swój nowy adres. Wiem, że Tackettowie napsuli ci dużo krwi, mimo to chciałabym utrzymywać z tobą kontakt.

- Ty nie masz z tamtymi sprawami nic wspólnego - odrzekła Lara. - Chętnie do ciebie napiszę.

Ucisnęła Janellen i odprowadziła ją do samochodu. Patrzyła, jak znika za rogiem.

Potem wróciła do domu i wolno zamknęła drzwi, zupełnie jakby zamykała pewien rozdział swego życia. Sądziła, że spotkanie z Janellen to jej ostatni kontakt z rodziną Tackettów.

Wieczorem Janellen tuliła się na sofie do Bowiego. Zgasili wszystkie światła. Tego dnia Jody wcześniej niż zazwyczaj zamknęła się w swoim pokoju. Keya jak zwykle nie było.

Bowie siedział w rozpiętej koszuli, wsparty na poduszkach, i trzymał Janellen na kolanach. Położyła głowę na jego ramieniu i głaskała go po nagiej piersi.

- Jestem taka smutna - wyszeptala. - Gdy zobaczyłam Larę wśród tych pudeł,

wydała mi się taka zagubiona. Jakby zupełnie nie wiedziała, co począć. - Może tylko ty tak to odebrałaś.

- Nie sądzę, Bowie. Ona chyba nie ma na świecie bratniej duszy.

- To bez sensu. Przecież właśnie się okazało, że jej mąż żyje.

- Mnie też to wydaje się dziwne. Dlaczego ona nie jest z Randallem? Gdybym myślała, że ty nie żyjesz, a potem by się okazało, że to nieprawda, nigdy już nie spuściłabym cię z oka. Tak bardzo cię kocham. -

Janellen uniosła głowę. - Pewnie doktor Mallory nie kocha już swojego męża. Może zakochała się w kimś

innym?

- Uspokój się. Wymyślasz jakieś niebywałe historie.

- Jak to?

- Pewnie wydaje ci się, że coś wydarzyło się pomiędzy panią Mallory i twoim bratem.

- Ty też tak myślisz? - spytała podekscytowana Janellen.

- Nie. Ale niektórzy tak uważają. Owszem, polecili razem do Ameryki Środkowej i schwytali ich partyzanci. Jakie to romantyczne. Nadaje się do filmu. Ale nie wyciągaj z tego przedwczesnych wniosków.

Janellen posmutniała. Istotnie przypuszczała, że Key i Lara mieli romans.

- Oboje po powrocie sprawiają wrażenie nieszczęśliwych. Key nie może usiedzieć na miejscu.

- Zawsze go gdzieś nosiło. Sama mi o tym mówiłaś.

- Teraz jest inaczej. On wcale nie wychodzi na spotkanie nowej przygody, ale ucieka od czegoś. A doktor Mallory zachowuje się podobnie. Nie wygląda na kobietę, która odzyskała swojego ukochanego. -

Janellen skrzywiła się. - Po tym, jak zobaczyłam go w telewizji, wcale się jej nie dziwię. Ten Randall gada jak stuknięty. Poza tym nie jest taki przystojny jak Key.

Bowie zaśmiał się po cichu.

- Wszędzie wędzysz jakieś romanse, wiesz o tym?

- Key powiedział, że jestem zakochana i chcę, żeby wszyscy byli szczęśliwi. Miał rację. Tak, kocham cię.

- Spojrzała Bowieemu czule w oczy. Ujęła w dłonie jego twarz i spytała poządliwie: - Kiedy?

Często zadawała to pytanie i zawsze rozumieli się bez zbędnych słów. Tym razem Bowie wyplątał się z objęć Janellen, wstał i zaczął zapinać koszulę.

- Musimy porozmawiać - oznajmił.

- Nie chcę więcej dyskutować. Pragnę cię. Dopóki mogę być z tobą, wszystko mi jedno, gdzie to się stanie.

Bowie odwrócił wzrok.

- Myślę, że znalazłem w końcu miejsce.

- Bowie! - Janellen z trudem się opanowała, żeby nie wykrzyknąć z radości.

- Gdzie? Kiedy tam pójdziemy? Dlaczego do tej pory mi nie powiedziałaś?

Bowie postanowił odpowiedzieć najpierw na ostatnie z jej pytań.

- Ponieważ coś jest nie tak, Janellen.

- Jak to? Nie podoba ci się tamto miejsce?

- Nie, pokój jest w porządku ... - Bowie przerwał rozdrażniony i potrząsnął głową. - Nie znoszę zakradać się tutaj każdej nocy jak jakiś głupi dzieciak, chować się w krzakach, rozmawiać szeptem, jakbyśmy siedzieli w kościele, a potem wychodzić tylnymi drzwiami. Mam tego dosyć.

- Ale skoro znalazłeś miejsce, do którego możemy iść ...

- Tam będzie jeszcze gorzej. Jesteś kobietą z klasą i nie powinnaś przemykać po cichu bocznym wejściem do motelu. - Bowie uniósł ręce, by powstrzymać protesty Janellen. - I jeszcze jedno. Myślisz, że uda nam się być razem tak, aby nikt się o tym nie dowiedział. Oszukujesz sama siebie. To się nie powiedzie. Mieszkam w Eden Pass wystarczająco długo, żeby wiedzieć, jak szybko rozchodzą się tutaj plotki. Za wiele ryzykujemy. Wcześniej czy później twoja mama dowie się o wszystkim. Pewnie pogoni mnie z pistoletem, albo naśle na mnie gliniarzy. Już nieraz wpadłem w tarapaty. Ale ty? Nigdy nie borykałaś się z takimi problemami. Nie będziesz wiedziała, jak sobie z nimi radzić.

- Miałam w życiu masę kłopotów.

- Ale nie takich, o jakich mówię.

Janellen słyszała od Keya, że mężczyźni nie lubią, kiedy kobiety płaczą. Z całych sił więc powstrzymywała łzy.

- Chcesz się mnie pozbyć, Bowie, prawda? Wymyśliłaś taką wymówkę, bo ci na mnie nie zależy? To mój wiek cię tak odstraszył?

- Co takiego?

Janellen zaczęła szlochać.

- O to chodzi, prawda? Chcesz się z tego wykręcić, ponieważ jestem od ciebie starsza. Bowie czuł się w równym stopniu zirytowany co zaskoczony.

- Jesteś starsza ode mnie?

- Tak. O trzy lata.

- Kto na to zwraca uwagę?

- Na pewno ty. Dlatego chcesz się wycofać. Mógłbyś mieć kobietę o wiele młodszą ode mnie.

- Bzdura!

Bowie zrobił kilka kroków, klnąc pod nosem. Wreszcie stanął przed Janellen i spojrzał na nią z rozdrażnieniem.

- Na Boga, co ci przyszło do głowy? Nie wiedziałem, ile masz lat, a nawet gdybym wiedział, nie sprawiłoby mi to żadnej różnicy. Znasz mnie chyba na tyle.

- W takim razie dlaczego mnie nie chcesz?

Złość Bowiego odpłynęła. Ukląkł przy Janellen i ujął jej dłoń.

- Jesteś dla mnie najważniejszą osobą na świecie. Raczej dam sobie odciąć rękę, niż pozwolę na to, żebyś cierpiała z mojego powodu. Dlatego nie powinienem w ogóle dopuścić, żeby to wszystko zaczęło się między nami. W chwili gdy pierwszy raz poczułem coś do ciebie, powinienem się być spakować i wyjechać z miasta. Dobrze o tym wiedziałem, ale nie mogłem się przemóc.

Bowie przerwał i patrzył na twarz Janellen tak intensywnie, jakby chciał dobrze ją zapamiętać. Dotknął jej drżących warg.

- Kocham cię bardziej niż samego siebie. Dlatego nie chcę włościć cię po wynajętych pokojach, ukrywać jak jakąś dziwkę i narażać na plotki.

Wstał i sięgnął po kapelusz.

- Nie wpakuję cię w takie bagno. Nie ma mowy, maleńka. - Założył kapelusz na głowę i mocno uściśnął ukochaną. - Żegnaj, nie spotkamy się więcej.

*

Lara oparła głowę o framugę drzwi.

- To nie jest dobry pomysł, Key.

- Możliwe.

Key wszedł do środka, nie zważając na opór Lary. Rozejrzała się jeszcze, by upewnić się, że nikt go nie zauważył i zamknęła za nim drzwi. Jej ostrożność i tak na nic by się nie zdała. Przed domem został bowiem żółty lincoln. Wszyscy w miasteczku wiedzieli, do kogo należał.

Gdy się odwróciła, Key stał oparty o szafkę. Jego koszula zwisała luźno, wyciągnięta z dżinsów. Włosy miał potargane. Wyglądał tak jak wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyła go w tym domu.

Tamtego wieczoru poprosił ją o whisky. Tym razem miał własną. Płyn zabułgotał w butelce, gdy Key uniósł ją do ust, aby się napić. Rana na jego skroni zrosła się, lecz skóra wokół wciąż pozostawała zaczerwieniona. Oczy patrzyły wyzywająco.

- Jesteś pijany.

- Owszem, jestem.

Lara skrzyżowała ręce na piersiach.

- Po co tutaj przyszedłeś?

- Nie wolno? A co się stało z szanownym ambasadorem Porterem? - spytał kpiąco.

- Pojechał do Waszyngtonu.

- Ale jutro wróci. Czytałem popołudniową gazetę: "Bohaterski dyplomata odwiedzi Eden Pass". Cholerne gówno.

- Jeśli wiesz, że go tu nie ma, dlaczego pytasz?

Key uśmiechnął się.

- Po to, żeby wyprowadzić cię z równowagi. By zobaczyć, czy twoje serce bije szybciej na wspomnienie jego imienia.

- Lepiej będzie, jeśli pójdziesz.

Lara odwróciła się do niego plecami i otworzyła drzwi.

Nie namyślając się długo, Key wyciągnął rękę i z hukiem je zatrzęsnał. Potem oparł dłonie o framugę i przycisnął Larę do drzwi. Patrzyli sobie w oczy.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie .

- Jakie pytanie?

- O twoją córkę. Wróciliśmy cali i zdrowi i teraz chcę wiedzieć, czy była dzieckiem Clarka?

Lara zastanawiała się, jakiej odpowiedzi Key oczekuje. Co powinna mu powiedzieć? Nagą prawdę?

Och, Boże, jaką poczułaby wtedy ulgę. Mogłaby wyjaśnić w pełni całą tę pogmatwaną sytuację, ujawnić wszystkie szczegóły. Może dzięki temu Key stałby się dla niej miłszy?

Sprawa jednak musiała pozostać sekretem.

Zwłaszcza dla Keya. Zwłaszcza teraz, gdy Lara wiedziała już na pewno, że go kocha.

- Ojcem Ashley był Randall - oznajmiła. W oczach Keya pojawiło się rozczarowanie.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście.

Wiedziała, że wiadomość wywarła na nim wrażenie, ale starał się tego nie okazywać.

- W takim razie wrobiłaś mnie w tę eskapadę? Bez sensu ryzykowałem dla ciebie życie.

- Nie namawiałam cię, żebyś jechał na Montesangre. Sam chciałeś. Nigdy nawet nie sugerowałam, że Ashley to córka Clarka.

- Także nigdy nie zaprzeczałaś. - Key przysunął się jeszcze bliżej. Poczula jego oddech cuchnący gorzałką. - Niezła z ciebie bestia. Sprytnie to wszystko wymyśliłaś. Na początku nie potrafiłem zrozumieć, jak mój trzeźwo myślący brat mógł się wplątać w romans z żoną swojego najlepszego przyjaciela. Pewnie wypróbowałaś na nim wszystkie swoje uwodzicielskie sztuczki, prawda? Oglupiłaś go zupełnie. Potem zmusiłaś biednego, starego Randalla, żeby z tobą został. Niezła zagrywka. Randall to kutas i kłamca, ale nawet on nie zasłużył na takie traktowanie.

Key chwycił Larę w tali i nagłym ruchem przyciągnął mocno do siebie. Muskał językiem jej szyję.

- Robisz z tym facetem co chcesz, prawda? Nie musisz zadzierać kiecki, żeby jadał ci z ręki, co?

Lara zacisnęła oczy. Oskarżenia raniły ją, tym bardziej że wypowiadał je Key.

Key, który tyle razy ryzykował, aby ją ocalić; który był czuły i namiętny, gorliwy i kochający; którego dotyk wciąż czuła na sobie i którego głos nawiedzał ją w snach.

Pogardził nią, ponieważ wierzył w to, co nie było prawdą. Nie mogła wyprowadzić go z błędu - bardziej dla jego własnego dobra niż ze względu na siebie samą.

Pragnęła go rozpaczliwie. Ale nie w ten sposób. Potrafiła znieść pogardę całego świata, ale właśnie od niego oczekiwała ciepła.

- Chcę, żebyś poszedł.

- Pewnie, do cholery! - Key odstawił butelkę i wsunął Larze rękę pod spódnicę. - Wciąż czuję twój zapach, twój smak. Wciąż o tobie myślę - jego usta wpiły się w jej wargi ze złością. - Chryste, muszę o tobie zapomnieć.

- Key, przestań! - Lara zacisnęła uda.

- No co? Przecież nieraz już to robiłaś.

Strząsnęła rękę Keya, która ścisnęła jej pierś.

- Zostaw mnie!

- Jesteś mi coś winna, pamiętasz? Nie chcę forsy. - Siłą wcisnął rękę pomiędzy jej uda i zaczął ją pieścić.

- Wolę to.

- Nie!

- Nie martw się. Wyjdę przed wschodem słońca. Tym razem twój mąż cię nie przyłapie. Jestem sprytniejszy od swojego brata. No i lepszy w łóżku, prawda?

- Nie, nie jesteś - wykrzyknęła nagle. - Clark nigdy nie próbował mnie zgwałcić. Key otrzeźwiał w jednej chwili, jakby Lara wylała mu na twarz kubel zimnej wody.

Puścił ją i odsunął się. Oddychał ciężko i głośno.

Lara dobrze знаła przyczyny jego agresji. Była bardziej smutna niż rozgniewana.

Pragnęła dotknąć jego twarzy, odgarnąć wilgotne kosmyki włosów przylegające mu do czoła. Uspokoić go, powiedzieć, że strasznie żałuje, iż musiała zranić go tak brutalnie - porównując z Clarkiem.

Nie zrobiła tego jednak. Patrzyła, jak usta Keya wykrzywiły się z odrazą, gdy spojrzał na nią.

- No jasne, że nie próbował. Teraz możesz być już spokojna. Masz mnie z głowy. Chwycił klamkę za jej plecami i otworzył drzwi. Omal nie potknął się o butelkę whisky. Kopnął ją z całej siły. Uderzyła o ścianę i rozbiła się.

Zbiegł po schodach i wszedł do lincolna. Włączył silnik. Koła wzniosły chmurę kurzu. Lara zamknęła drzwi, oparła się o nie plecami i przykucnęła na podłodze. Otuliła się ramionami, schyliła głowę i wybuchła przejmującym płaczem.

27.

A więc to tak? Dlatego nie chciałaś ze mną pojechać?

Randall wszedł do gabinetu Lary, gdzie pakowała właśnie książki i papiery.

Przyleciał do Dallas, tam wynajął samochód i po dwóch godzinach znalazł się w Eden Pass.

Kilka godzin przed jego przyjazdem mikrobusy pełne kamer i reporterów zjawily się przed kliniką.

Randalla zaraz otoczył tłum ludzi z aparatami i mikrofonami.

Jego wyczyny na Montesangre przyćmiły skandal, jaki wywołał romans jego żony z senatorem Tackettem. Potraktowano Randalla jak niesforne dziecko, które otrzymało już swoją karę. Prezydent i inni politycy zachowywali się wobec niego wyrozumiale. Randall poznał od podszewki Montesangre i stał się

głównym ekspertem od spraw tego kraju. Stał się kimś ważnym.

Lara zamknęła się w pokoju, gdy jej mąż brał udział w zaimprovizowanej konferencji prasowej. Przez kilka minut odpowiadał na pytania, a potem stwierdził:

- Po powrocie mieliśmy z żoną bardzo mało czasu dla siebie. Jestem pewien, że mnie zrozumiecie.

Dziennikarze ponarzekali chwilę, po czym wsiedli z powrotem do samochodów i odjechali. Wielu z nich krzyczało i machało na pożegnanie, całkiem jakby życzyli Randallowi powodzenia.

Zapał zmierzch, lecz Lara nie zapaliła światła. Półmrok bardziej pasował do jej nastroju. Skrywał także ciemne kręgi pod jej oczami.

Wiedząc, że nigdy już nie zobaczy Keya, płakała długo po jego wyjściu poprzedniej nocy. Nienawidził jej.

Dlatego odszedł. Czowała potworny ból z powodu jego utraty. Podobna rozpacz ogarnęła ją wtedy, gdy odzyskała przytomność w Miami i uświadomiła sobie, że koszmar miał miejsce w rzeczywistości.

W końcu wyczerpana płaczem powlokła się do łóżka i leżała tam, nie mogąc zasnąć, aż do świtu. Cały dzień spędziła na pakowaniu swoich rzeczy. Od czasu do czasu przystawała z bezradnie opuszczonymi rękami i patrzyła bezmyślnie w okno.

Mrok sprawił, że gabinet stał się przytulniejszy, ciepły i bezpieczny. Dawał schronienie przed ogarniającą Larę rozpaczą. Zdążyła polubić wyłożony boazerią pokój doktora Pattona i masywne meble. Żałowała, że przyjdzie jej opuścić to miejsce.

- Straszna prowincja - stwierdził Randall siadając w skórzanym fotelu.

- Mnie się tu spodobało - odparła.

- Mówię o całym miasteczku. Zupełnie do ciebie nie pasuje.

- Ludzie chorują nie tylko w wielkich miastach. Mogłabym tutaj praktykować z powodzeniem. - Lara zamknęła wieko tekturowego pudła i zakleiła je taśmą. - Gdyby dano mi szansę.

- Rozumiem. To terytorium Tackettów.

- Owszem.

- Zaciekawilo mnie coś. - Randall z nonszalancją założył nogę na nogę. - Dlaczego, na Boga, mając wolny wybór, zdecydowałaś się na to miejsce w Teksasie? - spytał wyraźnie zde gustowany. - Czemu zamieszkałaś w mieście, w którym tobą pogardzano? Czy masz skłonności do masochizmu?

Lara nie miała zamiaru opowiadać Randallowi o trzech ostatnich latach swojego życia. Nie miała także ochoty pozwolić mu zostać w swoim domu. Jednak zanim go stąd wyrzuci, chciała, by się czegoś dowiedział.

- To nie było łatwe - zaczęła. - Nawet po tym, co przesłama po utracie dziecka i męża, ludzie nie dali mi spokoju. Wciąż uważali mnie za kochankę Clarka. Ubiegałam się o pracę w szpitalach w całym kraju. Zdarzało się, że zatrudniali mnie na podstawie samych listów uwierzytelniających. Jednak w chwili, gdy skojarzyli doktor Larę Mallory z żoną Randalla Portera, prosili mnie, żebym zrezygnowała z pracy dla dobrej firmy. Coś takiego zdarzyło się przynajmniej dziesięć razy.

- I w końcu dałaś spokój? Pewnie utrzymywałaś się z pieniędzy, które wypłacono ci jako odszkodowanie po mojej śmierci. Ale to wciąż nie wyjaśnia, dlaczego zdecydowałaś, osiąść tutaj.

- Nie kupiłam sama tego domu. Dostałam go od Clarka. - Lara zamilkła i po chwili podjęła. - To jedno z jego ostatnich rozporządzeń przed śmiercią. Zapisał mi ten dom w testamencie.

Parę minut zabrało Randallowi przetrwanie nowiny. Odetchnął głęboko.

- Pewnie chciał odkupić w ten sposób swoje grzechy. Wzruszające.

- Mogę tylko zgadywać, jakie były jego intencje. Ale owszem, myślę, że czuł, iż jest mi coś winien.

- Zapewne sądzisz, że ode mnie także ci się coś należy. Pojechałaś przecież ze mną na Montesangre.

- Owszem. Posłuchaj, chciaabym się z tobą rozwieść.

- Nie zgadzam się.

- Nie możesz tego zrobić - powiedziała Lara gwałtownie. - Razem z Keyem uwolniliśmy cię z więzienia w tym nieszczęsnym kraju. A może już o tym zapomniałeś? Czy sława zmaćiła ci pamięć?

Na twarzy Randalla pojawił się kpiący nśmiech.

- Och, Laro, jesteś taka naiwna - powiedział. - Po tym wszystkim, co przeszłaś, wciąż dajesz się nabierać. Czy bolesne doświadczenia nie nauczyły cię niczego? Nie ma przecież dymu bez ognia. - Leniwie zatoczył ręką koło. - Czy nie nauczyłaś się nie zwracać uwagi na pozory i widzieć rzeczy takimi, jakie są naprawdę?

- Nie wiem, o czym mówisz, Randall.

- Czy rzeczywiście myślisz, że to ty i ten narwany pilot sprawiliście, iż mnie uwolniono?

Jego głos był cichy i pewny siebie. Lara poczuła dreszcz na plecach. Ogarnął ją niepokój.

- Co powiedziałaś?

- Pomyśl, Laro. Chodziłaś przecież do szkoły. Z pewnością możesz trochę ruszyć głową.

- Że na Montesangre ...

- No, no - rzekł Randall zachęcająco. - Mów dalej.

- Emilio ...

- Świetnie. Jesteś blisko. Wytęż jeszcze trochę swój mózdek.

Jakieś mętne myśli snuły się Larze po głowie. Nagle doznała olśnienia.

- Wcale nie byłeś jego więźniem.

Randall roześmiał się.

- Wreszcie na to wpadłaś. Nie chcę być niegrzeczny, ale to nie wy ocaliliście mi życie. Mój "plan pięcioletni", jak go nazwałem, mógł zostać zrealizowany przy każdej nadarzającej się okazji. Wraz z Emiliem wykorzystaliśmy jedynie waszą nieszczęsną wizytę na Montesangre jako pretekst. W ten sposób cała historia stała się bardziej przekonującą.

- Lara spoglądała na mężczyznę, którego kiedyś poślubiła, i zdała sobie sprawę, że patrzy w oczy szaleńca. Był doskonale opanowany, dokładny i cholernie cwany. Typowy przykład najgorszego łajdaka.

- A więc to wszystko kłamstwo? - wyszeptała. Randall wstał z fotela i podszedł do Lary.

- Od tamtego dnia w Wirginii pomiatano mną w Waszyngtonie. Clark miał potężnych sojuszników. Na jego prośbę prezydent mianował mnie ambasadorem, choć w duchu wątpił w uczciwość senatora Tacketta. Udałem, że przyjmuję to z pokorą i wdzięcznością, jakby wyrządzili mi jakąś wielką przysługę. W rzeczywistości gryzłem się tak samo jak ty, bo wiedziałem, że jest to forma wygnania. Wkrótce po objęciu stanowiska na Montesangre zacząłem obmyślać sposób, jak wrócić do Waszyngtonu jako bohater. Emilio był inteligentnym chłopcem, który miał swoje własne ambicje. Zaspokojone zresztą wraz ze śmiercią pereza.

- Zamordował go.

- Nazwij to, jak chcesz. Wspólnie wymyśliliśmy korzystny dla nas obu plan. Moja "ucieczka" musiała zostać starannie przygotowana. Po powrocie do Stanów, zamiast wzbudzać niechęć do moich oprawców, miałem nalegać, by odesłano mnie z powrotem na Montesangre na stanowisko ambasadora. Miałem nawiązać stosunki dyplomatyczne z nowym reżimem.

Lara machinalnie skierowała się w stronę telefonu.

- Reżimem Emilia.

- Właśnie. No i tak się wkrótce stanie. Mając poparcie Stanów Zjednoczonych, Emilio zdobędzie całkowitą kontrolę nad republiką. Dzięki mnie Ameryka zawrze pokój z wrogim krajem. Ktoś z pewnością doceni moje wysiłki. Mam widoki na lukratywną posadę. Ludzie jeszcze będą mi się kłaniać.

- Jesteś szalony.

- Jestem przebiegły jak lis, Laro. Zapewniam cię, że wszystko dobrze przemyślałem. Mój plan powiódł się w stu procentach. Potrzebuję teraz kochającej żony ... jak każdy wzorowy dyplomata. Tak więc, kochanie, pozostaniesz wierna i cicha u mego boku, będziesz uśmiechać się do dziennikarzy, pozdrawiać tłumy i robić wszystko, co ci każę. Zapomnij o innych sprawach.

Lara wybuchnęła śmiechem.

- Randall, jesteś zdrajcą i w dodatku masz manię wielkości. Czy naprawdę myślisz, że wezmę udział w tej farsie?

- Oczywiście - odparł spokojnie. - Nie masz wyboru.

- Gwiżdżę na to wszystko. Powiem im, jak okrutny jest Emilio. Opowiem ...

- Kto ci uwierzy? - Randall ironicznie pokiwał głową. - Kto uwierzy choć w jedno słowo kobiety przyłapanej w łóżku z senatorem Tackettem? Nikt nie potraktuje cię poważnie.

Popatrzył na telefon, przy którym stała Lara.

- Wiem, że masz ochotę gdzieś zadzwonić. Dzwoni. Zrobisz tylko z siebie pośmiewisko. Kto uwierzy, że ambasador Stanów Zjednoczonych wywołał rewolucję w jakiejś tam republice?

- Wywołał rewolucję? O czym ty mówisz? Rewolucja zaczęła się, kiedy ... kiedy nasz samochód ... Nie, chwileczkę. - Lara podniosła rękę, jakby chciała obronić się przed natłokiem splątanych myśli. Nie mogła ich uporządkować.

- Wolno myślisz - stwierdził Randall słodko. - Pobyt za granicą chyba ci nie posłużył. Słuchaj, wspominałem ci o "planie pięcioletnim". Ten pomysł zrodził się w mojej głowie, gdy przyjechaliśmy na Montesangre, a nie wtedy, kiedy mnie porwano.

Serce Lary zaczęło bić szybciej. Chwyciła się za gardło, z trudem przetykała ślinę.

Czuła, że zetknęła się z czymś niewyobrażalnym.

Nagle prawda dotarła do niej z całą siłą. Opadła mgła przysłaniająca jej pamięć.

Wyraźnie przypomniała sobie chwile poprzedzające zamach.

Bawiła się z Ashley siedzącą na tylnym siedzeniu. Samochód zbliżał się do skrzyżowania. Kiedy zwolnił, otoczyli go uzbrojeni mężczyźni. Zastrzelili kierowcę. Opadł bezwładnie na kierownicę.

Lara krzyknęła. Wtedy Randall odwrócił się, spojrział na nią i powiedział: "Żegnaj, Laro". Potem zupełnie spokojnie uśmiechnął się.

Lara oddychała teraz szybko.

- Wiedziałeś! - wrzasnęła. - Razem z Ernilem zaplanowałeś ten napad! Zabiłeś nasze dziecko!

- Zamknij się! Chcesz, żeby wszyscy sąsiedzi cię usłyszeli?

- Chcę, żeby usłyszał mnie cały świat.

Randall zatkał jej usta ręką.

- Idiotko - rzekł cicho. - Nie zamierzałem zabić dziecka. Ta kula nie była przeznaczona dla Ashley.

Lara nawet przez sekundę nie zastanawiała się, co to miało oznaczać. Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu futerału od aparatu. Leżał na biurku, tam gdzie go zostawiła w dniu, gdy wróciła z Montesangre.

Włożyła rękę do środka i zacisnęła palce na rewolwerze. Wyciągnęła go błyskawicznie i skierowała lufę prosto w pierś Randalla.

*

- Możesz jeszcze zmienić zdanie. Janellen uśmiechnęła się do Bowiego.

- Nie zrobię tego. Jestem absolutnie pewna swojej decyzji. Poza tym to ty byłeś przeciwny. Przekonałam cię w końcu, nie zamierzam więc wycofać się teraz ani pozwolić, abyś ty dał nogę. - Wzięła go za rękę i oparła głowę o jego ramię. - Jedziemy, panie Cato. Chciałabym się już tam znaleźć.

- A jeśli ktoś zobaczy, że prowadzę twój samochód?

- Jest ciemno. Nikt nas nie dostrzeże. A nawet jeżeli ... Pomyślą, że to Key znów cię poprosił, abyś chronił mnie przed dziennikarzami.

- Tak, widziałem ich dzisiaj pełno w mieście.

- Pewnie mieli nadzieję, że uda im się zobaczyć pana Portera. - Twarz Janellen nagle posmutniała. -

Mama oglądała go w telewizji. Wpadła potem w ponury nastrój.

- Dlaczego?

- Ponieważ przypomniał się jej ten cały skandal, w który zamieszany był Clark. Zostawiła kolację na talerzu i poszła na górę do swojego pokoju.

- Czy Maydale zjawiała się, zanim wyszłaś? - spytał Bowie.

- Tak. Miała zostać na noc. Powiedziałam jej, że jadę do Longview na seminarium.

- A co z Keyem?

- Key zwykle wraca do domu nad ranem, a czasami nawet później. Podobno gra w pokera z Balkym. Często tam nocuje, bo nie chce mu się wracać. Nie dowie się, że mnie nie ma.

Bowie spoglądał nerwowo na każdy przejeżdżający samochód.

- Mam złe przeczucia - powiedział.

- Wiesz co, Bowie - westchnęła Janellen udając rozgniewaną - jesteś największym pesymistą, jakiego znam. Jeszcze parę miesięcy temu odsiadywałeś wyrok. Ja także żyłam w swojego rodzaju więzieniu. Teraz nasze życie się zmieniło.

- Jeśli zostaniesz ze mną, to moje ci się wieść różnie - rzekł Bowie ponuro.

- Mówiłam ci już tysiąc razy, że gwizdżę na to. Moja rodzina miała dużo pieniędzy, ale nie była szczęśliwa. Rodzice nie kochali się. Wiedzieliśmy o tym ... moi bracia i ja. Czuliśmy, że nie ma między nimi miłości. Clark wyrósł na człowieka, który nie potrafił wybaczyć sobie nawet najdrobniejszego błędu. Key rzucił się w drugą skrajność: żyje tak, jakby o nic nie dbał. Jednak moim zdaniem to tylko mechanizm obronny. Key przed wszystkimi ukrywał, jak bardzo cierpiał po śmierci ojca, odrzucony przez matkę. A ja stałam się nieśmiałą, zamkniętą w sobie gąską, która bała się mówić głośno. Uwierz mi, Bowie, za pieniądze nie da się kupić szczęścia ani miłości. Wolę ciebie od bogactw całego świata.

- Nigdy nie zaznałaś biedy.

W podobny sposób dyskutowali już wiele razy, wciąż wyciągając te same argumenty. - Bowie, dokładnie wiem, co robię. Jestem dorosła. Kocham cię do szaleństwa i myślę, że ty też mnie kochasz.

Spojrzał na nią i odparł poważnym głosem: - Wiesz przecież, że tak.

- To pozwoli nam stawić czoło wszelkim trudnościom. Poradzimy sobie razem ze wszystkim.

Bowie jęknął. - Kusisz los.

- Bowie - odparła Janellen śmiejąc się - ale z ciebie smętek.

*

Darcy weszła do "T.P." i ujrzała Keya. Siedział samotnie przy końcu baru, pochylony nad swoim drinkiem jak głodny pies nad kością.

Darcy była tego dnia w pogodnym nastroju. Fergus wybrał się na zebranie w szkole, które zwykle przeciągało się do późna. Mogła spokojnie wyskoczyć na miasto.

Heather miała dyżur w motelu. Darcy wydała ponad siedemset dolarów, aby wyszykować córkę na bal semestralny. Fergus dostałby rozstroju nerwowego, gdyby się o tym dowiedział. Jednak Darcy uważała ten wydatek za świetną inwestycję. Jeśli Heather ponownie zostanie uznana za najładniejszą dziewczynę w szkole, to splendor spłynie też na jej matkę.

Mimo iż Darcy co roku jeździła nowym samochodem, należała do miejscowego klubu, nosiła drogie ubrania i mieszkała w największym domu w Eden Pass, wciąż wykluczano ją z pewnych kręgów towarzyskich.

Postanowiła zmienić ten stan rzeczy przy pomocy swojej córki. Dzięki Heather mogła się wkręcić do grona miejscowej elity, nawet gdyby miała w tym celu skorzystać z bocznych drzwi.

Key nie wyglądał na zachwyconego, mimo to Darcy postanowiła do niego podejść. Co z tego, że ostatnim razem, kiedy się z nim widziała, groził, że ją zabije. Teraz nie wiodło mu się zbyt dobrze. Dostał w kość, może więc trochę zmądrzał? - pomyślała.

Usiadła na stołku tuż obok Keya.

- Cześć, Hap. Daj mi białe wino z lodem. - Barman odwrócił się, żeby nalać jej drinka. Zerknęła na Keya. - Wciąż się na mnie gniewasz? - zagadnęła.

- Nie.

- Och? Nauczyłeś się wybaczać?

- Nie, po prostu nie muszę się mścić. W przeciwieństwie do ciebie.

Darcy stłumiła złość, uśmiechnęła się do Hapa, gdy podawał jej kieliszek, i napiła się.

- Nie dziwię się, że jesteś w takim paskudnym nastroju. - Odwracając się w stronę Keya, trąciła kolanami jego nogi. - To musiał być poważny wstrząs, gdy odkryliście, że mąż doktor Mallory nagle zmartwychwstał.

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać.

- No jasne. To drażliwy temat. Czy przynajmniej przeleciałeś ją wcześniej?

Key zacisnął zęby, a Darcy potraktowała to jako twierdzącą odpowiedź na swoje pytanie. Stąpiła po cienkim lodzie. Ale jedyną rzeczą, jakiej naprawdę nie mogła ścierpieć, była obojętność mężczyzn.

Wolała już, żeby ją znieważali lub nienawidzili, niż ignorowali. Poza tym, zżerała ją ciekawość.

- Była taka dobra w łóżku, jak myślałeś? A może lepsza?

Pewnie lepsza - stwierdziła obserwując zachowanie Keya. Jednym haustem dopił swego drinka i gestem pokazał barmanowi, że chce następnego. W miasteczku już od dawna krążyły plotki i tylko zupełny głupiec zdecydowałby się wejść w drogę Keyowi Tackettowi. Zdenerwowany był groźny dla każdego. Wczoraj w południe na samym środku Texas Street powiedział jednemu dziennikarzowi, że wsadzi mu aparat w tyłek, jeśli ten nie przestanie mu robić zdjęć. Później wdał się w bójkę u Bobby'ego z jakimś facetem, który zaparkował swój samochód zbyt blisko lincolna. Świadczenie tego zdarzenia twierdzili, że minie dużo czasu, nim ten człowiek przyjedzie znowu do Eden Pass.

Mówiono, że Key chodzi ciągle zawiany i spędza większość czasu na lotnisku okręgowym z tym dziwnym typem, Balkym Willisem. Ktoś rozpowiadał też, że Key o czwartej w nocy strzelał do latarni na stadionie.

Gdyby Lara Mallory rozczarowała go w łóżku, nie przejąłby się powrotem jej męża.

Musiał się w takim razie zdarzyć inaczej, skoro Key chodził taki wściekły.

Darcy miała okazję przekonać się teraz na własne oczy, że syn Jody Tackett rzeczywiście zdrowo popija. Zazdrość sprawiła, że stała się lekkomyślna. Zaryzykowała jeszcze jedno podejście.

- Teraz już wiesz, dlaczego twój brat poświęcił dla niej karierę. Ciekawe, kto lepiej się spisał?

Rozmawialiście o tym?

- Odpiardol się, Darcy.

Roześmiała się.

- A więc tak. To interesujące. Troje ludzi w jednym łóżku. Trochę tłoczno. Key odwrócił głowę i spojrzał na Darcy z nienawiścią.

- Z tego, co wiem, zaliczyłaś już parę trójkątów.

Poczerwieniła ze złości, ale zaraz się uspokoiła. Uśmiechnęła się uwodzicielsko.

Pochyliła się w stronę Keya, dotykając pierściami jego ramienia.

- Zgadza się. I nieźle się bawiłam. Powinieneś kiedyś spróbować. A może już rzeczywiście to zrobiłeś?

- Nie na tym kontynencie. Znowu się roześmiała.

- Brzmi to fascynująco - pociągnęła Keya za rękaw. - Jestem ciekawa, jak to się odbyło. Lubię pikantne historyjki .

Key milczał. Darcy sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej klucz. Zadyndała nim przed nosem Keya.

- Jestem żoną właściciela motelu. To daje wiele możliwości. Ten klucz otwiera drzwi do wszystkich pokojów. - Oblizwała wargi. - Co ty na to?

Wyprostowała się na chwilę, naprężyła biust i popatrzyła wyzywająco.

- No, Key. Dobrze się między nami układało. O co jeszcze chodzi?

Key dokończył drinka. Rzucił na bar kilka monet i popchnął Darcy w kierunku drzwi. Odezwał się dopiero na ulicy.

- Twoim samochodem czy moim?

- Moim. To twoje żóhe cacko widać na kilometr. A jeśli ktoś zobaczy mój wóz przed motelem, nie zdziwi się wcale.

Gdy wsiedli do auta, Darcy pocałowała Keya w usta.

- Tęskniłeś za mną prawda? Wiem, że tęskniłeś.

Osunął się na swoim siedzeniu i patrzył tępo przed siebie.

Darcy uśmiechnęła się zadowolona. Key dąsał się, ale zamierzała go niebawem rozruszać. Miała zamiar udowodnić, że można przelicytować Larę Mallory.

Cadillac pomknął w stronę motelu "The Green Pine".

*

Jody dobrze znała Janellen. Dziewczyna była dobra, lecz nie grzeszyła przebiegłością.

Często gubiła się w trudnych sytuacjach. Nakłaniała Jody do jedzenia, prosiła, by przestała palić, by kładła się do łóżka, i budziła ją rano. Zachowywała się niczym matka.

Jednak tego wieczora - gdy matka ponownie odmówiła zjedzenia kolacji - Janellen upominała ją jakby bez większego przekonania. Jody już wcześniej zauważyła zmianę w zachowaniu córki. Janellen, jak nigdy dotąd, zaczęła dbać o swój wygląd. Malowała się i kazała sobie zrobić nową fryzurę. Ubierała się inaczej niż dotychczas: śmieiej i bardziej kolorowo.

Teraz również śmiała się częściej. Zachowywała się czasami jak trzpiotka.

Przyjaźnie odnosiła się do tych ludzi, których wcześniej unikała.

W jej błyszczących oczach pojawił się figlarny błysk. Z każdym dniem stawała się coraz bardziej podobna do Keya. I swego zmarłego ojca. Po raz pierwszy w życiu Janellen miała sekret przed matką.

Jody przypuszczała, że chodzi o mężczyznę.

Podsłuchiwała, jak Janellen opowiadała Maydale jakieś banialuki o seminariulf w Longview. Było oczywiste, że wybiera się na randkę ze swoim facetem. I to prawdopodobnie do tego samego motelu, gdzie jej ojciec spotykał się kochankami. Jody skrzywiła się z niesmakiem. Czuła, że musi zapobiec temu, by jakiś lasy na pieniądze Casanova nie zrujnował Janellen życia.

Jody zajmowała się wszelkimi rodzinnymi sprawami od chwili, gdy wyszła za mąż.

Czym byliby teraz Tackettowie, gdyby nie jej rozważa? Los bywał kapryśny. Woląta więc brać sprawy we własne ręce.

Tego wieczora wpadł jej do głowy pewien pomysł.

*

Fergus Winston bujał myślami w obłokach, zaśluchany w niebiańskie dźwięki pieśni śpiewanej przez szkolny chór. Szybko jednak skupił się na sprawach, które uważał za konkretne: na pieniądzach. Tego lata jego motel zanotował wysokie obroty - nad tutejsze jeziora przyjechało wielu turystów i wędkarzy. Poważnie rozważał sugestię Darcy, by zorganizować w motelu salę rekreacyjną.

O tak, Darcy nie brakowało dobrych pomysłów, które potem przynosiły sporo korzyści finansowych .

Z drugiej jednak strony potrafiła też wydawać lekką ręką jego pieniądze. Fergus nie uważał się bynajmniej za skapca. Nie był też takim głupcem, jak sądzili ludzie w Eden Pass. Kochał swoją żonę i przymykał oko na jej przygody z innymi mężczyznami. Bolało go, że szuka towarzystwa innych facetów, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby odeszła od niego na zawsze.

Wyczytał kiedyś w pewnej książce psychologicznej, że przyczyną dziwnego zachowania w dorosłym życiu najczęściej bywa trudne dzieciństwo. Bez wątplenia w przypadku Darcy właśnie to wchodziło w grę. Współczuł jej i to pogłębiało jednocześnie jego miłość do niej. Wybaczał jej wszystkie zdrady i nie zwracał uwagi na ludzi, którzy podkpiwali sobie z niego - starego rozacza.

Darcy naturalnie wydawało się, że Fergus nie wie, ile ona wydaje na siebie i córkę.

Mylili się jednak, była bystra i przebiegła, on jednak znakomicie potrafił liczyć. Przez lata nauczył się wiele na temat finansów. Wiedział, kiedy można zainwestować, a kiedy pozwolić sobie na zbytek.

Zaśmiał się teraz i zakaszłał. Po nauczce, jaką dawno temu dostał od Jody Tackett, odkładał sobie tysiąc dolarów każdego roku. Nie tracił nadziei, że kiedyś ujrzy Jody - swego śmiertelnego wroga - rozstającą się z życiem.

Tak, ostatnio podupadła na zdrowiu. Myślał, że może dane mu będzie wbić ostatni gwóźdź do jej trumny. Może powinien napisać jej szyderczy list z podziękowaniami.

Droga Jody. Zanim przeniesiesz się na zawsze do piekła, pragnąłbym ci podziękować.

Pamiętasz, jak wykiwałaś mnie kiedyś? Cóż, mam przyjemność zawiadomić cię, że ...

- Fergus? I co o tym sądzisz? - wyrwał go z zamyślenia głos sąsiada.

- Jeżeli nikt nie ma obiekcji, to uważam, że powinniśmy podjąć odpowiednie kroki.

Jego agent schował w aktówce dokumenty i dyskretnie ruszył do wyjścia. Fergus na nowo pograżył się w rozkosznych rozmyślaniach o zemście.

*

- To przez ciebie zabili Ashley - rzekła Lara głosem tak mocnym jak uścisk jej dłoni, w której dzierżyła rewolwer. - Ty łajdaku. Zamordowałeś moje dziecko. Teraz ja zabiję ciebie.

- Próbowałaś już tych sztuczek na Montesangre. Nikt ich nie wziął poważnie. Emilio cię przejrzał. Jesteś lekarką, nie potrafisz zabijać. Zbyt sobie cenisz ludzkie życie, by je komuś odbierać. Jednak nie wszyscy myślą tak jak ty. Wzniosłe ideały nie pozwalają ci osiągnąć celów. Tak naprawdę, Laro, liczy się tylko ostatni krok. To on decyduje o powodzeniu sprawy. Jeśli człowiek nie zdobędzie się na ostateczność, wszystkie jego wysiłki pójdą na marne. Teraz musiałabyś nacisnąć spust. Ale nie zrobisz tego. Nie potrafisz.

- Zabiję cię.

Randall jakby stracił nieco na pewności. Jego głos brzmiał jednak nadal stanowczo.

- Ciekawe jak? Rewolwerem bez naboju? Zapomniałaś? Bębenek jest pusty.

- Załadowałam go na nowo - odparła Lara i dodała: - Zabiję cię.

- Chyba żartujesz ...

- To twoje ostatnie słowa, Randall.

Ogłuszył ją potworny huk. Ciemność rozświetlił pomańczowy błysk. Larę rzuciło o ścianę. Ciężki rewolwer wypadł jej z rąk.

*

Włożył klucz do zamka. Nie dostrzeżeni przez nikogo weszli do apartamentu dla nowożeńców i zamknęli za sobą drzwi. Wyciągnął rękę, aby zapalić światło, ale gdy nacisnął włącznik, nic się nie zmieniło.

- Pewnie żarówka się przepaliła - powiedział.

- Przy łóżku stoi nocna lampka.

Przeszła po omacku przez pokój. On spróbował zapalić światło jeszcze raz. Przeskoczyła iskra: pokój eksplodował.

28.

Podmuchała Larę o ścianę. Pozbierała się jakoś po chwili i podpełzła do okna. Wyglądało to tak, jakby wybuch setki bomb wstrząsnął północną częścią Eden Pass.

Chwyciła podręczną apteczkę i wybiegła z domu. Znalazła się po drugiej stronie ulicy, nim jeszcze zapaliły się zielone światła. Pędziła co sił ku miejscu, skąd buchał czarny dym. Szybko się zorientowała, że potężna eksplozja targnęła motelem "The Green Pine".

Znalazła się tam tuż po przybyciu straży pożarnej i wozu patrolowego szeryfa Baxtera. Płomienie strzelały z jednego ze skrzydeł budynku. Ku granatowemu niebu tryskały co pewien czas snopy iskier. Lara przygotowana była na najgorsze.

- Czy są jacyś ranni?

Szeryf Baxter ledwie dosłyszał to pytanie. Na miejscu wypadku panowało straszliwe zamieszanie.

- Jeszcze nic nie wiemy. Jezu Chryste! Ale piekło.

Lara zdawała sobie sprawę, że miejscowa straż pożarna, utrzymywana głównie z prywatnych dotacji, nie ma szans opanować takiego pożaru. Przełożony brygady strażackiej wiedział to również. Nie posłał swych dzielnych, lecz kiepsko wyekwipowanych ludzi w ogień, tylko kazał im nie dopuścić do rozprzestrzeniania się płomieni. Postanowił ściągnąć posiłki z sąsiedniego miasta.

- Zawiadom też kogoś z Tackett Oil! - wrzasnął Baxter do swego zastępcy, Gusa. - W każdej chwili mogą zająć się pobliskie szyby.

- Szeryfie - zawołała Lara - czy mam postawić na nogi ludzi ze szpitala okręgowego?

Baxter przytaknął ruchem głowy.

Za pomocą policyjnej radiostacji szybko nawiązała kontakt. Pokrótce wyjaśniła, co się stało.

- Natychmiast wyślijcie karetki. Wyposażcie je w środki przeciwbólowe, bandaże i pojemniki z tlenem. Okazało się, że w pogotowiu czekały jedynie dwa ambulanse. Powiedziała, by powiadomili też inne szpitale.

- Także Tyler. Niech przysła tu helikopter. I przygotują się na przyjęcie ciężko rannych. Niech zgromadzą zapasy krwi i surowicy. I niech ściągną wszystkich swoich pracowników z domów. Mamy tu do czynienia z prawdziwą katastrofą.

- Tam! Szybko! - Baxter poganiał strażaków.

Dały się słyszeć krzyki ze skrzydła motelu, którego nie zniszczył wybuch. Lara patrzyła ze strachem, jak ochotnicy wbiegali do płonącego budynku. Ryzykowali życie. W każdej chwili mogła nastąpić następna eksplozja.

Mijały minuty dramatycznego oczekiwania. Wreszcie strażacy zaczęli wnosić z wnętrza ofiary katastrofy. Kilka osób wydostało się o własnych siłach - były jednak oszołomione, poparzone, krztusiły się dymem. Poleciała strażakom ulokować rannych na ziemi. Natychmiast zajęła się ofiarami.

Niektórzy z nieszczęśliwych odnieśli bardzo poważne obrażenia. Tym mogła obecnie dodawać jedynie otuchy.

Wkrótce rozległo się wycie syren. Zjawiły się pierwsze ambulanse. Pracownicy pogotowia zaczęli przenosić do karet najciężej uszkodzonych. Pielęgniarki zostawili Larze nieco środków do udzielania pierwszej pomocy i pomknęli z powrotem w stronę ambulansów, które następnie odjechały na sygnale.

Pozostali ranni patrzyli na Larę z bólem i nadzieją w oczach. Spadł na nią trudny obowiązek decydowania o tym, kto będzie miał pierwszeństwo - kto pierwszy winien znaleźć się w szpitalu.

Strażacy ponownie wbiegli do płonącego motelu. Wynieśli kolejnych uszkodzonych.

Dwie osoby znajdowały się w stanie szoku. Kilka innych krzyczało, jedna wyła w agonii. Kilkoro rannych straciło przytomność. Lara robiła wszystko co mogła w tych niewyobrażalnie trudnych warunkach, by przyjść rannym ze skuteczną pomocą.

Uklękła przy człowieku ze złamaną ręką. Zajęła się jej unieruchomieniem i naraz usłyszała obok siebie pisk opon. Odwróciła głowę sądząc, że nadjechał następny ambulans.

Z wozu wyskoczyła jednak Darcy Winston.

- Heather! - krzyczała. - Och, mój Boże! Heather! Czy ktoś widział moją córkę? Popędziła w kierunku budynku i rzuciłaby się wprost w ogień, gdyby nie powstrzymał jej jeden ze strażaków. Próbowała mu się wyrwać.

- Tam jest moja córka!

Lara rzuciła okiem na leżących rannych. Nie widziała wśród nich Heather Winston.

Jęknęła z rozpaczą:

- Dobry Jezu ...

I wtedy posłyszała głos Keya. Zorientowała się szybko, że przyjechał tu wraz z Darcy. Poprosiła go jednak:

- Pomóż mi, Key. Sama nie dam sobie rady.

- Wezmę helikopter. Po drodze zawiadomię siostrę, żeby tu przybyła. - Spojrzał w dal i dodał: - Chryste, jeśli te szyby ...

- Dali już znać firmie twojej matki.

- To szyb numer siedem. Zdaje się, że zajmował się nim Bowie. Zaraz pewnie się tu zjawi. Unieruchomi pompy i przybiegnie na pomoc.

Obiegł wóz Darcy i wskoczył za kierownicę.

- A ty? - spytał. - Nic ci się nie stało?

- Nie - odrzekła. - Zabierz tych ludzi do szpitala ...

- Zaraz tu wrócę. - Trzasnął drzwiami i odjechał. W tej samej chwili zjawiły się trzy nowe karetki.

Strażacy wynieśli z budynku kolejnych pięciu rannych, układając ich na trawniku.

Starsza kobieta zatrzała się dymem i czadem. Jej córka zanosila się szlochem. Inny człowiek, który cudem doznał ledwie paru zadrapań, wołał swoją matkę. Lara nie wiedziała, czy chodzi mu o kogoś z grona rannych.

- Ja się nim zajmę.

Słowa te wypowiedziała Marion Leonard. Lara otworzyła usta ze zdumienia, ale nie było czasu na zadawanie pytań.

- Dziękuję - odrzekła tylko.

Marion zaczęła uspokajać rozpaczającego młodzieńca. Po chwili zjawił się także Jack Leonard.

- Co mam robić, doktor Mallory? - zapytał.

- Proszę pomóc strażakom.

Skinął głową i pobiegł ku płonącemu motelowi. Lara zauważyła też Fergusa Winstona. Trzymał w objęciach żonę. Darcy uczepliła się poły jego płaszczka i płakała histerycznie.

- Jesteś tego pewien, Fergus? Możesz przysiąc? - pytała.

- Przysięgam. Heather zadzwoniła do mnie, że ma dziś wieczorem dodatkową próbę chóru.

Powiedziałem, że może wcześniej wyjść z pracy.

- Och, dzięki Bogu. Dzięki Bogu - mamrotała Darcy zalewając się łzami. Przytulił ją mocniej, gładził po włosach i policzkach, zapewniając, że ich córce nic się nie stało. Jednak na jego pociągłej twarzy i w jasnych oczach czaił się głęboki smutek. Patrzył na płomienie, które trawiły dorobek jego życia.

Lara uniosła głowę, słysząc charakterystyczny warkot. Przyleciał helikopter ratunkowy. Już po minucie miał na pokładzie dwoje rannych. Wkrótce potem Key wylądował innym śmigłowcem - tym samym, którym przewoził Letty Leonard. Lara kazała przenieść do niego dwie poszkodowane podczas wybuchu kobiety.

- Czy widziałeś tu Janellen? - krzyknął Key do Lary. Pokręciła głową.

- Nasza gosposia powiedziała, że Janellen pojechała do Longview - dodał i wzruszył ramionami. - Nikt w Tackett Oil nie wie też, gdzie podział się Bowie.

- Gdy ją zobaczę, to przekażę, że jej szukałeś.

W odpowiedzi uniósł kciuk.

- Wrócę jak prędko się da.

Potem wzbił się helikopterem w powietrze.

Lara ponownie zaczęła udzielać pomocy ofiarom eksplozji. Stwierdziła, że tylko niewielu z nich ma szansę przeżycia, i to pod warunkiem, że zostaną natychmiast przetransportowani do szpitala. Woliała nie myśleć, ilu czeka powolne konanie.

Wiele osób zaoferowało jej pomoc. Jimmy Bradley z dopiero co zaślubioną żoną Helen. Również Ollie Hoskins. Dzięki Bogu, na miejscu katastrofy znalazła się też jej była asystentka, Nancy Baker. Nancy nie przerażał widok krwi. Zachowała opanowanie, działała szybko i sprawnie. Inni mieszkańcy Eden Pass, którzy jeszcze niedawno odwracali się na widok Lary, teraz spieszyli jej z pomocą.

Tego krytycznego wieczora pracowało w motelu sześćcioro ludzi. Pokoje zajmowało osiemdziesięcioro dziewięcioro gości. Oraz dwoje, o których nikt nie wiedział.

Bowie Cato przeniósł swą oblubienicę przez próg pokoju dla młodych małżonków w hotelu na przedmieściu Shevenport.

- Och, Bowie, jak tu pięknie. - Janellen rozejrzała się po apartamencie, a potem popatrzyła przez okno.

- Robiłem zakupy w tej okolicy. Zatrzymałem się tu pewnej nocy w drodze do Luizjany, kiedy naczelnik więzienia udzielił mi przepustki.

- Zadałeś sobie tyle trudu.

- Warto było, skoro ci się tu podoba.

- Cudowne miejsce.

- Ale sporo kosztuje. Za dzienną opłatę można by przeżyć cały miesiąc.

Zaśmiała się i objęła go ramionami.

- Jak ładnie poprosisz swoją szefową, to na pewno dostaniesz podwyżkę.

- Nie chcę być faworyzowany - odpowiedział poważnie. - Nie poluję na posagi. Nie traktuję też naszego związku jako przelotnego romansu ... - Pokręcił głową. - Właściwie do tej pory nie rozumiem, jak to się stało, że jesteśmy razem.

- Nie chciałeś przecież, żeby o nas plotkowano. I powiedziałeś, że jedynym wyjściem jest ślub.

Ściągnął zaniepokojony brwi.

- Twoja mama może pokrzyżować nasze plany.

- Skądże. Jestem dorosła.

- Key może mnie zastrzelić.

- To wtedy ja zastrzelę jego.

- Nie żartuj sobie. Za nic nie dopuszczę, żebyś pokłóciła się ze swoją rodziną.

- Kocham ich, ale ty jesteś dla mnie najważniejszy, Bowie. Jesteś teraz mój, na dobre i na złe. - Niewinnie pochyliła głowę. - I chcę, żebyś teraz wziął mnie do łóżka.

Miała na nogach pantofle na wysokich obcasach i dorównywała mu w nich wzrostem. Pocałowała go

delikatnie w usta. Jęknął z rozkoszy i przyciągnął bliżej do siebie. Miał wielką ochotę na głęboki pocałunek, lecz coś go powstrzymało. Cofnął się.

*

- Pozwolisz, że zostawię cię teraz samą na chwilę?
- Po co?

Nerwowo wytarł wilgotne dłonie o spodnie.

- żebyś mogła ... Do licha, no nie wiem. Chyba musisz zrobić to, co inne młode panny. Myślałem, że powinnaś zostać przez chwilę na osobności.

- Och - na jej twarzy zagościł wyraz lekkiego zawodu - a ja miałam nadzieję, że sam mnie rozbierzesz.

- Jasne - odparł szybko. - To znaczy, jeżeli sobie tego życzysz.

Minęły sekundy odmierzane biciem ich serc i wtedy Janellen powoli przytaknęła ruchem głowy.

Rozluźnił palce niczym kasiarz, który zabiera się do obrobienia sejfów, i dotknął guzików jej bluzki - małych, perłowych guziczków, które zdążył już tak polubić.

Rozbierali się nawzajem powoli, stopniowo zapominając o skrępowaniu. Chociaż Janellen wychowała się z braćmi, to paliła ją dziecinna ciekawość. Pragnęła zobaczyć Bowiego bez osłonek, takiego jakim był naprawdę. Szepnęła mu, że jest piękny. On odpowiedział, że nie widział jeszcze cudowniejszej kobiety. I tym razem uwierzyła mu, ulegając jego pieszczotom. Czowała się przy im jak bogini, heroina najwspanialszego romansu.

- Nie chcę cię skrzywdzić, Janellen - wyszeptał, kładąc się na niej.

- Nie bój się.

Wszedł w nią głęboko. Chciała mu sprawić jak największą przyjemność, lecz on poprosił, żeby się rozluźniła i pozwoliła zrobić wszystko samemu. Usłuchała go. Ku obopólnemu zdumieniu osiągnęli szczyt w jednym momencie, krzycząc z rozkoszy.

Po wszystkim wypili butelkę szampana, którą przynieśli ze sobą do pokoju. Janellen wiedziała już, jakie imiona da swym dzieciom. Chciała mieć ich przynajmniej czworo. On zaklinał się, że do Dnia Świętego Walentego uzbiera tyle pieniędzy, by kupić jej złotą obrączkę - ona odparła na to, że wystarczy jej jego miłość. Czowała ją z każdym oddechem.

Upojeni seksem i szampanem rozmawiali półgłosem.

- Chcesz wziąć kąpiel, pooglądać telewizję czy robić jeszcze coś innego? - spytał .

- Coś innego.

Uśmiechnęła się doń lubieżnie, na przekór wszystkim matronom z Eden Pass, które dawno uznały ją za kostywną starą pannę, a potem wsunęła dłoń pod koc i śmiało zaczęła go pieścić.

- Dobry Boże - powiedział. - Nigdy bym nie przypuszczał, Janellen, że tak ci się to spodoba.

*

Gdyby Bowie i Janellen włączyli telewizor, zobaczyliby w wiadomościach reportaż z tragicznego pożaru w Eden Pass, który pochłonął już dziesięć istnień ludzkich. Władze zajęły się już identyfikacją ofiar wypadku.

Minęły godziny, nim brygady straży pożarnej z sąsiednich miast zlokalizowały i opanowały wreszcie ogień. Przed świtem rozpoczęło się śledztwo, mające na celu ustalenie przyczyny wybuchu. Inspektorzy dochodzeniowi zaczęli badać pogorzeliisko.

Początkowo sądzono, że odegrał we wszystkim kluczową rolę wyciek ropy z szybu numer siedem należącego do Tackett Oil. Nadal nie wiadziano, co się stało z Bowiem, więc inni pracownicy zajęli się odcięciem gazu i nafty. Dzięki temu ogień nie rozprzestrzenił się na rozległe pola naftowe.

*

Agent federalny rozpoczął przesłuchanie Keya, jedyne Tacketta, który był w stanie cokolwiek obecnie wyjaśnić.

- Czy mieliście dotąd problemy związane z wyciekami ropy lub gazu, panie Tackett?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Poza tym właściwie nie pracuję dla firmy swej matki.

- Więc kogo powinienem o to zapytać?

- Moją siostrę. Ale obecnie znajduje się poza miastem.

- Rozumiem, że na czele interesu stoi pańska matka.

- Przez ostatnie kilka lat tylko nominalnie.

- Mimo wszystko chciałbym z nią porozmawiać.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Przed paroma tygodniami stan jej zdrowia znacznie się pogorszył i jest teraz właściwie przywiązana do łóżka.

Słyszała to stojąca w pobliżu Lara, lecz nie zaprzeczyła słowom Keya. Nie uczynił tego także nikt inny.

- Muszę dodać - zwrócił się Key do agenta - że firma Tackett Oil zawsze przywiązywała wielką wagę do spraw bezpieczeństwa. Może pan to sprawdzić w dokumentach.

Agenci skinęli głowami i zaczęli wypytywać innych ludzi.

Wokół spalonego motelu zgromadziła się spora grupa gaplów. Niektórzy z nich pocieszali Darcy i Fergusa Winstonów, współczując im z powodu nie-szczęścia.

Darcy, która jeszcze nie otrząsnęła się z szoku, wciąż rozglądała się wokół, mając nadzieję, że zobaczy gdzieś Heather. Kilkakrotnie spytała Larę o swoją córkę. Płakała cicho i wciąż powtarzała:

- Wprost nie mogę uwierzyć, że lata naszej ciężkiej pracy poszły z dymem. Ale odbudujemy- swój motel.

Jednakże Fergus wyglądał na bardziej zdenerwowanego niż przygnębionego. Larze wydało się to nadzwyczaj dziwne. Być może Fergus bał się, że nie otrzyma odszkodowania z firmy ubezpieczeniowej.

- Ona powinna być tutaj - rzekła do niego Darcy, głosem drżącym z niepokoju.

Zapewne chodziło jej o córkę. Chciała chyba, żeby wścibscy reporterzy uwiecznili na zdjęciach całą rodzinę.

Nagle powietrze przeciął krzyk.

Wszyscy zwrócili twarze w stronę zrujnowanego budynku.

- Tutaj! Prędko!

Lara i Key pobiegli wraz z innymi w kierunku pogorzelniska. Ktoś odkrył pod gruzami następne ciało.

Zaczęli odrzucać osmalone cegły.

- Chryste! Tu był ktoś jeszcze - powiedział ze zgrozą agent federalny, dostrzegając w pobliżu jeszcze jedno ludzkie szczątki.

Jego pomocnik zawołał:

- Sir! Znalazłem coś! - Wskazał ręką i dodał: - To chyba gazociąg. Ale nie widziałem go na planie budynku. Podejrzewam, że ta rura wiedzie wprost ku polom naftowym.

Key podszedł do śledczego i zapytał:

- Jak to możliwe?

- Panie Tackett - agent ściągnął brwi - wygląda mi na to, że ktoś nielegalnie podbierał tu gaz albo ropę.

I wówczas rozległ się kolejny wrzask. Dobięął z tłumu zgromadzonego za plecami szeryfa. Darcy ścisnęła za ramiona jakąś nastolatkę i potrzęsała nią gorączkowo.

- Co ty wygadujesz?! Kłamiesz! - krzyczała. Uderzyła dziewczynę w twarz.

- Heather była na próbie chóru. Powiedziała ojcu, że wyszła wcześniej na próbę. Powinam cię zgnoić, ty przewrotna oszustko!

Zmieszana dziewczyna tłumaczyła:

- Nie kłamię, pani Winston. Heather poprosiła mnie, żebym ją kryła, jeśli zacznie jej pani szukać. Nie miałyśmy dodatkowej próby. Powiedziała, że ... - zająknęła się, potem nieskładnie dodała - Heather powiedziała mi, że Tanner chciał się tu z nią spotkać. Chcieli spędzić razem noc w jednym z pokoiów motelowych.

Przerażona nastolatka zalała się łzami.

- Miało być tak romantycznie - wyjaśniła. - Chcieli się zakraść do apartamentu dla nowożeńców.

Ollie Hoskins padał ze zmęczenia. Przez całą noc nie strudzenie pomagał ofiarom wypadku. Na dźwięk imienia syna wpadł teraz w popłoch.

- Tanner? Tanner? Tanner był tutaj? Nie. To niemożliwe. Mój chłopak. ... On ... Nie!

Darcy odepchnęła szlochającą przyjaciółkę Heather i zaczęła patrzeć, jak strażacy wynoszą w plastikowych workach szczątki nieszczęśników z miejsca, które jeszcze wczoraj było pokojem dla nowożeńców.

- Nie ... Nie ... Heather! Nie!!

Wtedy Fergus zwałił się na kolana i ukrył twarz w dłoniach. Wydał z siebie zwierzęcy wrzask i bezwładnie osunął się na ziemię.

*

- Marzę o kubku gorącej kawy - powiedział Key. - Poza tym nie mam tu wozu. Przyjechał tu razem z Darcy i bynajmniej nie przypadkiem. Jednak wspomnianie o tym teraz byłoby bardzo nie na miejscu.

- Podwieź mnie, jeśli to możliwe.

Był w parszywym nastroju, podobnie jak Lara. Jego ubranie przesiąkło potem i swędem spalenizny.

Przez całą noc transportował rannych na pokładzie helikoptera. Nad ranem pomagał strażakom. Lara również nie miała ani chwili oddechu. Gdy zabrano już wszystkich ciężiej poszkodowanych, opatrywała tych z cięższymi urazami i poparzeniami. Była tak zmęczona, że z trudem docierał do niej sens słów Keya. Ruchem głowy kazała mu wsiadać do swojego samochodu. Gdy ruszyli już w drogę,

spytała:

- Jak myślisz, co oni zrobią z Fergussem?

Wcześniej policjanci zakuli Winstona w kajdanki i zapakowali do radiowozu.

- Spędzi resztę życia za kratkami. Nie dość, że kradł nam ropę, to z jego winy zginęło także dwunastu ludzi.

Larę przeszył dreszcz.

- W tym jego własna córka.

- Lepiej dla niego, gdyby go nigdy nie wypuścili. Darcy powiedziała, że zabije go przy pierwszej okazji. I zrobi to - dorzucił po chwili. - Przespałem się z nią tylko raz. Tamtej nocy, kiedy mnie postrzeliła.

Spojrzała na niego z wyraźnym wyrzutem, postanowił więc wyjaśnić:

- Wczoraj prosiłem ją tylko, żeby mnie podwoziła. Pokłóciliśmy się i wtedy zdarzył się ten wypadek.

- Miałam o niej zbyt krytyczne zdanie - przyznała Lara cichym głosem. - Nie wierzyłam, że ona może kochać kogoś prócz siebie. A jednak okazało się, iż bardzo kochała swą córkę. Wiem, jak to jest, kiedy utraci się jedyne dziecko. Rozumiem, dlaczego chce zabić Fergusa. Nikt nie zamierzał pozbawiać życia Heather, ale to Fergus ponosi odpowiedzialność za tę tragedię.

Zajechała przed swój dom i zatrzymała się. Siedziała teraz bez ruchu. Coś ją powstrzymywało.

- Randall tam jest - wyznała.

- Mój ulubieniec - zadzwonił. Westchnął i otworzył drzwiczki auta.

Weszli razem do domu.

- Otwarte - zauważył ze zdziwieniem.

- Spieszyłam się ... Nie pomyślałam o tym, żeby je zamknąć na klucz.

Przeszli przez zaciemnione pomieszczenie. Naraz Lara przypomniała sobie wszystko, co się tu zdarzyło przed wybuchem. Poczowała napięcie.

- Nie sądzę, by on tu był - stwierdził Key.

- Przecież nie wyszedł.

- Hej, Porter, gdzie jesteś?! - zawołał. Zbliżył się do drzwi od gabinetu Lary.

Były uchylone. Pchnął je zdecydowanym ruchem.

Wyczuła niemylą dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

- Key, zanim ... - odezwała się.

- Porter? - wkroczył do pokoju. - O, cholera!

Podążyła za Keyem. W jednej sekundzie zmroził ją przerażający widok.

- Mój Boże! - wyszeptwała.

Key przykucnął obok ciała Randalla. Porter leżał bez ruchu, twarzą do podłogi. Był martwy, nie mieli co do tego najmniej szcych wątpliwości. Obok jego głowy spostrzegli kałużę zakrzepłej krwi.

Key odwrócił głowę nieboszczyka. Na obliczu Portera zastygł na zawsze wyraz bezgranicznego zdumienia.

- Nie zrobiłam tego! - jęknęła Lara. - Nie zrobiłam ... Nie pociągnęłam za spust.

Key spojrzał na nią.

- O czym ty, do diabła, mówisz? Oczywiście, że tego nie zrobiłaś.

- Groziłam mu bronią, ale ...

- Co?!

- Magnum ... - Wskazała palcem rewolwer leżący na podłodze i powtórzyła:

- Nie pociągnęłam za spust.

Zakryła dłonią usta. Naraz bowiem zrobiło się jej niedobrze na widok krwi.

- Podmuch eksplozji pchnął mnie na ścianę ... ale nie strzelałam.

W panicznym geście wyciągnęła rękę.

- Key! To nie ja go zabiłam!

Wstał i odepchnął magnum czubkiem buta. Patrzyła na broń z niedowierzaniem.

- Nie zabiłam! - Gorączkowo pokręciła głową. - Przysięgam! Nie mogłabym. Chciałam go tylko nastraszyć. Chciałam, żeby się bał. Tak jak ja się bałam w obozie Emilia.

- Laro, to, co gadasz, nie ma sensu. Bredzisz.

- Ashley zginęła właśnie przez Randallal - krzyknęła rozpaczliwie.

- Jak to?

- Współdziałał z Emiliem od samego początku. W nieskładnych, urywanych zdaniach powtórzyła Keyowi opowieść Randalla. - Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie, ale to prawda! Daję słowo. Och ... ! -

jęknęła, przyciskając pięści do skroni. Key patrzył na nią sceptycznie. - Nie! Nie zniosę tego jeszcze raz!

Nie mogę płacić za coś, czego nie uczyniłam!

- Wierzę ci. Uspokój się.

- O Boże, Key! Nie zastrzeliłam go! Nie mogłabym! Nie zrobiłam tego!

- To ja go zabiłam.

Ktoś wypowiedział te słowa zza uchylonych drzwi. Key minął Larę i rzucił się w ich kierunku .

29.

Jody!

Ujrzał w półmroku swą matkę, Jody Tackett. Siedziała na podłodze w nienaturalnej pozycji. Obok niej leżał pistolet, narzędzie zbrodni. Była przytomna, lecz drgawki opanowały część jej twarzy. Z ust ciekła ślina.

- Miała następny atak! - Lara przyklękła obok matki Keya. - Wezwij pogotowie.

- Nie trudźcie się. Umieram. Chcę umrzeć. Teraz już mogę - bełkotała niewyraźnie Jody. Pragnęła jednak uczynić wszystko, by Key i Lara zrozumieli jej słowa. - Nie potrafiłam mu darować.

- Darować czego, Jody? Key pochylił głowę. - Powiedz.

Tymczasem Lara dzwoniła na pogotowie. Ściągnęła dwa ambulanse - jeden dla Jody, drugi dla Randalla. Potem wróciła do chorej i zaczęła mierzyć jej ciśnienie krwi.

- Musiała zjawić się tu zaraz po tym, jak wybiegłam - wytłumaczyła Keyowi.

- Nie mogłam darować mu tego ... co powiedział o Clarku - wydusiła Jody.

- Proszę nie mówić, pani Tackett. Proszę się nie męczyć - odezwała się Lara łagodnym głosem. Szukała kciukiem pulsu na nadgarstku Jody. - Karetka już w drodze.

- Co mówił o Clarku? - zapytał Key podtrzymując głowę Jody. - Co takiego Randall Porter powiedział o Clarku?

- Key, teraz nie pora na to. Ona jest ciężko chora - upomniała go Lara. Key wrzasnął na nią:

- Ona rozwaliła twój męża! Dlaczego, do ciężkiej cholery? Muszę wiedzieć, co skłoniło moją matkę do popełnienia morderstwa. Może ty wiesz?

- Denerwujesz ją. To niebezpieczne.

- Chryste Panie. A więc wiesz? O co tu poszło?

Lara milczała.

Spojrzał znów na Jody i zdał sobie sprawę, że jego matka usiłuje się zwierzyć z czegoś bardzo ważnego, nim będzie za późno.

- Jody, co tu zaszło? Czy Porter wiedział coś o śmierci Clarka? Czy Clark został zamordowany, a później upozorowano samobójstwo? Czy Clark wiedział, że Porter nie zginął?

- Nie - wybełkotała Jody i popatrzyła na Larę. - Powiedz mi. Lara pokręciła powoli głową i zamknęła oczy.

- Nie ... Nie.

- Laro, na litość boską! On był moim bratem. - Key brutalnie schwycił ją za podbródek, zmuszając, by na niego spojrzała. - Wiesz chyba coś, o czym nie mam pojęcia. Co takiego? Czy Porter szantażował Clarka, czy mu groził? To dlatego Jody nie chciała cię tu, w Eden Pass tak? Bała się, że zdradzisz sekret?

- Porter ... - zaczęła Jody z wysiłkiem. - Porter był...

- Nie, pani Tackett - błagała Lara. - Niech pani mu nie mówi. To nic nie zmieni. Tylko go zrani - zerknęła przelotnie na Keya. - Nie zdręczaj jej pytaniami. To ją dobije. Popęłniła już przecież z tego powodu zbrodnię. Przestań. Błagam cię, Key. Daj temu spokój.

Nie miał zamiaru usłuchać jej próśb. Przysunął twarz do zeszywniałych warg Jody.

- No, kim się okazał Porter? Knuł coś razem z Clarkiem? Czy Clark wplątał się w polityczną intrygę i nie mógł oczyścić się z podejrzeń? Chodziło o nielegalny handel bronią? A może o narkotyki?

- Nie.

- Powiedz mi, Jody - prosił ją cicho. - Spróbuj. Powiedz, muszę to wiedzieć.

- Randall Porter był...

- Mów, Jody. Kim?

- Key, proszę cię ... Proszę!

- Zamknij się, Laro. Kim był Randall Porter, Jody?

- Kochankiem Clarka.

Key zastygł w bezruchu na kilka sekund. Potem wyprostował się powoli i wbił wzrok w Larę.

- Mój brat i Porter ... ?

Lara, zdruzgotana, oparła się o ścianę. Przez wiele lat liczyła na to, że tajemnica pójdzie do grobu razem

z Jody Tackett. Key wyglądał teraz na człowieka wstrząśniętego do głębi.

- Byli kochankami? - zapytał bardzo powoli ochryplym głosem.

Przytaknęła.

- A więc tamtego poranka w Wirginii mój brat był w łóżku z Porterem, a nie z tobą? To ty przytapałaś i co?

Łzy spłynęły po jej policzkach. Otarła je wierzchem dłoni.

- Tak.

- Jezu - wycedził przez zaciśnięte zęby. - O Jezu!

Przesunął rękę po włosach, a potem dotknął swego gorącego czoła. Pozostawał w tej pozycji przez dłuższy moment. W końcu opuścił ramię i popatrzył na matkę.

- Clark przyznał ci się do tego, prawda?

- Kiedy ...

- Kiedy kupił ten dom dla Lary? - domyślił się na głos Key.

Jody skinęła nieznacznie głową. Jej oczy zaszyły łzami.

- Żądałaś, by ci wyjaśnił, dlaczego okazał się taki szczodry dla kobiety, która zniszczyła mu karierę.

Załamał się i wyznał ci prawdę. Powiedział, że się go wyrzekasz. I targnął się na swoje życie ...

Z piersi Jody wyrwał się straszny jęk.

- Key, nie rób jej tego - szepnęła Lara.

On jednak nie miał zamiaru dręczyć matki. Objął Jody i przytulił do siebie.

Wyglądała tak bezradnie w jego mocnych ramionach. Trudno było Larze uwierzyć, że to ta sama Jody Tackett, przebiegła kobieta interesu, na której chciał się zemścić Fergus Winston, której przez długie lata tak bardzo się obawiała, której wszyscy tutejsi mieszkańcy kłaniali się w pas.

Key otarł kciukiem ślinę z podbródka Jody i pogładził po siwych włosach.

- Już dobrze, mamo. Clark umarł wiedząc, że nadal go kochałaś. Wiedział to na pewno.

- Key - czule wyszeptala imię syna. Zdołała unieść rękę i położyć ją na jego ramieniu. - Key ...

Zacisnęła powieki, spod których popłynęły łzy. Gdy przyjechała karetka, nadal kołysał ją w ramionach, jakby zawsze była kruchym, nieszczęśliwym dzieckiem.

Lecz Jody Tackett już nie żyła.

*

- Dziękuję, panie Hoskins.

Ollie osobiście wyniósł jej zakupy ze sklepu i umieścił je w bagażniku samochodu.

- Cała przyjemność po mojej stronie, doktor Mallory.

- Jak się czuje pańska żona?

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i pospiesznym ruchem otarł powieki.

- Kiepsko. Bez przerwy siedzi w pokoju Tannera. Ściera tam kurze. Prawie nie je, mało sypia.

- Proszę przyprowadzić ją do mnie. Przepiszę jej środki na uspokojenie.

- Dziękuję pani, doktor Mallory. Ale nie sądzę, by lekarstwa mogły jej pomóc.

- Wiem, ona cierpi ze smutku. Jednak niech pan zachęci ją, żeby do mnie zajrzała.

Skinął głową, jeszcze raz jej podziękował i wrócił do sklepu. W supermarkecie panował duży ruch, była to środa przed Dniem Dziękczynienia. Ulicami Eden Pass przemykało mnóstwo samochodów.

Jacyś ludzie wywieszali ozdoby świąteczne - rzędy wielobarwnych żarówek.

Witryny sklepów zdobiły figurki przedstawiające świętego Mikołaja. Przechodnie przystawali i z podziwem kiwali głowami.

Życie powróciło do normy po niedawnej tragedii.

Lara wracała właśnie do swego wozu zaparkowanego przed sklepem, kiedy drogę, zajechał jej lincoln Keya. Kierowca jakiejś furgonetki głośno zaprotestował:

- Hej, Tackett, gdzie ty się pchasz tym swoim złotym złomem?! Chcesz zablokować cały wyjazd, czy co?

Key nie pozostał dłużny:

- Spadaj, palancie! - wrzasnął.

Zaraz jednak uśmiechnął się rozbrajająco i uniósł kciuk w kierunku krzykacza, którym okazał się jego stary kumpel Possum. Śmiał się jeszcze, gdy podszedł do wozu Lary. Pomachał dłonią i zdjął z nosa lustrzane okulary.

- Hej, jak się miewasz?

Nie widzieli się od dnia śmierci Jody. Serce Lary znowu zabiło szybciej.

- Myślałam, że wyjechałeś na Alaskę.

- Wybieram się tam w przyszłym tygodniu. Obiecałem Janellen, że zostanę tu na Dzień Dziękczynienia.

Ona wychodzi za Bowiego. Wydają z tej okazji przyjęcie z pieczonym indykiem.

- Przyszła z nim do mnie.

- Z indykiem? - zażartował.

Przewróciła oczami, dając mu do zrozumienia, że wysilił się na taki sobie dowcip. - Bardzo polubiłam twego przyszłego szwagra.

- Ja też. Bowie strasznie się wkurza, bo niektórzy ludzie gadają, że wydaje się za Janellen dla forsy. Staje na głowie, żeby udowodnić, iż jest inaczej. Codziennie objeżdża wszystkie szyby. Chyba czuje się trochę winny, że nie było go w mieście podczas pożaru. Wiedział to ... Wiedział, że z siódmym było coś nie tak. Nie zdążyliśmy w porę ustalić, w czym tkwił problem, ot co ... W każdym razie gruchają jak dwa gołąbki. Czuję się przy nich jak piąte koło u wozu. Będą teraz mieli cały dom do dyspozycji. Zrzekłem się swojego udziału.

- Jesteś bardzo hojny .

- Z domem łączą mnie same złe wspomnienia. Niech Bowie z Janellen chowają tam swoje dzieci. -

Potrząsnął głową i zaśmiał się. - Kto by pomyślał, że z Janellen takie ziółko. No, ale widać, że przyszła na nią pora. Przynajmniej nie przeżywa tak mocno śmierci Jody.

Powiedział to całkiem beztrzesko, lecz Larze natychmiast przypomniała się scena, gdy Key tulił swą umierającą matkę w ramionach.

- Powiedziałeś Janellen o Clarku?

- Nie. Po co? Ona i tak z trudem przetrwała wiadomość, że Jody zabiła twego męża.

Po tym wypadku miało miejsce dochodzenie. Key zeznał, że Jody działała w afekcie, obwiniając Randalla Portera o śmierć Clarka. Zabiła Portera, mszcząc własnego syna. Ludzie z policji uwierzyli w to. Poza tym zabójczyni już nie żyła. Sprawa szybko trafiła do akt .

Spojrzał teraz na Larę swymi błękitnymi oczami.

- Zataiłaś prawdę podczas śledztwa.

- Celowo. Nikt nie uwierzył mi podczas tamtego skandalu pięć lat temu.

Szczerze wyznanie tylko skomplikowałoby sprawę. Odetchnęłam z ulgą, kiedy to wszystko się skończyło. Śmierć Ashley została pomszczona i to dla mnie najważniejsze.

Zwłoki Randalla spalono w krematorium. Jego oficjalny pogrzeb odbył się dawno temu, więc nie miało sensu urządzenie ponownego przedstawienia.

- Jak to się stało, że Porter pokumał się z Sanchezem? - zapytał Key.

- Któż to wie ... ? Biały Dom przemilczał sprawę. Politycy z Waszyngtonu szybko zdali sobie sprawę, że Randall okazał się zdrajcą. Nie podano tego do publicznej wiadomości, gdyż ludzie dowiedzieliby się, że pieniądze z ich podatków zasilały krwawy reżim El Corazón.

- Ja ująłbym to mniej dyplomatycznie.

- Domyślałam się.

Oparł się o karoserię jej samochodu. Wyglądał teraz jak prawdziwy facet z Teksasu - kowboj w dżinsowym ubraniu i butach z czubami. Wiatr rozwiewał mu włosy. Słońce odbijało się w jego oczach. Poczula, że go pragnie.

- Myślałam, że wyjechałaś z Eden Pass.

- Zmieniłam zdanie. Otworzyłam na nowo klinikę. Ludzie w końcu mnie zaakceptowali. Interes idzie dobrze. Ponownie zatrudniłam Nancy. Chyba będzie potrzebny ktoś jeszcze do pomocy.

- Moje gratulacje.

- Dziękuję•

Zapadła chwila milczenia. Oboje spoglądali gdzieś na boki.

- Marion Leonard jest w ciąży - powiedziała mu. - Chciała, żebyś się dowiedział. Przyszła do mnie, kiedy tylko znowu zaczęłam pracować jako lekarka.

- Wspaniale - pokiwał głową niczym mędrzec. - A więc nie czeka cię proces?

- Raczej nie.

- Czytałaś artykuły dotyczące tamtego wybuchu? - spytał.

Po kilku tygodniach śledztwa FBI podało do publicznej wiadomości to, co ustalono.

Wybuch w motelu "The Green Pine" nastąpił z winy Fergusa, który nielegalnie pompował gaz ze złóż należących do Tackettów. Bezpośrednią przyczyną okazał się najprawdopodobniej przeskok iskry elektrycznej.

Fergus Winston, wbrew radom swego adwokata, przyznał się do wszystkiego.

Oczekiwał teraz w więzieniu na wyrok, który miał zapaść w ciągu nadciągających tygodni.

Darcy opuściła miasto. Krążyły na ten temat różne pogłoski. Ponoć spędzała noce na grobie Heather,

dnie zaś przed budynkiem sądu - licząc, iż uda jej się zabić Fergusa. Inni powiadali, że postradała zmysły i zamknięto ją w szpitalu psychiatrycznym. Jeszcze inni twierdzili, że zakochała się w młodym koszykarzu i przeniosła się gdzieś do Oklahomy.

- Rozumiem, że Fergus podkradał gaz - powiedziała Lara.

- Zgadza się. Wykorzystywał w tym celu stary, zardzewiały gazociąg. Tak czy owak łamał prawo. Przez lata zarobił chyba krocie na tym procederze.

I znów zabrakło im słów. Lara poczuła się niezręcznie. Wsiadła do auta i zapaliła silnik.

- Cóż ... lepiej już pojedę. Mam w bagażniku wiele mrożonych wiktuałów.

- Czy wiedziałaś wcześniej, że Clark i twój mąż byli ... kochankami?

Nie oczekiwała podobnego pytania. Bezwiednie zamachała rękami. Key nie dał jednak za wygraną.

Chwył dłońmi uchyloną szybę jej wozu.

- Odpowiedz mi.

- Nie miałam o tym pojęcia - odparła cicho. - Kiedy zobaczyłam ich razem, замуrowało mnie. Ale tylko na moment. Potem wpadłam w szał. Dostałam ataku hysterii.

- Kto powiadomił o tym prasę?

Postanowiła tym razem nie owijać niczego w bawełnę.

- Pewnego ranka odebrałam telefon. Ktoś przedstawił się jako bliski przyjaciel Clarka. Powiedziałam mu, żeby poszedł do diabła ...

Key skrzywił się, lecz Lara twardo ciągnęła:

- Zapytał, czy wiem, że Clark porzucił go dla mojego męża. A potem nagle odłożył słuchawkę. Uznałam to za głupi żart i chciałam powiedzieć o tym Randallowi. Zorientowałam się jednak, że nigdzie go nie ma.

Zaczęłam go szukać.

Pochyliła głowę i potarła palcami skórę u nasady nosa.

- Znalazłam go w sypialni. Razem z Clarkiem. Potem doszłam do wniosku, że to pewnie tamten człowiek poinformował o wszystkim media. W każdym razie reporterzy zjawili się nadspodziewanie szybko. Clark wpadł w panikę. To był pomysł Randalla, żeby powiedzieć, iż to ja ... - Wzruszyła ramionami i westchnęła.

- Resztę już znasz.

Key zaklął cicho. Poleciał diabłu duszę ambasadora Portera.

- Czemu tamten gość, który rozmawiał z tobą przez telefon, nie wyjaśnił pomyłki?

- Zapewne stchórzył - odparła. - Tak czy owak dopiął swego. Pogroził senatora Tacketta.

- A ty, Laro? Dlaczego tak długo trzymałaś wszystko w tajemnicy?

Zaśmiała się smutno.

- Kto by mi uwierzył? Randall miewał przygody z kobietami. I to nieraz. Wszyscy uważali go za heteroseksualistę. Nawet za kobieciarza.

Key zmarszczył czoło.

- Dowiedział się o preferencjach seksualnych Clarka i postanowił to wykorzystać dla swoich celów - stwierdziła. - Przysługa za przysługę. Randall nie cofał się przed niczym. Wykorzystał Clarka.

Wykorzystał mnie. Zawsze był gotów na wszystko, byle tylko osiągnąć cel.

- Chyba masz rację ... Przez tyle lat udawał nieboszczyka .

- Właśnie. I poświęcił swoją córkę bez wahania. - Urwała na moment, jakby nie była pewna, czy powinna mówić dalej. - Key ... nie uwierzyłam w ten biseksualizm Randalla. Podejrzewałam, że został kochankiem Emilia. Kiedy zaszłam w ciążę, poddałam się testom ... Nie chciałam, by moje dziecko było nosicielem wirusa. Test dał wynik ujemny. Wołałam jednak nie ryzykować ... Więcej nie spałam już z Randalle.

Spojrzała mu w oczy.

- Nie pytałem o to.

- Ale masz prawo wiedzieć.

Key nadal świdrował ją wzrokiem. Otaczał ich uliczny hałas, lecz milczenie, które panowało między nimi, wprawiło ją w stan niepokoju. Odezwała się więc znowu:

- Nie wierzę w "ograniczoną niewinność". Kiedy otrząsnęłam się z szoku wywołanego faktem, że przytapałam swego męża w łóżku z innym mężczyzną, niewierność zarzucono mnie samej. Gdybym głośno powiedziała prawdę, ludzie uznaliby, że chcę - w perfidny sposób zrzucić winę na kogoś innego. - Pokręciła głową. - Któryś z fotografów zrobił mi zdjęcie w szlafroku, to, które następnie opublikowały gazety. W ten sposób zostałam uziemiona.

- Sądziłem, że mój brat miał więcej honoru.

- Clark potwierdził kłamstwo Randalla. Właściwie ja zrobiłam to samo. Wszyscy troje baliśmy się konsekwencji, gdyby wyszła na jaw prawdziwa historia. Tyle że Clarka, w przeciwieństwie do Randalla,

zaczęło gryźć sumienie. Postanowił zadośćuczynić mi przynajmniej częściowo, kupując dom tu, w Eden Pass. Nie oceniał go tak źle, Key. Przez wiele lat był homoseksualistą i krył się z tym. Musiał czuć się potwornie samotny i nieszczęśliwy.

- Nadal nie potrafię pogodzić się z myślą, że mój brat, którego tak dobrze znałem, poszedł do łóżka z Randallem Porterem - wyznał Key. - Pamiętam, że tyle razy spędzaliśmy razem wakacje. Myślałem, że wiem o nim wszystko. Dlaczego mi nie powiedział... ?

- Może nie od razu był tego świadomy?

- Być może. Ale wiedział już, czego potrzebuje, gdy został senatorem. W nocy, kiedy wygrał lokalne wybory pokonując swego konkurenta, obaj strasznie się upiliśmy. - Uśmiechnął się z lekka. - Następnego poranka poszedł na spotkanie z prasą ... kompletnie skacowany. Potem kłął, że to była wyłącznie moja wina. Powiedział, że jeszcze kiedyś się odegra. Nabijaliśmy się z tego, ilekroć się potem spotykaliśmy ... Jego uśmiech stopniowo zanikł. Spojrzał gdzieś w bok.

- Przykro mi, że mi nie powiedział.

- Zrozumiałbyś go?

- Chciałbym wierzyć, że tak. - Zamknął na moment oczy. - Jody nie cierpiała homoseksualistów i nie kryła się z tym - stwierdził z goryczą. - Czasem myślę, że Hitler miał więcej tolerancji w tych sprawach. Musiało być niezłe piekło, kiedy Clark wyznał jej, że woli w łóżku facetów.

- To musiało stanowić cios dla nich obojga.

- W każdym razie pewnie wtedy przesadziła. - Wsunął dłonie w kieszenie spodni i spojrzał na czubki swych butów. - Tak, ona była w tym dobra. W wyprowadzaniu ludzi z równowagi. Cholera, wielu dała popalić. Nie znała litości. Dusiła swe ofiary do końca. Wszystkie. Clarka, Janellen, ojca, mnie ... - Naraz podniósł wzrok. - Zostawiła mi list.

Lara odchrząknęła.

- Tak, Janellen wspomniała mi o tym.

- Czy znasz jego treść?

- Nie. Wiem tylko tyle, że oboje mieliście otworzyć listy do siebie po jej śmierci.

- Zgadza się. Data na moim wskazywała, że napisała go, kiedy byliśmy na Montesangre. - Skrzywił się i nieznacznie wzruszył ramionami. - Stwierdziła w nim, że wszyscy wiedzieli, iż ojciec uganiał się za innymi kobietami i pozostawiał ją samą. Przyznawała się jednak, że kochała go. Bezgranicznie. Do szaleństwa ... Kochała go, a on ją skrzywdził. Okrutnie skrzywdził. Jego zdrady raniły ją dotkliwie, bo wiedziała, że nie jest atrakcyjną, piękną kobietą. Nie potrafiła go sobą zafascynować. Ożenił się z nią wprawdzie, nie wiedział jednak ... albo miał to gdzieś ... że szczerze go kochała. Wziął z nią ślub z rozsądku. Pozwolił jej kierować firmą. Sam zaś skakał z kwiatka na kwiatek. I wszystko by grało, gdyby nie jedno: ona naprawdę była w nim zakochana.

Wyjął z kieszeni prawą dłoń i wpatrywał się w nią, jakby chciał wyczytać swój los.

Westchnął głośno.

- Jody napisała w liście, że była dla mnie taka twarda, bo zawsze przypominałem jej ojca. Byłem do niego podobny, miałem jego temperament, ponad wszystko przedkładałem dobrą zabawę. I tak jak on oglądałem się za spódniczkami. Kochała mnie ... kochała przez cały czas, lecz zarazem bała się mnie. W dniu moich narodzin, ojciec był z inną kobietą. I pozostałem żywym wspomnieniem matczynego uczucia. Bała się, że odrzucę jej miłość, tak jak uczynił to ojciec. Woląłem więc nie próbować ...

Poruszył ramionami, jakby chciał udowodnić, że wszystko mu obojętne.

- Tyle mi napisała ... Takie bzdury.

- Nie sądzę, że to bzdury. I ty także nie.

Podniósł na nią oczy.

- Jody kochała was obu, Key - powiedziała Lara. - Do końca walczyła o dobre imię Clarka.

- I do ostatniego tchnienia walczyła ze sobą, żeby mi tego nie powiedzieć, tak?

- Clark sprawił jej ogromny zawód. Pokładała w nim wszystkie nadzieje. Wiedziałaś o tym przecież. W końcu uznała jednak, że sprawiedliwości musi się stać zadość. To było z jej strony wielkie poświęcenie. Udowodniła, jak bardzo cię kochała.

Skrzywił się. Nie wiedziała jednak, czy za sprawą jej słów, czy też ostrych promieni słońca.

- Uważasz to za wielkie poświęcenie ...

Przechyliła głowę i spojrzała na niego z niedowierzaniem. Podjął:

- Tak... Teraz już rozumiem. Kryłaś Clarka nie dlatego, że się bałaś, iż nikt ci nie uwierzy. Zrobiłaś to, bo go kochałaś. Sama mi to wyznałaś w drodze na Montesangre ... Kochałaś go platonicznie. Choć Randall Porter był skończonym dupkiem, nie zdradziłaś go. Wiem to już. Clarka podziwiałaś i kochałaś jak

przyjaciela. Nie zemściłaś się na nim, chociaż wystawił cię do wiatru... A potem wyruszyłaś na Montesangre z powodu swego dziecka. Poświęciłaś się jeszcze raz. Zawsze poświęcałaś się dla ludzi, których kochałaś, Laro.

Nachylił się i dodał:

- Kiedy Jody chciała mi powiedzieć, że to Porter poszedł do łóżka z Clarkiem, błagałaś, żeby tego nie robiła. Miałaś możliwość oczyścić się z całego błota, jakim cię obrzucono. Ale nie zrobiłaś tego. Wolałaś, bym nie poznał brutalnej prawdy o swoim bracie. - Patrzył jej prosto w oczy. - Od tamtej pory nie mogę przestać o tym myśleć.

Lara z trudem wydusiła z siebie pytanie:

- I do jakich wniosków doszedłeś?

Niespodziewanie chwycił ją za rękaw.

- Chodź tutaj.

- Słucham?

- Podejdź bliżej.

Objął ją mocno, przyciągnął do siebie i gorąco pocałował.

- Nie chcę już jechać na Alaskę - oznajmił. - Cholernie tam zimno. I nie ma dobrych knajp. Wolę zostać w Eden Pass. Nad tutejszymi jeziorami jest pewna posiadłość. Mam na nią oko od wielu lat. Tyle że nie było sensu wprowadzić się tam samemu, bez żony i dzieciaków.

Czuła na twarzy jego ciepły oddech. Z oczu popłynęły jej łzy. Wtuliła się w pierś Keya. Potem odchyliła do tyłu głowę i zapytała:

- Czy ty wreszcie kiedyś powiesz mi, że mnie kochasz?

- Właśnie to zrobiłem. Nie dość pilnie słuchałaś.

- Byłam jednym wielkim uchem.

Zniżył głos do chrapliwego szeptu:

- No to przekonaj mnie, że nie powinienem stąd wyjeżdżać.

Dotykała czubkami palców jego brwi, nosa, pięknych, kształnych ust.

- Co mam powiedzieć, żeby cię zatrzymać?

- Powiedz: tak.

- Tak. ... Ale na co się zgodziłam?

- Na wszystko. Zobaczymy, co się za tym kryje.